

Javier Moro

Szkarłatne sari

Urodziłaś się wraz z tą książką i Tobie, Olivio, ją
dedykuje

Prolog

Prowadź mnie z ciemności ku światłu, od śmierci ku
nieśmiertelności.

modlitwa wedyjska

New Delhi, dwudziesty czwarty maja 1991 roku.

Sonia Gandhi nie może uwierzyć, że mężczyzna jej życia jest martwy, że już nigdy nie poczuje jego pieśczoć ani ciepła pocałunków. Nie zobaczy uroczego uśmiechu, którym niegdyś zdobył jej serce. Wszystko stało się tak szybko, nagle i nieoczekiwanie, że jeszcze nie przyjmuje tego do wiadomości. Przed dwoma dniami jej mąż zginął w zamachu terrorystycznym. Nazywał się Rajiv Gandhi, był już premierem i według sondaży zostałby nim ponownie, gdyby jego kampania wyborcza nie została przerwana w tak tragiczny sposób. Miał czterdzieści sześć lat.

Dzisiaj stolica Indii przygotowuje się do pożegnania wybitnego syna ojczyzny. Trumna z jego ciałem została ustawiona w wielkim salonie pałacu Teen Murti, w którym rezydował jako premier Indii dziadek Rajiva, Jawaharlal Nehru, i gdzie on sam spędził dzieciństwo. Białą kolonialną budowlę otacza park z tamaryndowcami indyjskimi i wianowłostkami królewskimi, które nazywają płomieniem Afryki, bo ich czerwone kwiaty kontrastują z wypaloną słońcem, pożółkłą trawą. Gmach, zbudowany jako siedziba głównego dowódcy wojsk brytyjskich, stał się po odzyskaniu niepodległości rezydencją przywódcy nowego państwa. Zamieszkał w nim Nehru wraz z córką Indirą i wnukami. Ogrodnikom, kucharzom oraz innym członkom służby, a także tysiącom rodaków, którzy przychodzą, aby oddać hołd zamordowanemu premierowi, ciężko uwierzyć, że w tej przedpogrzebowej kaplicy spoczywa ciało Rajiva, którego pamiętają, gdy jako dziecko bawił się ukradkiem w wielkich jak jaskinie, wysokich na sześć metrów pałacowych komnatach. Wydaje im się, że echo jego śmiechu nadal pobrzmiwa w długich korytarzach, po których biegał,

ścigając się z bratem, podczas gdy w jednym z salonów jego dziadek i matka przyjmowali jakiegoś szefa rządu.

Ozdobiona białą girlandą wielka fotografia Rajiva została ustawiona na trumnie owiniętej flagą w barwach narodowych: szafranie, bieli i zieleni. Jego szczery, spontaniczny uśmiech będzie ostatnim obrazem, jaki pozostanie we wspomnieniach tysięcy ludzi pielgrzymujących do Teen Murti w upale sięgającym czterdziestu trzech stopni. Ten obraz zabiorą ze sobą także członkowie najbliższej rodziny, ponieważ eksplozja bomby tak bardzo zmasakrowała ciało Rajiva (uchodzącego w oczach kobiet za bardzo przystojnego mężczyznę), że lekarze, mimo starań, nie zdołali nadać odpowiedniego kształtu amorficznej masie, a jeden z nich podobno zemdlął podczas prób balsamowania. Ostatecznie zabiegi ograniczono do nałożenia bawełny, bandażu i dużej ilości lodu, aby szczątki wytrzymały do dnia kremacji.

„Bardzo proszę, niech panowie uważają, proszę, nie zróbcie mu krzywdy” - mówi wdowa z wyrazem bólu na twarzy do tych, którzy od czasu do czasu przychodzą, aby dołożyć lodu. Upał nieubłaganie narasta i będzie rósł aż do pierwszych dni lipca, kiedy spadną monsunowe deszcze. Jedyne słowa pocieszenia - że gdyby wówczas mu towarzyszyła, jak to czyniła wielokrotnie, nie miałyby szans na ocalenie - nie odnoszą żadnego skutku. Kochała go bardziej niż siebie. W tej chwili chciałaby umrzeć, być z nim na zawsze, zarówno tu, jak i w zaświatach.

Oczywiście zostały jej dzieci. Młodsza Priyanka jest dziewiętnastoletnią wysoką brunetką, dziewczyną silną duchem i ciałem. Energicznie zajęła się przygotowaniem do pogrzebu. Jest bardzo przywiązana do matki. Namawia ją, żeby coś zjadła, ale sama myśl o jedzeniu wywołuje u Soni mdłości.

Przez dwa dni ogranicza się do wody, kawy i soku z limonki. Odzywa się ponownie astma, stara przyjaciółka, towarzysząca jej od wczesnego dzieciństwa. Przed dwoma nocami, kiedy powiadomiono ją o tragicznej śmierci męża, miała tak gwałtowny atak, że niemal straciła przytomność. Córka odnalazła i podała leki przeciwhistaminowe, lecz nie zdołała jej ukoić. Należy się obawiać, że z powodu stresu i gorąca atak duszności znowu się powtórzy.

Starszy Rahul ma dwadzieścia jeden lat. Właśnie przyjechał z Harvardu, gdzie studiuje. Sonia w swoim synu rozpoznaje męża: te same łagodne rysy, ten sam uśmiech, ten sam wyraz dobroci. Patrzy na niego z bezgraniczną czułością. Wydaje jej się stanowczo za młody, aby zgodnie z hinduską tradycją rozpalić stos pogrzebowy ojca.

O pierwszej po południu, wraz z przybyciem trzech generałów reprezentujących różne formacje wojskowe, rozpoczyna się oficjalna ceremonia pogrzebowa. Kiedy generałowie z Rahulem i przyjaciółmi rodziny podnoszą trumnę, Priyanka zbliża się, by ją pogłaskać, jakby chciała pożegnać się z ojcem, zanim rozpocznie on swoją ostatnią podróż. Jej matka, stojąca nieco dalej, zajęta witaniem przybyłych osobistości, spogląda na tę scenę ze łzami w oczach. Zwyczajem hinduskich wdów jest ubrana w nieskazitelnie białe sari. Spędziła tutaj ponad połowę życia, dlatego czuje się Hinduską. W lutym obchodzili z Rajivem dwudziestą trzecią rocznicę ślubu. Uczcili ją w jednej z restauracji w Teheranie, gdzie towarzyszyła mu w oficjalnej podróży. Nadal jest bardzo ładna, tak jak wtedy, gdy miała dziewiętnaście lat i gdy się poznali. Rąbek sari przykrywa poprzetykane pierwszą siwizną czarne włosy, starannie zaczesane do tyłu i zebrane w kok. Duże ciemnobrązowe oczy, teraz podpuchnięte od płaczu, brwi cienkie, starannie wydepilowane, prosty nos, pełne usta, jasna cera i wyraźnie

zaznaczony podbródek. Dzisiaj przypomina jedną ze smutnych bohaterek superprodukcji indyjskiego kina, ale sylwetką i dumną postawą kojarzy się raczej z boginią rzymskiego panteonu. Może dlatego, że sari, które nosi z ogromną swobodą, podobne jest do antycznej tuniki, a może ze względu na swój wygląd. Urodziła się i wychowała we Włoszech. Nosiła panięskie nazwisko Maino. Przejdzie do historii jako Sonia Gandhi, od dzisiaj wdowa po Rajivie.

Nie zważając na upał, ponad pół miliona ludzi przyszło zobaczyć kondukt pogrzebowy zmierzający ku miejscu kremacji, oddalonemu o blisko dziesięć kilometrów, położonemu we wspaniałych ogrodach nad brzegami rzeki Jamuna, za murami, którymi otoczyli Delhi władcy z dynastii Mogołów. Lawetę z ozdobioną nagietkami trumną eskortuje pięć plutonów po trzydziestu trzech żołnierzy w każdym. Ciągnie ją przybrana kwiatami wojskowa ciężarówka. Na ławkach w jej wnętrzu siedzą członkowie władz państwa. Za nimi jadą samochody wiozące rodzinę zmarłego. Jakiś ciekawski dostrzega, jak Sonia zdejmuje ogromne przeciwsłoneczne okulary i chusteczką w drżącej ręce ociera pot i łzy. Kondukt przemierza Rajpath (Drogę Królewską) między zadbanymi ogrodami, po których mieszkańcy Delhi od pokoleń spacerują w cieniu wielkich drzew, w większości ponad stuletnich czapetek kuminowych o owocach ciemnofioletowych jak figi. Większość drzew została posadzona dla ochrony przed upałem, kiedy Anglicy zdecydowali się przenieść stolicę imperium z Kalkuty do Delhi. Zbudowali wówczas ładne miasto - ogród z szerokimi alejami i wspaniałymi osiami widokowymi, godnymi imperium. Imponujący widok Rajpath, wypełnionej tłumem niosącym ogrodowe goździki w kolorze pomarańczowym, świętym kolorze hindusów, przywołał w umyśle Soni wspomnienia szczęśliwej przeszłości, tak bliskiej w czasie, a

teraz tak odległej... Jeszcze dwudziestego szóstego stycznia tego roku, w dniu święta narodowego, na tej samej alei, naprzeciwko Bramy Indii, która jest delhijskim odpowiednikiem paryskiego Łuku Triumfalnego, oglądała z Rajivem defiladę wojskową... Ile razy brała w niej udział? Prawie tyle, ile lat spędziła w Indiach. Całe dorosłe życie. Życie, które właśnie się kończy.

Na domiar złego samochód wiozący rodzinę zatrzymuje się i nie może ponownie zapalić. Silniki nie wytrzymują wysokiej temperatury i wolnego tempa jazdy. Gdy Sonia i jej dzieci wychodzą, by zmienić wehikuł, tłum spontanicznie rzuca się w ich stronę, zmuszając ubranych na czarno ochroniarzy z oddziału Czarnych Kotów do interwencji i utworzenia kordonu bezpieczeństwa. Kondukt zatrzymuje się znowu, w rytmie wyznaczonym przez gwardie honorowe. Później, na wąskich uliczkach w okolicach Connaught Place, tłum przekształca się w burzliwe morze, gotowe wtargnąć i pochłonąć żałobników. Służby bezpieczeństwa z trudem utrzymują porządek. Na twarzach ludzi maluje się wyczerpanie, kapią krople potu, a spojrzenia czarnych oczu zatrzymują się na czterech wojskowych ciężarówkach wypełnionych dziennikarzami z całego świata. Mężczyźni i kobiety, dzieci i starcy manifestacyjnie rozpaczają i ze łzami w oczach rzucają na trumnę płatki kwiatów.

Kondukt dociera do miejsca kremacji z godzinnym opóźnieniem, o wpół do piątej po południu. Tłum całkowicie przesłania ukwiecone klomby, widać tylko wielkie drzewa, które jak strażnicy wieczności rzucają błogosławiony cień na uczestników pogrzebu. Wielu z nich, jak John Major czy książę Walii, ubranych jest w czarne stroje, inni, jak Jaser Arafat, przybyli w wojskowych mundurach. Wszyscy ociekają potem. Stos pogrzebowy z dziesięciu kwintali drewna jest już przygotowany. Z tyłu za nim, na specjalnie zbudowanej

trybunie, zgromadzili się członkowie najbliższej rodziny. Około trzystu metrów na północ znajdują się mauzolea Nehru i jego córki Indiry, wzniesione dokładnie w miejscach, gdzie dokonano ich kremacji. Tradycja nakazuje, aby nigdy nie służyły one innym celom. Także Rajiv będzie miał wkrótce swoje kamienne mauzoleum. Śmierć ponownie połączy rodzinę.

Żołnierze wyjmują ciało Rajiva z trumny i kładą na stosie pogrzebowym, z głową skierowaną na północ, zgodnie z rytuałem. Następnie generałowie trzech rodzajów wojsk starannie składają flagę, w którą było owinięte rozerwane ciało i odcinają sznurki białego całunu. Członkowie rodziny stoją ramię przy ramieniu. Kapłan, starzec o brodzie długiej i białej jak śnieg, jakby wyjęty ze starej baśni, wyznacza porządek wedyjskich obrzędów i odmawia krótką modlitwę: „Prowadź mnie od tego co nierealne ku temu co realne, z ciemności ku światłu, od śmierci ku nieśmiertelności...” Starzec jest znajomy, celebrował również uroczystości pogrzebowe Indiry. Rahul, ubrany w sięgającą kolan białą luźną koszulę zwaną kurta, odbiera od niego mały dzbanek napełniony świętą wodą Gangesu. Ze spuszczoną głową, smutny i pogrążony w myślach, ukryty za okularami w ciemnej oprawce, trzykrotnie boso obchodzi stos i skrapia ciało ojca, wypełniając w ten sposób rytuał oczyszczający duszę. Następnie klęka przed szczątkami i tak, aby nikt tego nie zobaczył, szlocha. Opłakuje ojca, który zawsze był tolerancyjny, współczujący i uwielbiał swoje dzieci. Intuicyjnie wyczuwa, że rana, z której tryskają jego suche łzy, nie zblizni się nigdy. Telewizje całego świata pokazują, jak jego matka i siostra Priyanka, której godny spokój wzrusza obecnych, zbliżają się do stosu i starannie układają na ciele kłody sandałowego drewna oraz paciorki różańca.

Nadchodzi pora pożegnania. Sonia kładzie na sercu Rajiva dar ofiarny z kamfory, kardamonu, goździków i cukru, podobno pomagający usunąć z duszy wszelkie niedoskonałości. Następnie zgodnie z hinduskim zwyczajem dotyka jego stóp na znak czci. Po raz ostatni składa przed mężem ukłon, trzymając złączone dłonie na wysokości piersi, i z wolna się wycofuje. Telewizyjne kamery ukazują światu stoicko spokojną kobietę przypominającą Jacqueline Kennedy w Darlington przed dwudziestu ośmiu laty. Jest piąta dwadzieścia po południu.

Pięć minut później jej syn Rahul, poważny i zdecydowany, trzykrotnie okrąża stos, niosąc zapaloną pochodnię, następnie zatyka ją między kłody sandałowego drewna. Nie drży mu ręka, wypełnia bowiem powinność dobrego syna: pomaga duszy ojca uwolnić się od śmiertelnej powłoki i osiągnąć niebo. Przez kilka sekund wydaje się, że czas stanął w miejscu. Nie widać ani dymu, ani płomieni, słysząc tylko wedyjskie pieśni dobiegające z tłumu. Sonia z powrotem zasłania twarz wielkimi przeciwsłonecznymi okularami, żeby nie widzieli, jak płacze. Musi tak jak do tej pory zachować spokój, bez względu na to, ile to ją kosztuje. Być mężną jak Rajiv, kiedy ledwie siedem lat temu zapalał stos pogrzebowy swojej matki Indiry Gandhi, a mały Rahul płakał w jej ramionach. Być mężną jak sama Indira, kiedy uczestniczyła najpierw w kremacji swojego ojca Jawaharlala Nehru, a następnie ukochanego syna Sanjaya, wybranego przez nią na następcę, który jedenaście lat temu, pewnego słonecznego niedzielnego poranka, zginął w katastrofie awionetki. Tego dnia Sonia nie może zapomnieć, bo później nic już nie było tak jak dawniej.

Z największej głębi swojego jestestwa musiała wydobyć siły, aby dziś być tutaj, ponieważ hinduscy kapłani nie godzili się na jej obecność podczas kremacji. Nie ma takiego

zwyczaju, aby asystowała przy niej wdowa, tym bardziej innego wyznania. W tej kwestii Sonia jednak była nieugięta. Zareagowała tak jak jej teściowa Indira, nie godząc się na podporządkowanie przesądom czy archaicznym zwyczajom. Za nic nie zostałaaby w domu w chwili, gdy cały świat będzie świadkiem drugiej śmierci jej męża. I oświadczyła to organizatorom pogrzebu. Nie musiała nawet im grozić, że zwróci się do najwyższych władz kraju; wobec siły jej determinacji spokornieli. Dla Soni Gandhi uczyniono wyjątek.

Teraz wszakże należy sprostać sytuacji. Nie chwiać się, nie omdlewać, nie upadać na duchu. Trzeba żyć dalej, choć to bardzo trudne, bo chce się umrzeć. Ciężko nie ulec emocjom, kiedy po wedyjskich psalmach następują salwy armatnie, a żołnierze w doskonałym szyku prezentują broń, mierząc w dół na znak żałoby i dmąc w kornety. Kiedy po tak długim oczekiwaniu w upale dygnitarze przybyli z całego świata, generałowie w czamarach ozdobionych licznymi orderami i przedstawiciele rządu indyjskiego w bawełnianych strojach, pogniecionych i wilgotnych, podnoszą się jednocześnie i w krótkim, ostatnim hołdzie stoją nieruchomo jak głązy. Kiedy nie mogą powstrzymać płaczu przyjaciele z Europy i Ameryki, po raz ostatni żegnający Rajiva. Sonia rozpoznaje wśród nich Christiana von Stieglitza, który przedstawił ją Rajivowi, gdy byli jeszcze studentami w Cambridge, a teraz przybył na pogrzeb w towarzystwie swojej hiszpańskiej żony Pilar.

Gdy stos wybucha płomieniami, które w kilka minut obejmują całość ognistym uściskiem, wzmaga się szmer, jak szum morza dobiegający z oddali, gdzieś z obrzeży miasta, a może z czterech stron tego ogromnego kraju, i przeradza się w jeden przerażający, gardłowy krzyk tysięcy ludzi, którzy uświadamiają sobie nagle nieodwracalność śmierci. Rahul cofa się o kilka kroków. Sonia dygocze. Podtrzymywana przez

córkę, w jej ramionach odzyskuje siły. Poprzez ścianę płomieni wszyscy troje uczestniczą w starym i pełnym grozy spektaklu, podczas którego ukochana osoba, płonąc, zamienia się w popiół. To jak druga śmierć, powolna i przenikająca, aby żywi zapamiętali na zawsze to, iż nikt nie umknie bezwzględniemu przeznaczeniu. To śmierć, którą odczuwa się pięcioma zmysłami. Swąd palonego ciała, widok przybranych w jasne barwy żywych osób widocznych zza rozgrzanego powietrza unoszącego strzępki popiołu, smak potu, pyłu i dymu, który oblepia wargi, a wreszcie krzyk: „Niech żyje Rajiv Gandhi!”, który wybucha w tłumie, oddając sens odnowieńczej, a zarazem odwiecznej sceny. W miarę jak płomienie unoszą się coraz wyżej, Rahul przygotowuje się do ostatniej części rytuału. Uzbrojony w bambusowy pał o długości około trzech metrów, symbolicznie uderza w czaszkę ojca, aby jego dusza wzniosła się do nieba w oczekiwaniu na następną reinkarnację.

Nie ma słów, którymi Sonia mogłaby opisać to, co widzi. Ogarnia ją potworne uczucie straty, jakby jakaś niezwyciężona siła niszczyła jej wnętrza. Nigdy wcześniej nie rozumiała głębokiego znaczenia tego starodawnego zwyczaju. Przypomina sobie, jaka była zdegowana, kiedy zaraz po przybyciu do Indii dowiedziała się o istnieniu ofiary sati. Co za okropność, co za barbarzyństwo! - myślała wówczas. Niegdyś lud czcił wdowy, które miały odwagę rzucić się na pogrzebowy stos męża, aby razem z ukochanym rozpocząć podróż ku wieczności. Kobiety, które heroicznie oddawały się płomieniom, były uznawane za boginie i jako takie czczone przez lata, czasami nawet przez stulecia. Rytuał sati zapoczątkowany w rycerskich rodzinach radźputów, kasty wojowników z północnych Indii, stał się później popularny wśród niższych warstw, a w końcu uległ degeneracji. Anglicy go zabronili; ten zakaz podtrzymał pierwszy demokratyczny

rząd Indii ze względu na dokonywane przy tej okazji nadużycia. Ale początkowo ofiara sati była dowodem największej miłości, którą może zrozumieć tylko kobieta patrząca na płonące zwłoki uwielbianego męża. Jak Sonia w tej chwili, która postrzega ogień jako uwolnienie, jako jedyny sposób skończenia z tym wszechogarniającym bólem, jaki dźwiga jej dusza.

„Zrób coś - mówi sama do siebie. - Nie pozwól na to, by śmierć pociągnęła cię za sobą”. Życie jest walką, dobrze o tym wie. Fizyczna bliskość dzieci dodaje otuchy. Z odnowionymi siłami wybuchają uczucia: pragnienie sprawiedliwości, zemsty za to, co uczyniono jej mężowi, i głębokiego buntu, nie może bowiem pogodzić się z tym, co się stało. „Czy mogłam temu zapobiec?” - pyta samą siebie bezustannie. Starła się w miarę możliwości, przyglądała się twarzom wszystkich, którzy zbliżali się do męża podczas wyborczych mityngów, starała się dostrzec wybrzuszenie zdradzające broń pod koszulą albo podejrzany gest potencjalnego zabójcy. Zawsze wiedziała, że coś takiego może się zdarzyć. Wiedziała o tym od dnia, w którym Rajiv uległ błaganiom swojej matki Indiry Gandhi, wówczas będącej premierem, i włączył się do polityki. Dlatego kiedy dwa dni temu o nietypowej porze, za dziesięć jedenasta w nocy, zadzwonił telefon, Sonia odwróciła się na łóżku i zatkała uszy, jakby chcąc się obronić przed ciosem, który miał zaraz na nią spaść. Najgorsza wiadomość w jej życiu była w głębi duszy spodziewana. Zwłaszcza odkąd Sonia się dowiedziała, że rząd cofnął Rajivowi najwyższy poziom ochrony, który mu się należał jako byłemu premierowi. W biurokratycznej hierarchii miał kategorię Z, co dawało mu prawo do ochrony zapewnianej przez SPG (Special Protection Group) i co ustrzegłoby go przez zamachem terrorystycznym. Dlaczego ją wycofano, choć bardzo się jej domagała? Z powodu zwykłego niedbalstwa? A

może to „zapomnienie” zaspokajało oczekiwania wrogów politycznych?

Niemożliwy do opisanía suchy trzask przywraca ją do rzeczywistości. To przypomina wystrzał lub małą eksplozję. Wszyscy asystujący przy kremacji wiedzą, co się stało. Jedni spuszczają głowy, inni patrzą w niebo, jeszcze inni są tak pochłonięci spektaklem, że jak zahipnotyzowani patrzą dalej. Pod wpływem ciepła wybuchła czaszka. Dusza zmarłego jest już wolna. Rytuał został zakończony. Kiedy ludzie rzucają płatki kwiatów w płomień, pojawia się inny niesamowity obraz. Odsłaniają się długie i delikatne ręce, które ongiś pieściły dzieci, naprawiały urządzenia elektroniczne czy podpisywały międzynarodowe traktaty. Czarne palce wznoszą się i zginają w rozdzierającym pożegnaniu z zaświatów. Żegnaj na zawsze.

Sonia wybuchła płaczem. Gdzie znajdzie pocieszenie? U którego z bogów ma go szukać? Dlaczego Bóg pozwala na to, by człowiek tak dobry jak Rajiv roztrzaskał się na tysiąc kawałków z powodu fanatyzmu ludzi, którzy sami mają rodziny, dzieci i potrafią je pieścić i kochać? Jaki jest sens całej tej tragedii? Dym, popiół i silne emocje wywołują nowy atak astmy. Dzieci, przejęte, stają po jej obu bokach. Gdy oddech powoli się uspokaja, patrzy załamana, jak marzenie długich lat szczęśliwego życia u boku męża ulatuje z dymem. Ciao, amore, do następnego życia. Całe Indie zapamiętają ją taką, stojącą nieruchomo jak kamień, ze stoickim spokojem, obojętną na krzyki oszalałego tłumu, gdy ogień trawi szczątki jej męża. Żywe wcielenie powstrzymywanego bólu.

Hałas wojskowego helikoptera tłumi śpiewy i krzyki. Ludzie wznoszą oczy ku niebu, zbielełemu od upału i pyłu. Z maszyny krążącej nad stosem spada deszcz różanych płatków. Szczątki już się dopalają, gdy członkowie rodziny chwiejnym krokiem schodzą ze stopni trybuny. Poruszeni, przyjmują

kondolencje od prezydenta. W typowo indyjskim bałaganie tłoczą się pozostałe osobistości. Wszyscy chcą powiedzieć Soni parę słów: amerykański wiceprezydent, król Bhutanu, premierzy Pakistanu, Nepalu, Bangladeszu, były premier Edgar Heath, delegaci Związku Sowieckiego i Chin, stara przyjaciółka Benazir Bhutto i inni. Jednak nikomu nie udaje się zbliżyć do wdowy, ponieważ nagle wybucha chaos. Ciało zmarłego nie tylko należy do rodziny czy zagranicznych dygnitarzy. Tłum, w którego pierwszych rzędach stoją członkowie i liderzy partii Rajiva, czuje, że należy ono także do nich. To tylko mała reprezentacja czterdziestomilionowej partii - o banalnej i mało atrakcyjnej nazwie Indyjski Kongres Narodowy, najczęściej skracanej do jednego słowa: Kongres - stanowiącej największą demokratyczną organizację polityczną świata. Powstała w połowie XIX wieku jako stowarzyszenie ugrupowań politycznych, by domagać się zrównania praw Hindusów i Anglików w ramach imperium. Mahatma Gandhi przekształcił je w solidną partię, której ostatecznym celem było uzyskanie niepodległości bez stosowania przemocy. Jej przewodniczącym został Nehru, po nim jego córka Indira, w końcu Rajiv. Mimo przytłaczającego i dusznego powietrza członkowie partii chcą zobaczyć z bliska śmiertelne szczątki swojego przywódcy zamienione w popiół. Wszyscy pragną musnąć płomień śmierci i pamięci, dlatego przerywają metalowe barierki jak źdźbła słomy i niczym fala przesuwają się w stronę stosu z okrzykiem: „Nieśmiertelny Rajiv Gandhi!” Czarne Koty - ochroniarze elity - są ponownie zmuszone do interwencji. Tworzą żywy mur wokół członków rodziny i cofając się krok za krokiem pośród okrzyków rozhisteryzowanego tłumu, eskortują ich aż do samochodów.

W ciągu następnych dni Sonia trwa w stanie szoku i zamyka się w sobie. Żyje pogrążona we wspomnieniach o

Rajivie, wybucha szlochom po przebudzeniu, kiedy uświadamia sobie straszliwą rzeczywistość, w której jego już nie ma. Nie może przestać myśleć o swoim mężu, nie chce przestać o nim myśleć. Jeśli to uczyni, uśmierci go powtórnie. Nie chce nawet rozstać się z dwiema urnami zawierającymi prochy, ale to jest częścią rytuału, w którym śmierć powraca do życia.

Cztery dni po kremacji, dwudziestego ósmego maja 1991 roku, Sonia razem z dziećmi wsiada do wagonu pociągu specjalnego, który zawozi ją do Allahabadu, rodzinnego miasta Nehru, gdzie ponad sto lat wcześniej wszystko się zaczęło. W przedziale, wyściełanym białą tkaniną usianą stokrotkami i jaśminem, na czymś w rodzaju podium zostają umieszczone urny i fotografia uśmiechniętego Rajiva. Sonia, Priyanka i Rahul podróżują, siedząc na podłodze. Pociąg zatrzymuje się na licznych stacjach wypełnionych ludźmi, którzy przyszli oddać hołd swojemu przywódcy. Wybuchy emocji wyczerpują Sonię, ale za nic w świecie nie przestałaby pozdrawiać tych biedaków o kościstych twarzach spływających potem i łzami, którzy wbrew wszystkiemu uśmiechają się, aby dać jej pociechę. Uśmiechy indyjskiej biedoty są darem niematerialnym, ale trafiającym wprost do serca. Mówił to Nehru, powtarzali jej teściowa i jej mąż: „Zaufanie ludu, serdeczność, podziw, a nawet miłość, jaką ci okazują, to godna rekompensata wszelkich poświęceń. To jest prawdziwy pokarm rasowego polityka, usprawiedliwienie wszystkich nieprzyjemności, to nadaje sens jego pracy i życiu”.

W ciągu dwudziestu czterech godzin, których pociąg nazwany przez prasę heart - break express - ekspresem złamanego serca - potrzebuje do pokonania sześciuset kilometrów, Sonia może ocenić intensywność uczuć ludu dla jej politycznej rodziny, tak znanej wszystkim Hindusom i tak

popularnej, że nie ma konieczności precyzować, o jaką rodzinę chodzi. Rodziny, która rządziła Indiami przez ponad cztery dekady i która już od czterech lat nie sprawuje władzy. Sonia obserwuje swojego syna Rahula, który śpi pomiędzy postojami na stacjach. Oby nigdy rodzina nie wróciła do władzy! Priyanka wodzi nieobecny wzrokiem, także jest wyczerpana. Przypomina Indirę, ma podobną figurę, te same błyszczące i inteligentne oczy. Niech Bóg nas zachowa w swojej opiece.

W Allahabadzie prochy zostają złożone w Anand Bhawan, rodzinnym domu Nehru, który Indira, zostawszy premierem, zamieniła w muzeum otwarte dla publiczności. Patio w stylu mauretańskim z sadzawką pośrodku przypomina o pierwszym właścicielu domu, muzułmańskim sędzi Sądu Najwyższego. W 1900 roku sprzedał on posiadłość pradziadkowi Rajiva, błyskotliwemu adwokatowi Motilalowi Nehru, który zarobił tyle pieniędzy, że - jak głosi podanie - wysyłał swe ubrania statkiem do pralni chemicznej w Londynie. Ten korpulentny mężczyzna z gęstym wąsem, ubierający się jak dżentelmen, ekstrawertyk, bon vivant, hojny i dowcipny, uwielbiał swojego syna Jawaharlala, zapewne dlatego, że był on ostatnim, jaki mu pozostał, wcześniej bowiem stracił dwóch synów i córkę. Ta miłość, intensywna i odwzajemniona, legła u początków walki o niepodległość jednej szóstej ludzkości. Motilal pragnął, aby syn rozwinął wszystkie swoje talenty. Postanowił zapewnić mu najlepszą edukację. „Nigdy nie myślałem, że tak bardzo Cię kocham, jak wtedy, gdy po raz pierwszy musiałem Cię zostawić w Anglii, w szkolnym internacie” - pisał do niego, ponieważ nie mógł się uporać ze smutkiem, że zostawił trzynastolatka samego tak daleko od domu. To, co zarabiał Motilal w ciągu roku, wystarczyłoby zupełnie, aby otworzyć synowi firmę i zabezpieczyć go na całe życie. Ale takie postępowanie wydawało mu się pójściem

na łatwiznę: „Myślę bez cienia jakiegokolwiek próżności, że jestem założycielem fortuny rodziny Nehru. Postrzegam Ciebie, mój ukochany Synu, jako człowieka, który będzie zdolny dalej budować na stworzonych przeze mnie fundamentach, i oczekuję, że pewnego dnia z satysfakcją zobaczę szlachetne przedsięwzięcie wznoszące się aż do nieba...” Szlachetne przedsięwzięcie, w które ojciec i syn zaangażowali się z całą siłą swoich przekonań, okazało się walką o niepodległość kraju.

Życie rodziny Nehru uległo zmianie, kiedy Jawaharlal przedstawił swemu ojcu pewnego adwokata, który niedawno powrócił z Afryki Południowej i organizował opór przeciw kolonialnej władzy Anglików. Był to człowiek niezwykle, ubrany w dhoti, ręcznie tkane spodnie z surowej bawełny. Miał nieproporcjonalnie długie ręce i nogi, które nadawały mu wygląd szczudłonogiego ptaka. Kiedy mrużył ciemne oczy za okularami w metalowej oprawce, na jego twarzy pojawiał się charakterystyczny uśmiech, dobrotliwy i złośliwy zarazem. Czczony jak święty przez swoich uczniów, był niewątpliwie zdolnym politykiem, który potrafił za pomocą prostych gestów nawiązać kontakt z duszą Indii. Młody Nehru uważał go za geniusza.

W ten sposób Mahatma Gandhi poznał rodzinę i odmienił ją na zawsze. Ekstrawagancki Motilal nagle porzucił angielskie obyczaje na rzecz prostoty, zamienił flanelowe ubrania z Saville Row i cylinder na dhoti, takie jakie nosił Gandhi. Oddał swój dom i majątek na rzecz walki o niepodległość. Ogromny salon został przekształcony w salę spotkań Kongresu. Domowe ognisko rodziny Nehru stawało się stopniowo domem wolnych Indii. Przy ogrodzeniu zawsze stało mnóstwo sympatyków pragnących zobaczyć ojca i syna, uzyskać swój darśan, czyli - według dawnej religijnej tradycji - błogosławieństwo poprzez nawiązanie kontaktu wzrokowego

z czczoną osobą, jeśli dotknięcie jej stóp czy dłoni nie było możliwe. Pod koniec życia Motilal, nękany przez włóknienie płuc i nowotwór, dzielił z synem celę więzienną w Nainitalu. Zmarł pewnego lutowego dnia 1931 roku w swoim domu Anand Bhawan, w obecności żony i syna, który trzymał jego głowę na swych kolanach. Nie doczekał niepodległości, nie dowiedział się, że jego syn, którego świat pozna jako Nehru, zostanie wybrany na premiera nowego państwa.

Pokoje, malowane na błękitno i kremowo, zachowały te same meble, książki, fotografie i wspomnienia o tych, którzy tutaj żyli. W pokoju Mahatmy Gandhiego leży na podłodze cienki, wąski materac, stoi komoda i kądziel, której używał do przedzenia bawełny i którą zamienił w symbol oporu przeciw Anglikom. W pokoju Nehru znajduje się proste drewniane łóżko, jakiś dywan, wiele książek i statuetka trzech małych, które symbolizują nakazy buddyzmu: nie patrz na zło, nie słuchaj zła, nie mów nic złego.

Sonia przypomniała sobie pierwszą wizytę w tym mieście, po którym oprowadzała ją teściowa Indira. Wtedy jeszcze nie dostrzegła ogromnego symbolicznego ładunku, jaki ten dom odgrywał w historii Indii. Po prostu odwiedzała gniazdo przodków swojej politycznej rodziny, dom, w którym się urodzili i zawarli małżeństwa, najpierw Nehru, a potem jego córka Indira. Nie potrafiła ocenić właściwą miarą całego znaczenia, jakie skrywają w sobie mury tego budynku, mimo że Indira pokazywała jej piwnicę służącą za miejsce tajnych spotkań, w której Nehru i jego koledzy z powstającego Kongresu ukrywali się podczas nalotów brytyjskiej policji.

Teraz, gdy wraca tutaj z prochami męża, widzi wszystko innymi oczami. Ten wiktoriański dom nie jest już zwykłą scenerią rodzinnego życia. Jego mury opowiadają o intrygach, marzeniach, nadziejach i niepowodzeniach towarzyszących walce o niepodległość. Jego mury są współczesnymi Indiami.

Urna z prochami Rajiva, ostatni przedmiot, jaki dziś dołączy do pozostałych, jest jak kropka kończąca długie zdanie, które rozpoczął pisać Motilal Nehru w XIX wieku, zakładając miejscowy oddział organizacji politycznej nazwanej Indyjskim Kongresem Narodowym. Koło się zamyka.

W południe Sonia i jej dzieci w niewielkim orszaku opuszczają dom rodzinny i udają się ku przedmieściom, do Sangamu, jednego z najświętszych miejsc hinduizmu, gdzie brązowe wody rzeki Jamuna łączą się z jasnymi wodami Gangesu i z mityczną rzeką Saraswati, znaną z Rygwedy. Docierają do ogromnej, sięgającej brzegów esplanady z piasku, nad którą dominuje stara muzułmańska twierdza o murach porośniętych bluszczem. W jej wnętrzu rośnie stuletni figowiec bengalski. Według legendy każdy, kto skoczy z jego gałęzi, zostanie uwolniony z cyklu reinkarnacji. Co trzy lata na esplanadzie obchodzone jest święto Kumbhamela, na które ściągają miliony pielgrzymów z całych Indii, aby zmyć swoje grzechy, co sprawia, że jest to największe zgromadzenie religijne na świecie. Dziś także przybyło dużo ludzi, ale miejsce jest tak rozległe, że wydaje się opustoszałe. Na ustawionym na rzece pomoście zaprzyjaźniony z rodziną kapłan, pandit Ćunilal, składa ofiarę i - zanim poda miedzianą urnę Rahulowi - intonuje modlitwy poprzez dobiegający z głębi dźwięk tysięcy dzwonków i echo muszli ślimaków. Wreszcie młody mężczyzna bierze urnę w obie dłonie, zbliża się do brzegu i powoli wysypuje prochy, które rozpryskują się w spokojnych wodach odbijających złotawe promienie słońca, w tych samych wodach, które przyjęły prochy Motilala, Mahatmy Gandhiego, a także członków rodziny Nehru. Sonia i Priyanka ze ściągniętymi twarzami obserwują scenę z pewnej odległości, następnie zbliżają się do Rahula, kucają i pieczą wodę rękami. Świadkowie ceremonii, wśród nich sekretarz Rajiva, zabiorą ze sobą wspomnienie obrazu tej

trójki pochylonej nad brzegiem wody: szlochającego Rahula, Priyanki opierającej głowę na ramieniu matki i Soni nieutulonej w żalu, z oczami skąpanymi we łzach, które tworzą kolejny dopływ łączący się z Gangesem, wielką rzeką życia.

„Proszę pani, oto są godziny lotów do Mediolanu”. Sonia nie przypomina sobie, by prosiła sekretarza męża o tę informację. Być może zrobiła to w początkowym zamieszaniu, kiedy w obliczu ogromnej tragedii szukała ochrony. Kiedy nagle pomyślała, aby uciec z kraju, który pożera własne dzieci, poszukać pociechy w rodzinnym gronie, zaznać ciepła bliskich, bezpieczeństwa małego miasteczka Orbassano na przedmieściach Turynu, gdzie przeżyła swoją młodość aż do ślubu. Przypomina sobie, że gdy tylko wróciła z miejsca zamachu ze szczątkami męża, zatelefonowała do rodziny we Włoszech. Jej starsza siostra Anushka powiedziała rozdygotana, że już nie odbiera telefonów, ponieważ z całego świata dzwonią do niej dziennikarze, dopytując się o szczegóły zamachu, których przecież nie potrafi podać. „Jeszcze nic nie wiadomo - tłumaczyła jej Sonia - może to sikhowie, którzy zamordowali Indirę, może hinduscy fundamentaliści, zabójcy Gandhiego albo muzułmańscy ekstremiści z Kaszmiru... dowiemy się. Był na czarnej liście co najmniej dwunastu organizacji terrorystycznych...” Sonia czyni sobie wyrzuty, że nie zmusiła władz do zwiększenia środków ochrony. Rajiv nie wierzył w ich skuteczność i powiadał: „Jeśli chcą zabić, to zabiją”.

Kiedy Sonia po drugiej stronie linii usłyszała matkę, zupełnie się rozkleiła. Pani Maino była wówczas w Rzymie, w domu swojej młodszej córki Nadii, która rozwiodła się z hiszpańskim dyplomatą.

- Może powinnaś wrócić do Włoch? - zapytała matka.

- Nie wiem... - odpowiedziała Sonia głosem przerywanym płaczem.

Tyle ma wątpliwości! Wydaje jej się, że gdyby wyjechała, to zabiłaby część samej siebie, choć przecież przybyła do Indii, przyjęła miejscowe zwyczaje i pokochała tutejszy lud

niejako za pośrednictwem miłości do Rajiva. Po co zatem miałyby tu teraz pozostać? Czyż nie jest zmęczona życiem w otoczeniu ochroniarzy, którzy gdy nadeszła czarna godzina, nie byli w stanie zapobiec najgorszemu? Przypomniało jej się, jak Rajiv, troszczący się o bezpieczeństwo dzieci, myślał o wysłaniu ich do Szkoły Amerykańskiej w Moskwie. Sonia nie chciała się z nimi rozstawać. Brytyjska tradycja wysyłania dzieci do internatu, przejęta przez wpływowe sfery indyjskie, przegrała z podejściem włoskiej mamma. Dzieci pozostały w domu w New Delhi i najpierw pobierały lekcje u nauczycieli, którzy zjawiali się we wszystkie przedpołudnia, a potem pod eskortą chodziły do szkoły, aby uczyć się w „normalnym” otoczeniu. Ze względu na ciężar zagrożeń, jakie zawisły nad rodziną premiera, postrzegano to powszechnie jako akt odwagi lub nawet zuchwałości.

Sugestia matki, by Sonia powróciła do Włoch, poruszyła w niej bolesną strunę i postawiła ją w obliczu trudnego wyboru, którego na razie nie potrafiła dokonać. Z jednej strony bardzo martwiła się o bezpieczeństwo dzieci, a z tego względu byłoby logiczne przenieść się do Włoch, całkowicie zmienić życie i uciec przed klątwą ciążyącą nad rodziną męża. Z drugiej jednak tyle spędzonych tutaj lat i przytłaczający ciężar nazwisk Nehru - Gandhi skłaniały ją do pozostania w domu, gdzie w otoczeniu wiernych starych przyjaciół, darzona miłością tylu ludzi, przyjęłaby rolę strażniczki pamięci. Był to wybór między bezpieczeństwem i komfortem anonimowego życia na dobrowolnym wygnaniu a kontynuacją ryzykownej obecności w pajęczej sieci hinduskiej polityki, która mogłaby jedno z jej dzieci równie łatwo wynieść na urząd premiera kraju, jak i pozbawić życia. Jak Indirę czy Rajiva.

Wówczas myślała, że lepiej będzie zmienić życie, aby się uratować, że trzeba zapomnieć o polityce, której osobiście nie

znosiła, uciec od władzy, której nigdy nie cenila, a która ją zdruzgotała.

Ale... czy można walczyć z przeznaczeniem? Czula się bardzo związana z Indiami, nauczyła się kochać tutejszych ludzi i wiedziała, że jest przez nich kochana. Jak można zerwać ten związek łączący się z pamięcią o mężu, reprezentowany nadal przez przyjaciół, towarzyszy, przez miłość indyjskiego ludu? Czyż to błahostka, którą nie należy się przejmować? Mowa ciała nie kłamie: gesty, specyficzny chód, tak typowe dla Hindusów poruszanie głową, z boku na bok, aby dać do zrozumienia, że mówi się „tak”, jakby się mówiło „nie”, sposób łączenia rąk, patrzenia, słuchania, akcent... cały język ciała Soni przywodził na myśl osobę indyjskiego pochodzenia. A co by robiła we Włoszech? Co czekało ją w Orbassano oprócz towarzystwa najbliższej rodziny? Tutaj znajduje się krąg jej przyjaciół, tu jest jej świat, tu przez dwadzieścia trzy lata wiodła intensywne i szczęśliwe życie. Poza tym syn i córka już nie są dziećmi... A czy oni chcieliby stale żyć w miejscu, które tylko odwiedzali w czasie wakacji. Dorastali przecież w domach dwóch premierów Indii, najpierw babki Indiry, potem ojca Rajiva. Czy mogliby się przyzwyczaić do anonimowego życia na przedmieściach prowincjonalnego włoskiego miasta? Oczywiście płynnie mówili po włosku, byli na wpół Włochami, ale z krwi i kości czuli się Hindusami. Tu się wychowali, tutaj nauczyli się od ojca miłości do tego ogromnego, trudnego i fascynującego kraju. Tutaj odziedziczyli hierarchię wartości swego pradziadka Nehru, wielkiego bohatera walki o niepodległość i ojca nowoczesnych Indii; wartości takich jak prawość, tolerancja, nieprzywiązywanie nadmiernej wagi do dóbr materialnych, służba dla innych, zwłaszcza tych najbardziej potrzebujących. Tutaj żyli dotychczas, jak wielka indyjska rodzina, w domu babci Indiry. Gdy ona piła herbatę z

Andriejem Gromyką czy z Jacqueline Kennedy, oni w kuchni pomagali Soni przygotować stół.

Czy pogodzą się z życiem w najlepszym wypadku wygodnym i dostatnim, ale dalekim od wszystkiego, czym nasiąkali od urodzenia? A dla niej samej czy nie byłoby klęską, gdyby uciekła do miasteczka, które ongiś opuściła?

- Uważam, że moje życie jest tutaj, mamó - odpowiedziała, gdy tylko mogła już mówić.

- Proszę pani, ktoś do pani z wizytą.

Sekretarz, który jej przerwał, stał w progu, dopóki Sonia nie odprawiła go gestem i nie powiedziała: „Teraz odejź”. Pożegnała się z matką, odłożyła słuchawkę i otarła łzy. Gdy doszła do siebie, poprawiła fałdy sari i skierowała się do męzowskiego gabinetu mieszczącego się na parterze kolonialnej willi, w której mieszkali po opuszczeniu rezydencji premiera. Kiedy zobaczyła wszystkie przedmioty leżące na swoim miejscu, jego aparaty fotograficzne, książki, gazety, papiery, radio, wydało jej się przez chwilę, że Rajiv nadal żyje, że zaraz wróci z podróży, że to, co ona przeżywa, to tylko jakiś zły sen, że życie będzie się toczyć normalnie, bo jest silniejsze od śmierci. Ale to nie Rajiv wszedł do środka, uśmiechnięty, zmęczony i gotowy ją objąć. Stało przed nią trzech członków partii, trzech smutnych i niepokieszonych weteranów, dwóch ubranych w indyjskie koszule z wysoką stójką, trzeci w stroju typu safari. Jeśli bowiem zamach zniszczył rodzinę, to także pozostawił Kongres bez przywódcy. A ktoś musiał partią pokierować. Kto będzie następcą? To było pytanie, które odwiedzający teraz Sonię liderzy zadali sobie już kilka godzin po tym, jak dowiedzieli się o tragedii.

- Soniadzi - przemówił rzecznik delegacji, używając sufiksudzi wskazującego zarazem na czułość i szacunek - chciałbym, żebyś wiedziała, że komitet wykonawczy, który

zebrał się pod przewodnictwem dawnego przyjaciela twego męża, Narasimhy Rao, wybrał cię na przewodniczącą partii. Wybór był jednogłośnie. Chcielibyśmy pogratulować.

Sonia patrzyła na nich nieporuszona. Czy nie ma już na tym świecie nic świętego ani nic czystego? Nie pozwolili jej nawet osuszyć łez po śmierci męża, a już ją wciągają w politykę. Przedstawienie toczy się dalej i jest okrutne. Nie była zdolna do uśmiechu, nie miała ani ochoty, ani siły udawać, że jest zaszczyczona rezultatem głosowania.

- Nie mogę przyjąć tego stanowiska. Wiecie, że polityka nie jest moim światem. Odmawiam.

- Soniادی, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co oferuje ci komitet. Dajemy ci władzę absolutną nad największą partią świata. Podajemy ją na srebrnej tacy. Oferujemy ci możliwość rządzenia tym wielkim krajem. A przede wszystkim proponujemy przejęcie dziedzictwa twego męża, aby jego śmierć nie poszła na marne...

- Nie uważam, by był to właściwy moment na takie rozmowy...

- Komitet wykonawczy debatował przez wiele godzin, zanim ośmielił się przedstawić ci propozycję. Zapewniamy, że dużo o tym rozmyślaliśmy. Masz całkowitą swobodę i w pełni możesz liczyć na nasze wsparcie. Prosimy, abyś kontynuowała rodzinną tradycję. To jest twoim obowiązkiem jako dobrej córki Indii.

- Jesteś jedyną osobą, która może wypełnić pustkę po Rajiwie - dodał drugi.

- Indie to bardzo wielki kraj... - odpowiedziała Sonia. - Nie jestem jedyną spośród miliarda ludzi.

- Jesteś jedyną Gandhi...

Sonia wzniosła oczy do nieba, jakby stamtąd spodziewała się argumentów.

- ...nie licząc twoich dzieci, oczywiście.

- Moje dzieci są jeszcze bardzo młode i dzisiaj także nie są w stanie rozmawiać o polityce.

- W Indiach nie jest błahą sprawą nazywać się Gandhi... - dorzucił kolejny delegat.

- Rozumiem, co chcecie mi powiedzieć - przerwała mu Sonia. - To nazwisko zobowiązuje, lecz równocześnie oznacza wyrok. Zobaczcie, co się stało.

W rzeczywistości Sonia nazywa się tak, ponieważ jej teściowa Indira wyszła za mąż za Feroza Gandhiego, a nie dlatego, że łączyły ją jakieś więzy pokrewieństwa z ojcem narodu, Mahatmą Gandhim. Mogłaby z równym powodzeniem nazywać się Kumar, Bose czy Kapur, nosić jakiegokolwiek inne popularne w Indiach nazwisko. Ale traf chciał, że nazwisko jej męża było takie samo jak nazwisko najbardziej szanowanego i najbardziej kochanego przez Hindusów człowieka, który poprowadził ich drogą ku wolności. Człowieka, który stał się tak bliski rodzinie Nehru, że traktowano go jak jej członka. Razem odzyskali niepodległość i osiągnęli to przede wszystkim dzięki potężnemu instrumentowi, czyli Kongresowi, który dziś jest osierocony. Nadaje to rodzinie Gandhi, również Soni, pewną społeczną aurę, która dla polityków tej partii ma niezmierzoną wartość.

- Zobacz... Ty jesteś spadkobierczynią tej fotografii.

Jeden z przybyłych wskazał fotografię stojącą na stoliczku przy sofie. Zdjęcie w srebrnej ramce ukazuje Indirę, gdy jako dziecko siedzi obok Mahatmy.

- Naprawdę bardzo wam dziękuję, że pomyśleliście o mnie na tym stanowisku. To ogromny zaszczyt, ale ja na niego nie zasłużyłam. Wiecie, że nie znoszę rozgłosu. Poza tym nie należę bezpośrednio do rodziny, jestem synową...

- Poślubiłaś Hindusa i wiesz, że tutaj synowa staje się w chwili ślubu członkiem rodziny męża... Dopeliłaś

wymaganych obrzędów religijnych zgodnie z naszymi zwyczajami. Jesteś tak samo Hinduską jak wszystkie inne, ale nie każda z nich jest żoną Nehru - Gandhiego. Popatrz na to zdjęcie... Czy to nie szkarłatne sari, jakie włożyłaś w dniu swego ślubu, czy to nie jest to samo sari, które Nehru utkał w więzieniu?

- Tak, ale to nie zmienia faktu, że jestem cudzoziemką...

- Ludziom jest obojętne, gdzie się urodziłaś. Jako przewodnicząca nie byłabyś pierwszą cudzoziemką z urodzenia - przerwał jej trzeci. - Przypomnij sobie Annie Besant, jedną z pierwszych liderek partii i jej pierwszą ogólnokrajową przewodniczącą. Ona była Irlandką. Naprawdę nasz pomysł nie jest taki niedorzeczny.

- To jednak były inne czasy. Jestem zbyt wrażliwa, aby objąć taką funkcję. Wyobrażacie sobie skierowane przeciwko mnie ataki opozycji? Posłużyliby się argumentem narodowościowym i byłaby to katastrofa dla wszystkich.

- Soniadzi, przedstawiamy ci tę propozycję bez żadnych warunków - powiedział najstarszy z nich, przebiegły polityk znany ze swojej zręczności. - Być może najważniejsza dla ciebie będzie okoliczność, że znowu będziesz mogła korzystać z najwyższego stopnia ochrony osobistej, takiego jak Rajiv, kiedy sprawował urząd premiera.

- Żałuję, ale pukacie do niewłaściwych drzwi. Nie mam żadnych ambicji politycznych, ten świat nie podobał mi się nigdy, źle się w nim odnajduję, nie cierpię być w centrum zainteresowania. Zresztą Rajiv także tego nie lubił. Jeśli zaangażował się w politykę, to tylko dlatego, że poprosiła go o to matka. Gdyby nie to, pewnie teraz byłby pilotem Indian Airlines, żyłby nadal i prawdopodobnie bylibyśmy szczęśliwi... Bardzo mi przykro, ale na mnie nie liczcie.

- Jesteś jedyną osobą, która może zapobiec upadkowi partii. Jeśli partia się podzieli, co jest bardzo prawdopodobne,

rozpadnie się cały kraj. Co utrzymywało jedność Indii od czasów uzyskania niepodległości? Nasza partia. Kto jest gwarantem wartości pozwalających na to, aby wszystkie społeczności żyły w pokoju? Kongres. Odkąd nie sprawujemy władzy, zobacz, jak rosną wpływy starego demona nienawiści między społecznościami i religiami, tendencje separatystyczne tyłu regionów... Cały kraj zmierza ku ruinie i tylko ty możesz pomóc nam go uratować. Masz prestiż, a ludzie cię kochają. Dlatego przybyliśmy tutaj osobiście... aby odwołać się do twojego poczucia odpowiedzialności.

- Odpowiedzialności? Dlaczego moja rodzina ma ciągle płacić temu krajowi daninę krwi? Czyż krew Indiry i Rajiva nie wystarczy? Chcecie jej więcej?

- Przemyśl to, Soniadzi. Pomyśl o Nehru, o Indirze, o Rajivie... Wasza rodzina jest tak ściśle związana z Indiami jak liana pnąca się wokół pnia drzewa. Jesteście Indiami. Bez was jesteśmy niczym. Bez ciebie nie ma przyszłości dla tego wielkiego narodu. To jest przesłanie, które ci przekazujemy. Wiemy, że przeżywasz gorzkie chwile, i prosimy o wybaczenie, że zakłóciliśmy twoją żałobę, ale nie opuszczaj nas. Nie wyrzucaj za burtę takiego poświęcenia i takiej walki. Trzymasz w swoim ręku pochodnię rodziny Nehru - Gandhi. Nie gaś jej!

Słowa, słowa, słowa... Zawsze ważniejszy jest cel, meta na końcu drogi, bardziej szlachetna racja, lepsze uzasadnienie, aby tylko nie porzuciła świata polityki. Politycy zawsze znajdują powody, aby mówić o jednej rzeczy, jaka ich interesuje - o władzy. Sonia wiele lat przeżyła w pobliżu dwóch premierów i te mechanizmy poznała od środka. Doskonale wyobraża sobie rozczarowanie wszystkich kandydatów, którzy przepadli w wyborach i teraz przeżywają zawód. Zabójstwo jej męża zniszczyło marzenia wielu ludzi, nie tylko jej. Wyobraża sobie te podejrzenia, manewry,

podstępny, oszustwa, insynuacje tych wszystkich, którzy walczą o sukcesję po Rajiwie w samej partii. Gra toczy się o bardzo wysoką stawkę, dlatego przybyli do niej wysłannicy nie chcą tracić choćby odrobiny czasu. To jest pora zajmowania pozycji w strukturach partii, bo władza nie znosi próżni. Indie są krajem, gdzie władza polityczna jest kluczem do indywidualnego dobrobytu.

Sonia nauczyła się od Rajiva i Indiry trzymać polityków na dystans i nie dać się im wykorzystywać. Ale oni również są przebiegli i przewidują, że Sonia w końcu wyrazi zgodę. Ustąpi, jeśli nawet nie ze względu na siebie, to ze względu na swoje dzieci lub po to, aby zachować wpływ rodziny, ponieważ władza jest pokusą, której nie można się oprzeć. Czyż nie mówią wedyjscy poeci, że nawet bogowie nie potrafią się obronić przed pochlebstwami?

Następnego dnia Sonia wysłała list do głównej siedziby partii: „Jestem głęboko wzruszona zaufaniem, jakie pokłada we mnie komitet wykonawczy, ale tragedia, która spadła na moje dzieci i na mnie, nie pozwala mi przyjąć propozycji kierowania tak wielką organizacją”. Odmowa działała jak kubeł zimnej wody na członków partii, którzy nie przyjmują jej do wiadomości i decydują się nadal wywierać nacisk wszelkimi dostępnymi środkami. Każdego ranka sympatycy partii pokazują się przed domem Soni, kolonialną willą stojącą w centrum New Delhi. Przynoszą transparenty i skandują hasła: „Niech żyje Rajiv Gandhi! Soniadzi na przewodniczącą!” Zirytowana Sonia błaga sekretarza męża, aby pozbył się manifestantów i położył kres temu spektaklowi, który wydaje jej się głupi i bezsensowny. „Niech sobie poszukają następcy - myśli. - Moja rodzina zrobiła już dość”.

Do nielicznych, którzy uspokoili się naprawdę, przeczytawszy w gazecie wiadomość o odmowie, należą rodzice Soni w Orbassano koło Turynu. „W mieście wszyscy

oddychamy z ulgą - stwierdza jedna z mieszkanek. - Dobrze, że nie zajęła stanowiska męża. Ściągnęłaby wielkie ryzyko na siebie i swoje dzieci".

Akt I

Bogini Durga jedzie na tygrysie

Cechą przynależną władzy jest ochrona osobista.

Blaise Pascal

Sonia skończyła osiemnaście lat, kiedy zdecydowała się na wyjazd do Anglii, aby uczyć się angielskiego, i kiedy zakochała się w Rajivie. Była tak ładna, że ludzie oglądali się za nią na ulicy. Chodziła wyprostowana, ciemnobrązowe proste włosy okalały twarz madonny. Josto Maffeo, obecnie znany dziennikarz, który wówczas był jej szkolnym kolegą i w końcu każdego tygodnia jeździł z nią autobusem z Orbassano do centrum Turynu, wspomina: „Sonia była jedną z najładniejszych kobiet, jakie poznałem w życiu. Była nie tylko ładna, ale i interesująca, bardzo życzliwa dla przyjaciół, spokojna i zrównoważona. Nie lubiła tłumnych zabaw, zawsze zachowywała pewien dystans wobec otoczenia”.

Trudno się dziwić, że ojciec Soni, krzepki góral, którego ogorzała twarz nosiła ślady ciężkiej pracy pod gołym niebem, gwałtownie sprzeciwiał się wyjazdowi córki na naukę angielskiego do Cambridge. Poczciwy Stefano Maino o rumianych policzkach i krótkich włosach zaczesanych do tyłu, z gęstymi wąsami, którymi łaskotał córki przy całowaniu, był człowiekiem starej daty. Był już taki, gdy przed laty osiedlił się w Orbassano. Dowiedziawszy się ze zgorzaniem, że miejscowa szkoła jest koedukacyjna, postanowił posłać córki do żeńskiego kolegium w Sangano, miejscowości oddalonej o blisko dziesięć kilometrów. Gdy jego trzy córki zaczęły dorastać, zawsze chciał wiedzieć, gdzie i z kim się spotykają. Nie podobało mu się również, że wychodziły z domu podczas weekendów, choć nie były to jakieś całonocne eskapady, bo tych by zupełnie nie tolerował. Dziewczęta jechały zwykle do oddalonego o pół godziny jazdy pociągiem albo autobusem Turynu, aby pospacerować w podcieniach pięknych alei albo (gdy była zła pogoda) zjeść podwieczorek z przyjaciółkami w jednej ze znanych miejscowych cremerie. Stefano był człowiekiem prostych zasad i stale wchodził w konflikt z

córkami. Tą, która zwykle mu się przeciwstawiała, była najstarsza Anushka, dziewczyna o silnym charakterze, zbuntowana i waleczna. Przy niej Sonia była aniołem. Najmłodsza Nadia nie sprawiała jeszcze żadnych problemów.

Jego żona Paola, kobieta o regularnych rysach, szczerym uśmiechu i stosunkowo wyrafinowanym wdzięku, kompensowała swą elastycznością surowość Stefana. Była bardziej otwarta, bardziej tolerancyjna, miała więcej zrozumienia. Zapewne jako kobieta potrafiła lepiej zrozumieć córki, chociaż sama dojrzewała w innych warunkach, w górskiej wiosce liczącej mniej niż sześciuset mieszkańców, w czasach gdy Włochy były krajem biednym. Bardzo biednym. Córki nigdy nie musiały doić krów ani pracować w polu czy podawać kawy w rodzinnym barze. Urodziły się już po wojnie, były „dziećmi planu Marshalla”, ekonomicznego odrodzenia i rozwoju Włoch. Biedę poznały tylko mimochodem, kiedy były jeszcze małe. W latach powojennych trudno było uciec od widoku kalek i żebraków, którzy oparci o mur na wiejskim placu poszukiwali słonecznego ciepła i publicznego miłosierdzia. Ten kontakt naznaczył je na zawsze, zwłaszcza Sonię. W Vicenzy, większym mieście położonym najbliżej wioski, w której mieszkali, biedę było widać, zanim dotarło się do centrum, w dzielnicach slumsów, gdzie bawiły się dzieci zupełnie nagie albo odziane w łachmany.

- Dlaczego ich mamy pozwalają na to, by chodziły na golasa? - pytała speszona mała Sonia.

- Te dzieci tak chodzą, ponieważ nie mają ubrania. Nie dlatego, że im się tak podoba, tylko nie mają innego wyjścia. Są biedne.

Dziewczynka po raz pierwszy zrozumiała, jak straszna jest bieda. Ponadto, wyjaśniała jej matka, niektóre rodziny cierpią głód. Czy każdego miesiąca nie przychodzi do nas proboszcz

zbierający dla nich datki na mleko w proszku, jedzenie i ubranie, które potem są rozdzielane między potrzebujących? Ów proboszcz wiedział, że zawsze może liczyć na rodzinę Maino, która choć sama musiała się ograniczać, to jednak, jak przystało na rodzinę katolicką, wzorowo wypełniała powinność miłosierdzia.

- Ewangelia mówi, że biedacy pierwsi wejdą do Królestwa Niebieskiego... Nie uczyli cię tego na katechezie?

Sonia pokiwała głową i zaraz zajęła się wraz z matką przygotowaniem paczki z używaną odzieżą. W domu rodziny Maino niczego nie wyrzucano, nic się nie marnowało. Młodsze pokolenia dziedziczyły po starszych. To, czego już nie używano, oddawano biednym. Wspomnienie wojny było zbyt świeże, aby zapomnieć o wartości najprostszych rzeczy.

Rodzice Soni pochodzili z pasterskiego regionu Wenecja Euganejska, a konkretnie ze wsi Lusiana w górach Asiago, odnogi alpejskiego łańcucha, od której wziął nazwę jeden z najwyżej cenionych we Włoszech serów, słynącego również z kamieniołomów marmuru. Rodzinę ojca Maino tworzyli ludzie prości, uczciwi, bezpośredni i bardzo pracowici. Te zalety nie uszły uwagi przyszłej matki Soni, Paoli Predebon, córki byłego karabiniera, który prowadził bar swego dziadka we wsi Comarolo di Conco w dolinie. Stefano i Paola wzięli ślub w ładnym kościele pod wezwaniem Świętego Jakuba Apostoła w Lusianie. Jego smukła wieża, jak strzała wycelowana w niebo, przypomina minaret meczetu i jest niewątpliwie śladem kultury Osmanów, którzy przed wiekami przemierzali te okolice.

Sonia urodziła się o wpół do dziesiątej, w zimną noc dziewiątego grudnia 1946 roku, w szpitalu publicznym w Marostice, bardzo starym miasteczku otoczonym murami u stóp gór Asiago. E nata una bimbaaa! - dobra nowina szybko dotarła do wsi Lusiana, a jej echo odbijało się od kamiennych

murów domów, stajni, od skalnego urwiska i okolicznych wzgórz, aż zagubiło się gdzieś w odległym wodospadzie. Zgodnie z tradycją mieszkańcy wsi na powitanie nowo narodzonej wpletli w kraty okien i zawiesili na drzwiach różowe kokardy. Po kilku dniach dziecko zostało ochrzczone przez miejscowego proboszcza, otrzymując imiona na cześć babki ze strony matki: Edvige Antonia Albina. Stefano Maino pragnął jednak dla córki innego imienia. Tak jak na najstarszą córkę, ochrzczonej imieniem Ana, wołano Anushka, na Antonię mówiono Sonia.

W ten sposób Stefano wypełnił przyrzeczenie, jakie złożył sobie samemu, kiedy uszedł z życiem z rosyjskiego frontu. Jak wielu Włochów żyjących w biedzie, Stefano uległ pokusie faszystowskich idei i propagandzie Mussoliniego. Już na początku wojny zaciągnął się do 116. Pułku Piechoty w Vicenzie, który wchodził w skład sławnego korpusu bersaglieri, gdzie służył także sam duce. Bersalierów, znanych z szybkiego kroku defiladowego (ponad sto trzydzieści kroków na minutę), a przede wszystkim z charakterystycznego kasku o szerokim rondzie, z opadającym na bok pióropuszem z czarnych, lśniących piór koguta, otaczała sława odważnych i twardych żołnierzy, lecz kampania w Rosji obróciła ją wniwecz. W pierwszym starciu z Sowietami dywizja straciła trzy czwarte ludzi. Tysiące dostało się do niewoli, wśród nich Stefano, któremu udało się zbiec wraz z innymi żołnierzami. Schronili się w gospodarstwie na rosyjskim stepie, gdzie pod opieką chłopskiej rodziny przeżyli kilka tygodni. Kobiety leczyły ich z ran, mężczyźni dostarczali żywność. To doświadczenie całkowicie odmieniło ich życie i poglądy. Jak tysiące innych włoskich żołnierzy powrócili rozczarowani faszyzmem i wdzięczni Rosjanom za ratunek. Od tego czasu Stefano przestał mówić o polityce, która stała się dla niego synonimem kłamstwa. W hołdzie dla rodziny, która uratowała

mu życie, zdecydował się nadać swym córkom rosyjskie imiona. I aby nie wchodzić w spór z rodziną ani z księdzem, dla którego imię Sonia nie wchodziło w skład wykazu imion świętych (Sofia była do zaakceptowania, Sonia już nie), Stefano zgodził się wpisać w rejestrze imiona katolickie. Po chrzcie zaprosili sąsiadów i rodzinę na dorsza alla vicentina, ulubione danie regionalne z dużą ilością moczzonej w sosie mamałygi. Zdobycie dorsza było nie lada sztuką, ponieważ w tych powojennych latach wszystkiego brakowało. Kupił go dopiero w Vicenzie, stolicy regionu, położonej na równinie, pięćdziesiąt kilometrów od domu. Radość rodziny Maino byłaby całkowita, gdyby nie trudności w utrzymaniu rosnącego potomstwa. W tamtych latach trudno było uciec od biedy. Mieli co jeść i w co się ubrać, ale niewiele więcej. Rodzina Maino nie posiadała ziemi, oprócz kilku krów miała kamienny dom, który Stefano wznosił własnymi rękami na końcu rua Maino, przy której pokolenia jego krewnych wywodzących się z Niemiec stawiały swoje domostwa. Warunki życia były spartańskie, ale widoki na dolinę należały do najwspanialszych. Kamienne murki oddzielały łąki, gdzie pasły się krowy, których hodowla była głównym źródłem dochodu w całym regionie, ponieważ górzysta ziemia, jako zbyt kamienista, nie nadawała się do uprawy.

Sonia i jej siostry rosły, obserwując subtelny spektakl w dolinie Lusiany, która zmieniała barwy zależnie od pory roku. Ich oczom ukazywały się kolejno wszystkie odcienie zieleni i brązów, szmaragd drzew na wiosnę, żółcień pól w lecie, miedziane barwy jesieni, a wreszcie biel zimy. Pierwszy w roku śnieg oznaczał dla dzieci wielkie święto, które czciły z radością; bawiły się w lepienie bałwana, obrzucały śnieżkami w białych uliczkach. Jednak u Soni mieszanka ćwiczeń fizycznych i zimna wywoływała zmęczenie, które zmuszało ją do szybkiego powrotu do domu. Gdy wiatr gwizdał w

szczelinach okien, lubiła chronić się w ciepło, w pobliżu rozgrzanej kuchennej blachy.

W niedzielne ranki dzwonki krów mieszały się z dźwiękiem kościelnych dzwonów i cała rodzina ubrana w świąteczne stroje szła na mszę, której nigdy nie opuszczała.

Modlili się, aby Stefano znalazł pracę, żeby astma Soni minęła, aby poprawiła się ogólna sytuacja, żeby dzieci miały to, co potrzeba, rosły zdrowo i były szczęśliwe. Na początku lat pięćdziesiątych Stefano wreszcie znalazł pracę, ale nie w swojej wsi, tylko po drugiej stronie gór, w Szwajcarii. Jego solidność i murarskie doświadczenie sprawiły, że podpisał kontrakt na wiele sezonów. Wyjeżdżał na co najmniej dwa miesiące i wracał z kieszeniami pełnymi lirów, których jednak nigdy nie starczało na tak długo, jak na to liczył.

W 1956 roku Stefano, idąc w ślady swoich trzech braci i tylu innych ziomków, podjął decyzję o wyjeździe z wioski. Wybrał turyński przemysł, który powstał wokół zakładów Fiata i jak magnes przyciągnął miliony Włochów pragnących uciec od wiejskiej biedy. Rodzina Maino przejechała pociągiem całe północne Włochy i ulokowała się w Orbassano, miejscowości przemysłowej na przedmieściach Turynu. Wybrali ją, ponieważ jeden z braci Stefana, Giovanni, ze względu na oliwkowy kolor skóry nazywany „El Moro” (Maur), ożenił się z dziewczyną z tamtych stron i zapewniał, że boom budowlany gwarantuje zapotrzebowanie na wiele rąk do pracy. Stefano znał już ten region, bo w latach trzydziestych pracował tu jako robotnik przy odnawianiu wojskowych fortyfikacji w Alpach na granicy z Francją. Piemontczycy podobali mu się może dlatego, że jak wszyscy górale byli bezpośredni, szczerzy i nie tracili czasu na zbędne medytacje.

Praca, praca i praca, oto była recepta Stefana na dorobienie się w krótkim czasie. Nie zajmował się niczym

innym, nie miał żadnego hobby, nie był też miłośnikiem sportu, choć lubił pójść do baru Piera Luigiego, żeby obejrzeć w telewizji najważniejsze mecze Juventusu. Ten sam bar chętnie odwiedzała jego córka Sonia, ponieważ Pier Luigi sprzedawał najlepsze lody w całym regionie. Era molto vivace, molto biricchina - powiedział o dziewczynce.

Kiedy Stefano przybył do Orbassano, był podmajstrem, miał już uprawnienia i założył własne przedsiębiorstwo budowlane. Rozpoczął od przebudów, potem wznosił domy, małe palazzi, a następnie domy szeregowo. „Był człowiekiem bardzo prawym” - wspomina Danilo Quadri, mechanik, który naprawiał jego betoniarki oraz pozostałe urządzenia i stał się jego bliskim przyjacielem. Każdego dnia o tej samej porze wspólnie pili kawę w barze Nina na placu naprzeciwko ratusza, piętrowego budynku z podcieniami, zegarem na fasadzie i włoską flagą na balkonie. Obok stał kościół Świętego Jana Chrzciciela z charakterystyczną wieżą i spiczastymi daszkami w turkusowym kolorze, gdzie w każdą niedzielę Stefano i Danilo chodzili z rodzinami na mszę. Stefano, żyjący z zegarkiem w ręku, był miłośnikiem rutyny. Po codziennym spotkaniu z przyjacielem ruszał na piechotę przez via Frejus, zabudowaną domami bez gracji i stylu, gdzie blok mieszkalny sąsiedował z antyczną willą. Tego rodzaju mieszanina była bardzo charakterystyczna dla urbanistyki czasów powojennych. Własny dom Mainów stał przy via Bellini pod numerem 14, w odległości około półtora kilometra od rynku. Trójkondygnacyjna willa, otoczona niewielkim ogrodem, była dla Stefana spełnieniem marzenia życia. Kiedy spłacił długi, które zaciągnął na założenie przedsiębiorstwa, poszukał działki w dobrej cenie, w pobliżu przystanku kolejki i autobusów. Gdy wreszcie znalazł odpowiednią, zakupił ją za gotówkę. W rekordowym tempie wznosił tam swoją willę z typową tavemetta zajmującą cały parter. Nie było

szanowanego domu, który nie miałby swojej tavernetta, starannie wykonanej, z ladą, barem i kominkiem. Rodzice wykorzystywali ją do spotkań z przyjaciółmi lub rodzinnych uroczystości, a dzieci urządziły w niej własne potańcówki. Stefano zbudował duży dom z myślą o podzieleniu go między córki, gdy staną się pełnoletnie. Jak przystało na dobrego Włocha, podstawowym sensem jego życia, oprócz pracy, była rodzina. Oczywiście wielką rolę odgrywała w nim także religia. Wszystkie te wartości, podzielane przez żonę Paolę, Stefano Maino starał się przekazać dzieciom.

Sonia miała dziesięć lat, kiedy znalazła się w Orbassano. Przeprowadzka z górskiej wioski na przedmieście wielkiego miasta, takiego jak Turyn, przyniosła wielkie zmiany. Życie stało się o wiele łatwiejsze, bardziej urozmaicone, oferujące niemal nieskończone możliwości. Jedyny jego cień był związany z pochodzeniem. Mainowie byli bowiem paesane, jak pogardliwie nazywano imigrantów z wiosek na północy Włoch. Ta etykieta wpędzała ich w kompleksy, czuli się inni, mniej wartościowi od pozostałych. Zwłaszcza na początku, w szkole, gdzie siostry Maino były traktowane przez inne dziewczynki jako paesane także ze względu na swe staromodne „wiejskie” ubrania. Orbassano nie było dalekie od klasowej atmosfery konserwatywnego Turynu, gdzie śniadanie jada się w południe, cappuccino pije o piątej w wielkich ciastkarniach w stylu art deco, a kolację spożywa o siódmej wieczorem. Gdzie panie są bardzo wymuskane, a panowie ubierają się według ostatniej mody. Gdzie robotnik chce żyć jak przedsiębiorca, przedsiębiorca naśladuje bogatego burżuja, a burżuj arystokratę, którego w skrytości podziwia. W owych czasach już wygasła potrzeba buntu; nikt nie chciał wieszać szefa, wszyscy chcieli być tacy jak on. Dobrobyt wydawał się nie mieć końca i pozwalał każdemu dążyć do spełnienia marzeń o zmianie swego statusu. Krok po

kroku, w miarę jak ojciec się dorabiał, status społeczny rodziny Maino sukcesywnie się podnosił. Z córek „pastucha krów i murarza” dziewczynki stały się córkami przedsiębiorcy budowlanego, który żył dostatnio. Z córek chłopca imigranta stały się córkami biznesmena. Paola, bardziej czuła na otoczenie niż jej mąż, natychmiast przejęła gusty turyńskiej burżuazji, styl ubierania się i maniery, przekazując je swoim córkom, które szybko zmieniły się w „panienki”. Nie do tego stopnia, by negowały swoje pochodzenie, były na to zbyt uczciwe. Wiedziały jednak, że nigdy nie osiągną statusu turyńczyków „czystej krwi”, ponieważ tam się nie urodziły.

Po ukończeniu szkoły podstawowej w kolegium żeńskim w Sangano, Sonia chciała kontynuować naukę w szkole w Orbassano, ale ojciec się temu sprzeciwił. „Żadnej szkoły publicznej dla moich córek. Dla nich wszystko co najlepsze!” Najlepsze według Mainów było kolegium sióstr Marii Wspomożycielki w Giaveno, pięknym średniowiecznym mieście, a zarazem znanym miejscem wypoczynku turyńczyków, oddalonym około dwudziestu kilometrów od domu. Mainowie bardzo cenili sobie edukację w instytucjach religijnych, a zarazem zamierzali pozbyć się w ten sposób łątki paesane. Właśnie tam, bo przecież nie w szkole publicznej w Orbassano, dziewczyny mogłyby poznać rówieśniczki pochodzące z lepszych sfer. Córki były dowożone do kolegium rankiem w poniedziałek i odbierane w piątek po lekcjach. Internat nie należał do ciężkich, przeciwnie - był pełen sympatycznych sióstr salezjanek, które natychmiast polubiły Sonię. „Starsza miała silny charakter i była trudna, ale Sonia to była sama dobroć” - mówiła siostra Domenica Rosso, wyznaczona na jej opiekunkę. Che bel carattere, sempre gioviale - wspominała siostra Giovanna Negri i dodawała: „Uczyła się, aby tylko zdać, ale była zawsze uśmiechnięta i bardzo uczynna”. Sonia demonstrowała już

wtedy zaletę, która w przyszłości miała się okazać bardzo dla niej ważna: była koncyliacyjna. „Z niebywałym talentem potrafiła pogodzić dwie kłócące się koleżanki albo zaprowadzić zgodę w grupie i nakłonić ją, by wspólnie wykonała jakieś zadanie. Od dzieciństwa była dziewczynką bardzo spokojną, być może z powodu problemu, który sprawił, że dojrzała przed czasem...” Problemem, do którego nawiązywała siostra Giovanna, była astma. Wspominała, że ataki kaszlu bywały tak intensywne, że opiekunki musiały umieścić Sonię w osobnym pokoju. Była jedyną uczennicą internatu, która spała sama, i to przy otwartych oknach nawet w zimie, mimo lodowatego wiatru napływającego znad Alp. Internat liczący dwieście uczennic był usytuowany na wzgórzu dominującym nad miastem. Wieże średniowiecznych kościołów wylaniały się z mozaiki starych dachów, na drugim zaś brzegu rzeki wznosiła się wielka skalista góra o szczycie zazwyczaj pokrytym śniegiem. Kiedy ataki kaszlu ustępowały, Sonia, schowana pod puchową pierzyną, spoglądała na tę górę, połyskującą refleksami światła miasta, i przypominała sobie rodzinną Lusianę.

Sonia nauczyła się jeździć na nartach jak wszyscy Piemontczycy, dla których narciarstwo jest królową sportu. Nigdy jednak nie stała się wielką miłośniczką narciarstwa ani żadnej innej dyscypliny, ponieważ obawiała się, że nadmierne ćwiczenia wywołają kolejny atak astmy. Rekompensatą stała się lektura, pasja czytania, która przetrwała przez całe życie. Początkowo, zgodnie z rygiem katolickich kolegów, studiowała żywoty świętych. Podobały jej się przede wszystkim historie misjonarzy, którzy poświęcali się dla biednych w odległych krajach. Życie misjonarki wydawało jej się heroiczne, pełne sensu i ekscytujące, bo niepozbawione przygód. Zakonnice z internatu regularnie wyświetlały filmy opowiadające o niezwykłych czynach chrześcijańskich

bohaterów. Szczególnie emocjonalnie Sonia odebrała film o życiu świętego Franciszka z Asyżu. Wszakże książki dostarczały przyjemności trwającej znacznie dłużej niż filmowy seans. Można było do nich wciąż powracać, a jednocześnie przy nich odpoczywać, ucząc się z doświadczeń i przemyśleń bohaterów. Lektura otworzyła jej bramy świata. Dzięki niej i odziedziczonemu po rodzicach chrześcijaństwu dorastająca Sonia rozwinęła uczucie, które zakonnice, opierając się na doskonałym opisie świętego Augustyna, nazywały amor mundi, miłość do świata.

Na lekcjach uczyła się życiorysów wielkich postaci historycznych, zasłużonych dla kraju. Poznawała filozofię i politykę Mazziniego, który przyczynił się do przekształcenia Włoch w republikę demokratyczną, czy losy Garibaldiego, idealisty i żołnierza walczącego o zjednoczenie kraju. Uczyła się o Risorgimento, ruchu narodowym powstałym w XIX wieku. O reszcie świata zakonnice uczyły niewiele. O walce o niepodległość i o powstaniu nowoczesnych Indii nie mówiono wcale. Ledwie zarysowana postać Gandhiego szybko umknęła jej z pamięci i jak większość włoskich, a nawet europejskich uczniów Sonia nie potrafiłaby powiedzieć, o kogo chodzi. Trochę lepiej znany był jej Nehru. Sylwetka tego eleganckiego mężczyzny, noszącego charakterystyczną furażerkę, mignęła jej pewnego razu w wieczornych wiadomościach, które rodzice oglądali w telewizji, kiedy w nocnej koszuli szła do łóżka.

Sonia nie była szczególnie zainteresowana historią i polityką, zresztą podobnie jak naukami ścisłymi. Od zawsze lubiła języki obce, do których wykazywała pewien talent. Ojciec zachęcił ją do nauki rosyjskiego i płacił za prywatne lekcje. Sonia rozumiała ten język i potrafiła w nim mówić, choć z czytaniem „bukw” miała kłopoty. W domu nauczyła się również francuskiego. Znajomość języków pomagała jej w

podróżowaniu, w poznawaniu innych ludzi, innych zwyczajów i innych światów, które spotykała wcześniej w żywotach misjonarzy.

Później, kiedy pożegnała internat w Giaveno i zapisała się do szkoły średniej w Turynie, jej dziecięce marzenia uległy zmianie. Dostosowały się do rzeczywistości. Zaczęło ją kusić, aby zostać stewardesą Alitalia i zarabiać na życie, podróżując po świecie. Realizacja tego pomysłu nie wymagała zresztą nadmiernego wysiłku. Kiedy zdała maturę, spełniała prawie wszystkie warunki: była młodą, niebrzydką kobietą o dobrych manierach, odpowiednim wzroście, znającą rosyjski i francuski. Prawie wszystkie... oprócz biegłej znajomości angielskiego.

- Tato, chciałabym pojechać do Anglii, aby nauczyć się dobrze angielskiego...

- Nie ma mowy.

Pomysł, żeby córka wiodła życie w samolotach i hotelach, nie podobał się Stefanowi i w ogóle nie wydawał mu się czymś poważnym. Jeśli chce się uczyć angielskiego, to opłaci jej lekcje w jakiejś akademii, nie musi z tego powodu wyjeżdżać z domu. Czyż nie nauczyła się rosyjskiego na prywatnych lekcjach? Czyż nie nauczyła się francuskiego, wcale nie wyjeżdżając do Francji? Sonia, dobrze znająca upór ojca, unikała z nim konfrontacji, ale w głębi duszy była równie uparta jak on, zwłaszcza gdy była do czegoś przekonana. Jaki ród, taki płód.

Najpierw zdobyła wsparcie matki. Kiedy kończyła naukę, od czasu do czasu pracowała w Fieratorino, instytucji zajmującej się organizowaniem kongresów i targów przemysłowych, takich jak słynny Salon Samochodowy. Sonia zrobiła pierwsze kroki jako hostessa, a nawet jako tłumaczka rosyjskiego na turnieju golfa. Lubiła kontakt z różnymi ludźmi. Była ciekawa nie tylko języków, jakimi mówili. W nie

mniejszym stopniu pragnęła także poznawać ich kulturę i mentalność. Świat był zdecydowanie większy niż małe Orbassano, a takie zajęcia poszerzały horyzonty. Stopniowo marzenie o zostaniu stewardesą zamieniło się w chęć zostania nauczycielką języków, a nawet tłumaczką w jakiejś organizacji międzynarodowej w rodzaju ONZ.

Jak przystało na rasowego górala, Stefano był autorytatywny i surowy, ale nie na tyle uparty, by nie zdawać sobie sprawy z potrzeb swoich córek. Dręczył go dylemat wspólny dla ludzi jego pokolenia: z jednej strony chciał mieć córki pod kontrolą i kształcić je w tradycyjny sposób (dziewczynki mogły robić pewne rzeczy; chłopcy natomiast wszystko to, co chcieli), z drugiej widział, że czasy się zmieniają i że już nie chodzi tylko o to, żeby dziewczęta znalazły mężów. Nawet byłoby lepiej, gdyby osiągnęły niezależność ekonomiczną, nie musiały żyć podporządkowane mężczyznom. Dlatego pod naciskiem żony, która uparcie dążyła do tego, by córki miały zawód, ostatecznie zmienił zdanie i zgodził się pokryć koszty podróży Soni oraz jej studiów w Anglii. Nie był tylko gotowy na to, by jego córka wyjechała jako au pair i mieszkała u jakiejś angielskiej rodziny. Wybór padł na Cambridge, kolebkę jednego z najbardziej prestiżowych uniwersytetów i siedzibę znakomitych college'ów. Dla dziewczyny w wieku Soni szczególnie ważne było dobre środowisko... Podziękowała ojcu, serdecznie go obejmując i całując, jak wtedy, gdy była mała, a on laskotał ją wąsami.

Siódmego stycznia 1965 roku pożegnała się z siostrami i dała szturchańca Stalinowi, staremu psu, który był jej towarzyszem zabaw przez całe dzieciństwo. Rodzice odprowadzili ją aż na lotnisko w Mediolanie. Poranna mgła ustąpiła, dzień był słoneczny i chłodny. Sonia była rozdarta między podekscytowaniem samodzielną podróżą a strachem

przed nieznanym. Miała osiemnaście lat i całe życie przed sobą. Życie, którego nawet w najśmielszych snach nie mogłaby sobie wtedy wyobrazić.

„Dla nich zawsze wszystko co najlepsze...” Stefano nigdy nie oszczędzał na córkach. Położona przy ładnej ulicy, nieco oddalona od centrum Lennox Cook School była jedną z najlepszych i najdroższych szkół językowych w Cambridge. Szczyciła się tym, że wśród jej wykładowców literatury był sławny pisarz E.M. Forster, aczkolwiek w owych latach już mocno leciwy i rzadko pojawiający się na zajęciach. W ramach czesnego szkoła zobowiązywała się wyszukać dla każdego studenta, który sobie tego życzył, lokum u jakiejś angielskiej rodziny.

W porównaniu z Turynem klimat Cambridge wydał się Soni deprymujący: wilgoć przenikała aż do kości, cały czas była mżawka, a ciemność zapadała o czwartej po południu. Przejmujący chłód panował także z tego powodu, że przez większą część dnia grzejniki w domu były, z oszczędności, wyłączone. Ku swemu zdziwieniu Sonia stwierdziła, że grzejnik w jej pokoju działa tylko po wrzuceniu monety. Myślała, że mieszkanie u angielskiej rodziny nie będzie się różniło od pobytu we włoskim domu, gdzie wszystkim się dzielono. Ale wyszło na to, że nie zna miejscowych zwyczajów. Przyjmowanie lokatora było jeszcze jednym biznesem, i to dobrze skalkulowanym. Odkryła przerażona, że musi płacić za każdym razem, gdy chce wziąć kąpiel, i że zachowanie poziomu codziennej higieny, do którego była przyzwyczajona, będzie ją sporo kosztować. Ale najgorsze były posiłki. Nigdy nie jadła gotowanej kapusty, mięsa z marmoladą ani placków ziemniaczanych z dodatkiem... ziemniaków. Obudzić się rano i znaleźć się naprzeciw przypieczonej białej fasoli w sosie pomidorowym... to odbierało jej resztkę apetytu. A potrawa z miękkiego i klejącego się spaghetti, którą podano jej pewnego dnia, wydawała się początkowo żartem w złym guście, choć

zobaczywszy, że pozostali z rozkoszą wbijają w nią zęby, Sonia zdała sobie sprawę, że w tym dziwnym kraju po prostu tak się jada. Do tego dochodziły trudności z wysławianiem: nie była zdolna do podtrzymania płynnej konwersacji z rodziną gospodarzy. W rzeczywistości znała angielski gorzej, niż to sobie wyobrażała.

Na początku myślała, że nigdy się nie przyzwyczai. Nieśmiałość stanowiła przeszkodę w nawiązaniu kontaktów. Sonia unikała spotkań z innymi Włochami, ponieważ przyjechała tu, żeby studiować, a nie żeby się bawić. Pierwsze dni poświęciła na poznawanie miasta. Gotycki kościół King's College i rzeka pełna płaskodennych łodzi z turystami to początkowo były jej dwa ulubione miejsca. Takich interesujących miejsc było jednak znacznie więcej, na przykład kaplica Trinity College z rzeźbami i tablicami ku czci wybitnych postaci, które tu studiowały lub prowadziły badania naukowe: Izaaka Newtona, lorda Byrona czy samego Nehru. Był tu także „most matematyczny”, pierwszy w świecie most wzniesiony według projektu opartego na matematycznej analizie sił działających na konstrukcję... Nie wydawało jej się dziwne, że Cambridge uznawano za jedno z najpiękniejszych miast Anglii, ale w samotności było to marną pociechą. Po wyjściu z zajęć zazwyczaj spacerowała ulicami centrum. Od czasu do czasu wchodziła do jednej z licznych księgarni, zwłaszcza tych z prasą zagraniczną, aby przejrzeć jakieś włoskie czasopismo czy gazetę. Ten ulotny kontakt z krajem działał jak balsam. Odczuwała taką tęsknotę za rodziną, że gdy wracała do swego lodowatego pokoju, całkowicie upadała na duchu. Po diabła zachciało jej się przyjechać na studia w takie miejsce? - pytała samą siebie, kiedy trzymając w ustach inhalator, mocno wdychała powietrze.

Jednak gdy się ma osiemnaście lat, to nawet mimo wielkiej nieśmiałości nie sposób w takim miejscu jak Cambridge, gdzie co piąty mieszkaniec jest studentem, nie nawiązać przyjaźni.

Studenci reprezentowali wszelkie narodowości i w czasie wolnym zajmowali się wszelkimi typami działalności, od sportu po teatr, od słuchania muzyki na żywo po pikniki w ogrodach Orchard Tea, położonych w idyllicznej okolicy, które wydawały się żywcem wyjęte z powieści Thomasa Hardy'ego i w których znajdowała się kawiarnia serwująca pyszny sernik. To młodzi nadawali miastu Cambridge ów słynny kosmopolityczny klimat, radosny i jednocześnie interesujący. Wielu tu było cudzoziemców takich jak Sonia, pozbawionych rodziny i przyjaciół. Potrzebowali siebie nawzajem.

Najpierw pewien chłopak zaprosił ją do restauracji, gdzie podawano przyzwoite jedzenie. Wysoki, przystojny, o intensywnie błękitnych oczach i łobuzerskim spojrzeniu, Christian von Stieglitz studiował prawo międzynarodowe w Christ's College. Pół Anglik, pół Niemiec, znał kilka języków, odczuwał jednak predylekcję do włoskiego i francuskiego, a także do Włoszek i Francuzek. Nie było lepszego sposobu połączenia przyjemnego z pożytecznym, niż pojawiać się w szkołach językowych pełnych ładnych studentek! W ten sposób poznał Sonię i wkrótce ją przekonał, aby spróbowała jedyne miejsce w Cambridge, gdzie dawano dobrze zjeść. Nie było to miejsce zbyt drogie, a także zbyt odległe od szkoły. Restauracja Varsity, uchodząca za najstarszą w mieście, chełpiła się tym, że wśród jej klientów były w swych studenckich czasach osoby tak wybitne, jak książę Fajsal czy książę Edynburga. Przed dziesięcioma laty została kupiona przez pewną grecko - cypryjską rodzinę i odtąd oferowała swojej licznej klienteli, obejmującej zarówno profesorów, jak i

studentów, dania kuchni śródziemnomorskiej. Mieściła się na piętrze w starym domu o malowanej na biało ceglanej fasadzie, z dwoma dużymi oknami podzielonymi na małe kwatery. Reklamował ją dyskretny szyld z czarnymi literami. Lokal był wąski; z okien wychodzących na ulicę można było zobaczyć gmachy innej instytucji o długiej tradycji, Emmanuel College, w którym studiował sam John Harvard, a który zainspirował go do założenia w pobliżu Bostonu uniwersytetu noszącego jego imię.

Restauracja była prawdziwym objawieniem dla Soni i pociechą dla jej biednego żołądka. Z tego, co jadła od chwili przybycia do Cambridge, tutejsze jedzenie najbardziej przypominało domowe potrawy. Dlatego wkrótce stała się miłośniczką mezze, przekąsek z chleba moczonego w taramie, czyli kremie sporządzanym z jajek, ryb i cytryny, a także pieczonych na ruszcie węglowym szaszłyków czy specjalności lokalu - pieczonego jagnięcia, które rozpływało się w ustach. Ponadto podobała jej się tamtejsza atmosfera. Można było iść do Varsity i zjeść coś w pojedynkę, wcale nie czując się samotnie. Niejeden raz musiała zetknąć się z chłopcem, który wówczas lekko kulał i zawsze szedł obładowany książkami. Na uniwersytecie zajmował się badaniami kosmologicznymi, a po latach jego nazwisko poznał cały świat. Nazywał się Stephen Hawking i również był miłośnikiem Varsity.

Inny chłopak, który tu przychodził, też zyskał światową sławę, ale z innych powodów. Sonia wiele razy zwracała na niego uwagę, ponieważ zajmował, wraz z grupą swobodnie zachowujących się studentów, długi stół obok jej stołu. „Jeden z tamtych chłopców wyróżniał się wyglądem i manierami - opowiadała Sonia. - Nie był tak skandalizujący jak pozostali, bardziej opanowany, miłszy. Miał wielkie brązowe oczy i cudowny uśmiech, niewinny, a zarazem uwodzicielski”.

Kilka dni później, kiedy Sonia jadła lunch w towarzystwie koleżanki ze Szwajcarii, zobaczyła, że ów student zbliża się do ich stolika w towarzystwie jej przyjaciela z Niemiec, Christiana von Stieglitza. Po zwyczajowej wymianie pozdrowień i żartów Europejczyk powiedział do Soni:

- Przedstawiam ci mojego współlokatora. Jest z Indii i nazywa się Rajiv...

Podali sobie ręce: „W chwili gdy nasze spojrzenia spotkały się po raz pierwszy - opowiadała Sonia - poczułam, jak mi bije serce”.

Wcześniej Rajiv obserwował ją przez cały lunch, zachwycony jej pogodną urodą.

- Podoba ci się? - zapytał go Christian. - Jest Włoszką, znam ją...

- No to mnie jej przedstaw.

Niemiec zdziwił się, ponieważ Rajiv nie był ani podrywaczem, ani kobieciarzem, był raczej zdystansowany i nieśmiały. „Kiedy tylko ją zobaczyłem - opowiadał Rajiv - wiedziałem, że jest kobietą mego życia”.

Tego samego popołudnia zdecydowali się wybrać we czwórkę do Ely, miejscowości położonej dwadzieścia kilometrów od Cambridge, znanej ze wspaniałej romańskiej katedry wzniesionej w obrębie murów benedyktyńskiego klasztoru. Pojechali samochodem Christiana - starym niebieskim volkswagenem, którego dach wydawał się upstrzony śladami po ospie. Odpowiedzialnym za to był Rajiv, który pewnego dnia dwukrotnie dachował, gdy wyjechał na przejażdżkę. Jazda samochodem była jedną z jego pasji. Ponieważ studenci nie mieli pieniędzy, aby oddać wóz do warsztatu blacharskiego i lakierni, musieli wejść do samochodu i wyprostować sufit uderzeniami od wewnątrz. Poza tym „garbus” był wtedy marzeniem wszystkich studentów, którzy pragnęli mieć własny środek transportu, aby

uwolnić się od komunikacji publicznej, i zwiedzać kraj na własną rękę.

Wycieczka do Ely nie była niczym nadzwyczajnym, jednak dla Rajiva i Soni stanowiła najbardziej niezwykłą wyprawę, jaką odbyli w całym swoim życiu. Tę, której nigdy nie zapomnieli. Było bezdeszczowe popołudnie i wydawało się, że promienie słońca pieszczą omszałe mury i oświetlają czarne dachówki błyszczące od wilgoci. Ely było cudowną miejscowością, znaną z największego w Anglii zespołu nadal użytkowanych średniowiecznych budowli. Miejscem magicznym, gdzie łatwo było się zatracić między starymi domami i dawnymi ogrodami i gdzie ze szczytu wież roztaczały się wspaniałe widoki na angielskie równiny. Christian, dobrze znający Ely, pełnił rolę przewodnika i niczym mag wyjmujący króliki z kapelusza pokazywał im najładniejsze i najbardziej romantyczne zaułki. To było spokojne popołudnie, podczas którego Rajiv i Sonia mówili niewiele, dając się kołysać uczuciu, które zdawało się ich wypełniać. „Miłość Rajiva i Soni zaczęła się właśnie tam, w ogrodach katedry, i dokładnie w owej chwili. Była czymś natychmiastowym. Nigdy nie widziałem dwóch osób połączonych w ten sposób i na zawsze. Odtąd aż do jego śmierci stali się nierozłączni” - wspominał później Christian.

Czy miłość może pojawić się tak nagle, niemal zuchwale? Gdy spacerowali w cieniu starych murów katedry, Rajiv wziął ją za rękę, a Sonia nie miała siły jej cofnąć. Myślała, żeby to zrobić, ale nie zrobiła. Ten ciepły i delikatny dotyk dawał jej poczucie bezpieczeństwa i - czemu tego nie powiedzieć? - sprawiał ogromną, głęboką przyjemność. Jakby Sonia przez całe swoje życie czekała na ten kontakt. Nie mogła cofnąć ręki, choć rozum jej mówił, że powinna to zrobić.

W ciągu następnych dni usiłowała walczyć z tym uczuciem, które nagle zawładnęło jej sercem i wywoływało

pewien niepokój, ponieważ nie poddawało się kontroli. Starła się opanować, nie pozwolić na to, by strawił ją ogień, który rozpałił w niej uśmiech Rajiva. Kobiety nie powinny ulegać urokowi pierwszego mężczyzny, jaki się pojawi - tego uczone jej od wczesnego dzieciństwa. A ona uległa, choć tylko dając mu dłoń. Spacerowali, jakby byli narzeczonymi od wieków. Czyż nie należało zapanować nad sobą, ukryć swoich uczuć, wystawić pretendenta na próbę? Ale wszystko to, co jak się wydawało, należało zrobić, rozpadało się wobec tego uśmiechu, tego spojrzenia aksamitnych oczu, tego łagodnego głosu, który się załamywał, ponieważ Rajiv był niemal tak nieśmiały jak ona.

- Chcesz pójść dzisiaj wieczorem do Orchard?

- Nie, dziękuję, dziś nie - odpowiedziała ze ściśniętym gardłem, nie mogąc oderwać wzroku od jego oczu.

- Tylko na chwilę, szybko wrócimy...

Znowu odmówiła, tym razem ruchem głowy, i uśmiechnęła się, jakby nie chcąc go zniechęcić, ponieważ w głębi serca pragnęła powiedzieć „tak”. Rajiv nie nalegał, czuł się zawiedziony, nie wiedział, jaką przybrać minę ani co zrobić z rękami, niczym zawstydzone dziecko, które nie wie, jak przyjąć odmowę. Nie był typem natrętnego włoskiego amanta, raczej jego przeciwieństwem. Nie odnosił się nachalnie do dziewcząt, ale to tylko zwiększało jej zachwyty. Rajiv był pozbawiony złośliwości i wulgarności; konwersacja nie należała do jego mocnych stron. Był chłopcem poważnym, a jego uśmiech wydawał się szczery. Sonię często ogarniały wątpliwości... A jeśli chce mnie wykorzystać?

Przez pewien czas zdecydowała się nie chodzić do Varsity, aby nie ulec pokusie ponownego spotkania, ale wówczas jej życie stało się znowu tak szare jak wcześniej, bez smaku... i koloru. Czy zainteresowała się tym chłopcem, żeby nie być sama? - zadawała sobie pytanie, kiedy siedząc w

swym lodowatym pokoju, wbijała zęby w jabłko. Jak może to być prawdziwe uczucie, skoro prawie nie rozmawialiśmy? Jak można kochać kogoś, kogo się nie zna? Wszystkie te pytania krążyły w jej głowie, kiedy sama siebie starała się przekonać, że poniosła ją wyobraźnia i że tak naprawdę nic nie czuje do tego chłopca. Potem w chwilach olśnienia zdawała sobie sprawę, że on musi bardzo się od niej różnić. Był z innego kraju, i to jakiego kraju! Nie z Europy czy Stanów Zjednoczonych, tylko z odległych i egzotycznych Indii, o których niemal nic nie wiedziała... Ni mniej, ni więcej, tylko Hindus! Inna rasa, nieco oliwkowa cera, zapewne inna religia i inne obyczaje... Byłoby szaleństwem zakochać się w kimś takim! - mówiła sobie wówczas. Mało to jest historii o Hindusach czy Afrykańczykach uganianych się za Europejkami? Zdobywają je, zabierają do swoich krajów i czynią niewolnicami.

Nagle postrzegła siebie jako przelotny kaprys egzotycznego księcia albo coś w tym rodzaju. Wówczas na chwilę zapomniała o wszystkim i stała się na powrót sobą, włoską studentką zagubioną w Cambridge, wczekującą wakacji, aby wrócić do domu i skończyć z samotnością i niepewnością, które mimowolnie uczyniły z niej osobę dorosłą.

Ale wspomnienie uśmiechu Rajiva nie zniknęło. Sama chęć wymazania go z pamięci nie wystarczyła, aby serce usłuchało rozkazu. Ten uśmiech potajemnie zamieszkał w jej umyśle i uporczywie powracał, opanowując wyobraźnię. A ponieważ znacznie przyjemniej było dać się prowadzić marzeniom niż walczyć z dyktatem serca, w końcu Sonia puszczała wodze fantazji... Co ten uśmiech miał w sobie, że tak ją kusił? Czy to wyszukane maniery i forma wyrażania się dotarły do jej serca? Czy może sposób bycia egzotycznego księcia? Rajiv mówił ze znakomitym angielskim akcentem, jakby spędził całe życie w

Cambridge. Był uprzejmy i pełen nieco staroświeckiej galanterii, co wyróżniało go spośród pozostałych studentów. Christian, który znał go już od kilku miesięcy, dowiedział się, że jest on wnukiem byłego premiera Indii. Robiło to wrażenie, a przynajmniej budziło ciekawość niemal taką samą jak fakt, że Rajiv nie wspominał o tym wcześniej. Każdemu, kto go pytał, tłumaczył, że jego nazwisko nie ma żadnego związku z nazwiskiem Mahatmy Gandhiego, a jednocześnie nic nie mówił o swoim pokrewieństwie z Nehru. Właśnie w Anglii cieszył się spokojem, jaki zapewniała mu anonimowość. W ojczyźnie przez całe życie był przede wszystkim wnukiem pierwszego przywódcy niepodległych Indii, prawdziwej ikony dla milionów ludzi. Teraz, kiedy mógł być sobą, chciał z tego maksymalnie korzystać.

Choć był tym, kim był, nie miał pieniędzy na rozrywki. Chciał zaprosić Sonię do Les Fleurs du Mal, jednego z nielicznych nocnych klubów, gdzie grano muzykę na żywo, ale budżet mu na to nie pozwolił. Christiana zaskakiwała przepastna różnica, jaka dzieliła dwie duże grupy azjatyckich studentów w Cambridge - Pakistańczyków i Hindusów. Ci pierwsi zazwyczaj szastali pieniędzmi, których mieli w bród, za to wszystkim Hindusom zawsze brakowało gotówki. Powodem były restrykcje nałożone przez hinduski rząd na swoich obywateli, ograniczające zakup dewiz: wyjeżdżając, nie mogli oni wymienić więcej niż sześćset pięćdziesiąt funtów. „Urok Cambridge - wspominał Christian - polegał także na tym, że w wielkim stopniu wyrównano tutaj różnice społeczne i majątkowe”.

Nocne życie niemal nie istniało, ponieważ bramy kolegów zamykano o jedenastej. Należało więc wychodzić w ciągu dnia, a rozrywki były bardzo proste: spacer, pływanie łódką po rzece Cam, spędzanie wieczorów w digs... Gdy Rajiv po raz drugi zaproponował jej wyjście, Sonia się zgodziła.

Słuchali właśnie muzyki w jego małym studenckim pokoju, który dzielił z Christianem i który zawsze był pełny przyjaciół i nowych płyt. Tego wieczoru Sonia zyskała pewność, że Rajiv kocha ją naprawdę. Było wręcz żal patrzeć na niego, taki był zakochany i taki nieudolny w wyrażaniu swoich uczuć. Sonia łatwo dostrzegła, że został porwany tym samym co ona nurtem uczucia. Tego dnia nie wzięli rowerów, bo padał deszcz, dlatego odprowadził ją do domu na piechotę, dobry kawałek drogi, ponieważ mieszkała bliżej centrum. Byli tak pochłonięci rozmową, w której otwierał przed nią serce, że zgubili się w opustoszałym mieście. Wyznał jej, że życie w Anglii go zachwycało, pierwszy raz w życiu poczuł się wolny dopiero tutaj. Opowiadał, że w swoim domu w centrum New Delhi, gdzie jego dziadek sprawował funkcję premiera, żył od dziecka pod czujnym okiem służb bezpieczeństwa. Mówił, jak bardzo nie lubi być rozpoznawany jako syn swojej rodziny, ponieważ to krępuje jego ruchy i ogranicza mu wolność. Nigdy nie mógł się zorientować, kto jest prawdziwym przyjacielem, a kto szuka z nim kontaktu ze względu na jego związki z władzą. Wspomniał także o niezwykle przyjemnym odczuciu, jakiego doświadczył, gdy po raz pierwszy prowadził starego volkswagena Christiana i wydało mu się, że jest wolny jak nigdy dotąd. Opowiedział jej wreszcie o śmierci swego ojca przed czterema laty i o śmierci dziadka, zaledwie przed rokiem, która sprawiła mu nawet większy ból, kochał go bowiem jak drugiego ojca. „Tak - powiedziała Sonia nieśmiało - przypominam to sobie”. Skojarzyła, że w zeszłym roku telewizyjne wiadomości relacjonowały pogrzeb Nehru, uroczysty, dostojny i smutny.

Rajiv mówił jej o wszystkim, po trochu mieszając wątki. Dość chaotycznie przeplatał wspomnienia pragnieniami, tęsknoty nadziejami, radości zmartwieniami. Sonia zrozumiała, że oprócz różnicy rasy i narodowości ten chłopak

należał do świata, do którego ona nigdy nie miała wstępu i którego nawet nie знаła. Dzieliło ich nie tylko pochodzenie, lecz także sfera społeczna, w której się obracał, tak odległa od klasy średniej reprezentowanej przez młodą Włoszkę z Orbassano. Jednak chociaż dzieliło ich niemal wszystko, być może właśnie dlatego wzajemne zainteresowanie było jeszcze silniejsze. Ona symbolizowała w jego oczach wymarzone normalne życie, którego tak bardzo pragnął. Nie była Hinduską ani Angielką, nie można było jej identyfikować z żadnym znanym mu szczeblem hierarchii społecznej. Uosabiała anonimowość klasy średniej, innymi słowy - wolność, czyli to, czego najbardziej pragnął dwudziestoletni chłopak dorastający w złotej klatce.

Opowiadał jej o swojej miłości do fotografii, o ulubionych muzykach jazzowych, takich jak Stan Getz, Zoot Sims i Jimmy Smith, cenił także Beatlesów i Beethovena. Jednak jego prawdziwą pasją było latanie, fascynacja, która pochłonięła go, gdy miał czternaście lat i dziadek Nehru zabrał go na lot szybowcem: „Szum wiatru, uczucie całkowitej wolności, wrażenie, że jesteś z dala od wszystkiego... fantastyczne. To pochwyliło mnie na zawsze”. Zwłaszcza piękno latania nad równinami północnych Indii, nad krętymi rzekami, wioskami położonymi jak wyspy pośród zielonych pól i łąk, gdzie uprawiany jest najmniejszy kawałek ziemi... Ze względu na te doświadczenia stał się członkiem delhijskiego aeroklubu i zawsze kiedy powracał na wakacje, wzbijał się w powietrze szybowcem, by zapomnieć o całym świecie. Teraz miał ochotę nauczyć się pilotować samolot i zostać zawodowym pilotem.

Chłopak otwierał przed Sonią drzwi do nieznanego świata, który błyszczał jak gwiazdy na firmamencie. Był ciepły, praktyczny, a jednocześnie nieco marzycielski, przede wszystkim zaś wzbudzał zaufanie. Mówił z ogromną

naturalnością, nie udawał nikogo, ponieważ tego nie potrzebował. Był przeciwieństwem fanfaron, przeciwieństwem typowego włoskiego podrywacza, którego dobrze znała. Gdy tak szła z Rajivem, wydało jej się nagle, że te ulice nie są takie jak zawsze, że znajduje się w innym mieście, o wiele ładniejszym niż to, które znała do tej pory. To on sprawił, że marzyła, wyjął ją ze skorupy, dzięki niemu zapomniała o sobie samej i o tęsknocie, którą do tej pory odczuwała. Tej nocy, gdy odprowadził ją do domu, powiedział na swój nieco niezręczny sposób, że jest pierwszą dziewczyną, która naprawdę mu się podoba, i że ma nadzieję, że będzie tą jedyną. Powiedział to z taką prostotą, że trudno byłoby mu nie uwierzyć.

Pomimo tych cudownych chwil Sonia nadal walczyła, usiłując wyrzucić je z myśli. Ze straszliwym uporem prowadziła wewnętrzną wojnę rozumu z pragnieniem. Natłok sprzecznych emocji sprawił, iż odczuwała zawrót głowy, tak jakby znajdowała się nad przepaścią i balansowała na jej krawędzi, bojąc się upaść w otchłań. Co ja będę znaczyć w świecie tego chłopca? Co mam wspólnego z wypieszczonym dzieckiem, które słynny dziadek zabierał w podróże szybowcem? Dlaczego się w to wszystko angażuję? Sonia była dumna z tego, że potrafi mocno stąpać po ziemi. Jednak im bardziej obsesyjnie myślała o tej znajomości, im bardziej się od niej dystansowała, tym większa ogarniała ją pokusa. Faktycznie myślała o nim w dzień i w nocy, jakby stała się jego oddechem. Kiedy Rajiva nie było obok niej, szukała towarzystwa koleżanek, aby im opowiadać o jego zniewalającym uroku. Uczucie, które ją wypełniało, zachęcało też do intensywniejszej nauki angielskiego, żeby nie zgubić niuansów rozmowy z Rajivem i jego przyjaciółmi. Nie ma jak miłość sprzyjająca pilnej nauce języka! - mówiła sama do

siebie, zauważywszy ze zdziwieniem, że nagle bez trudu rozumie rozmowę, informację czy artykuł w gazecie.

Takie życie, w ciągłym przeciwstawianiu się własnym uczuciom, w nieustannym kwestionowaniu nadziei, w mnożeniu wątpliwości i obaw, było bardzo wyczerpujące. Zmęczona wahaniami prowadzącymi od euforii do melancholii, pewnego dnia, kiedy jeszcze w uszach pobrzmiwała jej muzyka Gerry'ego Mulligana słuchana w modnym pubie Sydney Street, Sonia przestała walczyć i rzuciła się w jego ramiona.

U boku Rajiva życie zyskiwało nowy, inny smak. Przejazdźki łódką, którą wiosłował, stojąc z tyłu jak prawdziwy gondolier, spaceru na tyłach college'ów, widoki na kościół Świętej Marii, które podziwiali, siedząc na murawie i jedząc sandwicze, zapach parku po deszczu.

Najbardziej błahe zdarzenia nabierały nieoczekiwanej głębi. Pewnej nocy poszli do Les Fleurs du Mal, aby posłuchać muzyki i potańczyć twista, który w owych czasach robił furorę, a z którym Sonia radziła sobie bardzo dobrze. Cambridge stał się nagle najbardziej romantycznym miastem na świecie i nie chciała już być w żadnym innym miejscu, tylko tu, aby korzystać z terażniejszości. Teraźniejszości, która polegała na codziennych spotkaniach, jeździe rowerem z jednego domu do drugiego, wyjazdach na piknik, robieniu planów na weekend... Rajiv był wielkim miłośnikiem fotografii i szybko on, jego aparat Minox i Sonia stworzyli nierozdzielne trio. Spotkał swoją doskonałą muzę i cały czas ją portretował. Romans osiągnął taką intensywność, że właściciel Varsity, Charles Antoni, powiedział, iż nigdy w życiu nie widział „pary tak zakochanej... jak z powieści”.

Teraźniejszość to także podróże volkswagenem „garbusem”, który Rajiv kupił od przyjaciela za garść funtów. Przemierzali nim angielską prowincję, odwiedzili Londyn i korzystali z wolności, która w tym momencie wydawała się nie mieć końca. Kiedy stłukła im się szyba, owinięci w koce nadal używali samochodu.

Rajiv żył jak każdy angielski student i pracował w czasie wakacji, aby zarobić dodatkowe pieniądze. Był sprzedawcą lodów, kiedy indziej dorabiał przy zbiorze owoców, ładował ciężarówki albo pomagał w piekarni na nocnej zmianie. Później wspominał: „Cambridge dało mi taki obraz świata, jakiego nigdy bym nie ujrzał, pozostawszy w Indiach”. W

Soni znalazł doskonałą partnerkę. Nie znosiła przesady i ekstrawagancji, tęskniła do tego, co już знаła, do spokojnego życia bez wstrząsów i lęków. I choć dostrzegała dzielącą ich wielką różnicę, znajdowała także punkty wspólne. Oboje byli nieśmiali i w żaden sposób nie pragnęli być skupiającymi uwagę głównymi bohaterami. Sława i splendory zupełnie ich nie interesowały, wręcz przeciwnie, chcieli od nich uciec jak najdalej. „Nie interesował ich świat zewnętrzny ani światowe życie... Cenili sobie przede wszystkim prywatność” - opowiadał Christian. Oboje mieli podobne wyobrażenie życia rodzinnego, być może dlatego, że w ich kulturach rodzina była najwyższą wartością. Rajiv nie miał ambicji politycznych, interesowała go technika i zajęcia manualne. Wyznał jej, że jeśli wstąpił do Trinity College, to wyłącznie po to, aby sprawić przyjemność dziadkowi, który tu studiował i który miał nadzieję, że jeden z jego wnuków pójdzie tą samą drogą. Ale teraz, po śmierci Nehru, Rajiv zastanawiał się poważnie, czy nie porzucić uczelni i nie poświęcić się swemu prawdziwemu powołaniu, czyli pilotowaniu samolotów. Nie wiedział tylko jeszcze, jak powiedzieć o tym matce.

W liście do Indiry, napisanym w marcu 1965 roku, półtora miesiąca po spotkaniu w Varsity, odważył się natomiast wspomnieć o Soni: „...Zawsze mnie pytasz o poznane dziewczyny i czy jest jakaś jedna, która interesuje mnie szczególnie. Więc teraz ci powiem, że poznałem bardzo szczególną dziewczynę. Jeszcze jej o to nie prosiłem, ale właśnie tę dziewczynę chciałbym poślubić”. W odpowiedzi matka przypomniała mu, że niekoniecznie pierwsza dziewczyna, którą się pozna, musi być tą najbardziej odpowiednią. Chciała przezornie utemperować miłość syna. W końcu miał tylko dwadzieścia jeden lat. Ale w swoim następnym liście Rajiv wyznał: „Jestem pewien, że się w niej zakochałem. Wiem, że to pierwsza dziewczyna, z jaką się

umawiam, ale skąd ma się wiedzieć, czy pozna się inną, która będzie lepsza?" W odpowiedzi Indira poinformowała syna, że przyjęła swoje pierwsze publiczne stanowisko - ministra informacji w indyjskim rządzie - i że zrobiła to trochę niechętnie, ale co się stało, to się stało. A jako minister miała zamiar jechać pod koniec roku z oficjalną wizytą do Londynu i chciała wykorzystać tę sposobność, by poznać jego dziewczynę. Sonia odebrała tę wiadomość ze ściśniętym żołądkiem. Zupełnie nie była w stanie zebrać się na odwagę i powiadomić własnej rodziny. Nie chciała sobie nawet wyobrażać reakcji ojca.

Wiadomość o przybyciu Indiry sprawiła, że przez chwilę zapomniiała o terażniejszości. Nagle ujrzała ciężkie chmury na horyzoncie ich szczęścia. Powróciły lęki i sama siebie pytała, jaką przyszłość ma ich związek. Był zbyt piękny, aby trwać. Nie wątpiła już w swoje uczucia, przeciwnie - szalała za Rajivem, nigdy wcześniej nie doznała podobnego uniesienia, ale intuicyjnie czuła, że tak ogromna różnica pochodzenia zaszkodzi w końcu ich związkowi, a może nawet całkowicie go zrujnuje. Niewiele wiedziała o Indiach; przyjaciel opisał je jako kraj odległy i ogromny, zamieszkały przez zaklinaczy węży i słonie, sparaliżowany biedą i zacofaniem. Kraj, w którym brakowało podstawowych wygód, pokarany bezlitosnym klimatem, brudny, gdzie swobodnie panoszą się krowy, bardziej szanowane niż członkowie najniższych kast, w sumie - kraj trudny i pasjonujący... dla antropologa lub jogina, lecz nie dla dziewczyny, która chce pracować w międzynarodowej instytucji i wieść bezproblemowe życie rodzinne. Jak wpasować Rajiva w ten obrazek? Rodzina Nehru, tłumaczył jej przyjaciel, który sam również nie był zbyt dobrze poinformowany, wywodzi się z arystokracji Kaszmiru. W pewien sposób panuje nad społeczeństwem swojego kraju, a nawet do jakiegoś stopnia kontroluje

światową politykę... W porównaniu z nimi kim jest rodzina Maino? - myślała Sonia. Paesani - odpowiadała sama sobie. Co mogła dać Rajivowi córka skromnego przedsiębiorcy budowlanego z włoskiej prowincji? Była pewna, że matka Rajiva zadaje sobie te same pytania, i to wywoływało w niej wielki niepokój. Sonia była świadoma, że ich rodziny „nie mogły być bardziej różne”, jak sama powiadała. Również nie potrafiła sobie wyobrazić, w jaki sposób powie swojemu ojcu, że zakochała się w mężczyźnie o oliwkowej cerze, że jest on Hindusem, a ponadto wyznaje, przynajmniej oficjalnie, religię hinduistyczną. Nie, tej pigułki pocziwy Stefano Maino nie przełknie z przyjemnością, żeby nie wiem jakim premierem był dziadek wybrańca.

Introwertyczna natura sprawiała, że swoimi obawami Sonia nie mogła podzielić się z Rajivem. Nie chciała zakłócać szczęścia, które mogło być tak kruche jak najcieńsze szkło. Była w stosunku do niego pełna słodyczy i rezerwy, spoglądając nań oczami pełnymi pytań. Chociaż pochodził z Indii, w gestach i sposobie mówienia przypominał Anglika. Był dystyngowany, a zarazem zachowywał się ze zdumiewającą prostotą. Sonia w rzeczywistości doświadczała dziwnej i ostatecznej przemiany, zbliżając się do ślepej, całkowitej akceptacji tego, co z powodu Rajiva lub dzięki niemu mogło wydarzyć się w przyszłości. Czuła, że o wszystkim zadecydowało wcześniej przeznaczenie, być może zanim jeszcze się urodziła.

Pewnego weekendu Sonia poznała Sanjaya, jedynego brata Rajiva, dwa lata młodszego, który przebywał na szkoleniu w zakładach Rolls - Royce'a w Crewe, oddalonym o trzy godziny jazdy, i od czasu do czasu przyjeżdżał do Cambridge, aby się rozerwać. Równie przystojny jak brat, ale w inny sposób atrakcyjny, Sanjay miał owalną twarz, grube i zmysłowe wargi oraz początki łysiny. Tak jak Rajiv odznaczał

się nienagannymi manierami i mówił łagodnym głosem z doskonałym angielskim akcentem. Obaj byli powściągliwi w swoich zwyczajach. Sanjay jadał mało, za to dużo mówił o polityce, fascynowały go parties. Rajiv nie palił ani nie pił, nie interesował się polityką, raczej gardził tym światem i wolał spokojną kolację z przyjaciółmi niż hałaśliwe imprezy. Sanjay był bardziej oziębły niż brat, nie emanował tym kojącym ciepłem dobroci, które dawało Soni taką pewność. Także ich spojrzenia były inne. Rajiv patrzył tak, jakby pieścił cię migdałowymi oczami. Jego brat, przeciwnie, miał spojrzenie zdystansowane, nieco zuchwałe, i w odróżnieniu do brata wydawał się bardzo dumny z tego, kim jest.

Był to cudowny rok, być może najszcześniejszy w ich życiu, jeśli przez szczęście rozumie się całkowity brak zmartwień i problemów. Ale zajęcia dobiegały końca, a letnie wakacje miały przerwać idyllę w Cambridge.

W lipcu 1965 roku Rajiv i Sonia rozstali się po raz pierwszy. Sonia wróciła do Włoch. Kilka miesięcy wcześniej wyjechała jako panienka, teraz wracała jako kobieta, z ugruntowanym przekonaniem, że chce spędzić życie z Rajivem. Było to pożegnanie szczęśliwe i niespokojne zarazem, bo choć nie wątpili, że znowu się spotkają, Sonia obawiała się reakcji rodziców. Niezbyt pewnie spoglądała w najbliższą przyszłość.

Kiedy podjęła pracę tłumaczki na targach w Turynie, przepełniła ją satysfakcja, gdyż zdała sobie sprawę, że bardzo poprawiła swój angielski. Jaka różnica, jaka swoboda... Przynajmniej signor Maino nie zmarnotrawił pieniędzy. Była to dobra wiadomość dla rodziców. Tej drugiej, naprawdę ważnej, nie zdołała wypowiedzieć. Choć wiele razy próbowała w myślach, to ostatecznie jakoś jej to nie wychodziło. „Chcę wam powiedzieć, że jestem zakochana w pewnym chłopcu... Nie, tak nie, to śmieszne! - mówiła sobie i próbowała inaczej:

- Poznałam kogoś bardzo wyjątkowego i chcę go poślubić... Ale jak mam im to powiedzieć?" - znowu pytała siebie zrozpaczona. Kiedy zbliżał się moment zmierzenia się z tym zadaniem, była wprost sparaliżowana. „Choć byliśmy bardzo zżytą rodziną - napisała później - oni byli szalenie tradycyjni, zwłaszcza ojciec, który był patriarchą w starym stylu.

W tego typu rodzinach kontakty między chłopcami i dziewczynami były ściśle kontrolowane i nadzorowane".

Rajiv nie rozumiał, dlaczego Sonia tak się wzbrania przed rozmową z rodzicami. Ona starała się to wytłumaczyć. Jak nagle ma im powiedzieć, że przez wszystkie te miesiące przeżywała gwałtowną miłość, o niczym ich nie informując? Nie wiedziała, jak przełamać pierwsze lody. „Nie wydaje się zdolna im tego powiedzieć - pisał Rajiv do matki. - Nie potrafię tego zrozumieć. Musi być w tym coś szczególnego. Robi tylko to, co jej każe ojciec". Jasne, że Rajiv nie znał Stefana Maino, nigdy nie widział jego zacerwienionej twarzy, surowych rysów górala, nigdy nie słyszał jego chrapliwego głosu ani stanowczego tonu, kiedy coś mu się nie podobało.

„Zabrało mi dużo czasu, aby zebrać się na odwagę i powiedzieć rodzicom o uczuciu do tego chłopaka, który dla nich był nie tylko obcym, ale i cudzoziemcem". Okazja nadarzyła się po ślubie Piera Luigiego, właściciela baru - trafiki przy via Frejus. Pier Luigi, który widział, jak Sonia dorastała, chciał, aby została jego świadkiem. Latem było to wielkie wydarzenie w dzielnicy. Zabawa z muzyką i piciem w barze, gdzie tłoczono się jak podczas dorocznego spotkania sąsiadów wspólnie oglądających w telewizji festiwal w San Remo.

- Jestem zakochana, kocham go - powiedziała im, kiedy już wyjaśniła, kim jest chłopak i jak się poznali.

- Ile, mówisz, ma lat?

- Dwadzieścia jeden...
- Jest zbyt młody - wtrąciła się matka.
- A do tego jest z daleka - dodał ojciec.

Tak jak to sobie wyobrażała, rodzice nie okazali najmniejszego entuzjazmu. Zareagowali całkowitym lekceważeniem, jakby ich córka doznała przejściowego amoku. Nic w tym związku nie mogło im się podobać: chłopak zaledwie dwa lata starszy od Soni, cudzoziemiec, ale nie Anglik czy choćby Francuz. Pochodził z kraju, który pojawiał się w wiadomościach z powodu kataklizmów. Był terrone, jak Włosi z Północy nazywali imigrantów z Południa. I miał jeszcze jeden istotny defekt: nie był katolikiem. Według nich Sonia, zgnębiona niepewnością, samotna podczas pierwszego pobytu za granicą, wpadła w ramiona pierwszego z brzegu. - Przejdzie jej...

Ale nie przechodziło. Nawet listonosz żartował, że teraz przynosi trzy listy dziennie, wszystkie opieczutowane w Anglii i wszystkie dla Soni. „Dziecina” spędzała długie godziny w swoim pokoju, odpowiadając na obfitą korespondencję albo niespokojnie czekając na rozmowę telefoniczną. Wkrótce siostry zrozumiały, że Sonia jest naprawdę zakochana. „Przejdzie jej” rodziców ustąpiło miejsca pytaniu Anushki i Nadii: „A jeśli to na poważnie?” Postawę matki złagodziła jedynie wiadomość, że chłopak pochodzi z „dobrej rodziny”. Przynajmniej na coś się zdało wysłanie córki do najdroższej szkoły w Cambridge! Że jest wnukiem Nehru i że jego matka Indira jest członkiem rządu, nie robiło wrażenia na Stefanie, ale Paola, owszem, była na to wrażliwa. I siostry również. Już widziały siebie jadące na grzbietach słoni przez ogrody jakiegoś indyjskiego pałacu. Dla nich miłość Soni miała w sobie coś z baśni: egzotyczny księżę zakochał się w ich siostrze... Ekscytujące.

Powodem sporu okazał się powrót do Cambridge. Ojciec nie chciał, żeby wracała. Jego zdaniem angielski znała już wystarczająco. Tak naprawdę chciał zawczasu przerwać idyllę córki. Ale Sonia była zdecydowana zdobyć tytuł profiency in English, a do tego potrzebowała jeszcze jednego roku nauki. Jak zawsze wpływ Paoli okazał się decydujący. Mainowie doskonale wiedzieli, że córka chce wrócić przede wszystkim dlatego, że jest zakochana, lecz Paola nalegała na sfinalizowanie studiów. Sonia była uparta. Oświadczyła rodzicom, że jeśli nie chcą jej pomóc, postąpi tak jak wiele innych dziewcząt uczących się tam angielskiego: poszuka sobie pracy i będzie niezależna. Nikt nie lubi konfrontacji z rodziną, a już Soni zupełnie to nie odpowiadało, ponieważ nie leżało w jej łagodnym charakterze. Ale niosła ją miłość.

Rodzice w końcu się zgodzili. Uznali, że przeciwstawianie się miłości córki jedynie pogorszy sprawę. Niech więc wraca do Anglii, przynajmniej zyska tytuł - myśleli. Byli pewni, że historia miłosna, będąca ekstrawagancją, nie wytrzyma próby czasu... Pozostało im tylko przestrzegać, żeby uważała, w co się pakuje, i żeby się nie śpieszyła.

Sonia tak bardzo szanowała tradycję rodzinną i tak nie lubiła sporów, że przyrzekła im, iż o wszystkim będzie ich informować na bieżąco. Zaraz po powrocie do Cambridge napisała rodzicom, że niebawem przybędzie Indira, która pragnie ją poznać. Rajiv, który chciał nawiązać kontakt z państwem Maino, skorzystał z okazji i wysłał do nich list, prosząc o zgodę na spotkanie ich córki z Indirą Gandhi. List był bardzo formalny i pełen szacunku, co zdumiało Mainów, ale cóż mogli zrobić, nie wyrazić zgody? Stefano początkowo zamierzał tak odpowiedzieć, ale żona przekonała go, aby udzielił pozwolenia.

Była zima, szosa błyszczała od deszczu. Przyjechali do City nadwyrężonym volkswagenem Rajiva, kiedy Sonię dopadł atak paniki. Nagle perspektywa wejścia do indyjskiej ambasady i spotkania w nieznanym otoczeniu z matką ukochanego przeraziła ją i sparaliżowała. „Co ja mam tam robić?” - nagle wyszeptała. Setki pytań, niektóre poważne, inne trywialne, przelatywały jej przez głowę. Jak się do niej zwracać? Czy jestem odpowiednio ubrana? Co jej powiedzieć? A jeśli mnie zlekceważy? A jeśli będzie w stosunku do mnie agresywna?

- Nie gadaj głupstw - powtarzał Rajiv.

Nagle Soni zawałił się świat. Wydało jej się, że miesiące spędzone w towarzystwie Rajiva były tylko fantomem, który właśnie się rozwiewa. „Sądzę, że nie jestem gotowa na spotkanie z twoją matką”. Ponadto oznaczało ono jeszcze większe zaangażowanie, a jak mogła do tego dopuścić, skoro jej rodzice byli tak niechętni idylli.

- Przecież są na bieżąco informowani, przecież twój ojciec się zgodził... Teraz się wycofujesz?

Rajiv niczego nie rozumiał. Sonia była przestraszona. Myślała, że być może ojciec miał rację i że nadszedł moment, aby nacisnąć na hamulec, uspokoić się, zacząć się wycofywać...

- Soniu, umówiliśmy się, czekają na nas...

- Przepraszam, nie pójdę, nie mogę.

Sonia straciła panowanie nad sobą. Wysiłki Rajiva, który próbował ją uspokoić, nie odniosły rezultatu. W końcu musiał wymyślić jakąś wymówkę, zadzwonić do matki i odwołać spotkanie.

Przełożyli je o kilka dni, aby Sonia mogła trochę dojść do siebie. Tym razem przyrzekła sama sobie, że będzie się dobrze zachowywać, ale nadal był to dla niej problem trudny do

rozwiązania. Drżały jej nogi, kiedy wspinała się po schodach rezydencji ambasadora Indii, gdzie zamieszkała Indira wraz ze swą serdeczną przyjaciółką Pupul Jayakar, która pomogła jej zorganizować wystawę poświęconą Nehru. Obie panie były jeszcze nieco podekscytowane, ponieważ poprzedniego dnia, po wieczorze poezji Allena Ginsberga i innych poetów pokolenia bitników, jeszcze o pierwszej w nocy jadły tapas w hiszpańskiej restauracji i oglądały taniec flamenco. Po powrocie spotkały się z bardzo przejętym ambasadorem, niemal gotowym dzwonić na policję z obawy, że coś im się stało.

Indira przyjęła ich w swoim pokoju, lekko pachnącym kadzidłem. Sonia znalazła się przed kobietą o subtelnym wyglądzie, owiniętą w eleganckie jedwabne sari. W jej ciemnych, migdałowych oczach rozpoznała oczy Rajiva. Gęste włosy były zebrane w kok z widocznym na czole siwym kosmykiem, mimo zaledwie czterdziestu czterech lat. Ten kosmyk stał się znakiem rozpoznawczym Indiry i dodawał jej wytworności. Miała zachwycający uśmiech, delikatne maniery, wydatny nos; cienie pod oczami starała się tuszować makijażem. Jak zwierzyła się Pupul, tak naprawdę wolałaby sobie nos zoperować.

„Znalazłam się przed całkowicie normalną ludzką istotą - opowiadała Sonia - przed kobietą ciepłą i serdeczną. Zrobiła wszystko co możliwe, żebym się dobrze czuła. Rozmawiała ze mną po francusku, kiedy zauważyła, że lepiej znam ten język niż angielski. Chciała się czegoś dowiedzieć o mnie i moich studiach". Rajiv musiał coś matce wspomnieć o wcześniejszej panice, ponieważ powiedziała Soni, że sama „również była młoda, strasznie nieśmiała i zakochana i że doskonale ją rozumie”.

Uspokojona Sonia cieszyła się tym pierwszym spotkaniem, które zakończyło się w najbardziej rodzinny

sposób. Młodzi mieli niebawem uczestniczyć w święcie studenckim i Sonia poprosiła, czy może przebrać się w jednym z pokojów ambasady. Jednak kiedy wychodziła, potknęła się i obcasem podarła rąbek swojej wieczorowej kreacji. „Matka Rajiva - opowiadała - wzięła igłę i czarną nitkę i w swoim powolnym stylu, który później obserwowałam z bliska, zaczęła zszywać rąbek. Czyż dokładnie nie to samo zrobiłaby moja matka? Wszystkie moje wątpliwości zniknęły, przynajmniej w tamtej chwili”.

Między tymi dwiema kobietami, tak różniącymi się od siebie we wszystkim z wyjątkiem miłości do Rajiva, nawiązała się nić sympatii. Indira nie powiedziała tego synowi, ale pomyślała, że któregoś dnia będzie miała synową cudzoziemkę, nieco ją zaskoczył. Teraz, gdy ją poznała, poprzednia rezerwa zniknęła: „Prócz tego, że ładna - napisała do Dorothy Norman, serdecznej przyjaciółki ze Stanów Zjednoczonych - ta dziewczyna jest szczerą, niezepsuta i bezpośrednią”.

Dorothy bardzo ucieszyły te wieści. Wydawało się, że Indira wreszcie wychodzi z głębokiego egzystencjalnego załamania, w który popadła po śmierci męża Feroza przed czterema laty i po niedawnej śmierci ojca. Najpierw wdowa, potem sierota. Na dodatek, została sama, ponieważ obaj synowie przebywali za granicą. W dniu, w którym Rajiv wyjechał do Cambridge, napisała do Dorothy: „Jest mi smutno. To chwila bolesna dla matki, gdy syn staje się mężczyzną. Wie, że już od niej nie zależy i że odtąd będzie wiódł własne życie. I choć czasami będzie mogła zajrzeć w to życie, zawsze już będzie to robiła z zewnątrz, z dystansu pokolenia. Moje serce cierpi”.

Wiele kosztowało Indirę podźwignięcie się po stracie ojca, który zmarł w gorące popołudnie dwudziestego siódmego maja 1964 roku. W ciągu ostatnich dni nie zostawiła go

samego nawet na sekundę, zawsze czujna i wrażliwa na wszystkie jego potrzeby, podająca leki, nadzorująca dietę, odkładająca wizyty. Na ostatnim wspólnym zdjęciu, na którym siedzi przykucnięta u jego boku, na jej twarzy malują się głęboki smutek i wielka czułość. Ostatnie lata spędziła wręcz „przyklepiona” do niego, organizowała mu rozkład dnia, koordynowała wizyty zagranicznych polityków, takich jak szach Iranu, król Saud, Ho Chi Minh czy Chruszczow. Stała się głównym kanałem komunikacji między nim a jego ministrami. Sam Nehru, gdy został premierem niepodległych Indii w 1947 roku, prosił, by przyjęła na siebie rolę pierwszej damy, ponieważ jego żona zmarła ponad dziesięć lat wcześniej i potrzebował kogoś zaufanego, kto potrafiłby poprowadzić dom. Indira zgodziła się, najpierw z rezerwą, a później z prawdziwym oddaniem. Robiła to nie tylko dlatego, że była posłuszną hinduską córką, ale też dlatego, że jej małżeństwo uległo rozpadowi. Miała dość zdrad Feroza. Ponieważ od pewnego czasu żyli faktycznie w separacji, zamieszkała z synami w Teen Murti, pięknej rezydencji premiera Indii położonej w centrum New Delhi. Pierwszą rzeczą, jaką tam zrobiła, było usunięcie kolekcji bohaterów imperium i wysłanie jej do Ministerstwa Obrony. Zastąpiła ją indyjskim rzemiosłem, a grube francuskie zasłony zamieniła na firanki z surowej bawełny, tkaniny, którą kądziel Gandhiego uczyniła symbolem autarchii. Zadbła również o wystrój pokoju ojca, z niskim łóżkiem otoczonym książkami i jego ulubionymi fotografiami. Pewnego dnia wyznała, że chętnie zostałaby dekoratorką wnętrz, ale los wyznaczył jej zupełnie inną rolę.

O ile wraz ze śmiercią Nehru świat utracił bezdyskusyjnego lidera ruchu krajów niezaangażowanych, które obejmowały ponad połowę światowej populacji, Indie zaś pozostały bez premiera i wielkiego przywódcy, symbolu

walki o wolność, o tyle Indira poczuła pustkę, jakby wpadła w głąb ogromnego krateru, który powstał po wybuchu bomby zrównującej z ziemią wszystko dookoła. Nehru był w jej życiu siłą dominującą, latarnią morską kierującą jej krokami, teraźniejszością i przyszłością. Być może ta miłość do ojca wynikała z wielkiej tęsknoty obudzonej w dzieciństwie, gdy ze względu na działalność polityczną więcej czasu spędzał za kratami więzienia niż w domu. Lecz kiedy wracał, jego obecność wypełniała radością dom rodzinny Anand Bhawan w Allahabadzie. Już wtedy był żywą legendą, zawsze spokojny pomimo napięć panujących w jego otoczeniu. Twarz Nehru wydawała się rzeźbiona dłutem, miał nieśmiałość, a zarazem badawcze spojrzenie, szczerzy i naturalny uśmiech, był przystojny i elegancki, co podkreślała róża, którą nosił w dziurce trzeciego guzika swojego serwani. Jego wielka kultura, wyostrzone poczucie humoru i zdolności oratorskie zyskiwały mu sympatię wszędzie tam, gdzie się znalazł. Roztaczając swój pełen wdzięku majestat, z równą łatwością porozumiewał się w salonach społecznej elity, jak i w więzieniach. Do jego rozmówców należeli nie tylko profesorowie Cambridge, szefowie rządów, wicekrólowie czy nawet sam król Zjednoczonego Królestwa, lecz także dozorczy więzienni i wodzowie afgańskich plemion.

Odkąd w wieku trzynastu lat ojciec, wielki Motilal, pozostawił go samego w angielskim internacie, Nehru przez siedem lat studiował nauki polityczne i interesował się najnowszymi wynalazkami technicznymi. Powrócił z Anglii w 1912 roku, ukształtowany jak brytyjski dżentelmen. Zaczął pracować w kancelarii adwokackiej ojca, który z wielkim zadowoleniem uznał umiejętności syna za niezwykle użyteczne. Resztę czasu Nehru dzielił między bibliotekę w Kolegium Adwokatów i klub - instytucję, której nie mogło zabraknąć w kolonialnych Indiach. Spędzał długie godziny w

przeładowanych zwykle salach, siedząc w skórzanym fotelu Chester i dyskutując na tematy prawnicze ze starymi członkami brytyjskiej administracji. To nudne życie, zdaniem samego Nehru, zmieniło się w wyniku pozornie nieznaczącego wydarzenia. Otóż pewnego dnia odwiedziła go grupa wieśniaków, która poprosiła o pomoc w konflikcie z właścicielem ziemskim, usiłującym za pomocą okrutnych i skutecznych metod wyrugować ich z legalnie posiadanych gruntów. Aby dokładnie zbadać sprawę, Nehru zgodził się pojechać z nimi do ich wioski. Trzydniowa podróż przekształciła bojaźliwego i zarozumiałego adwokata, który, według jego własnych słów, nie znał dotąd warunków, w jakich żyła i pracowała większość Hindusów, w świadomego rewolucjonistę. „Widząc ich biedę i ogromną wdzięczność, odczuwałem mieszaninę wstydu i bólu - pisał. - Wstydu z powodu własnego łatwego i wygodnego życia i rozpolitykowania miast, które całkowicie ignorują na wpół nagich synów i córki Indii, oraz bólu w obliczu takiej degradacji i nieznośnego ubóstwa”. (Nehru Jawaharlal, An Autobiography, Oxford University Press, New Delhi 2002)

Do tego dołączyła się informacja, że do świętego miasta Benares na brzegach Gangesu przybył Mohandas Gandhi, wówczas jeszcze nieznany adwokat, który niedawno wywołał prawdziwe poruszenie płomiennym przemówieniem z okazji otwarcia Uniwersytetu Hinduskiego, występując przeciwko nierównościom i broniąc biednych. „Pokaz klejnotów, który nam dziś prezentujecie, jest wspaniałym świętem dla oczu - mówił do audytorium złożonego z władz kolonialnych i indyjskich arystokratów - lecz kiedy go porównuję z twarzami milionów biedaków, wnioskuję, że nie będzie ratunku dla Indii, dopóki nie zdejmiecie tych klejnotów i nie złożycie ich w ręce tych biedaków”. Publiczność zareagowała oburzeniem. Książęta i dygnitarze opuścili uniwersytecki dziedziniec.

Tylko studenci z aplauzem przyjęli te słowa, które zabrzmiały w całych Indiach tak głośno, że Jawaharlal Nehru zapragnął osobiście poznać Gandhiego.

„Był jak potężny powiew świeżego powietrza - napisał potem - jak promień światła, który przecinał ciemności, jak wichur, który zmiatał wszystko, a zwłaszcza utarte drogi, jakimi chadzał ludzki umysł. Nie przybywał z góry. Wydawał się wyrastać spośród milionów Hindusów, mówił ich językiem i bezustannie poświęcał uwagę im i ich najbardziej palącym potrzebom". Siła Gandhiego znalazła wyraz w koncepcji satjagrahy, którą stworzył w 1907 roku, a której wywodząca się z sanskrytu nazwa oznaczała „uchwycenie prawdy”. Satjagraha, głosząca ideę pozbawionej przemocy potężnej energii, która może przekształcić rzeczywistość, dla indyjskich mas stanowiła alternatywę wobec strachu. Bengalski poeta i laureat literackiej Nagrody Nobla, Rabindranath Tagore, przyznał Gandhiemu sławny potem tytuł „Mahatma” - to jest „wielki duchem”.

Ale wielki duchem potrzebował wielkiego zastępcy. Stał się nim Nehru, jego przyjaciel i uczeń. Choć nie mieli ze sobą wiele wspólnego, kompilacja sił, jakie zrodziły się z tej intensywnej przyjaźni, doprowadziła do zmiany świata. Gandhi był człowiekiem wiary i religii; Nehru był racjonalistą, wyrafinowanym produktem Harrow i Cambridge, ledwie mówiącym w miejscowych indyjskich językach. Lata spędzone w Europie sprawiły, że uważał za śmieszne liczne zwyczaje współziomków, jak choćby ten, aby nie wychodzić z domu w dni uznawane za mało sprzyjające. W najbardziej religijnym kraju świata był ateuszem, który lekceważył świętych ascetów i joginów, odpowiedzialnych według niego za zacofanie, wewnętrzne podziały i dominację cudzoziemskich kolonizatorów. Gandhi, uważając go za zbyt dżentelmena, uczynił z nim to, co robił z innymi

osobami z klas wyższych, których wysyłał na wieś, aby rekrutowali nowych członków Kongresu i aby po drodze poznali prawdziwe oblicze swojego kraju, gdyż większość z nich nigdy nie widziała biedy współobywateli. Właśnie na tym polegała specyfika ruchu Gandhiego: doprowadzić do kontaktu klas wyższych z najniższymi, które dopiero dzięki temu mogły zaistnieć w oczach reszty społeczeństwa. Po raz pierwszy Indie znalazły się pod wpływem szerokiego ruchu ludowego, przeciwstawiającego się modelowi życia narzuconemu z dalekiego Londynu.

W ciągu trzydziestu lat Nehru pobudzał ludność, przemierzając Indie na piechotę, wozami zaprzęgniętymi w woły i pociągami. Jeśli jednak Gandhi marzył o Indiach wiejskich, żyjących autarkicznie, Indiach bez dyskryminacji kastowej, lecz głęboko religijnych, Nehru myślał o Indiach uwolnionych od mitów i nędzy za sprawą przemysłu, nauki i techniki. W opinii Gandhiego były to nieszczęścia ludzkości. Dla Nehru stanowiły jej wybawienie.

Różnice zdań i wizji nigdy nie doprowadziły do zerwania przyjaźni ani nie osłabiły głębokiego szacunku, jakim darzyli się nawzajem obaj mężczyźni. Byli zgodni w sprawie fundamentalnej: doprowadzenia bez przelewu krwi do powstania zjednoczonych i niepodległych Indii. Nehru był przekonany, że Gandhi oprócz tego, że był święty, był także geniuszem. Doceniał jego nadzwyczajne zdolności polityczne, jego sztukę mówienia i gestu, docierającą wprost do duszy ludu. Kiedy się spotykali, długi czas spędzali na rozmowach, wymianie poglądów, ocenianiu ostatnich osiągnięć lub niepowodzeń. Dyskutowali o strategiach, złościли się, a potem śmiali lub po prostu medytowali. Gandhi zawsze jasno twierdził, że pochodnia jego walki przejdzie pewnego dnia w ręce Nehru, i trzykrotnie wynosił go na przewodniczącego Kongresu.

Indira dorastała w atmosferze, w której nie istniała granica między życiem rodzinnym a życiem politycznym. Gandhiemu zwierzała się ze swoich dziewczęcych trosk, mówiła mu, jak bardzo tęskni za ojcem, opowiadała o swojej samotności i o swoich kompleksach, twierdząc między innymi, że jest strasznie brzydkim dzieckiem. Nehru spędził w więzieniach, z krótkimi przerwami na wolności, w sumie dziewięć lat, na czym bardzo ucierpiało życie rodzinne. Pewnego razu Indira musiała oświadczyć pewnemu odwiedzającemu dom gościowi: „Przykro mi, lecz dziadek, ojciec i matka... wszyscy przebywają w więzieniu”.

Od śmierci Nehru powracały w pamięci Indiry wspomnienia dzieciństwa, kiedy przebierała się za Joannę d'Arc i współzawodnicząc z ojcem, przemawiała do wyobrazonego tłumu: „Któregoś dnia poprowadzę mój lud ku wolności”. Także wówczas przeprowadziła swoją „pierwszą akcję polityczną”, jak nazwała później zaatakowanie angielskiego policjanta, który wtargnął do Anand Bhawan, aby zająć przedmioty i meble, ponieważ jej ojciec i dziadek jako członkowie partii odmawiali dla zasady płacenia kaucji za każdym razem, kiedy byli aresztowani.

W wieku dwunastu lat chciała wstąpić do Kongresu, ale zgodnie z regulaminem była zbyt młoda i nie została przyjęta. Zareagowała w charakterystyczny dla siebie sposób, tak jak czyniła to później w życiu: wzięła byka za rogi. Zebrała w ogrodzie domu kilkaset dzieciaków z całej dzielnicy. Zwróciła się do nich tak, jak zrobiłby to jej ojciec, i zachęciła je do walki o wyzwolenie ojczyzny pomimo niebezpieczeństw. Stworzyła w ten sposób sprawną „małpią armię” złożoną z dzieci, które wypełniały zadania wywiadowcze, naklejały plakaty, wykonywały flagi i przenikały za linie policyjne, aby przekazywać wieści dorosłym członkom partii. Armię Indiry stanowiło kilka tysięcy dzieci, niosących konkretną pomoc

uczestnikom walki. Jak czuła się szczęśliwa, kiedy ojciec okazywał, że jest z niej dumny!

Z powodu nieustannej rozłąki ich wzajemne stosunki zawsze były naznaczone cierpieniem, które złagodzić mogły jedynie listy: „Chciałbym, żebyś nauczyła się pisać i żebyś odwiedzała mnie w więzieniu. Bardzo za Tobą tęsknię” - pisał do niej Nehru, kiedy miała zaledwie sześć lat. Na jej trzynaste urodziny napisał: „Jaki prezent mogę Ci posłać z więzienia Naini? Moje prezenty nie mogą być materialne ani trwałe. Mogą być tylko zrobione z powietrza, myśli i ducha, jak te, które dałaby Ci wróżka, a których nawet wysokie mury więzienia nie zdołałaby zatrzymać”.

Przygotowując wystawę upamiętniającą Nehru, tę, na której otwarcie przybyła do Londynu, Indira zanurzyła się w tych listach - były ich setki, stanowiąc niezwykle emocjonalną i ciekawą korespondencję, ponieważ oboje bardzo dobrze pisali. Za pomocą listów, fotografii i osobistych przedmiotów Indira chciała ukazać zarówno uczuciową stronę swego ojca, jak i jego niewiarygodną odwagę i prawość. Pragnęła zilustrować ją cytatami zaczerpniętymi z jego pism i przemówień. Ze wszystkich projektów, jakie podjęła w Ministerstwie Informacji, którym wówczas kierowała, w ten zaangażowała się szczególnie. Nie tylko ze względów uczuciowych, lecz także dlatego, że chciała uświadomić innym i podkreślić, iż pamięć o Nehru jest ważna dla świata, a zwłaszcza dla Indii, nowego narodu potrzebującego przykładu przywódcy, który potrafi jednoczyć.

Rajiv towarzyszył Soni podczas zwiedzania wystawy. Był to sposób na wprowadzenie młodej Włoszki w złożoną historię jego kraju, sposób na wytłumaczenie jej, kim jest on sam i jego rodzina. Sonia zatrzymała się na długo przed ślubną suknią babki Rajiva, Kamali, i oglądała rytualne przedmioty używane podczas ślubów w Kaszmirze. Podpis informował, że

ta kobieta również była w więzieniu i że zmarła na gruźlicę w wieku trzydziestu sześciu lat... Sonia myślała o Indirze - z ojcem w więzieniu i chorą matką... Jakież było jej dzieciństwo?

- Smutne - powiedział Rajiv. - Poza tym moja matka także chorowała na gruźlicę. Przez długi czas przebywała w zamkniętym sanatorium, gdzie jej poradzili, aby nie wychodziła za mąż i nie miała dzieci...

- Dobrze, że się nie posłuchała... - odparła Sonia z uśmiechem.

- Uratowało ją wynalezienie antybiotyków. Miała więcej szczęścia niż babcia...

Na wystawie znajdowało się także inne sari, szkarłatne, z posrebrzaną girlandą.

- To sari utkał w więzieniu mój dziadek na ślub mojej matki... Mam nadzieję, że któregoś dnia ty je włożysz... - powiedział do niej żartobliwie.

Sonia się roześmiała, niezbyt przekonana. Nie wyobrażała sobie siebie owiniętej w tkaninę, która została wytworzona w celi, zrekonstruowanej z okazji wystawy na podstawie powiększonych fotografii: widać było pryczę, zeszyt, w którym dało się odczytać zdanie z więziennego dziennika, kądziel, którą Nehru tkał sari w geście miłości do córki i do ojczyzny... Anglicy zrujnowali dobrze rozwinięty przemysł tekstylny, nakładając nadmierne podatki na indyjskie produkty, aby w zamian sprzedawać Hindusom tkaniny przemysłowe wytwarzane w Anglii. Kądziel była symbolem buntu, sposobem powiedzenia, że nie ma potrzeby kupowania importowanych produktów, ponieważ każdy może sporządzić własną tkaninę. Na wystawie znajdował się także list, który Sonia uważnie przeczytała. Został napisany przez Nehru z więzienia i zaadresowany do córki, która miała zamiar wyjść za mąż: „Na początku tkanie jest bardzo nudne, ale kiedy się

w to wciągniesz, odkryjesz, że ma w sobie coś fascynującego. Poświęcałem temu zajęciu pół godziny dziennie. Ponieważ nie jest to dużo czasu, wytwarzałem mało, choć jestem dosyć prędko. Zacząłem tkąć przed siedmioma tygodniami i mam już prawie dziesięć metrów. Rozumiem, że na sari potrzebujesz trzydziestu. Tak więc być może za cztery miesiące będę miał dla ciebie sari!" (Cyt. w: Gandhi Sonia, *Two Alone, Two Together*, Penguin, New Delhi 2004, s. 404)

To sari było nie tylko strojem panny młodej, lecz także jej sztandarem. Dla Soni suknia ślubna powinna być biała, z welonem, jak te, które we wszystkie wiosenne niedziele widywała na pannach młodych w kościele Świętego Jana Chrzciciela w Orbassano. Czasami zapominała, że Rajiv jest Hindusem.

Pokazano filmy z obchodów odzyskania niepodległości i ostatni przejazd wicekróla, lorda Mountbattena, i jego żony Edwiny powozem dosłownie obłożonym przez ludzi. „Pada deszcz dzieci!" - powiedziała przestraszona Pamela, córka wicekrólestwa, ponieważ kobiety podrzucały swoje pociechy w powietrze, aby nie zgniótł ich tłum. Rajiv opowiedział Soni, że jego matka była świadkiem, jak jedna z kobiet stwierdziła, że jej dziecko będzie bezpieczniejsze z lady Mountbatten, i po prostu włożyła je w jej ramiona, gdzie przebywało przez dłuższą chwilę. Widać było Nehru idącego dosłownie ponad tłumem i krzyczącego, aby podnieść sztandar nowego narodu, szafranowo - zielono - biały, który w środku miał szczególny „herb": koło prawa i sprawiedliwości, będące pierwotnie emblematem buddyjskim, zwane też kołem Aśoki. Mountbatten walczył o to, aby wyprowadzić na wpół omdlałe dzieci i młodzież z tłumy i umieścić je w bezpiecznym miejscu. Sztandar został przyjęty ogromnym krzykiem radości. Słychać było wystrzał armatni, a potem, jakby za

sprawą czarów, na niebie pojawiła się tęcza, zapoczątkowując najbarwniejsze interpretacje znaczenia tego „aktu bożego”.

Pokazywano także fotografie i filmy przedstawiające tragedię, jaka rozegrała się w tym samym czasie. Rajiv opowiedział Soni, jak Nehru z rozdartym sercem wygłaszał słynne przemówienie w dniu odzyskania niepodległości. Nagranie odtwarzało głos z owej nocy, piętnastego sierpnia 1947 roku: „Przed wielu laty spotkaliśmy przeznaczenie i nadszedł czas, aby spełnić naszą obietnicę... Dokładnie o północy, kiedy ludzie śpią, Indie zbudzą się do życia i wolności...” Głos Nehru, słyszany w tym miejscu, sprawił, że Sonię przeszedł dreszcz. Rajiv wyjaśnił jej, że dziadek, w chwili gdy ogłaszał najważniejszą wiadomość w historii Indii, wiedział już, że dawna stolica imperium Mogołów, Lahaur, najbardziej kosmopolityczne miasto na subkontynencie, płonie w orgii przemocy i ma należeć do Pakistanu. Był to początek gigantycznej tragedii nazywanej Podziałem. Niepodległość obu krajów rozpętała czystki etniczne i religijne niemające precedensu w dziejach. Hindusi, którzy od pokoleń żyli na terenach powstałego wówczas Pakistanu, znaleźli się w sytuacji zmuszającej ich do ucieczki. Za to muzułmanie z Indii uciekali do Pakistanu. Filmy ukazujące kolumny uchodźców i relacja o popełnionych zbrodniach - rodziny palone żywcem w swoich domach, kobiety wyrzucane z jadących pociągów za to, że wyznawały „błędną” religię, córki gwałcone na oczach ojców - wywarły na Soni wielkie wrażenie.

- A ten brak przemocy? - spytała nieśmiało, kiedy zrozumiała, że jej wcześniejsze wyobrażenie o pokojowym charakterze Hindusów zaczyna upadać.

- Gandhi, oddając się postom, w znacznej mierze zdołał ją powstrzymać - odparł Rajiv - ale w końcu nawet on sam nie uchronił się przed fanatyzmem religijnym.

Wówczas opowiedział jej, że gdy miał cztery lata, matka pewnego dnia zabrała go w odwiedzinach do Mahatmy, do domu zamożnej rodziny Birla, która używała mu pokoju i wsparcia za każdym razem, kiedy przybywał do Delhi. Gandhi był bardzo przygnębiony deklamacjami hinduskich ekstremistów, którzy oskarżali go o zdradę, ponieważ bronił prześladowanych muzułmanów, a także o napięcie, jakie panowało w kraju, choć przemoc Podziału już się zakończyła. „Nie mogę nadal żyć w tym szaleństwie i w tej ciemności” - powiedział tego ranka do fotoreporterki Margaret Bourke - White. Gandhi, niemalże członek rodziny, był bardzo serdeczny w stosunku do Rajiva. W czasie gdy dorośli prowadzili rozmowę i starali się łagodzić atmosferę jakimś żartem, mały Rajiv bawił się kwiatami jaśminu, które matka kupiła dla Mahatmy. Na jednej z fotografii było widać, jak układa je wokół palców stopy Gandhiego.

- Powstrzymał mnie delikatnym ruchem ręki - opowiadał Rajiv. - Nie rób tego, powiedział, kwiaty kładzie się tylko wokół stóp zmarłego.

Tego samego popołudnia, kiedy Gandhi szedł do ogrodu na modlitwę, zbliżył się do niego pewien człowiek i łącząc dłonie, powitał słowem namaste, a następnie spojrzał mu uważnie w oczy, wyjął z kieszeni pistolet Beretta i wystrzelił trzykrotnie z bliskiej odległości. Był to hinduski fundamentalista.

Ekspozycja ukazywała chaos, jaki nastąpił po zamachu. Być może najbardziej dramatyczna była fotografia Nehru, który wszedł na dach samochodu i z megafonem w ręku uspokajał ludzi. Wszyscy chcieli się zbliżyć, by po raz ostatni pozdrowić „wielkiego ducha”. Megafon odtwarzał słowa, jakie Nehru skierował do narodu przez radio tej samej strasznej nocy. „Światło zgasło nad naszym życiem i pozostały tylko ciemności. Nasz ukochany lider, ojciec

narodu, zostawił nas. Powiedziałem, że zgasło światło, ale to nie jest prawda. Światło, które jaśniało nad tym krajem, nie było zwykłym światłem. Za tysiąc lat nadal będzie świeciło. Świat je zobaczy, gdyż będzie wciąż dawało pocieszenie niezliczonym sercom". Sonia poczuła dreszcz, słuchając tego głosu, który wydawał się przemawiać z zaświatów.

- Mój dziadek zawsze obsesyjnie chciał zachować Indie zjednoczone i świeckie - tłumaczył jej Rajiv. - Mówił, że naród może przetrwać, opierając się tylko na tych wartościach... i uważam, że miał rację.

Inne fotografie pokazywały Nehru z Gandhim. Na jednych byli uśmiechnięci i wyraźnie się ze sobą zgadzali, na innych - poważni i podzieleni. Oglądali samego Nehru z przywódcami chińskimi, sowieckimi, amerykańskimi, z uczonymi, jak Einstein, z pisarzami, jak Tomasz Mann i Pearl S. Buck... Na koniec Sonia zatrzymała się na długo przed fotografiami rodziny zebranej w Anand Bhawan, szukając podobieństw. Pomyślała, że Rajiv jest bardziej smukły niż jego ojciec Feroz i ma elegancję swojej matki. Patriarcha Motilal był natomiast podobny do jej własnego dziadka, ojca Stefana, z szeroką twarzą o silnej, kwadratowej szczękę i równie gęstych wąsach. Nie zatrzymała się przy towarzyszącym fotografii tekście mówiącym o wiecznym dylemacie Nehru, rozdartego między powinnościami politycznymi a osobistymi potrzebami, i o tym, że w tym konflikcie powinność zawsze triumfowała. Choć Sonia była wyraźnie poruszona wszystkim, co właśnie zobaczyła, nie mogła ocenić sensu tych słów ani wyobrazić sobie, że pewnego dnia ich znaczenie dosięgnie ją samą.

Radosne życie zakochanych wymagało ofiary. Nie zaliczywszy wszystkich przedmiotów kursu w Trinity College, Rajiv został zawieszony w prawach studenta. Zresztą zupełnie nie nadawał się na naukowca i już wcześniej uprzedzał matkę, że ta uciążliwa akademicka edukacja musi kiedyś zakończyć się katastrofą. Indira nie robiła mu wymówek; w końcu sama również została zawieszona na Oksfordzie (co prawda w zupełnie innych okolicznościach), a w młodości nie przerobiła całego szkolnego programu, bo stale chorowała. Ze wszystkich członków rodziny jedynie Nehru wykazywał prawdziwe zdolności akademickie. W przeciwieństwie do niego wnuk Rajiv nie był ani wielkim badaczem, ani gorliwym czytelnikiem, ani intelektualistą. Teoria go nie interesowała, zawsze lubił to co praktyczne. Starał się zrozumieć, jak funkcjonuje maszyna, tylko po to, by umieć ją naprawić. Potrafił samodzielnie montować wzmacniacze, aby słuchać muzyki, albo rozłożyć radio, kiedy wymagało jakiejś regulacji. Tak jak ojciec był „złotą rączką”.

Porzuciwszy Cambridge, Rajiv musiał przenieść się do Imperial College w Londynie, gdzie podjął studia w dziedzinie inżynierii mechanicznej. Już wówczas miał jasne wyobrażenie, czego chce. Systematycznie wertował ogłoszenia akademii lotnictwa Wiltshire w Thruxton koło Southampton, z siedzibą w dawnej bazie RAF - u. Podczas letnich wakacji chciał pobierać lekcje latania. Poza czystą przyjemnością zdobycie uprawnień miało jeszcze dodatkowy plus: był to najszybszy sposób zapewnienia sobie możliwości zarabiania na życie, czyli spełnienia warunku niezbędnego do poślubienia Soni. W każdym razie sposób znacznie szybszy niż kariera uniwersytecka. Ponieważ Rajiv nie chciał prosić matki o pieniądze, zdecydował się pracować, aby zapłacić za kurs latania i zdać pierwsze egzaminy.

W lipcu 1966 roku Sonia powróciła do Włoch z tytułem proficy w języku angielskim uzyskanym na Uniwersytecie Cambridge. Ku rozdrażnieniu państwa Maino listonosz ponownie stał się częstym gościem w rodzinnym domu przy via Bellini. Choć ostatecznie zgodzili się na spotkanie córki z Indirą, jej trwalszy związek z Rajivem nadal budził ich sprzeciw. Gdy Sonia mówiła otwarcie, że pewnego dnia wyjdzie za niego za mąż, rodzice starali się wybić jej to z głowy, a Stefano proponował, aby poczekała z decyzją do pełnoletności.

- To jeszcze tylko rok - mówiła matka. - Wyborów tego rodzaju nie należy podejmować lekkomyślnie. Potem możesz żałować przez całe życie.

- Dopóki ponosimy za ciebie odpowiedzialność - dodawał ojciec - nie mogę pozwolić, byś poślubiła tego chłopca. Jesteśmy pewni, że to wspaniały kawaler, ale tu nie o to chodzi... Nie wypełniłbym swego ojcowskiego obowiązku, gdybym ci teraz oświadczył: zgoda, jedź i bierz z nim ślub. Nie rozumiesz? Poczekać jeszcze trochę.

Była to rozsądna propozycja, lecz przecież miłość ma niewiele wspólnego z rozsądkiem. W wieku dwudziestu lat oczekiwanie wydaje się torturą. Strajki poczty, tak we Włoszech częste, zamieniły ten rok w czas udręki. Rajiv nadal pisał każdego dnia, wspominając jej o szczęściu, jakiego zaznawał, gdy uczył się latać nad angielskimi polami. Korzystał z dwupłatowca Tiger Moth, zaprojektowanego w latach trzydziestych. Był to samolot zwrotny i czuły, zapewniający wiele godzin intensywnej przyjemności. Celem był samodzielny pilotaż i aby to osiągnąć, Rajiv musiał zaliczyć minimum czterdzieści godzin lotów z instruktorem. Dopiero po spełnieniu tego warunku mógł przystąpić do egzaminu na pilota cywilnego, a następnie wspinać się po

szczeblach hierarchii aż do upragnionej licencji pilota handlowego.

Rajiv miał zamiar wybrać się do Orbassano. Pragnął osobiście przekonać ojca Soni, aby pozwolił jej jechać do Indii. „Chciałbym, żebyś udała się do Indii - pisał do niej - i została tam z moją matką, beze mnie, byś mogła zobaczyć w najgorszym świetle, bez mojego wsparcia, rzeczy, które Ciebie również dotyczą, takimi, jakie są w rzeczywistości. W ten sposób poznasz kraj i ludzi... Nie będę Cię w nic wciągał, dopóki nie poznasz skutków własnej decyzji. Gdyby później coś poszło nie tak i zostałabyś w jakiś sposób zraniona, czułbym się odpowiedzialny. Nie chcę kłamać ani Cię oszukiwać". List świadczył o wysokim poziomie moralnym Rajiva i Sonia była wzruszona, aczkolwiek nie łudziła się, że ojciec zaaprobuje taki scenariusz.

Aby pokryć koszty podróży do Włoch, Rajiv musiał zdobyć więcej pieniędzy: „Bardzo żałuję, że nie mogłem do Ciebie napisać wcześniej, ale znalazłem pracę murarza przy pewnej budowie - pisał w jednym z listów. - Pracuję nawet dziesięć godzin dziennie, do tego dochodzi półtorej godziny na dojazd, dlatego gdy wracam do domu, jestem ledwo żywy. Wszystko mnie boli i piszę z wielkim trudem". Były to listy pełne czułości, nadziei na przyszłość, choć zdradzały również obawy, Rajiv był bowiem bardzo przejęty wiadomościami, które docierały z Indii. Oto premier zmarł na atak serca podczas oficjalnej wizyty w Związku Sowieckim, gdzie miał podpisać kończący krótką wojnę traktat pokojowy z Pakistanem. „Sytuacja w Indiach jest bardzo niespokojna, bardzo zła - pisał do Soni. - Mam przeczucie, że wielu ludzi będzie chciało, aby stanowisko premiera objęła moja matka. Mam nadzieję, że się na to nie zgodzi, bo inaczej w końcu ją też zabiją".

Rajiv miał rację. Kamaryla, która kontrolowała Kongres, mocno naciskała, aby Indira została premierem: „Ona zna wszystkich przywódców świata, przemierzała go ze swoim ojcem, dorastała u boku bohaterów walki o niepodległość, ma racjonalny i nowoczesny umysł i nie identyfikuje się z żadną kastą, stanem czy religią. Ale przede wszystkim może doprowadzić do naszego zwycięstwa w wyborach w 1967 roku” - pisał przewodniczący partii. Był też inny, poważniejszy i zatajony powód tej presji: chciano, aby objęła stanowisko, ponieważ uważano, że jest słaba i podatna na wpływy. Starzy liderzy partii byli przekonani, że pozostaną na kluczowych stanowiskach i nadal będą korzystać z przywileju podejmowania decyzji, nie ponosząc jakiejkolwiek odpowiedzialności. W istocie nie znali Indiry Gandhi. Nawet ona sama, mimo iż była czterdziestoczteroletnią kobietą, jeszcze nie do końca znała siebie.

Wieczorem w przeddzień wyboru nowego szefa rządu, najwyższej władzy w drugim pod względem liczby ludności kraju na świecie, Indira napisała do Rajiva list, w którym przywołała słowa poematu Roberta Frosta, dobrze podsumowujące ten moment jej życia: „Jakże trudno jest nie zostać królem, gdy jest on w tobie i w sytuacji”. Opowiadała mu również, że o świcie tego dnia odwiedziła mauzoleum Mahatmy Gandhiego, aby nasycić się wspomnieniami o swym drugim ojcu. Następnie była w pałacu Teen Murti, zamienionym na muzeum narodowe, i długą chwilę spędziła w pokoju, gdzie zmarł Nehru. Jak nigdy potrzebowała poczuć jego obecność. Przypomniła sobie fragment listu, który dostała od niego, gdy miała piętnaście lat: „Bądź dzielna, a reszta przyjdzie sama”. Właśnie dziś reszta nadeszła. Za chwilę Indira miała przekroczyć próg nowego życia, do którego w głębi ducha zawsze się przygotowywała, choć nie przyznawała się do tego nawet przed samą sobą.

Po śmierci ojca marzyła o tym, by się wycofać. Przez jakiś czas zamierzała wynająć w Londynie małe mieszkanie i poszukać sobie pracy w jakiejś instytucji kulturalnej, choćby w charakterze sekretarki. Pragnęła uciec od samej siebie, odnaleźć nowe życie. Rzeczywistość jednak szybko ją dosięgła i nie pozwoliła dalej myśleć o własnej wolności. Trzeba było rozwiązywać konkretne problemy. Indira pozostała bez domu. Po ojcu odziedziczyła niewiele - przedmioty osobiste i prawa autorskie. Nehru wykorzystał cały swój kapitał, ponieważ pensja premiera nie starczała na wydatki reprezentacyjne, a nie był z tych, którzy wyciągają rękę po środki państwowe. Indira odziedziczyła również starą, zaniedbaną rezydencję Anand Bhawan w Allahabadzie, ale jej utrzymanie okazało się bardzo kosztowne. Ponadto miała jeszcze dwóch synów studiujących w Anglii. Jak za to wszystko zapłacić? Wycofując się ze świata? Zdała sobie sprawę, że ucieczka do Londynu byłaby wyłącznie nieodpowiedzialnym kaprysem. Do tego jej życie było już zbyt uwikłane w politykę. Każdego dnia przybywali ludzie wszelkich klas i kondycji, aby tylko móc ją zobaczyć - tak samo wcześniej honorowali jej ojca. Tłumy, które zbierały się w Teen Murti, czekały, pragnąc ją pozdrowić i przedstawić jej swe żale, po czym odchodziły szczęśliwe, gdy ich wysłuchała, powiedziała kilka słów, okazała zainteresowanie przedstawionymi problemami. Byli to wieczni biedacy, biedacy prastarych Indii, ci sami, w których imieniu walczyli Gandhi i jej ojciec. Indira nie mogła odrzucić tych ludzi, bo obraziłaby pamięć Nehru. Przyjmowała ich chętnie i słuchała z uwagą tego, co chcieli jej powiedzieć. To oni pocieszali jej zranione serce. Od nich czerpała siły, by iść naprzód, by znaleźć nowy sens swojego życia. Ci biedacy sprawili, że zdała sobie sprawę, że najcenniejszą wartością, którą odziedziczyła, była moc jej ojca.

Indira odczuwała obecność Nehru także wówczas, gdy w pełnym ogrodów centrum New Delhi wchodziła do gmachu parlamentu, gigantycznej budowli z kolumnowymi galeriami, zbudowanej z czerwonego i beżowego piaskowca. We wnętrzu, pod kopułą wysokości trzydziestu metrów, reprezentanci narodu wybrali ją trzystu pięćdziesięcioma pięcioma głosami poparcia przy stu sześćdziesięciu dziewięciu głosach sprzeciwu. Jej partia głosowała na nią gremialnie. Podziękowała im za to w krótkim przemówieniu. „Mam nadzieję, że nie zawiodę zaufania, jakim mnie obdarzyliście” - powiedziała. Była rozpromieniona, głęboko świadoma tego, że spotkała się z przeznaczeniem. Miała wziąć w posiadanie, jak mawiał Nehru, „szeroką przestrzeń indyjskiego ludu”.

Przydzielona jej rezydencja znajdowała się w tej samej dzielnicy New Delhi, w której stał dawny pałac. Typowa willa kolonialna o pobielonych elewacjach przy Safdarjung Road 1 była otoczona pięknym ogrodem. Dwa z czterech pokoi Indira przeznaczyła na biuro, a jeden przekształciła w pokój recepcyjny. Było jasne, że każdego dnia między ósmą a dziewiątą rano, tak jak za czasów Nehru, dom będzie otwarty dla wszystkich, bez względu na pozycję czy status społeczny.

Indira wytłumaczyła Rajivovi powody, które skłoniły ją do przyjęcia stanowiska. W ciągu tych miesięcy, kiedy stała na czele Ministerstwa Informacji, musiała stawić czoła poważnemu kryzysowi, nienależącemu bezpośrednio do jurysdykcji jej resortu. Kryzys ten dosięgnął ją podczas wakacji w Kaszmirze, przepięknym regionie, z którego pochodziła rodzina Nehru. Gdy tylko tam dotarła, usłyszała, że wojska pakistańskie, dążąc do wzmocnienia propakistańskiej rebelii, planują zdobyć w przebraniu cywilów stolicę stanu, Srinagar. Indira nie zastosowała się do rozkazu premiera, aby natychmiast wracała do Delhi. Nie dość, że pozostała w Kaszmirze, to jeszcze kiedy rozpoczęły się

działania wojenne, poleciała w kierunku frontu. „Nie oddamy agresorowi nawet centymetra naszego terytorium” - zapewniała ludzi podczas objazdu miast na północy. Prasa chwaliła jej działanie: „Indira jest jedynym mężczyzną w rządzie starców” - głosił tytuł w jednej z gazet. Korespondenci, którzy jej towarzyszyli, byli zdumieni, widząc, jak Indira jest wszędzie entuzjastycznie przyjmowana przez ogromne tłumy. Wojsko pakistańskie zostało pokonane, Indie wraz z Indirą wyszły z kryzysu zwycięsko, doprowadzając do narodzin idei, która później zaważadnęła narodową wyobraźnię: „Indie to Indira; Indira to Indie”.

Wszystko to miało miejsce, gdy oddalony o osiem tysięcy kilometrów Rajiv uczył się pilotować swojego tiger motha nad polami angielskiej prowincji. „Gdyby moja matka nie została premierem, wszystko, co osiągnęliśmy od czasu odzyskania niepodległości, niechybnie by przepadło” - tłumaczył Soni w jednym z listów, który wydawał się przeczyć wcześniejszym synowskim rozterkom. Było tak, ponieważ Rajiv na swój sposób przeżywał wspólny dla całej rodziny konflikt między powinnością w stosunku do narodu oraz dziedzictwa ojca i dziadka a potrzebami życia osobistego. Kiedy dowiedział się, że matka została premierem, w liście, jaki napisał do Soni, dawał wyraz zaniepokojeniu nowo powstałą sytuacją: „Jeśli coś się stanie mojej matce, nie wiem, co zrobić. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak bardzo od niej zależę, od jej pomocy w każdej sytuacji, zwłaszcza tej z Tobą. Tobie będzie znacznie trudniej niż mnie. Dla Ciebie wszystko będzie nowe, a ona jest jedyną osobą, która naprawdę może Ci pomóc. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym ją utracił”.

Fotografia Indiry znalazła się na okładkach całej światowej prasy. W kiosku w Thruxton, miejscowości w pobliżu bazy lotniczej, Rajiv kupił egzemplarz dziennika „The Guardian”. „Żadna inna kobieta w historii nie dźwigała

podobnej odpowiedzialności i żaden inny kraj o randze Indii nie oddał władzy kobiecie w sposób demokratyczny" - głosił tekst artykułu. Fotografia matki znalazła się również na okładce „Time'a". Nagłówek wołał: „Niespokojne Indie w rękach kobiety!" Aczkolwiek nowa premier twierdziła, że nie jest feministką, świat był zainteresowany, w jaki sposób kobieta o niewielkim doświadczeniu w kwestiach administracyjnych chce zmierzyć się z ogromem czekających ją problemów, tak wielkich jak naród, któremu miała przewodzić, i tak skomplikowanych jak mozaika tworzących go ludów, ras, religii, języków i kultur. W kraju zamieszkanym w większości przez wyznawców hinduizmu żyło ponad sto milionów muzułmanów, co czyniło go drugim muzułmańskim państwem globu. Dodajmy do tego dziesięć milionów chrześcijan, siedem milionów sikhów, dwieście tysięcy parsów i trzydzieści pięć tysięcy żydów, których przodkowie uciekli z Babilonu, gdy zniszczono świątynię Salomona. Obszar, na którym istnieje cztery tysiące sześćset trzydzieści pięć różnych wspólnot, każda z nich mająca własne tradycje i języki, tyleż stare co różnorodne, jak urdu muzułmanów, w którym pisze się od prawej do lewej, czy hindi, zapisywany z lewej do prawej, albo język tamilski, którego teksty odczytuje się z góry na dół, a są też inne alfabety, odczytywane jak hieroglify. W tej wieży Babel używano ośmiuset czterdziestu pięciu dialektów i szesnastu języków oficjalnych, ale po odrzuceniu przez stany południowe języka hindi to angielski, język kolonizatorów, pozostawał jedynym wspólnym językiem całego organizmu państwowego. Indie to kraj bolesnych nierówności, głęboko zakorzenionej korupcji, panoszącej się na wszystkich poziomach społeczeństwa, i biurokracji paraliżującej działania. Kraj znany z wysokich osiągnięć duchowych, a jednocześnie z fatalnych wskaźników poziomu materialnego,

kraj, gdzie człowiek jest bardziej płodny niż ziemia, którą uprawia, kraj stale pustoszony przez naturalne kataklizmy i oddający cześć trzydziestu milionom bóstw. Być może największym osiągnięciem tego narodu, stworzonego przez Nehru i Gandhiego, było to, że mimo całej serii nieszczęść i problemów odziedziczonych po brytyjskich kolonistach nadal był wolny. Zaprzeczało to twierdzeniu pewnego angielskiego generała, który w momencie ogłoszenia niepodległości zapewniał: „Nikt nie może stworzyć narodu na kontynencie tyłu nacji”.

Tymczasem kraj - subkontynent, którym miała rządzić Indira, był w gorszym stanie niż kiedykolwiek za rządów Nehru czy jego następcy. Kilka lat suszy doprowadziło do braku żywności i do powracającej plagi głodu. W stanie Kerała doszło do gwałtownych zamieszek związanych z rozdziałem żywności. Gospodarka padła ofiarą galopującej inflacji. Stan Pendżab był niespokojny, ponieważ domagał się państwa z wyłączeniem językiem pendżabskim; sikhijski przywódca groził, że sam złoży się w ofierze, jeśli jego petycja nie zostanie wysłuchana. Lud Naga z północnego wschodu walczył o sukcesję. Na domiar złego przed parlamentem, tuż pod nosem Indiry, pokazywali się hinduscy święci asceci, nadzy, z ciałami pokrytymi popiołem, domagając się zakazu zabijania krów na terytorium całego kraju. Było to żądanie sprzeczne z bezwyznaniową konstytucją Indii, która nakazywała respektowanie praw i równości wszystkich religii. W biednym kraju dla takich mniejszości jak muzułmanie czy chrześcijanie mięso krów było podstawowym źródłem białka. Protesty przeradzały się w zamieszki i gdy policja oddała wystrzał w stronę męczycieli, były ofiary śmiertelne. „Nie zamierzam dać się zastraszyć obrońcom krów” - zadeklarowała Indira prowokująco. Zdecydowanie Indie nie były podobne do żadnego innego

kraju. W 1966 roku nadciągnęła gigantyczna fala społecznych protestów, tak jakby niepodległość stworzyła podstawy do wybuchu milionów małych buntów. W istocie zbierano owoce wielu stuleci eksploatacji jednych mniejszości przez drugie, jednych kast przez inne... Przywódcy Kongresu bynajmniej nie zrobili Indirze prezentu, wynosząc ją na szczyty władzy.

Indira miała jeden jasno określony priorytet. Podobnie jak ojciec i wcześniej Gandhi, pragnęła skończyć z klęskami głodu, zapobiec śmierci najbiedniejszych. Jeśli w tym celu musiała zwrócić się o pomoc do instytucji międzynarodowych i do najbogatszych krajów, gotowa była przełknąć dumę i wziąć się do pracy. Dwadzieścia lat po odzyskaniu niepodległości Indie, w dużym stopniu z własnej winy, osiągnęły status międzynarodowego żebraka. Indira była zawstydzona, że musi prosić, lecz jednocześnie wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Zależało jej jednak na zachowaniu godności i pozorów partnerstwa: „Im słabsza jest nasza pozycja, tym silniejsi musimy się wydawać”.

Natychmiast przyjęła zaproszenie prezydenta Johnsona do Waszyngtonu i skrupulatnie przygotowała się do podróży, od której rezultatów zależało życie milionów rodaków, a być może także jej polityczna przyszłość. Bardzo szczegółowo opracowała swoje przemówienia, ciągle je poprawiała, zaglądając do książeczki cytatów, którą zawsze miała przy sobie. Także stroje wybierała z wielką uwagą przed każdym przyjęciem: sari, bluzkę, szal i buty. Aby wszystko odpowiednio wyglądało, zapragnęła jechać w towarzystwie obu synów. Rajiv musiał przerwać lekcje pilotażu i udać się do Paryża na spotkanie z matką. Tam, po śniadaniu wydanym dla nich przez generała de Gaulle'a, weszli na pokład boeinga 707, który Biały Dom podstawiał do ich dyspozycji. Kiedy pytano de Gaulle'a o wrażenia ze spotkania z Indirą, wytrawny mąż stanu odpowiedział: „Te tak kruche ramiona, na których

spoczął gigantyczny ciężar pokierowania losem Indii... nie wydaje mi się, aby się pod nim ugięły. Ta kobieta ma w sobie coś i zwycięży".

W Waszyngtonie kuzyn Indiry i ambasador Indii w Stanach Zjednoczonych, B.K. Nehru, odebrał rano telefon. Dzwonił prezydent Lyndon B. Johnson, olbrzym pochodzący z Teksasu:

- Właśnie przeczytałem w „New York Timesie”, że Indirze nie podoba się, gdy nazywają ją „pani premier”... Jak mam się do niej zwracać?

- Niech mi pan pozwoli to skonsultować, panie prezydencie. Oddzwonię, jak tylko będę miał instrukcje.

Natychmiast pośpieszył do apartamentu Indiry.

- Niech się do mnie zwraca, jak zechce - powiedziała i nim kuzyn opuścił pomieszczenie, dodała: - Możesz mu także powiedzieć, że niektórzy moi ministrowie mówią do mnie „sir”. Jeśli mu się podoba, może mnie tak tytułować.

Prezydent Johnson nie mógł się oprzeć urokowi Indiry. Odblokował amerykańską pomoc, którą zatrzymano z powodu wojny błyskawicznej z Pakistanem, i wezwał Bank Światowy do udzielenia rządowi Indii pożyczki. Jedyne wydarzenie podczas całej wizyty nastąpiło wówczas, gdy Johnson po oficjalnym bankiecie zaprosił panią premier do tańca. Indira musiała odmówić; nie chciała nawet myśleć o reakcji indyjskiej prasy na fotografię „socjalistycznej córki Nehru tańczącej w klejnotach z jankeskim prezydentem”. Wy tłumaczyła Johnsonowi, że mogłoby to uczynić ją bardzo niepopularną, a on zrozumiał. Zanim przyrzekł Indirze trzy miliony ton żywności i dziewięć milionów dolarów natychmiastowej pomocy, ze swoim silnym teksańskim akcentem, przez który wydawał się wiecznie zakatarzony, powiedział do szefa gabinetu: „Nie chcę, by tej dziewczynie stało się coś złego”. Choć ta podróż była pierwszym wielkim

sukcesem nowej premier, po jej zakończeniu Indira zwierzyła się jednemu ze swoich zaufanych: „Mam nadzieję, że nigdy więcej nie znajdę się w podobnej sytuacji”.

Sonia śledziła to wszystko z dystansu, z pewną obawą i zażenowaniem, ponieważ były to spektakularne i bardzo nagłośnione wydarzenia. Włoskie media szeroko rozpropagowały informację o dojściu Indiry Gandhi do władzy. Państwo Maino, oglądając telewizję w swym domu przy via Bellini, mogli w zbliżeniu zobaczyć twarz matki pretendenta do ręki ich córki. Okoliczność, że potencjalna teściowa Soni została premierem, wcale ich nie uspokoiła. Przeciwnie, Stefano dostrzegał w tym ogromne zagrożenie, a planowany związek córki stał się w jego oczach przedsięwzięciem jeszcze bardziej szalonym, niż dotychczas sądził. Był przekonany, że wszystko, co otacza tę kobietę, wiąże się z ryzykiem. Czyż nie zabili samego Gandhiego? Mieszkańcy tamtej strony świata są nieprzewidywalni... Paola jednak, choć również niewolna od obaw, nie mogła ukryć pewnej satysfakcji: jej córka zakochała się w nie byle kim. Na swój sposób Sonia uwolniła ich od etykiety paesani, „nobiletowała” całą rodzinę Maino.

Rajiv wrócił zadowolony z podróży do Stanów, choć była ona bardzo krótka i zanadto wypełniona oficjalnymi spotkaniami, aby mógł ją wykorzystać tak, jak by mu się podobało. Od dziecka polityka oznaczała dla niego zawsze to samo: niekończące się sesje zdjęciowe z matką, konieczność asystowania przy nudnych rozmowach w czasie długich kolacji, noszenie krawata, stałe pilnowanie zasad etykiety i brak swobody. Przekonywał się coraz bardziej, że odpowiada mu życie oddalone od tej całej krzątaniny, życie dyskretne i spokojne u boku kobiety, o której nie przestawał śnić. Także i on chciał uciec od samego siebie, od swoich korzeni, od ciężaru rodzinnej tradycji, która - czuł to intuicyjnie - może go

któregoś dnia przygnieść. Wierzył po cichu, że los, jakim naznaczone jest jego nazwisko, nigdy go nie dosięgnie.

Aby zobaczyć się z Sonią, w październiku 1966 roku Rajiv poprosił brata o pożyczenie samochodu, bo jego stary volkswagen tak podupadł, że musiał go sprzedać za cztery funty. Sanjay miał stary model jaguara, kupiony za okazyjną cenę dzięki znajomościom w zakładach Rolls Royce'a i początkowo zupełnie nienadający się do jazdy. Naprawiał go cierpliwie, aż wreszcie silnik znowu zapalił.

W przeciwieństwie do brata Rajiv nie lubił chwalić się samochodem, a przyjazd nim do Orbassano nawet go trochę zawstydział. Równocześnie jednak myślał, że będzie lepiej zaprezentować się w takim „wozie” niż podróżować z plecakiem. W ten sposób miał większe szanse wyrzucić na rodzicach Soni dobre wrażenie.

Przed jego przybyciem Sonia była bardzo podekscytowana. Nie widzieli się od miesiący, oczekiwanie stawało się wiecznością. Zdenerwowane były także jej siostry i przyjaciółki. Nie każdego dnia do ich sennego miasteczka na peryferiach Turynu przybywał indyjski książę gotowy zabrać Kopciuszkę... Zaciekawienie było ogromne i udzieliło się również jej rodzicom. Choć udawali, że nic się nie stało, już w dniu przyjazdu zaprosili gościa na kolację.

Przybycie Rajiva w jaguarze wywołało prawdziwe poruszenie w całej okolicy. „Kim jest ten bogaty Anglik, który przyjechał do córki Mainów?” - rozpytywali szeptem.

Poruszenie było tym większe, że wygląd kierowcy nie całkiem pasował do samochodu. „Jakiś Sycylijczyk” - żartował kolega Soni. „Z taką bryką mógłby zostać mafiosem camorry” - komentował drugi. Rajiv przyjechał niechlujny, z kilkudniowym zarostem, po drodze sypiał w samochodzie, aby zaoszczędzić na pokój w hotelu. Kiedy Sonia mogła go nareszcie objąć w jednej z opuszczonych uliczek Orbassano,

gdzie umówili się zaraz rano w dniu jego przybycia, zauważyła, że jest zmartwiony. Nie potrafiła odgadnąć, czy przyczyną tego stanu jest zmęczenie, czy perspektywa rodzinnej kolacji, czy może ostatnie wydarzenia, które wyniosły jego matkę na scenę międzynarodowej polityki.

- Muszę wracać do Indii - zwierzył się jej, kiedy uciszyli emocje towarzyszące ponownemu spotkaniu.

- A twoja licencja pilota?

- Zdobędę ją w kraju. Tak czy inaczej nie mam pieniędzy na egzaminy w Anglii. Ale najbardziej martwi mnie to, że będę daleko od ciebie.

Jednak przyczyna, dla której musiał jechać do kraju, rzeczywiście była ważna: prosiła go o to matka.

- Jest zupełnie sama. Ma ogromne problemy - zwierzył się Soni.

Wyjaśnił, że zaledwie Indira wróciła ze Stanów Zjednoczonych, opozycja wściekle ją zaatakowała, oskarżając, że uległa wpływom Amerykanów i porzuciła prowadzoną przez ojca politykę niezaangażowania... Atakowała nie tylko opozycja, ale także ci, którzy wybrali ją na stanowisko premiera, szefowie własnej partii. Byli oni wyraźnie zaniepokojeni samodzielnością, z jaką Indira stawiała czoła problemom, pomijając partyjną hierarchię, tak jak uczyniła to wcześniej w przypadku potyczki z Pakistanem. Stary kolega Nehru wygłosił w parlamencie ciężką diatribę przeciwko Indirze, kwestionując nie tyle pomoc, ile nałożone przez Amerykanów warunki jej uzyskania. Wśród nich była bardzo niepopularna dewaluacja rupii, którą Indira zadeklarowała mimo sprzeciwu całego kraju. Wszystkim zademonstrowała w ten sposób, że nie jest imitacją swego ojca, że nie jest nikomu nic winna i że potrafi ordynować narodowi gorzkie lekarstwo, jeśli naprawdę wierzy w jego skuteczność. Skutkiem odważnej decyzji było jednak początkowo załamanie

psychiczne; przewidywania dotyczące przyszłości Indii stawały się coraz bardziej chmurne. Wprawdzie nadal przeważała opinia, że jedynie przykład Nehru zdoła utrzymać Indie zjednoczone i demokratyczne, to jednak obecnie uważano, że z powodu kolejnych klęsk suszy, niezliczonych buntów etnicznych, agresji Pakistanu, a także przywództwa Indiry - kraj znalazł się na krawędzi rozpadu.

- I winię o to moją matkę - podsumował Rajiv. - Jakby to ona była odpowiedzialna za to, że od trzech lat panuje susza i ludzie umierają z głodu... Mam poczucie, że ją opuściłem w trudnej sytuacji, i bardzo mnie to dręczy.

Opowieść Rajiva o matce była dla Soni szczególnym wprowadzeniem w indyjską politykę. Nadal niewiele o niej wiedziała, ale już rozpoznawała główne koncepty i idee, które wydawały jej się dalekie i niezrozumiałe, a niebawem stały się tak swojskie jak komentowanie w rodzinnym domu wyników Juventusu albo pokazów mody w Mediolanie. Zaczynała zdawać sobie sprawę, że nie można żyć blisko kogoś takiego jak matka Rajiva i nie ulec jej wpływom. Na razie wydawało się to jeszcze mało konkretne i zbyt odległe, aby mogło niepokoić. Przecież wszystko ma swój czas. Aktualne wyzwanie polegało na przewyciężeniu oporu rodziców.

Sonia towarzyszyła Rajivovi do domu przyjaciela, który zgodził się go zakwaterować, a następnie pokazała mu miasteczko. Pili cappuccino w barze Nina, spacerowali po ulicach i zatrzymali się dłużej w barze Piera Luigiego. Właściciel był zapalonym krótkofalowcem, a Rajiv także chciał się poświęcić temu hobby. Zainteresował się nim podczas nauki pilotażu i poza samą magią elektroniki dostrzegł w komunikacji radiowej dobry sposób na porozumiewanie się z Sonią, na wypełnienie pustki, która pojawiała się po każdym ich rozstaniu.

Sonia zostawiła go, aby odpoczął, i zapowiedziała, że wieczorem zabierze go na kolację do rodziców. Tymczasem wybrała się na doroczne spotkanie absolwentek swego kolegium w Giaveno. „Przypominam sobie ten dzień, jakby to było wczoraj - opowiadała siostra Giovanna Negri. - Sonia miała dwadzieścia lat. Zaraz po spotkaniu dawnych uczennic oznajmiła, że musi już nas opuścić”.

- Dlaczego nie zostaniesz z nami na kolacji? - zapytała ją siostra. - Byłaś przez długi czas w Anglii i prawie cię nie widywałyśmy.

- Nie mogę zostać - odpowiedziała Sonia. - Dziś wieczorem będzie u nas gość na kolacji.

- A któż to taki? - zapytała z kpiną siostra Giovanna. Sonia uśmiechnęła się, ukazując dołeczki w policzkach.

W końcu wykrztusiła:

- Mój narzeczony.

- Twój narzeczony? Co za niespodzianka! Opowiedz, opowiedz... Kim on jest?

Sonia nie śpieszyła się z odpowiedzią, co jeszcze bardziej pobudziło zaciekawienie zakonnic.

- Jest Hindusem - powiedziała i zawiesiła głos.

- Hindusem? - zdziwiła się siostra.

Sonia położyła palec na ustach, a następnie niemal wyszeptała:

- To syn Indiry Gandhi

„Byłam zdumiona” - wspominała po latach siostra Giovanna.

Rodzinna kolacja była do pewnego stopnia włoską wersją sceny ze znanego filmu z udziałem Katharine Hepburn i Sidneya Poitiera. Tyle że tym razem wszystko działało się naprawdę i nie miało szczęśliwego zakończenia, chociaż reakcje Stefana Maino i Spencera Tracy'ego były dość podobne. Rajiv mówił o swoich studiach. Właśnie zdobył

licencję prywatnego pilota i planował, że za półtora roku zdobędzie uprawnienia pilota handlowego. Chciał jak najszybciej znaleźć pracę. Miał po temu istotny powód.

- Przyjechałem tu z bardzo poważną propozycją - oświadczył Stefanowi Maino. - Przyjechałem, aby panu powiedzieć, że chciałbym poślubić pańską córkę.

Sonia nie wiedziała, gdzie się schować, ponieważ to jej przypadła rola tłumaczki. Zdenerwowana matka zaczęła stawiać napoje na stoliczku do kart. Drżały jej ręce. Ojciec rodziny zachowywał się serdecznie, ale stanowczo.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości co do szczerości pana uczuć i uczciwości - odpowiedział, spoglądając na Sonię i dając jej czas, aby dalej tłumaczyła. - Wystarczyło spojrzeć panu w oczy, aby wiedzieć, kim pan jest. Nie wątpię w pana. Wszystkie moje wątpliwości dotyczą wyłącznie córki. Jest nazbyt młoda, aby wiedzieć, czego chce... - Sonia z rozpaczą patrzyła w sufit. - Szczerze mówiąc, nie sądzę, aby mogła się przyzwyczaić do życia w Indiach. Tam są tak odmienne zwyczaje.

Rajiv zasugerował, żeby spędziła na próbę krótkie wakacje w Indiach. Wyjaśniał, że najpierw może pojechać tam sama i zanim on do niej dołączy, będzie miała czas ocenić wszystko samodzielnie. Jednak Stefano kategorycznie się sprzeciwił.

- Dopóki Sonia nie osiągnie pełnoletności, nie mogę jej pozwolić na taki wyjazd.

Był to twardy orzech do zgryzienia. Sonia nie chciała dopuścić do popsucia atmosfery spotkania. Zapadła cisza tak gęsta, że można by ją krajać nożem. Ten człowiek był jak z kamienia, mimo to zdobył się na małe ustępstwo.

- Jeśli do tego czasu nadal będziecie czuli do siebie to samo, pozwolę jej pojechać do Indii, ale nie wcześniej niż za rok, kiedy osiągnie wiek dojrzały - powiedział, po czym

odwrócił się do żony i dodał: - Jeśli sprawy pójdą źle, nie będę mógł sobie zarzucić, że przyczyniłem się do zmarnowania jej życia.

Stefano wciąż wierzył i miał wielką nadzieję, że przez rok wody powrócą do swojego koryta i Sonia w obliczu trudności w końcu zrezygnuje. Przerazała go myśl o rozstaniu z córką.

Kiedy Rajiv opowiedział matce o spotkaniu z rodziną Soni w Orbassano, Indira zgodziła się z warunkami, jakie postawił patriarcha rodu Maino. W głębi duszy ona również pragnęła, żeby Rajiv nie wybierał sobie cudzoziemki, i wolała sprawdzić, czy ten związek ma w ogóle jakąś przyszłość, zatem wystawienie uczucia zakochanych na próbę wydawało jej się rozsądne. Należało zyskać na czasie. Jeśli mimo jego upływu oboje wytrwają w swym postanowieniu, Indira nie zamierzała się sprzeciwić. Zbyt wiele sama wycierpiała z powodu odrzucenia przez ojca jej wybranka, aby podobny los gotować któremuś z własnych synów.

„Małżeństwo to nie wszystko. Życie jest czymś znacznie większym” - powiedział jej Nehru, kiedy przyszła odwiedzić go w więzieniu w Dehra Dun i oświadczyła, że chce poślubić Feroza. Nehru radził, aby odzyskała siły, zanim podejmie jakąkolwiek decyzję. Była bardzo chora i ojciec przypomniawszy, że lekarze odradzali jej macierzyństwo. Ponadto pragnienie Indiry wydawało mu się pospolite, oznaczało bowiem porzucenie „dziedzictwa i tradycji rodzinnej”. Pragnęła wyjść za mąż za człowieka innej formacji, innego środowiska. Indira nie zgadzała się z ojcem, przynajmniej w tamtej chwili. Powiedziała mu, że marzy o życiu anonimowym i wolnym od napięć, których dotychczas jej nie brakowało, że chce wyjść za mąż i mieć dzieci, i to więcej niż jedno, bo z własnego doświadczenia dobrze wie, że samotność jedynaka może przynieść cierpienie. Chciała zajmować się dziećmi i dbać o męża w domu pełnym książek, muzyki i przyjaciół. Aby spełnić te zamiary, była gotowa rzucić wyzwanie wszystkim lekarzom i własnemu zdrowiu.

Feroz był synem parsa Jehangira Ghandy (Feroz był synem parsa Jehangira Ghandy... Pisownię swego nazwiska przyszły mąż Indiry zmienił dopiero w końcu lat

trzydziestych. Było ono popularne wśród sprzedawców perfum w indyjskich kastach Bania z Gudżaratu, skąd pochodził wielki Mahatma.

Asaf Ali Aruna, Indira Gandhi: Statesmen, Scholars and Friends Remember, Radiant Publisher, New Delhi 1989, s. 35, przyp. 11; cyt. w: Tunzelmann Alex von, Indian Summer, Henry Holt, New York 2007, s. 86). Według oficjalnej biografii był inżynierem okrętowym, według zaś innych źródeł zajmował się sprzedażą likieru. Nie miał nic wspólnego z Mahatma Gandhim. Pisownię swego nazwiska przyszły mąż Indiry zmienił dopiero w końcu lat trzydziestych. Było ono popularne wśród sprzedawców perfum w indyjskich kastach Bania z Gudżaratu, skąd pochodził wielki Mahatma. Nie została odnotowana przyczyna tej niewielkiej zmiany, która w rezultacie okazała się brzemienna w konsekwencje dla politycznej kariery jego przyszłej żony.

Parsowie to wyznawcy Zaratustry, a ich religia jest jedną z najstarszych religii ludzkości, jednak Feroz nigdy nie był religijny, można by nawet rzec: wręcz przeciwnie. Kontakt z rodziną Nehru nawiązał, przyłączywszy się do ruchu narodowowyzwoleńczego, i niebawem wstąpił do Kongresu. Był bardzo aktywnym i radykalnym członkiem partii, teksty Marksa i Engelsa znał lepiej od samego Nehru. Razem udali się do Francji, by uczestniczyć w proteście przeciw bombardowaniu cywilnych miejscowości podczas wojny domowej w Hiszpanii. Feroz usiłował przekonać organizatorów, żeby pozwolili mówić „La Pasionarii”, hiszpańskiej działaczce komunistycznej, ale nie udało mu się tego osiągnąć. Oburzony Nehru wygłosił płomienne przemówienie, żarliwie broniąc prawa do wolnej wypowiedzi.

Nehru nie kwestionował wartości Feroza jako członka partii, ale uważał, że jako kandydat do ręki jego córki nie spełnia oczekiwań. Obaj mężczyźni stanowili we wszystkim

swoje przeciwieństwo. Feroz był niski i kwadratowy, nieco pyszałkowaty, mówił bardzo głośno i z zapałem używał wulgaryzmów. Nie był ani człowiekiem wytwornym, ani intelektualistą. Lubił dobrze zjeść i wypić, interesowały go samochody i elektryczne gadżety - pasje odziedziczone później przez Rajiva i Sanjaya. Był fatalnym studentem, choć, podobnie jak Indira, lubił klasyczną muzykę indyjską i kwiaty. Bez uniwersyteckiego tytułu, bez zawodu, bez perspektyw zarobienia na życie, miał za to ugruntowaną reputację kobieciarza, było więc logiczne, że rodzina Nehru traktowała tego „pana Nikt”, który aspirował do pierwszej rodziny Indii, z wielką niechęcią.

- Ty wychowywałaś się w Anand Bhawan, otoczona luksusem i służącymi - powiedziała do Indiry jej babcia. - Feroz nie ma majątku, pochodzi z innego środowiska, wyznaje inną religię.

- Nie obchodzi nas religia, ponieważ żadne z nas nie jest religijne - odrzekła jej Indira. - Jestem skromna, tak jak moja matka, i chociaż mieszkałam w Anand Bhawan, mogę być tak samo szczęśliwa w wiejskiej chacie.

Mniej więcej to samo powiedziała Sonia swoim rodzicom, kiedy przedstawiali jej trudności związane z życiem w odległym, obcym kraju. Indie dla Soni były abstrakcją. Mimo że słyszała o nich sporo niedobrego, w żadnym stopniu jej nie przerażały. Gdyby Rajiv był Eskimosem, równie dobrze mogłaby z nim jechać na biegun północny. „Kiedy jesteś zakochana - napisała - miłość daje ci bardzo potężną siłę. Z tą siłą nie boisz się niczego, tylko pragniesz być z osobą, którą kochasz. Chciałam tylko Rajiva. Poszłabym z nim na koniec świata. On był moim największym szczęściem i nie mogłam myśleć o nikim innym”.

Skoro nawet Nehru zgodził się ostatecznie na ślub Indiry z Ferozem, ona sama nie mogła nie przystać na prośbę swego

syna, kiedy błagał ją, aby napisała do ojca Soni i wyjednała u niego zgodę na jej przyjazd do Indii. Minał rok, czas narzucony przez Stefana Maino, a miłość dwojga młodych nie ostygła. Ani Sonia, ani Rajiv nie byli gotowi żyć bez siebie, a rozłąka stawała się bardzo bolesna. Indira zrozumiała, że sprawa jest poważna. Wolałaby wprowadzić zgodnie z tradycją wybrać dla syna dziewczynę z dobrej kaszmirskiej rodziny, tak jak uczynił jej dziadek Motilal, wybierając Kamalę. Takie „małżeństwa uzgodnione” były powszechnym zwyczajem, a małżeństwa z miłości należały do wyjątków. Pierwsze na ogół funkcjonowały lepiej; odsetek rozwodów w tego rodzaju związkach jest zaskakująco niski, ponieważ rodzice poszukają kandydatów dla swoich latorośli w podobnych środowiskach społecznych i kulturalnych, co utrwala fundament wspólnego życia. Te drugie były zazwyczaj loterią. Indira nie miała szczęścia. Oby Rajiv miał go więcej, pomimo że cudzoziemska narzeczona była dodatkowym problemem. W społeczeństwach tradycyjnych cudzoziemcy nie zasługiwali nawet na miejsce w hierarchii społecznej - byli uznawani za „bezkastowych”. New Delhi nie było oczywiście peryferiami Indii, lecz Indira doskonale zdawała sobie sprawę, że nawet tutaj dziewczyna z Europy Zachodniej może mieć spore trudności adaptacyjne. Ponieważ polubiła Sonię, postanowiła uczynić jej pobyt tak przyjemnym, jak to tylko możliwe.

Wprowadzić Stefano Maino nie był zachwycony listem, w którym Indira Gandhi zapraszała jego córkę do spędzenia wakacji w New Delhi, jednak będąc człowiekiem słownym, nie miał innego wyboru, jak tylko spełnić swą obietnicę. Rodzice długo o tym dyskutowali i nie znajdując dobrego wyjścia z sytuacji, zgodzili się ostatecznie, aby Sonia pojechała do Indii na miesiąc. Sądziło się, że to okres wystarczający, by nabrała pewności, że nigdy nie będzie mogła tam żyć na stałe. We Włoszech czekali na nią nie tylko

najbliżsi, ale i przyszłość zawodowa. Przez rok Sonia pracowała w Fieratorino i dzięki znajomości języków miała coraz więcej możliwości zarobkowania. Jeśli nie podobało jej się małe Orbassano, zawsze mogła przeprowadzić się do Turynu. Rodzice nadal marzyli, że na jakichś targach spotka przystojnego przedsiębiorcę, który się z nią ożeni. Sonia udawała, że słucha tych wszystkich sugestii z uwagą, ale jej myśli były już bardzo daleko, osiem tysięcy kilometrów od Włoch.

Trzynastego stycznia 1968 roku, dokładnie trzydzieści cztery dni po dwudziestych pierwszych urodzinach, które oznaczały osiągnięcie wyczekiwanej pełnoletności, Sonia ze ściśniętym gardłem wylądowała na lotnisku Palam w New Delhi. Rodzice i siostry pojechali z nią do Mediolanu, skąd wylatywał jej samolot, i nawet twardy Stefano nie mógł powstrzymać łez.

- Jak ci się nie spodoba, wracaj natychmiast, dobrze? - powiedział, kiedy matka wkładała do jej torby podręcznej jeszcze więcej lekarstw, tak jakby córka wyprawiała się do puszczy.

Sonia nie spała podczas lotu. Teraz, kiedy została sama ze swoim przeznaczeniem, dopadł ją lęk. Marzenie, by zobaczyć Rajiva, zamieniło się nagle w nieokreślony strach. Nie widzieli się już od roku. A jeśli mnie rozczaruje? Albo ja rozczaruję jego? A jeśli w swoim naturalnym otoczeniu zachowuje się inaczej? A jeśli nie jest tym, za kogo ona go uważa? Były to pytania nieuniknione, zrozumiała reakcja człowieka, który postawił los na jedną kartę. Teraz należało tę kartę odsłonić.

Z lotu ptaka siatka alei i rond New Delhi sprawiała wrażenie gwiazdzistych figur, przypominających geometryczne wzory zdobiące pałace Mogołów. Samolot wylądował rano. Klimat nie mógł być bardziej różny od

srogiej zimy, którą Sonia zostawiła za sobą. Ciepło, błękitne niebo i powietrze przesycone charakterystycznym zapachem, który poczuła zaraz po wyjściu z samolotu: mieszaniną woni spalonego drewna i miodu, popiołu i dojrzałych owoców. Wreszcie i dźwięk, głośne krakanie wszechobecnych wron, ubranych w szarość i czerń, skrzeczących, zuchwałych, witających ją z balustrad, masztów i parapetów hali przylotów. Tam oczekiwał na nią Rajiv. „Jak tylko go zobaczyłam - wspominała Sonia - przepełniła mnie głęboka ulga". Był z bratem Sanjayem i przyjacielem Amitabhem, synem państwa Bachchan, których rodzina Nehru znała od dawna. Jego ojciec był znanym poetą tworzącym w języku hindi, a zarazem deputowanym do parlamentu. Indira zwróciła się do nich z prośbą o udzielenie Soni gościny podczas jej wizyty w Indiach.

Lęki, jakie odczuwała podczas lotu, natychmiast zniknęły jakby nigdy nie istniały. Teraz miała całkowitą pewność, że mimo wszystkich przeciwności zrobiła dobrze, ulegając podszeptom serca. „Znowu byłam u jego boku, przekonana, że nic i nikt nie zdoła nas ponownie rozdzielić", napisała, wspominając swoje przybycie do Indii.

New Delhi, a przynajmniej okolica, w której zamieszkała, ze swymi szerokimi alejami wysadzanymi wielkimi, wiecznie zielonymi, kwitnącymi drzewami, to nie były takie Indie, jakie sobie wyobrażała. Dom Bachchanów stał przy Willingdon Crescent, alei figowców bengalskich. Angielscy urbaniści, którzy zaprojektowali New Delhi jako przyjemne do życia miasto - ogród, pragnęli, żeby każda aleja miała własny gatunek drzew. Janpath, dawna Droga Królewska, została wysadzona miodlą indyjską, świętym drzewem znanym z właściwości leczniczych; Akbar Road - tamaryndowcem indyjskim; przy Safdarjung Road, gdzie znajdowała się rezydencja Indiry Gandhi, rosło wiele wianowłostków

królewskich, nazywanych płomieniem Afryki, z zielonym listowiem i pomarańczowymi, błyszczącymi kwiatami. Niewielki ruch uliczny tworzyli rowerzyści, wozy ciągnięte przez osły lub wielbłądy, ryksze z żółtymi budami, hałaśliwie kichające motocykle, a także stare samochody marki Ambassador, repliki Morrisa Oxforda III z 1956 roku, które produkowano na licencji w Bengalu. Wszyscy ci użytkownicy dróg omijali stada krów pasące się swobodnie pośrodku. Nierzadko można było natknąć się na wóz zaprzęgnięty w woły, a czasami w słonie, transportujący towary. To było spokojne miasto, zamieszkane przez trzy miliony ludzi, pozbawione wielkich domów towarowych i centrów handlowych, z jednym luksusowym hotelem w sercu dzielnicy placówek dyplomatycznych.

Sonia została przyjęta z wielką serdecznością, jakiej można było się spodziewać w hinduskich domach. Wprawdzie Rajiv nie mógł opiekować się nią tak, jak zamierzał, ponieważ dwudziestego piątego stycznia zdawał egzamin na pilota handlowego, więc musiał zaliczać wymagane godziny lotów i intensywnie się uczyć, jednak jego kuzyni, przyjaciele, a nawet sama Indira Gandhi, starali się, aby pobyt Soni był jak najprzyjemniejszy. Choć spała w domu Bachchanów, znaczną część każdego przedpołudnia spędzała w domu narzeczonego. W owym czasie pani premier żyła niemal bez ochrony osobistej. Co rano w obecności zaledwie jednego strażnika przyjmowała ludzi w drzwiach swojego domu. Jej synowie również nie mieli żadnej eskorty, z wyjątkiem sytuacji, które uznawano za najbardziej ryzykowne.

Coraz to inni przyjaciele i członkowie rodziny pokazywali Soni miasto pełne parków i ogrodów, zabytków i wspaniałych gmachów wzniesionych po 1912 roku, kiedy to Anglicy zdecydowali się przenieść stolicę z Kalkuty do Delhi. Wytyczyli wówczas nowe miasto, w którym posadzili tysiące

drzew. Od niepamiętnych czasów roślinność była oczkiem w głowie władz Delhi. Niektóre ogrody ozdobiono mauzoleami i nagrobkami, stawianymi z myślą o tym, by zmarli czuli się szczęśliwi i spokojni. Inne zaprojektowane zostały dla ludu w akcie miłosierdzia, a jeszcze inne założyli królowie wyłącznie dla własnego użytku i korzyści. Rajiv szczególnie lubił spacerować o zmierzchu po ogrodach Lodhi z sadzawkami i rzędami gigantycznych palm otaczających nagrobek Muhammada Szaha, wzniesiony w stylu indomogolskim, kryjący szczątki tureckiej turkusowej okładziny zdobionej oryginalną kaligrafią. Było to popularne miejsce, w którym zakochane pary mogły się cieszyć chwilami spokoju i odosobnienia. Wożąc Sonię swoim motorem Lambretta, Rajiv pokazywał jej także imperialne New Delhi i atrakcyjne widoki zaaranżowane przez brytyjskich architektów, aby olśnić lub zastraszyć miejscową ludność. Sonia podziwiała majestatyczny widok z Bramy Indii - łuku triumfalnego, gdzie pali się wieczny ogień upamiętniający indyjskich żołnierzy poległych podczas dwóch wojen światowych. Oglądała imponujący gmach South Block, mieszaninę stylu mogolskiego z klasycyzmem, z fasadą ozdobioną płaskorzeźbami z kwiatami lotosu i słoniami, za którą mieściło się biuro Indiry Gandhi. Podziwiała pałac prezydenta, będący swego czasu rezydencją brytyjskiego wicekróla. Ten elegancki gmach o znakomitych proporcjach, wzniesiony z beżowego i czerwonego piaskowca, zwieńczony wielką miedzianą kopułą, jest przez wielu uważany za jeden z najpiękniejszych budynków XX wieku.

A gdzież są te Indie, o których opowiadano? Te inne Indie, które przerażały jej rodziców? Okazało się, że aby je ujrzeć, nie trzeba było wyjeżdżać daleko. Aby odkryć zupełnie inny świat, wystarczyło podążać szeroką aleją Rajpath i dotrzeć do Starego Delhi. Dookoła Czerwonego Fortu,

monumentu zbudowanego przez Szahdżahana (tego samego, który ufundował Tadź Mahal dla upamiętnienia swojej zmarłej żony), wrzał kolorowy i hałaśliwy tłum, który wydawał się uczestniczyć w gigantycznym karnawale zaklinaczy węży, zonglerów, wróżbitów, połykaczy mieczów oraz fakirów przebijających sobie policzki sztyletami. To właśnie tutaj były odwieczne Indie, te same, które rozlewały się również na uliczkach wokół Wielkiego Meczetu, pełnych straganów z odzieżą i barwnymi tkaninami, sprzedawców owoców, słodczy, lampionów i dziegciu, pucybutów, ulicznych fryzjerów i warsztatów, w których dzieci wyplatały dywany, a dorośli wytwarzali niezbędne narzędzia... Eksplozja życia, egzotyczny awanturniczny chaos, oszałamiający kolorem, hałasem i zapachami. I wszędzie, w zaułku, w głębi ogrodu, można było zobaczyć stary grób lub grobowiec, monument muzułmański lub hinduistyczny, pochodzący z głębi czasów i przypominający o tym, jak stare są Indie. Czy Nehru nie opisał swojego kraju jako „starego palimpsestu, w którym warstwa po warstwie zostały wyryte myśli i marzenia, a żadne nie zdołało zetrzeć tego, co napisano wcześniej”? (Nehru Jawaharlal, *The Discovery of India*, Penguin, New Delhi 2004)

Kiedy krążyli po niektórych dzielnicach, Sonia, siedząc z tyłu na motorze, oglądała spektakl biedy: nagie dzieci biegające po ulicach, starcy brzęczący swoimi miskami, ludzie, którzy myli się, spali i spełniali swoje wszystkie potrzeby na chodnikach. Ci ludzie nieco przypominali Soni biedaków z rodzinnej Lusiany w latach pięćdziesiątych, gdy jako dziecko widziała całe rodziny cierpiące głód i marznące zimą, okaleczonych weteranów, którzy wrócili poranieni z rosyjskiego frontu... Jednak nigdy dotąd nie widziała żebrzących trędowatych, którzy w New Delhi czatowali na samochody zatrzymujące się na światłach i demonstrowali

straszliwe deformacje swego ciała. Indie w 1968 roku miały tylu trędowatych, ilu mieszkańców liczyła Portugalia, tylu żebraków, że mogliby oni zaludnić kraj wielkości Holandii, jedenaście milionów świętych ascetów, dziesięć milionów dzieci poślubionych lub owdowiałych przed ukończeniem piętnastego roku życia. Codziennie rodziło się czterdzieści tysięcy dzieci, a jedna piąta ich nie dożywała pięciu lat. Ale te wskaźniki i tak były lepsze niż dwadzieścia lat wcześniej, w chwili uzyskania niepodległości. Niewielka poprawa warunków sanitarnych stworzyła wszakże jeszcze dokuczliwszy problem, wydłużył się bowiem okres reprodukcyjny Hindusów. W konsekwencji bolączką kraju stała się eksplozja demograficzna. Każdego roku populacja Indii zwiększała się o liczbę równą liczbie mieszkańców Hiszpanii. W tej sytuacji cały przyrost gospodarczy dosłownie zjadano.

Dla Soni wszystko dookoła było nowe i dziwne: kolory, smaki, ludzie. „Lecz najdziwniejsze ze wszystkiego były te oczy, podążające za mną wszędzie”. Sonia zaczynała poznawać Indie, odkrywając, jak ciekawi świata mogą być tubylcy. Szczególnie się to uwidaczniało w dniach, kiedy praktycznie nie było turystów. Jeśli cudzoziemiec skupiał na sobie powszechną uwagę, to dziewczyna z zagranicy przyciągała jeszcze więcej spojrzeń. Jeśli do tego była ładna i ubrana w modną w Europie minispódniczkę, stawała się natychmiast centrum życzliwego zainteresowania lub niekiedy obiektem hańby. Sonia musiała się nauczyć kontrolowania swoich gestów, ruchów i sposobu ubierania, ale nie zawsze było jej łatwo: „Absolutny brak prywatności i przymus powstrzymywania się z okazywaniem własnych uczuć to były wyczerpujące doświadczenia”. Publiczne przejawy emocji były źle widziane, nie tylko na ulicy, ale także w codziennym życiu. Jeśli ktoś był obok, nie mogła pocałować Rajiva, a

nawet trzymać go za rękę, żeby nie wywołać skandalu. Odkryła, że Indie są krajem wstydlwym, dziedzictwem wiktoriańskiej Anglii. Dla Włoszki trudną sprawą było też jedzenie. Sonia nie była przyzwyczajona do pikantnych przypraw ani do tak mocnych sosów, które według niej niszczyły smak potraw. Nie odpowiadał jej również zwyczaj spożywania kolacji w liczonym towarzystwie, kiedy dużo rozmawiano, szybko jedzono i pito, a następnie zbierano naczynia i wszyscy wychodzili w ciągu pięciu minut.

Prędko zdała sobie sprawę, że powodem spojrzeń, które tak intensywnie ją otaczały, nie była wyłącznie jej cudzoziemskość czy kobieca atrakcyjność. Sonia była również postrzegana jako nowy członek rodziny, która przez lata żyła zwrócona twarzą do publiczności. Wszystko, co robili i mówili lub - przeciwnie - czego nie zrobili lub nie powiedzieli, było drobiazgowo badane, analizowane i oceniane. Jak można żyć w taki sposób? - pytała siebie przerażona.

Mimo wszystko nie myślała o powrocie do Włoch. Znalazła świat bardzo odmienny i zostało jeszcze wiele dróg do przejścia, wiele do zbadania. Pragnęła w towarzystwie Rajiva dalej żeglować wśród tych fascynujących raf. Poza tym czuła się dobrze, otoczona sympatią i troskliwością otoczenia. Sanjay traktował ją jak siostrę i wyrozumiale, niekiedy z lekkim rozbawieniem czuwał nad jej adaptacją. Amitabh i jego rodzina również. Myśl o ponownej rozłące była dla obojga narzeczonych wręcz nie do przyjęcia. Po co tracić czas, po co wracać do Włoch i znowu czekać jak w agonii na ponowne spotkanie? Rajiv nie mógł planować przeprowadzki do Europy; chciał zaraz po otrzymaniu licencji pilota cywilnego zatrudnić się w Indian Airlines. Potem mogliby się przenieść do jakiegoś własnego mieszkania. Pozostanie w Delhi byłoby zatem łatwiejsze; wspólne życie wydawało się

na wyciągnięcie ręki. To Sonia musiała uczynić krok, musiała zaryzykować opuszczenie swego kraju i rodziny na czas nieokreślony. Przybyła tu, by poznawać Indie i miejscowe zwyczaje, ale nie potrzebowała już wiedzieć niczego więcej, ponieważ jeszcze przed wejściem do samolotu podjęła w głębi duszy decyzję, że będzie posłuszna nakazom serca. Nawet gdyby oznaczało to zrobienie czegoś wbrew samej sobie. Nawet nie chciała wyobrażać sobie miny ojca, kiedy mu zakomunikuje, że nie wraca i wychodzi za mąż.

Indira była zaskoczona, kiedy usłyszała, że Sonia jest gotowa zostać i że młodzi zamierzają się pobrać. Mijały dokładnie trzy lata od chwili, gdy poznali się w Cambridge. Dotrzymali wszystkich terminów, wypełnili wszystkie nakazy, a teraz nadszedł moment podjęcia ostatecznej decyzji. Indira była świadoma, że przybycie młodej Włoszki doprowadziło do niewielkiej rewolucji w światku towarzyskim New Delhi, choć ani Sonia, ani Rajiv do tego nie dążyli. Sama jej obecność, fakt, kim jest jej przyszła teściowa, okoliczność, że po raz pierwszy ktoś z rodziny Nehru zamierza poślubić cudzoziemkę z innego kontynentu - wszystko to dało początek najrozmaitszym przypuszczeniom. Choć Delhi było stolicą kraju o siedmiuset milionach mieszkańców, towarzystwo było niewielkie, konwencjonalne, a wybitne rodziny znały się nawzajem. W kręgach plotkarskich komentarze były w większości pochwalne - jaka ładna! Ale inni czynili aluzje do jej braku „rodowodu” - jest nikim albo nawet gorzej, „jest z niskiej kasty”; do jej sposobu ubierania się - „chce zwrócić na siebie uwagę”; nawet do samej jej obecności - „co ten chłopak w niej widzi?”; czy wreszcie uczuć narodowych - „nie mógł sobie znaleźć lepszej dziewczyny na miejscu?”. Ni stąd, ni zowąd, Sonia stała się rywalką wielu ładnych dziewcząt z dobrych domów, zwłaszcza w oczach ich matek, które nie

mogły się pogodzić z myślą, że cudzoziemka, obca, zabiera im sprzed nosa jedną z najlepszych partii w kraju.

„Po tygodniu - opowiadała Usha Bhagat, sekretarka Indiry - pani Gandhi zdała sobie sprawę, że oboje młodzi traktują się bardzo serio i że dalsze czekanie niczemu nie posłuży. Fakt, że pokazywali się razem w mieście, mnożył plotki, a najlepszym sposobem na ich ucięcie było pozwolić im się pobrać". Lecz kiedy Rajiv zapowiedział matce, że jak tylko znajdzie pracę, wyprowadzą się do własnego mieszkania, Indira postawiła mu jeden warunek: „Ożenić się poza swoją społecznością to jedno, ale żyć osobno to już coś całkowicie sprzecznego z hinduskim modelem jednej rodziny wielopokoleniowej. Będą nas wytykali palcami i oskarżają, że porzucamy nasze tradycje, ulegając modzie Zachodu". Gdyby Rajiv był Europejczykiem albo miłośnikiem cywilizacji europejskiej, prawdopodobnie nie posłuchałby matki i - tak jak zamierzał - zamieszkałby z żoną. Ale był Hindusem, w Indiach zaś dzieci przestrzegają tradycji, zwłaszcza gdy należy dać przykład. Rozwiązanie konfliktu nadeszło samo, ponieważ Sonia zgodziła się na warunek, który większość kobiet z Europy Zachodniej uznałaby za niemożliwy do zaakceptowania. Z całą świadomością podjęła wysiłek uszanowania zwyczajów panujących w Indiach, gdzie małżeństwo było bardziej sprawą rodzinną niż indywidualną, gdzie harmonia między członkami rodziny była ceniona wyżej od indywidualnej fascynacji. Sonia powinna była zostać integralną częścią rodziny swego męża, żyć na sposób indyjski w jego rodzinnym domu przy Safdarjung Road numer 1, pod wspólnym dachem z teściową, szwagrem i jego rodziną, gdyby któregoś dnia się ożenił. Dokonała wyboru z miłości, ale życie w rodzinie nie przerażało Włoszki, która spędziła dzieciństwo w wiosce, gdzie familia Mainów tworzyła wielki klan. Przekonywała samą siebie, że jeśli nie będzie samotna,

będzie bardziej bezpieczna. We wszystkim znajdowała pozytywną stronę: to właściwość uczucia, które działa jak narkotyk.

Datę ślubu ustalili na 25. dzień lutego. Wszystko zaplanowano bardzo szybko, ale tak było lepiej. Indira nie chciała, żeby ślub syna stał się sprawą narodową, jak to zdarzyło się w jej przypadku. Opowiedziała Soni i Rajiwowi, że miała przeciwko sobie cały kraj, jakby każdy jego mieszkaniec uważał za swój obowiązek wydawać opinie. Tysiące listów i telegramów zalały Anand Bhawan, jedne obraźliwe, większość wroga, niektóre z życzeniami. Były powody takiej żywiołowej reakcji. Feroz i Indira naruszyli dwie bardzo głęboko zakorzenione tradycje: nie zawierali związku uzgodnionego przez rodziny i nie pobierali się „w obrębie jednej wiary”. Ten drugi powód rozwścieczył zwłaszcza ortodoksyjnych hinduistów. Teraz historia się powtarzała. Dzieci dziedziczyły po swoich rodzicach nie tylko cechy fizyczne i zdolności, ale także ich konflikty, sprzeczności i życiowe sytuacje.

„Kochani Rodzice - pisała Sonia. - Jestem bardzo szczęśliwa. Wysyłam ten list, żeby Was zawiadomić, że Rajiv i ja niebawem się pobieramy. Wszystkich Was oczekuję tutaj dwudziestego piątego lutego...” Nie przypuszczała, że w chwili, gdy jej list dotrze do adresatów, informacja o ślubie zostanie już rozpowszechniona przez media całego świata. Jeden z dziennikarzy turyńskiego dziennika „La Stampa” zaraz przyjechał do jej rodzinnego domu przy via Bellini 14. „Rodzice i siostry przeżywają chwilę ogromnego napięcia - napisał. - Telefon nie przestaje dzwonić, a fotoreporterzy oczekują w kolejce przed drzwiami. Pięćdziesięcioletni ojciec jest człowiekiem małomównym: «Całe życie pracowałem, by zapewnić przyszłość moim córkom... O ślubie najlepiej rozmawiać, kiedy do niego dojdzie, albo byłoby

lepiej nie musieć o nim mówić nigdy» - oświadcza tonem pozwalającym się domyślać, że jest przygnębiony. Jego czterdziestopięcioletnia żona Paola nie jest w stanie powstrzymać łez. «Przeraża mnie myśl, że córka będzie żyła w miejscu tak odległym» - mówi. Pytani o narzeczonego dodają: «To chłopak spokojny, wykształcony i poważny», a na pytanie, czy pojedą na uroczystość, ojciec odpowiada: «Obawiam się, że pragnienie Soni może się nie spełnić. Pojedzie tylko moja żona, mam zbyt dużo pracy i nie mogę tracić czasu. Będę z Sonią myślami»".

Miał to być ślub cywilny, bo nie mógł mieć charakteru religijnego. Prosty i krótki, nie dziwaczny kilkudniowy ślub „na sposób indyjski”. Indira była przeciwna pompie i rozrzutności ślubów urządzanych po to, aby pochwalić się znajomościami, władzą i pieniędzmi. Nehru nie potrzebowali się chełpić. Ale, owszem, potrzebowali przestrzeni do życia. Kolonialna willa, którą rząd przyznał Indirze, gdy została premierem, była już zbyt mała, dlatego sekretarki i asystenci pracowali pod daszkami w ogrodzie. Po oddaniu młodej parze pokoju i małego salonu w głębi domu, z niezależnym wyjściem do ogrodu, wszyscy byliby jeszcze bardziej stłoczeni. Indira namówiła więc swój gabinet, by powiększyć budynek. Robotnicy szybko rozpoczęli prace.

Zgiełk przygotowań pochłonał nagle wszystkich członków rodziny, a zwłaszcza Sonię. Nie spodobała jej się konieczność zamiany dopasowanych spodni na sari - strój, w którym wydawała się sobie śmieszna. Nie zdołała go polubić ani dobrze się w nim poczuć, obawiając się, że w każdej chwili sześć metrów materiału, w który była spowita, może się rozwinąć i spaść. Postrzegała siebie jako białą turystkę, która przebiera się w jaskrawe sari, aby zrobić sobie zabawne zdjęcie i pokazać je po powrocie w swoim kraju. Ale dla Soni sari było jednak czymś znacznie ważniejszym. Oznaczało

pierwszy krok w procesie hinduizacji. Prędzej czy później będzie musiała się przyzwyczać.

Należało się zająć mnóstwem szczegółów: sporządzić listę gości, opracować zaproszenia, zrobić próby fryzury, makijażu etc. Sonia była oszołomiona, ponieważ na domiar złego nie najlepiej rozumiała angielski o charakterystycznym mocnym akcencie, którym posługiwali się Hindusi. W głębi duszy pragnęła, by wszystko jak najszybciej mieć już za sobą.

Z natury nieśmiała, nie czuła się dobrze, będąc w centrum uwagi, choć nie mogła niczego zrobić, by temu zapobiec. Była oblegana przez paparazzich, kiedy pierwszy raz wyszła z rodziną jako oficjalna narzeczona Rajiva, aby uczestniczyć w pokazie mody Pierre'a Cardina w hotelu Ashok w New Delhi. Obszerny reportaż w czasopiśmie „Femina” opisywał to wydarzenie. Siedząc między Rajivem a Sanjayem i rozmawiając z Indirą, Sonia wyglądała bardzo ładnie. Spadające na ramiona gładkie włosy nakrywało sari z drukowanego jedwabiu. Fotografia zapowiadała doskonałą harmonię rodzinną. Wychodząc z pokazu, Sonia błyskotliwie odpowiedziała na podstępne pytanie dziennikarza: „Mam zamiar poślubić Rajiva, a nie syna premiera”. Było nieuniknione, że wielu postrzegało Sonię jako osobę ambitną i dbającą o własne korzyści, która właśnie złowiła grubą rybę. Wprawiało ją to w głęboki smutek i oburzenie. Kiedy jakaś dziennikarka spytała ją, co myśli o zamieszkaniu w Indiach, tak daleko od swojego domu, Sonia podniosła wzrok na narzeczonego i z nieśmiałym uśmiechem powiedziała: „Z Rajivem poszłabym na koniec świata”.

Ale czy Indie nie były w owych czasach końcem świata? Dla rodziny Maino zapewne były. Ledwo mieli czas, żeby zorganizować wyjazd. W końcu pojechała tylko matka Soni, jej siostra Anushka i wujek Mario, który miał zastąpić ojca i oddać oblubieńcowi rękę swej młodej siostrzenicy. Przybyli w

przeddzień ślubu, kiedy w ogrodzie przyjaciół, u których Sonia nocowała, odbyła się ceremonia mehendi, będąca hinduskim odpowiednikiem pożegnania panny młodej. Zgodnie z popularną tradycją dłonie i stopy wybranki pokrywa wówczas skomplikowany czerwony wzór ze sproszkowanych liści henny, mający zapewnić szczęście w małżeństwie.

Choć w obrzędzie nie powinien uczestniczyć narzeczony ani jego rodzice, w tym wypadku zrobiono wyjątek. Zarówno Rajiv, jak i jego matka byli obecni, pragnąc przywitać przybyłą z Włoch rodzinę Soni. Indira była serdeczna i niezwykle uprzejma dla Paoli, która paliła się z niecierpliwości, by zobaczyć córkę. Wszędzie szukała jej wzrokiem. Kiedy ją wreszcie ujrzała, przestraszyła się: - O mamma mia!

Była bliska płaczu. Nie rozpoznała swej córki! Sonia, z głową nakrytą czerwono-fioletowym welonem, ubrana była w czerwoną, sięgającą ziemi spódnicę, typową dla Kaszmiru, i czerwoną haftowaną bluzeczkę. Przyozdobiona bransoletkami, naszyjnikami i tiarą ślubną wykonaną z nawleczonych płatków tuberozy i jaśminu - nazywaną „kwietną biżuterią” - na czole miała tilak, czerwoną kropkę symbolizującą trzecie oko, to, które jest zdolne widzieć więcej niż zmysły. Jej dłonie, ramiona i stopy były całkowicie pokryte dziwnymi tatuażami z henny, pasty uzyskiwanej ze zmielonych gałęzi pewnego krzewu. Tatuaże przedstawiały arabeski i zawile rysunki. Kiedy Paola nieco ochłonęła, podeszła i czule objęła córkę: „Lepiej, że twój tato cię teraz nie widzi” - powiedziała poruszona. Biedny Stefano, oddalony o osiem tysięcy kilometrów, był smutny. W barze Nina podzielił się obawami dotyczącymi Soni ze swym serdecznym przyjacielem, mechanikiem Danilem: „Rzucą ją na pożarcie tygrysom!” Ileż racji miał były pasterz z gór Asiago!

Dziewczęta natychmiast otoczyły Anushkę i Paolę i zaproponowały, że pomalują im ręce. Nakładając hennę, tłumaczyły im znaczenie tej tradycji: im czarniejsze wyjdą rysunki na rękach narzeczonej, tym więcej miłości zazna w małżeństwie. Im trudniej będzie ich się pozbyć, tym dłużej będzie trwała namiętność. Paola i Anushka popatrzyły na arabeski Soni: były tak czarne, jakby namalowano je tuszem.

Właściwy ślub odbył się w ogrodzie domu przy Safdarjung Road 1 następnego dnia o szóstej po południu. Indira poszukała w swoich szafach sari, które specjalnie przeznaczyła dla Soni na tę uroczystość - to samo, które miała na sobie na własnym ślubie, a które Nehru utkał dla niej podczas długich godzin w więzieniu, kiedy ostatecznie zaakceptował jej wolę poślubienia Feroza. Sonia rozpoznała ten strój, bo widziała go na wystawie w Londynie, i od razu przypomniały jej się słowa Rajiva: „Mam nadzieję, że któregoś dnia ty je włożysz...” Wówczas uznała to za żart. Wtedy jeszcze marzyła, że ślub weźmie w bieli. Teraz przyjęła to za zaszczyt i znak miłości, nie podejrzewając ani przez moment, że przywdziawszy to szkarłatne sari, sama zaczyna tworzyć historię Indii.

Drobny incydent rozzłościł Rajiva - odkrył, że wśród gości są dziennikarze. To była jego uroczystość i nie chciał ani rozgłosu, ani zamieszania. Tego dnia pragnął być tylko Rajivem, a nie synem najważniejszej osoby w państwie, co mogło świadczyć jedynie o wielkiej naiwności. Odmówił wyjścia z domu, dopóki nie wyrzucono paparazzich. Indira cierpliwie starała się go uspokoić. Ochłonął dopiero wówczas, kiedy marsz weselny Mendelssohna oznajmił przybycie panny młodej. Na jej spotkanie wyszedł do ogrodu, gdzie czekało dwustu zaproszonych gości, przyjaciele i znajomi rodziny. Ujrawszy, jak wchodzi pod rękę z wujem Mariem, Rajiv zmienił się na twarzy. Sonia wyglądała wspaniale. Była

obrazem doskonałej elegancji: włosy zebrane do tyłu w kok spięty broszką z płatków jaśminu, skóra lśniąca dzięki maseczce z kurkumy, którą nałożono jej kilka godzin wcześniej, prosta bransoleta ze srebra, oczy pomalowane kholem, a twarz podkreślona kolczykami z kwiatów. Tworzyli piękną parę. On miał na sobie białe wąskie spodnie, długą bluzę w kolorze kremowym z guzikami pod szyję, łososiowy turban (takie same włożyli jego przyjaciele i kuzyni) i miękkie buty z zawiniętymi do góry czubkami. Wyglądał jak książę z Tysiąca i jednej nocy. Po rytualnej wymianie girland młodzi skierowali się do narożnika ogrodu, gdzie wokół stołu zasłoniętego wielkim parawanem z kwiatów splecionych w wiszące kiście zgromadzili się członkowie najbliższej rodziny. Złożyli podpisy w rejestrze cywilnym i wymienili obrączki. Sonia starała się panować nad emocjami. Za każdym razem, gdy krzyżowała Spojrzenie z matką, miała ochotę się rozpłakać. Woląca wówczas popatrzeć w oczy Rajiva, aby znaleźć siły.

Wuj Mario wydawał się zagubiony; patrzył na swoją siostrzenicę z czułością i lekkim pobłażaniem. Paola trzymała fason, choć w głębi duszy ten ślub bez kapłana sprawiał jej okropny ból. Ceremonię zakończyły odczytane przez Rajiva, a wybrane specjalnie przez jego matkę wersy Rygwedy:

Delikatnie wieje wiatr,
Łagodnie płynie rzeka,
Niech dni i noce przyniosą nam szczęście,
Niech szczęście da pył ziemi,
Niech owoce drzew uczynią nas szczęśliwymi,
Niech Słońce otoczy nas szczęściem...

I to wszystko. Kiedy nowożeńcy wyszli z kręgu, powitał ich deszcz kwiatnych płatków i pokaz sztucznych ogni, osobiście przygotowany przez Sanjaya. Ceremonia nie mogła być prostsza. Tak chciała Indira, lekceważąc postulat

hinduistycznych ortodoksów, którzy żądali pełnej ceremonii religijnej. Kiedy sama wychodziła za mąż, Nehru, pragnąc uniknąć konfliktu, poprosił ją, aby zgodziła się na ślub w rycie hinduistycznym. Musiała siedem razy okrążyć święty ogień i wysłuchać niekończących się mantr. Ustąpiła, ale teraz wzięła rewanż. Była twardsza od swego ojca. Nie płakała podczas ceremonii własnego ślubu, za to oczy Nehru były wilgotne.

Po południu Sonia przeprowadziła się z domu, w którym gościła, do nowej rezydencji. W wyniku rozbudowy powiększono główny salon, a Indira umeblowała go w tonach pastelowego różu i zieleni mchu; przesuwane drzwi otwierały się na ogród z ogromnymi drzewami i krzewami, wśród których latały ptaki i motyle.

Nowe mieszkanie Soni - duży, wygodny pokój dodany w głębi domu - jeszcze pachniało gipsem. Paola przywiozła jej ubrania z Włoch, trochę książek, płyt, a nawet gazety zabrane z samolotu, ponieważ sądziła, że córka odczuwa tęsknotę za ojczyzną. Siedząc na łóżku, Sonia spojrzała na nagłówki: „Wiatr powoduje drżenie krzywej wieży w Pizie”, „Lucia Bose poprosiła o ochronę dla swoich dzieci”, i na wywiad z pierwszym człowiekiem, który przeżył piętnaście dni z przeszczepionym sercem, niejakim Blaibergiem z Afryki Południowej. Wydawało jej się, że wszystkie te informacje pochodzą jakby z innej planety, z obcego jej świata. Podczas gdy Rajiv zdejmował przed lustrem w łazience okazały turban, a liczni służący wchodzili i wychodzili, patrząc na nią z ukosa, Sonia zdała sobie sprawę, że już nie ma możliwości odwrotu. Kości zostały rzucone. W jaki sposób doszła aż do tego miejsca? Była nawet zdziwiona swoją determinacją. Przecież zawsze unikała wszelkiej konfrontacji, a teraz odważyła się nawet wystawić na ciężką próbę stosunki z własną rodziną. Wprawdzie udało jej się osiągnąć szczęście, bliską obecność Rajiva, ale to uczucie mieszało się z troską. Z bólem spowodowanym nieobecnością ojca. Z żalem, że nie może dzielić najważniejszej chwili swego życia z wszystkimi, których kocha, z przyjaciółkami z dzielnicy, z kolegami, ze swoimi dawnymi nauczycielkami... Z nostalgią pożegnania z dzieciństwem, rodzicami, miasteczkiem i krajem. Z cierpieniem wywołanym przez spojrzenie w oczy matki,

udręczonej tymi „egzotycznymi” obyczajami i myślą, że jej córka zamieszka z teściową, która jest premierem. Ta nowa sytuacja rozbiła harmonię rodziny Mainów i Sonia czuła się temu winna. Ale to przeznaczenie umieściło ją w tym miejscu, dążąc do tego konsekwentnie od chwili, gdy w ogrodach katedry Ely ścisnęła rękę Rajiva w odpowiedzi na jego nieśmiałe zaloty. Nikogo nie dziwiła ta melancholia, ponieważ według indyjskiej tradycji odejście dziewczyny z domu ojca do rodziny pana młodego to chwila wielkiego smutku. Większość panien młodych płacze, a ich przyjaciele i krewni są zasmuceni. Sonia nie zamierzała płakać, ale miała ściśnięte serce.

Następnego dnia po południu odbyło się przyjęcie w Hyderabad House, pałacu w stylu anglo - mogolskim, który nizam Hajdarabadu kazał zbudować w 1928 roku dla swojej ukochanej, a który teraz służył rządowi jako rezydencja zagranicznych dygnitarzy, miejsce wielkich medialnych wydarzeń i konferencji prasowych. Przybyło około tysiąca osób - przyjaciół rodziny, kolegów z partii, polityków, dyplomatów, dziennikarzy, artystów etc. - spragnionych zobaczyć z bliska zagraniczną pannę młodą i naocznie się przekonać, czy pogłoski, jakie słyszeli, są prawdziwe. Wszyscy pokazywali przy wejściu pozłacane zaproszenia, które otrzymali z biura pani premier. Sonia, opatulona w inne wspaniałe sari, czuła się jak zwierzę w zoo. Wydawało jej się, że kobiety przeszywają ją spojrzeniami, starając się zgadnąć, z jakiej gliny została ulepiona. Większość z nich jeździła za granicę i była świadoma tego, jak różne są Indie od Europy. Niektóre patrzyły na nią ze współczuciem, inne z zazdrością, inne z wyraźną sympatią. Nadeszła pora kolacji, którą jedzono, siedząc na podłodze, tak jak w Kaszmirze.

Przy dźwiękach niewielkiej orkiestry wykonującej klasyczną muzykę indyjską zaproszeni goście próbowali

tradycyjnych dań doprawionych cynamonem, kardamonem, szafranem i goździkiem: jagnięciny z brukwią, kurczaka ze szpinakiem, ryby z korzeniem lotosu... Były również kartofle w sosie jogurtowym i smażony świeży ser dla wegetarian. Krewni Soni mogli jeść potrawy włoskie, a wujowie Rajiva potrawy parsów. Na koniec podano przepyszna kaszmirską zieloną herbatę Kavha. Ale nie było to nadmiernie ostentacyjne przyjęcie. „Budżet był niewielki” - wyznała Usha, sekretarka Indiry.

Zabrakło również pieniędzy i czasu na podróż poślubną. Ponieważ Rajiv chciał pokazać krewnym Soni nieco Indii, wszyscy wybrali się do romantycznego Radżastanu, ziemi dawnych panów feudalnych, najbardziej fascynującego regionu na subkontynencie. Trudno było uwierzyć, że tak blisko metropolii istniały niemal średniowieczne wsie, bez światła i bieżącej wody, za to olśniewająco piękne. Gdzie na placu targowym prezentowali się obok siebie przedstawiciele wszystkich tradycyjnych indyjskich zawodów: sprzedawcy używanej odzieży, wędrowni dentyści, rolnicy siedzący w kucki przy swoich straganach z jarzynami, krawcy, kowale, stolarze, jubilerzy... Kozy, krowy i wielbłądy kręciły się między stosami kolorowych przypraw - szafranu w kolorze ochry, żółtej kurkumy, czerwonego tureckiego pieprzu. W drodze do Parku Narodowego Ranthambhaur widzieli na połach płamy w kolorze żółtym, czerwonym, różowym. To były turbany rolników i pasterzy, którzy chodzili wśród ochrowego pyłu, jaki wznosiły stada. Ich żony, ubrane w takie same barwy, z klejnotami ze starego srebra i półszlachetnych kamieni, wydawały się raczej księżniczkami niż wieśniaczkami.

Park Narodowy Ranthambhaur został utworzony w 1953 roku na terenie dżungli, która powinna zapewnić przetrwanie tygrysom. Na wzniesieniu dominującym ponad parkiem

pozostała ogromna twierdza z ruinami licznych świątyń, pałaców, nagrobków, uwieczonych w korzeniach gigantycznych drzew kapokowych. Wśród wzgórz pokrytych zielenią i lagun srebrzystej wody można było zobaczyć jelenie, antylopy, niedźwiedzie, szakale i dziki. Jeśli komuś dopisało szczęście, to o świcie mógł dostrzec tygrysa. Rajiv lubił to miejsce, ponieważ jednoczyło ono jego dwie pasje: zamiłowanie do zwierząt i do fotografii. Myślał, że rodzina żony zabierze stąd dobre wspomnienie i przyjemny obraz Indii. W tym buszu nie było widać ludzkiej nędzy. Opowiedział im, że on i jego brat spędzili dzieciństwo w otoczeniu zwierząt, a w ogrodach Teen Murti mieli prawdziwy zwierzyniec. Wielu jego mieszkańców zostało przekazanych Nehru w darze od szefów państw lub krajowych polityków. Mieli papugi, gołębie, wiewiórki, krokodyla i pandę z Himalajów o imieniu Bhimsa, prezent stanu Asam. Mieli również trzy małe tygryski. Rajiv je uwielbiał i przeżył w dzieciństwie wielkie zmartwienie, kiedy musiał się rozstać z jednym z nich, bo dziadek zdecydował się podarować go marszałkowi Tito.

W drodze powrotnej do Delhi zatrzymali się w wiosce, w której odbywał się ślub. Był to autentyczny indyjski ślub, barwny i hałaśliwy. Pan młody o twarzy zakrytej kurtynką z kwiatów pojawił się na mizernej białej kłacz, nakrytej aksamitnym dywanem haftowanym złotem. W rytm bębnów i tamburynów jechał naprzód, kłaniając się pannie młodej, która oczekiwała go pod namiotem. Rodziny były bardzo dumne, że obcy zechcieli uczestniczyć w ceremonii, i natychmiast ugościli ich herbatą i słodyczami. Kiedy narzeczony zsiadł z konia, kapłan zaprosił młodych, aby się oficjalnie poznali. Powoli i nieśmiało każde z nich zdjęło welon drugiemu. Wesoła twarz chłopca pojawiła się przed oczami przestraszonej panny młodej, dziewczynki, która nie mogła

mieć więcej niż dwanaście lat, delikatnej i płochliwej jak ptaszek. Jej rodzina obserwowała to ze źle skrywanymi emocjami. Rajiv wziął na siebie rolę tłumacza, nie tylko języka, ale i zwyczajów. Ten prosty ślub, który wydawał się tak niewinny i nieszkodliwy, skrywał w sobie wiele prawdziwych chorób społecznych dręczących Indie. Małżeństwa dzieci narażały małe dziewczynki na macierzyństwo, skutkujące dużą śmiertelnością lub zdrowotnymi problemami matki i dziecka. Ponadto rodzice panny młodej, którzy sprawiali wrażenie biednych rolników, z całą pewnością zapożyczyli się na wiele lat, aby zapłacić posag, niezbędny warunek wydania córki za mąż. I choć wszystko to wyglądało ładnie i malowniczo, jednak zwyczaje te stale pogrążały ludzi niezamożnych w biedzie. To tam Sonia usłyszała po raz pierwszy o zwyczaju sati, jeszcze sporadycznie praktykowanym w regionie. Goście komentowali niedawny przypadek, który zdarzył się niedaleko od miejsca, gdzie się znajdowali, i stał się narodowym skandalem. Młoda wdowa rzuciła się na stos pogrzebowy męża. Policja badająca to zdarzenie nie zdołała ustalić wszystkich okoliczności. Opinie gości ślubnych były podzielone: jedni mówili, że wdowa była świętą, ponieważ miała odwagę stać się sati; inni zaś twierdzili, że znajdowała się pod wpływem narkotyków i że zmuszono ją do rzucenia się w ogień, aby nie mogła odziedziczyć żadnych dóbr małżonka... Rajiv przychylił się do tej drugiej wersji. „Jak można modernizować ten kraj?” - zdawał się pytać sam siebie, kiedy prowadził samochód w stronę Delhi, myśląc o ogromnym zadaniu, które spadło na jego matkę.

Nadeszła godzina, w której Sonia musiała pożegnać się z krewnymi. Odprowadziła ich na lotnisko. Uściskała matkę i domyślając się, jaką udrękę musi ona przeżywać, załamała się i wybuchnęła płaczem. Dla matki było to prawdziwe

pożegnanie: oni wracali do domu, do ojczyzny, Sonia zostawała w tym dziwnym kraju, sama, bez nich. Nigdy dotąd rzeczywistość nie objawiła się Jak surowo i boleśnie. Obie wylały morze łez, choć nie były specjalnie skłonne do płaczu, co czyniło scenę pożegnania jeszcze bardziej rozdzierającą.

- Pisz do mnie dużo, dzwoń często...

- Przyrzekam ci, mamma.

W samochodzie, który wiozł ją z lotniska do domu, Sonia osuszyła sobie twarz. Migwały jej w pamięci błyski szczęśliwych chwil dzieciństwa w Lusianie, kiedy z ojcem i matką wychodziła wydoić krowy albo gdy przyjaciółki i kuzynki przybywały na jej urodziny, niosąc prezenty. Jakże odległe wydawało się to życie! Zdała sobie sprawę, że pozostając w Indiach, zaczyna od zera. Stałe napięcie i ostatnia krzątanina wyczerpały ją i zdeprymowały. Pragnęła jak najszybciej zobaczyć Rajiva. Tylko on mógł ją pocieszyć, ponieważ tylko on nadawał sens wszystkim tym niepokojom.

Lecz Rajiva już nie było w domu, pojechał na kurs do aeroklubu. Sonia skierowała się do swojego pokoju. Skoro nie było męża, wołała zostać sama, rzucić się na łóżko i wypłakać, wypędzić melancholię i czekać na jego powrót. Ale gdy tylko otworzyła drzwi, zobaczyła na łóżku kopertę z pieczętą biura pani premier. Otworzyła ją. Był to liścik od Indiry: „Soniu, wszyscy cię bardzo kochamy”. Jej twarz się rozjaśniła, melancholia wyparowała jakby za sprawą czarów. Sonia wyszła z pokoju uśmiechnięta.

Życie codzienne w domu Gandhich rozpoczynało się wcześnie, niemal o świcie. Kiedy Sonia się budziła, Indira była już w głębi ogrodu i jak co dzień rozmawiała z biedakami, którzy przychodzili na swój darśan. Następnie wsiadała do samochodu, który zawoził ją do biura w South Block, gdzie spędzała całe przedpołudnie. Po południu zwykle pracowała w prywatnym biurze, które pełniło funkcję siedziby Kongresu, a znajdowało się przy Akbar Road 1, w odległości około pięćdziesięciu metrów od domu. Prowadziła tam przyjemna droga przez wiecznie zielony ogród, z grządkami kwiatów i aromatycznymi roślinami. Rząd właśnie rozbudował jej dom, aby mogła w nim pomieścić wszystkich domowników.

Rajiv także wychodził wcześnie na swoje lekcje latania. Bez trudności zdał egzamin na pilota cywilnego i obecnie odbywał praktykę w Indian Airlines. Pilotował DC - 3, sławną dakotę, samolot ze swych dziecięcych marzeń. Jego brat Sanjay był zajęty projektowaniem „narodowego” samochodu, przystosowanego do indyjskich dróg. Każdy członek rodziny wiódł niezależne życie, a Sonia spędzała dużo czasu w samotności. Czasu, który pozwalał jej obserwować krzątanie i wrzawę dużego hinduskiego domu i adaptować się do szybko nadchodzącego upału. Upału suchego, intensywnego i piekącego, nieuchronnie narastającego dzień po dniu, aż do monsunowych deszczy, które zazwyczaj rozpoczynały się w czerwcu. Sonia nie lubiła klimatyzacji, ponieważ obawiała się, że może mieć przez nią atak astmy. Wolała przebywać pod skrzydłami wentylatora zawieszzonego u sufitu. Dopiero teraz pojęła, dlaczego służący poruszają się tak wolno. Na początku wydawali jej się próżniakami, teraz zrozumiała, że upał, podobny do występującego tylko w marcu włoskiego ferragosto, osłabia mięśnie i wolę. Służby nie było dużo jak na

dom premiera. Na ogół zatrudniano dziesięciu lub piętnastu służących, a każdemu przydzielano zajęcie typowe dla jego kasty. Chociaż Nehru i Gandhi w konstytucji nowego niepodległego państwa oficjalnie znieśli podziały kastowe, w rzeczywistości wpływały one nadal na sposób zachowania, przede wszystkim w najniższych warstwach społeczeństwa i w rejonach wiejskich. W żadnym domu rodziny Nehru, pomimo wielkich starań, nie dało się zwalczyć tej hierarchizacji życia. Nie sposób było wymazać jednym pociągnięciem tysięcy lat historii. Tradycja rządziła nadal i ten, kto podawał do stołu, nie był tym samym, który z niego zbierał, szofer prowadził, ale nie mył samochodu, kucharka gotowała, lecz nie zmywała naczyń; ci, którzy zamiatali podłogę, nie myli łazienek, etc. Rodzina Nehru zatrudniała mniej ludzi, niż to było w zwyczaju, mimo to Sonia nie była przyzwyczajona do wiecznej obecności służących, którzy przemierzając się bezgłośnie po korytarzach, potrafili ją śmiertelnie przestraszyć. Chyba najbardziej przeszkadzały jej niedyskretne spojrzenia. Niejeden raz, gdy zamknęła się w łazience, zrywała się nagle, zauważywszy sprzątacza, kościstego mężczyznę o poczerniałej skórze, który w kucki, ze szmatą w ręce, zaszył się gdzieś w kącie. Stopniowo nauczyła się tego, czego musiały się nauczyć żony dyplomatów rezydujących w Indiach: dzielić życie z tą gromadą ludzi, potrafić nimi kierować, mieć cierpliwość do sweepers, zamiataczy, którzy tylko przesuwiają pył z jednego miejsca w drugie, kierować każdym zależnie od jego rangi czy religii w taki sposób, by w żadnym momencie nie odczuwali, iż „tracą kastę”, prowadzić ich do lekarza, jeśli zachorowali, ponieważ nie istniało ubezpieczenie społeczne, etc.

Nawet dom pani premier nie był wolny od krzątaniny codziennego życia hinduskich miast. Przed południem Sonia słyszała malowniczych wędrownych sprzedawców,

zachwalających z ulicy śpiewnymi głosami swoje towary. Jedni pchali wózki z jarzynami i owocami, inni dźwigali skrzynki pełne słodyczy, jeszcze inni przynosili mleko albo gazety... Od czasu do czasu człowiek z tańczącą małpką i niedźwiedziami zapraszał na spektakl. Przybywali również sprzedawcy materiałów, niosąc toboły z obrusami i serwetkami stołowymi, tkanymi ręcznie, gładkimi lub drukowanymi, z najcieńszej bawełny lub z surowego jedwabiu, wielobarwnymi lub białymi. Krawiec siadał na werandzie, szyjąc całe przedpołudnie, podczas gdy Sonia, zafascynowana, oglądała bransolety ze szlifowanego kryształu, które oferował jej wędrowny sprzedawca wpuszczony przez służbę, pewną, że zdoła nieco rozerwać młodą panią. Przez drzwi i okna otwarte na ogród wpadały zapachy kwiatów i świeżo skoszonego, zroszonego trawnika, który z biegiem dni żółkł coraz bardziej.

Sonia często pojawiała się w biurze, w którym pracowały dwie osobiste sekretarki jej teściowej. Jedna z nich, Usha, wspominała, że przychodziła, aby zadawać im najróżniejsze pytania na temat indyjskich zwyczajów. Jak się dopasowuje sari? Jak się obchodzi urodziny? Jaki prezent przynosi się niemowlakowi na święto pierwszego obcięcia włosów? Jak się mówi w języku hindi „zamknij drzwi”? I tak dalej. One żartowały z niej, że ma nie jedną, lecz aż trzy teściowe. Prawdę mówiąc, Indirę zaledwie widywała, ponieważ teściowa była bardzo zajęta, aczkolwiek jej obecność zawsze się wyczuwało. Była główną postacią rodziny. Pewnego dnia Sonia weszła do biura Ushy bardzo przejęta. Przyniosła list, jaki zostawiła jej Indira. Teściowa przedstawiła w nim swój punkt widzenia na pewne sprawy oraz dorzuciła krytyczne uwagi, dotyczące na przykład tego, że Sonia nie chce się nauczyć języka hindi albo zachowuje się zbyt nieśmiało w stosunku do nieznanomych. „Dlaczego nie mówi mi tego

osobiście, tylko pisze list?" - pytała Włoszka na krawędzi płaczu.

- Pani Gandhi z trudem się komunikuje - odpowiedziała jej Usha. - Jest kobietą dość introwertyczną. Ale nie przejmuj się tymi listami, w taki sam sposób porozumiewała się z mężem i z ojcem.

Nieśmiałość Soni i zapewne też kompleksy tak ją paraliżowały, że stawały się problemem, gdy uczestniczyła w ważnych wizytach albo gdy po prostu miała kontakt z ludźmi. Choć do przyjaciół męża i szwagra szybko nabrała zaufania, wiele kosztowało ją przełamanie lodów i otwarcie się na innych. W głębi duszy nadal była małą chłopką z gór Asia - go, studentką z prowincjonalnego włoskiego miasta przeniesioną na inną planetę, do domu pani premier, gdzie ciągle wchodzili i wychodzili ludzie wszelkiego rodzaju i kondycji. „Przez długi czas Sonia była bardzo wycofana - wspominała Usha. - Trudno było ją do czegoś przekonać”. Indira, mimo czasochłonnych zajęć, nie traciła z pola widzenia spraw domowych i starała się, by synowa wyszła ze swojej skorupy: „Byłoby wspaniale, gdybyś zdołała przekonać Sonię, żeby pojawiła się tego wieczoru. Ale jej nie zmuszaj, jeśli naprawdę nie ma ochoty” - pisała w jednym z liścików do swojej sekretarki. Zarówno Rajiv, jak i jego matka byli raczej zdystansowani, dlatego rozumieli, że Sonia potrzebuje czasu, aby zaaklimatyzować się w nowym życiu. Starali się jak najmniej na nią naciskać, ponieważ widzieli, że trudno jej się przyzwyczaić. Nie mogła robić zwykłych rzeczy, na przykład wyjść na spacer z przyjaciółką. Odległości były zbyt wielkie, by ktokolwiek mógł przemierzać piechotą szerokie ulice New Delhi. Ponadto była to wyłącznie rezydencjonalna część miasta, bez sklepów i handlu. Ograniczenie ruchu, jedzenie, upał i oddalenie od bliskich wywoływały u Soni ataki tęsknoty, które włoskie czasopismo „Oggi”, co tydzień

wysyłane przez matkę, ledwie zdołało łagodzić. Była nadal między dwoma światami i do obu wzbraniała się wejść. Przypominała sobie ojca i jego ostrzeżenia. Zdarzały się chwile, kiedy miała ochotę podnieść słuchawkę i z nim porozmawiać, ale starała się być silna i wytrwać. Na ogół obecność Rajiva po południu koła jej smutek.

W maju zapanował taki upał, że Indira zaprosiła Sonię, aby towarzyszyła jej w oficjalnej podróży do Królestwa Bhutanu, niewielkiego kraju położonego w łańcuchu Himalajów, kompletnie odciętego od świata. Myślała, że dobrze jej zrobi zmiana powietrza. Aby zapewnić synowej towarzystwo, zaprosiła również córkę ministra spraw zagranicznych, Priti Kaul, będącą w tym samym wieku co Sonia. Choć podróż trwała tylko dwa dni, bardzo się zrelaksowały. Jak tylko wysiadły z helikoptera, przyjął je król Dorji Wangchuck, człowiek bardzo uprzejmy, gorliwy buddysta i monarcha absolutny, który utrzymywał swoje królestwo zamknięte na świat zewnętrzny. Panowała doskonała temperatura, chciało się pić kryształowe powietrze. Co za ulga! - pomyślała Włoszka, czując, jak świeży wiatr od gór pieści jej twarz, niemal jakby szła na wycieczkę w Alpy. Nie było tutaj wyciągów krzeselkowych ani restauracji, tylko powiewające na wietrze modlitewne chorągiewki, niosące buddyjskie modły ku wierzchołkom Himalajów, których spiczaste szczyty rysowały się na intensywnie błękitnym niebie. Nie było niczego, co można by uznać za nowoczesne. Praktycznie, z wyjątkiem kilku motocykli, nie istniał ruch kołowy, ludzie byli ubrani w tradycyjne, przypominające fartuchy stroje o malowniczych barwach. Jeździli konno albo na wozach ciągniętych przez woły przypominające jaki. Delegacja dotarła do wspaniałego klasztoru Tashicho, który dominował nad świetlistym krajobrazem gór o ośnieżonych szczytach i złotawych tarasach, opadających jak gigantyczne

schody ku dolinom jęczmienia. Była to jakby podróż w średniowiecze: tu nie istniała telewizja, nie było więzień ani przestępców, jedyną koncesję na rzecz nowoczesności stanowiła elektryczność, ale przesyłana tylko przez dwie godziny w ciągu doby. Sam król towarzyszył im aż do ich kwater, trzech pokoi i łazienki, bardzo skromnych, a stanowiących jego własne „apartamenty”. W owej epoce nie istniała jeszcze infrastruktura hotelowa w Thimphu, stolicy, która wydawała się raczej wioską, dlatego odstąpił gościom to, co miał najlepszego. Po bankiecie, podczas którego Indira i monarcha rozmawiali o tym, jak zdemokratyzować królestwo, a zarazem ochronić je przed zgubnymi wpływami nowoczesności, młode kobiety wróciły do swojego pokoju. Sonia odkryła na podłodze klapę pod dywanem. Umierając z ciekawości, podniosły ją i zobaczyły pokój z ubogim prostym łóżem, przypominający celę mnicha. Nagle zapaliła się latarnia i ujrzały króla w bieliźnie, który właśnie kładł się spać. Na wpół żywe ze wstydu delikatnie zamknęły klapę. Opowiedziały o tym Ushy, która z kolei powtórzyła ich słowa Indirze, obawiając się, aby ten incydent nie rozpętał konfliktu dyplomatycznego, ale Indira tylko szczerze się uśmieła.

Następnego dnia goście polecili helikopterem z Thimphu do graniczącego z Tybetem państwa Sikkim. Zostali przyjęci w pałacu przez miejscowego króla i jego zachwycającą żonę, kiedyś mieszkankę Nowego Jorku, o imieniu Hope Cooke. Nocą, kiedy Indira już się położyła, do pokoju dziewcząt przyszła Amerykanka, niosąc wędzonego łososa, przysmak, który najbardziej przypadł do gustu Soni. Przypomniał jej czas spędzony w Anglii, gdzie po raz pierwszy go próbowała

Były to krótkie chwile chłodu w środku kanikuły, która ogarnęła północne Indie. Kiedy wróciły do Delhi, o jedenastej przed południem termometr wskazywał czterdzieści trzy stopnie. Asfalt się topił. Drzewa wydawały się tak zmęczone

jak ludzie, którzy chodzili z otwartymi parasolami, aby chronić się przed słońcem. Leżąc w cieniu, rykszarze czekali na klientów. W ogrodzie uschły kwiaty na grządkach, a trawnik przypominał zeschnięte siano. Służący polewali wodą elewacje. Aby oszczędzać energię, Sonia musiała nauczyć się ograniczać ruchy do minimum, a nocami, kiedy temperatura także stała się trudna do zniesienia, zdecydowała się włączać klimatyzację. Radzono jej, by w południe nie wychodziła z domu, ponieważ słońce uderza z nadmierną siłą. Ten upał miał już niewiele wspólnego z ferragosto. Powietrze było tak gęste, że można je było kroić nożem, a kilka dni później temperatura wzrosła do czterdziestu sześciu stopni. Klimat okrutny i bezlitosny. Sonia z niecierpliwością oczekiwała na powrót Rajiva, leżąc na łóżku i marząc o bukolicznym pejzażu Wenecji Euganejskiej, przypominając sobie skrzypienie kaloszy na świeżo spadłym śniegu, lodowatą wodę, którą piła wprost ze strumienia, zapach pól po deszczu, zielone łąki usiane makami. Gdy już przyszedł mąż, oboje czekali na wieczór, aby pojechać na spacer motorem i zjeść lody w jednym z nielicznych miejsc, gdzie podawano je w odpowiednich warunkach sanitarnych. Należało bardzo uważać, jedząc poza domem, ponieważ upał powodował, że żywność szybko się psuła.

Napięcie w domu rosło proporcjonalnie do upału, nie z powodu towarzyszących mu niewygód, ale ze względu na polityczne perturbacje. Koniec końców był to dom pani premier, a jej praca i przyszłość w dużym stopniu zależały od tego, czy deszcze monsunowe nadejdą o czasie. Największym zmartwieniem nadal była walka z głodem. Indira wiedziała znakomicie, że niedobór żywności można zwalczyć, wprowadzając nowe metody uprawy, które okazały się skuteczne w innych częściach świata, a także przyspieszając budowę fabryk nawozów sztucznych. Osiągnąć prawdziwą

zieloną rewolucję, sprawić, by Indie były samowystarczalne, to był jej główny priorytet i temu poświęcała cały swój zapał. Cała reszta - a było tego jeszcze niemało: opieka zdrowotna, edukacja, poprawa statusu kobiet etc. - mogła przyjść później

Problem polegał na tym, że ambitny program Indiry wymagał czasu, by wydać owoce. Tymczasem ludzie musieli jeść, a pech chciał, że w Indiach od trzech lat panowała susza. Jeśli w kolejnym, czwartym roku również nie będzie deszczów, musi nadejść katastrofa. Do tego należało dodać fiasko pomocy amerykańskiej. Z początku wszystko wskazywało na to, że zostanie dostarczona bez problemu, jednak prezydent Johnson pragnął wykorzystać pomoc żywnościową jako narzędzie wpływu, aby podporządkować Indie swojej polityce. Choć Indira była gotowa na pewne ustępstwa (godząc się na protesty w kraju), nigdy nie miała zamiaru porzucić polityki niezaangażowania prowadzonej przez ojca. W odwecie za krytykę postawy Izraela w stosunku do krajów arabskich, wyrażoną przez hinduskiego ministra spraw zagranicznych, Johnson zaczął opóźniać wysyłanie żywności. Żądał, aby wszystkie informacje o ładunkach ziarna, zanim uzyskają ostateczną akceptację, przechodziły przez jego biura. Na ścianie w swoim gabinecie w South Block Indira miała mapę Indii, na której rejestrowano ruchy każdego transportu z żywnością. Ich powolność była zatrważająca.

- Ci Amerykanie nie zdają sobie sprawy, że każdy upływający dzień pociąga za sobą śmierć wielu ludzi! - mówiła pewnego dnia oburzona, podczas gdy Sonia przygotowywała danie z makaronu. - Nie bierz tego do siebie, to nic osobistego - dodała, odsuwając swój talerz - ale zdecydowałam i zamierzam ogłosić to w parlamencie, że na znak protestu przestaję jeść zboże i ryż.

Sesja parlamentu bardzo ją wyczerpała i ledwie zjadła kolację. Narzekała na ostrą migrenę. Żaden lek nie zdołał jej uwolnić od dokuczliwych bólów głowy, na które cierpiała przez wiele dni. Problemy Indii były równie dotkliwe.

- Jeśli nie nadejdą deszcze, znowu zapanuje głód.

- Przygotuję ci domowy środek na ból głowy, który stosowali moi rodzice.

Sonia zrobiła napar z rumianku, nawilżyła nim gazę i nałożyła ją na czoło teściowej. Indira nadal mówiła. Obawiała się, że następna susza podważy zasadność jej polityki rolnej, stanowiącej filar działalności rządu i przynoszącej pierwsze dobre wyniki. „Zaczęła się uspokajać i poczuła się lepiej” - wspominała Sonia, która nie rozumiała szczegółów ogromnych problemów, z jakimi zmagala się teściowa, ale, owszem, rozumiała ich znaczenie i skutki. Nagle Indira zmieniła temat.

- Jak dajesz sobie radę z nauką hindi? - spytała nagle.

- Kiepsko - odpowiedziała Sonia.

Indira pragnęła za wszelką cenę, żeby Sonia nauczyła się języka hindi. Zawsze oskarżano rodzinę Nehru o zbytnią „brytyjskość” lub „okcydentalizm”. Poza tym Indira uważała, że byłoby dobrze, gdyby jej synowa mogła wypowiedzieć się w języku narodu, ponieważ otworzyłoby to jej drzwi do głębokiego wnętrza Indii i poszerzyło kontakty. Czyż język nie jest duszą kultury? Sonia wszakże nie rozumiała, dlaczego musi się uczyć języka, którym mówi tylko służba, ponieważ przyjaciele i zaproszeni goście zawsze rozmawiali po angielsku. W dodatku miała prywatnego nauczyciela, który starał się nauczyć ją języka na sposób akademicki, wpajając jej mnóstwo skomplikowanych zasad gramatyki.

- Lekcje są okropnie nudne - zwierzyła się Sonia, zadowolona, że zdołała złagodzić ból teściowej.

Indira nie nalegała, ale kilka dni później pozostawiła liścik do Ushy, swojej sekretarki: „Wydaje się, że Sonia nie robi żadnych postępów. Metoda profesora się nie sprawdza. Proszę Cię, rozmawiaj z nią w hindi, im więcej, tym lepiej”.

Pewne zwyczaje domowe były trudne do zrozumienia dla kogokolwiek. Na przykład od zawsze w domu rodziny Nehru mówiło się w hindi podczas obiadu w południe, po angielsku zaś przy kolacji. Codziennie jeden posiłek był indyjski, a drugi zachodnioeuropejski. Sonia nie rozumiała, dlaczego każdy nie może jeść tego, na co ma ochotę, i mówić językiem, jaki mu odpowiada. Ponieważ była łagodna, nie sprzeciwiała się obyczajom. A jako osoba dostatecznie inteligentna wiedziała, że musi znaleźć swoje miejsce w nowej rodzinie, nawet za cenę podporządkowania się niepojętym wymaganiom. Rozumiała, że jest to częścią trudnego procesu adaptacji.

Czerwiec ciągnął się jak wieczność. Wydawało się, że całe miasto wpatruje się w niebo, szukając zapowiedzi deszczu. Na pierwszych stronach gazet pogrubionymi czcionkami pokazywano rekordy temperatury: czterdzieści sześć stopni w Bramie Indii na Rajpath - ogłoszono piętnastego czerwca, kiedy monsun powinien był już nadejść. Na fotografii pokazywano dzieci kąpiące się w publicznych fontannach. Pozbawione wilgoci, wszechogarniające powietrze wysuszało gardło. Oczy szczypały, jakby drażnił je piasek. Warstwa szarego pyłu przywianego z pustyni Radżastanu przykryła ogród przy Safdarjung Road. Dla Soni ekstremalność klimatu była czymś zupełnie nowym. W Europie klimat był stabilny i prognoz pogody słuchało się głównie po to, aby wiedzieć, czy w weekend w górach będzie śnieg, a na plaży słońce. Tutaj klimat był czymś znacznie bardziej dramatycznym ze względu na swą intensywność i znaczenie dla życia kraju, zwłaszcza dla rolnictwa. Klęska zbiorów ryżu mogła oznaczać śmierć

miliona rolników. Z tego powodu krytyczne czerwcowe dni były w Indiach śledzone z taką uwagą przez ludzi i media.

Wreszcie w końcu miesiąca oszałamiający hałas, po którym nastąpił wir rozpalonego powietrza, wznoszący chmury pyłu i zrywający liście z drzew, zapowiedział pierwsze burze. Jakby nagle zapadła noc, ogromne czarne chmury zasłoniły niebo i suchy wiatr ustąpił deszczowi o wielkich kroplach, które stukały w dach. Służący jakby obudzili się ze śpiączki. Wyszli na ulice, aby dać się zmoczyć, a uśmiechy rozświetlały wszystkie twarze. Wydawało się, że wysokie palmy na rondzie również drżą z emocji. Telewizja pokazywała obrazy euforii, która owładnęła kraj. Ludzie różnych religii i kast jak dzieci skakali i tańczyli wspólnie na ulicach, pluskając się w wodzie czy biorąc prysznic pod rynnami. Było to jak wielkie święto, podczas którego monsun zacierał różnice społeczne.

Piekielne upały ustąpiły miejsca intensywnym opadom. Woda spadała z taką siłą, że hałas w obrębie domu był ogłuszający. Temperatura obniżyła się nagle o kilkanaście stopni i delikatny wiatr przyniósł ożywczą pieszczotę. Po ogrodowym trawniku, w dwa dni tak pozieleniałym jakby za sprawą jakiejś magicznej sztuczki, skakały rechoczące żaby. Niebawem ogród był już tak podtopiony, że zamienił się w jezioro. Wiele osiedli dosłownie zniknęło wraz z deszczem i później trzeba było mozolnie odbudowywać chatki. Dzielnice New Delhi również nie uniknęły konsekwencji ulewy. Podtopione były eleganckie rotundy sąsiednich ambasad, tunele, samochody. Taksówki i ryksze z zalanymi wodą silnikami, które właściciele starali się znów uruchomić, wydawały z siebie jedynie ostatnie rżenie. Choć upał stał się mniej intensywny, uczucie duchoty było bardzo nieprzyjemne. Sonia miała wrażenie, że ciągle ma wilgotne ręce. Kilka razy dziennie zmieniała zmoczone potem ubranie. Była zdumiona,

że przez całe dni ani na moment nie przestaje padać, jakby bogowie klimatu mścili się za suchy i palący upał wcześniejszych miesięcy. Zrozumiała teraz, dlaczego fasady tyłu domów wydawały się brudne, pokryte zaciekami, dlaczego było tyle zapadlin. Klimat niszczył wszystko i w tym biednym kraju wszelkie systematyczne prace remontowe stawały się zbyt drogie.

Pozytywną stroną pory monsunowej było to, że deszcz przyniósł do domu radość. Szczęście całego gigantycznego kraju przedostawało się przez okna i wypełniało wszystkie kąty. Skoro Indie w tym roku nie musiały umierać z głodu, być może zdołają pójść naprzód i obronić się przed kolejnymi strasznymi klęskami. Podzielając uczucia całego narodu, Indira wydawała się zarażona tą nadzieją. Mimo tylu problemów ponownie promieniała optymizmem.

Choć Indira była z natury nieufna, w zaskakująco krótkim czasie prawdziwie pokochała synową, być może dlatego, że nie postrzegła jej wycofanego zachowania jako zagrożenia. Sonia była kobietą dyskretną i bezpośrednią, czym od razu budziła sympatię. Lubiła dbać o dom i rodzinę. Nie naciskała na Rajiva, żeby zamieszkali osobno, odseparowali się od reszty rodziny, jak zapewne początkowo sobie wyobrażała. Przeciwnie, nalegała na to, by przestrzegali ustalonych zwyczajów, na przykład spotykali się na posiłki zgodnie z tradycją sięgającą czasów Teen Murti. Niezależnie od tego, gdzie znajdowali się poszczególni członkowie rodziny, wszyscy - jeśli nie musieli uczestniczyć w jakimś oficjalnym wydarzeniu - starali się wrócić do domu na obiad. Rajiv i Sanjay od dzieciństwa byli przyzwyczajeni do tego, że muszą odłożyć swoje zajęcia i zjeść obiad z rodziną. Soni zwyczaj ten bardzo się podobał, bo rozmowy przy stole zwykle były interesujące, chyba że Sanjay rozmawiał z matką o polityce. Na ogół wymieniali się opiniami, żartowali albo opowiadali o swoich przeżyciach. Indira miała wielki talent do konwersacji, była bystra w obserwacjach, jasna w opisach i miała wysublimowane poczucie humoru. Jej zainteresowania nie ograniczały się do polityki, pasjonowały ją wynalazki naukowe, sztuka, zachowanie ludzi, książki, natura... Miała zaskakująco szeroką wiedzę, co można było odkryć z czasem. Potrafiła na przykład rozpoznać ptaka po śpiewie, należała bowiem w latach pięćdziesiątych do towarzystwa ornitologicznego i wiele się wówczas nauczyła. Opowiadała mnóstwo anegdot ze swoich zagranicznych podróży. W Santiago de Chile żona pewnego polityka przywitała ją słowami: „Oj, jaka pani jest subtelna i delikatna. Oczekiwałam kogoś w rodzaju Goldy Meir...” Sonia pękała ze śmiechu, słuchając podobnych historii, choćby tej o Kremlu, kiedy po

bankiecie wydanym na cześć Indiry przez Breżniewa i Kosygina, w porze podawania kawy, zgodnie z rosyjskim zwyczajem oddzielono mężczyzn od kobiet i Indira, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, znalazła się w grupie mężczyzn... Albo tej, gdy poszła zobaczyć się z Gandhim i powiedzieć mu o swoim ślubie z Ferozem, a stary asceta, zamiast zachęcać ją do założenia rodziny, zasugerował, żeby ona i Feroz stali się wyznawcami jego ideału małżeństwa, czyli zachowali czystość po ślubie. „W takim razie po co się żenić?” - palnęła zirytowana Indira. Sonię, którą łatwo było rozśmieszyć, wszystkie te anegdoty zachwyciły.

Kiedy Włoszka zrozumiała, na jakich zasadach funkcjonuje indyjska rodzina, zaczęła zastępować Ushę w domowych sprawach. Poczucie, że jest użyteczna i potrafi podejmować się różnych zajęć, okazało się najlepszą bronią w walce z nostalgią „Była osobą dobrze zorganizowaną, silną, choć potulną, wiedziała jednak, czego chce” - opowiadała sekretarka Indiry. Sonia zachowywała się zgodnie z własną naturą: unikała konfrontacji, lubiła sprawiać przyjemności, była czuła, a nawet trochę pokorna wobec ogromnego autorytetu Indiry. „Zrozumiałam, że trzeba dać teściowej czas, aby ona również odnalazła się w nowej sytuacji rodzinnej, choć nie była szczególnie zaborcza w stosunku do Rajiva. W tamtych dniach zawsze byłam u jej boku, gotowa ją wesprzeć” - wyznała po latach w wywiadzie opublikowanym na łamach „Weekend Telegrapha”.

Do domu, w którym panowały indyjskie zwyczaje, a także kaszmirskie i angielskie, Sonia w subtelny sposób wniosła swój wkład. I uczyniła to za pomocą potężnej broni, którą posługiwała się z wdziękiem. Nauczyła się od swojej matki sekretów włoskiej kuchni i wkrótce dom pani premier napełnił się zapachami lasagna al forno, zielonym sosem z bazylią zebraną z ogrodu, a nawet ossobuco a la milanese (giczą

cielęcą po raediolańsku). W tamtych latach w New Delhi nie można było kupić sera, dlatego przyjaciele zawsze przywozili Soni z Europy mozzarellę pakowaną próżniowo albo gruyere w plastrach. Nie brakowało żartownisiów, którzy mówili, że indyjska rodzina, zamiast „hinduizować” Sonię, poddała się jej italianizacji... Dowcip ten powtarzano w wąskim gronie, ponieważ gdyby dotarł do prasy, z całą pewnością zostałby wykorzystany przez opozycję do zaciekłych ataków. W domu rodziny Nehru - Gandhi, tak jak w Indiach, tyglu kultur i tradycji, wszyscy zawsze byli gotowi przyswoić sobie coś z zagranicy i zaadaptować do własnych potrzeb. Choć Sonia dostosowała się do panujących zwyczajów, to jednak uzbrojona w rondel toczyła własną cichą bitwę o to, by odcisnąć swój ślad.

Z czasem poznała upodobania i preferencje Indiry. Wiedziała na przykład, że teściowa uwielbia kwiaty, i zawsze dbała, by ich wspaniałe naręcza zdobiły stoły. Obie szczególnie lubiły zapach tuberozy, który wypełniał każdy kąt domu, urządzonego z niemal spartańską prostotą, ale gustownie. Zasłony z surowej bawełny i pochodzące z północy dywany współgrały z wyrobami plemiennymi, obrazami indyjskich malarzy, antykami, między innymi cennym parawanem, i meblami w angielskim stylu kolonialnym. Sonia zrozumiała, że prostota i oszczędność są kluczem do osobowości teściowej. Indira nie lubiła niczego wyrzucać; przeciwnie - przechowywała nawet starannie złożone plastikowe torebki do ponownego wykorzystania. Synowa nauczyła się pakować walizki zgodnie z jej upodobaniami, czyli wykorzystując najmniejszy skrawek wolnego miejsca. Jeśli Indira potrzebowała czegoś do domu, Sonia starała się to zdobyć. Sprzedawczyni w sklepie The Shoppe przy Connaught Place wspominała, że pewnego dnia zobaczyła ją ubraną w skórzane spodnie, z ładnymi długimi

włosami opadającymi na ramiona. Przyszła kupić komplet lnianej bielizny stołowej na prezent urodzinowy dla teściowej. Jedyne, czego Sonia nie dzieliła z Indirą, to zawilosci indyjskiej polityki, gdyż ani jej one nie interesowały, ani nie starała się ich zrozumieć.

Ale w kuchni, którą zamieniła w newralgiczny punkt domu, gdzie wszyscy w końcu się spotykali - choćby po to, żeby spytać, jaką niespodziankę szykowała tym razem - poruszano każdy temat.

- Rodzina maharadży Dżajpuru zwróciła nam pozdrowienia - powiedział któregoś dnia szelma Sanjay - także ci z Koty i Trawankoru. Nie liczcie na to, że nas zaproszą na jakiegokolwiek swoje święta.

W taki sposób Sonia dowiedziała się o zniesieniu przez teściową ostatnich przywilejów maharadzów. Rajiv wyjaśnił jej, że kiedy rozmaite państewka łączyły się w Unię Indyjską, maharadzowie otrzymali gwarancje konstytucyjne, że zachowają swoje tytuły, klejnoty i pałace, że państwo będzie im wypłacać co roku pewną sumę pieniędzy, proporcjonalną do wielkości królestw, oraz że zwolni ich od podatków i opłat.

- Ale mając na względzie tyłu biednych Hindusów, moja matka i jej rząd uznali, że te przywileje są anachroniczne i niestosowne - tłumaczył. - Maharadzowie są bliscy wypowiedzenia wojny. Maharani Dżajpuru, lokalna liderka partii prawicowej, poleciła swoim sympatykom zakłócić wiec mamy. Ona jednak stawiała im czoła. Wiesz, co powiedziała: „Idźcie i spytajcie maharadzów, ile wykopali studni dla ludzi, kiedy rządili swoimi państwami, ile zbudowali dróg, co zrobili, aby walczyć z poddaństwem, jakie narzucili wam Anglicy!” W rezultacie mama starła swoich przeciwników na proch, jak zwykle.

Indira zrobiła tak, ponieważ widząc, że Amerykanie pozostawili ją samą na placu boju, musiała dokonać w swojej

polityce zwrotu w lewo. By nie tracić poparcia własnej partii, podpisała ze Związkiem Sowieckim deklarację domagającą się bezwarunkowego zakończenia amerykańskich bombardowań Wietnamu. Johnson się rozżłościł i jeszcze bardziej opóźniał dostawy żywności. Biedacy umierali z głodu, nie podejrzewając nawet, iż byli ceną, jaką płacił kraj za utrzymanie niezależności od największej potęgi świata, która chciała go użyć jako monety przetargowej. Maharadżowie nie byli jedynymi ofiarami zmiany orientacji politycznej. Program Indiry wzbudzał dreszcze u osób o bardziej liberalnych poglądach, przemysłowców, ludzi biznesu, arystokratów, czyli elity kraju, zakładał bowiem nacjonalizację banków i towarzystw ubezpieczeniowych. Sonia widziała, z jaką euforią ludzie przyjmowali te posunięcia. Pracownicy, urzędnicy, taksówkarze, rikszarze, bezrobotni i ci, którzy nigdy nawet nie weszli do banku, tańczyli na ulicach i na progach domów. Podjęte środki były popularne, a zarazem odważne; zapewniły Indirze ogromny sukces polityczny, ponieważ rząd pozbawił kapitalistów dochodów, by oddać je narodowi. Rolnicy, drobni handlarze i przedsiębiorcy przyjęli to z zadowoleniem, bo w znacjonalizowanych bankach mogli skorzystać z kredytów na lepszych warunkach. Wszystkie lewicowe partie mocno wsparły Indirę.

W pierwszych miesiącach 1969 roku Sonia zaczęła się źle czuć. Początkowo przypisywała dolegliwości zatruciu pokarmowemu lub chorobie wywołanej lokalnym wirusem, jednak lekarz szybko rozwiał jej wątpliwości. Była w ciąży. Wiadomość przepęłniła radością całą rodzinę. Indira, bardzo szczęśliwa, podwoiła opiekę nad synową. Na myśl, że zostanie babcią, wpadła w euforię. Zawsze miała słabość do dzieci. Teraz pozostawiała Soni czułe liściki w rodzaju: „Jutro jest newroz (Nowy Rok parsów), zamierzam wyjechać wcześniej

rano. Czy mogę cię ucałować już teraz?" Indira była głęboko wdzięczna synowej za stabilizację, jaką wniosła w jej życie. Już nie musiała wracać z męczących podróży czy długich posiedzeń parlamentu do samotnego, pustego domu, czekał bowiem na nią dom tętniący życiem. Szczęście powiększyła jeszcze jedna wiadomość, która bardziej niż wszystkie inne przyniosła Indirze głęboką osobistą satysfakcję: jej nowa polityka rolna zaczynała przynosić rezultaty. Zbiory ziarna w bieżącym roku były dwukrotnie wyższe niż zazwyczaj dzięki obfitym opadom towarzyszącym ostatnim monsunom. Większą produkcję odnotowano na północy w Pendżabie, kraju sikhów, społeczności dobrze zorganizowanej i pracowitej, która zaczęła uprawiać nowe odmiany pszenicy karłowatej wyhodowane z meksykańskich odmian przez indyjskich naukowców. Także nowe odmiany ryżu, bawełny i orzeszków ziemnych dawały spektakularne efekty. Wzrost plonów był tak obiecujący, że lokalne niedobory wkrótce mogły odejść w przeszłość. Ileż radości miała Indira, uwalniając się od Lyndona Johnsona...!

Sonia nie uczestniczyła jednak w tej euforii. Jej szczęście zostało przyćmione przez nowe uczucie, którego nigdy wcześniej nie doświadczyła, a które wyrastało z najgłębszych pokładów jestestwa. Był to atawistyczny, nieokreślony, intensywny strach. Strach przed porodem tak daleko od rodziny, strach, że nabawi się rzadkiej tropikalnej infekcji, strach, że dziecko urodzi się z jakąś wadą... Znowu zaczęła odczuwać tęsknotę za domem, myślała nawet, żeby pojechać do Włoch i tam urodzić, ale to nie wchodziło w rachubę - nie mogłaby być w takiej chwili daleko od Rajiva. Co powiedzieliby tutejsi politycy? Czy synowa Indiry nie ufa indyjskiej medycynie (co w owych czasach było całkiem zrozumiałe)? Czy to, co dobre dla narodu, nie jest dobre dla bahu Indiry? Tak czy owak polityka wpływała na jej prywatne

życie. Sonia była jednak wystarczająco rozsądna, żeby to zaakceptować i zrozumieć, że jej złe samopoczucie wynika z zachodzących w organizmie zmian hormonalnych i że z czasem jej stan ducha się poprawi.

W piątym miesiącu ciąży nadal miała nudności. A ponieważ źle się czuła fizycznie, odbijało się to również na jej psychice. Sanjay dokładał wszelkich starań, by zadbać o bratową, zwłaszcza kiedy Rajiv latał. Nie wyszedł z domu, zanim się nie upewnił, czy Sonia nie chce pójść z nim na spacer albo na lody do Nirula's - jednego z nielicznych miejsc przypominających zachodnioeuropejskie kawiarnie - czy do kogoś z przyjaciół. Sonia jednak nie miała ochoty wychodzić. Woląca zostać w domu i godzinami pieścić psy Puplego i Pepitę, dwa golden retrievery, ulubieńców rodziny Nehru od czasów Anand Bhawan, i psiaka o imieniu Sona, którego Rajiv wziął w dzieciństwie z uliczki starego Delhi. Gdy wracał mąż, godzinami słuchali muzyki. Rajiv przez lata zgromadził sporą kolekcję płyt, o którą bardzo dbał. Nie chciał, żeby ktokolwiek dotykał adapteru czy płyt, dopóki się nie upewnił, że zrobi to równie skrupulatnie jak on. Od czasu do czasu chodzili na koncerty klasycznej muzyki indyjskiej, podczas których Sonia dowiedziała się o istnieniu raga (klasycznych melodii) i gazd (poematów śpiewanych w języku urdu), a także nauczyła się rozróżniać takie instrumenty, jak sarangi czy tabla, poprzednicy odpowiednio europejskiej gitary i bębna. Rajiv często nagrywał recitale wielkich mistrzów, Ustada Ali Khana czy Ravi Shankara, a następnie dodawał je do swojej kolekcji, którą metodycznie porządkował. I chociaż na ogół mało wychodzili i nie byli amatorami zabaw, teraz, kiedy zdrowie Soni było tak delikatne, robili to jeszcze rzadziej. Nigdy nie chcieli należeć do śmietanki towarzyskiej New Delhi ani do żadnej grupy czy paczki. Rajiv lubił spotykać się z przyjaciółmi z różnych

warstw społecznych, od mechanika z aeroklubu po starych kumpli z Cambridge, od czasu do czasu odwiedzających Delhi. Sonia, stale cierpiąca na mdłości, godziła się tylko na niedzielną przechadzkę po Khan Market, gdzie odwiedzali stoiska z płytami i najlepiej zaopatrzone księgarnie w mieście. Podczas tego krótkiego spaceru kupowała owoce, a także jakieś europejskie produkty w jednym ze sklepów odwiedzanych przez dyplomatów. Na delikatne uwypuklenie brzuszka, odbijające się w witrynach sklepów, zerkała z dumą i chętnie o nim rozmawiała ze znajomymi spotykanymi w Khan Market. New Delhi przypominało w tym czasie wielką wioskę.

Uważa się na ogół, że piąty miesiąc ciąży to czas, w którym najbardziej krytyczny moment kobieta ma już za sobą. W przypadku Soni tak nie było. W połowie upalnej nocy schwyciły ją kłujące bóle brzucha i poczuła, że gwałtownie traci krew. Ból był tak ostry, a krwawienie tak silne, iż myślała, że zaraz umrze. Rajiv zawiózł ją do szpitala samochodem matki. Sonia była bardzo blada i osłabiona. Bał się, że ją straci. Po transfuzji, kiedy już poczuła się lepiej, powiedziano jej, że straciła dużo krwi, ale teraz, po dokonaniu niewielkiego zabiegu, powinna poczuć się lepiej. „A dziecko?” - spytała przybita. W głębi duszy wiedziała, co się stało. Twarz Rajiva, który spuścił oczy, wpatrując się w podłogę, mówiła wszystko.

Był to najtrudniejszy moment w jej dotychczasowym życiu. Po pięciu miesiącach ciąży nie uważała, że poroniła, ale że straciła dziecko. Głęboki ból łączył się ze strasznym poczuciem klęski. Wydawało jej się, że zawiodła męża, Indirę, swoją rodzinę i cały świat. Myślała, czy nie jest to cena za szczęście, jakie podarowało jej życie - jakby musiała odpokutować za grzech swej niezwykłej miłości. Tłumaczenia lekarzy, którzy zapewniali, że w przypadku pierwszej ciąży

zdarza się tak często i wcale nie oznacza, iż poroni też następnym razem, nie zdołały jej wydobyć z głębokiej melancholii. Służba mówiła, że to zły znak zapowiadający podobne kłopoty, a uliczne plotki zrzucały odpowiedzialność na Indirę, „ponieważ nakłaniała synową do chodzenia i do ruchu, żeby nie straciła figury i nie utyla nadmiernie podczas ciąży”. Po nacjonalizacji i zniesieniu przywilejów maharadzów panowała w niektórych plotkarskich kręgach New Delhi moda na robienie z Indiry potwora. Rodzina zareagowała jak drużyna - wszyscy otoczyli Sonię opieką i czułością. Indira była szczególnie serdeczna. Przypomniały jej się własne nieprzyjemne przeżycia przy porodzie drugiego syna czternastego grudnia 1946 roku. Bóle porodowe pojawiły się nocą, całkiem niespodziewanie. Szybko została zabrana do szpitala, gdzie angielscy lekarze obawiali się o jej życie, ponieważ straciła wiele krwi. Od początku to dziecko sprawiało problemy. Nehru przybył już po zatamowaniu krwotoku, a urodzonego o świcie chłopczyka nazwał Sanjay na cześć kapłana wizjonera, który w Mahabharacie, słynnym eposie indyjskim, opisywał wielką bitwę z niewidomym królem. Feroz pojawił się dopiero po kilku dniach. Pracował w mieście Lucknow. Indira właśnie się dowiedziała, że miał romans z pewną muzulmanką z zamożnej miejscowej rodziny. Z tego powodu przyjście dziecka na świat nie było dla niej wydarzeniem tak szczęśliwym jak w przypadku pierwszego syna, Rajiva. I Indira podświadomie obarczała się za to winą. Uważała, że powinna naprawić tę niesprawiedliwość. Przez całe życie miała poczucie, że jest coś winna Sanjayowi.

Krok po kroku Sonia wynurzała się z oceanu smutku, jednak uśmiechać zaczęła się dopiero kilka miesięcy później, kiedy ponownie zaszła w ciążę. Tym razem jej ginekolog była stanowcza: żadnych wysiłków ani długich spacerów. Im więcej będzie leżeć, tym mniejsze będzie ryzyko kolejnego

poronienia. Zdecydowana, że tym razem się uda, Sonia zamierzała spędzić dziewięć miesięcy w łóżku. Zainspirowała ją inna sławna Włoszka, Sophia Loren, która niedawno przeżyła podobny, zakończony szczęśliwie dramat. Sonia potraktowała to ciężkie doświadczenie jak wyzwanie do pokonania. Mogła liczyć na wsparcie Rajiva, który z całym oddaniem dbał o nią i ją rozpieszczał. Na szczęście nie przypominał swojego ojca Feroza: był przywiązany do rodziny, czuły i wierny w każdej sytuacji. I tak zakochany w Soni jak pierwszego dnia, albo nawet bardziej, bo teraz było to uczucie głębsze, takie jakie rodzi się z wzajemnego zrozumienia, z patrzenia na wszystko oczami drugiej osoby, ze wspólnego odpowiedzialnego i spełnionego życia.

Indira, znowu pełna entuzjazmu, zajmowała się wyprawką dla noworodka, dopilnowując wszystkich szczegółów. „Zawsze chwalisz się radościami babci i swoim «najwyższym statusem» - napisała do amerykańskiej przyjaciółki, Dorothy Norman, z pokładu samolotu, którym leciała na uroczystości czterechsetlecia synagogi gminy żydowskiej w Kerali na południu Indii - dlatego zdradzę ci pewien sekret: ja także walczę o ten status. Sonia spodziewa się dziecka w końcu maja. Czy to nie emocjonujące? Choć kiedy synowa pochodzi z innego kontynentu, pojawia się wiele komplikacji”. Odnosiła się w ten sposób do obaw Soni przed rodzeniem w Delhi i jej nowych wymagań w reakcji na naciski otoczenia. Nagle Sonia zadeklarowała, że nie chce ani mamki, ani opiekunki do dziecka i że sama będzie się nim zajmować. Takie wypowiedzi były trochę dziecinadą, sposobem na zaistnienie, na danie do zrozumienia: „Jestem Europejką i u siebie będę robiła po swojemu”. Indira i Rajiv tak to odebrali, nie nalegali jednak, przekonani, że ta nieustępliwość przejdzie jej po narodzinach dziecka. Samo życie przywróci wszystko na swoje miejsce. Soni będzie bardzo trudno obyć się bez

pomocy, zwłaszcza gdy będzie musiała towarzyszyć mężowi lub Indirze w oficjalnych spotkaniach. Na ogół jednak radość z pojawienia się nowego członka rodziny kompensowała drobne domowe utarczki. Kiedy Rajiv pracował, matka i brat starali się na zmianę towarzyszyć Soni przy posiłkach. Nie chcieli, by czuła się samotna ani by podupadała na duchu. Rajiv latał wtedy w Indian Airlines jako drugi pilot na turbośmigłowym samolocie pasażerskim Fokker Friendship, godnym następcy DC - 3, zabierającym około czterdziestu pasażerów.

Sonia spędzała dużo czasu z mężem i szwagrem, którzy mieli wspólnych przyjaciół i zainteresowania, choć Sanjaya widywała coraz rzadziej. Miał obsesję na punkcie skonstruowania „indyjskiego volkswagena”. Razem z przyjacielem otworzył warsztat na peryferiach miasta i tam, wśród pojemników na śmieci i otwartych kanałów ściekowych, pomiędzy kawałkami metalu i zardzewiałego żelastwa, starał się spełnić swoje marzenie i zostać miejscowym Henrym Fordem. Pomysł skonstruowania popularnego samochodu produkowanego masowo był od ponad dziesięciu lat dyskutowany w departamentach ministerstw. W końcu zdecydowano się zlecić jego projekt sektorowi prywatnemu. Do tej pory w Indiach produkowano na licencji dwa modele: słynnego ambadora, replikę morrisa oxforda, który służył jako taksówka w powojennym Londynie, produkowanego do dziś w zakładach Hindustan Motors w stanie Bengal, oraz fiata padmini, którym jeździli wszyscy taksówkarze w Bombaju (w Europie znanego jako fiat 1100). Samochód, jaki chciał skonstruować Sanjay, miał być w całości indyjski, tani, osiągać prędkość osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i spalać pięć litrów na sto kilometrów. Wybrał dla niego nazwę Maruti od imienia syna boga wiatru z mitologii hinduskiej.

W tamtym czasie Indira myślała głównie o własnej karierze. Podobnie jak ojciec nie planowała zakładania rodzinnej dynastii. W licznych wywiadach powtarzała, że jej synowie nie są zainteresowani polityką i że zrobi wszystko co w jej mocy, by ich od niej odseparować. Nie zdradzała chęci przekazania im rodzinnego „obciążenia”. Nie lubiła mieszać polityki z życiem prywatnym.

Dopiero Sanjay, namawiany przez wszystkie media do kontynuowania swojego projektu, miał naruszyć tę granicę, którą matka tak bardzo starała się zachować. Dlaczego nie miałby otrzymać prawa do produkowania w pełni indyjskiego samochodu? Uważał, iż byłoby niesprawiedliwe, gdyby zabroniono mu takiego przedsięwzięcia tylko dlatego, że jest synem pani premier. Indira znalazła się w trudnej sytuacji, rozdarta między uczuciem matki a powinnością przywódcy. Poprosiła Sanjaya, by nie składał swojego projektu w Ministerstwie Rozwoju Przemysłu. On jednak pozostał głuchy na jej prośby i oficjalnie wystąpił o licencję, mimo że ani nie ukończył szkolenia w Rolls - Roysie, ani nie był biznesmenem. Jego miłość do samochodów stanowiła stałe źródło kłopotów matki. Jako nastolatek niejedną raz był doprowadzany do domu przez policję, przyłapany wraz z przyjacielem na porzucaniu samochodów, które wcześniej kradł z parkingu, by się nimi przejechać. W miarę jak dorastał, wybryki rozpieszczonego dziecka przybierały inne formy. W Anglii Sanjay często powodował wypadki swoim starym jaguarem, na szczęście bez ofiar w ludziach. Aresztowano go również za przekraczanie dozwolonej prędkości albo za brak ważnego prawa jazdy.

W odróżnieniu od Rajiva walczył zaciekle o to, w co wierzył. Wywierał silną presję na matkę, by przyznano mu licencję. Indira przewodniczyła posiedzeniu rządu, na którym minister przemysłu udzielił Sanjayowi zgody na

produkcję rocznie pięćdziesięciu tysięcy samochodów zmontowanych całkowicie z miejscowych materiałów. I to pomimo jego braku doświadczenia i materialnych efektów wcześniejszych projektów. Było jasne, że gdyby nie był synem pani premier, nigdy nie dostałby licencji. Ten jeden jedyny raz Indira złamała swoją najświętszą zasadę przedkładania powinności wobec państwa nad osobiste pragnienia i wyjątek ten bardzo drogo ją kosztował. Skandal i powszechne protesty towarzyszyły narodzinom projektu samochodu narodowego. Prasa oskarżyła Indirę o uprawianie najgorszego rodzaju nepotyzmu. Jeden z deputowanych opozycji nazwał koncesję „nieszczęściem dla demokracji i socjalizmu”. Inni mówili o „bezgranicznej korupcji”. Nawet jej sprzymierzeńcy, komuniści z Bengalu, dołączyli do lawiny krytyki. Indira odpowiedziała niezbyt przekonująco: „Mój syn wykazał się duchem przedsiębiorczości... Jeśli nie zachęcimy młodych, jak będziemy mogli ich prosić, aby ponosili ryzyko?” W głębi duszy Indira ślepo wierzyła w syna i uważała, że Maruti będzie doskonałą okazją do tego, by Sanjay rozwinął skrzydła i udowodnił, co jest wart. Wiedziała, że jest młody, niedojrzały i porywczy, ale także zdolny i silny. Myślała, że z czasem się nauczy i że w ten sposób wkroczy do życia publicznego. Oznaczało to, że mimo zapewnień, iż nie chce, aby synowie zajęli się polityką, widziała w młodszym z nich godnego przyszłego następcę rodziny Nehru - Gandhi. Może też pragnęła czuć się mniej samotna w rządzeniu krajem.

Zmagania z poczuciem samotności, nękającym ją od najwcześniejszego dzieciństwa, osłodziła radość z narodzin wnuka dziewiętnastego czerwca 1970 roku. Tak jak we wszystkich indyjskich domach narodziny syna były wydarzeniem wielkiej wagi. Rajiv asystował przy porodzie, co było niezwykle w ówczesnych Indiach. Miał ze sobą aparat

fotograficzny, by uwiecznić pierwszy płacz syna, który urodził się trochę za wcześnie. Bardzo pomagał wyczerpanej Soni, zmieniał dziecku pieluchy i usypiał je między karmieniami. Zachowywali się jak nowocześni rodzice, choć odwieczne Indie wkrótce powitały ich w progu domu. Kiedy wrócili ze szpitala, czekał na nich pewien asceta, który sporządził dziecku horoskop. Dla chłopca wybrano imię Rahul, zaproponowane przez Indirę. Takie imię planowała dać pierworodnemu synowi, w końcu jednak nadała mu imię Rajiv, aby sprawić przyjemność ojcu. Nehru, który poznał propozycje w więzieniu, wybrał imię Rajiv, ponieważ w sanskrycie słowo to oznacza „lotos”, to samo co Kamala, a tak miała na imię jego zmarła osiem lat wcześniej żona. Jak Indira ustąpiła pragnieniu ojca, tak Sonia ustąpiła Indirze, przez co stała się jeszcze trochę bardziej indyjska. Rahul, imię, jakie nosił syn Gautamy Buddy, w sanskrycie oznacza „ten, który jest zdolny”. Choć rodzina nie była religijna, dziecko zostało przyjęte z odpowiednimi rytuałami hinduistycznymi. Ceremonia pierwszego obcięcia włosów odbyła się trzy tygodnie po narodzinach. Z tej okazji zostali zaproszeni wszyscy przyjaciele Soni i Rajiva. Dziecku ogolono głowę, pozostawiając tylko jeden kosmyk, który według tradycji miał chronić jego pamięć. Ceremonia miała również znaczenie symboliczne, chodziło w niej o to, żeby uwolnić dziecko od pozostałości poprzednich wcieleń i przygotować na stawienie czoła przyszłości.

Indira była niezmiernie zachwycona dzieckiem. Starła się wracać do domu między posiedzeniami parlamentu tylko po to, aby je zobaczyć i utulić w ramionach. Kobieta, która surowo potraktowała indyjskich arystokratów, przeciwstawiła się własnej partii, wyrzuciła z Kongresu deputowanych głosujących wbrew jej woli, była babcią rozplývającą się nad swoim wnukiem. „Jaki on podobny do Rajiva!” - mówiła,

choć nikt jeszcze nie dostrzegał żadnego podobieństwa. Notabene nie był to wcale komplement, tysiące razy bowiem opowiadała, jaki brzydki był Rajiv zaraz po urodzeniu. Ale to stworzenie poruszało w niej najbardziej intymną strunę i przypominało czasy własnego macierzyństwa. Indira urodziła Rajiva dwudziestego sierpnia 1944 roku, nie w szpitalu, tylko w domu swojej młodszej ciotki w Bombaju, w strasznych warunkach. Zaszła w ciążę mimo przebytej gruźlicy, ostrzeżeń lekarzy i niezgody ojca na ślub, dlatego te narodziny przeżywała jak prawdziwe zwycięstwo nad przeciwnościami losu. Pragnęła za wszelką cenę, by ojciec poznał wnuka. Brakowało jeszcze trzech lat do niepodległości i Nehru siedział zamknięty w brytyjskim więzieniu; był to jego dziewiąty i ostatni pobyt za kratami. Dowiedziawszy się, że mają go przewozić, Indira stanęła u bram więzienia Naini w Allahabadzie i gdy szedł od bramy do więziennej karetki, trzymała małego Rajiva na rękach. „W słabym świetle latarni mój ojciec zobaczył swojego wnuka po raz pierwszy i patrzył na niego przez krótką chwilę, na tyle mu pozwolono” - wspominała.

Kiedy Sonia doszła do siebie, pojechali z dzieckiem do Włoch. Marzyła o tej chwili wiele razy podczas swojej długiej rekonwalescencji. Aromat przepysznej kawy zaraz po wylądowaniu, cisza w miejscach publicznych, rozdzierające zimno, wygoda i szybkość samochodów, woda, którą mogła pić z kranu, i supermarkety oferujące wszystko... zwykłe rzeczy, których w Indiach nie miała, a które teraz ją zachwycały. Wydawało jej się, że po raz pierwszy stąpa po ojczyściej ziemi. W rodzinnej miejscowości przeżyła ogromną radość, spotykając się z bliskimi. Roztopiła się w objęciach ojca - nic sobie nie powiedzieli, nie było takiej potrzeby. Stefano Maino wziął Rahula na ręce i od tej pory zajmował się tylko wnukiem. A ona zdawała się pytać samą siebie, czy ta

chwila nie była warta tak licznych smutków z przeszłości.
Wreszcie wszyscy, których nosiła w sercu, znaleźli się pod
jednym dachem.

Wkrótce potem powrócili do New Delhi, by wieść spokojne życie rodzinne, choć spokój ten był kruchy, ponieważ stale zagrażały mu wahania polityki. Mimo ogromnej miłości do wnuka Indira była tak zajęta, że prawie go nie oglądała. Spędzała długie godziny w swoim biurze w South Block, a do domu wracała zmęczona i wyraźnie zgnębiona

- Co się dzieje? - zapytał któregoś dnia Rajiv.

- Mówią, że ma dojść do zamachu stanu - odpowiedział Sanjay

- Kto tak mówi?

- Wszyscy. Na zabawach, koktajlach, kolacjach nie mówi się o niczym innym... Mama to wie i boi się najgorszego.

Indira narobiła sobie wielu wrogów, atakując ludzi wpływowych, którzy teraz oskarżali ją o to, że chce w Indiach zaprowadzić komunizm. Cała prawica była jej przeciwna, pracodawcy, właściciele mediów, maharadźowie i ich potomstwo, dlatego teraz Indira, podobnie jak znaczna część kraju, obawiała się gwałtownej reakcji. Nie chciała przekształcić Indii w państwo komunistyczne na wzór tych, które poznała podczas podróży za żelazną kurtynę. Przeciwnie, czyniła usilne starania, aby zapewnić wpływowe środowiska w kraju, że nic nie zagraża ich interesom. Wielkie rodziny finansistów otrzymały za znacjonalizowane banki szczodre odszkodowania. Wolność - indywidualna, zbiorowa i narodowa - stanowiła dla niej wartość najwyższą, której nie zamierzała poświęcić na ołtarzu socjalizmu.

Ale plotka, że wojskowi przygotowują zamach, szerzyła się w wielkich miastach: Bombaju, Delhi i Kalkucie. Myśl, że Indie mogą nie przetrwać jako demokracja i kraj zjednoczony, była mocno ugruntowana wśród elit. Postaci Nehru i Gandhiego zaczęto postrzegać jako relikty idealistycznej

przeszłości, niemającej już wiele wspólnego z aktualną sytuacją. Indira, coraz bardziej izolowana na szczytach władzy, popadła w paranoję. Na domiar złego generałowi Samowi Manekshaw, parsowi, naczelnemu dowódcy indyjskiej armii, wszędzie zadawano to samo pytanie: kiedy przejmie władzę? On uchylał się od odpowiedzi. Najbardziej szokował go fakt, że wśród pytających byli ministrowie z gabinetu Indiry.

Wykończona plotkami, które dotarły nawet do jej domu, Indira zaprosiła generała Manekshaw do swojego biura w South Block. Przyjaźnili się od dawna - jej mąż także był parsem - a to zawsze dodawało bliskości ich relacjom. Generał zastał ją w gabinecie, siedzącą po drugiej stronie biurka o nerkowatym kształcie; wspartą łokciami o blat, twarz skrywała w dłoniach. Po przywitaniu powiedziała do niego zmęczonym głosem:

- Wszyscy mówią, że masz zamiar mnie zastąpić... Czy to prawda, Sam?

Generał skamieniał; zareagował dopiero po kilku sekundach.

„Podszedłem kilka kroków w jej stronę - miała długi nos, mój także jest wydatny, więc nasze nosy się zbliżyły - i patrząc jej uważnie w oczy, zapytałem:

- A ty, co myślisz, pani premier?

- Nie możesz tego zrobić - odpowiedziała.

- Uważasz, że jestem taki niekompetentny?

- Nie, Sam, nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że tego nie zrobisz.

- Masz całkowitą rację. Nie ingeruję w politykę. Moją rolą jest dowodzenie wojskiem i czuwanie nad jego stanem. Twoją - czuwanie nad krajem.

- Moi ministrowie mówią, że potajemnie szykowany jest zamach stanu. Nawet moi synowie o tym słyszeli.

- Tych ministrów ty mianowałaś. Pozbądź się ich. Powinnaś ufać mnie".

Nigdy generał nie widział jej tak zmartwionej i tak podłamanej jak tego dnia. „Miała wielu wrogów politycznych - wspominał Manekshaw. - Stale zawiązywali przeciw niej jakieś spiski. Ale ona była sprytną dziewczyną. Powiedziała do mnie: «Sam, jeśli planujesz coś zrobić, wiedz, że ja się wszystkiego dowiem»".

Boże Narodzenie upływało niespokojnie. Choć w domu Indira robiła, co mogła, aby nie okazywać zdenerwowania, trudno było pozostać obojętnym na napięcie ulicy. Najczęściej o to, co będzie, pytał Sanjay. Matka odpowiadała mu swoim słynnym milczeniem i brała małego Rahula na ręce, jakby w tym prostym gościu szukała odpowiedzi na skomplikowane pytania. Zastanawiała się, co w tych okolicznościach zrobiłby jej ojciec. W 1951 roku Nehru znalazł się w podobnej, choć nie tak dramatycznej sytuacji i zdecydował się odwołać do opinii narodu. To samo zamierzała zrobić Indira. Czowała, że jej rząd, zależny od poparcia partii lewicowych, nie przetrwa ataków potężnych sił, które się przeciw niej zjednoczyły. Miała przeczucie, że naród ją poprze. Tym razem postanowiła oddzielić wybory powszechne od stanowych. Do tej pory zawsze organizowano je łącznie - w efekcie lokalne problemy kastowe i etniczne mieszały się z wielkimi sprawami państwa. Teraz postanowiła z tym skończyć, a swój program chciała przedstawić wszystkim wyborcom w całym kraju.

Dwudziestego siódmego grudnia 1970 roku o ósmej rano, po codziennej audiencji w ogrodzie, Indira piła z Sonią herbatę.

- Dziś nie przyjdę na obiad - oznajmiła. - Idę do prezydenta poprosić, żeby rozwiązał parlament. Będę miała mocno wypełniony dzień. Powiedz Rajivowi, że wieczorem wystąpię w radiu.

I rzeczywiście tej samej nocy zwróciła się do narodu, ogłaszając decyzję o przyśpieszeniu terminu wyborów powszechnych o rok. Sonia słuchała jej w kuchni: „Czas nie będzie na nas czekał - mówiła Indira nieco apokaliptycznym tonem. - Miliony ludzi proszą o jedzenie, mieszkanie i pracę, ponaglają, żebyśmy coś zrobili. Władzę w demokracji ma naród. Dlatego zwracamy się do niego, by poprosić o nowy mandat". Wkrótce po tym przemówieniu dziennikarz „Newsweeka” zapytał Indirę, jaki będzie główny temat kampanii. Odpowiedziała bez wahania: „Tematem jestem ja”.

W ciągu następnych dziesięciu tygodni Indira ledwie bywała w domu. Pojawiała się tylko po to, by zmienić ubranie i znowu wyjść. Czasem wpadała o pierwszej w nocy. Słyszając ją, Sonia wstawiała, pomagała jej szukać sari albo robiła herbatę. Opowiadała teściowej o dziecku, a Indira mówiła o kampanii. Była ożywiona. „Lubię być z ludźmi, z narodem. Kiedy jestem z nimi, opuszcza mnie zmęczenie. Wiesz, Soniu, nie postrzegam ich jako masę, ale jako zgromadzenie wielu osób...” Była zadowolona, bo wielka koalicja wszystkich partii opozycyjnych - od prawicowych po socjalistyczne, jej konkurentów - popełniła poważny błąd, wybierając hasło, które odzwierciedlało ich najgłębsze pragnienie: „Skończymy z Indirą”.

- Ja zaproponowałam inne hasło: „Skończymy z biedą”. Nie sądzisz, że ma większy sens?

Sonia zgodziła się. Indira kontynuowała ściszym głosem, by nie obudzić dziecka.

- To hasło daje naszej partii rację moralną i postępowy wizerunek wobec reakcyjnego sojuszu. W końcu biedacy stanowią znaczącą większość elektoratu.

- Ujrzą w tobie wybawcę...

- Oby tak było.

Kampania, którą prowadziła w styczniu i lutym 1970 roku była bardzo intensywna. Surowe zwyczaje Indiry - na ogół niewiele jadła i mało spała - pomagały jej w tym wysiłku. Według oficjalnych statystyk w jej wiecach uczestniczyło ponad trzynaście milionów ludzi, a siedem milionów witało ją na pobrzeżach dróg. „W ciągu czterdziestu trzech dni, jakie miałam do dyspozycji - napisała do swojej przyjaciółki Dorothy Norman - przejechałam ponad sześćdziesiąt tysięcy kilometrów i przemawiałam na mniej więcej trzystu mityngach. Cudownie widzieć światło w oczach ludzi". Jeszcze cudowniej było stwierdzić, że poza pewnymi obszarami, zamieszkanymi przez niedotykalnych i społeczności plemienne, straszliwa bieda panująca dwadzieścia lat wcześniej praktycznie już nie istniała. Nie widziało się potwornie zdeformowanych ludzi ani dzieci o brzuskach nabrzmiąłych z niedożywienia. „Zapewne nie wszyscy mają dach nad głową czy pracę, ale ludzie wyglądają na zdrowych. Dzieciom błyszczą oczy" - pisała do Dorothy.

Dla Indiry był to wielki powód do dumy, potwierdzony statystykami. W ciągu pięciu lat podwoiła się roczna produkcja pszenicy i ryżu. „Po raz pierwszy nie ma się wrażenia, że gospodarka zależy wyłącznie od pojawienia się lub nie deszczy monsunowych" - zauważył pewien brytyjski dziennikarz, który regularnie odwiedzał Indie. Indyjskie środki przekazu, znajdujące się w większości w rękach opozycji, o tym nie pisały, za to naród wyraził swoją opinię w największym zgromadzeniu wyborczym, jakie do tego czasu odbyło się na świecie.

W noc ogłoszenia wyników cała rodzina zebrała się w domu. Sonia zadbała o słodycze i kwiaty we wszystkich kątach. Dom oświetlono z zewnątrz, a w środku panowała atmosfera powstrzymanego entuzjazmu. W miarę jak komisja wyborcza podawała liczby i wyniki, narastała euforia.

W piątym od czasu uzyskania niepodległości wyborach uczestniczyło dwieście siedemdziesiąt pięć milionów ludzi. Nikt nie musiał pokonać dystansu dłuższego niż dwa kilometry, by oddać swój głos. Niemal dwa miliony wolontariuszy pełniło funkcję członków komisji. Doliczono się sześćdziesięciu sześciu prób oszustwa - liczba nieznacząca, zważywszy na wielkość kraju. Wyniki nie pozostawiały wątpliwości: partia Indiry wygrała we wszystkich okręgach. Pod dom bez przerwy podjeżdżały samochody. Podobnemu zwycięstwu towarzyszył nieodłączny dwór pochlebców. Ludzie bez wahania pochylali się, by dotknąć jej stóp w tradycyjnym powitaniu, które Nehru zawsze postrzegał jako pokaz serwilizmu, zwłaszcza gdy czynili tak ludzie bogaci. Ci sami ministrowie, którzy za jej plecami rozprawiali o zamachu stanu, przybyli pierwsi i padali przed nią na twarz. Sonia nauczyła się rozpoznawać tych miouustych pochlebców, zmieniających poglądy zależnie od politycznej koniunktury. Właśnie wtedy narodziła się obsesja, która już nigdy jej nie opuściła - by ich rozpoznawać i trzymać na dystans. Przyszli także prawdziwi przyjaciele, pragnący Indirze pogratulować. Ona raz po raz wychodziła ze swojego gabinetu wypełnionego partyjnymi kolegami, siedzącymi ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. Drugi pokój, przy drzwiach wejściowych, szybko napełnił się ludźmi. Telefony dzwoniły bez przerwy. Psy również uczestniczyły w ogólnym podnieceniu i przeciskały się między nogami gości, których Sonia oczekiwała z małym Rahulem na rękach. Indira starała się ukryć radość z powodu wielkiego zwycięstwa: zdobyła przytłaczającą większość, dwie trzecie mandatów. Zwycięstwo to czyniło z niej najpotężniejszego premiera od czasów uzyskania niepodległości, kobietę najbardziej czczoną, wzbudzającą największy strach, najmocniej kochaną, a w niektórych kręgach szczególnie znienawidzoną.

Było to również zwycięstwo Indii. Wybory udowodniły, że są prawdziwą siłą jednoczącą naród mimo różnic i odmienności. Demokracja umocniła swoje znaczenie, stała się nową religią w kraju starym i zaludnionym przez tylu bogów, religią, która pomaga wytyczać drogę ku przyszłości.

Indira nie miała wiele czasu na smakowanie zwycięstwa. Piętnaście dni po ogłoszeniu jej fenomenalnego triumfu wojska pakistańskie przpuściły zjadły atak na Bengalczyków w Pakistanie Wschodnim. Obrazy transmitowane w telewizji ukazywały morze ludzi, miliony uchodźców, w większości kobiet, dzieci i starców, przekraczających granicę w poszukiwaniu schronienia w indyjskim Bengalu Zachodnim, gęsto zaludnionym stanie ze stolicą w Kalkucie. Sonia, Rajiv i Sanjay pilnie śledzili wiadomości. Napływ uchodźców przypominał tragiczne wydarzenia czasów Podziału. Wiedzieli, że Indira stanęła wobec ogromnego kryzysu. W jaki sposób kraj tak biedny jak Indie zdoła przyjąć tylu uchodźców? - pytali sami siebie zgnębieni. Czy potrzebna będzie interwencja w Pakistanie Wschodnim, by powstrzymać napływ przybyszów? Co robi mama?

- Czy to jest wojna domowa? - zapytała Sonia.

Wyjaśnili jej, że tak to wygląda, ponieważ konflikt narasta w obrębie jednego państwa, ale złożonego z dwóch części, oddzielonych ponad trzema tysiącami kilometrów indyjskiego terytorium w wyniku podziału subkontynentu według wątpliwych kryteriów religijnych i społecznych, dokonanego w chwili uzyskania niepodległości. W rzeczywistości nie istniała prawdziwa jedność między tymi dwoma terytoriami i w końcu część zachodnia wypowiedziała wojnę wschodniej. Mieszkańcy Pakistanu Zachodniego mówili w języku urdu, byli raczej wysocy, mieli jasną skórę. Ci z Pakistanu Wschodniego byli niscy, ciemnoskórzy i mówili po bengalsku.

Łączyło ich tylko wspólne wyznanie - islam. Jednak to nie wystarczyło dla scementowania kraju, przede wszystkim dlatego, że choć część wschodnia była bardziej zaludniona, większość środków - na służbę zdrowia, edukację, elektryfikację - kierowano do części zachodniej. Mieszkańcy zachodu bezwstydnie eksploatowali tych ze wschodu, a ci w końcu zażądali autonomii.

W przeciwieństwie do Indii, w których demokracja przetrwała zawirowania polityczne oraz okresy głodu i wojny, w Pakistanie przez trzynaście lat rządili wojskowi. Prezydent Pakistanu, generał Yahya Khan, znany z zamiłowania do alkoholu, obiecał przeprowadzić pierwsze wolne wybory w historii kraju w grudniu 1970 roku. Nie mógł jednak przewidzieć, że w ich konsekwencji wyjdą na jaw sprzeczności i kruchość politycznej konstrukcji znanej pod nazwą Pakistan. Na zachodzie wygrał Zulfikar Ali Bhutto, adwokat wykształcony w Anglii, który po powrocie do kraju zajął się polityką i został liderem PPP (Pakistańskiej Partii Ludowej). Na wschodzie powstało równie silne stronnictwo pod przewodnictwem charyzmatycznego Mujibura Rahmana, przyjaciela i sprzymierzeńca Indiry, który podczas kampanii oskarżył Pakistan Zachodni o kolonializm w stosunku do Pakistanu Wschodniego. Odniósł druzgocące zwycięstwo, zdobywając większość mandatów w Zgromadzeniu Narodowym. Zgodnie z logiką powinien być zostać mianowany premierem. Jednak sprawujący władzę generał nie godził się na to, by część wschodnia przejęła władzę polityczną. W odpowiedzi Mujibur Rahman zainicjował ruch obywatelskiego nieposłuszeństwa w całym Pakistanie Wschodnim, ogłaszając bezterminowy strajk powszechny. Dyktator Yahya Khan zdecydował się zdławić bunt siłą. Nagle, bez wcześniejszego uprzedzenia czterdzieści tysięcy żołnierzy Pakistanu Zachodniego najechało część wschodnią.

Agencje prasowe donosiły o bezlitosnym i brutalnym ataku. Żołnierze zgwałcili tysiące kobiet, twierdząc, że poświęcają się w ten sposób dla poprawienia genów bengalskich dzieci, grabili i palili domy i fabryki, mordowali tysiące niewinnych. Wszyscy podejrzani o nieprawomyślne poglądy byli prześladowani i eliminowani, zwłaszcza hindusi: studenci, profesorowie uniwersytetów, pisarze, dziennikarze, fachowcy i intelektualiści, nikt nie umknął przed terrorem wysokich, silnych i dobrze uzbrojonych bezlitosnych żołnierzy. Nawet dzieci nie uniknęły ich brutalności: te, które miały szczęście, zabijano razem z rodzicami, tysiące innych musiało przeżyć resztę życia bez oczu lub ze straszliwie amputowanymi członkami. Mujibura Rahmana aresztowano, przewieziono do Pakistanu Zachodniego i osadzono w więzieniu.

- Czy wypowiedz wojnę, mamó? - zapytał Sanjay przy kolacji, tak jakby pytał, czy ma zamiar udać się w podróż albo na zakupy.

- Jeśli nie znajdę odpowiedniego sposobu rozwiązania tego konfliktu, nie będę miała innego wyjścia. Tak czy inaczej jutro porozmawiam z generałem Manekshaw.

Indira wiedziała, że jeśli pakistański dyktator działa z taką pewnością siebie, to dlatego, że ma poparcie głównego sojusznika, Stanów Zjednoczonych. Drugim sprzymierzeńcem były Chiny, które wypowiedziały wojnę Indiom w 1962 roku i w błyskawicznym ataku zaanektowały graniczne terytoria w Himalajach. Było to nie tylko upokorzenie dla Indii, ale i śmiertelny cios dla głoszonej przez Nehru idei solidarności państw niezaangażowanych. Wydarzenie to naznaczyło ostatnie lata życia Nehru, którego zdrowie zaczęło podupadać. Wielu obserwatorów przypisywało jego śmierć przygnębieniu wywołanemu atakiem sąsiada z północy.

- Czy wiesz, co dzieje się w Pakistanie Wschodnim? - zapytała Indira starego przyjaciela Sama Manekshaw,

naczelnego dowódcę wojsk, gdy tylko przybyła na posiedzenie rządu.

- Tak, dochodzi do mordów - odpowiedział wojskowy.

- Zalewają nas telegramy od przygranicznych stanów - kontynuowała Indira. - Piszą, że nie przestają napływać uchodźcy. Sam, należy zatrzymać ten napływ, nie mamy środków, żeby zaopiekować się taką masą ludzi. Jeśli trzeba wkroczyć do Pakistanu Wschodniego, zrób to. Zrób, co trzeba, aby ich zatrzymać

- Wiesz, że to oznacza wojnę.

- Nie obchodzi mnie, że będzie wojna - odparła pani premier.

Generał zaczął jej przedstawiać zagrożenia związane z inwazją. Właśnie miały nadejść deszcze monsunowe, transport wojsk będzie musiał odbywać się drogami, bo pola będą podtopione. Siły powietrzne nie zdołają działać w takich warunkach. Powiedział jej szczerze, że w tej sytuacji nie będą w stanie wygrać wojny.

- Zaczynają się żniwa w Pendżabie i Harijanie - dodał przewidujący generał. - Jeśli kraj pójdzie na wojnę w porze żniw, będzie potrzebował wszystkich dostępnych szos, a to spowoduje problemy z dystrybucją żywności, a nawet klęskę głodu. Jest jeszcze problem Chin. Przejścia w Himalajach otworzą się za kilka dni... Czy sojusznicy Pakistanu pozostaną z założonymi rękami? A jeśli postawią nam ultimatum?

- Nie zrobią tego - odpowiedziała Indira. - Poinformuję ich, że jesteśmy bliscy podpisania paktu o współpracy i wzajemnej pomocy wojskowej ze Związkiem Sowieckim. Paktu, który ma obowiązywać przez najbliższe dwadzieścia lat.

Indira aż poczerwieniała ze złości - wspominał wojskowy. Zdecydowała się przerwać posiedzenie i wznowić je po

południu. Ministrowie opuścili salę, ale Indira poprosiła Sama, żeby został. Kiedy byli już sami, wojskowy powiedział:

- Moim obowiązkiem jest mówić ci prawdę. Ale jeśli po wysłuchaniu moich wyjaśnień chcesz, żebym podał się do dymisji, jestem gotów to zrobić.

- Nie, Sam. Pracuj dalej. Mam do ciebie pełne zaufanie (Scena między Samem Manekshaw i Indirą Gandhi za: Jayakar Pupul, Indira Gandhi: a Biography, Penguin, New Delhi 1995). Od tej chwili premier i wódz naczelny współdziałali w pełnej zgodzie. Indira nigdy nie pozwoliła na to, by ktokolwiek lub cokolwiek zakłóciło ich relacje. Sam przekonał ją, że rozwiązanie wojskowe powinno być ostatecznością, zastosowaną tylko wówczas, gdy będą do tego zmuszeni. Strategią na dziś było zyskanie na czasie, przynajmniej do chwili, gdy zima wróci w Himalaje i zamrozi górskie przejścia - warunek niezbędny, by Chińczycy nie mieli pokusy włączenia się do konfliktu.

Napływ uchodźców nie ustawał. Każdego dnia nawet do stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi przekraczało granicę. Przybywali ciężarówkami, wozami zaprzężonymi w woły, w rikszach i na piechotę. Sonia dostrzegła, że Indira była bardzo poruszona po powrocie z podróży do Kalkuty.

- Wizytowałam obozy dla uchodźców w strumieniach deszczu - opowiadała przy stole, nie zjadła jednak ani kęsa, nie miała apetytu. - Myślałam, że po doświadczeniach z takimi obozami z czasów Podziału będę przygotowana na to, co zobaczę. Jednak nie. Widziałam mężczyzn i kobiety jak patyczki, dzieci szkieleciki, starców transportowanych na plecach synów przez zatopione pola... Godzinami szli albo stali w błocie, bo nie było żadnego suchego miejsca, gdzie mogliby usiąść. Moi towarzysze podróży spodziewali się, że coś powiem, ale byłam tak poruszona, że nie mogłam.

W ciągu ośmiu tygodni trzy i pół miliona uchodźców weszło na terytorium Indii. Choć większość stanowili hindusi, obok nich znaleźli się również muzułmanie, buddyści, chrześcijanie... Ludzie ze wszystkich warstw społecznych, w najróżniejszym wieku. Żeby nie wiem ile to kosztowało - powtarzała Indira - nie zostawimy ich na pastwę losu. Razem ze swoimi doradcami zajęła się skrupulatną organizacją obozów. Chciała, żeby rząd zapewnił uchodźcom miejsce, wyżywienie i ochronę przed epidemiami. Nawet gdyby znowu musiała jechać w świat i prosić o pieniądze.

Sonia nie przestawała śledzić wydarzeń. Była nieco wystraszona ich obrotem, lecz ślepo wierzyła w teściową. Prasa alarmowała, że nie ustały zbrodnie ani nie zmniejszył się napływ uchodźców. Dokąd zmierza to wszystko - zastanawiali się wpatrzeni w telewizor w porze wiadomości. We wszystkich zakątkach słychać było to samo wołanie, by rząd wysłał wojsko. Mimo gwałtownych lamentów Indira zachowała zimną krew. Jak zawsze w momentach kryzysu w pełni panowała nad sytuacją. Atmosfera w domu w New Delhi pomagała jej się odprężyć. Obserwowanie, jak rośnie wnuk Rahul, działało na nią jak balsam. Podejmowanie decyzji, zwłaszcza gdy dotyczyły one jednej szóstej ludzkości, łatwo mogłoby się zamienić w intelektualną torturę. Zachowanie

spokoju i jasności umysłu było kwestią podstawową, dla niej, dla kraju i dla świata. Sonia bardzo wspierała teściową.

„Twoja córka to skarb” - pisała Indira do Paoli. Stale też komplementowała ją publicznie. Pewnemu doświadczonemu dziennikarzowi powiedziała: „Jest po prostu cudowną kobietą, doskonałą żoną, doskonałą synową, cudowną matką i bajeczną gospodynią. A najbardziej niewiarygodne w tym wszystkim jest to, że jest bardziej indyjska niż jakakolwiek z indyjskich dziewcząt!” Któregoś dnia cała rodzina uczestniczyła w projekcji filmu dokumentalnego przyjaciółki Indiry, dziennikarki Gity Mehty, poświęconego uchodźcom. Miał on być rozpowszechniany w Stanach Zjednoczonych. Sonię film głęboko poruszył. W dokumencie znalazły się wyznania kobiet, które pakistańscy żołnierze trzymali w niewoli w okopach. Jedna z nich, na oko piętnastoletnia, została zgwałcona około dwustu razy. Nie płakała, była w stanie katatonicznego szoku. Film ukazywał również starców i młodzińców powracających do swoich zniszczonych domów. Po zakończeniu projekcji Sonia zauważyła, że Indira płacze.

Indira była gotowa użyć wszelkich dostępnych środków, żeby uniknąć wojny, a przynajmniej ją opóźnić. Myślała, że tylko interwencja pozostałych krajów świata może doprowadzić do uzgodnienia traktatu pokojowego i zapobieżenia rozlewowi krwi. Prasa światowa przekazywała informację o zbrodniach popełnianych w kraju, który zaczęto nazywać Bangladeszem. W komentarzach redakcyjnych krytykowano wsparcie, jakiego prezydent Nixon udzielił Pakistanowi. Amerykańska elita jednomyślnie wystąpiła z ostrym potępieniem generała Yahyi Khana. We Francji André Malraux zaproponował, żeby dostarczyć broń ruchowi oporu w Bangladeszu. Eksbeatles George Harrison i indyjski mistrz sitara Ravi Shankar zorganizowali gigantyczny koncert charytatywny na rzecz uchodźców. Allen Ginsberg, poeta, którego Indira słyszała w Londynie, kiedy przyleciała na otwarcie wystawy poświęconej jej ojcu, opiewał cierpienia wsi.

Indirze pozostał tylko wyjazd do Stanów Zjednoczonych i Europy w celu zmobilizowania światowej opinii publicznej.

- Jeśli na Zachodzie ludzie zobaczą ten film dokumentalny, który widziałyśmy wczoraj - powiedziała do Soni - jestem pewna, że nie pozostaną obojętni.

Miała zamiar przez kilka miesięcy podróżować po świecie. Jechała z poczuciem pewności, że zostawia dom w dobrych rękach, co dawało jej tak potrzebny spokój. Wyznała to arabskiej dziennikarce podczas jednego z międzylądowań: „Nie martwię się o rodzinę, kiedy Sonia jest w domu”. Przed wyjazdem synowa zakomunikowała jej inną radosną wiadomość: znowu była w ciąży i tym razem wydawało się, że nie będzie musiała spędzić kolejnych dziewięciu miesięcy w łóżku.

Objazd rozpoczął się źle. Spotkanie z Nixonem okazało się całkowitym fiaskiem. Indira miała zdecydowanie niedobre doświadczenia z amerykańskimi prezydentami, którzy uznawali ją za zbyt lewicującą. Jednak Nixon wydał jej się sto razy gorszy od nieokrzesanego Johnsona. Ich rozmowy były zabarwione wzajemną nieufnością i antypatią. Indira i Nixon siedzieli w fotelach z zagłówkami, przy kominku, w Gabinetcie Ovalnym w Białym Domu. Jej doradca i Kissinger, jak świadkowie pojedynku, przycupnęli na brzegu sof, słuchając dialogu dwóch przywódców. Prezydent nie zamierzał uznać rozmiarów tragedii, która rujnowała Pakistan Wschodni. Indira prosiła go, żeby przekonał generała Yahyę Khana, by ten uwolnił Mujibura Rahmana i zaczął prowadzić negocjacje z nim i jego partią, co wydawało się jedynym sensownym sposobem zakończenia wojny. Jednak Nixon odmówił. Nie litował się ani nad losem uchodźców, ani nad losem Rahmana. Wydawało się, że słowa Indiry nie robią na nim żadnego wrażenia. „Był to dialog głuchych” - powiedział Kissinger po wyjściu, a następnie dodał, że Nixon mówił rzeczy, „które nie nadają się do powtórzenia”. Po latach, kiedy dokumenty z tamtych czasów zostały odtajnione, okazało się, że Nixon opierał swoją politykę w tym rejonie Azji na osobistej sympatii do dyktatora Yahyi Khana - „porządnego i rozsądnego człowieka”, którego lojalność w stosunku do Stanów Zjednoczonych należało wynagrodzić, pomagając mu w stłumieniu buntu w Pakistanie Wschodnim - a także na awersji do Hindusów, „tych bękartów”, jak ich nazywał. Obaj politycy byli przekonani, że Hindusi nie pójdą na wojnę. Uważali, że są na to zbyt biedni.

Następnego dnia Nixon kazał czekać Indirze czterdzieści pięć minut w przedpokoju Gabinetu Ovalnego. Kiedy zasiedli do rozmów, pani premier tłumiała powstrzymywany gniew. Była głową państwa, wprawdzie ubogiego, ale jednak

wielkiego i demokratycznego, o ogromnej liczbie mieszkańców i tysiącletniej cywilizacji, i nie zasługiwała na takie traktowanie. Naprzeciwko niej siedział nieludzki osobnik, który według słów jej doradcy „był pozbawiony zasad moralnych”. I Kissinger - „samolub uważający się za Metternicha”. Po co tracić czas na takich rozmówców? Los uchodźców i obciążenia finansowe, jakie musiały ponosić Indie, ich nie obchodziły. „Błędem byłoby zastanawiać się nad tym, co mówiła nam ta stara wiedźma” - powiedział prywatnie Nixon swojemu doradcy. Zdecydowanie opowiadał się po stronie Pakistanu. Indira zdała sobie z sprawę, że nie zmieni jego nastawienia, dlatego podczas drugiego spotkania odpowiedziała na grubiaństwo Nixona z wrodzoną sobie subtelnością. Nie uczyniła żadnej aluzji do problemu Pakistanu, jakby południe Azji było najbardziej pokojowym regionem świata, natomiast spytała o Wietnam i o amerykańską politykę zagraniczną w innych regionach globu. Nixon odebrał to jako obelgę. „Ta stara lisica” - tak nazywał ją prywatnie.

Mimo wypełnionego terminarza Indira popołudniami znalazła dla siebie kilka wolnych chwil. Dorothy Norman zastała ją bardzo zmęczoną. Ciągłe podróże i napięcie spotkań z Nixonem, wysiłek, by stale nad sobą panować i zachowywać się rozsądnie wobec prowokacji, zostawiły ślad na twarzy Indiry. Dorothy kupiła bilety na przedstawienie New York City Ballet - Strawiński w choreografii Balanchine'a - które mogło się spodobać przyjaciółce. W ostatniej chwili Indira zrezygnowała. „Wydawała się smutna i zdenerwowana” - wspominała Dorothy, która nie rozumiała, co się dzieje. Indira starała jej się wytłumaczyć:

- Nie mogę, Dorothy. To będzie zbyt piękne. Nie zdołam tego wytrzymać.

Wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem. Dorothy bardzo się przejęła. Jednak następnego dnia spostrzegła z ulgą, że Indira „odzyskała równowagę ducha”.

W innych krajach Indira zetknęła się z podobnym nastawieniem. Proszono ją, żeby wykazała cierpliwość, zgodziła się na obecność obserwatorów ONZ i znalazła pokojowe rozwiązanie. „Największym problemem, z jakim się stykam - powiedziała prasie - nie jest wojna na granicy, ale wysiłki mieszkańców innych krajów, zmierzające do odwrócenia uwagi od tej fundamentalnej kwestii”. W angielskiej telewizji pokazała się jako premier na miarę wyzwań. Straciła na wadze, a jej rysy upodobniły się do rysów ojca - ta sama władcza mina, wielka godność, płomienne spojrzenie. Kiedy dziennikarz powiedział jej o potrzebie wykazania przez Indie cierpliwości, Indira wybuchnęła: „Cierpliwości? Cierpliwości, żeby kontynuowano masakrę, żeby kontynuowano gwałty? Kiedy Hitler atakował cały świat... niczego nie uczyniliście? Pozwoliliście, żeby zabił wszystkich Żydów? Jak kontrolować podobny exodus? Gdyby społeczność międzynarodowa uznała powagę sytuacji, już by ten problem rozwiązano”. Zwracała się nie tylko do dziennikarza, ale też do wszystkich światowych liderów, którzy ją ignorowali.

Po powrocie do Indii dowiedziała się, że liczba uchodźców wzrosła do dziesięciu milionów. Teraz była już przekonana, że nie da się uniknąć wojny, jednak w domu o tym nie wspomniała. Pominęła napięcia podróży i to, co miało nadejść. Opowiedziała rodzinie, że znalazła czas, by w Wiedniu wybrać się na operę Fidelio i obejrzeć popis konnej jazdy szkoły hiszpańskiej, który bardzo jej się spodobał. W Paryżu została zaproszona na kolację do domu jednego z przyjaciół, gdzie poznała Joana Miro i polityka Francois Mitterranda, który wywarł na niej duże wrażenie. Wydawało

się, że wraca z przyjemnej wycieczki, a nie z wyczerpującej i frustrującej międzynarodowej podróży. Ale Rajiv i Sonia nie dali się oszukać. Doskonale widzieli, jak bardzo jest spięta. W końcu Indira nie mogła dłużej ukrywać prawdy: będzie wojna. Ta wiadomość nie zrobiła wrażenia na Sanjayu, ale Rajiv i Sonia byli zaniepokojeni. Mały Rahul wzdychał w swojej kołysce.

- Musicie się przyzwyczaić do tego, że będziecie mniej wychodzić i żyć pod nadzorem ochrony, przynajmniej dopóki to wszystko będzie trwało - powiedziała Indira. - Cały kraj żąda szybkiej i skutecznej akcji. Czas się kończy.

Tej nocy przybył generał Sam Manekshaw. Sonia z Rajivem słyszeli fragmenty rozmowy. Generał opowiadał o przygotowaniach wojska, bazach operacyjnych, które kazał rozmieścić na terytorium Bangladeszu, i o zabezpieczeniu granicy Pakistanu Zachodniego jednostkami obrony.

- Obawiam się, że trzeba iść na wojnę, Sam - powiedziała Indira.

- Jeśli mamy iść, to musimy to zrobić teraz, wykorzystując pełnię księżyca czwartego grudnia. Tego dnia możemy zaatakować Dhakę.

Indira przez chwilę się zastanawiała. Nigdy nie myślała, że przypadnie jej wszczynać wojnę. Ale skoro świat ignoruje problem, a sytuacja staje się nie do zniesienia, nie ma innego wyjścia, tylko trzeba wziąć sprawę we własne ręce. Przypomniała sobie słowa, jakie kiedyś wypowiedział do niej ojciec: „Bądź panią swojego życia, swojej teraźniejszości i przyszłości, konsultuj się ze mną w razie potrzeby, ale decyduj ty”. Nie mogła się go poradzić, ale, owszem, mogła zdecydować. Zwróciła głowę w stronę starego przyjaciela i powiedziała:

- Do dzieła, Sam.

W domu starała się nie okazywać strapienia. Wszyscy postępowali podobnie. Obawiali się o Sonię, która była już w zaawansowanej ciąży. Członkowie rodziny Nehru na ogół ukrywali uczucia, gdy sprawy zaczynały się komplikować. Pod tym względem byli bardzo brytyjscy. A gdyby tak pojechali na jakiś czas do Włoch, jak radziła jedna z przyjaciółek? Ale Sonia odrzuciła tę propozycję. Nie chciała zostawiać Indiry samej w takiej sytuacji. To nie licowało z jej poczuciem lojalności. Zbyt dobrze znała teściową, by nie wiedzieć, że teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje ona ciepła i bliskości krewnych. Poza tym zarówno Sonia, jak i Rajiv ufali życiu, przyszłości, Indirze i Indiom i nigdy nie zdarzyło się im pomyśleć o konsekwencjach w przypadku przegranej. Ta ewentualność po prostu nie wchodziła w grę.

Przede wszystkim otoczyli Indirę miłością, nie zadawali zbyt wielu pytań, starali się nie przygnębiać jej jeszcze bardziej. Byli w stosunku do niej bardzo czuli, a kiedy widzieli, że jest szczególnie zgnębiona, Rajiv mocno ją obejmował.

Indira pojechała do Kalkuty trzeciego grudnia 1971 roku, na dzień przed planowanym atakiem. W centrum dawnej stolicy brytyjskiego imperium, na wielkiej esplanadzie, zwróciła się do pół miliona zgromadzonych: „Indie pragną pokoju, ale jeśli wybuchnie wojna, jesteśmy przygotowani do walki, jest to bowiem zarówno kwestia naszych ideałów, jak i naszego bezpieczeństwa...” Dokładnie w chwili, gdy wygłaszała te słowa, na podium wszedł asystent i przekazał jej notatkę: „Myśliwce pakistańskie zbombardowały dziewięć naszych baz powietrznych na północnym wschodzie, północy i zachodzie, w tym bazy w Amritsarze, Agrze i Śrinagarze w Kaszmirze”. Indira pośpiesznie zakończyła przemówienie, nie ujawniając najświeższych wieści. Gdy tylko wyszła z mityngu, powiedziała do swojego asystenta: „Dzięki Bogu

zaatakowali oni!" Wybuchła trzecia wojna indyjsko - pakistańska. I to Pakistan był agresorem.

Tej nocy Indira poleciała z powrotem do New Delhi. Jej samolot eskortowały indyjskie myśliwce. Istniało zagrożenie, że pakistańskie siły powietrzne go namierzą i zestrzelą. Nie wydawała się poruszona przyśpieszeniem wypadków. Wyjęła z torebki książkę Thora Heyerdahla o ekspedycji Ra i przez cały lot oddawała się lekturze. Gdyby się denerwowała, nic by to nie dało: wojna już się zaczęła. Po wylądowaniu ujrzała stolicę zupełnie pozbawioną światła z powodu zaciemnienia zarządzanego przez władze wojskowe. Od razu skierowała się do swojego biura w South Block, gdzie w sali map poinformowano ją o stratach spowodowanych przez pakistańskie lotnictwo. Później spotkała się z członkami opozycji, których powiadomiła o rozkazie zaatakowania Bangladeszu przez indyjskie wojsko. Opisywano, że była „spokojna, pogodna i ufna”. Po północy wygłosiła radiowe orędzie do narodu, przekazując wiadomość o pakistańskiej agresji i zwracając uwagę na poważne niebezpieczeństwa, jakie zagrażają temu rejonowi świata. Przez całą noc, zamiast pójść do domu i się przespać, monitorowała zmiany na froncie. Następnego ranka w parlamencie powiedziała do reprezentantów narodu, że powinni się przygotować na długą walkę.

Kiedy wybuchł konflikt, Sonia była bliska rozwiązania i dlatego bardziej przejmowała się porodem niż odległą, w jej odczuciu, wojną, mimo że ostatnie noce spędziła w kompletnych ciemnościach. Nawet jeśli odczuwała niepokój, to nigdy go nie okazywała. Poza dodatkowym oddziałem wojska chroniącym dom i codzienną obecnością generała Sama Manekshaw, który przychodził rano na śniadanie, by informować panią premier o rozwoju konfliktu, życie toczyło się normalnie. Sonia lubiła podawać herbatę generałowi,

sympatycznemu i bardzo uprzejmemu człowiekowi, znanemu z zamiłowania do brytyjskiej tradycji wojskowej. Generał codziennie budził się o wpół do szóstej, pociągał łyk whisky, słuchał wiadomości w BBC, krzątał się nieco w ogrodzie, po czym wychodził do pracy. Pogodne i opanowane zachowanie Indiry uspokajało wszystkich z jej otoczenia - kolegów, wojskowych, żołnierzy. Także rodzinę.

Szóstego dnia Sam zjawił się z poważną miną. Sonia usłyszała, jak mówi, że wojsko zatrzymało błota w okolicach Dhaki, stolicy Bangladeszu. Oddziały traciły decydujące godziny. Generał przekazał Indirze precyzyjne dane dotyczące strat w ludziach i zestrzelonych samolotów. Wydawał się bardzo przejęty. Ona, jak zawsze pełna optymizmu i spokojna, zadawała pytania. „Sam, nie możesz wygrywać każdego dnia” - powiedziała na pocieszenie. Sonia widziała, jak wyszli na ganek. Kiedy Indira podawała rękę naczelnemu dowódcy, jej twarz nie zdradzała najmniejszych oznak niepokoju. Generał Manekshaw wspominał, że męstwo Indiry inspirowało wszystkich. Sonia mogła się o tym sama przekonać, słysząc ludzi wznoszących okrzyki zwycięstwa po drugiej stronie ogrodzenia.

Nawet w tak niespokojnym czasie Indira nie przestała się interesować sprawami rodziny. Kiedy wróciła do domu po wyczerpującym dniu w parlamencie i w South Block, zamknęła się z Ushą, aby rozstrzygnąć kwestie, które jej zdaniem zasługiwały na taką samą uwagę jak te poruszane w ciągu dnia: na przykład jak zorganizować obchody Dnia Republiki, nie znając wyniku wojny, albo co podarować Soni na urodziny dziewiątego grudnia. Omawiały też listę podarunków na zbliżające się Boże Narodzenie.

Chyba jednak Indira nie była tak pewna siebie, na jaką chciała wyglądać, ponieważ zaczęła wówczas korzystać z usług astrologów i chiromantów. Tej nocy przybył jej

nauczyciel jogi, guru Dhirendra Brahmachari, przystojny, z brodą i długimi włosami, zawsze ubrany w pomarańczową kurta i sandały. Zamknęli się na długi czas w jej pokoju.

O dziewiątej, kiedy Usha, Rajiv i Sonia oglądali w telewizji wiadomości o indyjskich wojskach zatopionych w błocie, Indira weszła do salonu. Właśnie pożegnała gościa i wyglądała na nieco zdenerwowaną. „Myślę, że w lutym będziemy przechodzili złe chwile” - powiedziała z lekkim niepokojem.

Szóstego grudnia, kiedy indyjskie wojska wyszły z błot i zbliżyły się do Dhaki, Indira ogłosiła w parlamencie, że rząd indyjski oficjalnie uznał nowe państwo Bangladesz. Jej słowa przyjęto głośną owacją. Ze wszystkich stron napływało bezwarunkowe wsparcie. Opozycja i całe społeczeństwo zjednoczyło się pod jej przewodnictwem. Naród zaczął ją identyfikować z Durgą, boginią wojny jadącą na tygrysie i zwyciężającą demony, które wypędziły bogów z nieba.

Sonia nigdy nie zapomniała dziewiątego grudnia, w którym ukończyła dwadzieścia pięć lat. Była wówczas w ósmym miesiącu ciąży. Przed południem zadzwoniła Indira, że nie przyjdzie na przyjęcie urodzinowe, ponieważ wynikła poważna sprawa. Ci, którzy ją dobrze znali, wiedzieli, że sprawa musi być bardzo poważna, skoro Indira z jej powodu zrezygnowała z urodzin synowej. Wiadomość wprawiająca w drżenie resztę świata nadeszła ze Stanów Zjednoczonych. Nixon zdecydował się wysłać do Zatoki Bengalskiej Siódmą Flotę, z nuklearnym lotniskowcem „Enterprise” na czele. Prowokacja ta mogła w konsekwencji wzniecić światową pożogę.

Kiedy w domu przyjaciele obchodzili urodziny Soni, Indira, podekscytowana, wygłaszała płomienne przemówienie na esplanadzie Lila Ram w New Delhi w obecności stu tysięcy ludzi. Miejsce wiecu nadzorowały indyjskie myśliwce, aby

zapobiec nagłemu atakowi pakistańskich sił powietrznych. Indira nie posłuchała sugestii swoich ochroniarzy, którzy namawiali ją, żeby wystąpiła w radiu, a nie w miejscu publicznym. Była odważna; wydawało się, że nic nie jest w stanie jej powstrzymać.

Nocą spotkała się z generałem Manekshaw i swoim doradcą. Nie dała się zastraszyć amerykańskiej prowokacji, powtórzyła decyzję o kontynuowaniu wojny. Uważała, że gest Nixona to bufonada, a Amerykanie nie będą tak szaleni, żeby otwierać następny po Wietnamie front w Azji. Jednak po takim typie jak Nixon można się było wszystkiego spodziewać. Zwróciła się do generała Manekshaw:

- Sam, teraz najważniejsze jest zdobycie Dhaki przed przybyciem Siódmej Floty na wody Indii. Czy to jest możliwe?

- Tak - odpowiedział generał bez wahania - chyba żeby interweniowali Chińczycy.

Głos zabrał doradca Indiry.

- Są zaniepokojeni sytuacją, ale nie wysunęli żadnej bezpośredniej groźby - powiedział.

- W tej sytuacji - kontynuowała Indira - jutro z samego rana wyślę do Moskwy ministra spraw zagranicznych, aby uruchomić traktat podpisany z Sowietami i w razie amerykańskiego lub chińskiego ataku zapewnić ich wsparcie.

Moim zdaniem powinniśmy kontynuować działania wojenne. Zgadza się?

Obaj mężczyźni wykonali gest aprobaty.

Wizyta indyjskiego ministra spraw zagranicznych miała skłonić Rosjan do wysłania do Zatoki Bengalskiej floty, która przez kilka dni płynęłaby kilwaterem amerykańskich okrętów. Sytuacja stała się krytyczna. Z Białego Domu Nixon rzucał wściekłe oskarżenia o „indyjską agresję”. Jego administracja zawiesiła pomoc gospodarczą i wojskową dla Indii, nie

przestała jednak zaopatrywać w broń Pakistanu, co ujawniła amerykańska prasa. Indira napisała wówczas do Nixona ostry w tonie list: „Tej wojny można byłoby uniknąć, gdyby inne państwa, zwłaszcza Stany Zjednoczone, użyły swoich wpływów, potęgi i autorytetu do znalezienia dyplomatycznego rozwiązania. Pan, jako prezydent Stanów Zjednoczonych i reprezentant woli, aspiracji i ideałów wielkiego amerykańskiego narodu, niech przynajmniej mi uświadomi, gdzie dokładnie popełniliśmy błąd, za który pana przedstawiciele i rzecznik prasowy tak nas ostro krytykują”. Indira spędziła cały dzień, zastanawiając się, czy powinna wysłać ten list. W nocy zdecydowała, że to zrobi. Amerykanin będzie miał kolejny powód, by jej jeszcze bardziej nienawidzić.

Trzynastego grudnia, kiedy wojska znajdowały się u bram Dhaki, generał Manekshaw wystosował do swojego pakistańskiego odpowiednika ultimatum, w którym dawał mu trzy dni na kapitulację. O piątej po południu szesnastego grudnia, gdy Indira udzielała wywiadu jakiemuś reporterowi szwedzkiej telewizji, bardziej zainteresowanemu tym, jak lubi się ubierać i jakie było jej dzieciństwo, niż przebiegiem wojny, nagle zadzwonił telefon. Był to Manekshaw: „Pani premier, zwyciężyliśmy. Właśnie skapitulowali. Dhaka padła”. Indira zamknęła oczy i zacisnęła pięści.

- Dziękuję, Sam - powiedziała.

Pośpiesznie zakończyła wywiad i udała się do parlamentu. Przed zgromadzeniem oczekujących ją deputowanych powiedziała: „Dhaka jest dziś wolną stolicą wolnego kraju...” Głośna owacja zmieszana z okrzykami radości pochłonęła resztę jej przemówienia. „Zwyciężyliśmy!” - krzyczeli nawet deputowani opozycji. „Zmiażdżmy wroga na zawsze!” - zapowiadali inni. „Niech żyje Indira Gandhi!” - wołał naród.

Później spotkała się z dowódcami wojsk. Straty Indii wynosiły czterdzieści dwa samoloty i osiemdziesiąt jeden zniszczonych czołgów; Pakistańczycy stracili osiemdziesiąt sześć samolotów i dwieście dwadzieścia sześć czołgów. Jeszcze większą nierównowagę odnotowano pod względem liczby jeńców. Pakistańczycy pojмали ich garstkę w walkach na zachodzie. Indie wzięły do niewoli dziewięćdziesiąt cztery tysiące pakistańskich żołnierzy. Indira starała się ostudzić zapał generałów, niewyrażających zgody na jednostronne zawieszenie broni, którego się domagała. Wysokie dowództwo odzwierciedlało znaczną część opinii publicznej, która nadal chciała kolekcjonować wojenne triumfy „aż do całkowitej klęski nieprzyjaciela”. Ale Indira była pragmatyczna: „Musimy się powstrzymać, osiągnęliśmy nasze cele, nie damy ani Chinom, ani Stanom Zjednoczonym powodu do interwencji. Należy oddać jeńców i zakończyć konflikt”. Wojskowi protestowali ochrypłymi głosami, z wyjątkiem Sama, który słuchał nieulekły, długim nosem wskazując kolejnych mówców. Indira tłumaczyła, że jej stanowisko wynika z politycznej oceny sytuacji i że jest wsparte autorytetem, jakiego jednomyślnie udzielił jej rząd. Kiedy skończyła, wojskowi powstali, zaszalutowali i oświadczyli, że zastosują się do instrukcji rządu. „Coś takiego nie mogłoby się zdarzyć w wielu krajach, nie tylko Trzeciego Świata” - wspominała Indira.

Strategia Indiry dążąca do zyskania na czasie, znakomite wycucie chwili i sytuacji, pełne zrozumienie z generałem Manekshaw, jej niemal matczyzny sposób przemawiania do wojsk były zaletami jednomyślnie docenionymi przez całe społeczeństwo. Zagraniczna prasa pisała o niej z szacunkiem. Bogini Durga stała się „cesarzową Indii”.

Indira przejrzała bufonadę Nixona. Amerykanie nie byli w stanie uratować swojego sojusznika, pakistańskiego dyktatora,

ponieważ nie mogli sobie pozwolić na otwarcie nowego frontu w Azji. Nixon nazbyt popędliwie zaangażował się w wojnę. „Byliśmy zbyt łagodni dla tej kobiety - powiedział do Kissingera. - Zobacz, co zrobiła z tymi Pakistańczykami, chociaż ostrzegaliśmy starą lisicę, żeby się nie mieszała" (Cyt. za: Guha Ramachandra, *India after Gandhi*, HarperCollins, New York 2007, s. 460 (według dokumentów cyt. w: Smith Louis, *Foreign Relations of the United States, South Asia Crisis: 1971*, Department of State, Washington, D.C. 2005)). Kissinger złościł się sam na siebie za to, że nie docenił siły militarnej Hindusów. „Hindusi są tak złymi pilotami, że nawet nie potrafią wystartować na swoich samolotach" - powiedział do Nixona podczas wizyty Indiry. Komentarz ten nie sprawił przyjemności Rajiwowi. Ale opinia publiczna i prasa w Stanach Zjednoczonych nie podzielały zdania przywódców. Według sondaży Indira Gandhi została uznana za najbardziej podziwianą osobę na świecie.

Jej zdecydowana akcja uratowała życie Mujiburowi Rahmanowi, który został skazany w Pakistanie na karę śmierci. Jednym z warunków porozumienia o zawieszeniu broni było natychmiastowe uwolnienie lidera nowego Bangladeszu. Jedenastego stycznia 1972 roku Rahman zawitał na lotnisko Palam w New Delhi, gdzie jego samolot miał międzylądowanie w drodze do Dhaki, i osobiście podziękował Indirze. Oboje wygłosili bardzo emocjonalne przemówienia. „Jego ciało było uwięzione, ale nikt nie może uwięzić duszy, która nadal inspirowała lud Bangladeszu..." - powiedziała ona. „Indira Gandhi jest nie tylko przywódcą swojego kraju, jest przywódcą ludzkości" - zadeklarował Mujibur Rahman. Był to moment wielkiej euforii po napięciach ostatnich miesięcy.

W następnych dniach i tygodniach tysiącom dziewczynek urodzonych w Indiach rodzice nadali imię Indira. Jednak ta, która przyszła na świat nazajutrz po triumfalnej wizycie

Mujibura Rahmana w New Delhi, została nazwana inaczej. Jej rodzice, Sonia i Rajiv Gandhi, nadali jej imię Priyanka, co w sanskrycie oznacza „przyjemna dla oczu”.

Akt II

Anioł zagłady

Cóż może rzeka naprzeciw ognia, Noc wobec Słońca,
ciemność wobec Księżyca?

aforyzm sanskrycki

Indira objeżdżała właśnie stan Bihar, kiedy zadzwoniła do niej Usha, by przekazać dobrą nowinę. Półtora roku po narodzinach Rahula rodzina wzbogaciła się o nowego członka. Pani premier była przeszczęśliwa. O co więcej mogłaby prosić? Była niekwestionowanym liderem o niezagrożonej pozycji, a życie, jakby dla ukoronowania tego triumfu, sprawiło jej prezent w postaci wnuczki. Gotowa ją rozpieszczać, cały czas się o nią dopytywała i w swoim stylu z najbardziej niezwykłych miejsc wysyłała do Soni liściki z pytaniami w rodzaju: Jak przeszła małej noc? Czy Rahul nadal ma duży katar? Radosna chwila przypomniała jej inną, równie intensywną, kiedy postanowiła wyjść za mąż za Feroza. „Czuję w głębi siebie spokojne szczęście, którego nic ani nikt nie może mi ukraść” - napisała w liście do ojca. Nehru odpowiedział jej z więzienia, studząc entuzjazm córki z dystansu swoich lat i doświadczeń: „Szczęście jest raczej czymś ulotnym, poczucie spełnienia jest chyba trwalsze”. Nehru wiedział to, o czym Indira miała się dopiero przekonać, że szczęście jest kruche jak najcieńsza porcelana. Warto je chronić i cieszyć się nim, póki trwa, bo może się rozpaść albo zostać skradzione.

Indira z pewnością czuła się spełniona i w rozkwicie sił. Przyzwyczała się do władzy nie ze względu na korzyści materialne - jej niewielkie potrzeby były całkowicie zaspokojone i nie miała ambicji w tej materii - ale z powodu poczucia pełni, jakie jej dawała. Poczucia, że jest wierna swojemu przeznaczeniu uwarunkowanemu faktem, że urodziła się w tej, a nie innej rodzinie. Wewnętrznego przekonania, że spełniła swój obowiązek, który nie wynikał z jej osobistego wyboru, ale był moralnym dziedzictwem, jakie otrzymała od ojca, a on wcześniej od swojego ojca. Mesjańskie nastawienie,

które wpajał jej Nehru, przesiąkło w najgłębsze zakątki jej duszy.

Indira nauczyła się również, że władza, sława i popularność nie trwają wiecznie. Jak nadal się wspinać, kiedy weszło się na szczyt? A może, gdy już jest się na szczycie, pozostaje tylko upadek? Tego typu rozważania gnębiły ją w coraz liczniejszych trudnych chwilach. „Czuję się więźniem własnej ochrony, której wydaje się, że może ukryć swoją niekompetencję, otaczając mnie coraz większą liczbą ludzi - pisała do Dorothy Norman w czerwcu 1973 roku - przede wszystkim jednak dlatego, iż zdaję sobie sprawę, że doszłam do kresu, że już nie sposób bardziej się rozwinąć w tym kierunku". Gdyby tylko mogła, skoncentrowałaby się na polityce międzynarodowej, ponieważ to najbardziej lubiła. Miała duszę meża stanu: inspirowały ją wielkie problemy i wyzwania. Podpisała traktat z Bhutto, gwarantujący długotrwały pokój z Pakistanem, chciała rozwiązać spór o Kaszmir, kraj swoich przodków, starała się unormować stosunki z Chinami. Natomiast polityka wewnętrzna, utarczki między partiami, zdrady i wymuszone sojusze, zgiełk publicznego życia Indii ją nużyły. „Nie ma normalnych dni dla premiera Indii - usłyszała Sonia, kiedy podawała herbatę Indirze i jej przyjaciółce Pupul. - W dobry dzień są co najmniej dwie lub trzy pilne sprawy. W zły może być ich nawet tuzin. Po jakimś czasie potrafisz z tym żyć, chociaż nigdy całkiem się do tego nie przyzwyczaisz. Jeśli tak się stanie, wówczas powinnaś zrezygnować ze stanowiska. Premier musi zawsze być trochę niezadowolony, zawsze poszukiwać równowagi".

Prywatnie bogini Durga nadal żyła skromnie. Rzadko nosiła klejnoty. Za najcenniejsze swoje sari uznawała to, które jej ojciec utkał w więzieniu. Zgromadziła jednak sporą kolekcję sari; dobierała je „politycznie", to znaczy zależnie od

miejsca i ludzi, których zamierzała odwiedzić. Pochodziły ze wszystkich stron subkontynentu. Miała również w swojej garderobie stroje regionalne, które nosiła, objeżdżając terytoria północno - wschodnie, aby jasno dać do zrozumienia, że sari nie jest jedynym strojem kobiet w Indiach.

Sonia nauczyła się rozpoznawać wszystkie te ubrania. Pomagała je wybierać przed każdą podróżą. Podczas konfliktu o Bangladesz Indira skłaniała się ku czerwieni, tak jakby wojna spotęgowała jej wrażliwość na ten kolor, tradycyjnie zabroniony dla wdów. Wyznała, że w tym okresie wszystko widziała jakby przez czerwony filtr i że kolor ten stale jej towarzyszył. Ale potem wróciła do swoich dawnych upodobań, czyli wszystkich barw z wyjątkiem koloru malwy i fioletu. Wolą tony świetliste od pastelowych, szczególnie lubiła zieleń. A ponieważ trudno było jej chodzić po sklepach, Sonia i Usha przynosiły jej sari do domu. Indira szybko wybierała te, które jej się spodobały. Potrafiła jej nosić z szykiem. Wydawała się równie elegancka w zwykłym sari z ręcznie tkanej bawełny, jak i w ozdobnym, z jedwabiu z Benares.

Sonia stała się w domu niezbędną. Indira kochała ją jak córkę, której nigdy nie miała. Teraz, kiedy urządzano więcej przyjęć i kolacji dla zagranicznych dygnitarzy, pełniła u boku teściowej taką rolę, jaką niegdyś odgrywała Indira w Teen Murti, gdy mieszkała tam z ojcem. Sonia bardzo sumiennie układała menu, do którego nigdy nie włączano ani wołowiny, ani wieprzowiny. Hindusi wegetarianie nie spożywali jajek, jedli za to produkty mleczne, najsurowsi zaś, weganie, nie tknęli niczego, co pochodziło od zwierząt. Przygotowywała również jedzenie halal dla muzułmanów i kosherne dla żydów. Zadbać o to, by wszystko było w doskonałym porządku, nie należało do łatwych zadań, zwłaszcza gdy przychodzili cudzoziemcy. Składniki niezbędne do dobrego zachodniego

menu trudno było dostać nawet w sklepie ambasady amerykańskiej. Sonia nauczyła się planować posiłki z dużą rozważą; łączyła dania indyjskie z europejskimi, zależnie od możliwości. Znowu jednak zaczynało brakować podstawowych produktów, bo po sześciu latach obfitych opadów monsunowych teraz deszcze zawiodły. Chmura pyłu okrywająca New Delhi była tak gęsta, że Sonia nie poruszała się bez swojego inhalatora. Zza ciemnych szyb białego ambassadora widziała nieporządek na ulicach. Wszędzie spotykała manifestacje, zablokowane drogi, protestujących ludzi. „Indira nie skończyła z biedą! - krzyczał ktoś uzbrojony w megafon do niewielkiego zbiegowiska na jednym ze skrzyżowań, czyniąc aluzję do wyborczego hasła Indiry. - Za to skończyła z biedakami, zabijając ich głodem!” Zwycięstwo nie przyniosło ulgi zwycięzcom, Indie były zranione. Pomoc dla uchodźców opróżniła krajowe spichlerze. Kasa państwowa świeciła pustkami. Światowy kryzys paliwowy spowodował podniesienie cen i wzrost inflacji. Jeśli wcześniej na dojazd do Connaught Place Sonia potrzebowała dwudziestu minut, obecnie jechała dwa razy dłużej ze względu na objazdy wymuszone przez chaos panujący na ulicach. Czuła dyskomfort, robiąc zakupy na luksusowe bankiety, kiedy ludzie na ulicach cierpieli głód. Rzeczywistość, do której się nie przyzwyczaiła. Po powrocie do domu sprawdzała, czy palą się wszystkie żarówki i czy nie kapie z kranów w łazienkach. Upewniała się, że dostojni goście mają stosowne siedziska, a ci szczególnie niscy - podnóżki.

Kiedy Indira była w domu, najczęściej korzystała ze swojego niewielkiego studia na werandzie obok sypialni, mimo że dysponowała dużym gabinetem przy Akbar Road, oddalonym o jakieś pięćdziesiąt metrów. Jednak w domu czuła bliskość rodziny, mogła słyszeć codzienną krzątanie, widziała Sonię trzymającą dziecko na rękach - i to czyniło jej

życie słodszy. Dla niej praca, odpoczynek i rodzinne obowiązki nie były odrębnymi działaniami, ale przenikały się nawzajem. Lepiej się czuła, robiąc kilka rzeczy naraz. „Im więcej robisz, tym więcej możesz zrobić” - to była jej ulubiona maksyma. Zdolności Indiry funkcjonowały symultanicznie - i to zapewne był sekret, dzięki któremu mogła sprawnie wykonać o wiele więcej pracy niż przeciętni ludzie. Sonia zauważyła, że teściowa nie rozdziela pracy od wypoczynku. Starła się robić coś innego, choćby przez krótki czas, na przykład czytać, układać kwiaty, porządkować książki lub ubrania czy porozmawiać z rodziną. Podczas lunchu czasami rozwiązywała krzyżówki, co wydawało się dziwne, zważywszy na liczbę nękających ją problemów. „Pomaga mi to się odprężyć i poukładać myśli” - mówiła. W domu nadał pozostawiała liściki: „Dziś przepadła ci ładna fotografia - napisała pewnego dnia do Rajiva. - Tego ranka przy Akbar Road dwie papużki siedziały na gałęzi długą chwilę. Przyleciała również para dzięciołów, bez wytchnienia trzepoczących skrzydłami”.

Dzięki bliskiej relacji, jaką obie zbudowały i która z czasem się umocniła, Sonia wiele się nauczyła od Indiry. Problemy teściowej, w znacznej mierze będące problemami Indii, dyskutowano w domu. Na ogół nie rozmawiano o bieżącym życiu politycznym, ale o sprawach poważnych: kryzysie gospodarczym, który zaczął się w 1972 roku i zapowiadał najgorzej z dotychczasowych, o nadmiernym zaludnieniu zagrażającym rozwojowi kraju, stałych napięciach między wspólnotami religijnymi, zajmowaniu terenów publicznych w miastach przez mieszkańców slumsów albo skutkach klęsk naturalnych, wiecznie prześladujących ludzi w Azji. Swoją miłością do prostych ludzi Indira zaraziła Sonię, którą wzruszała rola teściowej jako obrońcy biednych - odbicie marzeń nastolatki o heroicznym misjonarzach.

Podziwiała Indirę nie tyle za sukcesy w życiu politycznym, ile za to, że była spontaniczna, swobodna, całkowicie wyzbyta pychy. Doceniała jej „zdolność do kochania i dawania”. „Dla nas była kimś, kto hojnie dzieli się szeroką wiedzą, ciepłem i obecnością. Kiedy przebywała w podróży, pisała do nas o swoich spotkaniach i doświadczeniach. Kiedy przebywała w domu, czuwała nad wszystkimi i każdym z nas”. Indira podchodziła bardzo poważnie do drobnych codziennych spraw swoich wnuków, jak pierwszy ząb czy pierwsze kroki. Zachwycało ją zjawisko niezwykle, stare jak ludzkość, a jednak zawsze nowe - jak dziecko rozwija swoją wiedzę o świecie zewnętrznym, z niekończącym się poczuciem przygody i pasją zbadania wszystkiego, co je otacza... „Zobaczysz, że dziecko bardzo szybko przechodzi przez tysiąclecia ludzkiej historii i nieświadomie, a częściowo świadomie, przeżywa w sobie również historię swojej rasy” (Cyt. w: Gandhi Sonia, Two Alone, Two Together, s. 476) - napisał kiedyś do Indiry jej ojciec. Chciała pokazać ten list Soni. Włoszkę wzruszało to, że mimo całego nacisku świata zewnętrznego Indira pozostała otwarta na mały, a zarazem potężny spektakl dorastania swoich wnuków.

Choć bardzo jej zależało na pomyślności teściowej, Sonia miała swoje prywatne życie z Rajivem. Jeśli kolację podawano w głównej jadalni, nie zawsze w niej uczestniczyli. Czasem to robili, czasem nie. Ich życie rodzinne było dobrze zorganizowane i tak stabilne jak ich związek „Zawsze bardzo się kochali: nigdy nie widziałem pary, która byłaby równie związana ze sobą od dnia poznania” - opowiadał Christian, przyjaciel, który przedstawił ich sobie w Cambridge. „Nasze małżeństwo zawsze funkcjonowało bardzo dobrze, od samego początku. Sonia była pełna zrozumienia” - wyznał Rajiv, który awansował na pilota i latał teraz angielskim samolotem Avro HS - 748, godnym następcą słynnego DC - 3 Dakota. Koledzy

z linii lotniczych uważali go za prawdziwego profesjonalistę, choć czasami żartowali z jego nadmiernej pedanterii w sprawie planu lotu, problemów technicznych i rozkładu godzin. Nie znosił fuszerki, zawsze jednak gotów był polecieć, gdy ktoś prosił go o zastępstwo. Był dobrym serdecznym kolegą, nieprzywiązującym wagi do hierarchii.

Indira martwiła się przede wszystkim o swojego drugiego syna: „Rajiv ma pracę, Sanjay jej nie ma, a zaangażował się w kosztowne przedsięwzięcie. Jest bardzo podobny do mnie, gdy byłam w jego wieku... i ta jego arogancja... dlatego martwi mnie cierpienie, jakie musi znosić” (Korespondencja Indiry Gandhi, dokumenty P.N. Haksara (cyt. w: Guha Ramachandra, *India after Gandhi*)). Po dwóch latach od uzyskania rządowej licencji na produkcję krajowego samochodu jego przedsiębiorstwo nadal nie wypuściło ani jednego pojazdu nadającego się do sprzedaży. Dzięki uprzywilejowanej pozycji, jaką zapewniała Sanjayowi matka, nie brakowało mu pomocy. Niektórzy politycy i przedsiębiorcy pragnący przypodobać się Indirze zainwestowali duże sumy w jego firmę. Wiedzieli, że nawet jeśli stracą wyłożone pieniądze, będą mogli się domagać przywilejów politycznych. Od szefa rządu stanu Harijana, Bansiego Lala, zażywnego osobnika w okularach starającego się zbliżyć do szczytów władzy, Sanjay otrzymał pięćdziesiąt hektarów ziemi uprawnej na przedmieściach Delhi. „Gdy polujesz na cielaka, na pewno złapiesz też jego matkę” - oświadczył cynicznie Bansi Lal przyjacielowi. Kiedy prasa ujawniła, że budowa fabryki Maruti pociągnie za sobą przesiedlenie ponad tysiąca rolników, parlament zareagował gwałtownie na to, co określił nowym aktem „rzucającego się w oczy nepotyzmu”. Cena ziemi była podejrzana. Teren przeznaczony pod budowę fabryki znajdował się w pobliżu dawnej prochowni, co naruszało prawo zakazujące wznoszenia obiektów przemysłowych w odległości mniejszej niż kilometr od instalacji wojskowych. Nigdy jednak nie zdołano udowodnić, że doszło do przekupstwa. Indira milczała, jakby sprawa jej nie dotyczyła, choć zaufany główny

doradca ostrzegał ją przed naiwnością planów syna i jego brakiem doświadczenia.

- Klęska Sanjaya może poważnie wpłynąć na twoją pozycję polityczną - powiedział. - Maruti może stać się rysą, której partie opozycyjne szukają na twoim pancerzu.

Indira podniosła wzrok i patrzyła na niego przez kilka sekund, ale nie odpowiedziała. Wierzyła w syna, a zarazem mu współczuła, co pozbawiało ją jasnego i rzetelnego oglądu rzeczywistości.

Także inny potężny czynnik wpływał na ślepotę Indiry: jej ogromna władza. Ludzie, których jako premier mianowała na ważne stanowiska, przez sam fakt desygnacji zyskali ogromną możliwość rozdawania przywilejów i udzielania protekcji. Mogli liczyć na gigantyczne źródło dochodów z korupcji, którą partia sama uruchomiła, wprowadzając jako część swojego socjalistycznego programu kontrolę działalności gospodarczej. Do prowadzenia jakiegokolwiek biznesu, otwarcia przedsiębiorstwa, importowania sprzętu lub części zamiennych wymagano niezliczonych licencji, pozwoleń i zezwoleń. System ten nazywano License Raj, czyli „Imperium Pozwoleń”. Biurokraci i politycy mogli się bogacić poprzez udzielanie koncesji za pieniądze lub inne korzyści. License Raj gwarantował wysokie zyski z korupcji. I Sanjay rozpoczął połów w tych mętnych wodach.

Indira była świadoma wpływu władzy i pieniądza na ludzi z jej otoczenia, ale uważała, że korupcja w jakimś stopniu istniała zawsze i była integralną częścią systemu. Ważne, by znajdowała się pod kontrolą. Przymykanie oczu na postęпки swoich ludzi było również sposobem na zapewnienie sobie ich przywiązania. Z pewnością Indira nie była jedynym przypadkiem przywódcy politycznego, osobiście uczciwego, który pobłażliwie spoglądał na korupcję podwładnych. Sprawy tego rodzaju nie wydawały jej się ważne w

porównaniu z właśnie opublikowanymi danymi, według których mniej niż 20 procent indyjskich kobiet potrafiło czytać i pisać, a w stanie Bihar wskaźnik ten wynosił zaledwie 4 procent... Lub że liczba ludności kraju przekroczy próg sześciuset milionów, czyli wzrośnie ponad dwukrotnie od chwili uzyskania niepodległości... W tym tempie w ciągu kilku lat indyjska populacja będzie bardziej liczna od chińskiej. To były problemy wymagające maksymalnej uwagi. Podobnie jak fala strajków, niezadowolenie społeczne i widmo klęski głodu. Nawet Rajiv i Sonia, którzy rzadko gdzieś wychodzili, zaczęli dostrzegać problem korupcji. Zauważyli, że żony i córki członków Kongresu pokazują się teraz na oficjalnych przyjęciach w sari z importowanego jedwabiu, naszyjnikach z diamentów i włoskich butach.

Mimo milczącego poparcia matki projekt Sanjaya nie przynosił efektów. Wszystkie prototypy miały wady: w systemie kierowniczym, skrzyni biegów, zawieszeniu i układzie chłodzenia. Pewnego dnia Sanjay zaprosił Sonię na przejażdżkę „swoim” samochodem wokół fabryki. Starał się wykazać, że wóz może osiągnąć prędkość stu kilometrów na godzinę, ale teren był tak wyboisty i pełen chaszczy, że Sonia, zmartwiała ze strachu, błagała szwagra, żeby zwolnił. Chociaż samochód był nowy, wyglądał jak stary: drzwi się nie domykały, zawieszenie było bardzo sztywne, a hałas silnika ogłuszający. Ale Sanjay nie widział tych defektów. Nie dostrzegał ich do tego stopnia, że w maju 1973 roku postanowił zaprezentować swój model prasie. Zaprosił dziennikarza z czasopisma „Surge”, aby go wypróbował, jednak silnik się przegrzał i stracił olej. W warsztatach dziennikarz dostrzegł tylko pięć niepomalowanych samochodów, a następnych piętnaście znajdowało się w fazie produkcji. Silniki składano ręcznie, nie widać było żadnych oznak istnienia linii montażowych. Dziennikarz uświadomił

sobie, że Maruti, zamiast być produkowanym masowo tanim samochodem, jakiego chciał rząd, jest wytworem rzemieślniczym niskiej jakości.

Problem polegał na tym, że Sanjay pozyskał mnóstwo pieniędzy i teraz wpadł w pułapkę. Ponieważ nie mógł dzwonić bezpośrednio do tych, którzy mogli mu pomóc finansowo, początkowo korzystał z usług jednego z sekretarzy matki, człowieka o starannie zaczesanych do tyłu włosach i sztucznym szerokim uśmiechu, R.K. Dhawana (niegdyś stenografa Nehru). Ten zwiertzył okazję wzmocnienia swojej pozycji u szefowej i kultywował znajomość z Sanjajem. Dzwonił do przedsiębiorców i biznesmenów z domu przy Safdarjung Road 1, a ci przybywali biegiem, nie chcąc stracić możliwości oddania przysługi synowi pani premier, czyli pośrednio jej samej. Możliwe, że myśleli, iż to sama Indira interesuje się przedsięwzięciem, o którym w rzeczywistości nie miała pojęcia, podobnie jak o intrygach swojego potomka.

Następnie Sanjay poprosił każdego z sześćdziesięciu pięciu koncesjonariuszy o złożenie depozytu w wysokości pół miliona rupii w zamian za obietnicę wypuszczenia na rynek pierwszych samochodów w ciągu następnych sześciu miesięcy. Udał się również do banków, właśnie znacjonalizowanych przez matkę, i uzyskał bez zabezpieczenia kredyty na sumę ośmiu milionów rupii. Jednak samochodu nadal nie było, a niezdolność Sanjaya do jego wyprodukowania stawała się coraz bardziej widoczna. Broniąc się przed licznymi atakami, zrzucał winę za swoją klęskę na biurokrację i mnogość utrudnień administracyjnych, które musiał pokonać. Miał w tym trochę racji, niemniej jego możliwości walki z przeszkodami License Raj były przecież największe. Nawet w takiej sytuacji starał się obarczyć winą innych. Protesty deputowanych przybierały na sile. O Maruti zaczęły pisać gazety, zestawiając Indirę z jej starym wrogiem

Nixonem. Według prasy sprawa Maruti była aferą Watergate indyjskiej pani premier.

W końcu 1973 roku zmartwiona rozwojem sprawy Indira poprosiła swojego ministra gospodarki, aby przyjrzał się aktom Maruti. Sonia widziała, że teściowa jest bardzo zgnębiona i przekonana, że opozycja wykorzystuje sprawę Maruti, pragnąc ją zniszczyć, co wydawało jej się niesprawiedliwe. Nadal uważała, że syn zasługiwał na szansę. Pewnego dnia opowiedziała Soni, jak w młodości знаła pewnego katolickiego księdza, który w dwóch garażach w Bombaju zbudował samolot i zabierał nim przyjaciół na przejażdżki nad zatoką. „Jeśli ten człowiek mógł skonstruować samolot, dlaczego Sanjay nie miałby skonstruować samochodu?” - pytała.

Przyczyny przegranej syna w rywalizacji z księdzem wyszły na jaw podczas spotkania Indiry, Sanjaya i ministra gospodarki Subramaniana, architekta „zielonej rewolucji”, który poprosił Sanjaya o specyfikację projektu.

- Nie można zrobić specyfikacji projektu przed jego zrealizowaniem - odpowiedział Sanjay.

Minister zaczął mu tłumaczyć, że choć zapewne potrafi zaprojektować samochód, powinien mieć specyfikację wszystkich komponentów, sposobu ich produkcji i kosztów wytwarzania.

- To nie jest już potrzebne - odpowiedział arogancko Sanjay. - To są stare metody działania.

Minister oświadczył Indirze, że jej syn, choćby nie wiedzieć jak był dynamiczny, nie ma potrzebnej wiedzy, aby odnieść sukces. Obiecał, że postara się o pomoc profesjonalistów, ale Sanjay gwałtownie zaprotestował. Nie chciał, żeby ktoś zepchnął go w cień lub pozbawił kontroli nad przedsięwzięciem. Wszystko wskazywało na to, że Indira posłucha swojego ministra, jednak tego nie zrobiła. Rozdarta

między powinnością szefa rządu a ślełą wiarą w syna, nie tylko zignorowała rady Subramaniana, ale teŝ oddaliła doradców najbardziej krytycznych wobec Sanjaya. Absolutna władza, jaką obecnie dysponowała, sprzyjała ludziom bez charakteru, naginającym się do jej oczekiwań. Indira nie godziła się na osądzanie, sprzeciw czy choćby przyjazną krytykę. Władza, która zatrula syna i oślepiła matkę, przyzwalała innym tylko na uległość.

Rajiwowi nigdy nie podobał się projekt brata; postrzegał go jako marzenie megalomana, które może zaszkodzić reputacji matki, a w konsekwencji reszcie rodziny. Do pierwszego poważnego konfliktu między braćmi doszło, gdy obaj byli już dorośli. Po powrocie z podróŝy Rajiv dowiedział się, ŝe Sanjay namówił Sonię, by podpisała dokumenty, które czyniły z niej współnika nowego przedsięwzięcia Maruti Technical Services, z wliczoną pensją, gratyfikacjami i kosztami podróŝy. Mały Rahul i Priyanka również figurowali jako współnicy.

- Jak mogłeś to zrobić? - zapytał z wściekłością brata. - Nie pozwolę na to, ŝeby twoje intrygi zszargały mi opinię ani ŝebyś wikłał w nie Sonię i dzieci...

- Źadne intrygi...

- Jak to? Jak myślisz, ile czasu potrzeba, aby dowiedziała się o tym opozycja?

- To nie jest nielegalne.

- Owszem, jest. Czy zapomniałeś o tym, ŝe zgodnie z prawem Sonia nie może posiadać akcji ŝadnego indyjskiego przedsięwzięcia, poniewaŝ jest cudzoziemką?

Sanjay wzruszył ramionami, jakby to nie miało najmniejszego znaczenia. Rajiv był oburzony również na Sonię.

- Zgodziłam się, ŝeby zrobić przysługę twojemu bratu - powiedziała. - W stosunku do mnie zawsze był bardzo

opiekuńczy i jeśli poprosił o przysługę, nie mogłam mu odmówić.

- Ale podpisałaś, że będziesz pobierała pensję. Zdajesz sobie sprawę?

- Podpisałam w ciemno, nie wiedziałam nic o pensji ani nie miałam zamiaru pobierać żadnych pieniędzy, przecież wiesz...

- Zobaczysz, że prędzej czy później afera z Maruti splami i nas.

Rajiv był wściekły. Sonia rzadko widywała go w takim stanie. Przedsiębiorstwo konsultingowe było przykrywką do przelewania na konto Sanjaya pieniędzy z firmy Maruti Limited, a także od inwestorów pakujących wielkie sumy w fabrykę samochodów, których w rezultacie nie wyprodukowano. Teraz Rajiv pragnął tylko jednego: odseparować się od wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z Maruti.

Obaj bracia dorastali w jednym domu, jednak od najwcześniejszego dzieciństwa wyraźnie się różnili. Ich wychowawczyni w przedszkolu opisywała Rajiva jako dziecko grzeczne, łagodne i niekłopotliwe. Za to Sanjay był zbuntowany, destrukcyjny, uparty, nie wykazywał żadnego zainteresowania zajęciami, był arogancki w stosunku do wychowawców i trudny w kontaktach. Wyrósł na młodzieńca niesfornego i kapryśnego, zapatrzonego w samochody i zafascynowanego wątpliwymi przyjaciółmi. Obaj chłopcy uczęszczali do Doon School, najbardziej elitarnej szkoły w Indiach, stworzonej na wzór wielkich brytyjskich instytucji edukacyjnych, jak Eton czy Harrow. Sanjay nie znosił dyscypliny ani rytmu studiów. Czytanie książek również go nie interesowało. W jednym z wywiadów, jakiego udzielił już jako dorosły człowiek, nie potrafił wskazać choćby jednej książki, która wywarła na niego wpływ lub go zainspirowała;

nie znał nawet pism swojego dziadka. Lubił tylko zajęcia w warsztacie, a obchodziły go wyłącznie samochody i samoloty. Mimo rodzinnych koneksji został w końcu wyrzucony z Doon School. Wówczas zrozpaczona Indira wysłała go na kurs szkoleniowy do fabryki Rolls - Roycea w Anglii. „Najbardziej bawiły go rozmowy o indyjskiej polityce i wyśmiewanie polityki angielskiej - opowiadał jego instruktor. - Pewnego razu, kiedy zwróciłem mu uwagę, że popełnił błąd, powiedział do mnie: «Widzisz, Brytyjczycy naprzykrzali się Indiom przez stulecia, teraz ja przyjechałem, żeby się naprzykrzać Anglii»".

Dorastając u boku premierów, którym ludzie schlebiali jak bogom, Sanjay w końcu zaczął myśleć, że Indie są jego prywatnym dominium. W odróżnieniu od matki i dziadka nigdy nie zaznał biedy. Nehru po latach wypełnionych walką pozwolił sobie na rozpieszczanie wnuków, jakby w ten sposób rekompensował własne dawne cierpienia. Czasami robił im ekscentryczne prezenty - na przykład podarował Sanjayowi krokodyla, który stał się jego ulubioną maskotką, czemu kres położyła Indira, odsyłając zwierzę do zoo, gdy omal nie odgryzło jej palców. Sanjay nie odziedziczył po dziadku i matce ogromnej miłości do indyjskiego ludu ani ich współczucia dla biednych. Nigdy nie zdarzyło mu się widzieć wychudzonych twarzy ubogich starców oplakujących zmarłych, nigdy nie patrzył w oczy chłopom obserwującym ziemię spękaną podczas suszy, nigdy nie usłyszał milczącego wołania ludu, który od stuleci prosił o opiekę. Sanjayowi przeszkadzało zacofanie kraju, którego złożoności nie rozumiał. Buntował się przeciw tradycji, prawom i przepisom. Potrafił być czuły i uważający, a za chwilę szczery i brutalny. Jego szorstkość szokowała w kraju, w którym relacje międzyludzkie nasycone są odwieczną kurtuazją, niczym patyną powstałą przez tysiące lat nieprzerwanej cywilizacji. Dla niego życie było grą, którą należało wygrać, a życiowe

problemy przeszkodami, które należało pokonać, aby osiągnąć cel. Na dodatek się śpieszył. Śpieszył się, by zmienić istniejący stan rzeczy, by wcześniej zrealizować zamierzenia, by skumulować władzę, która mu się nie należała. Tak się śpieszył, że środki, jakimi się posługiwał, przestały się liczyć.

Jego brat rozwijał się w przeciwnym kierunku. Od małego był czuły na cierpienia innych. Odziedziczył po matce wrażliwość na problemy najbiedniejszych i jej miłość do Indii, co znajdowało odzwierciedlenie w jego fotografiach. Od młodości spontanicznie, nienakłaniany przez nikogo, odwiedzał przyjaciół rodziców. Kiedy miał siedemnaście lat, Indira zauważyła, że wybierał się złożyć kondolencje rodzinie jej niedawno zmarłego przyjaciela i doświadczonego lidera Kongresu. W ten sposób dowiedziała się, że odwiedzał go w ostatnich dniach jego życia. Rajiv należał do tego rodzaju ludzi, którzy widząc wypadek na drodze, bez wahania zatrzymują się i oferują pomoc, w razie potrzeby zawożą ofiarę do szpitala, a następnie interesują się jej rekonwalescencją. W przydomowym ogrodzie obserwował gniazdo rudzika i jeśli znalazł zranione pisklę, zabierał je do kliniki dla ptaków w Chandni Chowk, ryzykując spóźnienie do pracy. Czuł się szczęśliwy z tym, co miał - z Sonią, dziećmi, psami i luksusem polegającym na oddawaniu się własnym upodobaniom. Nie domagał się więcej od życia i właśnie na tym polegała jego mądrość. Ale Indira tego nie ceniła, nie dostrzegała w tym mądrości, raczej brak ambicji, co nie wzbudzało jej zachwytu.

Uważała, że uprzywilejowane życie jej synów nie oznaczało, iż nie cierpieli w dzieciństwie. Mieszkali w domu pełnym dorosłych, którego atmosfera przesycona była powagą dyskusji i podniosłością kwestii rozstrzyganych w gabinetach, salonach i pokojach Teen Murti. Ich niechęć do książek - myślała, zawsze szukając dla nich usprawiedliwienia - była

zapewne formą sprzeciwu wobec tego oficjalnego, ceremonialnego świata, w którym przypadło im spędzić dzieciństwo. Naprawdę dobrze się czuli, kiedy wyjeżdżali do ojca w weekendy i wakacje. Feroz był ekstrawertyczny, rozmowny, wrażliwy i poświęcał im całkowicie swoją uwagę. Potrafił bawić się z synami. Pokazywał im, jak się składa i rozkłada zabawki, jak sadzi róże i o nie dba - był wielkim miłośnikiem ich uprawy. Z dala od oschłej formalności pałacyku premiera, gdzie mieszkali na co dzień, ojciec jawił się jako osoba zdolna do niczym nieograniczonej zabawy. Umiał wzbudzić w synach poczucie, że są dla niego niezwykle ważni, co wywarło na nich głęboki wpływ. Jak w przypadku wszystkich małżeństw w stanie separacji, także i tu dzieci przeżywały napięcie między rodzicami, choć go nie rozumiały. Ale czy Indira mogła im to wyjaśnić? Czy mogła im opowiedzieć, że nie mieszka z Ferozem, bo ten stale ją zdradza? Czy mogła wytłumaczyć, dlaczego się nie rozumieją i że ma dość ciągłych kłótni? Jej godność własna na to nie pozwalała. Synowie zauważyli, że dziadek Nehru nie darzy swojego zięcia sympatią, i nieraz mu to zarzucali. Być może nieświadomie obwiniali także matkę o to, że Feroz został odsunięty i nie należał do rodziny premiera. Po pogrzebie ojca załamany Sanjay rzucił matce w twarz, że zaniedbywała męża. Wprost obwinił ją o zawał, który skrócił Ferozowi życie.

Indira przyjęła cios. Prawdopodobnie czuła się winna rozpadu małżeństwa. A przede wszystkim winna tego, że jej synowie przez to cierpieli. Jej słabość w stosunku do Sanjaya być może wynikała z pragnienia naprawienia tej krzywdy. Sonię szokowało to, że najsilniejsza kobieta w Indiach była tak zaskakująco słaba w stosunku do młodszego syna. Liczni wrogowie szybko zdali sobie sprawę, że Sanjay jest jej piętą achillesową.

Indira, która ufała Soni całkowicie, często z nią rozmawiała. Włoszka była chyba jedyną osobą w domu, której się zwierzała. Pewnego dnia wyznała, że jej małżeństwo przechodziło liczne wzloty i upadki, ale że nie mogłaby wyjść za mąż za innego mężczyznę niż Feroz... Tylko jego jednego naprawdę kochała. Opowiadała o nim często i z czułością, mówiła, że Rajiv przypomina jej męża. Obaj twardo stąpali po ziemi, byli wrażliwi na piękno natury i muzykę, uzdolnieni manualnie i praktyczni w sposobie rozwiązywania problemów. Nigdy nie myślała, że Feroz umrze tak szybko, w tak młodym wieku. Przyznała, że nie dbała o niego w ostatnim czasie, ale myślała, że oboje mają jeszcze wiele lat życia przed sobą i że odrobnią stracony czas. Pogodzili się w 1958 roku po jego pierwszym zawale. W ramach rekonwalescencji Indira zorganizowała rodzinne wakacje na barce zacumowanej na jeziorze w Śrinagarze, „Wenecji Wschodu”, jak nazywano stolicę Kaszmiru. Feroz i chłopcy wspaniale spędzali tam czas, kąpali się, pływali łodzią i robili zdjęcia. Indira zaczęła się uczyć hiszpańskiego, języka, który zawsze ją pociągał.

Krajobrazy Kaszmiru, ziemi jej przodków, zawsze pobudzały jej emocje. Zachody słońca nad iskrzącymi wodami jeziora Dal były nieporównywalne z niczym. W powietrzu czuło się magię. Zimorodki wydawały się oswojone. Jeden z nich przyfrunął na barkę i usiadł na ramieniu Rajiva. Potem pojechali na kilkudniową wycieczkę do Daksunu, rajskiego miejsca, gdzie łowili dzikie pstrągi w zasobnych wodach rzek, które spływały pomiędzy ukwieconymi łąkami oraz sosnowymi i jodłowymi lasami na tle szczytów pokrytych wiecznym śniegiem. Feroz powiedział jej, że kupił niedawno ziemię w Mehrauli koło Delhi, i rozmawiali o tym, żeby postawić tam dom. Byłby to ich własny dom, nie musieliby więcej mieszkać w rządowych rezydencjach (Feroz jako deputowany ze stanu Uttar Pradeś miał służbowe mieszkanie).

Po tak burzliwym małżeństwie, z tyloma kłótniami, zdradami i poniżeniami, tym boleśnieszymi, że znanymi publicznie, było to dla Indiry czarujące spotkanie. Cień himalajskich szczytów działał jak balsam, który leczy rany przeszłości. Pośród spokoju gór znowu zaczęli rozmawiać o wspólnej przyszłości. To wówczas, w tej chwili szczęścia, równie ulotnej jak intensywnej, Indira zdecydowała, że po śmierci ojca poświęci się całkowicie mężowi (Według: Segun Vasudev Uma, Indira Gandhi: Revolution in Restraint, Vikas, New Delhi 1973). Ale ósmego września 1960 roku zawał, któremu uległ Feroz, zniweczył jej marzenia.

Sanjay stracił reputację kobieciarza, jaką zdobył w Anglii. Miał obsesję na punkcie Maruti i zajmował się wyłącznie pracą. Wychodził z domu przed świtem, wracał o siódmej lub ósmej, by zjeść kolację z dziećmi brata albo przegryźć coś z Sonią. Rzadko jadał z bratem czy matką, ponieważ oni również byli tak zajęci, że prawie nie bywali w domu.

Od powrotu z Anglii Sanjay przeżył dwa związki, jeden krótkotrwały z muzulmanką, drugi dłuższy i poważniejszy z Niemką, Sabine von Stieglitz, siostrą Christiana, która pracowała w New Delhi jako nauczycielka języków. Sabine, wysoka ładna blondynka, obywatelka świata, kulturowo bardziej angielska niż niemiecka, bo niemal całe życie spędziła w Anglii, była bardzo zaprzyjaźniona z Sonią. Popołudniami często bawiły się z dziećmi albo czytały im bajki. Jedną z nich, szczególnie zabawną, *Zwierzęta z mojego miasta*, opisywała słonia, małpę, węża boa, kruką, sępa, wronę... jako zwierzęta domowe. Rzeczywiście żyły wszędzie. Krakanie wron nieustannie towarzyszyło życiu w Indiach.

Sonia była bardzo czułą matką. Przywiązywała dużą wagę do edukacji dzieci. Nie tolerowała kaprysów przy jedzeniu i potrafiła ustanowić pewne granice, choć nie była tak surowa jak Stefano w stosunku do niej i jej sióstr. Rozmawiała z dziećmi po włosku, gdy byli sami, i po angielsku, kiedy zbierali się wszyscy razem lub w obecności Sabine. Zawsze była pedantyczna i dlatego chciała się nauczyć konserwacji starych malowideł. To zamiłowanie pasowało do jej charakteru, osoby dyskretnej, sumiennej, pracowitej, przywiązującej wagę do szczegółów. Myślała, że zapisze się na kurs, kiedy dzieci nieco podrosną i nie będą już tak bardzo jej potrzebowały.

Żywiła nadzieję, że relacje między Sanjajem a Sabine pewnego dnia się ustabilizują i że tych dwoje się pobierze. Ale Sabine zmęczyło czekanie.

- Sanjay jest bardziej zakochany w Maruti niż we mnie - zwierzyła się Soni pewnego dnia. - Już nie wierzę w to, że się ze mną zaręczy. Myśli tylko o swoim przedsięwzięciu i w jego życiu na nic więcej nie ma miejsca.

- Co zamierzasz zrobić?

- Wrócę do Europy.

- Jaka szkoda! Byłoby wspaniale mieć ciebie za bratową.

- Mnie też by się to podobało - odpowiedziała Sabine, podczas gdy Priyanka i Rahul kłócili się o biskopka.

Wkrótce potem Sonia odprowadziła ją na lotnisko, gdzie się pożegnały. Nie przypuszczała, że znowu zobaczy przyjaciółkę zaledwie dwa dni później.

- Co się stało? Nie jesteś w Londynie?

Sabine opowiedziała jej, że podczas międzylądowania w Teheranie pilot samolotu Indian Airlines kazał ją wezwać przez megafon. Zdziwiona, weszła do kabiny boeinga.

- Ktoś chce z panią rozmawiać przez radio.

Był to Sanjay i w obecności zdumionej załogi przeżyli przedostatnią scenę miłosną. Sanjay błagał ją, żeby wróciła do New Delhi: „Dajmy sobie ostatnią szansę”. Sabine nie mogła oprzeć się ukochanemu mężczyźnie i wróciła. Nieco się wstydziła, że uległa. Sonia była zachwycona i znowu zaczęła marzyć, że przyjaciółka zostanie jej bratową.

Ale kilka tygodni później zerwali, tym razem na zawsze. Marzenie Soni się rozwiało, lecz tylko na jakiś czas. Sabine, przyzwyczajona do życia w Indiach, nie czuła się dobrze w Anglii. W Europie tęskniła za ciepłem ludzi, azjatycką kurtuazją i rytmem życia. „Ze mną jest tak samo” - zwierzyła się Sonia. Poza tym praca, jaką wykonywała Sabine, pozwalała jej żyć lepiej w Indiach niż w Londynie. Stąd, ku

wielkiej radości Soni, znowu zaczęły razem spędzać popołudnia i weekendy w okolicach Delhi. Jeden z nich zakończył się małą katastrofą, kiedy podeszły zbyt blisko do gniazda os i zostały dotkliwie pożądlone.

W końcu Sabine poznała wykładowcę Instytutu Goethego w New Delhi i wyszła za mąż. Przez sześć lat mieszkali w stolicy Indii. Do czasu przeprowadzki do Meksyku nie mieli dzieci. Mieli za to psy, które zabierali razem z psami Soni, kiedy ku radości jej dzieci wszyscy wyjeżdżali na wieś. Sabine zachowała o Sanjaju wspomnienie jako o chłopcu poważnym, zdecydowanym, ale zbyt egocentrycznym.

Dla Indiry tak było lepiej, ponieważ nie byłoby to dobrze widziane, gdyby obydwaj synowie ożenili się z cudzoziemkami. Jakby publicznie potwierdzali, że rodzina Nehru całkowicie się zokcydentalizowała i na zawsze oddaliła od indyjskich korzeni. W tym czasie Sanjay już zaangażował się w politykę, nie z powołania, ale dla ochrony przed krytyką, która padała zewsząd z powodu jego nieszczęsnego zarządzania firmą Maruti.

Na koktajlu z okazji zbliżającego się ślubu starego przyjaciela Sanjay poznał swoją przyszłą żonę. Zdarzyło się to w jego urodziny, czternastego grudnia 1973 roku. Tego dnia był bardzo ożywiony, jednak nie z powodu alkoholu, ponieważ nigdy nie pił. Przystojny, mimo zaawansowanej łysiny w wieku zaledwie dwudziestu sześciu lat, starał się nie wiązać z kobietami, które jak podejrzewał, wyłącznie chciały wejść do pierwszej rodziny Indii. Przyszły pan młody przedstawił mu swoją kuzynkę Manekę Anand, dziewczynę szczupłą i wysoką, piegowatą, o regularnych, proporcjonalnych rysach, na tyle atrakcyjną, by zwyciężyć w konkursie piękności i od czasu do czasu pracować jako modelka dla firmy wytwarzającej ręczniki. Była bardzo ładna i fotogeniczna, o żywym i energicznym charakterze.

Natychmiast spodobała się Sanjayowi. który na rozmowie z nią spędził cały wieczór. Maneka opowiedziała mu, że porzuciła studia na wydziale nauk politycznych w Sri Ram College w New Delhi i chciała zostać dziennikarką. Jej ojciec, sikh, był pułkownikiem, a matka, o imieniu Amteśwar, córką właściciela ziemskiego i hodowcy bydła z Pendżabu.

Od tego dnia Sanjay cały swój wolny czas poświęcał Manece. Widywali się codziennie. Ponieważ on przestał gustować w wychodzeniu do restauracji czy kina, popołudniami spotykali się w domu jednej z rodzin. Na Soni nowa narzeczona nie zrobiła dobrego wrażenia. W porównaniu z Sabine wydawała się niedojrzałą dziewczyną, która będzie z Sanjayem, dopóki on się nie zorientuje, jak bardzo jest ambitna. Sonia już zaraziła się nieufnością, pojawiającą się wraz z uzyskaniem władzy lub przebywaniem w jej sąsiedztwie. Podobnie jak teściowa, myślała, że każdy, kto zbliża się do rodziny, ma w tym interes. W większości wypadków miała rację. Myślała, że Maneka, zabiegająca o względy złotego kawalera Indii, jest tylko kolejnym kwiatem jednej nocy.

Ale na początku 1974 roku Sanjay zaprosił ją do domu na obiad, co oznaczało, że swój związek traktuje poważnie. Dziewczyna była okropnie zdenerwowana, obawiała się spotkania z panią premier. Sonia doskonale ją rozumiała. Sama przeżyła atak nerwowy w dniu, w którym Rajiv miał ją przedstawić Indirze. Różnica polegała na tym, że wówczas oni byli już razem rok, a Sanjay i Maneka - zaledwie miesiąc. Znała jednak swojego szwagra i wiedziała, jak bardzo jest impulsywny i niecierpliwy. Poza tym wtedy w Anglii Indira była inną kobietą, spokojniejszą, bez nawału pracy ani napięć rządu. Maneka, wyraźnie onieśmielona, patrzyła na wszystko jak przestraszony ptaszek - na meble, obrazy, fotografie. Kiedy nagle znalazła się naprzeciw Indiry, nie

wiedziała, co powiedzieć. Zaczerwieniła się i zaczęła mamrotać.

Indira przełamała lody.

- Skoro Sanjay nas sobie nie przedstawił, powiedz mi, jak się nazywasz i czym się zajmujesz - zaczęła.

Maneka coś wymamrotała, nie wspomniała jednak, że pracuje jako modelka dla firmy wytwarzającej ręczniki, bo nie wydawało jej się to godne wzmianki.

Indira rozmawiała z nią przez chwilę, a ponieważ była przyzwyczajona do widoku rozmaitych dziewcząt, które podrywał Sanjay, pomyślała jedynie, że ta jest nieco za młoda. Wolałaby wprawdzie znaleźć synową wśród cenionych rodzin Kaszmiru, nie wtrącała się jednak w sprawy sercowe syna, podobnie jak nie robiła tego w przypadku Rajiva. Już wcześniej porzuciła pomysł „uzgodnionego małżeństwa” na sposób indyjski. Postanowiła z tym poczekać do innego życia, w którym będzie miała więcej czasu i spokoju...

Mijały miesiące i wyglądało na to, że Maneka pozostanie na dobre. Nie była jeszcze jedną zdobyczą w życiu Sanjaya. Zakochał się i zgodnie ze swoją impulsywną naturą chciał się od razu żenić. Indira w zasadzie nie miała zastrzeżeń, więc się zgodziła. To, że dziewczyna pochodziła z rodziny sikhów, nie stanowiło problemu dla rodziny Nehru, która zawsze głosiła równość wszystkich wspólnot religijnych. Pod naciskiem ciągle pośpieszającego syna Indira nie miała czasu dowiedzieć się czegoś więcej o rodzinie przyszłej synowej. Ustalono datę zaręczyn na dwudziesty dziewiąty lipca. Obie rodziny spotkały się w domu przy Safdarjung Road 1, gdzie po krótkiej ceremonii wszyscy zasiedli do uroczystego posiłku. Indira natychmiast zdała sobie sprawę, że nie ma do czynienia z ludźmi wykształconymi, kulturalnymi i obytymi w świecie. Dostrzegła głęboką satysfakcję matki Maneki z ulokowania córki w najbardziej pożądanym rodzinie kraju. W zasadzie

mogłaby myśleć podobnie o rodzicach Soni, ale choć byli to prości ludzie, nie udawali, że są kimś innym, ani nie mieli nadmiernych ambicji. Ci natomiast byli hałaśliwi i ostentacyjni, a ich sposób ubierania się i eksponowania biżuterii zdradzał gust sklepowego ekspedienta. Indira stanęła jednak na wysokości zadania. Szlachectwo zobowiązuje. Sama podarowała Manece pierścionek zaręczynowy. Był to bardzo szczególny dar, pierścionek należał bowiem do jej matki Kamali, a został zaprojektowany przez dziadka Motilala. W cichości ducha wierzyła, że pewnego dnia dziewczyna zrozumie głębokie znaczenie tak cennego подарunku. Ofiarowała jej również komplet biżuterii ze srebra i turkusów oraz cieniutkie jedwabne sari, haftowane w stylu tanchoi, łączącym elementy indyjskie z chińskimi. Miesiąc później podarowała dziewczynie na urodziny sari z włoskiego jedwabiu.

Obawy związane z rodziną Maneki potwierdziła informacja, która wypłynęła zaraz po zaręczynach. Indira dowiedziała się, że Amteśwar, przyszła teściowa jej syna, kobieta prosta i według tych, którzy ją znali, chciwa i skłonna do intryg, przez dziesięć lat walczyła z bratem o spadek po ojcu. Krążyły też plotki, że pozostali członkowie rodziny są nieokrzesani i bezczelni. Niektórzy zarzucali im karierowiczostwo. W życie Sanjaya weszła dokładnie taka osoba, jakiej zawsze pragnęli uniknąć. Choć rzadko rodzice są zadowoleni z wyboru partnerów swoich dzieci, Indira musiała wypić to samo piwo, jakiego niegdyś nawarzyła swojemu ojcu, informując go o decyzji poślubienia Feroza. Jak w tamtym przypadku, tak i teraz chodziło o rodziny, które pochodziły z innych światów i nie podzielały tych samych wartości.

Ale czy sprzeciwianie się synowi cokolwiek by dało? Nehru też sprzeciwiał się jej małżeństwu. Niewiele razy w

życiu Indira przeżywała równie złe chwile jak wówczas, dlatego nie chciała postąpić w taki sam sposób. Nie mogła otworzyć jeszcze jednego frontu. Przygniatał ją nadmiar problemów, z którymi musiała walczyć. Nie wiedziała, jak wydobyć Indie z biedy, i to doprowadzało ją do rozpacz. Wierna sekretarka Usha wspominała, że w końcu lipca, po powrocie z pogrzebu starego przyjaciela rodziny, Indira zwierzyła się, że jest zmęczona życiem. Wydała wówczas instrukcje, co ma się stać z jej ciałem po śmierci.

- Nie chcę pogrzebu, Usha. Zanutuj. Chcę, by włożono moje ciało do trumny i wyrzucono je z samolotu nad wiecznymi śniegami Himalajów. Może w ten sposób zdołam nacieszyć się spokojem, którego nie zaznaję za życia.

- A nie sądzi pani, że ważne jest, aby mieć spokój w tym życiu? W następnym mamy zagwarantowany...

- Tak, wiem, ale ja go nie mam i nie wierzę, bym kiedykolwiek miała.

- Musi go pani mieć. Poza tym pozwolę sobie powiedzieć, że nikt się nie zgodzi na pochowanie ciała w ten sposób. Gdyby to były prochy, to jeszcze... ale jak pani to sobie wyobraża, że wyrzucą trumnę z samolotu, by się roztrzaskała o ziemię?

- Ale nie chcę zostać ani pochowana, ani spalona - odpowiedziała Indira.

Kiedy była w tym stanie ducha, perspektywa ślubu syna z siedemnastoletnią dziewczyną pochodzącą z rodziny, którą postrzegała jako „ordynarną”, nie podnosiła jej na duchu. Jedyne, co mogła zrobić, to opóźnić ceremonię. Dowiedziawszy się, że Maneka w dniu ślubu byłaby niepełnoletnia, powiedziała do syna:

- Musisz poczekać, aż skończy osiemnaście lat. Nie mogę pozwolić na to, byś łamał prawo.

W Indiach małżeństwa zawierane przez dzieci ciągle stanowiły uciążliwy problem, mimo że potępili je Gandhi, Nehru i wszyscy, którzy pragnęli zmodernizować kraj. Tysiące dziewczynek było nadal „negocjowanych” przez rodziców, wydawanych za mąż i zamienianych w służące rodziny męża. Nie miały prawa decydować, ile urodzą dzieci. Przypadek Maneki był inny, ale Indira nie chciała, żeby wytykano Sanjaya jako zły przykład. Poza tym, zyskując na czasie, miała nadzieję, że może syn się rozmyśli.

Jednak tak się nie stało. Tego lata Sanjay musiał poddać się niewielkiej operacji przepukliny. Po porannych lekcjach Maneka spędzała popołudnia i część nocy w prywatnej sali All India Institute of Medical Sciences, najlepszego szpitala w New Delhi. Kilka tygodni po rekonwalescencji, dwudziestego trzeciego września 1974 roku, pobrali się podczas cywilnej ceremonii w domu starego przyjaciela rodziny, Mohammeda Yunusa. Ślub był demonstracją Indii bezwyznaniowych, których zawsze broniła rodzina Nehru: syn persa i hinduski poślubił dziewczynę z rodziny sikhów w domu przyjaciela muzułmanina, w obecności bratowej katoliczki. Indira okazała się szczodra w stosunku do Maneki: podarowała jej dwadzieścia jeden sari z najdelikatniejszych tkanin, klejnoty ze złota i jedno z najcenniejszych bawełnianych sari, jakie Nehru utkał w więzieniu. Wypełniła dokładnie swoje obowiązki teściowej. Dla młodej pary przeznaczyła sypialnię wychodzącą na główny salon, obok drzwi wejściowych, w części domu przeciwległej do pokoju Rajiva i Soni. Urządziła ją i ozdobiła z czułością. Ustawiła bibeloty i flakony na blacie toaletki. Wybrała bransolety, które zgodnie z tradycją Maneka powinna była założyć w noc poślubną, i zostawiła je na stoliczku.

Zaraz po zakończeniu ceremonii Maneka wprowadziła się do domu Gandhi - Nehru, tak jak zrobili to Sonia z Rajivem

sześć lat wcześniej: „Ślub przebiegł spokojnie - napisała Indira do Dorothy Norman tej samej nocy. - Maneka jest tak młoda, że miałam w tej sprawie wątpliwości. Nie udało mi się odgadnąć, czy wie, co robi. Ale wydaje mi się, że się dopasuje, jest pogodna i radosna”.

Jednak Maneka nie była Sonią i choć pochodziła z rodziny mieszkającej w odległości kilometra, jej adaptacja okazała się o wiele trudniejsza niż adaptacja bratowej, która przybyła z drugiego końca świata. Wbrew nadziejom Indiry dziewczyna z trudem dopasowywała się do nowego domu. Przede wszystkim paliła papierosy, co było źle widziane. Sanjay nienawidził tytoniu, Indira, która niegdyś chorowała na gruźlicę, również go nie znosiła, a Sonia, astmatyczka, była uczulona na dym. Zły początek. Poza tym Maneka była głośna i gadatliwa. „W moim domu zachowywaliśmy się swobodnie, czasem przeklinaliśmy - opowiadała. - Gandhi odnoszą się do siebie z szacunkiem w każdej sytuacji”. Oboje z Sanjayem mieli zupełnie różne temperamenty i wiele wskazywało, że ich małżeństwo okaże się porażką. Czasem Manece trudno było porozumieć się z Indirą, dać sobie radę z jej dominującą obecnością. Podczas posiłków opowiadała o przeczytanych książkach albo o tych, które właśnie czyta, jakby chciała zaimponować teściowej swoim intelektem. Indira podnosiła wzrok, rzucała na nią spojrzenie z ukosa i wracała do jedzenia. „Maneka była porywcza i inteligentna - opowiadała Usha, wierna sekretarka Indiry - ale jednocześnie ambitna i bardzo niedojrzała”. Często wspominała, że któregoś dnia Sanjay zostanie premierem, co w pozostałych budziło zażenowanie. Czasem zaś z naznaczoną przygnębieniem twarzą mówiła o szczęściu. „Wiedziałam, że nie chodzi jej o rozważania filozoficzne - wspominała Usha - ale o to, że czuje się nieszczęśliwa z powodu nieobecności Sanjaya”. Lubiła gdzieś wyjść, być widziana, czyli dokładnie to, na co obecnie jej mąż

nie mógł sobie pozwolić, zajęty pozostawieniem własnego śladu w indyjskim społeczeństwie.

W rezultacie Maneka bardzo nudziła się w domu, w którym nikt nie palił, nie pił i nie rzucał przekleństwami. Spędzała długie godziny w biurze Ushy. Pytała o plan dnia męża, zawsze bardzo wypełniony, i starała się odkryć klucze do nowego świata, w którym się znalazła. Tradycyjna rola żony jej nie odpowiadała. Kiedy Sonia, która lepiej niż wszyscy pozostali wiedziała, co przeżywa bratowa, zaproponowała, że nauczy ją gotować, choćby dla rozrywki, Maneka odpowiedziała, że nie interesuje jej kuchnia ani sprawy domowe.

Wszyscy szybko zdali sobie sprawę, że Maneka nie pasuje do rodziny. Rajiv denerwował się, kiedy widział ją leżącą na sofie w salonie i palącą papierosy, podczas gdy Sonia zajmowała się domem.

- Nie ruszy nawet palcem! - mówił po cichu do żony. - Kto by pomyślał!

Sonia wzruszała ramionami, jakby chciała powiedzieć: taka właśnie jest. Jej samej nie podobał się sposób, w jaki Maneka traktuje służących. Krzyczała i odnosiła się do nich bez szacunku, w sposób typowy dla zamożnych Hindusów. Indirze również nie odpowiadało jej prostackie i wrzaskliwe zachowanie. Jedyne miejsce, w którym znajdowała schronienie przed ciężkim życiem polityka, był dom, a teraz jego porządek został naruszony. Safdarjung Road 1 przestało być oazą spokoju.

Humor Indiry odzwierciedlał nastroje Indii, które nie poprawiły się po wojnie o Bangladesz. Bezrobocie rosło, a wraz z nim niezadowolenie społeczne. Liczne strajki i manifestacje okazały się katastrofalne w skutkach, wiele zakończyło się gwałtownymi starciami z policją. Dla Soni robienie zakupów stało się prawdziwą drogą przez mękę: ulice zablokowane, nagłe objazdy, konflikty kończące się obrzucaniem kamieniami, sklepy zamknięte z powodu braku towarów, niedostarczonych w wyniku strajku środków transportu, etc. Nie było normalnych dni, tak jakby kraj utracił busołą i poddał się anarchii. W całych Indiach nie mówiło się o niczym innym, tylko o korupcji, zamieszkach, aresztowaniach, siedzących protestach i strajkach. Duże wrażenie na Soni wywarła afera „cukrowa”. Ujawniono, że pozbawieni skrupułów handlarze sprzedawali cukier wymieszany ze zmielonym szkłem, które okazało się śmiertelnie niebezpieczne; zmarło wielu osób, w tym dzieci. Afera uświadomiła całkowity brak kontroli i niedbalstwo administracji. Sonię, która zawsze myślała o dzieciach, przerażała myśl, że taki cukier mógł się znaleźć w przedszkolu Rahula.

Niestabilna sytuacja kraju sprawiła, że dawny przyjaciel rodziny Nehru i jeden z bohaterów ruchu narodowowyzwoleńczego, wąty, siedemdziesięciodwuletni J.P. Narayan, zdołał zjednoczyć różne ugrupowania przeciwników Indiry. W swoim programie opowiadał się za stworzeniem federacji wsi i wprowadzeniem „totalnej rewolucji”, czyli demokracji bez partii politycznych. Było to szaleństwo, lecz mglista idea mesjanistycznego idealizmu posłużyła do zjednoczenia mas przeciw oskarżanemu o korupcję Kongresowi. Ziarno upadku Indiry zostało jednak zasiane wcześniej. Była nim ogromna władza, którą zdołała

skumulować i która teraz działała jak trucizna, infekując wszystko, nawet - poprzez Sanjaya - jej własny dom. Ponieważ nie istniał legalny system finansowania partii, Kongres zależał od pokaźnych dotacji osób prywatnych. Zbyt wielu jego członków, świadomych władzy, jaką dawała im zdecydowana większość w parlamencie narodowym i przewaga w parlamentach stanowych, stało się chciwych i zabiegało o wymianę pomocy finansowej na przywileje polityczne.

Ruch J.P. zdołał zorganizować potężne strajki kończące się na ogół konfrontacją z policją. Protesty przekształciły się w powszechny bunt, kiedy okazało się, że jeden z liderów Kongresu zgodził się na podwyżkę ceny oleju w zamian za sporą sumę pieniędzy od jego wytwórców. Iskra roznieciła wybuch społecznego gniewu. Doszło do rabowania sklepów i mieszkań, podpalania autobusów, niszczenia gmachów rządowych. Rajiv przez kilka dni nie wracał do domu, ponieważ wskutek zamknięcia lotnisk jego samolot nie mógł wystartować. Indira, która nie była w stanie kontrolować wszystkich błędów i intryg członków własnej partii, czuła się zagrożona. Jej lęk łączył się ze swoistą paranoją, w jaką popadła od zeszłego roku, kiedy doszło do wspieranego przez CIA zamachu na demokratycznie wybranego prezydenta Chile, socjalistę Salvadora Allende. Dobrze znała inspiratorów zamachu i obawiała się, że będą starali się wykorzystać panujący w Indiach chaos do jej obalenia. Nixon bowiem ponownie został prezydentem, a Kissinger wciąż stał u jego boku.

Co robić? Nie planowała podać się do dymisji, a przynajmniej nie bez walki. Zamieszki przypisywała perfidnym manipulacjom opozycji, dążącej do pozbawienia jej władzy, i międzynarodowemu spiskowi. Nie chciała pogodzić się z myślą, że naród przestał jej wierzyć. Nie mogła jednak

pozwolić na to, by anarchia dalej rozlewała się po kraju jak plama oliwy. Dlatego mężnie przeciwstawiła się największemu wyzwaniu w swojej karierze - generalnemu strajkowi kolei, który groził paraliżem całego kraju. Opanowanie go było decydujące dla niej i dla Indii. Stała się przeciw półtoramilionowej grupie pracowników kolei, którzy żądali między innymi ośmiogodzinnego dnia pracy i podwyżki pensji o 75 procent, na co nie mogła się zgodzić. „W kraju, w którym są miliony bezrobotnych i wiele milionów czasowo zatrudnionych - tłumaczyła z odwagą na konferencji związkowej - potrzeba przede wszystkim sprawiedliwego rozdzielenia możliwości. Dlatego pracownicy powinni zrozumieć, że w naszym kraju samo bycie zatrudnionym już jest przywilejem". Jej słowa jeszcze bardziej rozpały nastroje i strajk został ogłoszony. Poparło go milion kolejarzy. Od razu też wzrosły ich wymagania: „Pragniemy zmienić historię Indii i obalić rząd Indiry Gandhi".

Jak zawsze w tego rodzaju konfliktach walka toczyła się o życie najbiedniejszych. Paraliż kolei, zakłócenia w transporcie towarów mogły spowodować głód, na co Indira się nie godziła. Dlatego zastosowała niedawno uchwalone prawo (MISA, Maintenance of Security Act) pozwalające na prewencyjne zatrzymania. Nigdy wcześniej nieużyte na taką skalę oddziały policji wtargnęły do railway colonies, osiedli mieszkaniowych zbudowanych przez Anglików dla pracowników kolei w pobliżu stacji. „Przypominało to okupację kraju" - opowiadał zdumiony przywódca związkowy. O świcie policja weszła do domów kolejarzy i zatrzymywała każdego, kto odmawiał pójścia do pracy. Niektóre rodziny zostały wyrzucone z domów - własności rządu - i zmuszone do życia na ulicy. Aresztowania niekiedy miały brutalny przebieg - zdarzyło się, że policjant otworzył ogień do domku kolejarza - niektórzy strajkujący zostali ranni.

W sumie aresztowano sześćdziesiąt tysięcy pracowników. Indira działała jak generał na polu bitwy. Wysłała wojsko i komandosów do ochrony instalacji kolejowych przed sabotażem.

Wojskowi obsługiwali sygnalizację, telekomunikację i prowadzili pociągi pod ochroną uzbrojonej gwardii. Była przekonana, że jeśli uda jej się stłumić ten strajk, następnych nie będzie przez kolejnych pięćdziesiąt lat.

Indira działała z dużą jasnością umysłu, w pełni panowała nad sobą, jak zwykle w trudnych chwilach. Wierzyła w siebie. Starła się robić różne rzeczy jednocześnie, co było jej niezawodną receptą na odprężenie i znalezienie rozwiązania trudnych spraw. Któregoś popołudnia, kiedy uczestnicząc w konferencji prasowej zorganizowanej w przydomowym ogrodzie, zobaczyła wnuka Rahula bawiącego się na trawniku w wojnę plastikowymi żołnierzami, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Doszła do wniosku, że nadszedł właściwy moment, by zezwolić na dokonanie detonacji bomby atomowej, na co naukowcy czekali od lat. Decyzja Nixona o wysłaniu lotniskowców atomowych do Zatoki Bengalskiej sprowokowała przyśpieszenie indyjskiego programu atomowego. Nie był to jednak pomysł babci, ale błyskotliwego stratega. Sprawę utrzymywano w sekrecie aż do chwili wybuchu, którego dokonano kilka dni później na pustynnym poligonie Pokhran w Radżastanie, w pobliżu granicy z Pakistanem.

Jak można było przewidzieć, wiadomość wywołała entuzjazm wśród społeczeństwa, które przyjęło ją z prawdziwie patriotycznym zapałem. Deputowani wstali w wielkiej izbie parlamentu, by sobie nawzajem pogratulować. Sprawiali wrażenie, jakby zapomnieli o palących problemach gospodarczych i strajkach na kolei. Indira osiągnęła swój cel - odwróciła uwagę od spraw kraju. Przeludnione i niemal

sparaliżowane Indie, które pod względem dochodu na głowę mieszkańca znajdowały się na sto drugim miejscu w światowym rankingu, stały się - w znacznej mierze ze względu na potrzeby polityki wewnętrznej - szóstą potęgą atomową świata. Z zagranicy napłynęła ostra krytyka. Indira się broniła: „Indie nie akceptują zasady apartheidu w żadnej dziedzinie i technika nie jest tu wyjątkiem”.

Minęło dwadzieścia osiem dni od stłumienia strajku żelazną ręką. Mimo że prasa potępiła brutalność represji, klasa średnia, która zawsze ceniła sobie punktualność pociągów, chwaliła zdecydowanie pani premier. Izby handlowe również stanęły po jej stronie, choć to nie dawało wielu głosów wyborczych. Dla Indiry było to słodko - gorzkie zwycięstwo. Wygrana wojna o Bangladesz wyniosła ją do rangi bogini, co jednak pozostawiło gorzki smak w ustach. Pani premier pokazała, że potrafi być twarda, a nawet bezlitosna. Sposób, w jaki zdławiła strajk, odcisnął na społeczeństwie głębokie piętno strachu. Niekorzystnym efektem tej surowości było jeszcze silniejsze zjednoczenie opozycji. Nawet życzliwi jej komentatorzy polityczni musieli przyznać, że popularność Indiry gwałtownie spadła. W wyborach zaplanowanych na 1976 rok klęska Kongresu wydawała się całkiem realna.

Dwunasty czerwca 1975 roku przywitały potężne czarne chmury zapowiadające upragnione deszcze, a może także i nieszczęsne czasy. O poranku już panował upał, mimo to Indira zgodnie z codzienną rutyną przez dwadzieścia minut ćwiczyła w swoim pokoju jogę. Płacz Priyanki wywołał w niej niepokój i chęć przerwania ćwiczeń, ale ponieważ zaraz ucichł, pomyślała, że Sonia już wstała i zajęła się małą. Później Indira wzięła prysznic i ubrała się w ciągu pięciu minut. Na jej nocnym stoliczku piętrzyły się książki. Pracując po szesnaście godzin na dobę, nie miała na nic czasu - ani na

spędzenie kilku chwil z rodziną, ani na przyjmowanie przyjaciół, ani oczywiście na czytanie, za czym tęskniła.

Siedziała w swoim pokoju, jedząc podane na tacy śniadanie: tosty, owoce i herbatę, kiedy jej sekretarz R.K. Dhawan - ten, który okazał się tak usłużny w stosunku do Sanjaya - zastukał do drzwi. Przynosił złą wiadomość. D.P. Dhar, stary przyjaciel i doradca Indiry, człowiek, którego wysłała do Moskwy podczas kryzysu w Bangladeszu, by upewnić się o poparciu Sowietów, i który od tego czasu pełnił funkcję ambasadora w ZSRR, zmarł na kilka minut przed operacją wstawienia rozrusznika serca. Kolejny filar zaufania i przyjaźni zniknął z jej życia. Indira szybko udała się do szpitala, by pocieszyć rodzinę i pomóc jej w przygotowaniu obrzędów pogrzebowych.

Wróciła do domu koło południa i tu czekała ją następna zła wiadomość. Sekretarz powiadomił Indirę, że w przedterminowych wyborach w stanie Gudżarat Kongres został pokonany przez Front Dżanata, koalicję pięciu partii, w której znajdowali się sympatycy J.P. Narayana. Nie zdziwiło jej to zbytnio. Niestety, rezultaty te zapowiadały przegrane także w innych stanach. Czy to aby nie początek końca? - pomyślała. Czy wszystkie ludzkie przedsięwzięcia rozwijają się według tego samego schematu co w naturze, czyli przechodzą przez fazę wzrostu, rozwoju i w końcu upadku? Starła się zawrzeć pokój z J.P., ale jego utopijna idea bezpartyjnego rządu była nie do zaakceptowania, ponieważ oznaczała śmierć demokracji. Tak mu to przedstawiła, ale J.P. był rewolucjonistą wierzącym w wielkie abstrakcyjne idee. Obstawał przy swoim i nie wykazywał elastyczności w żądaniach.

- Czy zgadzasz się ze mną, że rząd w Biharze jest bardzo skorumpowany? - zapytał ją drżącym głosem.

- Tak, wszyscy o tym wiemy - odpowiedziała.

- Dlatego nalegam, żebyś go zdymisjonowała i ogłosiła nowe wybory

- Nie mogę tego zrobić, J.P. To rząd wybrany demokratycznie i nie mam takiej władzy, aby go zdymisjonować.

Nie byli w stanie się pogodzić, przeciwnie. Indira w końcu oskarżyła go, że liczy na poparcie CIA i Stanów Zjednoczonych, aby ją obalić, a on zarzucił Indirze, że chce uczynić z Indii sowieckiego satelitę.

Jednak pod koniec spotkania J.P. powiedział, że chce z nią porozmawiać sam, bez jej doradców. Przeszli do salonu i tam, ku zaskoczeniu Indiry, mimo zaciętego sporu politycznego zdobył się w stosunku do niej na gest przyjaźni. Podarował jej starą teczkę, niegdyś należącą do jego żony, z listami od matki Indiry, Kamali, napisanymi pięćdziesiąt lat temu w czasach walki o niepodległość.

- Przechowywałem je od śmierci żony - powiedział - z nadzieją, że ci je podaruję, jeśli będę miał okazję cię spotkać.

Indira była wzruszona gestem tego człowieka, który przecież uparł się, by ją zniszczyć. Jak dziwna jest polityka - pomyślała zapewne - która pozwala na nienawiść i miłość w tym samym czasie tej samej osobie. Poczowała ukłucie w sercu, czytając listy, które przywracały do życia matkę, tak kruchą, schorowaną i - jak się okazało - nieszczęśliwą z powodu pogardy, z jaką siostry Nehru odnosiły się do jej tradycjonalizmu i nadmiernej religijności. Z całego serca podziękowała J.P., choć wiedziała, że ten spełni swoją groźbę i zintensyfikuje krucjatę przeciw niej.

Trzecia zła wiadomość tego dnia nadeszła o trzeciej po południu. Rajiv, ubrany w mundur pilota, wtargnął do sypialni Indiry. Po powrocie z lotniska natknął się na jednego z sekretarzy matki, który powiedział mu o informacji, jaką przysłano dalekopisem.

- Sąd w Allahabadzie wydał właśnie wyrok... - oznajmił Rajiv.

- I...? - zapytała Indira, odwracając nieco głowę, jakby spodziewała się kolejnego ciosu.

Rajiv przeczytał jej sentencję wyroku dostarczoną przez sekretarza. Pani premier została uznana za winną zaniedbania procedur wyborczych podczas głosowania w 1971 roku. W konsekwencji wyroku wyniki tych wyborów okazywały się nieważne. Trybunał dawał Kongresowi dwadzieścia dni na podjęcie stosownych działań w kwestii dalszego funkcjonowania rządu. Ponadto zabraniał Indirze piastowania stanowisk publicznych przez sześć lat.

Indira westchnęła, ale zachowała spokój. Popatrzyła na ogród. Wnuki bawiły się na trawie. Wszystko, z wyjątkiem chmur nadal grożących deszczem, wydawało się tak normalne i spokojne. Jak dziwne bywa życie, pomyślała. Największe zwycięstwo w karierze zostało podważone w jej rodzinnym mieście, w tym samym sądzie, w którym dziadek Motilal Nehru wygłaszał swoje najbliżskotliwsze mowy obrończe. Zwróciła się do syna.

- Myślę, że nie mam innego wyjścia, jak tylko podać się do dymisji. Nadeszła ta chwila - powiedziała bez najmniejszych oznak emocji.

Oczekiwała wyroku skazującego, ale nie tak przesadnie surowego. Opozycja użyła prawniczego kruczka, aby ją przyprzeć do muru. Wyrok zapadł w sprawie złożonego cztery lata wcześniej w sądzie w Allahabadzie oskarżenia, sformułowanego przez jej politycznego rywala Raj Naraina, który przegrał różnicą stu tysięcy głosów. Zarzuty były trywialne i dotyczyły niewłaściwego wykorzystania rządowego personelu i transportu podczas poprzedniej kampanii wyborczej. Prywatnie wszyscy, nawet jej przeciwnicy, przyznawali, że zarzuty były śmieszne, a

sędziowie przesadzili. Londyński „Times” porównywał wyrok do „dymisji premiera z powodu mandatu drogowego”. Ale w Indiach 1975 roku ludzie wyszli na ulice, by to uczcić.

Niewiele później do domu Indiry przybył Siddharta Shankar Ray, szef rządu w Bengalu. Był człowiekiem, któremu ufała, dojrzałym, ze starej gwardii bezwarunkowych przyjaciół.

- Partia jest poruszona - powiedział. - To, czego opozycja nie osiągnęła przy urnach, stara się uzyskać poprzez wyrok sądowy.

- Muszę podać się do dymisji - odrzekła spokojnie Indira.

Gość usiadł. Popatrzył na Indirę. Jej twarz zdradzała bezgraniczne zmęczenie.

- Nie podejmuj tej decyzji pośpiesznie. Trzeba to przemyśleć.

Indira wzruszyła ramionami.

- Jest inne wyjście?

- Zawsze można złożyć apelację.

- Będzie to trwało miesiącami... Wiemy, jak działa wymiar sprawiedliwości.

Rozmowę przerwało przybycie dwóch ministrów, do których wkrótce dołączył szef partii i inni członkowie Kongresu. Dom zapełnił się ludźmi. Sonia poczęstowała ich słodyczami i napojami. Na własne oczy widziała, jak niektórzy przejęli się utratą stanowisk, inni, przeciwnie, byli podekscytowani, bo „tron” Indiry nagle znalazł się w ich zasięgu. Plotki, niepewność i upał sprawiły, że nie było czym oddychać. Jedni rozmawiali z Indirą, starając się ją zniechęcić do dymisji; inni, w grupkach, oceniali wpływy rozmaitych liderów, którzy mogliby ją zastąpić. Pani premier słuchała wszystkich w milczeniu. „Uważam, że powinnam podać się natychmiast do dymisji” - powtarzała.

Po południu przybył ze swojej „fabryki” Sanjay. Dowiedział się o nowinie przez radio. Wchodząc do domu, napotkał brata.

- Co zamierza zrobić? - zapytał.
- Podać się do dymisji. Nie ma innego wyjścia.
- Nie, tak nie może być.

W ułamku sekundy Sanjay ujrzał, jak rozpryskuje się na kawałki jego marzenie o zostaniu wielkim przedsiębiorcą. Jeśli matka ulegnie swoim wrogom, on może pożegnać się na zawsze z Maruti Ltd. Wszedł do salonu pełnego ludzi i niemal nie witając się z nikim, jak to miał we zwyczaju, złapał matkę za ramię i poprosił o kilka minut rozmowy na osobności. Wyszli do sąsiedniego pokoju.

- Rajiv powiedział mi, że masz zamiar podać się do dymisji.

- To właśnie rozważamy. Nie mam wielu możliwości.

- Nie powinnaś tego robić, mamó. Jeśli ustąpisz teraz i podasz się do dymisji z powodu tak błahych zarzutów, to kiedy stracisz immunitet parlamentarny, wsadzą cię do więzienia z dowolnego powodu, jaki przyjdzie im do głowy.

- Jestem spokojna. Zastanawiamy się nad tym, czy nie zamienić się rolami. Szef partii objąłby stanowisko premiera do chwili rozpatrzenia przez Sąd Najwyższy mojego odwołania. W tym czasie ja pokierowałabym partią.

- To szaleństwo, mamó! - wykrzyknął Sanjay, a jego głos słychać było w sąsiednim salonie. - Czy ty wierzysz w to, że szef partii, gdy obejmie twoje stanowisko, potem ci je odda? Nigdy tego nie robi. Wszyscy wydają się bardzo lojalni i przyjacielscy, ale wiesz lepiej ode mnie, że ich uśmiechy skrywają osobiste ambicje. Wszyscy pragną twojego stanowiska. Wszyscy pragną władzy. W żadnym wypadku nie powinnaś podawać się do dymisji.

Indirze nie było łatwo pogodzić się z klęską. Miała wycofać się z podkulonym ogonem z powodu tak trywialnych zarzutów, ona, która poświęciła całe swoje życie polityce i pełniła stanowisko premiera przez prawie dziesięć lat? Nie licowało to z jej poczuciem godności. Czy mogła opuścić w niebezpieczeństwie swoich kolegów partyjnych, wszystkich, którzy od niej zależeli? Cały kraj? Czy nie mówili, że Indie to Indira, a Indira to Indie? Czy może pozwolić na to, by J.P. Narayan zniszczył demokrację, topiąc kraj w anarchii? Pewnie, że była zmęczona, czasami nawet załamana, nie znajdując recepty na bolączki kraju. Gdyby tylko mogła słuchać swego wewnętrznego głosu, który domagał się wytchnienia, być może opowiedziałaby się za dymisją. Zrobiłaby to. Ale nie była sama. Pomyślała o Sanjayu. Co z nim będzie, jeśli ona straci stanowisko? Rzucą się na niego jak psy gończe za to, że odważył się założyć swój biznes, lub po prostu za to, kim jest. Co będzie z resztą rodziny? Władza jawiła się jej jako niezbędna ochrona przeciw wszystkim wrogom, których ta sama władza stworzyła z biegiem lat. Władza chroniła rodzinę. Bez tej tarczy groziło jej niebezpieczeństwo.

Indira wróciła do salonu. „Jestem zdecydowana walczyć o utrzymanie stanowiska” - powiedziała do adwokata. Postanowili, że wystąpi on do Sądu Najwyższego o odroczenie wyroku do momentu rozpatrzenia apelacji. Manewr pozwalał jej zyskać na czasie i utrzymać się na stanowisku premiera, aż zdoła zebrać siły i wsparcie. Gdy tylko ogłosiła decyzję, napięcie w domu zmaleo. Ukrywając rozczarowanie, ci, którzy już odważyli się marzyć o tym, że ją zastąpią, teraz rozplýwali się w najbardziej służalczych pochwałach. Sonia miała mieszane uczucia. W głębi duszy chciała, żeby teściowa podała się do dymisji. Tęskniła za spokojniejszym życiem.

W następnych dniach Sanjay i jego zausznik, sekretarz Dhawan, organizowali manifestacje i marsze poparcia dla Indiry. Bez oporów rekwirowali autobusy z przedsiębiorstwa transportu miejskiego w Delhi i przywozili tysiące manifestantów. Cały aparat partyjny głośno i wyraźnie wspierał Indirę. Do stolicy przybyły specjalnie wynajęte pociągi, pełne jej zwolenników, którzy mieli brać udział w wiecach.

Sonia i Maneka nie mogły teraz swobodnie opuszczać domu, ponieważ u drzwi ciągle stał tłum ludzi żądających obecności Indiry. Pani premier wychodziła do nich raz dziennie. Sonia i Rajiv nie byli zachwyceni takim obrotem spraw. Pewnego ranka, gdy Sonia jechała do Khan Market, w jej samochód uderzył kamień, który wprawdzie zarysował tylko karoserię, ale to wystarczyło, by zaczęła się bać. Wspólne życie z Maneką stało się bardzo trudne. I Sanjay wydawał się inny. Wprawdzie ledwie go widywała, ale kiedy już się spotkali, nie był dla niej tak miły jak dawniej. Zdawała sobie sprawę, że obecność Maneki zatrąła relacje między braćmi, a także między nią a Sanjayem.

- Dlaczego nie mielibyśmy pojechać do Włoch na jakiś czas - poprosiła męża - dopóki sytuacja się nie unormuje?

Rajivowi spodobał się ten pomysł; przyznał, że byłoby to dobre dla dzieci. Zaraz jednak zmarkotniał.

- Jak o tym powiemy matce? Czy możemy ją opuścić w takiej chwili?

Pogrążona w myślach Sonia nie odpowiedziała. Po raz pierwszy bała się o siebie i dzieci. Nigdy atmosfera nie była tak burzliwa.

Sanjay wpadł na pomysł, że cała rodzina powinna uczestniczyć w wiecu solidarnościowym, który zorganizował w Boat Club w New Delhi dwudziestego czerwca 1975 roku.

- Dobrze będzie, jak nas zobaczą wszystkich razem - powiedział.

- Wolę, abyś nie decydował za nas - odburknął Rajiv.

- To dla mamy.

Rajiv i Sonia zgodzili się dla świętego spokoju, acz niechętnie. Sonia po raz pierwszy w życiu uczestniczyła w wiecu politycznym. Znalezienie się naprzeciwko ponad stu tysięcy ludzi zrobiło na niej wrażenie. Ubrana w sari koloru khaki, stała obok Rajiva, Maneki i Sanjaya, z tyłu za Indirą. Z tej perspektywy ogrom przybranej ojczyzny wydał jej się oszałamiający. Tylu ludzi, tyle wierzeń, tyle religii... Uśmiechnęła się do teściowej, gdy ta na chwilę się do nich odwróciła. Zobaczyła, jak Indira błyskawicznie nawiązuje kontakt z ludem, tym ludem, o którym tyle mówiła. Ten uprzywilejowany kontakt, który rekompensował jej wszystkie nieprzyjemności, teraz nie był już abstrakcyjną ideą, tylko realnym faktem. Miała ludzi u swoich stóp. Cieszyła się poparciem znacznie większym niż to, które manifestowali opłacani przez Sanjaya zwolennicy. Sonia mogła to teraz zobaczyć na własne oczy. Słuchając teściowej, która mówiła, że służba krajowi należy do tradycji rodziny Nehru - Gandhi i że ona zobowiązuje się służyć ojczyźnie do ostatniego tchu, dostała gęsiej skórki. Indira po raz pierwszy pokazała się w otoczeniu rodziny i wiec okazał się olbrzymim sukcesem. Sonia zdała sobie sprawę, jak bardzo Indira ich potrzebuje. Nie był to dobry moment na wyjazd.

Zwolennicy J.P. organizowali kontrwiece przed pałacem prezydenta i w innych indyjskich miastach. Dziennikarka Oriana Fallaci pierwsza dowiedziała się od lidera opozycji, że ten planuje sprowadzić tłum ludzi, który zablokuje wejście do rezydencji przy Safdarjung Road 1 i uczyni Indirę więźniem we własnym domu. „Będziemy tam obozowali dzień i noc.

Zmusimy ją do dymisji. Na zawsze. Ta pani nie przeżyje naszego ruchu".

Rankiem dwudziestego piątego czerwca Indira zaprosiła do swojego prywatnego gabinetu Siddhartę Shankara Raya, szefa rządu Bengalu, który akurat przebywał w New Delhi. Tego samego, który po ogłoszeniu wyroku odradzał jej podawanie się do dymisji. Była bardzo zdenerwowana. Na jej biurku piętrzyły się raporty służb specjalnych.

- Nie możemy na to pozwolić - powiedziała. - Mam informacje, że na wiecu, który odbędzie się tej nocy, J.P. Narayan zamierza wezwać wojsko i policję do buntu. Możliwe, że jest w to zamieszana CIA. Wiesz, że zajmuję jedno z pierwszych miejsc na liście osób znienawidzonych przez Richarda Nixona... Co możemy zrobić?

Ray był ekspertem prawa, miał opinię człowieka uczciwego i twardego. Wciąż uważał, że Indira powinna zachować swoje stanowisko. Ona mówiła dalej, opisując mu kraj pogrążony w chaosie.

- Należy powstrzymać to szaleństwo. Mam wrażenie, że indyjska demokracja jest jak dziecko, i podobnie jak dziecku należy czasami przetrzepać skórę, tak teraz trzeba potrząsnąć krajem, żeby się obudził.

- Myślisz o stanie wyjątkowym?

Indira skinęła głową. Tak naprawdę nie chodziło jej o radę, jaką ma podjąć decyzję, bo tę już podjęła poprzedniego dnia. Wspominał o tym Rayowi Sanjay. Pomysł nie wyszedł jednak od niego, ale od jego protektora Bansiego Lala, otyłego szefa rządu Harijany, od którego dostał tereny pod budowę fabryki. Według Bansiego Lala i Sanjaya należało wyeliminować z życia publicznego co najmniej pięćdziesięciu polityków krajowych. Pierwszym był oczywiście J.P. Narayan.

Ogłoszenie stanu wyjątkowego było ucieczką do przodu... Co pozostawało Indirze? Miała wybór między niehonorowym odwrotem a stanem wyjątkowym i wolała ten ostatni.

- Chcę to zrobić nienagannie pod względem prawnym - dodała pani premier.

- Pozwól mi przestudiować zapisy konstytucyjne. Daj mi parę godzin, to ci coś poradzę.

- Proszę, zrób to szybko.

Ray wyszedł i wrócił o trzeciej po południu. Spędził kilka godzin na przeglądaniu tekstu indyjskiej, a także amerykańskiej konstytucji.

- Według artykułu trzysta pięćdziesiątego drugiego - powiedział Indirze - rząd może wprowadzić stan wyjątkowy, jeśli istnieje groźba agresji z zewnątrz lub wewnętrznych zamieszek.

- Czy wezwanie przez J.P. Narayana wojska i policji do buntu nie jest dostatecznie poważnym zagrożeniem wewnętrznym?

- Owszem, jest.

- A zatem, planując to, wpadli we własne sidła.

- Istotnie. Podali ci na srebrnej tacy uzasadnienie, którego potrzebujesz, aby zawiesić działalność parlamentu i wprowadzić stan wyjątkowy.

Zapadła cisza. Oczy Indiry błyszczały w ciemności. Brakowało tylko jednego elementu, podpisu prezydenta, ale ten był sprzymierzeńcem i Indira nie wątpiła w jego lojalność.

- Pójdiesz ze mną do pałacu prezydenckiego? - poprosiła Raya.

- Chodźmy.

Na mocy czterolinijkowego dokumentu, który prezydent podpisał tej samej nocy we wspaniałym Salonie Aśoki dawnego pałacu wicekróla, zostało zatwierdzone ogłoszenie stanu wyjątkowego i największa demokracja w świecie

przekształciła się w dyktaturę. Rząd Indii zyskał prawo do aresztowania ludzi bez nakazu, do zawieszenia praw cywilnych i swobód, do ograniczenia wpływu sądów i wprowadzenia cenzury.

Rajiv, który przez dwa dni był poza domem, podczas jednego z międzylądowań dowiedział się ze zdziwieniem z prasy, iż poprzedniej nocy jego matka wprowadziła stan wyjątkowy. Nikt mu nic nie powiedział. Rozwiązanie to kłóciło się z jego łagodnym charakterem i choć nie był politykiem, wydawało mu się sprzeczne z demokratycznymi zasadami tradycji rodzinnej. Przede wszystkim martwił się, że matka znowu uległa młodszemu synowi. Widział, jaki Sanjay ma na nią wpływ. Z jakiegoś powodu nie potrafiła się oprzeć jego emocjonalnemu szantażowi. A nikt lepiej niż Rajiv nie znał Sanjaya - jego mocnych punktów, ale także jego ograniczeń i potencjalnych zagrożeń. Dlatego czuł się zmieszany i zaniepokojony i znowu zaczął myśleć o pomysłe Soni, by wyjechać na jakiś czas do Włoch.

- Nie wiem, co powinniśmy zrobić - powiedziała mu Sonia. - Martwi mnie zachowanie twojego brata. Jest coraz bardziej pochłonięty polityką.

Opowiedziała mu, że Maneka przebywa w Kaszmirze. Sanjay wysłał ją tam za radą Indiry, która obawiała się, że gadatliwa dziewczyna może zdradzić plany wprowadzenia stanu wyjątkowego, które trzymali w całkowitej tajemnicy do chwili jego ogłoszenia. A poprzedniego wieczoru Sanjay siedział w gabinecie Indiry aż do późna z sekretarzem Dhawanem i zastępcą ministra spraw wewnętrznych.

- Wiesz, co robili? Dzwonili do szefów rządów lokalnych i mówili im, kogo mają aresztować. Mieli czarną listę „wrogów”. Najgorsze, że robili to w imieniu twojej matki.

- Wiem, że o świcie zatrzymano J.P. Narayana, dowiedziałem się o tym na lotnisku - odparł z westchnieniem

Rajiv. - Patrol policji zabrał go w kajdankach do więziennej celi. Narayan nie potrafił w to uwierzyć. Nie mieściło mu się w głowie, że mama mogła podjąć tak drastyczne środki.

Sonia opowiadała dalej. O trzeciej nad ranem, kiedy Siddharta Shankar Ray skończył pomagać Indirze przygotowywać przemówienie, w którym miała ogłosić wprowadzenie stanu wyjątkowego, i szykował się do wyjścia, spotkał w korytarzu sekretarza Dhawana, który mu powiedział, że „już zostały podjęte środki, aby odciąć od prądu główne gazety krajowe i zamknąć sądy”.

- Ray znieruchomiał - kontynuowała Sonia - i wpadł we wściekłość. Poprosił, aby obudzić twoją matkę, wyczerpaną po długim dniu. W tej chwili pojawił się Sanjay i zaczął dyskutować z Rayem. Wiesz, co mu powiedział? „Wy nie potraficie kierować krajem!”

- Jakby on potrafił! - skomentował Rajiv, wznosząc oczy do nieba.

- Ray nie wyszedł, dopóki nie pojawiła się twoja matka. Była zdziwiona, nic nie wiedziała o tych rozporządzeniach. Wydał je twój brat. Poprosiła Raya, żeby poczekał kilka minut, i poszła porozmawiać z Sanjayem.

- Tak naprawdę Sanjay chroni siebie i swoją fabrykę, a stwarza wrażenie, jakby bronił mamy przed podjętymi przeciw niej działaniami.

- Twoja matka może ma skłonności autorytarne, ale ma też zasady. Kiedy wyszła z pokoju, w którym zamknęła się z Sanjayem, miała oczy czerwone od łez. Powiedziała Rayowi, że gazety będą miały elektryczność i że nie zostanie zamknięty żaden sąd.

- Ależ to kłamstwo! - odrzekł Rajiv. - Dziś gazety nie wyszły, bo odcięto im prąd. Znowu Sanjay postawił na swoim.

Stan wyjątkowy okazałby się wielkim sukcesem Indiry, gdyby trwał krótko, a przede wszystkim gdyby Sanjay nie

zyskał władzy za jej plecami. Pierwszego dnia, kiedy minister bezpieczeństwa I.K. Gujral, człowiek szanowany, kulturalny, o subtelnych manierach, przybył do biura przy Akbar Road, Sanjay nakazał, aby wszystkie raporty przed rozpowszechnieniem dostarczano jemu. Usha siedząca w swoim biurze była świadkiem następującej sceny.

- To niemożliwe - powiedział Gujral. - Raporty są poufne.

- No to odtąd będzie to możliwe.

Indira stała w drzwiach i słyszała tę rozmowę.

- Co się dzieje? - zapytała.

Minister powtórzył swoje wyjaśnienia.

- Rozumiem - powiedziała Indira - jeśli nie chcesz dawać ich Sanjayowi, proszę, żeby codziennie rano pracownik twojego ministerstwa przynosił raporty do mnie, abym mogła je przejrzeć.

Minister wyszedł z mocnym postanowieniem podania się do dymisji, został jednak po południu wezwany ponownie do „pałacu”, czyli rezydencji Indiry Gandhi. Sanjay poprosił go, by wyrzucił z kraju korespondenta BBC, bardzo znanego i lubianego dziennikarza Marka Tully'ego, ponieważ ten wysłał korespondencję, która „wypacza” fakty.

- Aresztowanie korespondentów zagranicznych nie należy do zadań ministra - odpowiedział mu Gujral.

Gdy chwilę potem Sanjay zarzucił mu, że przemówienie matki nie zostało nadane w telewizji w całości, minister stracił cierpliwość.

- Jeśli chcesz rozmawiać ze mną, musisz się nauczyć dobrych manier - powiedział. - Jesteś młodszy od mojego syna i nie muszę się tobie tłumaczyć.

Nie zostawiono mu czasu, żeby sam złożył dymisję. Indira wezwała go tej samej nocy i zwolniła ze stanowiska, „ponieważ Ministerstwo Bezpieczeństwa potrzebowało kogoś

prowadzącego sprawy z większą stanowczością, zważywszy na okoliczności".

Nowy minister wprowadził niezwykle ostrą cenzurę, w tym zakaz cytowania wypowiedzi wspierających wolność prasy, nawet wziętych z pism samego Nehru i Gandhiego, co było okrutną ironią historii. Przedstawiciele międzynarodowej prasy, jednego po drugim, zachęcano do wyjazdu.

Jedyny minister kwestionujący potrzebę ogłoszenia stanu wyjątkowego został zdjęty ze stanowiska i zastąpiony przez Bansiego Lala, szefa rządu Harijany, który pierwszy sugerował potrzebę jego wprowadzenia... Dwudziestodziewięcioletni Sanjay, tylko dlatego, że był synem Indiry, miał spore szanse stać się najpotężniejszym człowiekiem w Indiach.

Cenzura prasy stała się bardziej surowa niż cenzura brytyjska w czasach walki o niepodległość. Wówczas gazety przynajmniej miały prawo publikowania nazwisk osób aresztowanych i osadzonych w więzieniu. Teraz ludzie z plotek dowiadywali się, gdzie przebywają ich bliscy, niemal wszyscy członkowie opozycji. Warunki uwięzienia były na ogół tak fatalne, że dwudziestu dwóch zatrzymanych zmarło w brudnych, przepełnionych celach. Jeśli kolejjarze zachowali złe wspomnienie o metodach, jakimi stłumiono ich strajk, obecnie żadna grupa społeczna nie mogła czuć się bezpiecznie. Do najgłośniejszych aresztowań należały zatrzymania maharanich Dżajpuru i Gwalijaru, dawnych księżniczek, które przewodziły w swoich stanach partiom opozycyjnym i zostały osadzone w otoczonym złą sławą więzieniu Tihar w Delhi razem z kryminalistkami i prostytutkami. Gayatri Devi, elegancka maharani Dżajpuru, nie narzekała na brud, bałagan czy fetor, lecz jedynie na hałas robiony przez inne więźniarki, i prosiła przyjaciółkę o woskowe zatyczki do uszu.

Parlament przyznał Indirze taki immunitet, z którego korzystali prezydent i gubernatorzy stanów. Ponieważ działał on także wstecz, uwolniono ją w ten sposób od zarzutu nadużyć wyborczych, który stał u podstaw wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Kierująca się instynktem samozachowawczym Indira znowu sprawowała absolutną kontrolę nad krajem, tym razem silniejszą niż kiedykolwiek. Jednakże manipulowanie mechanizmami demokracji przysparzało jej coraz więcej przeciwników w kraju i za granicą. Początkowo stan wyjątkowy został przyjęty z ulgą przez część społeczeństwa, przede wszystkim miejską klasę średnią. Nawet Sonia, kiedy odwoziła dziecko do szkoły, miała wrażenie, że znajduje się w innym mieście, a nie w New Delhi z ostatnich miesięcy. Panowała zdumiewająco spokojna atmosfera. Nie było utrudnień w ruchu, manifestacji, siedzących protestów ani aktów przemocy skierowanych przeciw teściowej. Nawet taksówki i riksze jechały po właściwej stronie ulicy. Znaczna część społeczeństwa, tak jak ona, była zadowolona, że skończyły się strajki i zamieszki i że można korzystać z pewnego spokoju. Mieszkańcy miast doceniali to, że znowu mogą bez strachu chodzić po ulicach, wskaźnik przestępczości bowiem spadł gwałtownie dzięki liczniejszej obecności policji i surowszemu prawu. Urzędnicy, świadomi powagi sytuacji, pracowali sumiennie, w pełnym wymiarze godzin i bardziej efektywnie. Pociągi i samoloty trzymały się rozkładu, ku uldze pasażerów i Rajiva, którego życie rodzinne stało się bardziej uporządkowane, bo przestał się spóźniać i wracać do domu o nieprawdopodobnych porach. Ogromne plakaty z fotografią Indiry dekorowały ronda i place. „Różnica między chaosem a porządkiem” - głosił slogan towarzyszący zdjęciu.

Idea, że Indira zaprowadziła w kraju spokój i porządek, przeniknęła także za granicę. Usha miała obowiązek czytać

lub robić notatki z artykułów prasy zagranicznej, które odnosiły się do aktualnej sytuacji w Indiach. Często czytała nagłówki, siedząc przy stole w jadalni. Autorytarny rząd zyskuje szeroką akceptację w Indiach - głosił tytuł z „New York Timesa”. Były także inne teksty, otwarcie wrogie, które wywoływały niespokojną wymianę spojrzeń między Sanjayem a matką. Pewnego dnia, gdy Usha była sama w swoim pokoju, weszła Sonia. Obie kobiety bardzo się szanowały.

- Usha, wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyś nie czytała krytycznych opinii prasy przy wszystkich. Nie mówię tego ze względu na mamę, po prostu nie chcę, by ktoś miał ci to za złe.

- Dziękuję za ostrzeżenie - odpowiedziała Usha, która także zauważyła, że atmosfera w domu się zmieniła, i obawiała się wpływu Sanjaya na matkę.

Głosy krytyki można było uciszyć w Indiach, ale nie za granicą. Dorothy Norman, serdeczna stara przyjaciółka Indiry, otwarcie wystąpiła przeciw niej. Zbierała podpisy amerykańskich osobistości - pisarza Noama Chomsky'ego, tenisisty Arthura Ashe'a, laureata Nagrody Nobla Linusa Paulinga, pediatry Benjamina Spocka, etc. - pod tekstem potępiającym surowe reguły stanu wyjątkowego i żądającym jego zniesienia. Dokument ten zamierzała przekazać prasie. Ku jeszcze większemu poniżeniu Indiry, wśród sygnatariuszy znalazł się poeta Allen Ginsberg, którego poznała w Londynie i który kilka lat później opiewał smutek uchodźców z Bangladeszu. To ją zabolalo. Korespondencja między dwiema kobietami ustała. Wznowily ją dopiero po czterech latach. Druga przyjaciółka, Pupul Jayakar, skrytykowała Indirę po powrocie z podróży: „Jak to jest możliwe, żebyś ty, córka Jawaharlala Nehru, na to pozwalała?” Indira nie spodziewała się takiej reakcji, była zdumiona. Nikt nie odważył się tak otwarcie jej krytykować.

- Nie wiesz, jak poważna jest sytuacja - odpowiedziała. - Nie wiesz o wymierzonych we mnie spiskach. J.P. nigdy się nie podobało, że jestem premierem. On jeszcze nie odsłonił swojej prawdziwej twarzy... Kim chce być? Męczennikiem? Świętym? Dlaczego nie pogodzi się z tym, że jest tylko politykiem, który chce zostać premierem?

Oświadczyła, że ma zamiar utrzymać stan wyjątkowy tylko przez dwa miesiące i że wykorzysta ten czas do wprowadzenia programu dwudziestu punktów, który miałyby wydobyć kraj z zacofania. Wśród planowanych posunięć były dwa rewolucyjne: zdelegalizowanie pracy niewolniczej i anulowanie długów biedoty wiejskiej zaciągniętych u miejscowych lichwiarzy.

Pupul zrozumiała, że dyskusja z Indirą na nic się nie zda. Mogła jedynie jej wysłuchać, by przyjaciółka miała przed kim otworzyć serce. Pupul dobrze ją znała i wiedziała, jak bardzo czuje się samotna. I choć głęboko się z nią nie zgadzała, zdecydowała trzymać się blisko.

Indira miała zamiar ogłosić koniec Emergency, jak nazywano stan wyjątkowy, piętnastego sierpnia 1975 roku, w tym samym miejscu i tym samym dniu miesiąca, w którym jej ojciec, obejmując przed dwudziestu ośmiu laty funkcję premiera Indii, wygłosił słynne przemówienie: „Nadchodzi chwila rzadko ofiarowywana przez historię, kiedy naród porzuca przeszłość, by iść ku przyszłości, kiedy kończy się epoka, gdy dusza narodu, przez długi czas tłumiona, znowu odnajduje swój wyraz...” W tym historycznym momencie, gdy słuchała jego słów, była niemal sparaliżowana z emocji. Korespondentowi BBC powiedziała: „Już wiem, że kiedy zmierza się od skrajnego bólu do granicy przyjemności, jest się jakby odrętwiałym. Wolność jest czymś tak wielkim, że z trudem się ją przyswaja”.

Tego dnia jechała samochodem szerokimi alejami New Delhi, z których za sprawą porządków stanu wyjątkowego zniknęli żebracy i krowy. Kierowała się w stronę Czerwonego Fortu, by zwrócić narodowi wolność, tę wolność, którą czuła się zmuszona skonfiskować. Niespodziewanie otrzymała wiadomość od szefa protokołu. Informacja bardzo ją poruszyła: jej przyjaciel i bohater, Mujibur Rahman, którego przywróciła na stanowisko prezydenta Bangladeszu, został obalony w wojskowym zamachu. Jednak nie to było najgorsze. Rahman, jego żona i troje dzieci, dwie synowe i dwóch siostrzeńców zostali zaszytletowani. Zamachowcy zabezpieczyli się, by nie przeżył żaden z jego potomków.

Indira czuła się zdruzgotana. „Zauważyłam, że była nieco dziwna, kiedy zaczęła przemawiać - opowiadała Pupul, która stała wśród tłumu w Czerwonym Fortcie. - Mówiła głosem wymuszonym, jakby starała się opanować ogromne emocje. Jej głos utracił zdolność poruszenia ludzi”. Pupul uważnie słuchała przemówienia, w którym Indira mówiła o wolności,

potrzebie podjęcia twardych decyzji, o poświęceniu, służbie, odwadze, wierze i demokracji... ale ani słowa o końcu stanu wyjątkowego.

Gdy Pupul przyszła do niej wieczorem, znalazła ją w stanie szoku. Indira była przekonana, że w te zabójstwa była zamieszana CIA (co okazało się prawdą). Nie chciała skończyć jak Allende. Mówiła o tym niedawno przywódcy brytyjskich laburzystów Michaelowi Footowi. Uważała, że zamach w Bangladeszu jest tylko pierwszym ogniwem w łańcuchu spisków mających zdestabilizować południową Azję i zmienić ideologiczne zabarwienie tutejszych rządów. Była przekonana, że będzie następną ofiarą. Szef służb specjalnych potwierdził, że wykryto spiski mające ją wyeliminować. Według Pupul Indira zachowywała się paranoicznie, podejrzewała wszystkich, każdy cień skrywał wroga.

- Komu mogę ufać? - pytała. - Mój wnuczek Rahul jest w tym samym wieku co syn Rahmana. Jutro może przyjść kolej na niego. Nie chcę, żeby coś podobnego spotkało mnie i moją rodzinę.

Po raz pierwszy Indira zdała sobie sprawę, że nie tylko ona sama, jako premier, jest narażona na niebezpieczeństwo. Celem może być cała jej rodzina, także wnuki. Czuła, że znalazła się w błędnym kole i nie wiedziała, jak się z niego wydostać. Nie był to właściwy moment na zawieszenie stanu wyjątkowego. Przeciwnie, należało się chronić, intensyfikując zatrzymania bez sądu i aktywność służb specjalnych.

Indira czuła się bezpiecznie wśród tłumów, ale w swoim domu, teraz silnie strzeżonym, miała świadomość zagrożenia. Była chora ze strachu, zmęczona sprawowaniem władzy, wyniszczona licznymi walkami, podłamana brakiem rezultatów. Jako patriotka wierzyła absolutnie w przeznaczenie Indii. Jednak zdała sobie sprawę, że jej lewicująca polityka, nie zdoła wydobyć kraju z zacofania. Jak

sprawić, by Indie stały się krajem nowoczesnym, bogatym i silnym? Nie wiedziała już, którą z metod zastosować, z wyjątkiem rządów silnej ręki, sprzecznych z jej rodzinną tradycją. Wprowadziła siebie, swoją rodzinę i Indie w ślepią uliczkę, z której nie znajdowała wyjścia.

Instynktownie zwróciła się do swoich synów. Po starszym Rajivie nie mogła spodziewać się pomocy. Wielokrotnie wyrażał swój sprzeciw wobec Emergency, i to publicznie, w obecności przyjaciół. Ich kontakty bardzo się ograniczyły. Rajiv, który dużo pracował i rzadko bywał w domu, dowiadywał się o podróżach i decyzjach matki z prasy. Indira wiedziała również, że nie będzie się nad nią litował. Nawet Sonię wzruszył los jej dawnego rywala politycznego, którego osadzono w więzieniu podczas pierwszej fali zatrzymań. „To musi być dla ciebie okropne, że twój ojciec jest w więzieniu. Naprawdę bardzo ci współczuję” (Cyt. w: Kidwai Rasheed, Sonia, Penguin, New Delhi 2003, s. 34) - powiedziała na przyjęciu do syna tego polityka. Wypowiedź dotarła do uszu pozostałych gości, którzy szybko rozpowszechnili ją wśród plotkarzy New Delhi. Indira nie miała o to żalu, zawsze myślała, że Rajiv nie nadaje się do polityki i że ani on, ani Sonia nie są zdolni zrozumieć głębokich racji, jakie skłoniły ją do podjęcia decyzji. Wiedziała też, że Sonia nalegała, żeby wyjechać z dziećmi do Włoch, dopóki sytuacja się nie unormuje. Nic nie zaraża silniej niż strach.

Pozostawał młodszy syn Sanjay, jej ulubieniec. Wiedziała, że jest pełen energii, silny i wierny. Arogancki, owszem, strzelający głupstwa jak nikt, ale syn, któremu może zaufać, który zawsze jest przy niej i bierze na siebie jej problemy i którego, jak myślała, zawsze będzie mogła kontrolować. Kierowały nią i inne racje, niemające nic wspólnego z uczuciami matki. Sanjay był zagorzałym antykomunistą, bronił zasad polityki liberalnej, stawiającej na prywatną

inicjatywę i ducha przedsiębiorczości Hindusów. Doświadczenia z Maruti jeszcze bardziej go przekonały do potrzeby uwolnienia kraju z wszelkich biurokratycznych barier. Indira pomyślała, że może wykorzystać syna do otwarcia gospodarki i dokonania zwrotu w prawo. Z przekonania, ale i politycznej potrzeby. Do jej partii przeniknęli radykalni komuniści, którzy opowiadali się między innymi za „wykreśleniem własności prywatnej jako podstawowego prawa” z konstytucji i za innymi stalinowskimi metodami. Indira się z nimi nie zgadzała, argumentując, że jakiegokolwiek pójście na skróty, które nie respektuje demokratycznych procedur, jest niebezpieczne. Stanowili oni jednak zagrożenie, które mogło doprowadzić do rozłamu w Kongresie. Myślała, że opierając się na Sanjaju, swoim darling boy, będzie mogła im się przeciwstawić.

Tak bardzo się obawiała, że coś mu się może przytrafić, że poprosiła go, aby zmienił pokój. „Nie chcę, byście nadal spali tu, tak blisko głównego wejścia i ulicy. Nie jest to bezpieczne miejsce - powiedziała. - Lepiej przenieście się do pokoju na końcu korytarza, sąsiadującego z moim”. Jednej z przyjaciółek, która spytała o powód tej zmiany, wyjaśniła: „Nie czuję się zbyt dobrze, śpię w swoim pokoju, a Sanjay w pokoju obok. Jeśli coś mi się stanie w nocy, mogę go natychmiast zawołać”. Owinęła się w Sanjaya jak w jeden ze swoich ulubionych szali z cienkiej kaszmirskiej wełny paśmina, by chronić się przed zimnem, jakie odczuwała w duszy. Nie zdawała sobie sprawy, że to syn jest jej największym problemem i w pewnym sensie największym zagrożeniem.

Sanjay był bez pieniędzy. Przekonany, że z fabryki nie wyjedzie już żaden samochód Maruti, sprzedawał wyposażenie na złom. Zawiódł zaufanie koncesjonariuszy, którzy zadłużyli się w bankach, aby wybudować okazałe

salony sprzedaży, a obecnie byli zmuszeni do pozbycia się swojego majątku, żeby spłacić długi. Na domiar złego kazał aresztować jedynych dwóch koncesjonariuszy, którzy mieli odwagę domagać się zwrotu wpłaconych zaliczek.

Wraz z klęską Maruti przestał się interesować samochodami. Teraz chciał pilotować samoloty, jak jego brat. Przed Emergency zdobył uprawnienia pilota turystycznego, a ponieważ lubił prędkość, natychmiast zapalił się do latania akrobatycznego. Słabość do coraz szybszych maszyn i nadmierna ufność we własne umiejętności przerażały większość jego znajomych i przyjaciół, którzy bali się z nim latać. W końcu Maneka pozostała jego jedyną pasażerką.

Sanjay potrzebował wymówki, by móc działać równolegle z matką. Aby uwierzytelnić jego niekonstytucyjną władzę, Indira zdecydowała się postawić go na czele dogorywającej organizacji Youth Congress (młodzieżówki Kongresu). Podczas ceremonii w Czandigarhu, nowoczesnej stolicy Pendżabu zaprojektowanej przez Le Corbusiera, Sanjay został członkiem komitetu wykonawczego. Wszyscy jednak interpretowali to wydarzenie jako znak, że Sanjay zostanie oficjalnym następcą Indiry. Pani premier, bezlitosna w stosunku do książąt, którzy przedkładali pochodzenie nad umiejętności, uległa obecnie tej samej pokusie i instaurowała dynastię.

Rajiv i Sonia ze zdziwieniem i niesmakiem obserwowali karierę Sanjaya, zmieszani i często zawstydzeni. Prasa nazywała go „Mesjaszem”, „Słońcem” lub „głosem młodych i rozumnych”. Widziano go zawsze w otoczeniu pochlebców, których nazywano ćamća, co w języku hindi oznacza łyżkę - chodziło o kręty ruch, jaki wymaga posługiwanie się tym sztucem. Były to pozbawione kręgosłupa indywidua, których słodki wygląd skrywał zdolność do manipulacji, brak rzeczywistej wiedzy o wyzwaniach rządzenia, kiepskie

wykształcenie i brak kultury. Mieszanina polityków, koleśków i płatnych zbiorów, podobnych do Sanjaya. Interesowały ich tylko korzyści płynące z władzy, toteż zaczęli od zajęcia się rewitalizacją dochodów Youth Congress. Zorganizowani w brygady, domagali się darowizn, niemal zawsze poprzez zastraszenie. Kupcy z Delhi żalili się Rajiwowi i Soni, że chłopcy z Youth Congress wymuszają na nich pieniądze. Jednak protesty Rajiva trafiały w próżnię.

- Nie wierz w kłamstwa, które opowiadają ludzie - odpowiadał mu nieodmiennie brat.

Wydawało się, że nikt nie czuje się odpowiedzialny za popełniane zło. Oczekiwano jedynie pochwał za czynione dobro.

Było bowiem także coś dobrego w intencjach Sanjaya, który zaraz po nominacji na stanowisko dodał jeszcze cztery punkty do programu matki i sam zobowiązał się je zrealizować. Chodziło o walkę z nielegalnymi slumsami w ramach kampanii upiększania miasta, likwidację analfabetyzmu i tradycji posagu oraz upowszechnienie planowania rodziny.

W teorii nikt nie był przeciwny tym środkom, przede wszystkim walce z nadmiernym przyrostem naturalnym, po części wynikającym z sukcesu wprowadzonych programów zdrowotnych, które zdołały mocno ograniczyć śmiertelność wśród dzieci i w ciągu kilku dekad zwiększyły średnią długość życia z dwudziestu sześciu do czterdziestu pięciu lat. Dlatego było więcej ludzi w wieku reprodukcyjnym. Postępy w rolnictwie, przemyśle i edukacji nie nadążały za dynamiką demografii. Rosło bogactwo, lecz także bieda. Rozwijała się edukacja, ale i analfabetyzm. „Dziś jeśli stworzy się milion miejsc pracy, zaraz mamy dziesięć milionów, którzy ich poszukują - powiedział Sanjay. - Ani rozwój przemysłu, ani wzrost produkcji rolniczej na nic się nie zdadzą, jeśli przyrost

ludności będzie postępował w obecnym tempie". Miał rację, w tych warunkach nie było możliwości wyjścia z biedy. Jednak to nie idea, oczywista dla wszystkich, ale wybrany przez Sanjaya sposób jej realizacji całkowicie skompromitował stan wyjątkowy, a pośrednio i jego inspiratorkę.

W rezultacie to biedacy, którym stan wyjątkowy podobno miał pomóc, ucierpieli najwięcej. Ludzie Sanjaya za najważniejszą metodę ograniczenia przyrostu naturalnego w Indiach uznali sterylizację. Pozostałe sposoby planowania rodziny przynosiły skromne rezultaty. Pigułka antykoncepcyjna nie była jeszcze dostępna. Pozbawione wszelkiej prywatności wieśniaczki nie mogły używać diafragmy. W pewnym okresie nadzieję na kontrolę urodzin pokładano w prezerwatywach. Do wsi przyprawiano słonie obciążone kondomami, które miano rozprowadzać wśród ludzi za darmo. Dzieci jednak szybko odkryły, że można je nadmuchiwać, przywiązywać do kijków i się nimi bawić, więc cały zapas dostał się w ich ręce. Nikomu nie umknęła ironia rządowego hasła: „Planowanie rodziny to szczęście dla dzieci". Sterylizacja mężczyzn była metodą tańszą, skuteczną i pewną. Poza tym na realizację tego programu uzyskano pieniądze z Zachodu.

Sanjay zaczął objeżdżać kraj, mobilizując szefów lokalnych rządów do uzyskiwania jak najlepszych wyników. Mówił im: „Szef Harijany wykazał sześćdziesiąt tysięcy sterylizacji w trzy miesiące, zobaczymy, ile wy osiągniecie". Zakładane cele przekazywano szefom dystryktów, ci zaś albo otrzymywali premie za ich przekroczenie, albo byli przenieszeni lub dymisjonowani, jeśli nie zdołali ich zrealizować. Taki system zwiększał nadużycia władzy. Skromni urzędnicy musieli poddać się skalpelowi chirurga, żeby odebrać zaległe wynagrodzenia. Kierowcom furgonetek i riksz nie odnawiano licencji, jeśli nie przedstawili

zaświadczenia o przebytej sterylizacji. Te same wymagania stawiano mieszkańcom slumsów, którzy ubiegali się o świadectwo własności swoich „domów”. Antropolog Lee Schlesinger (*The Emergency in an Indian Village*, „Asian Survey”, vol. 17, nr 7 (lipiec 1977), cyt. w: Guha Ramachandra, *India after Gandhi*) był świadkiem, jak w wiosce, w której prowadził swoje badania, po nagłej wizycie Sanjaya Gandhiego rozpoczęto kampanię. Najpierw miejscowi urzędnicy przygotowali listę „kandydatów”, czyli tych, którzy mieli już troje lub czworo dzieci; kilka dni później pojawiły się furgonetki policji, które zabierały tych mężczyzn do najbliższego ośrodka zdrowia, gdzie za sto dwadzieścia rupii, puszkę oleju jadalnego lub tranzystor dokonywano sterylizacji.

Później na wieść o zbliżającej się furgonetce chłopcy uciekali w góry. Inni poddawali się operacji dwukrotnie, by otrzymać dodatkową premię.

W miastach padł na ludzi strach. W Delhi brakowało robotników, co było zjawiskiem niezwykłym w mieście, do którego od dawna ściągali ludzie w poszukiwaniu pracy. Imigranci wracali do rodzinnych wiosek, by uniknąć sterylizacji. W listopadzie 1975 roku podczas obchodów urodzin Nehru musiano zrezygnować ze zwyczajowego darmowego podwieczorku dla setek dzieci, ponieważ matki nie zgodziły się posłać synów z obawy, że „medycy Sanjaya Gandhiego” ich wysterylizują. Oficjalne zaświadczenie o sterylizacji stało się elementem niezbędnym w walce o zaspokajanie potrzeb codziennego życia.

Kampania tego rodzaju musiała napotkać silny opór, zwłaszcza po rozpowszechnieniu się fałszywej plotki, że sterylizacja prowadzi do impotencji. Aby opór ten przełamać, rząd ustanowił system limitów, polegający na tym, że pensje policjantów, nauczycieli, lekarzy i pielęgniarek miały być im wypłacane dopiero wówczas, gdy zmotywują określoną liczbę

osób do poddania się przecięciu nasieniowodów. Oczywiście ofiarami tej bezlitosnej polityki padali najsłabsi i najbiedniejsi, najbardziej zmarginalizowane grupy społeczne, jak niedotykalni czy niektóre wspólnoty muzułmańskie i plemienne, które wcześniej zawsze bezwarunkowo popierały Indirę. Nie rozumieli teraz, jak bogini, na którą zawsze głosowali, mogła ich tak pokarać. Czy to miała być nagroda za lojalność?

Hindusi nie byli przyzwyczajeni do tego, by państwo dyktowało im, ile mają mieć dzieci. Indie nie były dyktaturą jak Chiny, gdzie decyzje podejmowane na szczytach władzy mogły być realizowane siłą. Tu tradycja dyktatury nie istniała. Tu dzieci były najwyżej cenioną wartością, czymś w rodzaju „ubezpieczenia społecznego rodziców”, ponieważ od małego pracowały na polach, w warsztatach, w fabrykach tekstylnych lub żebrały na ulicach. Rodziny były duże, bo im więcej dzieci, tym więcej rąk do pracy, a w konsekwencji dochodów. Dla biednych rolników, robotników i bezdomnych żebraków możliwość posiadania dzieci stanowiła niemal jedyny akt indywidualnej wolności, z którego mogli skorzystać. Pozbawienie biedaków przyjemności płodzenia i wychowywania dzieci było pozbawieniem ich całego stanu posiadania. Ale oczywiście nie mógł tego wiedzieć Sanjay, którego serce było głuche na cierpienia biednych. Brakowało mu również doświadczenia w rządzeniu i sztuce kierowania urzędnikami i biurokratami. Próbując wstrząsnąć rozbudowaną administracją, by stała się skuteczniejsza, posługiwał się wątpliwymi metodami, jak groźba przeniesienia, namawianie do sterylizacji albo kontrola władz skarbowych, doprowadzając w efekcie do milczącego sojuszu biurokratów, którzy od wieków trwali połączeni niewidocznymi więzami, a teraz zjednoczyli się jeszcze bardziej, by bronić się przed atakami. Z jednej strony mu

schlebiali, z drugiej go bojkutowali. A on był zbyt naiwny, by zdawać sobie z tego sprawę.

Natomiast jego matka wolała nie wierzyć w to, co jej opowiadano. Całkowicie odseparowana od rzeczywistości przez dwór pochlebców syna, którzy zapewniali ją, że informacje o nadużyciach oparte są na niesprawdzonych plotkach, Indira traktowała krytykę jak osobiste ataki i odrzucała je bez namysłu.

- Ludzie mocno przesadzają - powiedziała do Rajiva, gdy spotkali się w domu. Powtarzała słowa Sanjaya. - Nie należy wierzyć w to, co mówią.

- Właśnie wracam z Bhopalu - nie ustępował Rajiv - i tam muzułmanie są przerażeni. Mówią, że hindusi prowadzą przeciw nim kampanię... Należy uspokoić tych ludzi, zanim dojdzie do konfliktu między wspólnotami religijnymi.

- Należy przede wszystkim ograniczyć przeludnienie. Nie ma innego wyjścia dla Indii, musimy to osiągnąć.

Rajiv zdawał sobie sprawę, że rozmowa z matką jest praktycznie niemożliwa. Nie pozwalała na to, by ktokolwiek jej się sprzeciwił. Wszystko interpretowała jako polityczną wendetę albo działanie sił nadnaturalnych, co było szczególnie niepokojące. Nigdy jeszcze wpływ jej nauczyciela jogi, guru Dhirendry Brahmachariego, nie był tak wielki. Ten człowiek wykorzystywał samotność Indiry. Miał do niej łatwiejszy dostęp niż Rajiv. Potrafił ciągnąć zyski z bliskich kontaktów z władzą i w czasie stanu wyjątkowego zgromadził sporą fortunę, dlatego mógł sobie pozwolić na zakup awionetki. W mieście nazywany był „latającym świętym”. Rajiv i Sonia go nie znosili, zdawali sobie sprawę, że żyje na koszt Indiry. Stale go obserwowali: najpierw przestraszył Indirę, opowiadając o zwróceniu sił ponadnaturalnych przeciw niej i Sanjayowi, potem przekonał ją, żeby odmawiała pewne mantry, które miały ją ochronić przed ludźmi pragnącymi ją

zniszczyć. W ten sposób miał na nią wyraźny wpływ, od którego Indira nie potrafiła się uwolnić. Kiedy Sonia i Rajiv starali się ją ostrzec, popadała w długie milczenie. Sonia nie mogła znieść stałej obecności guru, który ciągle domagał się jedzenia i picia. Miał ogromny apetyt, był coraz grubszy i kompletnie pozbawiony manier.

- Ale fleja! - mówili zniesmaczeni, widząc go przy jedzeniu.

- Nie wiem, jak mama go znosi... - powiedział Rajiv. - Żyje zamknięta w wieży z kości słoniowej, a skoro jej jedynym kontaktem ze światem są Sanjay i guru, lepiej wybierzmy się w podróż!

- Pojedźmy do Włoch, naprawdę Rajiv, dajmy dzieciom trochę normalnego życia.

Kiedy zakomunikowali o swoich planach Indirze, jej twarz zmieniła się tak bardzo, że od razu pożałowali własnych słów. Jeszcze zanim cokolwiek powiedziała, zrozumieli, że będzie to trudne, jeśli nie niemożliwe.

- Rozumiem cię, Soniu - powiedziała Indira. - Rozumiem, że masz dość życia w tej atmosferze i słuchania wszystkich tych bezpodstawnych krytyk zwróconych przeciwko mnie. Rozumiem, że masz ochotę pojechać do Włoch... Ale czy zdajecie sobie sprawę, co powiedzą tutaj, jeśli teraz wyjedziecie? Zinterpretują to jako dezercję, jako mój ciemny podstęp... „Wysłała synów do Europy, potem sama tam pojedzie, przygotowuje się do ucieczki”. Już słyszę, jak to mówią.

- Myśleliśmy, że teraz, kiedy dzieci są małe, możemy to zrobić - powiedziała Sonia. - Potem będzie to niemożliwe...

- Nie możecie trochę poczekać?

Sonia popatrzyła na Rajiva i pochyliła głowę. Siedział zamyślony. Odgadła, że w głębi duszy czuje się rozdarty. Indira mówiła dalej:

- To taki zły moment...
 - Rozumiem, w żaden sposób nie chcielibyśmy ci zaszkodzić - odezwała się, zanim Rajiv zabrał głos.
 - W trudnych chwilach rodzina musi okazywać jedność. Ważne, by ludzie... naród... to dostrzegali.
- Sonia ruchem głowy wyraziła aprobatę.
- Nie martw się, mamo, zostaniemy - powiedziała z uśmiechem zrozumienia.

Równie ważne było to, co przemilczano podczas rozmowy. Sonia chciała na jakiś czas wyjechać nie tylko z obawy przed panującą sytuacją, lecz także dlatego, że była zmęczona zachowaniem Maneki, która pogardliwie nazywała ją Włoszką. Bratowa zachowywała się z bezczelnością godną królowej małżonki, chroniona przez męża, deus ex machina stanu wyjątkowego. Z kolei Indira nie wspomniała, jak niechętnie rozstałaby się z wnukami, które uwielbiała. Bawiła się z nimi, czasami brała je do swojego gabinetu, z dumą przedstawiała gościom. Byli jej wielką miłością. W istocie stała się matroną tak zaborczą i opiekuńczą jak jej dziadek Motilal Nehru, dawny patriarcha klanu.

Pewien biedak ze zdartymi zelówkami sandałów, który szedł przez pięć dni, aby dotrzeć do gabinetu przy Akbar Road, otworzył Indirze oczy na nadużycia popełniane w imię Emergency. Młody nauczyciel z zapadłej wsi. Człowiek mężny, szczery i ideowy. Przyszedł opowiedzieć Indirze o tym, jak został przemocą wysterylizowany, choć miał tylko jedną córkę. Policja biciem zmusiła go do uległości i razem z innymi mieszkańcami wsi doprowadziła do przychodni lekarskiej. Mówił o rozpaczony żony i całej rodziny, która nie mogła się pogodzić z tym, że nie będą mieć więcej dzieci, choć pragnęli syna. Opowiadał o całych wsiach, które nocą otaczała policja, aby ścigać mężczyzn i poddawać ich sterylizacji. Po raz pierwszy Indira usłyszała bezpośrednią relację ofiary swojej polityki i wyszła ze spotkania poruszona. „Tak - przyznała - może Rajiv i inni mieli jednak rację”. Była przerażona tym, co mówił ten człowiek o innych nauczycielach, których bito, ponieważ nie zdołali zebrać wymaganej liczby ochotników godzących się na przecięcie nasieniowodów. Prawda zaatakowała ją nagle z całą surowością ustami tego odważnego wychudzonego człowieka. Wymówki nie miały sensu: „Do wszystkich szefów rządów regionalnych należy wysłać pilne i stanowcze zalecenie - nakazała swemu sekretarzowi - że jeżeli ktoś zostanie przyłapany na prześladowaniu ludzi podczas realizacji programu planowania rodzin, będzie ukarany”. Wreszcie Indira zareagowała.

Sonia wierzyła, że podejmie jakieś środki, by powstrzymać Sanjaya, ale się pomyliła. Nie zrobiła nic. „Jak miłość do syna może aż tak zaślepić? Czy ja będę taka sama w stosunku do Rahula?”.

- Mam nadzieję, że nie, że nigdy nie stracisz obiektywizmu - odpowiedział jej Rajiv, który coraz gorzej znosił całą sytuację.

Już praktycznie nie rozmawiał ani z bratem, ani z Maneką. Nienawidził metod i stylu Sanjaya, a czuł się bezsilny. Bezsilny wobec matki: „Zaletą Sanjaya jest to, że osiąga rezultaty” - powiedziała, odnosząc się do informacji, że w ciągu pierwszych pięciu miesięcy stanu wyjątkowego wysterylizowano niemal cztery miliony Hindusów. W tym tempie osiągnięcie w trzy lata liczby dwudziestu trzech milionów stawało się realne, z czego w głębi duszy Indira była zadowolona. Sam Rajiv, za sprawą kontaktów utrzymywanych z przyjaciółmi i kolegami z pracy, wcześniej niż matka zaczął być świadomy nadchodzącej katastrofy. Wiedział, że we wszystkich zakątkach subkontynentu bazarze, mędrcy, żebracy i wróżbici opowiadają o cierpieniach ludzi i nadużyciach kampanii sterylizacji, niekiedy zniekształcając lub wyolbrzymiając fakty, aby nadać im epicki wymiar. Strach i niepewność wywoływane przez te historie podważyły zaufanie do rządzących. Stan wyjątkowy zaczął się obracać przeciw władzy, przeciw Indirze. Ale pani premier nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Mój brat i matka zdradzają dziedzictwo rodziny - powtarzał Rajiv Soni zrozpaczonym głosem.

Czuł się schwytyany w pułapkę bez wyjścia. Nie mógł odejść, a pozostanie budziło w nim odrazę. Nie podobało mu się, że jest identyfikowany z tym wszystkim, co się działo. Mimo że miał jedną z najbardziej apolitycznych profesji na świecie, w nieunikniony sposób koledzy i inni ludzie kojarzyli go z bratem.

Nie obawiał się konfrontacji z Sanjayem.

- Zdradzasz swojego dziadka! - rzucał mu w twarz wiele razy.

- Modernizujemy ten kraj! - odpowiadał Sanjay.

- Pozbywacie się ludzi, którzy wam się sprzeciwiają! Cel nie uświęca środków.

Nie był jednak w stanie powiedzieć tego samego matce. W Indiach syn nie sprzeciwia się rodzicom. Pewien rodzaj poddania w stosunku do ojca i matki jest elementem najgłębszego dziedzictwa kulturowego Indii. Sonia o tym wiedziała, dlatego starała się nie dolewać oliwy do ognia. Wierzyła, że z czasem sprawy się ułożą. Chroniąc się przed napiętą atmosferą w domu, ona i Rajiv zamykali się w swoich pokojach. W minimalnym stopniu uczestniczyli we wspólnym życiu rodziny. Już nie czuli, tak jak wcześniej, że to jest ich dom. Pisarz Kushwant Singh, częsty gość w domu Indiry, przybył pewnego dnia odwiedzić Manekę, gdy Rajiv i Sonia obchodzili urodziny jednego z dzieci. „Zdałem sobie sprawę - wspominał - że zarówno dzieci, jak i każda z kobiet zajmują w domu odrębne miejsca i że jedni mają niewiele wspólnego z drugimi”. Walki między psami odzwierciedlały napięcia wśród mieszkańców. Sanjay i Maneka mieli dwa charty irlandzkie, „wielkie niczym osły”, jak opowiadał pisarz, który pozostawiony sam, z filiżanką herbaty, spędził w ich towarzystwie kilka minut, sparaliżowany ze strachu. Z opresji wybawiła go Indira, zabierając zwierzęta do ogrodu. Sonia miała jamniczkę o imieniu Reśma i łagodnego charta afgańskiego Zabula. Kiedy psy rzucały się na siebie, przerażona starała się je rozdzielić, natomiast Maneka, nieporuszona, obserwowała scenę, wiedziała bowiem, że jej charty są silniejsze.

Mimo utajonej niechęci, w domu Gandhich starano się unikać bezpośredniej konfrontacji. Komunikacja ograniczała się do zawsze uprzejmych liścików z wymówkami lub uwagami: „Wczoraj zostawiłaś psa luzem w domu; proszę, nie

rób tego więcej, może przestraszyć dzieci". Maneka czytała kartkę, ale do jej treści nie przywiązywała wagi.

Rajiv i Sonia znajdowali wsparcie u przyjaciół, na przykład u Sabine i jej męża czy niedawno przybyłego małżeństwa, Ottavia i Marii Quattrochich, bardzo dowcipnych i sympatycznych ludzi, z którymi często wychodzili na kolację. Do tej grupki należeli również pilot Indian Airlines, indyjskie małżeństwo przedsiębiorcy i dekoratorki, bardzo zaprzyjaźnionej z Sonią, dziennikarz z żoną wydawcą i jeszcze jedno małżeństwo. Sonia często żartowała ze swoim krajanem Ottaviem Quattrochim, doświadczonym biznesmenem, przedstawicielem wielkich włoskich firm, człowiekiem o subtelnym poczuciu humoru. Przyjaciele pomagali znosić nieprzyjemną sytuację rodzinną.

O tym, co działo się w starym Delhi, Sonia dowiedziała się przez telefon od przyjaciółki Hinduski. Jej szofer i kucharz, obaj muzułmanie, wiedząc, że utrzymuje kontakty z rodziną Indiry, poprosili ją o pomoc. Byli przerażeni, opowiadali, że „ludzie Sanjaya równają dzielnicę z ziemią”. Chcieli, by „pani” interweniowała i uratowała ich domy. Włoszka nic o tym nie wiedziała.

- Zawsze dowiadujemy się ostatni. Wiesz, jaka jest sytuacja w domu. Nie mam pojęcia, czy będziemy mogli coś zrobić.

Okazało się, że Sanjay nakazał zburzenie dzielnicy, labiryntu uliczek, starych zrujnowanych domów i niezdrowych slumsów. Dzielnicy brudnej, zakrzepłej i skażonej, ale mającej duszę. Działania były częścią programu upiększania miast. Zbuntowani mieszkańcy rzucali w koparki kamieniami, ceglami a nawet koktajlami Mołotowa. Mnóstwo kobiet otoczyło klinikę planowania rodziny. Chórem skandowały rządowe hasła i groziły robotnikom sterylizacją. Przybyła na miejsce policja rozproszyła ludzi gazem

łzawiącym. Rozpoczęła się bitwa w otwartym polu, setki osób zostało rannych i około dziesięciu zabitych, wśród nich trzyletnie muzułmańskie dziecko obserwujące zamieszki jak film. Na koniec zarządzono godzinę policyjną, by kontynuować rozbiórkę.

Kiedy Sonia o tym wszystkim opowiedziała Rajivowi, ten zakrzyknął:

- Jak to jest możliwe, żeby matka pozwoliła na zniszczenie tej dzielnicy, jednej z tych, które sama chroniła podczas zamieszek w czasie Podziału?

Tym razem odważył się powiadomić matkę.

- Program upiększania miast powoduje ogromne niezadowolenie wśród ludzi. Biedni czują się zmuszeni do porzucania mieszkań, nie mają czasu zebrać swoich rzeczy... Zburzono setki tysięcy domów; dzwonią do nas nawet służący przyjaciół, byśmy coś zrobili...

Indira słuchała, prawie się nie odzywając. Rajiv kontynuował:

- Dziadek przekonał tych ludzi, w większości muzułmanów, żeby pozostali i nie uciekali do Pakistanu. Ty to wiesz, mamó. Obiecał im ochronę. A teraz jego wnuk wyrzuca ich siłą!

Indira kazała zawołać Sanjaya, który natychmiast zadał kłam oskarżeniom brata.

- Co za głupstwa! Wszystkim wysiedlonym damy mieszkania zastępcze.

Indira mu uwierzyła.

- W tym kraju panuje duży opór przeciw modernizacji - wymamrotała.

W sprawach polityki czy nastrojów ulicy zawsze wierzyła Sanjayowi. Rajivowi ufała wówczas, gdy coś się popsuło w domu. Wtedy jego rady były na wagę złota.

To, co powiedział Sanjay, było prawdą tylko w połowie. W starym Delhi ponad siedemdziesiąt tysięcy ludzi, wśród nich szofer i kucharz przyjaciółki Soni, zostało zmuszonych pod groźbą karabinów do wejścia na ciężarówkę. Wywieziono ich do nowych „rezydencji”, czyli najgorszych parceli ziemi otoczonych zasiekami z drutu po drugiej stronie rzeki Jamuna, około dwudziestu kilometrów od miasta. Każda rodzina dostawała „przydział” cegieł, żeby zbudować sobie nowe schronienie, i kartki uprawniające do wykupu materiałów i jedzenia. Jednak nie miała dachu nad głową.

W końcu ta, która sprawiła, że Indira dostrzegła prawdę o dziejących się potwornościach, była jej przyjaciółka Pupul. Wróciła oburzona z Benares, świętego miasta nad brzegami Gangesu. Niezwykłe i zachwycające w Benares było to, że życie w nim praktycznie nie zmieniło się od VI wieku p.n.e. Pupul zobaczyła na własne oczy, jak koparki niszczą stare domy, by poszerzyć Wiśwanath Gali, wąską, krętą uliczkę przecinającą centrum miasta, wyłożoną starymi kamieniami rzeczonymi wypolerowanymi stopami niezliczonych pokoleń pielgrzymów. Ulica, na której od zarania dziejów pierwszeństwo miały krowy, którą przemierzali święci asceci o skołtunionych włosach i ciałach pokrytych popiołem, młodzi małżonkowie trzymający się za ręce, babcie z wnukami i starcy przybywający z daleka do świątyni Wiśwanathy, pana wszechświata. Świątynia, uznawana przez religijnych hindusów za najświętszą w świecie, skrywała kamień z oszlifowanego granitu, najbardziej cenioną relikwię Benares, oryginalny lingam, falliczny znak, który symbolizuje siły życiowe boga Śiwy, reprezentującego moc i odnowieńczą potęgę natury. Padając przed nim na twarz i ofiarowując mu wodę z Gangesu, wierni hindusi dokonywali jednej z najstarszych form religijnej dewocji. Benares, a zwłaszcza świątynia Wiśwanathy, stanowiło centrum tego kultu.

Lingamy i ich żeńskie odpowiedniki joni znajdowały się wszędzie - w świątyniach, małych ołtarzach wmurowanych w fasady budynków, w stopniach ghatów, monumentalnych kamiennych schodów zanurzonych jak gigantyczne korzenie w wody Gangesu, przypieczętowujących jedność Benares z najświętszą rzeką. Każdego ranka, odkąd sięga ludzka pamięć, tysiące hindusów z oddaniem smarowało szlifowaną powierzchnię lingamów pastą sandałową lub oliwą. Pletli też wieńce z jaśminu i nagietków, które układali starannie wokół pionowego kamienia razem z płatkami róż i gorzkimi liśćmi pigwy bengalskiej, ulubionego drzewa Śiwy.

- Chcemy poszerzyć ulicę, żeby mogły po niej jeździć samochody - powiedział Pupul towarzyszący jej delegat rady miejskiej.

Pupul osłupiała.

- A co zamierzacie zrobić ze świątyniami, z bogami, z tymi wszystkimi ołtarzykami?

- Zmienimy ich usytuowanie. Planujemy wznieść budowlę z betonu, która je pomieści.

- Ależ nie wolno wam tego zrobić! Są strażnikami miasta, nie możecie ich przenieść jak gdyby nigdy nic.

Pupul była tak oburzona, że nie znajdowała słów. Ten człowiek oszalał. Później dodał, jakby się tłumacząc:

- To Sanjay chce upiększyć miasto.

- Ale nie można igrać z Benares, najświętszym ze świętych miast... Nie można igrać z wiarą ludzi.

Pupul zrozumiała, że nie ma sensu przekonywać delegata, którego rola sprowadza się do wypełniania poleceń. Poruszona i zdenerwowana poprosiła, aby zawiesił wyburzanie, dopóki ona nie powróci do Delhi i nie porozmawia o tym z panią premier. Urzędnik wyraził zgodę.

Kiedy Indira zobaczyła zrobione przez Pupul fotografie i wysłuchała jej relacji, według słów przyjaciółki „podskoczyła

pod sufit". „Nigdy nie widziałam jej tak wściekłej. Podniosła słuchawkę i poprosiła swojego sekretarza, aby połączył ją z szefem rządu stanu Uttar Pradeś. W czasie rozmowy wybuchła: «Czy ty nie wiesz, co się dzieje w Benares?» - zapytała i nakazała, by natychmiast stawił się u niej w New Delhi. Potem odłożyła słuchawkę i zakryła twarz rękami. «Co się dzieje w tym kraju? Boże mój, nikt mi nic nie mówi»".

Kiedy szef rządu Uttar Pradeś dowiedział się, jakie są plany wobec Wiśwanath Gali, zamilkł ze zdumienia. Również on nie był o tym poinformowany. Kto wydał rozkazy? Wszyscy wiedzieli, że pochodziły od Sanjaya, ale jego władza była zbyt rozmyta, by można było cokolwiek mu udowodnić lub uzyskać od niego jakieś wyjaśnienia. Rzadko występował publicznie, rzadko udzielał wywiadów, był trudnym rozmówcą. Jego podpis nigdy nie pojawiał się na żadnych oficjalnych papierach. Był cieniem panującym w mrokach stanu wyjątkowego. Niżsi urzędnicy, zobowiązani do wypełniania jego zaleceń, podwajali swoją gorliwość, by mu schlebić. Interpretowali polecenia na swój sposób, często byli bardziej nieprzejednani, niż tego od nich wymagano. Wielu władza uderzyła do głowy i stali się brutalnymi, wszechmocnymi tyranami.

W czasach Emergency Rajiv jako drugi pilot przesiadł się z avro do boeinga 737, który odtąd miał stanowić gros floty Indian Airlines. Po jednym z lotów do Bombaju, kiedy nocą jechał do hotelu służbową furgonetką, został zatrzymany przez długą karawanę motocykli i wozów policyjnych na syrenach, z włączonymi kogutami oświetlającymi zamglone powietrze. Szyk był imponujący. „VIP!” - powiedział szofer, domyślając się, że przejeżdża jakaś ważna osobistość. Kiedy spróbował ruszyć ponownie, jakiś policjant nakazał mu zjechać w boczną ulicę.

- Kto to? - zapytał go szofer.

- VVIP! Śri Sanjay Gandhi!

Siedzący z tyłu Rajiv wznosił oczy do nieba. Tak jeździł jego brat, jakby był najpotężniejszym człowiekiem w Indiach, choć nie miał formalnej władzy ani w partii, ani w rządzie.

Szofer nie stracił okazji, by dokuczyć pasażerowi.

- Młodszy brat przejeżdża, starszy odesłany w uliczkę. Jak to się panu podoba?

- Taka jest polityka! - odpowiedział Rajiv z humorem, w głębi ducha zadowolony, że nie musi uczestniczyć w tym cyrku.

Niezrażeni krytyką opozycji Sanjay i Maneka jeździli po kraju, jakby byli parą królewską. Nadzorowali wszystko, wydawali rozkazy i instrukcje, przyjmowani pochlebstwami przez grzecznych urzędników, ministrów i szefów regionalnych rządów. Prasa w szczególności opisywała te podróże. „Jego obraz błyszczy własnym światłem” - głosił pewien tygodnik. „Sanjay na stałe zagościł w sercach ludzi” - obwieszczał inny z nabożeństwem. Rzeczywistość wyglądała całkiem inaczej; w owym czasie syn Indiry był chyba najbardziej znieawidzonym człowiekiem w Indiach.

Sanjay miał ogromną władzę. Mianowany ministrem obrony Bansi Lal, zanim podjął decyzję, komu powierzyć stanowisko admirała, zaprowadził obu kandydatów do Sanjaya, aby ten z nimi porozmawiał. Podczas wizytowania Radżastanu Sanjay musiał obejrzeć pięćdziesiąt jeden łuków wzniesionych na swoją cześć. Podobne przyjęcie czekało go w Lakhnau, gdzie zdarzył się incydent dobitnie ukazujący aurę, która emanowała z jego władzy. Kiedy na płycie lotniska spadł mu sandał, sam szef rządu Uttar Pradeś pochylił się, podniósł go i kłaniając się, podał właścicielowi (Cyt. w: Guha Ramachandra, *India after Gandhi*, s. 508).

Rodzice Maneki poczuli się celebrytami. Zwłaszcza matka. „Będąc nikim, została nagle główną damą dworu cesarzowej Indii, Indiry Gandhi - wspominał pisarz Kushwant Singh. - Stała się niewyobrażalnie arogancka". Poznał ją pewnej niedzieli, kiedy przyszła do niego w towarzystwie córki. Obie pragnęły założyć tygodnik o charakterze informacyjno - rozrywkowym i Sanjay zasugerował, aby poprosiły pisarza o radę i w ten sposób wciągnęły go do projektu. Kushwant Singh podjął się zadania. Pochlebiało mu, że znajdzie się tak blisko Indiry i jej syna. „Czułem, że Maneka wymaga zbyt wiele od Sanjaya i że ten pragnie znaleźć jej jakiegokolwiek zajęcie, które zmniejszyłoby wywieraną na niego presję" (Cyt. w: Singh Kushwant, *Truth, Love & a Little Malice*, Penguin, New Delhi 2002, s. 286) - powiedział pisarz. Czasopismo, praktycznie napisane, poprawione i wydane przez Singha, odniosło sukces, co dało Manece władzę i znaczenie społeczne, jakich nigdy wcześniej nie miała. Była szczęśliwa. Czy powodzenie „Surya", jak nazywało się pismo, nie potwierdzało tego, że jest godną małżonką najbardziej wpływowego człowieka w kraju? W domu sukces ten przełożył się na jeszcze bardziej wyniosłe zachowanie. W porównaniu z nią, kim była ta Włoszka, która

lubiła tylko gotować i siedzieć z dziećmi? Teraz Maneka jeszcze bardziej dawała odczuć lekceważenie szwagrowi i jego rodzinie. Nie oszczędziła nawet dzieci. Pewien młody członek Kongresu był świadkiem sceny ujawniającej charakter „pierwszej damy”, jak ją niektórzy nazywali. Kiedy odebrał telefon, Maneka natychmiast wyrwała mu słuchawkę z rąk. Ktoś dzwonił do jej bratanka Rahula. „Tu nie mieszka żaden Rahul!” - krzyknęła tylko dlatego, że nie chciała, aby jej przeszkadzano.

- Jak możecie tak żyć? - spytała Sonię i Rajiva ich stara bliska przyjaciółka. - Dlaczego nie wyprowadzicie się do innego domu?

- Nie mogę tego zrobić matce - odpowiedział Rajiv.

Z pewnością, przynajmniej w tym momencie, nie mogli. Widzieli, że Indira powoli się zmienia i niebawem zareaguje. Przeniknęło do niej dostatecznie dużo informacji, żeby w końcu uznała prawdę o nadużyciach popełnionych w imię kampanii jej syna. Zaczęła powątpiewać w jego doradców i słuchać ludzi z zewnątrz. Poruszona rosnącą złością narodu, nie znajdowała już wytłumaczenia dla kontynuowania represyjnych metod. Poruszyły ją także stale napływające petycje od różnych osobistości z Indii i spoza ich granic, domagające się zniesienia stanu wyjątkowego. Wuj B.K. Nehru, ambasador w Anglii, powiedział jej szczerze i bez ogródek o złym wizerunku Indii, które przestały być postrzegane jako wzór społeczeństwa obywatelskiego wśród azjatyckich dyktatur.

Na prośbę Sanjaya Indira już dwukrotnie przekładała wybory, choć za drugim razem uczyniła to niechętnie. Uważała, że kolejne przesunięcie ich terminu oznaczałoby wysłanie do społeczeństwa mylnego sygnału, jakoby obawiała się poddać ocenie narodu. Proklamowała stan wyjątkowy jako środek przejściowy, nie chciała przekształcić Indii w

dyktaturę. Obraz „dobrotliwej dyktatorki”, jaki płynął z zagranicy, bardzo ją niepokoił. Co powiedziała na to jej ojciec? Czasem jej się wydawało, że słyszy głos Nehru wydobywający się z najgłębszych pokładów jej istnienia, nakłaniający ją, by podjęła decyzję zgodnie z własnym sumieniem. Indira zauważyła też, że straciła bliską łączność z „potężnymi masami indyjskiego ludu”, i pragnęła ją odzyskać. Tęskniła do tych tłumów, potrzebowała ponownie się zjednoczyć z ich wołaniem i miłością. Tęskniła za swoimi wcześniejszymi sukcesami wyborczymi... Jak daleko za nią pozostał wspaniasty triumf z 1971 roku!

Jak należało się spodziewać, Sanjay kategorięcznie się sprzeciwił zamysłom matki.

- Popełniasz olbrzymi błąd! - zawyrokował. - Możesz przegrać wybory i co wtedy? Raport, jaki otrzymałaś od służb specjalnych, zapewnia, że Kongres przegra.

- Nie wierzę w te raporty - odpowiedziała Indira. - Służby specjalne są infiltrowane przez hinduskich ekstremistów. Piszą, co chcą...

- Nie możesz poczekać, zanim zniesiesz stanu wyjątkowy?

- Poczekać na co?

- Na uwolnienie niektórych więźniów politycznych, na uspokojenie nastrojów. Nie to, że jesteśmy przeciw wyborom.

- Sanjay mówił również w imieniu swoich protektorów i towarzyszy, Bansiego Lala i sekretarza Dhawana, którzy teraz obawiali się, że padną ofiarą ewentualnych represji. - Lepiej byłoby uwolnić opozycję i poczekać rok, żeby zapomniano o problemach i zakończono plotki.

Indira patrzyła na niego przez jedną z tych swoich długich chwil ciężkiego milczenia, które świadczyło o jej determinacji, milczenia bardziej miażdżącego, niż gdyby udzieliła mu odpowiedzi.

Tym razem Indira go nie posłuchała. Następnego dnia, osiemnastego stycznia 1977 roku, zaskoczyła cały naród, ogłaszając termin wyborów powszechnych za dwa miesiące. „Będzie to okazja do oczyszczenia życia publicznego z wielkiego zamętu” - oświadczyła. Sanjay był poruszony. Po raz pierwszy matka mu nie zaufała. Uczyniła to ponownie, nakazując natychmiast uwolnić wszystkich przywódców politycznych i znosząc cenzurę prasy. Opozycja przyjęła te środki z niedowierzaniem. W tym czasie nie ufano Indirze, zastanawiano się, jakie są prawdziwe motywy jej działania i czy nie szykuje jakiejś pułapki. Jej stary wróg J.P. Narayan, który został zatrzymany i uwięziony w celi na początku Emergency i któremu później ze względów zdrowotnych pozwolono wrócić do domu, zwierzył się przyjacielowi rodziny Nehru: „Indira jest bardzo odważna. Uczyniła wielki krok” (Cyt. w: Jayakar Pupul, Indira Gandhi: a Biography, s. 314 248 - „Proszę pani, na co komu rzeka bez ryb?” Ibidem, s. 318). Wielu, tak jak on, tego się nie spodziewało.

Decyzja, by działać z prędkością, która wprawiała w osłupienie Sanjaya, była w gruncie rzeczy chytrym manewrem doświadczonego polityka. Chodziło o to, by przez zaskoczenie pokonać całą opozycję, słabą i podzieloną, i nie dać jej okazji do zorganizowania się w znaczącą siłę. Była to najlepsza karta pani premier - a nie miała ich zbyt wiele - dająca szansę na wygrane wybory. Indira chciała wierzyć, że magia, która działała przy innych okazjach, zadziała także i w tej walce. Przeszła od zwątpienia do przekonania, że lud nadal ją kocha, mimo wszystko.

Jak zawsze z energią rzuciła się w wir kampanii, objeżdżając cały kraj. Mało spała, podróżowała wszelkimi środkami transportu. Jak zwykle mogła liczyć na Sonię, zawsze obecną, zawsze gotową jej pomóc się zorganizować i uczynić życie łatwiejszym. Sonia współczuła teściowej.

Widziała, że wyczerpana ściga chimere: uczucie i uwielbienie ludu. Tym razem uwodzenie nie odnosiło skutku. Indira wracała z wieców smutna. Opowiadała Soni, że słyszała okrzyki skierowane przeciw sobie, głosy domagające się jej klęski, niekiedy nawet zniewagi. Widziała ludzi opuszczających wiece, pozostawiających ją z coraz mniejszą grupą wiernych zwolenników. Musiała wysłuchać wielu historii o nadużyciach programu sterylizacji, o torturach, samowolnych aresztowaniach... Nie wiedziała, czy wierzyć we wszystko, co mówiono, ale w końcu zdała sobie sprawę, że ten uprzywilejowany kontakt z narodem, z którego do tej pory korzystała, już nie istnieje. „Nie mogę tego znieść - zwierzyła się pewnego dnia. - Trzymano mnie w zamknięciu wśród czterech ścian”. Sonia nie odważyła się mówić teściowej tego, czego ona nie chciała słuchać.

Płynięcie pod prąd osłabiło Indirę. Kilka razy zachorowała, nie mogła odzyskać sił po grypie, która wywoływała nawroty gorączki. Ciosy, jakie zaczęli jej zadawać partyjni koledzy, pogrążyły ją jeszcze bardziej w zgryzocie. Nagle jej minister rolnictwa, znany lider społeczności niedotykalnych, zdezerterował z szeregów i przyłączył się do opozycji. Życie polityczne kraju wydawało się zelektryzowane. Fala paniki przeszła przez szeregi Kongresu. Indira trzymała się niewzruszona, ale Sonia odgadywała, jak bardzo czuje się obolała. Lider ów był jej osobistym przyjacielem, towarzyszem drogi, bastionem partii. Nazywał się Jagjivan Ram i domagał się natychmiastowego zniesienia stanu wyjątkowego. Później Indira odkryła, że prawdziwym powodem, dla którego Ram odwrócił się do niej plecami, był jego sprzeciw wobec planów wprowadzenia limitu wieku, który Sanjay chciał narzucić startującym w wyborach. W wieku sześćdziesięciu ośmiu lat Ram i wielu innych polityków wypadłoby z gry. Kiedy Indira próbowała to

naprawić, było już za późno. Wkrótce potem wielu dawnych towarzyszy poszło śladem uciekinierów. „Dziwne, że milczeliście przez wszystkie te miesiące...” - powiedziała do nich, kiedy rozumiała, że szczury zaczynają opuszczać tonący okręt. Czy nie wiedziała, że polityka opiera się na zdradzie? Czy Churchill nie mówił, że są trzy rodzaje nieprzyjaciół: zwykli wrogowie, wrogowie na śmierć i życie i towarzysze partyjni? Najbardziej bolało ją to, że jej własna ciotka, Viyaja Lakshmi Pandit, siostra Nehru, niebiorąca dotąd udziału w życiu politycznym, teraz ruszyła do walki, oskarżając Indirę o to, że wprowadziwszy stan wyjątkowy, „zniszczyła” instytucje demokratyczne. Po wygłoszeniu płomiennych deklaracji ciotka przystąpiła do koalicji partii opozycyjnych, która powstała pod nazwą Dżanata. Dla Indiry było to więcej niż zdrada, było to upokorzenie. Na dodatek dostała liszaju i musiała wygłaszać przemówienia z połową twarzy zakrytą rąbkiem sari. „Martwię się, że zostaną mi blizny” - powiedziała do Soni, gdy ta nakładała jej maść.

- Jestem zmęczona polityką - wyznała niespodziewanie, bez dramatyzowania, przesady, niemal bez emocji.

Widok zranionej na duszy Indiry uświadomił Soni, że wielka polityka i niskie namiętności są dwiema twarzami tego samego świata. Świat ów nigdy jej nie pociągał, ale teraz, kiedy widziała teściową zdradzoną i cierpiącą, czuła, że kompletnie ją odstręcza. Swojej przyjaciółce Pupul Indira wyznała: „Powalczę w tych wyborach, a następnie podam się do dymisji. Mam dość. Nie mogę ufać nikomu”.

Widząc rosnącą siłę opozycji, Sanjay ponownie zaczął błagać matkę, aby anulowała, a przynajmniej opóźniła wybory. Ale ona obstawała przy swoim. Wówczas syn zdecydował się zgłosić swoją kandydaturę na deputowanego do parlamentu z okręgu wyborczego Amethi, sąsiadującego z okręgiem wyborczym matki, Raj Bareli w stanie Uttar Pradeś.

Było to terytorium rodziny Nehru - Gandhi, gdzie zwycięstwo mieli zapewnione. Gdyby udało mu się zdobyć mandat, wówczas immunitet parlamentarny chroniłby go przed zemstą niezliczonych wrogów. Maneka i on byli tak naiwni, że w swoim pierwszym wystąpieniu chwalili rezultaty kampanii sterylizacji. Zostali wygwizdani przez grupę rozwścieczonych kobiet.

- Zamieniliście nas we wdowy! - krzyczały. - Nasi mężowie nie są już mężczyznami!

Indira spotykała się z podobnymi reakcjami w całym kraju. Jedno z jej przemówień przerwała wieśniaczka, która zaczęła ją besztać: „Wszystko, co nam pani opowiada o swojej trosce o kobiety, brzmi bardzo dobrze, ale co z przecinaniem nasieniowodów? Nasi mężowie stali się słabi, my, ich żony, również”. W pewnej miejscowości w pobliżu Delhi inna wieśniaczka, którą poproszono o głos wyborczy, również poruszyła temat sterylizacji, a uczyniła to sugestywnym językiem: „Proszę pani, na co komu rzeka bez ryb?” W końcu Indira zdała sobie sprawę, że w kraju w większości hinduistycznym, który czci lingam jako bóstwo pierwotne i źródło życia, kampania masowej sterylizacji była ogromnym błędem. A wiedziała, że w polityce za błędy się płaci.

Po tych wyczerpujących podróżach wróciła do domu ze łzami w oczach.

Dwudziestego marca 1977 roku, w dniu wyborów, Pupul poszła ją odwiedzić. Była ósma wieczór i ulice New Delhi kipiały radością, niewidzianą od czasów uzyskania niepodległości trzydzieści lat wcześniej. Ludzie grali na bębnach, pajace chodziły na szrudłach, dzieciom rozdawano cukierki, mieszkańcy tańczyli na ulicach, w powietrzu unosił się zapach prochu z petard i sztucznych ogni... Suwerenny naród zagłosował i święcił upadek „Cesarzowej Indii”.

Dom otaczała niezakłócona cisza. Nie było ruchu, światła ani samochodów parkujących na zewnątrz jak podczas oczekiwania na ogłoszenie wyników poprzednich wyborów. Nie było widać ani dzieci, ani psów. Sekretarz z żałobną miną zaprowadził Pupul do salonu ozdobionego w tonach beżu i jasnej zieleni. Indira siedziała sama. Wstała na przywitanie. Postarzała się o dziesięć lat. „Pupul, przegrałam” - powiedziała po prostu. Obie siedziały w ciszy; było to jedno z tych wymownych milczeń Indiry, kiedy słowa stawały się zbędne.

Sanjay i Maneka przebywali w Amethi, swoim okręgu wyborczym. Rajiv i Sonia siedzieli u siebie w pokoju, bardzo zmartwieni. Lepiej niż ktokolwiek z rodziny zdawali sobie sprawę z niechęci, jaką Emergency wywołało w społeczeństwie, i obawiali się represji przeciw matce, bratu i im samym. Teraz, kiedy Indira musiała pożegnać się z władzą, obawiali się o własne bezpieczeństwo. Do tego dochodziło mnóstwo niewiadomych wynikających z nowej sytuacji: na przykład gdzie będą mieszkać, ponieważ dom należało zwrócić rządowi. Przede wszystkim jednak bali się o dzieci. Sonia była mocno poruszona. Teraz na własnej skórze odczuwała, czym w polityce jest upadek. Widziała, że nadciąga, ale co mogła zrobić, by mu zapobiec?

Służąca przerwała im, pukając do drzwi.

- Kolacja gotowa.

Stół w jadalni był nakryty jak w każdy zwyczajny dzień. Sonia nie mogła powstrzymać łez. Rajiv siedział posepny i milczący. Skubnęli tylko trochę owoców, za to Indira zjadła obfity posiłek wegetariański, z jarzynami i sałatą, jakby klęska zbyttnio jej nie poruszyła. Wydawało się raczej, że zrzuciła ciężar. Nikt nie otworzył ust. Słysząc było stuk sztućców o fajansowe naczynia i ciche szlochanie Soni. Tylko raz przerwał im sekretarz Dhawan, który przyszedł, by

przedstawić najnowsze, katastrofalne wyniki. Klęska była absolutna, jak nigdy dotąd, nawet w ich tradycyjnym okręgu. Indira pozostała nieporuszona i sięgnęła po owoc na deser.

Przeszli do salonu w milczeniu, wymienili kilka banalnych słów z przyjacielem, który przybył im potowarzyszyć. Posiedzieli tak przez chwilę, w końcu Pupul stwierdziła, że wychodzi. Rajiv odprowadził ją do drzwi.

- Nigdy nie przebaczę Sanjayowi, że doprowadził matkę do takiej sytuacji - wyznał. - On jest za wszystko odpowiedzialny.

Pupul słuchała w milczeniu. Rajiv kontynuował:

- Mówiłem mamie wiele razy prawdę o tym, co się dzieje, ale mi nie wierzyła...

- Krążyły plotki, że jeśli wygra Kongres, Sanjay zostanie ministrem spraw wewnętrznych, i ludzie byli przerażeni - odpowiedziała Pupul.

- Wierzę. Jestem przekonany, że do tego dążył.

W półmroku przedpokoju Pupul dostrzegła w oczach Rajiva łzy.

O północy Indira wyszła z domu, żeby po raz ostatni spotkać się ze swoimi ministrami i formalnie po osiemnastu miesiącach znieść stan wyjątkowy, choć niemal wszystkie środki zostały już zniesione w praktyce. Było to krótkie spotkanie, podczas którego niemal nikt nic nie mówił.

Wszyscy stracili miejsca w parlamencie. Stanęli w obliczu największej klęski, jaka dotąd zdarzyła się ich partii. Po raz pierwszy od czasu uzyskania niepodległości Kongres utracił władzę. Następnie poszła do pałacu prezydenta. W gęstej mgle błyski sztucznych ogni ulotnie oświetlały pałac brytyjskiego wicekróla. Weszła do środka i oficjalnie przedłożyła swoją dymisję prezydentowi.

W drodze powrotnej do domu widziała ludzi świętujących z radością jej upadek - dzieci i dorośli, mimo późnej pory,

nadal stali na ulicy - i nagle poczuła strach. Przyszło jej na myśl, że dom jest marnie chroniony. Po powrocie skierowała się do pokoju Rajiva i Soni, którzy jeszcze nie spali.

- Byłoby mądrze, gdybyście przenieśli się z dziećmi do domu jednego z przyjaciół... jeszcze tej nocy.

- Nie zostawimy cię samej.

- Tylko na parę dni, aż uspokoi się atmosfera w mieście. Teraz jest duże zamieszanie. Będę spokojniejsza, jeśli pójdziecie do innego domu.

- W takim razie pójdźmy wszyscy razem, ty też.

- Nie mogę. Muszę tu zostać. Poza tym Sanjay wróci tej nocy, nie będę sama. Idźcie, nie przebaczyłabym sobie, gdyby coś się stało dzieciom.

O drugiej nad ranem Rajiv i Sonia, z Rahulem i Priyanką na wpół śpiącymi i owiniętymi w koce, wyszli z domu, jakby byli uchodźcami w kraju ogarniętym wojną. Indira nie powiedziała im, że kilka dni wcześniej odrzuciła ofertę szefa służby bezpieczeństwa, by sprowadzić wojsko do New Delhi i chronić ją na wypadek przegranych wyborów, i że opozycja planowała zorganizować marsz na dom.

- Tłum może przestać się kontrolować i zaatakować rezydencję - powiedział jej szef służby bezpieczeństwa.

- Nie martwię się o siebie - odrzekła Indira. - Proszę tylko, byście czuwali nad moimi synami.

Być może, mimo przygnębiających sygnałów, Indira nie wierzyła w to, że przegra. Może czuła, że chroni ją w niemal nadnaturalny sposób aura nazwiska, i nie zdawała sobie sprawy z tego, co nadciąga. Może zaślepiło ją wyobrażenie o sobie samej. Na pytanie dziennikarza i przyjaciela, Doma Moraes: „Czy wróci pani do polityki?“, odpowiedziała: „Nie. Czuję się, jakbym zdjęła z siebie ciężar. Nigdy nie wrócę do polityki“. Może ulga, którą teraz odczuwała, wynikała z faktu, że życie ponownie zmusiło ją do kontaktu z rzeczywistością.

Była to jednak rzeczywistość trudna do przyjęcia: w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat Indira znalazła się bez pracy, bez dochodów i bez dachu nad głową. Po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że nic nie posiada. Dom rodzinny Anand Bhawan podarowała państwu i obecnie mieściło się w nim muzeum. Ale nawet gdyby nadal do niej należał, nie byłaby w stanie go utrzymać.

O czwartej nad ranem przybyli Sanjay z Maneką. Nie wydawali się specjalnie przygnębieni ani poruszeni klęską. Maneka opowiadała, że przylecieli z Amethi prywatnym samolotem przyjaciela i że Sanjay sam siedział za sterami podczas lądowania. Manewr był doskonały - dodała. „To wówczas zdałam sobie sprawę z siły i charakteru człowieka, którego poślubiłam” - napisała później. Żadne z tych dwojga nie wiedziało jeszcze, że mieszkańcy Turkman Gate w starym Delhi powrócili do swojej dzielnicy w nastroju euforii i grozili, że wysterylizują Sanjaya.

Indira obdarzyła ich swoim znaczącym milczeniem i poszła się położyć. Było bardzo późno, wyczerpana padła na łóżko. Myślała o swoich wnukach. Ważne, by były bezpieczne, przynajmniej w tej chwili. Z daleka dochodziły wybuchy sztucznych ogni.

Indira była zdumiewającą osobą. Naturalność i prawość, z jakimi przyjęła klęskę, wprawiła w zakłopotanie nie tylko jej zwolenników, lecz także wrogów. Historia zna niewiele postaci, które dokonały politycznego harakiri z taką uczciwością. Jeśli mimo wszystko czuła satysfakcję, to dlatego, że zwróciła Indiom, teraz bardziej stabilnym i bogatszym niż dawniej, wiarę w moc głosu wyborczego. Ona sama wypełniła swoją misję i miała czyste sumienie. Nie czuła się odpowiedzialna za cierpienie, które spowodowały podjęte przez nią środki. Winę ponosił system, biurokracja i brudna gra opozycji. „Poprzez te wybory Indie udowodniły, że demokracja nie jest luksusem należącym do bogatych” - napisał „New York Times” w jej obronie. Wszyscy komentatorzy, zarówno w kraju, jak i za granicą, zgadzali się w jednym - że polityczna kariera Indiry Gandhi dobiegła końca. I wszyscy się mylili, z wyjątkiem jej starej towarzyszkibroni, która odwiedziła ją i powiedziała:

- Jeszcze zobaczysz, ludzie do ciebie wrócą... Wówczas Indira, z oczami pełnymi łez, zwróciła się w jej stronę i zapytała:

- Kiedy? Gdy będę już martwa? (Cyt. w: Asaf Ali Aruna, Indira Gandhi: Statesmen, Scholars and Friends Remember, s. 41)

Wierna sekretarka Usha nie wiedziała, ani jak się zachować, ani co powiedzieć, kiedy przyszła do pracy następnego dnia po wyborach. Nigdy nie była zwolenniczką stanu wyjątkowego. Komentarze, na jakie sobie pozwoliła podczas lektury krytycznych artykułów, mogłyby kosztować ją posadę, gdyby Sonia w porę jej nie ostrzegła. Całą noc Usha czuwała z uchem przyklejonym do radia. Kiedy weszła do biura znajdującego się obok jadalni, ujrzała Indirę siedzącą przy biurku. Uśmiechając się, była pani premier powiedziała:

- Usha, musisz zwrócić grubą kobietę.
- Grubą kobietę?
- Tak, tę rzeźbę, którą wypożyczono nam z Muzeum Narodowego.

Chodziło o niewielkiej wartości figurę bez głowy i rąk, która tymczasowo zdobiła salon. Usha natychmiast znalazła odpowiednie pokwitowanie i wzięła się do pracy. „Wiedziałam, że pani Gandhi powiedziała to, aby złagodzić napięcie. Było to dla niej tak typowe”.

Należało się szybko wyprowadzić, ponieważ nowy premier, prawicowy hinduista Morarji Desai, choć miał duży komfortowy dom przy Duplex Road, chciał przekształcić mieszkanie Indiry w swoją oficjalną rezydencję. Wyrzucenie jej z domu było symbolem zwycięstwa, a zarazem przejawem małostkowości. Indira czuła się obolała. Ale co mogła zrobić? Po domu już krążyli urzędnicy, którzy przyszli spisać zawartość gabinetów i pokojów. Zaczęli zabierać przedmioty i urządzenia przynależne premierowi: tajne telefony, maszyny do pisania, fotokopiarki, klimatyzatory, stoły i stołki z biura, a wszystko to w czasie, gdy Usha i Sonia segregowały dokumenty, zabezpieczały archiwa i rozpaczliwie starały się zaprowadzić porządek w panującym chaosie.

Sonia, która wróciła z resztą rodziny z domu Sabine, u której na kilka dni znaleźli schronienie, natrafiła na urzędników wynoszących meble, lampy, sztuki i nakrycia stołowe. Całe wyposażenie mieszkania z ostatnich dziewięciu lat zostało zabrane przez ludzi działających z arogancją zwycięzców. Uczucie opuszczenia jeszcze się wzmogło, gdy do pracy nie przyszli służący, sekretarze mianowani przez rząd, strażnicy chroniący wejścia, a nawet ogrodnicy. Wszyscy nagle się rozplnęli, niektórzy nawet bez pożegnania. Sukces ma wielu ojców, tylko klęska jest sierotą.

Indira była właścicielką parceli ziemi w Mehrauli na obrzeżach miasta, zakupionej przez Feroza w 1959 roku. Marzyła, że spędzi tam emeryturę, ciesząc się obecnością rodziny. Rajiv zainwestował część swoich oszczędności w budowę domu, ale zabrakło mu pieniędzy na jego wykończenie. Jednak Indira nie chciała udać się na wygnanie. Woląca zostać w pobliżu wnuków, w New Delhi. Znała słowa jednego z generałów Napoleona, niejakiego Desaix, wypowiedziane na polu bitwy pod Marengo: „Pewne jest, że przegram tę bitwę, ale jest druga po południu i nim zapadnie noc, mogę wygrać inną”. Indira wiedziała, że w polityce zarówno sukces, jak i klęska są ulotne.

Uratował ją stary przyjaciel rodziny. Dyplomata Mohammed Yunus, który wielkodusznie zaproponował, że wyprowadzi się ze swojego domu przy Willingdon Crescent 12, gdzie przed laty odbył się ślub Sanjaya i Maneki, i odstąpi go Gandhim. Nowy dom był znacznie mniejszy i Sonia nie miała pojęcia, jak wszyscy się w nim pomieszczą. Przeprowadzka trwała kilkanaście dni - tyle czasu wymagało przeniesienie rzeczy zgromadzonych przez trzynaście lat, należących do pięciorga dorosłych, dwojga dzieci oraz pięciu psów: niezliczonych skrzyń z książkami, segregatorów pełnych papierów i dokumentów, obrazów, bibelotów, pamiątek z podróży, etc. Indira nie chciała wyrzucać niczego: z każdym papierem, każdym prezentem, każdą książką łączyły się wspomnienia. Dlatego w korytarzach piętrzyły się skrzynie i walizy. W nowym pokoju Indiry zmieściło się tylko łóżko i ulubiony fotel, w którym lubiła zasiadać do pisania. Już nie miała stenografa ani własnego gabinetu. Przyjmowała ludzi na werandzie albo w zabałaganionej jadalni. Sonia starała się, by zawsze na widoku stał dzban z mieczykami.

Większa część pracy przy przeprowadzce spadła na barki Włoszki, która musiała kupić lub pożyczyć od przyjaciółek

lodówkę, kilka klimatyzatorów, grzejniki, garnki, patelnie i kuchenne naczynia gliniane. Przez lata życia w Indiach bardzo przywiązała się do nowej rodziny. Umiała też doskonale zorganizować pracę. Przypomniała sobie rodziców z czasów, gdy była małym dzieckiem w Lusianie. Klepali wówczas biedę i żeby coś zarobić, musieli się imać różnych dorywczych zajęć. Odświeżywszy swoją wiedzę ogrodniczą, wypielila poletko w głębi ogrodu, gdzie posadziła sałatę, cukinię, pomidory, a także nieznane w Indiach brokuły. Fakt, że kiedyś już przeżyła ciężkie czasy, sprawił, że mogła teraz pokonać trudne chwile znacznie spokojniej niż jej mąż, który nie potrafił sobie wybaczyć, że nie okazał się bardziej stanowczy. „Nie byłem w stanie powstrzymać mojego brata” (Bhagat Usha, Indiraji through My Eyes, Viking - Penguin, New Delhi 2006, s. 239) - zwierzył się jednemu z przyjaciół rodziny, nie ukrywając frustracji.

Ponieważ oszczędził kucharz, a Indira nie chciała zatrudnić nowego z obawy, że będzie on wtyczką rządu i może ich otruć, na Sonię spadło robienie zakupów i przygotowywanie posiłków. Nigdy w domu Gandhich nie było tak pysznych lasagne, pasta alla puttanesca i risotta jak w owych trudnych dniach. Włoszka nauczyła się również przyrządzać dania indyjskie, które doprawiała nieco mniej pikantnie. Doskonale przygotowywała szpinak z serem i kurczaka w sosie korma ze zmielonych migdałów, kolendry i śmietany. Gotowanie było jej sposobem rozpieszczania rodziny i łagodzenia często ponurej atmosfery. Już zakonnica z internatu mówiła, że Sonia ma zdolność pocieszania. I ta zdolność utrzymała jedność rodziny. Rajiv i Sanjay nadal prawie ze sobą nie rozmawiali, choć obecnie ich pokoje znajdowały się naprzeciwko, po obu stronach korytarza. Indira nalegała, żeby cała rodzina spotykała się na wspólnym posiłku przynajmniej raz dziennie. Jednak nie było sposobu, aby bracia zasiedli razem do stołu.

Rajiv obciążał odpowiedzialnością Sanjaya za upadek statusu rodziny: niegdyś należeli do najbardziej szanowanych osób, obecnie stali się pariasami.

Żyli z pensji Rajiva i z darowizn nielicznych wiernych przyjaciół, którzy nie opuścili Indiry, być może oczekując, że ich lojalność zostanie wynagrodzona w przyszłości. Sanjay nie zarabiał nic, za to stale potrzebował pieniędzy na licznych adwokatów, którzy bronili go w wielu sprawach. Oskarżano go o najgorsze zbrodnie. Sam nie mógł dołożyć pieniędzy do rodzinnej kasy, co wetował sobie argumentem, że jeden z pomagających im finansowo magnatów, właściciel fabryki napojów chłodzących w New Delhi, był w młodości jego przyjacielem. Maneka, wierna samej sobie, nie pomagała w pracach domowych, za to Indira bez oporów brała miotłę i sprzątała. „Sonia gotowała, Maneka jadła” - opowiadał jeden z przyjaciół rodziny. W rezultacie relacje między Indirą a Sonią stały się jeszcze bliższe, co wzbudzało zazdrość młodszej synowej.

Kiedy skończyli się urządzać, Usha poczuła, że jej dalsza obecność nie miałaby już sensu. Przez jakiś czas przychodziła co drugi dzień, w końcu zdecydowała się pożegnać. „Pojadę do siostry do Bombaju” - powiadomiła Indirę, która odgadła, że to wymówka i że sekretarka już nie wróci. Usha nie odważyła się jej powiedzieć całej prawdy: może nawet by została, gdyby Sanjay i jego kumpel, sekretarz Dhawan, nie panoszyli się z tymi wyniosłymi minami, czego nie potrafiła dłużej znieść. Indira pożegnała ją ze smutnym uśmiechem. Bała się stracić tę kobietę, która była jej sekretarką od trzydziestu lat i do której miała pełne zaufanie. Wiedziała, że Usha zna najbardziej skryte zakamarki jej duszy.

Indira była psychicznie i fizycznie wyczerpana, zgnębiona ogólnym nieładem, kłótniami synów i przecuciem represji, jakie - o czym była przekonana - podejmie nowy rząd. Miała

podkrążone oczy, jej ciało jakby się skurczyło. Jako była premier miała prawo do ochrony, jednak nowy szef rządu Morarji Desai, ortodoksyjny hinduista, a zarazem zagorzały przeciwnik Indiry, postanowił pozbawić ją straży, tak jak pozbawił ją domu.

- Czego ona się boi? - spytał jej byłego ministra. - Nie powinna stale chodzić w otoczeniu policji.

- Jej syna otacza wroga atmosfera...

- Nie, to nie dlatego. To z pychy.

I nowy premier wygłosił paszkwil na temat kobiet sprawujących władzę. Rozpoczął od Kleopatry, potem przeszedł do carycy Katarzyny II, a skończył na Indirze, dochodząc do wniosku, że wszystkie fatalnie rządziły i że rozsadzała je pycha.

Kampania prześladowań, jaką ten człowiek rozpętał przeciw Gandhim, zamieniła się w prawdziwe polowanie na czarownice. Początkowo Sonia dziwiła się, że gdy wychodzi po zakupy, stale śledzą ją z pewnej odległości te same indywidua. Dotyczyło to też pozostałych członków rodziny, w tym Maneki. Indira dowiedziała się, że funkcjonariusze CBI (Central Bureau of Intelligence, głównej rządowej służby specjalnej) otrzymali instrukcje, by ich śledzić i podsłuchiwać rozmowy telefoniczne. Sanjay z arogancją człowieka, który nigdy nie doświadczył dotkliwych prześladowań, obłudnie oferował tajnikom, że podwiezie ich własnym samochodem, by oszczędzili na benzynie. Pewnego dnia zjawili się w na wpół zbudowanym domu w Mehrauli z wykrywaczami metali. „Ale czego szukacie?” - zapytał ich Rajiv. Nie odpowiedzieli. Później usłyszał ich krzyki, gdy wykrywacz zaczął pikać. Myśleli, że znaleźli skarb zakopany przez Sanjaya, okazało się jednak, że była to pusta puszka po oleju kuchennym

Mniej więcej w tym czasie, podczas upałów poprzedzających deszcze monsunowe, Indira pojawiła się

nocą w domu Pupul. Często do niej wpadała, żeby uciec od domowych napięć. Znowu Rajiv rzucił jej w twarz, że „to Sanjay i Dhawan przywiedli ją aż tu” (Cyt. w: Dhar P.N., Indira Gandhi, the Emergency and Indian Democracy, Oxford University Press, New Delhi 2000, s. 355). Indira nic nie odpowiedziała, tylko spuściła głowę. Doskonale wiedziała, że w ostateczności to ona odpowiada za to, co się stało, dlatego usprawiedliwiała Sanjaya. „Przyszłam, żeby troszkę posiedzieć i mieć chwilę spokoju” - powiedziała do przyjaciółki. W milczeniu spędziła nieco czasu na werandzie, zatopiona w myślach.

Następnej upalnej nocy pojawiła się bardzo zdenerwowana, w oczach miała rozpacz: „Przekazano mi wiarygodną informację, że planują wsadzić Sanjaya do więzienia i go torturować”. Pupul osłupiała, nie miała pojęcia, co powiedzieć. Indirę ogarnął zwierzęcy strach. „Ani mój syn, ani ja nie jesteśmy ludźmi, którzy popełniają samobójstwo, dlatego jeśli się okaże, że któreś z nas nie żyje, nie wierz w to, co będą mówić...” Było publiczną tajemnicą, że nowy rząd, pragnąc odwetu, mozolnie szuka dowodów, żeby poprzez Sanjaya zemścić się na Indirze. Jednak pomysł torturowania wydawał się raczej wytworem jej paranoicznej wyobraźni niż rzeczywistym zamiarem wrogów. Nikt lepiej od Indiry nie wiedział, że gdy ma się władzę, stosunkowo łatwo jest manipulować służbami. Dawna „cesarzowa Indii” czuła się beznadziejnie samotna. Wprawdzie spotykała się z politykami, którzy codzienne ją odwiedzali, ale na żadnego z nich nie mogła liczyć. Ci, którzy byliby w stanie jej pomóc, nie mieli odwagi zbliżyć się do jej domu ze strachu przed inwigilacją. Sytuacja finansowa rodziny, zmuszonej ponosić wysokie wydatki na adwokatów, stawała się nieznośna. Media, które tak potulnie nagięły się do wymagań Emergency - zaraz po zniesieniu stanu wyjątkowego jeden z polityków opozycji

powiedział o dziennikarzach: „Prosili was, żebyście się ugięli, ale wy woleliście się płaszczyć” - teraz z zapalem wymyślały straszne historie i wyolbrzymiały plotki, aby wykazać, że rodzina Gandhich to banda niegodziwców. „Oskarżają mnie o wszelkiego rodzaju zbrodnie, nawet o to, że zabiłam nie wiem ilu ludzi...” - narzekała Indira. I rzeczywiście minister spraw wewnętrznych stwierdził w parlamencie, że Indira „planowała zabić wszystkich przywódców opozycji, których kazała uwięzić podczas stanu wyjątkowego”. Pięć dni później rząd polecił sędziemu Sądu Najwyższego, J.C. Shahowi, powołać komisję śledczą w celu „zbadania, czy podczas stanu wyjątkowego doszło do naruszenia procedur, nadużycia lub niewłaściwego wykorzystania władzy i do innych wykroczeń”. Powstała również komisja specjalna do zbadania wszystkich kwestii związanych z Maruti. Rząd chciał, aby Indira i Sanjay połknęli to samo gorzkie lekarstwo, jakie zaaplikowali krajowi w dniach stanu wyjątkowego.

W tej atmosferze wiadomość o samobójstwie pułkownika Ananda, ojca Maneki, brzmiała jak pierwsze akordy żałobnego marsza czy pierwsza scena dramatu, który rozwinie się dopiero w drugim akcie. Ciało znaleziono na nasypie, leżące twarzą do ziemi, z pistoletem i listem: „Niezdolny niepokój, Sanjaju”. Początkowo nie było do końca wiadomo, czy chodzi o samobójstwo, czy o zabójstwo. Maneka i członkowie najbliższej rodziny byli przekonani, że pułkownik sam pozbawił się życia. Już raz próbował, jakiś czas temu, przedrukowując leki. Wcześniej cierpiał na zaburzenia psychiczne i depresję. Nie potrafił znieść gwałtownej utraty reputacji i pozycji społecznej. Jego rozliczni interesowni przyjaciele rozplynęli się w rozrzedzonym powietrzu New Delhi. Natychmiast rozeszła się plotka, że teść wiedział zbyt wiele o mętnych interesach Sanjaya i że jego śmierć to w rzeczywistości morderstwo upozorowane na samobójstwo.

Niczego jednak nie zdołano udowodnić i gdy tylko znikło zainteresowanie mediów, sprawa popadła w zapomnienie.

Indira była poruszona, Sonia również. Taka śmierć w takim czasie napawała głębokim lękiem, przerażeniem i niepokojem. Utrata władzy zebrała śmiertelne żniwo w bliskim otoczeniu. Było to straszne i niespodziewane. Paranoiczny lęk jeszcze silniej opanował Indirę, która podświadomie wiązała śmierć pułkownika z groźbami pod adresem Sanjaya. Teraz bardziej niż kiedykolwiek czuła, że musi chronić syna, bez względu na to, kim był. Wiadomość o samobójstwie przedostała się za granicę. Do Soni zadzwoniła zdenerwowana matka. W Orbassano rodzina Maino śledziła wydarzenia w Indii z rosnącym zaniepokojeniem i troską. Dochodziły do nich plotki z New Delhi, że Sonia i Rajiv usiłowali uciec z kraju i że Sonia poprosiła o azyl w ambasadzie włoskiej...

- Mamo, to wszystko nieprawda. Czujemy się dobrze, dzieci również, nie mogę teraz rozmawiać, jeszcze zadzwonię...

I rozmowa się skończyła. Sonia nie powiedziała matce, że rząd skonfiskował paszporty wszystkim członkom rodziny i choćby chcieli, nie mogliby teraz wyjechać do Włoch, nawet w krytycznej sytuacji.

Indira ze swoimi adwokatami pilnie przygotowywała się do obrony przed komisją Shaha. Jej życie politycznie przygasło. Angielski dziennikarz James Cameron, któremu udzieliła wywiadu, opisał ją jako „najbardziej samotną i najbardziej podejrzliwą kobietę na świecie” i takim tytułem opatrzył swój artykuł. „Jest zrezygnowana i nie chce o niczym mówić. Przypomina pokonanego boksera czekającego na cud. Ale dla niej ten cud już się nie wydarzy” - napisał w „Guardianie” dwudziestego pierwszego września 1972 roku.

Cameron się mylił. Cud, za którego sprawą Indira miała się odrodzić jak feniks z popiołów, nastąpił w Belći, maleńkiej, niedostępnej wiosce w dalekim stanie Bihar, otoczonej polami ryżowymi, górami i kataraktami. Idylliczny pejzaż stał się scenerią okrutnej masakry. W pewnej mierze doszło do niej wskutek atmosfery bezkarności stworzonej przez nowy rząd, w którego koalicji znaleźli się hinduscy ekstremiści. Hindusi z wysokiej kasty poczuli, że znowu mają prawo, jak czynili to przez tysiące lat przed odzyskaniem niepodległości, ciemnić wieśniaków z kasty niedotykalnych. W Belći grupa właścicieli ziemskich zaatakowała społeczność bezrolnych chłopów, mordowano całe rodziny, a ciała wrzucano do ognia. Wśród ofiar znalazło się dwoje małych dzieci. Informacja o masakrze pojawiła się na pierwszych stronach krajowych gazet z kilkudniowym opóźnieniem. Rząd nie zareagował. Premier Morarji Desai, który z zakazu zabijania krów i spożywania alkoholu uczynił narodowy priorytet, nie poświęcił temu wydarzeniu szczególnej uwagi. Nie śpieszył się również z potępieniem zbrodni.

Indira nagle dostrzegła w przeciwniku ryse. Wiedziała, co powinna zrobić. Poprosiła Sonię, żeby pomogła jej przygotować rzeczy na podróż do Belći.

- Wszyscy mówią, że Bihar jest wyjątkowo groźnym miejscem, że grasują tam bandyci, napadają na ludzi... - zaoponowała zwykle dobrze poinformowana Sonia.

Bihar był najbardziej zacofanym, zanarchizowanym i niebezpiecznym stanem w Indiach. Również najbiedniejszym.

- Nie masz ochrony, to bardzo ryzykowne - nalegała.

- Nie jadę sama, będą mi towarzyszyć koledzy z partii.

- Ale w Biharze partia nie zdobyła ani jednego mandatu...

Będą mieli dość siły, aby cię chronić?

- Jasne, że tak. Nie przejmuj się - rozwiązała jej wątpliwości Indira. - Nic mi się nie stanie.

Sonia nie nalegała. Znała teściową dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że nic nie zmieni jej decyzji. Ale się zmartwiła. W ciężkiej od niechęci atmosferze, jaka panowała wówczas w Indiach, mogło się zdarzyć wszystko.

Kiedy po pięciu dniach Indira wróciła do domu, Soniaomal jej nie poznała: w brudnym sari, cała pokryta warstwą pyłu i ociekająca potem. Zeszczuplała, miała podkrążone oczy, przypominała zebra. Sonia dostrzegła jednak iskierkę w jej oczach, błysk życia. Natychmiast zrozumiała, że podróż do Belci się udała. Indira zaczęła opowiadać ze szczegółami o swojej odysei. Sonia słuchała urzeczona.

- Padało tak mocno, że wszystkie drogi do Belci stały się nieprzejezdne. Z pięciuset sympatyków, którzy rozpoczęli ze mną podróż karawaną samochodów, wkrótce pozostało tylko dwóch. Inni się poddali. Zamierzałam dotrzeć na miejsce przed zmierzchem, jednak drogi były tak zalane, że musieliśmy zamienić samochód terenowy na traktor, który z kolei utknął w błocie kilka kilometrów dalej. Moi towarzysze nalegali, aby się wycofać, ale powiedziałam im, że dalej pójdę pieszo. Patrzyli na mnie jak na wariatkę. Wiedziałam jednak, że nie zostawią mnie samej, i miałam rację. Czuli się w obowiązku mi towarzyszyć, choć czynili to niechętnie. Po długim marszu, wyczerpani i zmoczeni, dotarliśmy do rzeki i tu się okazało, że nie zdołamy pieszo pokonać brodu. O tej porze nie było już łodzi ani przewoźników gotowych przeprowadzić nas na drugi brzeg. Moi towarzysze chcieli wracać, ale ja zagadnęłam chłopów, którzy na nasz widok wyszli z chat.

„Musi być jakaś możliwość przejścia... Są tu jakieś konie?”

„Nie, proszę pani” - odpowiedział jeden z nich.

„Muł? Osioł?”

„Nie, pani. Jest tylko słoń”. „Gdzie?” - zapytałam. „W wiosce. To słoń świątynny”. „Możecie go przyprowadzić?”

„Tak, pani, ale...” - Wydawał się zakłopotany i nie bardzo chciał mówić.

„Ale co?” - spytałam.

„Nie mamy howdah” - przyznał wreszcie, zawstydzony.
Indira zwróciła się do Soni:

- Czy wiesz, co to jest howdah?

- Czy to nie taka wieżyczka, którą mocuje się na grzbiecie słonia, by przewozić w niej ważne osobistości?

- Istotnie... Jak zawsze w Indiach, przejmowanie się statusem góruje nad względami praktycznymi! Wydaje się, że tylko to rządzi relacjami między ludźmi. Powiedziałam, że nie zależy mi na howdah, wówczas jeden z nich ogłosił triumfalnie, że nałoży koc.

Opowiadając tę przygodę, Indira przypominała rozbawioną dziewczynkę. Była tak ożywiona i promienna, tak bezpośrednia i bliska. Stał się cud. Wróciła odmieniona.

- Wiesz... nie czułam zmęczenia. Czekaliśmy ponad godzinę na deszczu.

- I co ze słoniem?

- W końcu go przyprowadzili, nazywał się Moti. Chłopi najpierw pomogli mi wspiąć się na jego grzbiet, potem podnieśli jednego z moich towarzyszy, który usiadł za mną. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że oczy ze strachu wychodzą mu z orbit.

Sonia się roześmiała.

Indira kontynuowała opowieść:

- Drugi kolega zaproponował, że zostanie i zorganizuje powrót. Przeprowadza była straszna, słoń mocno kołysał, woda sięgała mu do brzucha. Kolega uczepił się mojego sari jak dziecko matczynej spódnicy. Myślałam, że się rozplacze...

Obie wybuchnęły głośnym śmiechem. Zabawnie słucha się historii, w których kobiety panują nad sytuacją.

Indira spoważniała.

- Było już późno, kiedy dotarliśmy do Belci. Ci, którzy przeżyli masakrę, schronili się w na wpół opuszczonym

jednopiętrowym budynku. Nagle zobaczyłam pochodnie. Oświetlały twarze tych, którzy je nieśli: pobrużdżonych zmarszczkami starców, młodych wdów, dzieci z wielkimi błyszczącymi oczami. Wszyscy mieli ciemną karnację. Byli bardzo wystraszeni i zaskoczeni... Kiedy mnie rozpoznali, rzucili mi się do stóp. Chyba widzieli we mnie boginię. Nie miałam im nic do zaoferowania prócz czasu, a ci wystraszeni ludzie nie przestawali mi dziękować, że się nimi zainteresowałam, że wystawiłam się na tyle niebezpieczeństw, by ich wysłuchać. Mówili mi, że moja obecność to cud. Wyobrażasz to sobie? Byliśmy tam kilka godzin i słuchaliśmy strasznych opowieści o masakrze. Wyszłam stamtąd z płaczem... tyle biedy, tyle bólu. Wieśniacy pokazali mi popioły stosu, na który żywcem rzucono członków ich rodzin. Byłam zdruzgotana. Ciemną nocą opuściliśmy Belci. Słyszeliśmy grzmoty, ale nie padało. Jeden z przewoźników zaoferował, że przetransportuje nas na drugi brzeg. I wiesz, co się wówczas stało?

Sonia zaprzeczyła ruchem głowy.

- Kiedy zbliżaliśmy się do brzegu, łódź się wywróciła z powodu nadmiernego obciążenia.

Znowu wybuchnęły śmiechem.

- Cali mokrzy staliśmy w tej czarnej wodzie. Zdołałam dojść brodem na brzeg. Szliśmy dalej do głównej drogi, gdzie miały na nas czekać samochody terenowe. Ociekaliśmy wodą. Wówczas, Soniu, zdarzył się kolejny cud. Zaczęli się schodzić okoliczni chłopcy, którzy dowiedzieli się o mojej wizycie. Przynieśli nam owoce, kwiaty i latarnie. Nagle usłyszałam dźwięk bębnów i śpiew kobiet. Powiedziały do mnie: „Głosowałyśmy przeciw tobie. Zdradziłyśmy cię. Przepraszamy”. Przyszły ze słodyczami i dały mi skromne suche sari, bym mogła się osuszyć i przebrać. Niektóre nawet prosiły mnie o błogosławieństwo!

Sonia zdała sobie sprawę, że Indira dostrzegła światełko w tunelu. Zanurzyła się w „wielką masę indyjskiego ludu” i nie została odrzucona. Przeciwnie, odnalazła z powrotem swój głos. I odpowiedź.

Indira opowiadała dalej. Następnego dnia pojechała do Patny, zrujnowanej stolicy stanu Bihar, żeby odwiedzić dawnego wroga J.P. Narayana, człowieka, którego działania doprowadziły do ogłoszenia stanu wyjątkowego. Był bardzo stary, niemal na łożu śmierci. Teraz, kiedy Indirę obalono i szkalowano, J.P. jej przebaczył. Spędzili razem około pięćdziesięciu minut, przywołując wiele wspólnych wspomnień z czasów, w których żona Narayana była najlepszą przyjaciółką matki Indiry. Rozmawiali również o masakrze w Belci i o losie niedotykalnych. Potem pozwali do zdjęć dla prasy.

Indira wyjęła z torby zgniecioną gazetę i pokazała synowej fotografię. To zdjęcie było dla niej ważne, ponieważ pieczętowało zgodę między dwojgiem polityków. Sonia zrozumiała, że teściowa wraca do gry.

- Ale... czy nie mówiłaś dwa tygodnie temu, że wycofujesz się z polityki? - zapytała.

- Jeszcze nie wróciłam i wołałabym nie wracać, ale jak mogę się wycofać? Dopóki żądają głowy Sanjaya czy mojej, muszę walczyć, by nas bronić.

Ośmielona Indira zdecydowała się wyjechać następnego dnia do swojego dawnego okręgu Raj Bareli, gdzie wyborcy kategorycznie ją odrzucili niecałe cztery miesiące temu. Było to ryzykowne posunięcie - mogła się spotkać z wrogością tłumu, ponieważ okręg był jednym z głównych celów kampanii sterylizacji. Jednak ku jej wielkiemu zdziwieniu, mimo upału, przywitały ją tysiące osób. Tu także doskonale wiedziała, co ma zrobić i co powiedzieć. Bez zbędnego owijania w bawełnę poprosiła o przebaczenie za nadużycia

władzy w okresie stanu wyjątkowego, a następnie zaatakowała rządzącą koalicję Dżanata. Ludzie zgotowali jej jeszcze gorętszą owację niż w Belci. Zdecydowała się na błyskawiczny objazd różnych miejscowości, w których powtarzała to samo przesłanie. Wszędzie przyjmowały ją tłumy. Wróciła do domu ledwo żywa, brudna i wyczerpana, ale zadowolona.

Opowieść o podróży Indiry do Belci rozeszła się po subkontynencie jak fala, docierając do wiosek przycupniętych na zboczach Himalajów, chałup z pustynnej gliny, baraków z liści palmowych zamieszkanymi przez ludzi z najniższych kast, bud z plastiku i mosiądzu, w których żyli niedotykalni z południa... Mimo różnic rasowych, kastowych i religijnych biedacy znajdowali w niej źródło nadziei i pociechę. Czuli, że Indie zaczynają jej przebaczać, jednak nadal martwiła się swoją sytuacją i zagrożeniem ze strony komisji Shaha. Przedstawiciele władzy domagali się „sądu jak w Norymberdze” za jej zbrodnie z okresu Emergency.

- Jestem pewna, że znajdą jakikolwiek pretekst, by mnie aresztować.

- Nie odważą się - odrzekła Sonia, bardziej by ją uspokoić niż przekonać.

- Dowiedziałam się, że rząd Dżanaty obiecał nie ścigać sędownie moich dawnych ministrów, jeśli ci zgodzą się obciążyć Sanjaya wszelkimi błędami popełnionymi podczas stanu wyjątkowego. Wiem doskonale, że mnie zdradzą. Sanjaya również chcą wsadzić do więzienia.

Te zdrady głęboko ją raniły i popychały w otchłań bolesnej samotności. Sonia wiedziała, że Indira jest silna, a jednocześnie bardzo podatna na zranienie. Większość polityków zajmowała się polityką wyłącznie ze względu na własne ambicje, a nie, tak jak teściowa, z poczucia powinności. Sonia czuła odrazę na myśl o małostkowości tego

świata, niemniej zdawała sobie sprawę, że życie publiczne i polityka rozumiana jako służba innym są racją życia Indiry i że to nigdy się nie zmieni. Już nie wierzyła, że Indira się wycofa, ponieważ wiedziała, że byłby to luksus, na który była premier nie mogła sobie pozwolić.

Osaczona przez rząd i komisję Shaha, Indira wzięła byka za rogi. Wierna maksymie, że najlepszą obroną jest atak, wiele podróżowała, by zaakcentować swoją obecność, wejść w kontakt z jak największą liczbą ludzi i ugruntować to, co zdobyła w Belci - przebaczenie ludu. Na stacji w Agrze przyjęcie było tak gorące, że doszło do wybuchu, który ranił kilkanaście osób. Wszędzie zaczynała od przeprosin za wyrządzoną tylu ludziom krzywdę, przypominała także o osiągnięciach stanu wyjątkowego, przede wszystkim w gospodarce i w dziedzinie bezpieczeństwa, wyraźnie podkreślając, że to ona zdecydowała się ogłosić wybory, a gdy została pokonana, mężnie zaakceptowała werdykt narodu. Potem wytykała błędy przeciwnika. Nowy rząd okazał się niezdolny do zahamowania ponownie rozpętanej inflacji i kontrolowania czarnego rynku. Była to koalicja nierównych sił, która już zdradzała oznaki rozpadu.

Triumfalne podróże Indiry do Belci i Raj Bareli coraz bardziej irytowały słaby rząd, zaalarmowany tłumami czczącymi jego arcywroga. Trzeba było coś z tym zrobić. Piętnastego sierpnia 1977 roku, w rocznicę odzyskania niepodległości, policja aresztowała sekretarza R.K. Dhawana oraz byłego ministra obrony Bansiego Lala, dwóch zauszników Sanjaya. Krąg się zacieśniał.

Sonia czuła strach. Rajiv miał problemy w pracy; wydawało się, że dykcja nie chce mu odnowić licencji na pilotowanie boeinga 737, w czym dopatrywał się represji. Linie lotnicze nie brały pod uwagę, że cieszył się nienaganną opinią i był postrzegany przez kolegów z pracy jako osoba

apolityczna, a nawet zdeklarowany przeciwnik stanu wyjątkowego. Do kłopotów w Indian Airlines dołączyła się kontrola wszczęta przez Ministerstwo Gospodarki. Dotyczyła ona również Soni, która robiąc uprzejmość szwagrowi, podpisała w 1973 roku dokumenty czyniące ją właścicielką akcji fikcyjnego przedsiębiorstwa Maruti Services Limited. Fakt, który wywołał gwałtowną kłótnię między braćmi i napięcia w małżeństwie, obecnie został użyty jako amunicja przez rząd, uparcie dążący do wykazania ciemnych operacji finansowych, w rzeczywistości nigdy niemających miejsca.

Sonia jako cudzoziemka nie miała prawa posiadać akcji ani piastować żadnego płatnego stanowiska w indyjskim przedsiębiorstwie bez zgody Banku Centralnego. Ponieważ jednak nigdy się o taką zgodę nie ubiegała, faktycznie nie doszło do złamania prawa. Ale Rajiv musiał wykazać, że żona nie zarobiła w Maruti ani jednej rupii i że nie była z tym przedsiębiorstwem związana. Mogli ją skazać wyłącznie na grzywnę. Pisząc oświadczenia, poszukując starych dokumentów lub wyrabiając nowe, Rajiv poświęcił cały swój wolny czas i przeszedł prawdziwą drogę krzyżową ze względu na skomplikowaną biurokrację indyjską. Był jednak spokojny, gdyż miał czyste sumienie. Sprawa Soni była drobnostką, a on zawsze skrupulatnie płacił swoje podatki. Włoszkę niepokoiła myśl, że przeciwnicy mogą się uciec do jakiegoś brudnego chwytu, na przykład sfałszowania dokumentu. Strach niszczy i jest w stanie zmienić percepcję rzeczywistości. A jaka była rzeczywistość?

Indira doskonale zdawała sobie sprawę, że „to jest wojna nerwów, wojna psychologiczna. Należy wytrzymać, nic więcej”. Sonia nie chciała dokładać swoich lęków do panującej atmosfery, ale myśl, że sprawiedliwi mogą zapłacić za grzeszników, nie dawała jej spokoju. Ze ściśniętym żołądkiem patrzyła, jak jej mąż wychodzi z domu, żeby

składać zeznania na posiedzeniach komisji Shaha, i uspokajała się dopiero wtedy, gdy wracał do domu cały i zdrowy. Owe posiedzenia były szczególnie bolesną próbą, ponieważ odbywały się w chaotycznej i wrogiej atmosferze, bardziej przypominającej chińskie trybunały ludowe niż sąd. Rajiv zawsze wracał poruszony. Według jego relacji sala była nabita ludźmi, którzy wznosili obraźliwe okrzyki, jedli albo spali na podłodze. Adwokaci ubrani w czarne togi i białe żaboty siedzieli za stolikami pełnymi papierów powiązanych sznurkiem, pod wentylatorami, które wprawiały dokumenty w ruch. Pożółkła fotografia Gandhiego wisiała na ścianie. Za każdym razem, kiedy on lub brat starali się bronić, głośne gwizdy głużyły ich słowa. Publiczność nie pozwalała im mówić. Zaledwie dostrzegali twarz sędziego Shaha zza stosów tomów indyjskiego kodeksu karnego i dokumentów leżących na biurku. Na zewnątrz ciekawscy śledzili przebieg posiedzeń przez megafony. Naturalnie tym, który wzbudzał większą nienawiść, był Sanjay. Ilekroć wchodził do sali rozpraw, witały go głośne gwizdy i zniewagi. Niejednokrotnie napięcie przeradzało się w prawdziwą bitwę między jego oszczercami a zwolennikami. Jedna z sesji zakończyła się tumultem, walką na metalowe krzesła i wymianą ciosów. Sonia rozumiała, jak ciężko jest znosić to wszystko Rajivowi, który od zawsze unikał konfrontacji i starał się wieść skromne życie. Oboje przeżywali nie tylko niesprawiedliwość tej sytuacji - martwili się przede wszystkim, czy wrogość nie odbije się na dzieciach.

Sanjay i Maneka, choć byli głównym celem ataków, przyjmowali je na sportowo - w sensie przerośnym i dosłownym. Trzeciego października 1977 roku o piątej po południu grali w badminton na trawniku ogrodu przy Willingdon Crescent 12, kiedy usłyszeli policyjny samochód. Dwaj osobnicy zapukali do drzwi. Jednym z nich był wysoki sikh w czerwonym turbanie, człowiek o nienagannych

manierach. Indira, która rozmawiała ze swoimi adwokatami, otworzyła drzwi.

- N.K. Singh, z dyrekcji służb specjalnych - przedstawił się sikh, zaciskając nerwowo dłonie. - Przybyliśmy poinformować, że jest pani aresztowana - oznajmił, patrząc w podłogę.

- Chce pan powiedzieć, że zabieracie mnie do więzienia?

- Tak... - wymamrotał, wyraźnie onieśmielony.

- Będzie to dobra okazja, żeby wypocząć - stwierdziła Indira.

Od jakiegoś czasu była pewna, podobnie jak cały kraj, że ten moment nadejdzie.

- Czy mogę wiedzieć, o co jestem oskarżona? Mężczyzna odczytał zarzuty. Oskarżano ją o to, że zmusiła dwa przedsiębiorstwa do podarowania stu czternastu samochodów terenowych na kampanię Kongresu, a następnie sprzedania ich wojsku, co rodziło podejrzenie o korupcję. Zarzucano jej również, że zgodziła się na podpisanie kontraktu z przedsiębiorstwem, którego oferta zgłoszona do przetargu była droższa niż pozostałe, co także sugerowało korupcję. Indira wzniosła oczy do nieba: to wszystko kłamstwa. Oto zbrodnie Emergency! - pomyślała w duchu.

- Jutro odbędzie się rozprawa, na którą panią dowieziemy - poinformował sikh.

- Chcę zobaczyć nakaz aresztowania. Mężczyzna podał jej papiery.

- Jeśli to panu nie przeszkadza - powiedziała Indira - skonsultuję je z moimi adwokatami. Proszę chwilę poczekać.

Weszła z dokumentami do domu. Wróciła po godzinie. Sikh czekał na zewnątrz, siedząc na schodku przed drzwiami.

- Brakuje First Information Report - powiedziała Indira. - Nie zamierzam się stąd ruszyć, dopóki wszystkie papiery nie będą w porządku.

- Proszę pani, to nic nie da, a tylko utrudni mi pracę.
- Proszę się nie martwić, będę tu, kiedy pan wróci.
- Dobrze, wyślę funkcjonariusza po brakujący dokument.
- Jeśli pan chce, może pan poczekać w domu.

Mężczyzna wszedł do środka, wdzięczny, a zarazem spieszony. Dom otaczała policja i liczni gapie, którzy już zaczęli się gromadzić. Sanjay i Maneka przerwali grę i zamknęli się w swoim pokoju. Wkrótce na Willingdon Crescent przybyła Usha, błyskawicznie poinformowana o tym, co się dzieje. „Kiedy przyszedłam, zobaczyłam smutną scenę. Wcześniej kordon policji służył ochronie pani premier przed ewentualnymi utarczkami i manifestacjami. Teraz był tu po to, żeby uniemożliwić wejście do domu innym osobom i ją aresztować”. Usha zdołała wejść do środka. Indira, bardzo zajęta, ogromnie ucieszyła się na jej widok.

- Usha, jak to dobrze, że jesteś! Czy mogłabyś pomóc Soni przygotować moją torbę podróżną?

Sonia stała w pokoju Indiry, ubrania teściowej leżały na łóżku. Tym razem nie wiedziała, co spakować. Nie była to zwykła podróż.

- Dokąd mają ją zabrać? - spytała Usha.
- Nie wiem, nie powiedzieli tego - odparła Sonia.
- Lepiej włóżmy jej szal, może zawiozą ją gdzieś w góry.
- Wierzę, że dobrze ułożycie mi włosy - dobiegł z korytarza głos Indiry. - Chcę wyglądać jak najładniej.

- Tym się nie przejmuj - powiedziała Sonia, która wiedziała, że teściowa nie lubi chodzić zaniedbana, nawet po domu. Jednak to przywiązywanie wagi do własnego wyglądu, jakby szła na ślub, a nie do więzienia, było niesamowite.

Boże mój - pomyślała Sonia. I to do indyjskiego więzienia! Dlaczego chce iść taka wystrojona?

- Pani Gandhi właśnie taka jest - skomentowała Usha. Kiedy wybierały dla niej sari, Indira zanosła do kuchni jakieś

dokumenty, które mogłyby, jej zdaniem, okazać się niebezpieczne, gdyby wpadły w ręce policji albo służb. Kucharz pozbywał się ich w oryginalny sposób, używając jako niszczarki maszynki Soni do robienia makaronu (Cyt. w: Chatwin Bruce, ¿Qué hago yo aquí?, El Aleph, Barcelona 2002, s. 330, według wywiadu przeprowadzonego przez Chatwina z kucharzem).

Chociaż telefony były wyłączone, Sanjay i adwokaci zdołali je uruchomić, żeby poinformować kolegów z partii, a ci z kolei powiadomili prasę. Dziennikarze z kamerami telewizyjnymi, zwolennicy Sanjaya z Youth Congress, rosnący tłum ciekawskich - wszyscy tłoczyli się, napierając na kordon policji.

Sikh czekał na Indirę w przedpokoju, coraz bardziej zdenerwowany. Nie podobało mu się zamieszanie wokół domu. Ze wszystkich misji, jakie mu powierzono w całej jego karierze, ta była chyba najbardziej odpychająca. Nikomu by się nie podobało, gdyby musiał aresztować boginię. Był niespokojny i niezdecydowany. Starał się zachowywać sympatycznie w stosunku do Priyanki i Rahula, ale dzieci patrzyły na niego z wrogością.

W końcu o ósmej wieczorem pojawiła się Indira, elegancko umalowana i uczesana, ubrana w cenne białe sari z zielonym otokiem, które wybrały dla niej Usha z Sonią. Była żywym wcieleniem dystynkcji. Sikh nie mógł wyjść ze zdumienia, czuł się tak, jakby aresztował elegancką babcię. Na domiar złego kiedy Indira wyszła z domu, w ogrodzie przywitano ją owacją i deszczem płatków kwiatów. W tym momencie zwróciła się do sikhijskiego funkcjonariusza:

- Chciałabym, żeby pan założył mi kajdanki. Zakłopotany N.K. Singh na wpół otworzył usta. Teraz babcia poprosiła o kajdanki - pomyślał przerażony.

- Proszę pani, proszę...

- Chcę wyjść w kajdankach z mojego domu. Czyż nie jestem aresztowana? Proszę założyć mi kajdanki.

Sonia, która szła tuż za nimi z mężem i szwagrem, była równie oszołomiona jak sikh. Ten, bliski ataku nerwowego, poszedł skonsultować się z kolegami. Wrócił po paru chwilach.

- Proszę pani, nie skujemy pani kajdankami.

- Jeśli nie założycie mi kajdanek, nie ruszę się. Zostanę tutaj.

- Proszę pani - powiedział zawstydzony mężczyzna - proszę mnie nie stawiać w tak trudnej sytuacji. Nie jestem upoważniony do tego, żeby panią skuć. Proszę, niech pani będzie tak uprzejma i ze mną pójdzie, inaczej będziemy musieli zabrać panią siłą.

Wobec determinacji sikh Indira ustąpiła i poszła z policjantami, a zebrany na ulicy tłum rzucał w jej stronę kwiaty i wiwatował. Opuszczając z Sonią dom, Rajiv poprosił Uszę, by została i zaopiekowała się dziećmi. Nie wiedział, kiedy wrócić.

Indira, zanim wsiadła do samochodu, zwróciła się do grupy dziennikarzy: „Miałam jutro rano jechać do Gudżaratu, by odwiedzić wspólnoty plemienne. Proszę was, byście przeprosili w moim imieniu tamtejszą ludność”. Pytana o aresztowanie, oświadczyła: „Starłam się służyć naszej ojczyźnie jak najlepiej. Oskarżenia skierowane przeciw mnie są bezpodstawne. To aresztowanie ma charakter polityczny”.

Samochód ruszył; przed nim jechał wojskowy jeep, a za nim karawana samochodów z synami i synowymi Indiry, jej zwolennikami i z reporterami. W domu zostały płaczące dzieci pod opieką Ushy. Znowu w rodzinie Nehru historia się powtarzała, jak wtedy, gdy policjanci przychodzili aresztować Jawaharlalę, a jego córka starała się zagrozić im drogę.

Nie zawieźli jej do niesławnego więzienia Tihar, w którym ona sama kazała uwięzić maharanie Gwalijaru i Dżajpuru i tylu innych. Jej „więzienie” okazało się celą w jednym z komisariatów policji, spartańską, ale względnie czystą. U wejścia dostojnie pożegnała się z synami i synowymi. Promieniała spokojem, ponieważ intuicyjnie czuła, że o tej porze informacja o jej aresztowaniu krążyła już z ust do ust, docierając aż do najodleglejszych krańców ogromnego państwa. Wiedziała, że jeśli zdoła się pokazać jako męczennica - dlatego poprosiła o kajdanki - wygra tę partię. Sonia, daleka od takiej manipulacji, patrzyła na nią z ogromnym bólem i czyniła niemal nadludzkie wysiłki, by powstrzymać łzy. Nehru nie byli zbyt wylewni, tym bardziej w podobnych sytuacjach. Dlatego ona nie mogła się teraz ugiąć. Policyjni strażnicy stanęli na baczność przed Indirą, kiedy ta wchodziła do swojego „więzienia”. Z trudem przyjmowali do wiadomości, że będą ją gościć tej nocy. Świat stanął na głowie. Zaproponowali jej jedzenie, ale odmówiła. Bała się otrucia. Położyła się na pryczy w swojej celi i przez długi czas czytała powieść, którą Usha i Sonia wsadziły jej do torby. Spała głęboko, o świcie wzięła prysznic, ubrała się i była gotowa do rozprawy w sądzie.

O dziewiątej rano Rajiv czekał na nią w towarzystwie adwokata u drzwi Pałacu Sprawiedliwości przy Parliament Street w centrum New Delhi. Tego ranka nie było tu ani zwyczajowych sprzedawców pierożków samosa i soku z trzciny, ani skrybów, którzy za kilka rupii pisali listy lub mowy obrończe biednym analfabetom wplątanych w konflikt z prawem. Informacja o aresztowaniu Indiry wywołała takie poruszenie, że mimo wczesnej pory budynek był otoczony przez napierający tłum. Tym razem koalicja Dżanata wysłała własnych manifestantów. Sanjay z kolei przybył na czele swoich zwolenników, dlatego kiedy Indira wchodziła do

budynku, słyszała z jednej strony okrzyki: „Niech żyje Indira Gandhi!”, a z drugiej „Powieście ją!”. Ona sama zachowała stoicki spokój, ani na chwilę nie pochyliła głowy, nawet gdy ktoś rzucił w nią gazetą, która przeleciała w odległości kilku centymetrów od jej twarzy.

W jasnej sali Indira nie przyjęła krzesła, które jej zaoferowano, i niemal przez dwie godziny stała, słuchając zarzutów. Kiedy upał zrobił się trudny do zniesienia, źle ogolony woźny, ubrany w białe, brudne dhoti, klasnął, by włączono zawieszane u sufitu wentylatory. Skrzydła, skrzypiąc, zaczęły się obracać. Wiaterek wprowadził sari Indiry w drżenie, a ona sama poczuła lekką ulgę. Była niemal bliska zemdlenia od stania w zaduchu. Wiedziała jednak, że fakt, iż nie zgodziła się usiąść, już krążył z ust do ust setek, tysięcy, a może i milionów rodaków... „Stała!” „Nie przyjęła krzesła”... - proste słowa, które kształtowały mityczne obrazy w wyobraźni narodu.

Na zewnątrz sympatycy i wrogowie przystąpili do bitwy. Policja interweniowała, używając lathi, długich pałek z bambusa, a później także gazów łzawiących.

W końcu sędzia uniewinnił Indirę i uwolnił ją od oskarżeń. Zarządził również jej natychmiastowe i bezwarunkowe uwolnienie. Wyrok głosił, że „nie ma dowodów na potwierdzenie zarzutów”. Sanjay wybiegł na zewnątrz, krzycząc: „Oskarżenie odrzucone! Jest wolna!”, co u jednych wywołało euforię, a u drugich wściekłość. Ludzie znowu zaczęli się bić. Policja musiała wystrzelić kolejne granaty z gazem łzawiącym. Indira wyszła z sali sądowej z zaczerwienionymi oczami i zatkanym nosem, szczęśliwa, że wygrała. Rajiv był bardzo poruszony. „Mama nie mogła marzyć o lepszym rozwiązaniu” - oświadczył pewnemu dziennikarzowi.

Farsa z aresztowaniem sprawiła, że nazwisko Indiry Gandhi trafiło na czołówki wszystkich gazet krajowych i znacznej części zagranicznych. Rząd swoimi działaniami doprowadził do tego, że zaczęła być postrzegana jako ofiara niekompetentnej administracji. Uzyskał zatem efekt przeciwny do zamierzonego: wprowadził Indirę na drogę ku jej całkowitej rehabilitacji politycznej.

Dla Soni było jasne, dlaczego teściowej zależało na nienagannym wyglądzie. Indira zdołała się zaprezentować jako męczennica wymiaru sprawiedliwości. Włoszka podziwiała jej zapał do walki i pogardę dla przywilejów władzy; teraz była już pewna, że Indira powróci na szczyt, przynajmniej po to, żeby oczyścić swoje imię i sprawić, by jej najbliżsi, przede wszystkim zaś wnuki, które uwielbiała, znowu mogli się nią szczycić. Sonia to rozumiała, obie bowiem były mocno i głęboko przywiązane do rodziny. Nie dostrzegała jednak drugiej strony charakteru teściowej, bo nigdy nie pociągała jej władza. Dla Indiry był to rodzaj narkotyku. Czy to nie Kissinger powiedział, że władza jest najlepszym z istniejących afrodyzjaków? Z brzydkiej i samotnej dziewczynki, a potem delikatnej i chorowitej kobiety władza uczyniła znakomitą wojowniczkę, twardą i wytrwałą. Indira połknęła bakcyła władzy i ożywiała się za każdym razem, gdy widziała, że może po nią sięgnąć, choćby nie wiedzieć jak daleko majaczyła na horyzoncie.

Dlatego teraz nie chciała tracić czasu; wiedziała, że powinna wykorzystać sprzyjający moment. Ponownie Sonia pomogła jej przygotować torbę podróżną i tym razem Indira wyjechała na długo, zamierzała bowiem przemierzyć cały kraj. W Gudźaracie przemawiała do ludzi z małych platform wzniesionych w odległości kilkunastu kilometrów jedna od drugiej. Z biegiem dnia girlandy z jaśminu i stokrotek ofiarowywane przez ludzi przesłaniały jej twarz. Zdejmowała

je przed wejściem do chat, gdzie wspólnie z mieszkańcami jadła na liściach bananowca, rozmawiała o ich problemach: zbiorach, edukacji, braku opieki zdrowotnej, etc. Pewnej nocy, kiedy jechała samochodem przez las, poprosiła szofera, żeby się zatrzymał. Usłyszała głos. Kilka minut później pojawił się na wpół nagi człowiek o poczerniającej skórze, z nastroszonymi włosami. Niósł w ręce girlandę z kwiatów: „Matko, od dziesięciu lat mam nadzieję, że cię spotkam” - powiedział w swoim dialekcie i założył jej na szyję girlandę.

Nie zawsze przyjmowano Indirę gorąco czy choćby życzliwie. Pisarz Bruce Chatwin, towarzyszący jej podczas objazdu, został ranny, kiedy samochód, w którym siedział, wzięto za wóz Indiry i obrzucono kamieniami (Chatwin Bruce, *¿Qué hago yo aquí?*, s. 339): jeden stłukł szybę i zranił kierowcę, drugi przebił okno, a kawałki szkła pokaleczyły pisarzowi ramię. „To na ogół zdarza się tym, którzy stoją u mego boku” - powiedziała Indira, która zaprowadziła go do swojego pokoju, by sprawdzić, czy rana została właściwie opatrzona. Innym razem, w stanie Kerała, Chatwin był świadkiem, jak ćwierć miliona ludzi przemoczonych do suchej nitki przyszło nocą, by posłuchać Indiry. Usadowiona na krześle, które postawiono na stole umieszczonym na balkonie ostatniego piętra budynku, trzymała latarkę na wysokości kolana, kierując światło na twarz i tors. Gdy zaczęła przemawiać i gestykulować, jej zwolennicy mylili ją z Lakszmi, boginią poruszającą faliście licznymi rękoma. Porównanie to nie było pozbawione sensu: Lakszmi jest boginią bogactwa. Po dobrej chwili Indira obróciła się do Chatwina, który siedział niżej przy stole.

- Panie Chatwin, proszę podać mi trochę orzechów nerkowca - powiedziała, pochylając w jego stronę głowę. Pisarz podał jej garść i zdumiał się, słysząc, jak mówi: - Nie wyobraża pan sobie, jakie to wyczerpujące być boginią.

Premier Morarji Desai uznał, że aresztowanie Indiry było błędem, i nie zamierzał tego błędu powtarzać, mimo że komisja Shaha orzekła, iż decyzja o wprowadzeniu stanu wyjątkowego była niekonstytucyjna i opierała się na oszustwie, ponieważ nie istniał żaden „dowód na zagrożenie integralności kraju”. Wniosek dyskusyjny. Wśród złych zjawisk okresu Emergency sędzia Shah wymienił zatrzymanie tysięcy niewinnych osób i „wiele działań nielegalnych, które doprowadziły do ludzkiego nieszczęścia i cierpienia”. Znanie wszystkim prorządowe nastawienie sędziego podważało wiarygodność raportu komisji. Bardzo subiektywnie zinterpretowano dowody i ich nie uzasadniono.

Poniechano więc Indiry, by skupić się na jej synu, który nie był nieskazitelny w oczach prawa, choć nigdy nie udało się mu udowodnić, że zdefraudował fundusze publiczne albo dopuścił się korupcji w firmie Maruti. Bardziej kontrowersyjnym zarzutem, jaki ciążył na Sanjayu, było oskarżenie go o zniszczenie filmu satyrycznego zatytułowanego Historia dwóch foteli, nawiązującego do władzy, jaką on i jego matka skupili w okresie stanu wyjątkowego. Realizatorka filmu odwołała się do Sądu Najwyższego, by sędzia przyjrzał się kwestii cenzury, i uzyskała certyfikat na projekcję. Wówczas Sanjay i jego przyjaciel minister służb specjalnych nakazali zniszczenie kopii i negatywów, podważając znaczenie wyroku sądu. Za to zostali skazani.

I znowu Sonia była świadkiem aresztowania kolejnego członka rodziny, tym razem szwagra. Odbyło się to znacznie szybciej niż w przypadku Indiry. W ciągu pięciu minut zabrano skutego kajdankami Sanjaya do otoczonego złą sławą więzienia Tihar, w którym on sam kazał zamknąć tylu przeciwników matki. Indira objeżdżała w tym czasie południe

subkontynentu. Złapała pierwszy samolot lecący do Delhi. Z lotniska od razu pojechała do więzienia, by spotkać się z synem. Tam zastała całą rodzinę, liczną grupę dziennikarzy i ekipy telewizyjne. Fotografia, na której obejmuje Sanjaya, obiegnęła cały świat, podobnie jak jej rady: „Nie załamuj się, bądź dzielny, dzięki temu odrodzisz się politycznie. Nie martw się, pamiętaj, że ja i mój ojciec też przeszliśmy przez więzienie”. Indira obawiała się, jak pobyt w miejscu odosobnienia wpłynie na Sanjaya „Boję się, że go znieważą fizycznie” - zwierzyła się Rajiwowi i Soni.

Mimo tylu napięć rodzina reagowała jak drużyna w obliczu przeciwności. Sonia zajęła się przygotowywaniem jedzenia dla szwagra, które Maneka mu zanosila. Młoda żona była podekscytowana sytuacją. Uważała, że przeżywa niewiarygodną przygodę, i w głębi duszy cieszyła się ze swojej nowej roli. Czuła się bardziej potrzebna mężowi niż kiedykolwiek.

W roku 1979 Sanjay trafił do więzienia sześć razy, choć w zamknięciu spędził najwyżej pięć tygodni. Tak jak w przypadku jego dziadka Nehru, więzienie wydobywało zeń najlepsze cechy. Nie miał żadnych uprzedzeń, nawiązywał kontakty z wszelkiego rodzaju przestępcami. Organizował zawody sportowe, gry zespołowe i dyżury sprzątnięcia. Gdy jakiś więzień zachorował, sprawował nad nim opiekę. W razie potrzeby potrafił spędzić przy chorym kilka godzin. Kiedy tylko pojawił się w jakimś ośrodku penitencjarnym, natychmiast stawał się jego niekwestionowanym liderem.

Podczas gdy Sanjay krążył między więzieniami i sądami, jego matka gromadziła siły, przekonana, że uda jej się odzyskać władzę, a wraz z nią bezpieczeństwo i godność jej samej i rodziny. Była gotowa walczyć jak lwica, by chronić swoje kocięta. Od takiej matki lwicy pochodziły słowa, jakie przekazała Sanjayowi w jego urodziny, które spędzał w

więzieniu: „Pamiętaj, że wszystko, co czyni człowieka silnym, boli. Niektórzy załamią się lub pozostaną okaleczeni, nieliczni urosną. Bądź silny na ciele i duszy i naucz się wytrzymywać...” (Gandhi Maneka, Sanjay Gandhi, Vakis, Feffer & Simons, New Delhi 1980))

Indira próbowała zmienić swoją polityczną bazę. Partia była podzielona na jej zagorzałych zwolenników, gotowych iść za nią na kraj świata, i tych, którzy zarzucali Sanjayowi odpowiedzialność za klęskę w 1977 roku i nie chcieli go mieć w swoich szeregach. Do tego dochodziło wielu ministrów, którzy zdradzili ją przed komisją Shaha, kłamliwie zeznając w zamian za sądowy immunitet. W tych okolicznościach przebudowa partii była niemożliwa. Dlatego Indira wycięła wszystko do zdrowej tkanki. Zdecydowała się dokonać rozłamu i pozostać tylko z najbardziej lojalnymi współpracownikami. W ten sposób została przewodniczącą Kongresu (I) - „I” jak Indira - którego symbolem stała się dłoń w geście błogosławieństwa. Od osób lojalnych wobec niej samej wymagała również lojalności wobec syna. „Ci, którzy atakują Sanjaya, atakują mnie” - deklarowała przy różnych okazjach. Pragnienie władzy podświadomie skłaniało ją do znalezienia następcy, a Sanjay sycił jej ambicje dynastyczne.

Sonia myślała, że przeżyła już najgorsze w czasach aresztowań, prześladowań, nękania męża kontrolami skarbowymi, ale gdy Indira ogłosiła powstanie nowej formacji politycznej, życie przy Willingdon Crescent stało się jeszcze bardziej irytujące i niewygodne. Dom stał otworem dniem i nocą. O dowolnej porze przychodzili ludzie, by odwiedzić Indirę. Po domu tłukli się jak Marek po piekle członkowie partii w rozmaitych nastrojach, od euforii po smutek. Spotykali się w sekrecie, organizowali, planowali nowe strategie, decydowali, jaką wybrać taktykę w każdym okręgu. Do tego wszystkiego należało dodać częste wizyty

adwokatów, którzy nadal prowadzili Indirę i Sanjaya przez meandry sprawiedliwości. Któregoś dnia Sonia natknęła się w jadalni na jednego z funkcjonariuszy służb specjalnych, którzy przyszli przesłuchać teściową i szwagra. Już nie wiedziała, czy ludzie rojący się po pokojach są sprzymierzeńcami czy wrogami. Nie mogła nastarczyć herbaty i przekąsek dla licznych gości, których Indira przyjmowała na trawniku, pod zaimprovizowanymi namiotami w ogrodzie albo u wejścia do domu, który czasem przypominał poczekalnię na dworcu kolejowym. Indira wydawała się szczęśliwa z powodu tej krzątaniny, zamieszanie jej nie przeszkadzało. Była w swoim żywiole, otoczona atmosferą, w jakiej dorastała w dzieciństwie. Liczyła także na Sanjaya, który jeśli nie przebywał akurat w więzieniu albo ze swoimi adwokatami, pracował razem z nią, widząc w Youth Congress narzędzie do bojkotowania działań obecnego rządu Partii Dżanata.

- Przypominam sobie dni w Anand Bhawan, kiedy przygotowaliśmy akcję protestacyjną - mówiła zachwycona Indira do Soni będącej na granicy łez.

Ani ona, ani Rajiv nie wytrzymywali braku prywatności. Niejednokrotnie zdarzało im się napotkać w swoim pokoju gorąco dyskutujących członków partii, którzy nie znaleźli dla siebie miejsca gdzie indziej. Atmosfera dezorganizacji i chaosu, stałe groźby i niepewna przyszłość ogromnie ich denerwowały. Nie było to życie, jakie wybrali dla siebie i swoich dzieci. Teraz nawet nie mogli odwiedzać ich przyjaciele. Gdzie mieliby ich przyjąć? Tyle zamętu napełniało Sonię obawą o bezpieczeństwo dzieci. A jeśli do domu wejdzie ktoś, kto będzie chciał je porwać albo zrobić im krzywdę? - pytała samą siebie. Martwiła się również o wpływ rodzinnych napięć na dzieci. Sonia i Maneka przestały ze sobą rozmawiać, ponieważ bratowa nadal nie pomagała w pracach domowych. Pupul, która w tym czasie często bywała w ich

domu, napisała: „To nie do wiary, że Sonia, która w tym chaosie zajmuje się wszystkimi sprawami domowymi, dotąd się nie załamała" (Jayakar Pupul, Indira Gandhi: a Biography, s. 355). Kolejnym krokiem, jaki uczyniła Indira, było zgłoszenie swojej kandydatury w wyborach w małym okręgu na południu kraju. Doszły do niej plotki, że rząd Dżanaty chce wprowadzić prawo mające pozbawić czynnego i biernego prawa wyborczego tych polityków, którzy popełnili przestępstwo przeciw narodowi. Gdyby Indira zdołała dostać się do parlamentu, zyskałaby pewność, że tego rodzaju środki jej nie dotkną, ponieważ chroniłby ją immunitet. Uważnie wybrała okręg. Čikmangalur był to mały dystrykt wśród zielonych wzgórz Karnataki, stanu w południowo - zachodnich Indiach, gdzie w XVII wieku pewien muzułmański sułtan przybyły z Mekki posadził nieznanne do tej pory czerwone ziarna. Dało to początek uprawie kawy, kultywowanej tu nadal trzy wieki później. Okręg był dla Indiry doskonały: ponad połowę elektoratu stanowiły kobiety, z których połowa należała do tak zwanych niskich kast. W sumie ponad połowa populacji żyła poniżej progu ubóstwa. Region był również bastionem Kongresu. Dotychczasowy deputowany z tego dystryktu był szanowanym starym przywódcą. Teraz podał się do dymisji, by ustąpić miejsca Indirze.

Małe wioski wspinające się na wzgórza otaczała obfita subtropikalna roślinność. Indira cieszyła się tym bukolicznym pejzażem. Odwiedziła plantacje kawy, rozmawiała ze zbieraczami i ich rodzinami, ludźmi prostymi, zadowolającymi się tym, co mają, odizolowanymi od życia politycznego reszty kraju. Odkryła, że informacje o jej klęsce w 1977 roku jeszcze nie dotarły w głąb okręgu. Pewna stara zbieraczka nawet nie wiedziała, że ona nie jest już premierem. Kiedy usłyszała, że Indira może skończyć w więzieniu, jeśli

oskarżenia przeciw niej zostaną udowodnione, staruszka powiedziała ze łzami w oczach: „Jakie oskarżenia?“, jakby wielcy tego świata nie mogli zrobić niczego złego. Tutejsi ludzie byli prości i naiwni.

Indira nie pominęła żadnej wioski. Wszędzie bardzo ciepło ją przyjmowano. Podchodziły do niej kobiety, żeby pogłaskać ją po twarzy, nigdy bowiem nie widziały tak jasnej skóry. W jej oczach dostrzegały milczące zrozumienie tego, co znaczy być kobietą, znosić ciężar porodów, opiekę nad dziećmi, głód i śmierć. Najstarsze dziękowały, że jej rząd uruchomił programy pomocowe, dzięki którym po raz pierwszy w życiu mogły zjeść ryż. Dawniej żyły ze zbiorów dzikiej pszenicy, a wiele nie miało w co się ubrać, chodziły przykryte liśćmi bananowców. Tak daleki i zacofany był Čikmangalur i tak wdzięczne jego mieszkanki.

W tym czasie rywale Indiry wygłaszali przemówienia na temat demokracji i dyktatury oraz przypominali nadużycia stanu wyjątkowego. Ona mówiła o spirali cen, braku podstawowych produktów spożywczych i rosnącej biedzie. W jej okręgu Emergency nie zostało zauważone. Na dodatek konkurenci ułatwiali jej zadanie, uderzając w nią w sposób możliwy tylko w Indiach („India Today", 16 - 30 listopada 1978)). Podczas jednego z masowych wieców umieścili ogromny plakat przedstawiający Indirę jako groźną kobrę. Napis poniżej głosił: „Uwaga! W tych wyborach potężna kobra się podniesie!" Efekt okazał się przeciwny do zamierzonego. Autorzy kampanii nie wiedzieli, że w Karnatace kobrę czczono jako zwierzę chroniące ziemię. Inny plakat ukazywał, jak strzały Partii Dżanata zabijają węża zwanego Indira. Ale w Čikmangalurze zabicie węża było uznawane za bardzo złą wróżbę.

W dniu wyborów lało jak z cebra. Mimo to swój głos oddało trzy czwarte mieszkańców okręgu. Indira wróciła do

New Delhi i dwa dni później, kiedy była z Sonią i Rajivem na uroczystości w ambasadzie Związku Sowieckiego, poinformowano ją, że wygrała znaczną przewagą siedemdziesięciu tysięcy głosów. Ambasador wznosił toast dla uczczenia zwycięstwa Indiry. Po dwóch latach kobieta, która została pokonana w sposób upokarzający przy wyborczych urnach, wracała jako deputowana do parlamentu z dalekiego okręgu na południu.

Cztery dni później Indira leciała do Londynu. Uzyskała paszport dyplomatyczny i chciała, żeby towarzyszyła jej Sonia, która mogła to zrobić jako jedyna z rodziny, bo zachowała włoski paszport. Indirze zależało na tym, żeby synowa zmieniła klimat. Chciała również w ten sposób jej podziękować za oddanie rodzinie. W ostatnim okresie konflikty domowe sięgnęły zenitu. Zachowanie snującej się z kąta w kąt i niepanującej nad sobą bratowej stało się stałym źródłem napięć. Na presję i niepewność Maneka reagowała częstymi wybuchami złości na cały świat, nie wyłączając męża. Podczas jednej z takich awantur zdjęła pierścionek, który Indira podarowała jej z okazji ślubu, i cisnęła nim ze złością o podłogę (Yunus Mohammed, *People, Passions and Politics*, Vikas, New Delhi, 1980, s. 45)).

- Jak śmiesz to robić?! - wybuchła Indira. - Ten pierścionek należał do mojej matki!

Maneka wyszła, trzaskając drzwiami. Sonia pochyliła się, żeby go podnieść.

- Zachowam go dla Priyanki - powiedziała i rzeczywiście po latach jej córka dostała pierścionek prababki.

Małżeństwo Sanjaya i Maneki, w odróżnieniu od związku Rajiva i Soni, obfitowało w kłótnie. W tym szczególnym domu Włoszka zachowywała się jak doskonała indyjska synowa, a Hinduska jak temperamentna neapolitanka. „W domu panuje chaos - wyznała Indira swojej przyjaciółce

Pupul. - Ale Maneka ma zaledwie dwadzieścia jeden lat... Czeka ją długie pobyty Sanjaya w więzieniu. Trzeba ją zrozumieć i wybaczyć jej tę histerię" (Jayakar Pupul, Indira Gandhi: a Biography, s. 384)). Za „polowanie na czarownice" wszyscy płacili wysoką cenę, kosztem nerwów; nawet Sanjay nie pozostał obojętny na trzydzieści pięć zarzutów kryminalnych postawionych mu przez Partię Dżanata w ciągu dwóch lat. Pewnego dnia, gdy rodzina jadła w domu śniadanie w towarzystwie odwiedzających ją krewnych, Sanjay zdenerwował się, bo jajka nie zostały ugotowane według jego wskazówek, i cisnął talerzem o podłogę. Sonia, która je przygotowała, wyszła obrażona do swojego pokoju. Indira nie skrytykowała syna ani jednym słowem, choć widać było, że jest zmartwiona.

Kiedy Sonia nie mogła już wytrzymać, wychodziła z przyjaciółkami (dekoratorką i wydawcą), żeby coś zjeść w małej chińskiej restauracji w Khan Market lub w American Embassy Club, gdzie jej nie rozpoznawali. Albo z gracją w ręce szła do ogrodu, żeby pielęgnować jarzyny. Brokuły, które udało jej się wyhodować, wzbudzały sensację wśród znajomych.

Dziesięciodniowa podróż do Londynu nie była może wakacjami, ale Sonia dobrze się czuła poza domem. Miała nadzieję, że odsapnie od nieznośnej atmosfery indyjskiej polityki, jednak tak się nie stało. Polityka podążała za nią. Indira zgodziła się na ten wyjazd, by poprawić swoją nadwyreżoną międzynarodową reputację, i została przyjęta z wielkim oczekiwaniem i wielką nieufnością. Ostrzegano ją, że w trakcie rozmaitych uroczystości, w których będzie brała udział, może się spotkać z wrogim przyjęciem. Sonia obawiała się najgorszego podczas pierwszego spotkania z parlamentarzystami.

- Pani Gandhi, co się nie powiodło w czasie stanu wyjątkowego? - zapytał bez owijania w bawełnę jeden z deputowanych.

Zapadła długa cisza. Indira wstała, poprawiła poję sari i wzięła mikrofon.

- Zdołaliśmy zrazić do siebie niemal wszystkie warstwy społeczne za jednym zamachem - odpowiedziała prosto i bezpośrednio.

Jej szczerość wywołała powszechny uśmiech i rozładowała napiętą atmosferę. Wśród uczestników spotkania była pewna kobieta, która mimo skrajnie odmiennych poglądów darzyła Indirę wielkim podziwem. Była to Margaret Thatcher, która właśnie miała objąć stanowisko premiera. Może dlatego, że była kobietą, rozumiała kruchość i jednocześnie twardość Indiry i wiele jej reakcji towarzyszących sprawowaniu władzy. Przyszła „Żelazna Dama” bez zahamowań przyznała, że stoi naprzeciw mistrzyni. Podróż w znacznym stopniu przyczyniła się do odbudowania wizerunku Indiry jako demokratycznego polityka.

Pomiędzy spotkaniami z prasą i przedstawicielami społeczności indyjskich oraz wizytami u angielskich polityków co szczególnie irytowało indyjskiego ambasadora - ledwie starczyło im czasu na wybranie się do teatru lub kina, zrobienie zakupów u Woolwortha czy poszukanie książek w słynnej księgarni Foyle'a. Spacerowały na Sonię jak balsam. Na błyszczących od deszczu ulicach nikt jej nie rozpoznawał, czuła się bezpieczna, mogła chodzić na piechotę i nie była zależna ani od ochrony, ani od samochodu... Co za luksus! Mimo wszystkich trudności ostatnich miesięcy jej relacje z teściową stały się tak bliskie jak nigdy dotąd. Choć Indira nie okazywała tego otwarcie, widać było, że Sonia jest jej ulubienicą. Wzbudzała w niej zaufanie, czego nigdy nie

można było powiedzieć o Manece. A jednak Indira zawsze broniła drugiej synowej, przynajmniej publicznie. „Ona musi znosić dużą presję” - usprawiedliwiała jej zachowanie. Niewątpliwie Maneka pracowała z zapałem na rzecz teściowej. Zdołała wykryć skandal w szeregach Partii Dżanata. Fotografowie z jej czasopisma „Surya” zdobyli zdjęcia syna premiera, czterdziestoletniego żonatego mężczyzny, w łóżku z młodziutką dziewczyną. W kraju o tak surowych obyczajach jak Indie skandal ośmieszył Partię Dżanata, która prześladowała Sanjaya, i skompromitował samego premiera. Maneka była bardzo dumna z tego, że dołożyła swoją cegiełkę w tej bitwie. Jednak w głębi duszy czuła, że nigdy nie zajmie miejsca Soni w sercu Indiry, i to jej przeszkadzało.

Kiedy szły Oxford Street, robiąc ostatnie zakupy dla dzieci, ani Sonia, ani Indira nie zdawały sobie sprawy, że rząd dokonuje ostatniego rozpaczliwego wysiłku, żeby ponownie pognębić byłą premier. W miarę jak zbliżało się jej polityczne odrodzenie, mnożono komisje śledcze starające się powiązać ją z różnymi przestępstwami. Oskarżano Indirę o rzeczy zarówno makabryczne, jak i absurdalne: „spisek na życie byłego ministra” (który w rzeczywistości zmarł śmiercią naturalną), „transferowanie funduszy i nielegalne wzbogacenie się” (co było oczywistą nieprawdą). Najbardziej chyba absurdalny zarzut - ukradzenia czterech kur i dwóch jajek - zmusił ją do powrotu z Londynu i wyjazdu do oddalonego o trzy tysiące kilometrów stanu Manipur na wschodzie Indii, gdzie musiała stawić się przed miejscowym sądem. Oskarżenie umorzono i Indira wróciła do New Delhi.

W parlamencie, gdzie została przywitana krzykami i owacjami, Komitet Przywilejów, badający nadużycia władzy, oskarżył Indirę o nękanie czterech urzędników, którzy prowadzili kontrolę w Maruti Limited. Wniosek kończył się

stwierdzeniem, że jest ona winna, ale nim doprowadzono do rozprawy, władze Partii Dżanata postanowiły ukarać byłą premier, wykorzystując posiadaną większość w izbie. Przegłosowano rezolucję domagającą się, żeby Indira „została uwięziona na tydzień, a w konsekwencji wyrzucona z parlamentu”. Tym razem tymi, którzy nadużywali władzy, byli rządzący. Skazali ją bez wyroku sądowego. Był to czysty rewanżyzm, dający się wytłumaczyć jedynie strachem przed jej odrodzeniem. Inna była bowiem sytuacja, gdy Indira objeżdżała kraj, a inna, gdy występowała w parlamencie. Dlatego zdecydowano się użyć podstępu, aby się jej pozbyć: najpierw należało ją uwięzić, co nie było w pełni legalne, a następnie zastosować prawo, które automatycznie wykluczało z parlamentu każdego, kto został skazany na karę więzienia. W ten sposób faktycznie złamano prawo. I zrobiono to dokładnie w dniu, kiedy w Pakistanie były premier Zulfikar Ali Bhutto bronił się w Sądzie Najwyższym przed wyrokiem śmierci wydanym przez sąd niższej instancji z inspiracji Zia ul - Ha - qa, generała zamachowca, który zorganizował ten fikcyjny proces. Wieść o niesprawiedliwym wyroku dotarła do New Delhi, budząc strach w Indirze i jej synu. Jeśli rządzący łamią reguły postępowania, to w atmosferze linczu wszystko jest możliwe. Nielegalnymi działaniami wrogowie Indiry pozbawili się ostatnich resztek wyższości moralnej, z jaką przejmowali władzę, głosząc się reprezentantami narodu, który przeżył traumę doświadczenia stanu wyjątkowego. Nagle to oni stali się tyranami, bez sądu osadzającymi ludzi w więzieniu, nieliczącymi się z oczekiwaniami elektoratu.

Pod kopułą sali parlamentu Indira broniła się z pasją i kontrolowaną furją. „Nigdy wcześniej w historii żadnego demokratycznego kraju jedna osoba, która przewodzi głównej partii opozycyjnej, nie była obiektem tylu kalumnii, potwarzy i takiej politycznej wendety ze strony partii rządzącej”.

Powiedziała ponownie, że głęboko żałuje nadużyć stanu wyjątkowego: „Już składałam moje przeprosiny na wielu forach publicznych i czynię to teraz raz jeszcze”. Jej słowa często przerywały wybuchy owacji i gwizdy, głośno się odbijające we wklęsłej czaszy kopuły.

- Nie jestem nikim wielkim, ale zawsze byłam wierna pewnym wartościom i celom. Każda zniewaga wymierzona we mnie obróci się przeciw wam. Każda kara, jaką mi zadacie, uczyni mnie silniejszą. Nie będę milczeć, ponieważ mój głos nie jest odosobniony. Nie mówię o sobie, kobiecie delikatnej i pozbawionej znaczenia. Mówię o zmianach ważnych dla społeczeństwa, zmianach, które są podstawą prawdziwej demokracji i większej wolności.

Po zakończeniu przemówienia Indira podniosła się, odwróciła plecami do deputowanych i ruszyła do wyjścia. Gdy doszła do drzwi, obejrzała się i spoglądała na nich przez dłuższą chwilę. Jedni siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, owinięci w kurta z białej bawełny i szale z kaszmirskiej wełny, inni mieli na głowach charakterystyczną furażerkę, jaką nosił Nehru, lub mużulmański fez, nieliczni ubrani byli po europejsku. Przypominali dawny wielobarwny wschodni dwór. Podniosła rękę i wyciągnęła dłoń, symbol swojej partii:

- Powrócę! - powiedziała.

Sonia przygotowała na kolację znakomity makaron. Na deser zrobiła krem z gwajawy i allahabadzkie ciasteczka z mango, które bardzo lubiła Indira, bo przypominały jej dzieciństwo. Ona sama wróciła wyczerpana, z godzinnym opóźnieniem. Rysy twarzy zdradzały napięcie.

- W każdej chwili mogą po mnie przyjść - ostrzegła Sonię i Rajiva, potem opowiedziała im, co się działo w parlamencie.

Sonia nie była w stanie przełknąć ani kęsa. Jak to często bywa, osoby bliskie cierpią bardziej niż same ofiary. Strach znowu zawładnął jej duszą, zmieszany z nieprzyjemnym

poczuciem braku bezpieczeństwa, jakby żyli na ruchomych piaskach gotowych pochłonać ich wszystkich. Znowu mogli aresztować Indirę, tym razem jednak nie osadziliby jej w komisariacie, ale w więzieniu. Jej wrogowie wygraliby bitwę. Rajiv i Sonia byli przybici.

- Dlaczego nie zawołasz Priyanki i nie zagramy partyjki scrabble'a? - zapytała wówczas Indira. Uwielbiała bawić się z wnuczką, bardzo bystrą dziewczynką, która często ją pokonywała. W takich chwilach niepewności nikt nie mógł zapewnić Indirze lepszego towarzystwa niż ta dziewczynka o jej oczach.

Następnego dnia Indira została aresztowana przed wyjściem z parlamentu, pośród ogromnej manifestacji poparcia i okrzyków: „Niech żyje Indira Gandhi!” Tym razem nie prosiła, żeby ją zakuto w kajdanki. Wsadzona do więziennej furgonetki, z wielkim trudem torującej sobie drogę wśród tłumu, została przetransportowana do więzienia Tihar, którego sama nazwa potrafiła wystraszyć najbardziej zatwardziałych przestępców. Jednak w odróżnieniu od maharanich Dżajpuru i Gwalijaru nie została zamknięta w celi z prostytutkami i pospolitymi przestępcami. Zaprowadzono ją do tych samych baraków, w których siedział szef opozycji w czasach stanu wyjątkowego. Była sama, a to przywilej. Na przemian nadzorowały ją dwie matrony. Kiedy postawiły przed nią jedzenie, nie tknęła nawet kęsa.

- Nie zamierzam jeść niczego, co nie zostanie przyniesione przez moją rodzinę - powiedziała stanowczo, wiedząc, że ufać może tylko rękom Soni.

Matrona wyszła porozmawiać z przełożonym. Jak zawsze w Indiach, były to długie, niekończące się rozmowy.

W tym czasie Indira zajęła się oglądaniem celi. Z dziedzińca i z innych pomieszczeń dobiegał zgiełk. Jej cela była przestronna, ogólnie wyglądała lepiej, niż Indira się spodziewała. Było tam skromne drewniane łóżko bez materaca i żelazne sztaby w oknach, w których brakowało szyb czy choćby zasłon. Panował dotkliwy chłód. W końcu grudnia temperatura nocą mogła spaść do zera.

Indira zatkała okienną dziurę kocem, by uchronić się przed zimnem i stworzyć sobie namiastkę intymności, kiedy matrona powróciła.

- Odwiedzający do pani.

Sonia i Rajiv czekali na nią w rozmównicy, dużej sali z odrapanymi ścianami, kilkoma metalowymi stołami, krzesłami

i mnóstwem ludzi, w większości biedaków, kościstych młodych mężczyzn, którzy przyszli się spotkać z uwiezionymi żonami i matkami. Dół ścian, poplamiony na czerwono, nosił ślady niezliczonych splunień wszystkich, którzy żuli liście betelu. Pachniało moczem i starym kadzidłem. Ponieważ wcześniej odwiedzali tu Sanjaya, teraz nie odczuwali przerażenia. Wydawali się jednak bardzo przygnębieni i to Indira podniosła ich na duchu.

- Czuję się dobrze, naprawdę. Wykorzystam ten czas na lekturę, pozwalają mi trzymać aż sześć książek... co za szczęście! - powiedziała z kpina. - Zrobili dla mnie coś w rodzaju kącika higienicznego i rano mogę brać ciepły prysznic. Cella wydaje się dość czysta, choć wszystko jest nieopisanie brzydkie, jak widzicie... Jak tam dzieci?

- Priyanka chciała przyjść, żeby cię zobaczyć, ale pomyśleliśmy, że...

Indirze pojaśniała na twarzy.

- O tak! - powiedziała z uśmiechem. - Przyprowadźcie ją. Byłoby dobrze, gdyby zobaczyła, czym jest więzienie. My, członkowie rodziny Nehru, od małego chodziliśmy odwiedzać naszych uwiezionych rodziców... Nie należy zaniedbywać tradycji.

Roześmieli się. Jak zwykle Indira nie dawała się pokonać przeciwnościom. Ani razu nie pozwoliła sobie na współczucie. Wystarczało jej przekonanie, że racja moralna jest po jej stronie.

- Pójdę i przyniosę ci coś do zjedzenia... - powiedziała Sonia.

- Przynieś niedużo. Nie jestem głodna.

Sonia przychodziła do teściowej dwa razy dziennie z przygotowanym w domu jedzeniem. Wszystko kontrolowano wykrywaczem metali. Strażniczka sprawdzała też naczynia. Zakazano przynoszenia słodczy, ponieważ jeden z więźniów

poczęstował kiedyś strażnika słodyczami nafaszerowanymi jakimś narkotykiem i uciekł. W sekcji kobiecej zabraniano również przynoszenia bananów: tak purytańskie i podejrzliwe były władze...

Pewnego dnia Indira powiedziała Soni, że otrzymała dwa anonimowe telegramy. Jeden zalecał: „Żyj skromnie”. Drugi doradzał jej, by dla zabicia czasu liczyła żelazne sztaby. „Policzyłam, jest ich dwadzieścia osiem”. Powiedziała również, że ściśle przestrzega swojego porządku dnia, co pomaga jej przetrwać. Budziła się o piątej rano i ćwiczyła jogę. Potem piła szklanekę świeżego mleka, którą Sonia przynosiła jej poprzedniego wieczoru, i z powrotem kładła się do łóżka aż do siódmej. Później się myła, trochę medytowała i czytała. Bardzo dłużyły jej się popołudnia, ale nie narzekała. Wykorzystywała je na rozmyślania, autorefleksję i - co ciekawe - na wypoczynek. Najlepszą chwilę przeżyła, gdy odwiedziła ją wnuczka. Wszyscy w rodzinie mówili, że Priyanka jest podobna do babci. Miała jej charakter, była samowolna i zdecydowana. Indira ją uwielbiała. Rajiv i Sonia przeprowadzili bardzo długie rozmowy z więziennymi władzami, zanim te zgodziły się na odwiedziny dziewczynki. Było to radosne spotkanie w ponurych dekoracjach.

Zanim Sonia sobie poszła, Indira poprosiła ją o przysługę.

- Chciałabym, żebyś posłała w moim imieniu bukiet kwiatów Charanowi Singhowi, z życzeniami urodzinowymi.

- Charanowi Singhowi? - zapytała zdziwiona Sonia.

- Tak, właśnie jemu. Zrób to, proszę.

- Oczywiście - odpowiedziała zakłopotana.

Charan Singh był jednym z przywódców Partii Dżanata i ministrem spraw wewnętrznych odpowiedzialnym za pierwsze aresztowanie Indiry. Obecnie przeniesiono go do innego, mniej ważnego resortu. Indira wiedziała, co robi. Dotarły do niej wiadomości, że choć rządy Dżanaty miały trwać jeszcze

trzy lata, członkowie koalicji już walczyli ze sobą na śmierć i życie. Charan Singh miał żal do premiera Morarji Desaiatego, który nalegał, żeby pozbawić Indirę domu i ochrony - za zdjęcie go ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych. Indira myślała, że może stworzy wyłom między dwoma liderami, podsycając ich ambicje, aż w końcu rząd upadnie jak przejrzały owoc. Dlatego chciała jednemu z nich posłać bukiet kwiatów.

Gdy tylko Indira wyszła z więzienia, czekał na nią list od Charana Singha, który zapraszał ją do swojej rezydencji na urodziny wnuka. W spokojnym domowym otoczeniu doszło do makiawelicznych negocjacji, podczas których dwaj przeciwnicy polityczni nakreślili wspólną strategię obalenia rządu Morarji Desai. Indira zaoferowała wsparcie Kongresu przy obaleniu premiera w zamian za anulowanie nowego prawa o sądach specjalnych, na mocy którego ona i Sanjay mogli zostać osądzeni bez zwyczajowej ochrony prawnej. Po dymisji obecnego premiera obiecała poprzeć na to stanowisko Charana Singha, co pozwoliłoby mu spełnić ambicję życia. Sanjay wziął na siebie kontynuowanie delikatnych negocjacji, dbając o to, by ustalić najdrobniejsze szczegóły.

W rezultacie doszło do zerwania koalicji i upadku rządu Morarji Desai, jednak Charan Singh nie mógł bądź nie chciał anulować wspomnianego prawa, toteż Indira wycofała swoje poparcie i jego rząd przetrwał niecały miesiąc. Aby wyjść z impasu, prezydent rozwiązał parlament i zarządził nowe wybory w styczniu 1980 roku. Indira postępowała jak doświadczony polityk, bez emocji i skutecznie. Zamierzała wrócić w wielkim stylu, tak jak zapowiedziała to deputowanym w swoim przemówieniu.

Kilka miesięcy wcześniej myślała, że zostawi wszystko. Rozmawiała nawet z Sanjayem, czyby nie schronić się w małym miasteczku w Himalajach. Mędrzec i filozof

Krishnamurti, bliski przyjaciel Pupul, zalecał Indirze, by porzuciła politykę. Odpowiedziała mu, że nie wie, jak ma to zrobić w chwili, gdy postawiono jej dwadzieścia osiem zarzutów. Nie chciała skończyć jak Zulfikar Ali Bhutto, który został powieszony czwartego kwietnia 1979 roku na dziedzińcu więzienia centralnego w Rawalpindi. Pakistański dyktator, obawiając się politycznego odrodzenia Bhutta, tak manipulował wymiarem sprawiedliwości, że w końcu pozbył się rywala. W demokratycznych Indiach naciski tego rodzaju nie były tak proste. Ale niebezpieczeństwo czyhało.

- Mam dwie możliwości - powiedziała Indira Krishnamurtemu - albo będę walczyć, albo zarzną mnie jak świątecznego indyka (Ibidem, s. 376).

Teraz nie było już odwrotu. Władza znajdowała się w zasięgu ręki. I Indira, wierna samej sobie, zamierzała ją zdobyć. Uzbrojona w dwie walizki z pół tuzinem sari z surowej bawełny, jeden termos na ciepłą wodę i drugi do zimnego mleka, dwie poduszeczki, kilka toreb suchych owoców, skrzynkę jabłek i parasol od słońca, zapuściła się w zakamarki subkontynentu. Pokonała siedemdziesiąt tysięcy kilometrów, prowadziła średnio dwadzieścia mityngów dziennie i została wysłuchana przez sto milionów ludzi. Widział ją i słyszał co czwarty wyborca. Bardzo szybko zdała sobie sprawę, że drugi pobyt w więzieniu zyskał jej ogromną popularność. Męczennica i bohaterka. W porównaniu z nią kandydaci koalicji Dżanata wydawali się starymi dinozaurami. Rywalizowali nie tyle z niepozorną sześćdziesięciodwuletnią kobietą, ile z żywym mitem, legendą ubraną w sari i zakurzone sandały, która wzbudzała miłość narodu. Jej przesłanie było proste, dalekie od abstrakcji czy ideologii: „Głosujcie na rząd, który będzie działał dla was”. Sonia nie mogła sobie wtedy nawet wyobrazić, że po latach ona sama sięgnie po to hasło.

Jak za dawnych dobrych czasów Indira rozgromiła konkurencję przy urnach. Sonia się tego spodziewała, ponieważ towarzyszyła teściowej podczas niektórych jej objazdów i widziała, z jaką swobodą porusza się wśród obdartego wiejskiego tłumu: uprzejmie rozmawiała ze starcem, wymieniała uwagi z kaleką, uśmiechała się do kobiet, podarowała dziewczynce kwiat. Wspomnienie tej cudownej kampanii głęboko zapadło Soni w pamięć i po latach okazało się użyteczne.

Po ogłoszeniu oficjalnych wyników zaczęli do domu zjeżdżać przyjaciele, dziennikarze, członkowie partii, wielcy przemysłowcy, kupcy z dzielnicy i ludzie ze wszystkich warstw społecznych. Wszędzie stały kwiaty. Pupul z trudem przeciskała się między gośćmi. Kiedy obie kobiety się spotkały, Indira omal się nie rozplakała. „Była bardzo przejęta i trochę zmęczona - opowiadała przyjaciółka. - Choć zdawała sobie sprawę, że nabiera wiatru w żagle, wzruszenie spowodowane zwycięstwem ją wyczerpało”. Zabrało jej trochę czasu, nim zrozumiała, że znowu zostanie premierem i że za jednym zamachem rozwiążą się jej problemy. Ale zareagowała natychmiast.

- Jak się pani czuje jako nowy przywódca Indii? - zapytał Indirę jeden z europejskich korespondentów.

Zwróciła się w jego stronę z płomiennym spojrzeniem.

- Zawsze byłam liderem Indii - odpowiedziała zwięźle.

Inny dziennikarz, zdziwiony masową frekwencją biedaków, powiedział do Indiry, że w przeszłości musiała zrobić dla nich coś bardzo dobrego, skoro stawilo się ich aż tylu, na co ona odparła nieco enigmatycznie: „Nie, ci, którym pomogliśmy, są tam, gdzie nie można ich zobaczyć”.

Sanjay stał u jej boku, uśmiechnięty, owinięty szalem w kolorze łososiowym, jak młody Cezar. On również wygrał, w tym samym okręgu, w którym poniósł klęskę trzy lata

wcześniej. Obecnie jego władza zyskała legitymizację. Życie uśmiechnęło się do niego także z innego powodu. Przed kilkoma miesiącami, kiedy jego sytuacja była bardzo trudna, Maneka zaszła w ciążę. Zastanawiali się, jaki jest sens wydawać dziecko na świat pełen zagrożeń. Obecnie zasłona niepewności się rozwiła i przyszłość jawiła się w jasnych barwach. Maneka była bardzo podekscytowana, rozmawiała z dziennikarzami i przyjaciółmi, pokazując z dumą swój goły brzuch, widoczny między bluzeczką a połami sari. Rajiv, Sonia i dzieci krążyli po domu. Wydawali się znowu wielką szczęśliwą rodziną.

Ci, którzy padli ofiarą kampanii nacjonalizacji i zniesienia przywilejów, nie podzielali tej radości. Fotografie uśmiechniętej Indiry z Sanjayem, jakie pojawiły się w następnych dniach na okładkach głównych gazet, sprawiły, że niejednego przeszedł dreszcz. Matka i syn wracali do władzy. W swoich podupadłych pałacach spadkobiercy maharadzów przyjęli tę wiadomość z sarkazmem... Czyż mogłaby ich pozbawić teraz czegoś, czego już wcześniej im nie odebrała? Nienawiść, jaką wzbudzała Indira w wielu rodzinach dawnej arystokracji, była ogromna. Pewnego razu, podczas wizyty w Bhopalu, została zaproszona na herbatę do domu spadkobierców dawnych muzułmańskich książąt, którzy przez pokolenia rządili sułtanatem. Nigdy się nie dowiedziała, że kawałek czekoladowego ciasta, które zjadła z przyjemnością, został nasycony sekretnym prezentem, czyli plwociną pani domu, podejmującą ją z najwyższą rewerencją.

Czternastego stycznia 1980 roku Indira objęła oficjalnie funkcję premiera, składając przysięgę przed prezydentem, w otoczeniu rodziny, przyjaciół i partyjnych kolegów. Uroczystość odbyła się w dawnym pałacu wicekróla, w połyskującym Salonie Aśoki z malowidłami ściennymi przedstawiającymi mitologiczną historię odwiecznych Indii.

Przysięgała po raz czwarty w tych samych dekoracjach, których wspaniałość nasuwała skojarzenia z ogromną władzą, jaką ją obdarzano. Tym razem nie składała przysięgi na konstytucję jak poprzednio, ale na Boga. Zawsze była trochę przesądna, w przeciwieństwie do ojca, teraz jednak zaskoczyła wszystkich odwołaniem się do Wszechmogącego. Być może w głębi duszy uważała, że powrót do władzy bardziej zawdzięcza przeznaczeniu niż własnym zasługom i błędom przeciwników.

Może ciągle ataki wyryły bruzdę w jej pancerzu i potrzebowała pocieszenia. Zawsze odczuwała szacunek dla tego, co nadnaturalne. To dziedzictwo zawdzięczała matce, kobiecie głęboko religijnej. Stale słuchała astrologów. Datę przysięgi wybrał jej nauczyciel jogi, guru Dhirendra Brahmachari. Według niego dzień był sprzyjający, ponieważ przypadał na moment zimowego przesilenia w hinduskim kalendarzu. Od dwudziestu lat ten dziwny osobnik, który także nauczał astrologii, wskazywał jej dni pomyślne i niepomyślne dla pewnych działań. Ostatnio jego wpływ mocno osłabł. Indira patrzyła nań z nieufnością, ponieważ za sprawą komisji Shaha wydobyto na światło dzienne jego intrygi i zakwestionowano pochodzenie majątku. Jednak przed podjęciem decyzji nadal pytała go o dobre i złe dni. W swoim wieku i po tylu przeżyciach nie chciała podejmować ryzyka, wyzywając los.

Zaraz po objęciu władzy Indira poszła bezpośrednio z pałacu do dawnego biura w South Block. Nie mogła liczyć na większość ministrów z poprzedniego rządu i kolegów, ponieważ ją zdradzili. Nie chciała również otoczyć się postaciami, które ludzie kojarzyli ze stanem wyjątkowym. Musiała wybrać członków nowego gabinetu spośród deputowanych bez większego doświadczenia, a także z szeregów Youth Congress Sanjaya. Ku zaskoczeniu wielu

osób, a ułdze niektórych, nie dała żadnej teki synowi. Nie chciała go nadmiernie eksponować. Woląa mieć go u swego boku, kształtować, patrzeć, jak dojrzewa. W pełni ufała, że Sanjay jest zdolny do ożywienia partii i nadzorowania realizacji projektu rozwoju obszarów wiejskich. Ale nie chciała powtórzyć błędów z przeszłości.

W tym czasie Sonia ponownie zajęła się przeprowadzką. Zwycięstwo Indiry oznaczało, że rodzina wróci do domu przy Safdarjung Road 1. Pilnie potrzebowali odzyskać przestrzeń. Indira postanowiła wysłać dwunastu hinduskich kapłanów, by oczyścili dom, w którym rezydował Morarji Desai w czasach, gdy była prześladowana. Dowiedziała się, że jej rywal praktykował urynoterapię, dawny zwyczaj polegający na picciu co rano na czczo szklanki pierwszego dziennego moczu. Aby upewnić się, że w domu nie pozostała żadna szklanka poprzedniego lokatora, Sonia z teściową zebrały wszystkie, ułożyły w pudle i zwróciły administracji. Indira wysłała również ekipę murarzy, by zburzyli łazienkę w stylu indyjskim, którą kazał zbudować jej rywal, i zastąpili ją łazienką europejską, z toaletą i wanną. Kiedy się już wprowadzili, wydawało im się, jakby nigdy nie opuścili tego domu. „Atmosfera odnowionej elegancji panowała we wszystkich pokojach, które znowu były pełne służby, a także ogromnych wazonów z kwiatami opadającymi kaskadą” - napisała Pupul. Sonia ponownie objęła funkcję gospodyni w tym szczególnym domu, gdzie trzeba było organizować kolacje i przyjęcia dla goszczących w nim osobistości: Giscarda d'Estaing, Mobutu, Jasira Arafata, Andrieja Gromyki, Jimmy ego Cartera, etc. Wszyscy przybywali, aby zacieśnić więzy z jedną z najpotężniejszych kobiet świata.

Życie rodzinne znowu stało się przyjemne. Nowa sytuacja i więcej przestrzeni złagodziły atmosferę. Skończyły się walki i - co ważniejsze - „ciche dni”. Wszyscy czuwali nad Maneką,

która wkrótce miała rodzić. W tym czasie Sonia milcząco pogodziła się z bratową. Starła się zapomnieć o starych kłótniach, humorach i bolesnych komentarzach, a skoncentrować na powinnościach „starszej bahu - starszej synowej - czyli służyć Manece swoim doświadczeniem. Czuwała nad nią cały czas. Najważniejsza jest rodzina. Sonia zdecydowanie stała się już bardzo indyjska. Choć obie synowe były jak woda i ogień, osiągnęły coś w rodzaju rodzaju entente cordiale. Indira, która pękała z radości na myśl o nowym wnuku, już wybrała dla niego imię: Feroz, po mężu. Maneka nie była przekonana, wołała imię Varun. Sanjay rozwiązał sprawę. Mały miał się nazywać Feroz Varun.

Rajiv nie musiał już spędzać prawie całego wolnego czasu w departamencie podatków Ministerstwa Gospodarki. Znowu mógł poświęcić się rodzinie i swoim hobby, jak fotografii czy radioamatorstwu. Był dobrym ojcem. Nie zaniedbywał nigdy szkolnych uroczystości ani czytania dzieciom bajek, jeśli wrócił do domu, nim one poszły spać. Bawiła go fotografia, była relaksem po koncentracji, jakiej wymagały loty, często o niezwykłych porach. Rozwijał to zamiłowanie. Eksperymentował z filtrami i z nowym sprzętem, nie przepuścił żadnej wystawy i prenumerował specjalistyczne czasopisma. Zachęcał dzieci, starając się w nich rozbudzić to samo zainteresowanie. Wyrabiał ich wrażliwość wizualną, prosząc, by rozpoznawały w ogrodzie różne odcienie zieleni. Później doradzał synowi, by notował czas migawki i przesłone, z jakimi robił zdjęcia, ażeby potem je poprawiać i udoskonalać. Zawsze miał ze sobą aparat fotograficzny przy wszystkich ważnych okazjach: urodzinach, rocznicach i innych uroczystościach. A jeśli w domu pojawiał się fotograf, żeby sportretować matkę, brał swój aparat i uczestniczył w sesji. Cieszył się od zawsze szczególną przyjaźnią fotografów. Swojej matce podarował niewielki składany album, który

zabierała ze sobą we wszystkie podróże. „Rajiv, włóż mi najnowsze fotografie” - prosiła go co jakiś czas, kiedy znużyło ją patrzenie stale na te same zdjęcia. Indirę zachwycaly portrety wnucząt. Wybierała na wglądówkach te, które najbardziej jej się podobały, i prosiła Rajiva, żeby je powiększył i oprawił. Jej biuro było ich pełne.

Nocami Rajiv zamykał się w swoim warsztacie i kontaktował z radioamatorami całego świata. Kupił sobie nadajnik radiowy w zestawie do samodzielnego montażu i nic nie mogło go bardziej uszczęśliwić niż połączenie się z Pierem Luigim w Orbassano, przyjacielem Soni z dzieciństwa, podczas czystych nocy bez zakłóceń. Chroniony anonimowością, mógł rozmawiać z ludźmi ze wszystkich zakątków globu, był to szczególny sposób podróżowania, a jednocześnie forma relaksu i ucieczka od spraw bieżących.

Szesnastego lutego 1980 roku, miesiąc po objęciu władzy przez Indirę, miało nastąpić w Indiach niezwykle zjawisko, niewidziane od stulecia: całkowite zaćmienie Słońca. Rajiv zainstalował w ogrodzie teleskop. Pomagali mu bardzo podekscytowani sytuacją Rahul i Priyanka. Zaopatrzył rodzinę w czarne okulary, które zdobył od kolegi pilota. Sanjay zabawiał się, pilotując samolot sterowany radiem. Zamiłowanie do modeli samolotów naszło go wtedy, gdy rząd, nie podając żadnej przyczyny, odebrał mu licencję pilota. Teraz oczekiwał, że ją odzyska i wróci do latania, które stało się jego ulubionym zajęciem. Daleko za sobą pozostawił pasję do samochodów, złożoną do grobu wraz z fiaskiem Maruti. Pupul, zaproszona przez Indirę na oglądanie zaćmienia, piła herbatę na werandzie. Kiedy nadszedł oczekiwany moment, Indira pod wpływem ponurych przepowiedni astrologów, którzy w gazetach wieścili trzęsienia ziemi, powodzie i wszelkiego rodzaju klęski, odesłała Manekę do pokoju. Uważano, że zaćmienie stanowi bezpośrednie zagrożenie dla

nienarodzonego dziecka i żadna ciężarna kobieta nie powinna się wystawiać na jego zgubny wpływ. Nawet wobec wydarzeń niemających nic wspólnego z polityką Indira współbrzmiała ze swoim elektoratem. Większość ludzi zdecydowała się ukryć we własnych chatach. Hindusi nie wychodzą na ulice podczas zaćmień, postrzegają je jako niebezpieczne, ponieważ symbolicznie chowa się światło. Jedni pościli, inni składali dary lub odmawiali mantry, by odżegnać niebezpieczeństwo. Kiedy Księżyc zaczął nachodzić na Słońce, tajemnicze światło spowiło dom i ogród, a cienie zniknęły. Indira wstała i zamknęła się w swoim pokoju. Jej guru Brahmachari powiedział, że zaćmienie jest szczególnie niebezpieczne dla niej i dla Sanjaya, a ona wołała mu wierzyć. Rajiv, Sonia i dzieci, wszyscy w czarnych okularach, z zachwytem obserwowali przejście Księżyca przed tarczą słoneczną. Pupul poszła z Indirą do jej pokoju. „To nie była mocna Indira z dni poprzedzających stan wyjątkowy - wspominała. - Zdziwiło mnie, jak bardzo ulega wpływom rytuału i przesądom. Czego się bała? Jaki cień, jaka ciemność szła obok niej? (Ibidem, s. 403)\"

Następne miesiące wypełniła harmonia rodzinna. Byli szczęśliwi, że wreszcie mogą korzystać z normalnego życia. Przejawy opiekuńczości, jakich Maneka doznała ze strony teściowej, szwagierki i męża, który towarzyszył jej podczas wszystkich wizyt u lekarza, odkąd powiedziała, że fizyczne cierpienie ją przeraża, sprawiły, że czuła się w siódmym niebie. Tak jak jego brat Rajiv, Sanjay był obecny przy porodzie. Feroz Varun przyszedł na świat bez większych problemów trzynastego marca 1980 roku. Był jak wisienka na torcie rodzinnego szczęścia. Od tej chwili energiczna Maneka zaczęła korzystać ze swojej roli matki i żony, a Sonia uczyła ją opieki nad niemowlakiem. Indira była tak zadowolona, że

chciała, aby wnuczek sypiał w jej pokoju. Nie przeszkadzało jej, że sama nie zmruży wtedy oka.

Sanjay znowu zaczął korzystać z nieograniczonej władzy. Wtrącał się we wszystkie aspekty indyjskiego życia, od korytarzy powietrznych stolicy po zastoje w szpitalach, od planów rozwoju rolnictwa po ochronę zwierząt, ulubioną dziedzinę jego żony. Po New Delhi krążyła pogłoska, że za niespełna rok zostanie premierem, ale matka nie była skłonna powierzyć mu takiej funkcji. Kiedy członkowie zgromadzenia legislacyjnego Kongresu w Uttar Pradeś wybrali Sanjaya na swojego przywódcę, poprosili Indirę, żeby mianowała go szefem rządu tego największego stanu Indii. Maneka już widziała siebie korzystającą z przywilejów należnych temu stanowisku, w tym mieszkania w pałacu pełnym służby. Ale Indira stanowczo się sprzeciwiła. Wielbicielom syna powiedziała, że musi się on jeszcze wiele nauczyć, zanim będzie mógł objąć tak odpowiedzialną funkcję. Sanjay protestował i kłócił się z matką, ale ona była nieugięta. W końcu się uspokoił i nie nalegał więcej.

Mimo że nadal otaczał go dwór pochlebców, Sanjay nie był taki jak dawniej. Nawet przeciwnicy zaczęli dostrzegać w nim zalety, których kraj potrzebował w trudnych chwilach. Doceniali jego ogromną pracowitość i sprawdzoną zdolność do podejmowania ciężkich i niepopularnych decyzji. Stało się z nim to, co zdarzyło się z jego dziadkiem Nehru i z Indirą. Wszyscy w rodzinie potrzebowali sporo czasu, by dojrzeć, i osiągnęli to, stawiając czoła wielkim wyzwaniom. W wieku trzydziestu trzech lat Sanjay miał szansę stać się człowiekiem odpowiedzialnym, wolnym od gwałtownych i niestosownych zachowań z przeszłości. Indira była przekonana, że po dobrej szkole polityki jej syn z niedoświadczonego i impulsywnego młodzieńca przedzierzgnie się w energicznego polityka z wizją. Ma odpowiednie geny, by to osiągnąć - myślała. Wiele

osób w Indiach podzielało jej wiarę, choć zaledwie sześć miesięcy wcześniej byłoby to nie do pomyślenia. Albo w kraju zapanowała amnezja, albo dla milionów Hindusów nowicjusz z rodziny Gandhich nadal reprezentował jedyną możliwość wybawienia.

W ciągu tych miesięcy Rajiv, Sonia i dzieci marzyli o wakacjach. Zdecydowali się spędzić jakiś czas we Włoszech. Chcieli wyjechać w czerwcu, kiedy w New Delhi narasta upał. Planowali, że spotkają się z przyjacielem, indyjskim aktorem Kabirem Bedim, który znany był wówczas na całym świecie dzięki głównej roli w serialu Sandokan, a który obiecał odwiedzić ich w Orbassano. Tym razem zamierzali podróżować po północy Włoch. Planowali wynająć samochód i zwiedzić region Asiago, a także wieś Lusianę, gdzie urodziła się Sonia. Pragnęli pokazać dzieciom miejsca, w których dorastała, przedstawić im tamtejszych sąsiadów i krewnych, ukazać inne korzenie rodziny.

W dniu wyjazdu, nim się pożegnali, Maneka pokazała Soni torbę, w której trzymała coś, co kupiła z myślą, że zacznie z tego korzystać.

- Nie uwierzysz...

- A co to? - zapytała zaintrygowana Sonia.

Maneka wyjęła z torby książkę kucharską. Obie wybuchnęły śmiechem. Śmiały się razem po raz ostatni.

Gdyby nie ich nagłe zakończenie, byłyby to doskonałe wakacje: spokojne, wesołe i interesujące. Dzieci szlifowały włoski, Sonia zajęła się zakupami europejskich ubrań, a Rajiv - materiałów fotograficznych. W końcu nawet nie potrzebowali wynajmować samochodu - siostra Soni, Anushka, pożyczyła im kabriolet, którym rozkoszowały się dzieci. Przejechali nim północne Włochy w kierunku przeciwnym do tego, jakim zmierzał patriarcha Stefano, kiedy opuścił rodzinną Lusianę w poszukiwaniu lepszej przyszłości w przemysłowym okręgu Turynu. Trzydzieści pięć lat później jego córka i wnuki powrócili w góry Asiago jak zwykła włoska rodzina na wakacjach. Po drodze zatrzymali się nad przepięknym jeziorem Garda, otoczonym gajami oliwnymi, polami drzew cytrynowych i gęstymi lasami cyprysów, przejechali przez Weronę szerokimi ulicami z czerwonego marmuru, zachwycali się Wenecją i kąpali na plażach Adriatyku. Wspinali się po górach Asiago we wspaniałym wiosennym pejzażu. Białe polne kwiaty i żółte malwy rosły na poboczu drogi wijącej się serpentyną między brzoźowymi lasami. Pola, na których pasły się krowy, przybrały barwę intensywnej zieleni, a widoczne na horyzoncie Alpy przypominały im widok Himalajów. W Lusianie, z której wywodziła się rodzina, powietrze było krystalicznie czyste, smaczne niczym źródłana woda, a temperatura powietrza doskonała. Pomyśleć, że teraz w Delhi babcia, stryj i stryjenka, a przede wszystkim mały Feroz, muszą znosić czterdziestopięciostopniowy upał, czekając na nadejście monsunów! W samochodzie Priyanka i Rahul śmiali się, czytając szyldy sklepów: „Piekarnia Maino”, „Trattoria Maino”, „Cafe Maino”, „Stacja benzynowa braci Maino”... „Jakże wzbogaciła się rodzina od powojennych czasów!” - pomyślała Sonia.

Zostali przyjęci z ogromną serdecznością i zainteresowaniem: wszyscy chcieli poznać miejscowe cudowne dziecko, którego niezwykły los śledzili w prasie, i wszystkich zaskoczyło to samo - ogromna bezpośredniość. Sonia ubierała się gustownie, w dopasowane spodnie i bluzeczki bez rękawów - luksus, na który nie mogła sobie pozwolić w Indiach, gdzie kobieta mogła pokazać brzuch, ale nie ramiona. Zrobili sobie zdjęcia przed kamiennym domem rodzinnym, ostatnim stojącym przy rua Maino, który przez trzy dekady pozostawał niezamieszkały. Przyjmowano ich wspaniale, nie mieli nawet czasu, by przyjąć wszystkie zaproszenia i złożyć wszystkie wizyty.

Wrócili do Orbassano, gdzie oczekiwali ich z niecierpliwością Stefano i Paola. W ciągu ostatnich lat przeżyli trudne chwile, śledząc wiadomości z Indii, dlatego teraz czuli ucisk w sercu za każdym razem, gdy córka i wnuki wyjeżdżały choćby do Wenecji Euganejskiej lub po prostu aby spędzić popołudnie w Turynie. Do tego niepokoju dochodziła troska o młodszą córkę Nadię, która wyszła za mąż za hiszpańskiego dyplomatę, właśnie delegowanego do New Delhi. Z jednej strony rodzice byli zadowoleni, że siostry będą razem, z drugiej - martwili się, że będą tak daleko. Żartowali, mówiąc, że nie mogą uciec od karmy Indii. Starsza córka Anushka, która mieszkała piętro niżej w domu przy via Bellini, zamierzała otworzyć sklep z indyjskim rzemiosłem w centrum handlowym w pobliżu Orbassano. Swojej pierwszej córce dała na imię Aruna.

Rahul i Priyanka także cieszyli się z powrotu do domu dziadków, przede wszystkim dlatego, że razem z dziećmi Anushki spędzali wspaniałe chwile w dużym rodzinnym domu, bawiąc się w ogrodzie lub na ulicy. Grali w to samo co Sonia w dzieciństwie, rysowali kredą na asfalcie dni tygodnia i spędzali długie godziny, skacząc z jednej kratki na drugą.

Stefano czuł się niezwykle szczęśliwy z powodu tych rodzinnych spotkań. Czy nie zbudował domu po to, by mieć wszystkie swoje córki i ich rodziny pod jednym dachem? One żartowały, że skoro tak lubi rodzinę, w następnym życiu powinien być Hindusem... Znajome Soni dziwiły się, że ich dawna przyjaciółka nadal zachowuje się skromnie i ubiera z taką prostotą, nosi dyskretną biżuterię. „Za «Kopciuszka z Orbassano» - powiedziała jedna z sąsiadek, powstrzymując śmiech - i za to, że małżeństwo nie uderzyło jej do głowy". Tak nazywała ją miejscowa prasa od czasów zamążpójścia: „Kopciuszek z Orbassano", co wywoływało w Soni pewne zawstydzenie: „Drobna przesada" - mówiła. Dla Rajiva wakacje we Włoszech również były najlepszym wytchnieniem, jakie mógł sobie wymarzyć. Uciec z New Delhi to był luksus. Wskoczyć na pomarańczową vespę Piera Luigiego, pojechać do sklepu elektronicznego Allegro przy corso Re Umberto po niedostępne w Indiach części do krótkofalówki i nie zostać rozpoznanym to była taka sama przyjemność, jak zwiedzić z rodziną bajeczne Muzeum Egipskie - gdzie Sonia jako nastolatka zostawała z przyjaciółmi, chroniąc się przed zimnem - i nie być natychmiast otoczonym chmarą ludzi pokazujących go palcami albo proszących o autograf. Rozkosz trwała krótko. W końcu czerwca wizyta „Sandokana" w Orbassano wywołała prawdziwe poruszenie. Od razu dzieci i młodzież z wioski przyszły na via Bellini, by zobaczyć z bliska zrodzonego w wyobraźni Emilia Salgariego księcia Borneo, który poprzysiągł zemstę na Brytyjczykach. Powstało takie zamieszanie, że Sonia zaproponowała, aby wyszli z domu. Popołudnie spędzili w pizzerii w pobliskiej miejscowości Avigliana, roześmiani i radośni.

I nagle dwudziestego trzeciego czerwca o świcie zadzwonił telefon. Sonia poczuła ucisk w żołądku. Nie była to

zwykła pora, od razu pomyślała, że to telefon z Indii. Weszła matka i cichym głosem, żeby nie zbudzić reszty rodziny, powiedziała: „Jest rozmowa... z New Delhi”. Sonia wstała, zawiązała szlafrok i poszła odebrać w salonie. Mimo zakłóceń rozpoznała zdenerwowany głos jednego z sekretarzy teściowej. Teraz była już pewna, że usłyszy bardzo złe wieści. „Proszę pani... Sanjay miał wypadek... Nie żyje”. Poczowała pustkę w głowie, nie słuchała dalszych wyjaśnień sekretarza. Oszołomiona odłożyła słuchawkę i wróciła do pokoju, Rajiv właśnie się przeciągał. Odczekała, jakby chciała mu podarować jeszcze kilka sekund szczęścia, którego, gdy się obudzi, już nie odzyska. W głębi duszy była pewna, że ta katastrofa wpłynie głęboko na jej życie i życie rodziny.

Kilka godzin później lecieli już do Rzymu, aby zdążyć na samolot Indian Airlines z Londynu do New Delhi. Podróżowali pierwszą klasą, razem z przyjaciółmi i znajomymi, a także z matką i siostrą Maneki, które przerwały wakacje w brytyjskiej stolicy. W samolocie znajdowali się również były minister, przemysłowiec i przedsiębiorca - starzy przyjaciele rodziny, bardzo poruszeni sytuacją. Wszyscy zebrali informacje na temat wypadku i podczas długiego lotu starali się zrekonstruować przebieg wydarzenia. Sanjay roztrzaskał się, siedząc za sterami swojej ostatniej zabaweczki, pittura S-2A, który kupił dzięki pośrednictwu skorumpowanego guru Brahmachariego. O siódmej rano stawił się w aeroklubie w New Delhi i zaproponował koledze pilotowi, aby wykonali kilka ćwiczeń z akrobacji. Przyjaciel nie chciał lecieć z Sanjayem, wiedział bowiem, że brakowało mu doświadczenia, ale w końcu uległ pod wpływem nalegań. Robili pętle i lecieli lotem nurkowym nad New Delhi przez dwanaście minut, potem przelecieli nad Safdarjung Road 1, gdzie zaledwie godzinę wcześniej Sanjay rozmawiał z matką.

- Proszę cię, uważaj - prosiła Indira. - Mówiono mi, że jesteś bardzo nierozważny.

- Nie przejmuj się - odpowiedział.

Według relacji świadka awionetka wznosiła się jak strzała, a następnie rozpoczęła lot nurkowy, jakby chciała złapać inercję, by wykonać looping, ale już nie zdołała się poderwać. Rozbiła się w dzielnicy dyplomatycznej na otwartej przestrzeni, w odległości niecałego kilometra od Willingdon Crescent 12.

Miesiąc wcześniej dyrektor generalny lotnictwa cywilnego powiadomił przełożonych, że Sanjay stale narusza zasady bezpieczeństwa, narażając w ten sposób życie swoje i innych.

- Dyrektor poprosił ministra lotnictwa, żeby porozmawiał o tym z Indirą, ale ten z jakiegoś powodu tego nie uczynił.

- Jeśli nikt nic nie zrobił, to dlatego, że obawiano się sprzeciwić Sanjayowi, tak przypuszczam... - powiedział Rajiv.

Później dowiedzieli się dokładnie, jak potoczyły się wypadki. Raport dyrektora lotnictwa cywilnego wpadł w ręce Sanjaya, a ten zareagował po swojemu - zmusił urzędnika, żeby dobrowolnie przeszedł w stan spoczynku. Zastąpił go swoim współpracownikiem, człowiekiem łagodnym, który już nie czynił trudności. Sanjay zginął przez własną nierozwagę i arogancję; jego żądza władzy była tak wielka, że nie akceptował żadnych ograniczeń.

Noc zapadła szybko podczas lotu z powodu prędkości samolotu i rotacji Ziemi. Powinni być już nad Syrią, a może Turcją. U dołu mieniły się turkusowe jeziora i błyskały światelka miast, które obejmowała noc. Nikt nie oglądał filmu. Przyjaciele i krewni nie chcieli nawet spróbować kanapek. Amteśwar, matka Maneki, była wyraźnie poruszona. „Wdowa w wieku dwudziestu trzech lat... i to z trzymiesięcznym dzieckiem” - powtarzała. W niecałe trzy lata straciła męża i

zięcia. Była na szczycie, potem skazano ją na ostracyzm, niedawno znowu wróciła na szczyt... a co będzie teraz?

- Musisz zrobić, co tylko można, by utrzymać obie rodziny w jedności - doradzali matce Maneki trzej przyjaciele.
- Teraz, kiedy nie ma Sanjaya, musicie zgromadzić się wokół Rajiva.

Soni, kiedy to usłyszała, włosy stanęły dęba. Omal nie krzyknęła głośno: „Nie!”, ale się pohamowała. Już wiedziała, że będą starali się przekonać Rajiva, aby zajął opustoszałe miejsce po bracie. Jasno zdawała sobie sprawę, że to będzie oznaczało koniec ich szczęścia. Była gotowa walczyć zębami i pazurami, żeby do tego nie dopuścić.

Samolot wylądował w Delhi o drugiej nad ranem. Przywitała ich fala gorąca. W domu przy Safdarjung Road zorganizowano prowizoryczną kaplicę pogrzebową, gdzie przez cały dzień przed ciałem Sanjaya w ciszy i porządku przechodzili ludzie: ministrowie, przyjaciele i zwykli Hindusi. Indira była okropnie zdenerwowana, chodziła z pokoju do pokoju przez całą noc, podświadomie obawiała się kolejnego nieszczęścia.

Mimo że Rajiv, Sonia i dzieci zostali poinformowani wcześniej o tym, co zastań, przeżyli szok. Kiedy znaleźli się w domu i zobaczyli trumnę z ciałem Sanjaya ustawioną w salonie, pośród ścian, gdzie jak się wydawało, jeszcze pobrzmiwa echo jego szczerego, nerwowego śmiechu, Rajiv i Sonia się załamali. Indira na widok rozpaczliwie płaczącego Rajiva również wybuchnęła płaczem. Gdy już odzyskali spokój, Sonia popatrzyła na teściową: miała zaczerwienione i spuchnięte oczy zasłonięte okularami przeciwsłonecznymi, twarz popielatą, szła nieco przygarbiona, jakby wyprostowanie się wymagało wysiłku. „Dokąd pójdę, córko, po tym, co się stało?” - spytała ją załamany głosem. Powiedziała to, przyciskając ręce do brzucha w geście

biednych wieśniaczek oplakujących swoich zmarłych. Znowu się objęły i przez długi czas trwały w milczeniu. Niecałe dziesięć dni wcześniej Indira mianowała Sanjaya sekretarzem generalnym partii i przydzieliła mu pierwszy oficjalny gabinet. Teraz nagle pozostało jedynie bezwładne ciało: została bez syna, bez towarzysza, bez doradcy i bez następcy. Potem Sonia zobaczyła Manekę, której ruchy wydawały się nieskoordynowane. Spędziła cały dzień, płacząc i powtarzając: „Sanjay, nie, proszę... Ktokolwiek, byle nie Sanjay...” Rajiv objął ją i powiedział kilka ciepłych słów. Dzieci, zmęczone i poruszone, zachowały spokój. Daleki płacz ich małego kuzyna Feroza Varuna przerwał ciszę.

Sonia natychmiast zajęła się bliskimi przyjaciółmi i krewnymi, którzy czuwali przy zwłokach. Pomogła rozłożyć na podłodze poduszczyki, aby mogli wypocząć. Upewniła się, czy mają herbatę, grzanki i słodczyce.

Po serdecznym powitaniu Indira opowiedziała im o szczegółach rytuału pogrzebowego, który zaplanowała na następny dzień.

- Kremacji dokonamy w Śantiwanie, obok mauzoleum dziadka.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł, mamó - odezwał się Rajiv. - Czy nie byłoby rozsądniej urządzić pogrzeb prywatny, bardziej kameralny?

- Być może, ale szejk Abdullah, szef rządu Kaszmiru, i wszyscy szefowie rządów stanowych prosili mnie o uroczysty pogrzeb.

- Sanjay nie pełnił żadnej oficjalnej funkcji w rządzie. Możesz mieć problemy, organizując pogrzeb państwowy. Wyobrażasz sobie protesty?

- Wiem. Ale jest również prawdą, że Sanjay miał wielu zwolenników, i nie chcę ich rozczarować. To tak, jakbym zawiodła jego samego.

Rajiv przestał nalegać.

Kremacji dokonano następnego dnia na brzegu rzeki Jamuna. Obrzęd odbył się zbyt blisko miejsca, gdzie został spalony Nehru, ojciec i syn narodu. Niezależnie od tego, jak bardzo Indira nie chciała tego dostrzec, Sanjay nie zasługiwał na równorzędne honory. Wielu widziało w tym geście kolejny przejaw nadużycia władzy. Znowu nie posłuchała rady Rajiva, żeby ustawić stos pogrzebowy gdzie indziej, nie w tym świętym miejscu, celu pielgrzymek milionów hindusów. Uległa jednak namowom towarzyszy Sanjaya. Nie miała sił z nimi walczyć i z całą pewnością pragnęła oddać nawet nadmierny hołd swojemu synowi, żeby w ten sposób choć trochę zrekompensować sobie jego stratę.

Obolała Indira, w ogromnych przeciwsłonecznych okularach zasłaniających oczy, siedziała w pierwszym rzędzie obok Maneki, naprzeciwko stosu pogrzebowego. Sonia, ubrana w nieskazitelnie białe sari, szlochła, wspominając czas zaraz po swoim ślubie, kiedy ona, szwagier i Rajiv stanowili nierozłączne trio. Z tyłu aż po linię horyzontu stali ludzie. Na Rajiva spadł obowiązek spełnienia rytuału. Włożył pochodnię do ognia i kilka razy, w rytm mantr zaintonowanych przez hinduskich kapłanów, okrążył stos brata. Rahul patrzył nań z lękiem. Na niego jako pierworodnego miał spaść obowiązek dopełnienia rytuału kremacji, kiedy, zgodnie z prawami życia, jedno z jego rodziców odejdzie z tego świata. Tak powiedział mu ojciec. Do tego dnia chłopiec nigdy nie pomyślał, że może się to zdarzyć.

Po południu Rajiv zabrał miedzianą urnę z prochami, by pochować ją pod drzewem w ogrodzie przy Akbar Road. Na widok urny Indira wybuchnęła płaczem. Po raz pierwszy płakała w rozpacz, bez zahamowania, publicznie. Rajiv objął ją i podtrzymał, ponieważ zaczęła się osuwać. Jej ból był

bezgraniczny. Sonia dowiedziała się, że w dniu tragedii, kiedy Indira opuściła szpital, w którym lekarze zaszywali zwłoki Sanjaya, pojechała na miejsce wypadku. Powracała tam dwukrotnie. Złośliwi mówili, że poszła szukać zegarka i kółka z kluczami Sanjaya. Jeden z tych kluczy miał pasować do sejfu wypełnionego wszystkim, co niewątpliwie ukradł jej cudowny syn. A na kopercie zegarka miał być wyryty numer tajnego konta w Szwajcarii. Czyste łągarstwa. Indiry nie interesowały przedmioty osobiste, które zostały już zebrane przez policję. W głębi duszy szukała swojego syna, podświadomie starała się go odzyskać. Przeszukując wzrokiem zwęglone żelastwo, zdała sobie sprawę z ogromu straty (Frank Katherine, Indira: the Life of Indira Nehru Gandhi, HarperCollins, London 2002, s. 446). Wszystkie jej marzenia i wielkie plany na przyszłość rozsypały się w proch we wraku awionetki.

W ogrodzie, w cieniu drzewa, Indira zdołała się pozbierać i zaskakująco szybko opanować płacz. Przeszli do salonu, który pachniał i wydawał się oczyszczony. Miejsce, w którym wcześniej leżało ciało, teraz pokrywały kwiaty jaśminu. Siedli ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, w ciszy słuchając śpiewu kapłanów, recytujących wersety Ramajany, wielkiej indyjskiej epepei.

W następnych dniach sympatycy Sanjaya wzniesli upamiętniające go posągi, nadali jego imię placom, ulicom, całym dzielnicom, szkołom, szpitalom, a nawet elektrowniom wodnym. Cały kraj żył w uniesieniu pośmiertnego kultu cudownego syna, którego najwięksi pochlebcy porównywali do Jezusa Chrystusa, Einsteina i Karola Marksa. Kult ten ze strony sojuszników i politycznych przyjaciół Sanjaya był raczej rozpaczliwą próbą zachowania swoich przywilejów i pozostania w kręgu władzy, w pobliżu Indiry, niż prawdziwą demonstracją narodowego bólu. Wiele osób, wśród nich ofiary

polityki kontroli urodzin, przyjęło wiadomość o śmierci Sanjaya z prawdziwą ulgą. Według nich było to wydarzenie opatrnościowe, które zaoszczędziło krajowi okrutnego losu, w razie gdyby został on premierem, co zdaniem wszystkich nastąpiłoby prędzej czy później.

Dla Indiry jedynym pozytywnym aspektem tragedii było odnowienie starych znajomości i pogodzenie z członkami rodziny i przyjaciółmi, którzy odwrócili się od niej podczas Emergency. Najbardziej ucieszył ją list serdecznej przyjaciółki Dorothy Norman: „Tak dawno nie korespondowałyśmy ze sobą, że nie bardzo wiem, do kogo piszę, jednak piszę do osoby, którą niegdyś znałam. Jak bym chciała, żebyśmy mogły porozmawiać, choć cisza zapewne powiedziałyby więcej niż jakiegokolwiek słowa. Wysyłam ten list, żeby przerzucić kładkę. Na tym czasie tak trudnym świecie przyjaźnie są najważniejsze”. Indira odpisała, że bardzo poruszył ją list i że ma tak wiele rzeczy do opowiedzenia, iż nie wie, od czego zacząć: „Przeszłość należy do przeszłości i tam ją pozostawmy. Jednak muszę Ci wyjaśnić pewne sprawy. Kłamstwa i ciągła kampania oszczerstw powinny znaleźć odpór...” (Gandhi Indira, *Letters to an American Friend*, HBJ, New York 1985) Indira nigdy nie przyznała się do złych poczynań czy błędów Sanjaya.

W domu pozostała Maneka z małym Ferozem Varunem, który od śmierci Sanjaya spał w pokoju Indiry z resztą wnuków. Babcia spędzała długie chwile, obserwując maleństwo, jakby w każdym jego geście rozpoznawała syna. Pozostali również Rajiv i Sonia, których miłość przetrwała fizyczne rozdzielenie, odmiennosc kultur, sprzeciw rodzin, stres czasów Emergency i stałą ingerencję polityki w ich życie. Mieli dwoje inteligentnych, ładnych i dobrych dzieci. Do czasu wypadku stryja Sanjaya ich najcięższymi przeżyciami było osadzenie babci w więzieniu i utrata psa.

„Zachowajcie wspomnienia, jak się z nim bawiliście, jak bardzo się cieszył i jak my się cieszyliśmy, kiedy wyprowadzaliśmy go na spacer... - napisał do nich Rajiv w liście pełnym ojcowskiej czułości, który zakończył radą: - Musicie nauczyć się żyć ze świadomością, że w pewnej chwili wszyscy musimy umrzeć”.

Doskonałe rodzinne życie, którym cieszyli się do tej pory, wydawało się zbyt dobre i piękne, aby mogło trwać.

Akt III

Samotność i władza

Za każdym razem, gdy stawiasz krok, naruszasz porządek rzeczy. Idąc, wprawiasz w drżenie powietrze, wznosisz pył, ścierasz ziemię. Potrącasz rzeczy. Kiedy całe społeczeństwo podąża naprzód, poruszenie jest znacznie większe, a każda rzecz, której ład burzysz, każda akcja, którą pragniesz zatrzymać, wszystko zamienia się w przeszkodę.

Mahatma Gandhi

Przed dwudziestu laty, po śmierci męża, Indira sięgnęła dna rozpacz i wiele czasu zabrało jej wydobyć się na powierzchnię. Gdy umarł ojciec, przeżyła kolejny głęboki kryzys, który trwał długie miesiące. Jednak teraz w niecałe siedemdziesiąt dwie godziny po śmierci syna była z powrotem w swoim biurze. „Ludzie przychodzą i odchodzą, naród żyje dalej” - oświadczyła prasie, sytuując tragedię rodzinną w kontekście narodowym, jakby w ten sposób można było wyjść poza nieszczęście. Przekonała samą siebie, że nie wolno zaniedbywać herkulesowego zadania rządu Indiami. Jej postawa i opanowanie były jednak pozorne. W duszy Indiry jątrzyły się niezabliźnione rany. Sonia słyszała, jak wstaje nocami i na wpół śpiąca szuka Sanjaya, rozbudzona płacze, powtarzając imię syna. Twarz jej się postarzała, spojrzenie nabrało twardości, zaczęła lekko powłóczyć nogami. Przestała przywiązywać wagę do wykwintnego stroju. Nie prosiła już Soni o poradę w sprawie fryzury czy dodatków do sari. Chodziła z niestarannie zaczesanymi do tyłu włosami i wydawało się, że nie dba o wygląd.

Jej ogromny smutek potęgowało zmartwienie z powodu Maneki, która spędzała całe dni, nic nie robiąc.

- Obawiam się, że ambicje matki popchną ją do tego, że będzie chciała zająć miejsce Sanjaya - zwierzyła się Indira przyjaciółce Pupul.

Maneka była smutna, a oprócz tego źle się czuła w domu teściowej. Znalazła się w delikatnej sytuacji. Pozbawiona ochrony męża, przestała być zupełnie bezkarna. Nie mogła już wykorzystywać Sanjaya jako tarczy do obrony przed teściową czy szwagrem, którzy nadał ją onieśmielali. Pozostała jej jedyna broń - dziecko. Na dodatek Indira była tak załamana, że nie starczało jej energii na pocieszanie rodziny. W innych okolicznościach dokładałaby starań, aby pomóc synowej, ale

teraz własny ból całkowicie ją pochłoniął. Mimo to, widząc Manekę samotną i zagubioną, w przypiływie współczucia zaproponowała jej pomoc. Obawiała się także, że znudzona i wyizolowana Maneka w końcu opuści jej dom, zabierając ze sobą synka. Myśl o utracie wnuka budziła w Indirze przerażenie.

- Może chcesz pracować jako moja sekretarka? Mogłabyś ze mną podróżować. Sądzę, że to by cię rozerwało...

Początkowo wydawało się, że propozycja satysfakcjonuje Manekę. Potem, być może pod wpływem matki albo wskutek własnej niedojrzałości czy humorów, dziewczyna doszła do wniosku, że jest to manewr mający pozbawić ją naturalnego prawa do objęcia schedy po mężu. Życie z Sanjayem stworzyło jej złudzenie władzy, a oferta teściowej, po przemyśleniu, wydała się wręcz obraźliwa. Nawet na nią nie odpowiedziała. „Patrzcie ją!... Co ona sobie wyobraża?” - powiedziała, mając na myśli Indirę, w rozmowie z jednym z najbliższych przyjaciół męża (Cyt. w: Chatterjee Rupa, *The Sonia Mystique*, Virgo Publications, New Delhi 2000, s. 56).

Soni również nie podobała się ta propozycja. Chociaż wybaczyła Manece pogardliwe traktowanie, z niechęcią myślała o tym, żeby to ona kontrolowała agendę Indiry. Uważała, że brak doświadczenia i arogancja bratowej mogą przysporzyć problemów i zagrozić delikatnej równowadze rodziny. Można było od biedy zaakceptować, że Maneka nie pomaga w domu, ale gdyby w cieniu Indiry zaczęła budować układy mające przynieść korzyść jej własnej rodzinie, czego Sonia się obawiała, stworzyłaby rzeczywiste zagrożenie, któremu należało zapobiec za wszelką cenę. Powiedziała o tym Rajivowi.

- Porozmawiam z matką - obiecał.

- Lepiej zostaw jej list - poradziła.

Po przeczytaniu listu Indira zdała sobie sprawę, że Sonia ma rację. Maneka jako sekretarka, przebywając tak blisko, mogłaby spowodować więcej problemów niż realnie pomóc. Indira obawiała się, że impulsywność synowej czyni ją jeszcze bardziej nieprzewidywalną. Nie ufała również rodzinie Anand i jej skłonnościom do intryg. Była za to, mimo spowijającego ją bólu, głęboko przekonana, że potrzebuje Rajiva i Soni. W końcu Rajiv był krwią z jej krwi, a Sonię kochała jak córkę. Dlatego więcej nie nalegała i propozycja popadła w zapomnienie.

Młoda wdowa spróbowała znaleźć sobie zajęcie, a zarazem nadać sens swojemu życiu: skupiła się na opracowywaniu albumu fotograficznego o zmarłym mężu i jego działalności politycznej. Zapytała teściową, czy zechce napisać wstęp. Indira wyraziła zgodę.

Wówczas jednak wydarzył się nieszczęśliwy incydent, który pociągnął za sobą długotrwałe i niepożądane reperkusje. W wydawanym przez Manekę i jej matkę czasopiśmie „Surya” pisarz Kushwant Singh opublikował na swojej kolumnie tekst zawierający sugestię, że scheda po Sanjayu w naturalny sposób powinna przypaść w udziale jego młodej żonie, „która go wspierała i podzielała jego wizję Indii, ponieważ Rajiv nigdy nie okazywał żadnego zainteresowania polityką, a jego żona jej po prostu nie znosi”. Pomysł nie był pozbawiony podstaw. Artykuł kończył się zdaniem, które bardziej niż wszystkie inne wzbudziło paranoiczne podejrzenia Indiry: „Maneka jest jak jej zmarły mąż, odważna i zdecydowana, jest reinkarnacją Durgi jadącej na tygrysie”. Obraz Durgi, który powszechnie wiązano z Indirą i który ucieleśniał należącą do niej symbolikę, głęboko ją zaniepokoił. Jak mogą żyć dwie Durgi pod jednym dachem? Pomyślała, że Maneka uzgodniła z autorem treść artykułu i że knuje za jej plecami, aby z nią rywalizować i ukraść jej spadek

po Sanjaju. Zaczęła postrzegać synową jak wroga we własnym domu.

Nieuchronnie, ku utraceniu Soni, wszystkie spojrzenia kierowały się w stronę naturalnego dziedzica, Rajiwa. Indira miała wątpliwości: „Nikt nie może zająć miejsca Sanjaya - zwierzyła się Pupul. - To był mój syn, ale pomagał mi również jak starszy brat” (Jayakar Pupul, Indira Gandhi: a Biography, s. 417). Rajiv jej zdaniem był zbyt łagodny i wrażliwy jak na świat polityki. Poza tym miał żonę cudzoziemkę, co w kategoriach polityki narodowej postrzegano jako przeszkodę nie do pokonania. Gdyby zrezygnował z pracy w Indian Airlines, z czego by żyli? Sanjay miał skromne potrzeby, za to Rajiv i Sonia lubili wygodne życie na sposób europejski, bez szaleństw, ale w komforcie.

W tej zranionej rodzinie na szczytach władzy nie decydowały jednak pojedyncze osoby, nawet najpotężniejsze. Równie ważna jak wola Indiry była opinia jej akolitów, przyjaciół, krewnych, partyjnych kolegów, doradców, pochlebców, guru i całego kraju. Po odśpiewaniu marsza żałobnego ku pamięci Sanjaya ten sam chór głosów zaczął monotonnie nucić znaną melodię, tę samą, którą Indira słyszała, gdy po raz pierwszy wzywano ją, by została przewodniczącą partii lub objęła jakąś tekę w pierwszym rządzie po śmierci ojca. Ten sam chór, który w swoim czasie mówił: „Jesteś córką Nehru, wartą zbyt wiele, by mogło cię zabraknąć w rządzie”, domagał się teraz jej następcy, jakby zamiast demokracji chodziło o cesarski dwór. Chór tak stary jak same Indie, których mitologia opowiada nieprzerwaną sagę dziedzicznych monarchów. Było to wezwanie płynące z najgłębszych głębin tego kraju, tak skłonnego do mieszania władzy doczesnej z boską. Chór jak z tragedii antycznej, który żądał przebłagalnej ofiary. Należało odpowiedzieć na tę nagłą wolę narodu, upominającego się o stabilność,

ciągłość, a nawet wieczność. Wieczność zaś gwarantowała tylko dynastia.

Rajiv zachowywał jak największy dystans. Jego związek z matką nie przypominał jej relacji z Sanjayem. Była to bardzo głęboka miłość, ale niemal brytyjska w formie, pozbawiona bliskości. On nie zaproponował jej spontanicznie pomocy, a ona nigdy o nią nie prosiła, przynajmniej wprost. Indira coraz mocniej odczuwała ogrom pustki, jaką pozostawił Sanjay, oraz silną potrzebę wsparcia i fizycznej bliskości.

Pewnego dnia zwierzyła się Pupul: „Rajivowi brak dynamiki i zaangażowania Sanjaya, ale mógłby mi służyć wielką pomocą...” „Mógłby mi służyć wielką pomocą” - te słowa wystarczyły, by uruchomić koło napędowe, zapowiedziane wcześniej przez chór głosów.

Przyjaciele rodziny zaczęli rozmawiać z nim i z Sonią o samotności Indiry, o jej pragnieniu oparcia się na kims, komu mogłaby ślepo zaufać, na kogo mogłaby liczyć, kto byłby otwarty na świat... A tym kims mógł być tylko jej syn.

Sonia buntowała się przeciw takim pomysłom.

- Wiemy, czym jest polityka, blichtr wyższych sfer i pochlebstwa - mówiła poruszona. - Oglądaliśmy z bliska dwulicowych polityków, z ich wiecznymi gierkami, manipulacjami, zdradami, znamy zmienność mediów i ludzi.... Widzieliśmy, co władza uczyniła z Sanjaya i Maneki. Wiemy doskonale, jakie będzie życie Rajiva, jeśli zaangażuje się w politykę.

Mąż milczał. Całkowicie zgadzał się z argumentami Soni. Nie mógł jednak przestać myśleć o matce, samej, załamanej, dźwigającej ciężar takiego kraju jak Indie na własnych plecach.

Po artykule opublikowanym w czasopiśmie Maneki jej relacje z Indirą nie mogły się poprawić. Młoda kobieta stała się nerwowa, odczuwała wrogość teściowej i to, że jej

obecność nie jest już pożądana. Wcześniej wiodła życie mężatki w atmosferze politycznej gorączki. Nie chciała teraz zatopić się w anonimowości, a zdawała sobie sprawę - choć nie potrafiła tego zwerbalizować - że musiałyby spełnić ten warunek, aby dalej mieszkać z Indirą pod jednym dachem. Taka była cena spokoju. Ale Maneka nie była Sonią, nie znosiła roli typowej pani domu, nie zamierzała spędzać całego dnia wśród czterech ścian, wydawać polecenia służbie ani otrzymywać ich od teściowej. Dzięki pomocy, jaką na ogół dysponowały wpływowe rodziny w Indiach, opieka nad dzieckiem nie zabierała jej zbyt wiele czasu. Przez wszystkie te lata Maneka obserwowała, jak funkcjonowali mąż i teściowa, z jak wielkim wyprzedzeniem planowali każdy manewr, i ona również zaczęła planować swoją przyszłość, popychana przez własny chór głosów, rodzinę i dawnych przyjaciół Sanjaya: „Dlaczego nie miałabyś zostać spadkobierczynią męża? Czy nie oddałaś mu najlepszych lat życia? Czy nie uczestniczyłaś we wszystkim, co robił? Czy cię nie kochał? Wiesz więcej o polityce niż jego brat...” Chcieli, by zaczęła działać, nim Rajiv zostanie do tego zmuszony. I chór głosów dokonał wyłomu w nieukształtowanej do końca duszy młodej kobiety.

Książka o Sanjaju stała się punktem zapalnym w relacjach Indiry z Maneką, która prawie nie miała odwagi odzywać się do teściowej. Widziała, jak jest zdystansowana i zimna, i bała się jej bardziej niż kiedykolwiek. Kiedy musiała się do niej o coś zwrócić, nie potrafiła wykrztusić słowa, jak wtedy, gdy po raz pierwszy pojawiła się w jej domu. Indira obdarzała synową uwagą tylko wtedy, gdy ta mówiła o dziecku. Reszta zupełnie jej nie obchodziła.

Wreszcie pewnego dnia Maneka odważyła się powiedzieć teściowej o swoim pomysle.

- Ponieważ widzę, jaka jesteś zajęta, pomyślałam, że zaoszczędzę ci pracy i poproszę dziennikarza Kushwanta Singha, by przeprowadził z tobą wywiad i na jego podstawie napisał wstęp do albumu.

Indira patrzyła na nią długą chwilę. Jej milczenie nie zapowiadało niczego dobrego.

- Nie ma mowy - powiedziała w końcu. - Powinnaś była to załatwić zaraz po śmierci Sanjaya. Wówczas miałam czas, żeby coś napisać. Ale mnie się nie radziłaś. Teraz niczego nie napiszę, a ten człowiek nie przeprowadzi ze mną wywiadu.

Była to szczególna zemsta za artykuł, który tak ją zirytował, a także próba ustawienia synowej na właściwym miejscu. Zaczynała się wojna.

Maneka wyszła rozbita po rozmowie z teściową „Jeśli nie napisze mi wstępu, nigdy się do niej nie odezwę” - powtarzała tę groźbę każdemu, kto chciał jej słuchać. Potem w samotności swojego pokoju zaczęła płakać. Makieta książki z fotografiami, które wybrała z taką uwagą i miłością, leżała na łóżku.

Dlaczego nie chce teraz pomóc? Czyż nie chodzi o jej syna? - zastanawiała się Maneka pośród łez.

Kiedy się uspokoiła, spróbowała po raz ostatni przełamać lody. Przyniosła makietę do pokoju Indiry i zostawiła ją na łóżku. Może gdy teściowa to zobaczy, jeszcze raz przemyśli swoją decyzję.

Upłynęło ponad sześć miesięcy od śmierci Sanjaya i ponowne oglądanie jego fotografii po wyczerpującym dniu w parlamencie głęboko poruszyło Indirę. Anielska buzia małego Sanjaya, zabawy dzieci, Sanjay pieści swoją ulubioną maskotkę - tygrysa, jego samochodziki, zabawki, konne przejażdżki z Nehru, on i Indira objęci... Cała przeszłość nagle wróciła, jakby na nowo otwarła się rana. To ją emocjonalnie wyczerpało. Nie zmrużyła oka przez całą noc. Przyjaciółce

Pupul powiedziała, że książka jest dobrze pomyślana, ale postanowiła, że nie napisze wstępu. „Skreśliła Manekę z grona ukochanych osób” - odnotowała Pupul, która dostrzegła symboliczny i wiele mówiący szczegół: drzwi wychodzące na pokój Sanjaya były zamknięte, w przeciwieństwie do tych, które wychodziły na pokój Rajiva. Indira zamknęła jedną stronę swego życia i była gotowa otworzyć następną.

- Rajiv, jestem przerażona, kiedy wiem, że lecisz... - powiedziała Indira pewnego dnia w salonie.

- Mamo, jesteś osobą inteligentną i wiesz doskonale, że statystycznie bardziej prawdopodobna jest śmierć wskutek potrącenia przez samochód przy przechodzeniu przez jezdnię niż podczas lotu samolotem.

- Wiem, ale nie mogę przestać myśleć o...

Rajiv popatrzył na nią. Matka owinięta w żałobne białe sari wydawała się ruiną samej siebie. Nie udawała, była wyraźnie zaniepokojona. Śmierć Sanjaya rzucała na teraźniejszość długi cień, pozbawiając Indirę pewności siebie i pogłębiając jej stałe lęki. Widok matki napełnił Rajiva ogromnym bólem. Zaczęła go dręczyć prosta myśl, że ona go potrzebuje, on zaś nie może bądź nie chce jej pomóc.

Indira kontynuowała:

- Wiesz, że jedna z gazet z Gudżaratu przepowiedziała, że Sanjay umrze w czerwcu?

- Mamo, proszę... Gdyby się wierzyło we wszystkie przepowiednie astrologów, którzy mieszkają w Indiach, wszyscy już dawno powinni nie żyć.

- Otrzymuję mnóstwo listów z ostrzeżeniami, że otacza cię niebezpieczeństwo, dlatego boję się, kiedy jesteś w powietrzu.

- Wiesz, co najlepiej robić z tego rodzaju listami? Wrzucać je do ognia.

- Rajiv, nie mów głupstw - odpowiedziała, mieniając się na twarzy, z wyrazem smutnej beznadziei. - To, co się stało Sanjayowi, zdarzyło się dlatego, że nie zrobiliśmy nic, aby temu zapobiec, nie zwracaliśmy uwagi na przepowiednie trafnie podające datę.

- Nie, mamo. To, co się stało Sanjayowi, wynikało z tego, że on sam się o to prosił.

Indira popatrzyła na niego. Nie była przyzwyczajona do sprzeciwu ze strony Rajiva. On jednak mówił dalej:

- Robił to, na co miał ochotę. Kiedy dyrektor lotnictwa cywilnego skarcił Sanjaya za nieprzestrzeganie zasad regulaminu i wystawianie swego życia na niebezpieczeństwo, on wyrzucił go z posady, zamiast posłuchać jego rad. Musisz widzieć rzeczywistość taką, jaka ona jest, mammo. Martwi mnie bardzo, że ulegasz wpływom astrologów...

Indira spuściła głowę, jakby dając do zrozumienia, że ustępuje wobec argumentów syna. Rajiv rozumiał, że matka starała się odnaleźć sens tragedii, która na nią spadła. I że ten sens znajdowała w tajemnych siłach, jakie jej wrogowie zwrócili przeciw rodzinie. Stare paranoiczne lęki powróciły z większą niż dotychczas siłą.

- Mamo - powiedział Rajiv, aby ją ułagodzić. - Jeśli istnieją złe siły, to z całą pewnością są też siły dobre, które nas chronią, prawda?

- Czy były zdolne ochronić twojego brata? - zapytała. Rajiv wznosił oczy do nieba, jakby mówił: „Znowu!” Indira kontynuowała:

- Gdybym to ja umarła, byłoby to częścią naturalnego procesu... Mam sześćdziesiąt dwa lata, żyłam pełnią życia, ale twój brat był taki młody...

Rajiv siedział przygnębiony. Matka była niepoczyszona. Przez dobrą chwilę milczeli. Nagle Indira wstała.

- Zostały mi trzy godziny pracy. Wychodzę.

- Jesteś wyczerpana i powinnaś odpocząć.

- Jeśli nie zrobię tego teraz, będę musiała wstać o czwartej rano. Dobranoc.

Rajiv siedział zamyślony. Patrzył na matkę, która szła do swojego pokoju jak pochylony ptak, lekko powłócząc nogami. Wydawało się, że dryfuje, przypominała rozbitka... Gdzie się podziała jej tryskająca energia, wieczny optymizm? Przykro

było widzieć ją w tym stanie. A logiczną tego konsekwencję stanowiło nurtujące go pytanie: Czy rzeczywiście mam prawo odmówić jej pomocy?

Kiedy podzielił się swoimi odczuciami z Sonią, zobaczył, że napłynęły jej łzy do oczu. Może dlatego, że w chwilach olśnienia wiedziała, iż rozpoczęła z góry przegraną bitwę. Czowała też, że jej mąż jest rozdarty i cierpi z tego powodu.

- Chcesz wyrzucić za burtę wszystko, cośmy osiągnęli? Swoją karierę, czas, jaki spędzasz z dziećmi, swoje hobby, nasze szczęście?

Po raz pierwszy małżeństwo przeżywało trudne chwile. Zrozpaczona Sonia powiedziała któregoś dnia:

- Jeśli zamierzasz zaangażować się w politykę, wystąpię o separację i wrócę do Włoch.

Nigdy w ciągu piętnastu lat małżeństwa się nie kłócili. Nigdy wcześniej nie podnosili na siebie głosu. Nigdy Sonia nie posunęła się tak daleko. „Walczyłam jak tygrysica o niego, o nas i nasze dzieci, o życie, jakie zbudowaliśmy, o jego miłość do latania, o nasze zwykłe przyjaźnie, a przede wszystkim o naszą wolność, podstawowe prawo człowieka, którego tak starannie i wytrwale broniliśmy" (Gandhi Sonia, Rajiv, Viking - Penguin, New Delhi 1992, s. 6) - napisała później.

Ale siły, przeciw którym walczyła Sonia, były znacznie potężniejsze niż argumenty przemawiające za indywidualnym szczęściem i rodzinną harmonią. Jakie znaczenie miał mieszczański dobrobyt czteroosobowej rodziny w porównaniu z losem Indii? Te siły, które pochodziły z głębi dziejów narodu, wypowiadały się w imieniu siedmiuset milionów mieszkańców kraju. Te same siły pewnego dnia popchnęły Indirę w jarzmo polityki, a teraz domagały się obecności jej młodszego syna. Dwa miesiące po śmierci Sanjaya trzystu parlamentarzystów z Kongresu podpisało petycję, w której

blagało Rajiva, aby zajął miejsce brata i wziął udział w wyborach jako kandydat z jego okręgu. Fakt, że był żonaty z cudzoziemką, wydawał się bez znaczenia, może dlatego, że w indyjskiej mentalności kobietę utożsamiano z rodziną męża.

Zaczęła się ogromna, stała publiczna presja. Od tej chwili nie było dnia, żeby prasa nie zapowiadała jego wkroczenia do polityki. Kiedy dziennikarze pytali o to Indirę, odpowiadała niewzruszenie: „Nie mogę o tym mówić. Rajiv sam musi zdecydować”. Deputowani zaczęli oblegać dom. Przychodzili, aby go „odwiedzić”, co znaczyło, że starali się go przekonać. Sonia musiała parzyć herbatę z kardamonem dla wszystkich tych „sępów”, które, jej zdaniem, pojawiały się po to, aby na jej oczach zniszczyć szczęście rodziny.

Stosowano presję nie tylko publiczną, ale i indywidualną. T.N. Kaul, wuj Rajiva, dyplomata cieszący się nienaganną opinią, nie był człowiekiem, którego rady można by lekceważyć. Nosił to samo nazwisko co żona Nehru i był mocno związany z Indirą. Jego lojalność przetrwała ciosy ostatnich lat. Sympatyczny i inteligentny syn Kaula studiował w Cambridge razem z Rajivem i należał do grona najlepszych przyjaciół obojga małżonków. Kaulowie byli bardzo bliskimi i bardzo kochanymi krewnymi.

- Życie twojej matki miało ścisły związek z życiem twojego brata, silniejszy, niż się to wydawało - powiedział T.N. Kaul Rajivowi przy pierwszym spotkaniu. - Sanjay był jej drogą komunikacji z liderami partii, dlatego jest tak wyizolowana od dnia jego śmierci. Potrzebuje kogoś, kto byłby zdolny skutecznie działać, by utrzymać lojalność partii. A wiesz, że nie ufa nikomu z wyjątkiem najbliższych.

- Wiem, ale wiem również, i wiedzą to wszyscy, że nie jestem stworzony do polityki... Znasz też opinię Soni na ten temat.

- Rozumiem, że Sonia wyrobiła sobie taki pogląd, ponieważ została wystawiona na najgorsze aspekty życia publicznego, ale nie wszystko w polityce jest złe i nikczemne. Uważa się, że to najszlachetniejsze z zajęć...

Rajiv zrobił ironiczną minę, ale Kaul kontynuował:

- W polityce chodzi o to, żeby służyć narodowi, by poświęcić się innym ciałem i duszą... tak jak czynił to twój dziadek, twój brat i jak czyni to twoja matka.

- I jak chcą, żebym uczynił ja.

- Jasne. Masz to we krwi.

- Nie jestem pewny, czy to jest aż tak dziedziczne, jak sądzisz. Mogę przegrać wszystko...

- Jeśli ty możesz stracić wszystko, ty, który z mlekiem matki wyssałeś atmosferę polityki, to wyobraź sobie sytuację pozostałych... Przeciwnie, możesz wszystko zyskać. Pewnego dnia możesz zostać premierem.

- Nie, dziękuję. Widziałem matkę, jak płakała, gdy najstarsi przyjaciele, wierni i kochani współpracownicy ją denuncjowali, żeby uratować własną skórę, widziałem jej współtowarzyszy, ludzi, w których pokładała całe swoje zaufanie, jak odwracali się do niej plecami i zażarcie ją krytykowali... Nie, dziękuję, ale wolę nadal żyć swoim zwykłym życiem, z żoną i dziećmi, którzy dają mi wszystko, czego potrzebuję.

- Rajiv, wiesz równie dobrze jak ja, że istnieją dwa rodzaje osób, które angażują się w politykę: mniejszość postrzega władzę jako narzędzie społecznego rozwoju, większość pojmuje ją jako środek do uzyskania korzyści dla siebie i swojego otoczenia. Ten drugi rodzaj obchodzi głównie cała otoczka władzy: blask, pochlebstwa, to, że całują ci stopy i patrzą na ciebie jak na bóstwo, czyli wszystko, czego nie znosi Sonia.

- A jaka jest nagroda dla tych drugich?

- Tylko jedna. Satysfakcja, że spełnili się jako ludzie. Rajiv wzruszył ramionami. Była to odpowiedź zbyt mętna i abstrakcyjna jak na jego gust. Potem zapytał:

- Co mówi mama?

- Powiedziała mi, że nie chce wpływać na twoją decyzję. Żebyś robił tak, jak uważasz.

- Czy ona wie, że przyszedłeś ze mną porozmawiać?

- Tak. Pytałem ją o to... i powiedziała, że jeśli tego chcę, ona nie widzi problemu.

Zapadła cisza. Rajiv pokazał mu zeszyty i kilka książek, które miał rozłożone na stole.

- Czy ty wiesz, że niedługo spełnię jedno z moich największych marzeń?

- Tak?

- Indian Airlines kończą odnawianie floty i będą miały tylko odrzutowce. Do tej pory latałem jako drugi pilot na boeingu 737. W przyszłym miesiącu zdaję egzamin na dowódcę. Podniosą mi pensję, będę mógł obsługiwać trasę Delhi - Bombaj i dzięki temu dostanę lepsze godziny pracy.

Kaul przeniósł wzrok z kompasu na kalkulator, rozłożone mapy z notatkami korekcji kierunku i pisemnymi obliczeniami ołówkiem na marginesach... Potem z poważną miną zwrócił się do Rajiva:

- Rozumiem więc, że twoja odpowiedź brzmi „nie”? Rajiv potwierdził ruchem głowy i dodał:

- Dla mnie wkroczenie do świata polityki byłoby jak pójście do więzienia.

Czując na sobie skupione spojrzenie wuja, dodał:

- Poza tym nie mam nawet legitymacji Kongresu.

- Przemyśl to, Rajiv. Pomyśl, jak wiele ten kraj zawdzięcza twojej rodzinie. Kiedy byliście mali, przeprowadziliście się do Teen Murti, ponieważ dziadek był sam i potrzebował pomocy. Tak jak teraz twoja matka. Ona

poświęciła swoje życie osobiste, by służyć ojcu. Zrobiła tak, ponieważ jest kobietą. Twoją powinnością jako mężczyzny jest jej pomóc i wspierać ją, jak tylko możesz.

Argumenty wuja Kaula były miażdżące, odwoływały się do synowskiego obowiązku i do poczucia przeznaczenia, rodzinnej i narodowej misji zapisanej w gwiazdach. Argumenty Rajiva były racjonalne i praktyczne. Dotyczyły rzeczy prostych, jak codzienne życie, powołanie czy rodzinna miłość. Ale rzeczywistość była bardziej złożona, tworzyła ją mieszanina emocji i ambicji wielu ludzi, obawy i wątpliwości, marzenia i ukryte napięcia, historia i polityka. Miesiącami wywierano presję na Rajiva, a w konsekwencji i na Sonię „Spędziłam długie godziny, starając się ją przekonać, żeby pozwoliła mężowi zająć się polityką, ale żaden argument nie wydawał jej się dostatecznie dobry - opowiadała Nirmala Deshpande, przyjaciółka rodziny. - Na każdą moją próbę Sonia bardzo grzecznie, ale stanowczo, odpowiadała «nie»". Pewnego dnia wyznała nawet: „Wolałabym, aby moje dzieci zebrały na ulicy, niż żeby Rajiv zaangażował się w politykę”.

Dla małżonków był to straszny rok. Z każdym dniem oboje czuli się coraz bardziej bezsilni wobec zbliżającej się przepaści. Nachodziło ich dziwne i przewrotne uczucie, że ich życie przestało należeć do nich samych, że stali się ofiarami nękania i niszczenia w imię wielkich zasad i szlachetnych motywów, które w tym momencie były im obce. Jakby ten gigantyczny kraj nie mógł żyć bez nich. Rajiv czuł się rozdarty między synowską powinnością a własnym szczęściem, Sonia schwytała w pułapkę między mężem a teściową, osobami, które uwielbiała. „Jednocześnie - pisała później - byłam wściekła i niechętna systemowi, który, tak jak go widziałam, domagał się baranka ofiarnego. Systemowi, który miał go zmiażdżyć i zniszczyć - o tym byłam absolutnie przekonana”.

Rajiv schudł i prawie nie spał. Poczucie obowiązku skłaniało go ku pomocy matce, miłość do Soni i potrzeba małżeńskiej harmonii ciągnęły w przeciwnym kierunku. Wszyscy mieli swoje racje, wszystkie one były poważne, a on stał pośrodku, zakłopotany i nieszczęśliwy. Znalazł azyl w przygotowaniach do egzaminu na dowódcę boeinga 737 - tylko one pozwalały mu uciec od rzeczywistości, która stała się dla niego nie do wytrzymania. On, który zawsze unikał konfliktów i konfrontacji, żył udręczony, będąc celem wszystkich oczekiwań. „Czy nigdy nie zmniejszy się ta presja? Nigdy nie skończy to piekło?” - pytał sam siebie, widząc, że mijają miesiące, a chór głosów staje się ogłuszający. „Czekałam na cud - powiedziała później Sonia - rozwiązanie, które byłoby słuszne i do przyjęcia dla nas wszystkich”.

Ale cud się nie zdarzył. Przeciwnie, każdy mijający dzień sprawiał, że aktorzy dramatu byli w coraz gorszym stanie: Indira - coraz bardziej samotna i przytłoczona piętrzącymi się problemami, Rajiv i Sonia - coraz bardziej udręczeni.

- Nie mogę dłużej oglądać cię takim - powiedziała Sonia pewnego dnia do Rajiva, mocno go obejmując. - Nie chcę widzieć cię w tak złym stanie....

- Jest tak, jakby skradziono nam nasze życie...

- Rajiv, zapomnij o tym, co ci mówiłam, kiedy byłam rozgniewana. Zapomnij o tym wszystkim. Jeśli myślisz, że powinieneś pomóc matce, zrób to... Nie chcę patrzeć, jaki jesteś nieszczęśliwy. My się wyniszczamy.

- Nie zamierzam podejmować żadnej decyzji bez ciebie.

- Zrób to - powiedziała Sonia przez łzy, opierając głowę na piersi męża. - Do dzieła. Życie się zmienia, dużo mnie kosztuje pogodzenie się z tym faktem... W głębi duszy myślę, że w końcu cię stracę, ale może to jest mój egoizm, nie wiem... Wiem na pewno, że dłużej tak nie możemy.

„To był mój Rajiv - powiedziała później Sonia - kochaliśmy się i jeśli myślał, że powinien zaproponować matce pomoc, zamierzałam ustąpić wobec sił, które stały się zbyt potężne, abym mogła je pokonać, i iść z nim tam, dokąd go zaprowadzą" (Gandhi Sonia, Rajiv, s. 7).

Sonia jeszcze raz pokazała, że miłość do męża jest dla niej ważniejsza niż wszelkie inne względy. Czy lojalność nie jest samą esencją miłości? Czy nie dochowywała jej zawsze? Nie zostawiła dla niego swojej rodziny i swego kraju? Nie stała się nienaganną indyjską synową? Czy całe jej życie nie toczyło się wokół niego? Czy pewnego dnia nie przyrzekła, że pójdzie za nim na koniec świata? Teraz należało spełnić tę obietnicę. Pójdzie za nim, dokądkolwiek by poszedł, do piekła polityki, jeśli będzie potrzeba. Choćby oboje mieli spłonąć w jego płomieniach.

Po czterech długich i bardzo intensywnych wizytach wuja T.N. Kaula Rajiv podjął decyzję.

- Jeśli mama chce, żebym jej pomógł, zrobię to. Kaul odetchnął.

- To bardzo rozsądna decyzja - powiedział. - Jesteśmy pewni, że możesz wygrać wybory w Amethi. To da ci potrzebną legitymację, abyś pracował razem z matką.

- Ale nie chcę wchodzić do rządu, to mój warunek. Jestem gotów pracować w partii, ponieważ zdaję sobie sprawę, że jest wakat, i nie widzę nikogo, kto mógłby go wypełnić.

- Ważne, żebyś wygrał swój mandat parlamentarny z Amethi.

- A jeśli przegram?

- Pozostawisz otwarte pole dla Maneki i zwolenników Sanjaya, a to jest bardzo niebezpieczne, zdajesz sobie sprawę.

- Maneka nie ma wymaganych dwudziestu pięciu lat, by zostać deputowaną do parlamentu.

- Ale będzie je miała w czasie następnych wyborów. Nie może być dwóch różnych spadkobierców Sanjaya Gandhiego. Stąd pośpiech, byś się zgodził. Dlatego najważniejsze, żebyś wygrał w Amethi.

Zapadła cisza. Twarz Rajiva jakby się postarzała. Dodał niemal szeptem:

- Jest w tym wszystkim jakieś poczucie nieuchronności, prawda? (Nugent Nicholas, Rajiv Gandhi - Son of a Dynasty, BBC Books, London 1990)

- Kiedy twoja matka zaczęła pomagać swemu ojcu - powiedział Kaul - również nie weszła w skład rządu. - Przerwał, świadomy poświęcenia, jakiego ta decyzja wymagała od rodziny. - Co mówi Sonia?

- Nie postanowiłbym niczego bez niej. Dopóki będę mógł, postaram się połączyć karierę pilota z polityką. Potem zobaczymy, co będzie.

- To rozsądne rozwiązanie - podsumował Kaul.

Po tak wielkim utrapieniu podjęcie decyzji stało się swoistym wyzwoleniem, ale pozbawionym radości. Jak zawsze w historii rodziny Nehru poczucie obowiązku zatriumfowało nad innymi względami. Sonia zamknęła się w swoim pokoju i nie wychodziła przez cztery dni. Dzieci nie zdołały jej pocieszyć. Opowiadała, że przez cały czas płakała.

Wyszła z tej otchłani cierpienia mizerna i szczuplejsza. W ciągu następnych dni niewiele jadła i przestała się ubierać w elegancki i zalotny sposób, jak to miała w zwyczaju.

Rajiv spełnił swoje marzenie i zdał egzaminy na dowódcę boeinga 737, ale przyjemność latania odrzutowcami trwała krótko. Termin zgłoszenia kandydatury w okręgu Amethi, co pozwoliłoby mu odziedziczyć schedę po bracie, zbliżał się nieubłaganie. Zgodnie z prawem o konflikcie interesów Rajiv jako pracownik przedsiębiorstwa państwowego, jakim były Indian Airlines, nie miał prawa kandydować na deputowanego. Stało się jasne, że nie będzie mógł łączyć swojej dotychczasowej pracy z polityką, dlatego nie pozostało mu inne wyjście, jak tylko zostać politykiem zawodowym. I pewnego upalnego dnia w maju 1981 roku podjął tę decyzję. Po całym dniu latania przyszedł do domu, zdjął krawat, marynarkę i spodnie od munduru, ubrał się w białą kurta, „uniform polityków”, i poszedł do centralnego biura linii lotniczych, by oddać akredytację pilota i pożegnać się z kolegami i przełożonymi. Sonia ze ściśniętym sercem patrzyła, jak wychodzi. Było to jego definitywne pożegnanie z życiem, które sam sobie wybrał w Anglii, kiedy szukał sposobu zarabiania na życie, aby móc się ożenić z ukochaną Sonią.

Jak można było przewidzieć, od tego dnia życie małżeństwa bardzo się zmieniło. Już nie mogli pozwolić sobie na wychodzenie w sobotnie wieczory do Casa Medici, włoskiej restauracji w luksusowym hotelu Taj, lub do Orient Expressu w nowym hotelu Taj Palace. Zmienili wszystko - od rozkładu dnia po sposób ubierania. Rajiv zaczął nosić kurta, doradzono mu bowiem, żeby stał się bardziej indyjski, a nie tak europejski jak dotychczas. Dlatego rozstał się na zawsze z dżinsami, a zamiast włoskich butów, które Sonia kupowała mu podczas wyjazdów na wakacje, założył sandały. Zachował jednak modne podówczas okulary przeciwsłoneczne Ray - Ban, owalne, w metalowej oprawce. Indyjskie ubranie było

wygodniejsze i lepiej dostosowane do bezlitosnego upału. Kurta z surowej bawełny wkładało się na luźne spodnie w typie pizamy lub na ćuridar, czyli spodnie szerokie w biodrach, zwężające się ku dołowi i tworzące fałdy przy kostkach. Nosił także typową furażerkę członków Kongresu. Indira uważała, że z wiekiem upodobnił się do swojego ojca Feroza.

Rajiv, kiedy już raz podjął decyzję, nie oglądał się wstecz. Skoro przeznaczenie stawiało przed nim wyzwanie, należało mu sprostać jak najlepiej. Dawne ideały - takie jak walka z biedą, popieranie równości i państwa bezwyznaniowego - o których jako nastolatek słyszał od dziadka przy rodzinnym stole i które odziedziczyła jego matka, on również przyjął za własne. Nie rzucał się w wir polityki dla zdobycia bogactwa czy władzy - one nigdy go nie pociągały. Brakowało mu osobistych ambicji, ale za to miał wizję Indii. Jeśli teraz przyszło mu dołożyć swoją cegiełkę do rozwoju kraju, lepiej było to zrobić, dysponując jak największą liczbą danych.

Sporo kosztowało go oderwanie się od własnego świata, czyli świata techniki, sprawdzonych faktów i konkretów, rządzących się znanymi i powszechnymi prawami. Samolot lata, ponieważ powietrze utrzymuje jego skrzydła. Co podtrzymuje powodzenie polityka? Było wiele możliwych odpowiedzi, wiele zmiennych, ale żadnej stałej, z wyjątkiem jego nazwiska, stanowiącego rozpoznawalną markę. Intelktualiści i przeciwnicy Indiry rzucili mu to w twarz: „Jedyną kwalifikacją, jaką posiada Rajiv, są jego geny”. Klasy uprzywilejowane niepokoiły się tym, co uznały za nowy akt nepotyzmu Indiry. Ale „wielkie masy indyjskiego ludu” widziały to na swój sposób, poprzez pryzmat tradycji, zgodnie z którą synowie kontynuują powołanie rodziców. Przez stulecia w indyjskich wsiach i miastach mistrzowie rzemiosła, muzycy, pisarze sądowi, kucharze, stajenni, znachorzy,

architekci i politycy przekazywali swoim dzieciom sekrety zawodu. Przyciągając Rajiva do polityki, Indira i jej partyjni koledzy nie czynili nic innego, jak tylko kontynuowali dobrze ugruntowaną tradycję.

Podczas swojej pierwszej kampanii Rajiv musiał dokonać wielkiego wysiłku, by przełamać nieśmiałość. Komuś tak zazdrośnie strzegącemu własnej prywatności trudno było znieść nieustanne pozostawanie w centrum uwagi i odpowiadanie na pytania dziennikarzy. „Polityka nigdy nie była moją pasją - oświadczył pewnego dnia reporterowi, który spytał go, dlaczego zgłosił swoją kandydaturę. - Zgłosiłem się, ponieważ w jakiś sposób muszę pomóc matce...” Jego szczerłość stała się przedmiotem licznych kpin, dlatego szybko nauczył się ważyć słowa i udzielać klarownych odpowiedzi, które nie mogły zostać źle zrozumiane lub opacznie zinterpretowane.

Przemawiać publicznie, bez kartki, również nie było łatwo. Musiał znaleźć taką formułę, żeby nie tylko przekazać własne idee, ale też nawiązać kontakt z tymi, którzy przyszli go posłuchać. Wiece odbywały się na wiejskich placach, a organizatorzy nie zawsze dysponowali dostatecznymi środkami, by postawić namiotowy daszek, który chroniłby od słońca. W większości przypadków Rajiv stał w upale naprzeciw tysiącosobowemu tłumowi. Wielu siedziało na małych matach na ziemi, większość stała w głębi, wszyscy przychodzili, aby uzyskać darśan od człowieka, który już stał się jedną z postaci hinduskiej mitologii. Licznie przybywała biedota wiejska, ponieważ Amethi było bardzo zacofanym regionem stanu Uttar Pradeś. Pojawiali się także straganiarze, robotnicy, wiejscy notable, sikhijscy przedsiębiorcy, którzy w tłumie wyróżniali się turbanami, młodzi bezrobotni, chmary dzieci, niektóre w wyświechtanych mundurkach uszytych na wzór mundurków z angielskich szkół, muzułmańskie kobiety

z zakrytymi twarzami, indyjskie wieśniaczki w kolorowych sari. Wszyscy stali mocno ściśnięci mimo czterdziestostopniowego upału. Pachniało potem, kwiatami, kurzem i dymem z bidi zwanych „papierosami biedaków”, robionych z drobno krojonego tytoniu. Zanim Rajiv przemówił, zdejmował girlandy z pomarańczowych nagietków, które zostawiały ślady na jego białej kurta, kładł je na stole lub oddawał asystentowi. Jego styl bardzo różnił się od stylu brata. Rajiv nie był pompatyczny ani nie wygłaszał mów. Przeciwnie, skromność i ciekawość skłaniały go do zadawania wielu pytań. Podczas swoich licznych podróży w kabinie samolotu marzył o kraju bardziej sprawiedliwym, bogatszym, bardziej nowoczesnym, bardziej ludzkim. Teraz, kiedy dotykał ziemi, rzeczywistość rysowała się odmiennie: zacołanie było przerażające, brak środków rozpaczliwy, a bieda skrajna. Jak to możliwe? Gdzie zawodzi system? W chwilach odpoczynku wyjmował z czarnej torby posrebrzane urządzenie, które wzbudzało podziw.

- To rewolucyjny wynalazek - mówił. - Pewnego dnia będzie tak popularny jak liczydła czy maszyna do pisania, zobaczycie.

- Do czego to służy? - spytał młody członek partii.

- Do wielu rzeczy. Ja używam go do tworzenia bazy danych i monitorowania ulepszeń, jakie mamy zamiar wprowadzić tutaj, w Amethi.

Był to przenośny komputer, jeden z pierwszych, jakie widziano w Indiach. Metoda Rajiva polegała na zbieraniu informacji o istniejących potrzebach, by później dokładnie zaplanować, jak je zaspokoić. Niektóre problemy były oczywiste, na przykład brak szos. Czasem, żeby dostać się do małych wiosek, niewielki sztab wyborczy musiał iść na piechotę godzinę albo dłużej wąskimi gruntowymi drogami wśród pól, uprawianych narzędziami ciągniętymi przez

wychudzone woły. W większości wiosek stały chaty z suszonej cegły, które chłopci musieli odbudowywać po każdej porze deszczowej. Te wsie nie dysponowały żadnym rodzajem komunikacji ze światem zewnętrznym. „Gdyby przynajmniej można było dać im telefon łączący się przez satelitę” - mówił do siebie Rajiv. Widział jednak światełko nadziei: kiedy pytał najbiedniejszych, czego najbardziej potrzebują, nigdy nie prosili o jedzenie, pieniądze, dom do zamieszkania czy studnię z wodą pitną - zdawałoby się, naglące potrzeby. Biedacy chcieli przede wszystkim szkół dla swoich dzieci. Na pierwszym miejscu edukacja, a zaraz potem przychodnie lekarskie.

Jak należało oczekiwać, Rajiv wygrał z dużą przewagą. Sonia pogratulowała mu pierwsza. Padli sobie w ramiona. Ten triumf był jej mężowi bardzo potrzebny, stanowił rodzaj „pasowania na rycerza” i nagrodę za wiele miesięcy katuszy, co Sonia odgadła z wyrazu jego twarzy, nagle bardziej zrelaksowanej i pełnej wiary. Poczula, że Rajivowi zaczyna się podobać to nowe doświadczenie, choć brakowało mu dawnego życia. „Wcześniej nasz świat był rozpoznawalny, prywatny - opowiadała Sonia. - Były dni intensywnej aktywności i długie okresy wypoczynku. Teraz na odwrót. Nasze życie wypełniło się ludźmi, każdego dnia setkami ludzi, politykami, członkami partii, wszystkimi mówiącymi o swoich potrzebach i pilnych sprawach. Czas przestał być elastyczny i każda godzina, którą Rajiv z nami spędzał, stawała się coraz cenniejsza” (Gandhi Sonia, Rajiv, s. 7).

Rajiv nie potrafił się przyzwyczaić do obłężenia mediów. Odpowiadał z wahaniem, zacinając się. „Wy, dziennikarze, rzucacie się na polityków jak tygrysy” - palnął pewnego dnia wyczerpany. Jednocześnie czuł, że coraz więcej ludzi zaczyna go cenić. Kontrast z osobowością brata działał tak odświeżająco, że zaskarbił mu wielu zwolenników. Sanjay

pozostawił po sobie wspomnienie osoby szorstkiej, bezlitosnej i prostacko obnoszącej się ze swoją władzą. Rajiv był jego całkowitym przeciwieństwem: łagodnym człowiekiem o nienagannyh manierach, urodzonym rozjemcą, który przy rozwiązywaniu konfliktów posługiwał się zdrowym rozsądkiem. Przede wszystkim jednak nie miał żadnych dziwnych kontaktów ani podejrzanych powiązań. „Chcę wciągnąć do polityki nowy rodzaj ludzi - zadeklarował w «Sunday Timesie» - inteligentnych, młodych, znających Zachód, wolnych od feudalnych poglądów, którzy bardziej niż o własnym bogactwie myślą o wzbogaceniu Indii". Zawsze pokazywał swoją prawdziwą twarz, człowieka uczciwego, sympatycznego, o dobrym sercu. Szybko zaczęto go nazywać „Mr. Clean". Jakby tego było mało, miał ładną i fotogeniczną rodzinę, choć Sonia jeszcze nie chętniej niż on udzielała wywiadów czy pozowała do zdjęć. Obawa i nieufność w stosunku do prasy i mediów stały się trwałym aspektem jej życia.

Na trzy dni przed trzydziestymi siódmymi urodzinami Rajiv złożył przysięgę na deputowanego, opowiadając się otwarcie za modernizacją, wolnością gospodarczą i otwarciem kraju na inwestycje zagraniczne. Spływał potem pod tą samą kopułą, w której pobrzmiwało echo przemówień jego dziadka i matki. Zapewne Nehru czułby się zaskoczony, widząc wnuka w tej ogromnej sali jako jeszcze jednego reprezentanta narodu. Byłby jednak także zadowolony, zauważywszy, że Rajiv tak jak on wierzy, iż rozwiązanie wielu problemów Indii polega na właściwym zastosowaniu osiągnięć naukowych i technicznych.

Indira znowu zaczęła się uśmiechać. Czowała, że syn, który zadziwiająco skutecznie pełnił rolę jej osobistego doradcy, jest odpowiednią osobą do zajęcia się ambitnym projektem, w który zaangażował się rząd, dostrzegając potrzebę

poprawienia wizerunku kraju. Chodziło o zorganizowanie Igrzysk Azjatyckich, które miały odbyć się w Delhi za dwa lata. Projekt obejmował zbudowanie hoteli, szos, stadionów i wioski olimpijskiej.

Tę okazję wykorzystano dla rozszerzenia zasięgu sygnału kolorowej telewizji, którą do tej pory można było odbierać tylko w centrach wielkich miast. Do pomyślnego zrealizowania projektu potrzebna była osoba wyróżniająca się zmysłem organizacyjnym, przedsiębiorcza i obdarzona wyobraźnią.

Indira czuła, że dla jej syna będzie to wyzwanie, które jeśli zakończy się sukcesem, umocni jego wizerunek i posłuży za odskocznię do wielkiej polityki krajowej. Rajiv zaczął koordynować prace architektów, budowniczych i finansistów, nadzorując ogromny budżet.

Sonia, w odróżnieniu od Maneki, nie miała żadnej ambicji zaznaczenia swej obecności w życiu publicznym, czy to jako wolontariuszka w akcjach humanitarnych, czy jako gospodyni goszcząca ważne osobistości. Zadowalała się swoją pozycją w cieniu teściowej i ciężko pracowała, aby dom pani premier funkcjonował jak najlepiej. W owych dniach Sonia stała się bliska Indirze jak nigdy wcześniej. „Wiedząc o tym, jak głęboko jest zraniona, Rajiv i ja staraliśmy się być w stosunku do niej jeszcze bardziej opiekuńczy”. Teściowa była ogromnie wdzięczna, że ma ich blisko siebie. Mówiła z wielką czułością i uznaniem o tym, jak Rajiv „poświęcał się i brał na siebie część jej obowiązków związanych z pracą w partii”. Kiedy skończył się roczny okres żałoby, w którym Indira nosiła tylko białe, czarne lub kremowe sari, Sonia na otwarcie ważnej konferencji krajów azjatyckich wybrała dla niej piękną złotą kreację z kaszmirskimi haftami.

- Zobacz, to sari współgra z dekoracją sali, w której odbędzie się konferencja... Podoba ci się?

- Jest cudowne, doskonale - powiedziała Indira - zwłaszcza dla widzów oglądających to wydarzenie w kolorowej telewizji.

Widząc ją owiniętą znowu w barwne sari, Pupul oznajmiła:

- Cieszę się, że to przezwyciężyłaś.

Indira spoważniała i nie odezwała się słowem. Ale następnego dnia wysłała do przyjaciółki list: „Powiedziałas, że przezwyciężyłam ból. Można przezwyciężyć nienawiść, zazdrość, chciwość i tyle innych negatywnych, autodestrukcyjnych emocji. Ale ból jest czymś innym. Nie można o nim zapomnieć ani go przezwyciężyć. Należy nauczyć się z nim żyć, wchłonąć go w siebie i uczynić częścią życia" (Jayakar Pupul, Indira Gandhi: a Biography, s. 424).

Konflikt wywołała Maneka, która z niezadowoleniem patrzyła, jak szwagier wydziera jej dziedzictwo męża, choć doskonale wiedziała, że nie mogłaby zgłosić swojej kandydatury, ponieważ nie osiągnęła wymaganego wieku. Zawsze głęboko pogardzała Rajivem, teraz zaczęła krytykować go w swoich wypowiedziach dla prasy: „Niedołączny szwagier, niezdolny wstać z łóżka przed dziesiątą”. W ten sposób dawała do zrozumienia, że to ona, dziedziczka nazwiska Gandhi i matka jedyne go syna Sanjaya, najlepiej nadaje się do tego, by pewnego dnia zastąpić Indirę na szczytach władzy. „Jak może Rajiv ubrać się w skórę swojego brata, jeśli nigdy nie lubił polityki i jest żonaty z Włoszką?” - powiedziała publicznie. Maneka pierwsza wykorzystała cudzoziemskie pochodzenie Soni przeciwko rodzinie. Rajiv i Indira natychmiast dostrzegli zagrożenie i poprosili Sonię, aby załatwiła formalności potrzebne do uzyskania indyjskiego obywatelstwa, do którego miała prawo z racji małżeństwa. Powinna była to zrobić dawno temu, ale zawsze odkładała sprawę na później, z czystego lenistwa. W swojej prostoduszności uważała, że aby być Hinduską, wystarczy się nią czuć oraz przestrzegać miejscowych rytuałów i zwyczajów. Dawno porzuciła w czeluściach szafy swoje spódnice, spodnie obcisłe w pasie, dzinsy, bluzki bez rękawów i ubrania z dekoltem. Ubierała się jak Europejka, tylko gdy odwiedzała rodzinę we Włoszech. W Indiach nosiła wyłącznie sari albo salwar kamiz - muzułmańską wersję narodowego stroju indyjskiego, czyli luźne spodnie z bawełny lub jedwabiu przykryte tuniką z licznymi guzikami. Ale to było za mało - teraz potrzebowała oficjalnego potwierdzenia, obywatelstwa, paszportu. Dlatego pewnego ranka poszła do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i spędziła tam kilka godzin, wypełniając formularze i odpowiadając na pytania

uprzejmych urzędników. Kilka tygodni później otrzymała list następującej treści: „Rząd Indii przyznaje od tej chwili Soni Gandhi, z domu Maino, obywatelstwo i oświadcza, że wyżej wymieniona ma prawo do wszystkich przywilejów, powinności i obowiązków obywatela Indii...” W dokumentach, jakie otrzymała wraz z paszportem, znajdował się numer i adres punktu wyborczego, w którym miała prawo głosować.

Swoimi niemądrymi deklaracjami Maneka osiągnęła tylko jedno: jeszcze bardziej zirytowała teściową. Kiedy pokazała jej pierwszy egzemplarz książki o swoim zmarłym mężu, Indira zakrzyknęła pod niebiosa; część tekstu i podpisy pod fotografiami były złośliwe i wykoślawiały prawdę. W tym stanie nie można było tego wydrukować.

- Ale prezentacja jest już zaplanowana za trzy dni!

- Powinnaś była pokazać mi wcześniej ostateczną wersję, a nie teraz, w ostatniej chwili. Musisz przełożyć prezentację, dopóki nie zostaną wprowadzone zmiany.

- Nie mogę, wszystko jest już zorganizowane.

- Nie pozwolę na to, żeby książka ukazała się w takiej postaci.

Maneka wyszła wściekła z pokoju, trzaskając drzwiami.

- Maneka! - krzyknęła Indira. - Przyjdź tu natychmiast!

Dziewczyna wróciła. Tym razem nie wyglądała jak przestraszony piesek. Miała wyzywającą postawę zbuntowanej nastolatki. Wytrzymała spojrzenie teściowej.

- Sprawy nie mogą toczyć się w ten sposób, Maneko. Nie mogę tolerować twoich niemądrych wypowiedzi w prasie ani tego, że publikujesz o rodzinie, co ci się podoba.

Maneka wahała się, czy odpowiedzieć, czy wytrzymać reprimendę. Indira rzuciła wyzwanie, intuicyjnie wyczuwając, że synowa się przestraszy:

- Jeśli chcesz, odejdz z tego domu. Ty sama - powiedziała jej stanowczo.

Maneka wahała się, czy nie użyć jedynej broni, jaką mogła zadać teściowej morderczy cios - odebrać jej wnuka. Indira mówiła dalej:

- Jeśli nadal będziesz tak postępować, nasze przyszłe stosunki będą wyglądały tak, jakbym cię nigdy nie znała. Wybieraj: albo to, albo nadal jesteśmy przyjaciółkami.

Maneka zacisnęła pięści i ugryzła się w język. Zapewne nie był to dobry moment, by pozbyć się tak cennej relacji. Spuściła wzrok.

- Dobrze, opóźnię wydanie książki i zmienię podpisy pod fotografiami.

Indira odetchnęła z ulgą. Widziała, że wygrała bitwę, była jednak pewna, że na tym się nie skończy. Na jakiś czas odsunęła kryzys.

Kłótniwa i uparta Maneka stała się mistrzynią w tworzeniu napięć. Przekonała się o dwóch rzeczach: że nie ma dla niej miejsca w strukturach władzy kierowanych przez Indirę i że mogłaby zacząć z nią rywalizować. Dlatego zdecydowała się z jednej strony spotęgować wyzywające i prowokacyjne zachowanie, z drugiej zaś stworzyć własną bazę, mobilizując zdetronizowanych zwolenników Sanjaya. Zgodziła się pojechać do miasta Lakhnau, stolicy stanu Uttar Pradeś, i wygłosić przemówienie... do grupy dysydentów z Kongresu, kierowanej przez dawnego przyjaciela Sanjaya. Indira z nich kpiła. „Rzucają mi wyzwanie za pomocą minibuntu” - powiedziała do Pupul, kiedy Maneka postarała się, żeby do teściowej dotarła informacja, iż młoda wdowa uzyskała poparcie stu członków stanowego zgromadzenia legislacyjnego, lojalnych wobec Sanjaya. Indira posłała jej wiadomość: „Jeśli pojedziesz do Lakhnau, nie wracaj już nigdy do mojego domu”. Maneka zrezygnowała z wyjazdu i

przeprosiła, ale stało się jasne, że konfrontacja jest nieunikniona. Ta według Indiry niedojrzała i uparta „dziecina” sprawiła, że jej życie stało się trudne do zniesienia, wyprowadzała ją z równowagi jak żaden ze znacznie bardziej przebiegłych i doświadczonych potężnych przeciwników politycznych. Pragnąc uspokoić sytuację, Indira zabrała synową do Kenii, z Rahulem i Priyanką. Jednak Maneka wolałaby o wiele bardziej pojechać tam, dokąd wybrali się Rajiv i Sonia, czyli do Londynu na ślub księcia Walii z Dianą Spencer. Indira wysłała ich w swoim imieniu, by zaprezentować za granicą tego, który najprawdopodobniej zostanie jej następcą. Była to podróż w stylu glamour, ze spotkaniem z władzami i najznakomitszymi członkami światowego towarzystwa. Natomiast Maneka miała jechać z dziećmi, by „zobaczyć zwierzęta”. Zaczęła od narzekań, że jedyna w rodzinie nie ma paszportu dyplomatycznego. Podczas całej podróży prawie nie rozmawiała ze swoimi kuzynami i ledwie odpowiadała teściowej, gdy ta ją wołała lub starała się rozerwać. Cały czas była zdystansowana i przygnębiona, ponieważ w głębi duszy nie chciała tu być. Kiedy w ambasadzie w Nairobi doszło do spotkania z przedstawicielami licznej kolonii indyjskiej, Maneka witała ich tak zimno i niechętnie, że wprowadziła wszystkich w zakłopotanie. Nie odzywała się, nie wiadomo, czy z nudów, czy dlatego, że nic jej nie interesowało. A może coś knuła. Albo z trzech powodów naraz.

Osobą, która niewątpliwie knuła, była jej matka. Przygotowywała coś prawdziwie wybuchowego. Negocjowała za plecami Indiry sprzedaż czasopisma „Surya” jawnemu zwolennikowi RSS (Rashtriya Swayamsevak Sangh). Kiedy Indira się o tym dowiedziała, wpadła w gniew. RSS była skrajnie prawicową hinduską organizacją polityczną o niemal wojskowej dyscyplinie, w czasach Podziału zamieszana w

masakry. Indira od zawsze uznawała RSS za „największe zagrożenie dla Indii” ze względu na jej fanatycznie hinduistyczny, wykluczający charakter. Była przekonana, że któregoś dnia ta partia może doprowadzić kraj do zguby. Czyż jeden z zabójców Mahatmy Gandhiego nie był członkiem RSS? Ta - zrealizowana w końcu - sprzedaż była wzorcową prowokacją. Chociaż czasopismo należało do Maneki i jej matki, Indira doskonale wiedziała, że nie mogłoby powstać ani funkcjonować bez jej kontaktów i wpływów. Napięcie w rodzinie sięgnęło zenitu. Rajiv od miesięcy unikał w domu spotkań z bratową. Stało się jasne, że Maneka nie może nadal z nimi mieszkać.

Indira wiedziała, że konflikt z synową może pozbawić ją wnuka, i była bardzo przygnębiona. Ze wszystkich zrad, jakie przeżyła, ta była najpoważniejsza, najbardziej dotkliwa i najokrutniejsza, ponieważ pochodziła z wnętrza rodziny, świętego terytorium, i dotyczyła dziecka jej ukochanego syna. Poczucie nieuchronności nowego konfliktu, tym razem definitywnego, pozbawiało ją energii i sprawiało, że czuła się wyczerpana. Dla dobra wnuka uczyniła ostatni wysiłek. Poleciała swojemu nauczycielowi jogi i guru, Dhirendrze Brahmachariemu, który nadal od czasu do czasu ją odwiedzał, podjąć negocjacje w sprawie odkupienia czasopisma za dowolną cenę od nowych właścicieli. Ale ci odrzucili ofertę. Indira znalazła się w ślepej uliczce. Setki milionów ludzi, cały kraj czekał na kolejne odcinki tej telenoweli na żywo, reality show wyprzedającego swój czas.

Indira pojechała do Londynu na inaugurację Roku Indii, przygotowanego ogromnym wysiłkiem rządu w celu promowania wymiany kulturalnej, przemysłowej i handlowej między Indiami a Europą Zachodnią. Chciała, żeby towarzyszyła jej Sonia. W uroczystości wzięli udział liczni politycy, naukowcy, osobistości świata kultury, arystokracja i

media. Indira przeżyła wzruszający moment, gdy Zubin Mehta, pars jak jej ojciec, dyrygował orkiestrą, która odegrała hymny narodowe Indii i Zjednoczonego Królestwa. Przyjęcie się rozpoczęło. Było to wydarzenie o szczególnym znaczeniu: po raz pierwszy w dziejach indyjski hymn narodowy został odegrany publicznie w Londynie, stolicy dawnego imperium. Nawet Sonię przeszedł dreszcz emocji. Indira, doskonale ubrana dzięki zabiegom synowej, promieniała na rozmaitych przyjęciach i kolacjach, towarzyszących inauguracji. Trudno byłoby odgadnąć, że w głębi duszy była wzburzona i zaniepokojona. Wieści docierające z Indii wskazywały na to, że Maneka jest gotowa ostatecznie opuścić dom i postanowiła otwarcie rzucić jej wyzwanie. Sonia milczała, oczekując nieuchronnego momentu zerwania.

Maneka przebiegle wykalkulowała datę - wykorzystała fakt, że Indira i Sonia przebywały w podróży, a Rajiv, skupiony na swoich nowych zajęciach, nie pokazywał się w domu, by nie spotykać się z bratową. Na przekór Indirze pojechała do Lakhnau, gdzie w obecności zwolenników męża wygłosiła płomienną mowę. Starła się sprawić wrażenie, że nie jest nielojalna wobec pani premier. „Niech żyje Indira Gandhi!”, „Sanjay jest nieśmiertelny!” - głośiły plakaty rozwieszane w różnych miejscach przez organizatorów spotkania. „Zawsze będę szanować dyscyplinę i dobre imię wielkiej rodziny Nehru - Gandhi, do której należę” - zakończyła swoje przemówienie Maneka.

Ale ten pokaz fałszywej lojalności nie ułagodził Indiry, która wróciła z Londynu rankiem dwudziestego ósmego marca 1982 roku, zdecydowana zmusić synową do posłuszeństwa i szacunku. Kiedy Maneka przyszła się z nią przywitać, Indira przerwała jej sucho:

- Porozmawiamy później.

Maneka zamknęła się w swoim pokoju i czekała długą chwilę, aż służący zapukał do drzwi.

- Wejść - powiedziała. Mężczyzna wniósł tacę z jedzeniem.

- Co to?

- Pani Gandhi kazała mi powiedzieć, że nie życzy sobie, aby pani dołączyła do reszty rodziny podczas obiadu.

- Zabierz to. Nie zamierzam jeść w swoim pokoju tylko dlatego, że ona tak mówi.

Służący posłuchał. Godzinę później wrócił.

- Pani premier chce teraz panią widzieć - powiedział uprzejmie.

Manece drżały nogi, kiedy szła korytarzem. Nadeszła chwila prawdy, ale w salonie nikogo nie było. Musiała czekać kilka minut, które wydały się jej wiecznością. Zaczęła obgryzać paznokcie jak wtedy, gdy była małą dziewczynką. Nagle usłyszała jakiś hałas. Pojawiła się Indira, nie panowała nad sobą, szła boso w towarzystwie guru Dhirendry Brahmachariego i sekretarza Dhawana. Chciała, aby byli jej świadkami.

W normalnych okolicznościach Indira wygrałaby ten konflikt z typową dla siebie zręcznością, wyczekawszy stosownego momentu do działania. Teraz, może dlatego, że myśl o rozdzieleniu z wnukiem mąciła jej umysł, wpadła w pułapkę zastawioną przez synową. Zaledwie można było zrozumieć jej słowa, które jednak zabrzmiały głośno i wyraźnie, gdy wskazując na Manekę palcem, krzyknęła: „Wynoś się z tego domu natychmiast!”

- Dlaczego? - odpowiedziała Maneka z niewinną miną. - Co się stało?

- Słyszałam każde słowo twojego przemówienia!

- Przecież ci się podobało.

Maneka argumentowała, że wysłała je Indirze do aprobaty. Rzeczywiście Rajiv przesłał je faksem do Londynu. Indira przeczytała tekst, ale nie wyraziła opinii. Zdecydowała, że wypowie się po powrocie.

- Powiedziała ci, że nie powinnaś przemawiać w Lakhnau, ale zrobiłaś to, co chciałaś. Byłaś mi nieposłuszna! Z każdego twojego słowa sączyła się trucizna... Myślisz, że tego nie dostrzegam? Wynoś się! Wynoś się z tego domu natychmiast! - krzyknęła. - Wracaj do swojej matki!

- Nie chcę wracać do domu matki - odpowiedziała wyzywająco Maneka.

- Pójdziecie obie. Już spiskowałyście z mętami tego kraju, którym sprzedałyście czasopismo założone dzięki moim kontaktom. Nie chcę was więcej widzieć. Ani ciebie, ani twojej matki.

Maneka zaczęła płakać, ale odpowiedziała:

- Potrzebuję czasu, aby spakować rzeczy.

- Miałaś mnóstwo czasu. Pójdiesz teraz, gdy ci rozkazuję. Twoje rzeczy zostaną wysłane później. Ty i twoja matka jesteście szumowinami! - rzuciła Indira, całkowicie wyprowadzona z równowagi.

Maneka ruszyła w stronę swojego pokoju, krzycząc:

- Nie pozwolę, żebyś obrażała moją matkę!

Ale Indira zdecydowała się ją wyrzucić. Nie była w stanie się kontrolować, wszystkie zniewagi nagromadzone od czasu, gdy Maneka weszła do tego domu, wybuchły jak roztrzaskane wrota zapory.

- Wynoś się! Ruszaj, już! I nie zabieraj z tego domu niczego oprócz własnych ubrań!

Maneka zamknęła się w swoim pokoju, skąd zadzwoniła do siostry, aby opowiedzieć jej, co zaszło, i poprosić o pomoc i powiadomienie prasy. Ambika zadzwoniła do pisarza

Kushwanta Singha, powiedziała mu o wszystkim i błagała, by poszedł do domu pani premier.

Burzliwe relacje między teściową a synową są tak bardzo osadzone w tysiącletniej kulturze Indii, że wiele produkcji Bollywoodu opartych jest na scenariuszach odtwarzających z całym bogactwem szczegółów tego rodzaju konflikty. Ten, do którego doszło w domu przywódczyni kraju, wystawił całą rodzinę na publiczny osąd, i to w sposób, jakiego nawet najbardziej doświadczeni producenci filmowi nie mogliby sobie wyobrazić.

Około dziewiątej wieczorem tłum fotografów i dziennikarzy, w tym liczna reprezentacja korespondentów zagranicznych, zgromadził się przy okratowanej bramie domu. Policja rozlokowana dookoła nie bardzo się orientowała, kogo należy wpuszczać do środka, a kogo nie. Dlatego Ambika i brat Maneki - po ośmiu latach zapowiadania się z wizytą - weszli do domu bez trudu. Znaleźli siostrę w jej pokoju, tonącą we łzach i bezładnie wkładającą do walizek co się da. Kiedy tłumaczyli jej, jak ma postąpić, nagle do pokoju weszła Indira:

- Wynoś się!... Powiedziałam ci, żebyś niczego nie zabierała.

Na to odezwała się Ambika, której złośliwy język był dobrze znany Indirze:

- Nigdzie nie pójdzie! To jest jej dom!

- To nie jest jej dom! - krzyknęła Indira, której oczy wychodziły z orbit. - To jest dom premiera Indii! - I wskazując na Manekę, dodała: - Nie możesz sprowadzać tutaj gości bez mojej zgody.

Ambika zamierzała coś powiedzieć, ale pani premier jej przerwała.

- W żadnym wypadku, Ambiko Anand, nie chcę z panią rozmawiać.

- Nie ma pani prawa mówić tak do mojej siostry! - krzyknęła Ambika, która nie zamierzała dać się zastraszyć. - To jest dom Sanjaya, a moja siostra jest jego żoną! Tak więc to jest jej dom! Nikt nie może jej wyrzucić.

Wówczas Indira oszalała. To, czego nie osiągnęli jej najbardziej zapiekli wrogowie, udało się dwóm siostrom. Krzyki Indiry zaniepokoiły Sonię, która pobiegła do biura na Akbar Road, żeby powiadomić męża. Rajiv zaraz próbował opanować sytuację z pomocą kuzyna, który pomagał mu w działalności politycznej. Poprosili szefa ochrony, wysokiego i krzepkiego sikha, by był tak uprzejmy i wyrzucił siostry z domu. Mężczyzna odpowiedział przezornie:

- Panie, mogę wypełnić ten rozkaz tylko wtedy, gdy dostanę go na piśmie.

Rajiv już zasiadał do pisania, kiedy wtrącił się kuzyn.

- Nie rób tego - powiedział. - Nie podpisuj niczego, co potem mogłoby zostać wykorzystane przez prasę przeciw tobie albo rodzinie. Czy ci się to podoba, czy nie, Maneka ma prawo zostać w tym domu. Podpisanie dokumentu o jej wypędzeniu może tylko stworzyć wam problemy.

Rajiv popatrzył na sikha, który skinieniem głowy wyraził całkowitą aprobatę dla tego, co przed chwilą usłyszał.

- To nieroztropne - dodał kuzyn.

- Dobrze. - Rajiv poddał się i skierował spojrzenie w głąb korytarza, skąd nagle dobiegł ogłuszający hałas

Obie siostry, zamknięte w pokoju Maneki, puściły z odtwarzacza wideo na cały głos film bollywoodzki, żeby Indira, która zgnębiona siedziała w pokoju obok, dowiedziała się, że będą robiły, co zechcą. W tym czasie opracowały plan i ustaliły dokładną godzinę opuszczenia domu. Sekretarz Dhawan i guru Dhirendra Brahmachari pełnili funkcję posłańców. Za każdym razem, kiedy Dhawan wchodził, by poprosić je, żeby sobie poszły, stawiały kolejny warunek.

Najpierw poprosiły o kolację, która została im podana do pokoju. Potem powiedziały, że psy także potrzebują coś zjeść, i sekretarz nakarmił je, ale tak pechowo, że Heba, chart irlandzki Maneki, podniecony panującą atmosferą wrogości, ugryzł go w rękę.

W ten sposób minęło parę godzin, zanim siostry w końcu kazały zabrać swoje kufry, walizki i paczki. Kiedy wyszły na zewnątrz, Dhawan pojawił się znowu, tym razem w towarzystwie guru.

- Przykro mi, ale mamy rozkaz skontrolowania waszych rzeczy.

- Bardzo dobrze - powiedziała Maneka. - Jeśli zamierzasz je kontrolować, zrób to na zewnątrz, żeby wszyscy widzieli. - I ostentacyjnie zaczęła otwierać kufry, wyjmować ubranie, buty, książki...

Trzask fleszy fotograficznych zza ogrodzenia niczym niewielkie sztuczne ognie rozświetlił noc. Indira pojawiła się na progu i powiedziała sekretarzowi, by nie nalegał na kontrolę. Zdała sobie sprawę, że synowa wygrała tę partię, i zaczęła ustępować. Maneka zastosowała tylko lekcję teściowej: „Pozwól, żeby wrogowie robili przeciw tobie, co chcą, ale zawsze na widoku publicznym, by pokazali swoje najgorsze oblicze”. Kiedy godny pożałowania spektakl dobiegł końca, Maneka i jej siostra wróciły do swojego pokoju, żądając, aby najpierw do nowego miejsca zamieszkania zostały wysłane ich rzeczy i psy. Na koniec oświadczyły, że nie pójdą bez małego Feroza Varuna.

Tej fatalnej nocy najgorszym błędem, jaki popełniła Indira, była próba zatrzymania dwuletniego wnuka. Przed awanturą nakazała, by zaprowadzono go do jej pokoju. Przez cały dzień miał kilka kresk gorączki. Kiedy przyszli po niego służący, Indira odmówiła oddania dziecka.

- Mój wnuk zostanie ze mną - powiedziała w ataku irracjonalnego uporu.

Maneka powiadomiła ją, że jeśli nie odda dziecka, to ona usiądzie w drzwiach i nie ruszy się stamtąd, dopóki go nie odzyska. Młoda wdowa bardzo zręcznie robiła z siebie ofiarę, stosując broń Mahatmy Gandhiego - obywatelskie nieposłuszeństwo. Indira zrozumiała, że jej walka jest beznadziejna. Wezwała swojego głównego sekretarza, P.C. Alexandra, który obudzony w środku nocy myślał, że wybuchł jakiś międzynarodowy konflikt. „Nigdy nie widziałem jej tak zgnębionej, tak przejętej, tak udręczonej, tak napiętej jak owej nocy - opowiadał. - Jej twarz zdradzała nieopisany smutek”.

- Pani premier - powiedział do niej Alexander - w swoim życiu musiała pani stawić czoła tylu kryzysom, tylu politycznym bitwom, śmierci syna. Dlaczego teraz zachowuje się pani w taki sposób?

- Alexander, ta dziewczyna chce mnie pozbawić Feroza Varuna. Wiesz, jaki związek łączył mnie z Sanjayem. A to jest mój wnuk. Chcą mi go zabrać.

Indira nadal była wyprowadzona z równowagi. Cierpienie z powodu utraty wnuka mąciło jej umysł. Nie było sposobu, żeby ją zmusić do racjonalnego myślenia i przekonać, że prawo stoi po stronie synowej. Choćby nie wiem jak ważnym była premierem, nie mogła nic poradzić na to, że Maneka jest matką dziecka. Czyż w Indiach nie panowały rules of law, zasady prawa? Adwokaci, których wezwała w środku nocy, aby poradzili jej, jak zatrzymać dziecko przy sobie, byli zgodni, że nic się nie da zrobić.

- Proszę pani - stwierdził w końcu jeden z nich - w takim przypadku synowa złoży oskarżenie i będzie pani musiała oddać dziecko policji, która z kolei przekaże je matce. Radziłbym zaoszczędzić sobie zamieszania.

Bitwa została przegrana. Indira poszła do pokoju i popatrzyła na Feroza Varuna, który spał w kołysce, oddychając głośno i rytmicznie. Była cała we łzach. Rzadko widziano, żeby tak płakała. Wyglądała na załamana. Dla niej było to jak powtórna śmierć syna. Kiedy opiekunka przyszła zabrać dziecko, Indira powstrzymała ją gestem, wyjęła wnuka z kołyski i długo tuliła w ramionach, świadoma, że widzi go po raz ostatni. Następnie załamana oddała małego, ocierając łzy rąbkiem sari.

Była jedenasta w nocy, kiedy Maneka, z zaskoczonym i na wpół rozbudzonym Ferozem Varunem w ramionach, wyszła w końcu z domu i w towarzystwie siostry wsiadła do samochodu. Eksplozja fleszy oświetliła sekwencję odjazdu. Zgodnie z obrazem, jaki pragnęła przekazać Maneka, fotografie ukazywały lojalną synową okrutnie potraktowaną przez potężną i autorytarną teściową. „Maneka pozdrawiająca dziennikarzy z samochodu” - głosił podpis pod zdjęciem, które pojawiło się następnego ranka we wszystkich gazetach indyjskich i niektórych zagranicznych. Dziennik „Indian Express” opublikował artykuł porównujący starania pani premier z „zabiciem osy uderzeniami topora”. Indira przegrała i wiedziała o tym.

Soni krajało się serce, gdy widziała ją pogrążoną w smutku. Również ona cierpiała z powodu konfliktu, choć widziała, być może jaśniej niż Indira, że nie uda się go uniknąć. Cierpiała, bo od urodzenia często opiekowała się małym. Była dla niego drugą matką. Przyjście na świat chłopca przywróciło wspomnienie rodzinnego szczęścia, odzyskanego po wstrząsach Emergency.

Harmonia trwała krótko, tylko do śmierci Sanjaya, ale pozostawiła głęboki ślad u wszystkich członków rodziny. Priyanka i Rahul także byli przyzwyczajeni do obecności kuzyna, tak bliskiego, że uważali go za rodzzonego brata. W

następnych dniach każdemu, kto przyszedł ją odwiedzić, Indira opowiadała: „Wiesz? Maneka i Feroz Varun poszli sobie z domu”, jakby była to zgodna decyzja dwóch dorosłych osób. Cały kraj wiedział ze szczegółami, co się wydarzyło.

Malować. Skoncentrować się na każdym pociągnięciu pędzla, żeby ręka nie zadrżała w przegubie. Łączyć i ponownie mieszać farby na palecie, poszukiwać właściwego tonu, odpowiedniego koloru. Zdjąć okulary i włożyć je na nowo. Robić postępy powoli, kroczyć po kroczeniu. Zeskrobywać szpatułką, wygładzać, czyścić, nakładać barwną plamę i ponownie zaczynać... Kurs restauracji starych malowideł olejnych w Muzeum Narodowym był dla Soni jak terapia, pozwalająca zapomnieć na kilka godzin o domowej krzątaninie. Te skradzione chwile dostarczały intensywnej i intymnej satysfakcji. Teraz była pewna, że takie właśnie byłoby jej prawdziwe powołanie, gdyby życie nie poprowadziło jej inną drogą. Zajęcie pozwalało rozwinąć potencjał zgodny z charakterem perfekcjonistki, która lubi porządkować, odnawiać i reperować. Podczas konserwacji musiała stać się niewidoczna. Nie chodziło o wymyślanie czegoś nowego, lecz o interpretowanie oryginalnej intencji artysty. Zajęcie nie dla buntowników narzucających swoje kryterium, ale dla takich osobowości jak ona, elastycznych, nie lubiących konfrontacji i raczej ustępliwych, które zawsze w końcu najlepiej się adaptowały i wyciągały największe korzyści. Teraz mogła poświęcić się swojemu zamiłowaniu, ponieważ dom z powrotem stał się oazą spokoju, którą był, zanim wprowadziła się do niego Maneka. Indira stopniowo dochodziła do siebie, otoczona miłością wnuków i poczuciem bezpieczeństwa, pewna, że Sonia zajmie się domem, na przykład zorganizuje kolację dla Mitterranda i jego współpracowników, w południe przyjęcie dla przywódców muzułmańskich, a po południu dla kolejnych szefów partii.

Sonia zawsze starała się dostosować swoje zajęcia i zobowiązania do wolnego czasu Rajiva i teściowej. Czuła, że oboje - jeśli mieli odpocząć od goryczy życia politycznego i

odżyć po wstrząsie, jakim była walka z Maneką - potrzebowali teraz bardziej niż kiedykolwiek stabilności, prywatności, bezpośrednich i szczerych relacji, a to wszystko mogła im dać tylko rodzina. Rajiv i Indira nie musieli ważyć słów ani przejmować się tym, co lub komu mówią w czterech ścianach domu. Sonia strzegła tego sanktuarium, chroniąc ich przed zamętem polityki i zapewniając im „odpoczynek wojownika”. „Byłam oddana swojemu mężowi bezwarunkową miłością”. To samo mogłaby powiedzieć o Indirze. Rajiv był jej głęboko wdzięczny za zaakceptowanie jego decyzji i zmiany, jaka nastąpiła w ich życiu. „Zgodnie z indyjską tradycją mężczyzna jest tylko połową osoby, drugą połową jest jego żona. Z tobą dokładnie tak się czuję” - napisał do niej pewnego dnia w liściku, który pozostawił przed wyjściem do pracy.

W tym czasie młodsza siostra Soni, Nadia, zamieszkała w New Delhi ze swoim mężem, hiszpańskim dyplomatą. Była brunetką o delikatnych rysach i wrodzonej dystynkcji. Introwertyczka, miłośniczka książek, pod wpływem męża polubiła literaturę hiszpańską. Chciała zostać tłumaczem z języka włoskiego na hiszpański. Zbyt zajęta na razie opieką nad małymi dziećmi, realizację tych planów odkładała na później... Sonia było zachwycona, że ma ją tak blisko, że w weekendy mogą wyjść gdzieś wszyscy czworo z dziećmi albo zjeść wspólną kolację z przyjaciółmi, kosmopolitycznymi Hindusami i Europejczykami rezydującymi w mieście. Nadia i jej mąż prowadzili znacznie bardziej intensywne życie towarzyskie niż Sonia i Rajiv, należeli bowiem do kręgu dyplomatów przebywających w stolicy Indii. Obiady, koktajle, przyjęcia, wernisaże, prezentacje książek, koncerty, mecze polo, etc. - uczestniczyli w wielu wydarzeniach i nic nie zapowiadało problemów, które pojawiły się w ich małżeństwie. Do Soni docierały jakieś plotki, ale ponieważ z

ust siostry nie słyszała słowa skargi, nie przywiązywała do nich wagi. Oszalałaby, gdyby wierzyła we wszystkie miejscowe plotki.

Ale pewnego dnia Nadia przyszła do niej bardzo wcześnie, kiedy Sonia kończyła się ubierać.

- Jak w tym wyglądam? - zapytała Sonia, wskazując na sari, które miała zamiar włożyć.

- Wyglądasz ślicznie - powiedziała siostra zgaszonym głosem.

- Tutaj noszę tylko sari. Wiesz, że atakują nas za to, że jestem Włoszką? Mnie jest równie wygodnie w ubraniach europejskich jak we wschodnich.

- Mogłabyś doskonale uchodzić za Hinduskę, gdyby nie twoja dyskretna biżuteria. Tym się różnisz od tutejszych kobiet... Za to gdybym ja włożyła sari, wyglądałabym jak przebrana turystka.

- Któregoś dnia żona pewnego polityka podeszła do mnie, żeby zobaczyć krzyżyk, który noszę na szyi, i spytała, dlaczego mam go na tak cienkim łańcuszku, kiedy mogłabym założyć grubszy... Tutaj ceni się ostentację, i to w kraju, w którym panuje taka bieda...

Sonia uśmiechnęła się na wspomnienie tej sceny, ale kiedy włożyła sari i się obróciła, zobaczyła, że siostra płacze.

- Co się stało?

Nadia nie była w stanie nic powiedzieć. Mamrotała. Sonia musiała użyć całej swojej zręczności, żeby wydobyć z niej zwierzenia. Mąż ją oszukiwał. Na dodatek opowiadano o tym w świątku New Delhi, co do bólu dodawało upokorzenie.

Jak on może być tak nieodpowiedzialny? - zastanawiała się oburzona Sonia.

Dyplomata okazał się płochy. Nawet nie starał się ukrywać swoich związków. Ostatni, z urzędniczką duńskiej ambasady, doprowadził Nadię do załamania.

- Przyrzekł mi, że z nią zerwie, ale nie wiem, czy mogę mu wierzyć.

Widzieć siostrę w takim stanie było dla Soni ciosem. Poradziła jej, żeby okazała nieco cierpliwości, zaufała jego obietnicy i dała mu jeszcze jedną szansę. Sonia przyzwyczała się, że ma ich w New Delhi, i zasmuciła na myśl, że mogliby wyjechać. Może ich sprawy małżeńskie się ułożą. Zdecydowanie nie wszyscy mężowie byli tacy jak Rajiv. Hiszpański szwagier zaczął ją denerwować.

Podobnie jak małżeństwo Nadii, życie Soni także składało się z małych dramatów. W początkach 1982 roku rodzina przeżyła rozstanie z Rahulem. Zgodnie ze zwyczajem odziedziczonym po Anglikach chłopiec został wysłany do internatu usytuowanego w łańcuchu Himalajów, założonego przez pewnego angielskiego nauczyciela, który po odzyskaniu niepodległości pozostał w szkole jako jej dyrektor. Doon School cieszyła się doskonałą opinią. Została stworzona na wzór brytyjskich college'ów, w których uczyli się synowie i wnukowie przedstawicieli warstw uprzywilejowanych. Początkowo Sonia była przeciwna temu pomysłowi - rozłączenie jedenastoletniego syna z rodzicami nie należało do włoskiej tradycji. Rajiv przypomniał jej, że także ona została wysłana do szkoły zakonnej z internatem w Giaveno.

- Tak, ale to było dwadzieścia kilometrów od domu. Doon School dzieliło od Delhi siedem godzin podróży, co w skali Indii było niewielkim dystansem. Mimo to Soni i Rajivowi ciężko było rozstać się z dzieckiem. To samo cierpienie przeżywali niegdyś pradziadek Motilal i dziadek Nehru. W tamtych czasach bogate rodziny wysyłały swoich potomków do Anglii, gdy dzieci ukończyły siedem lat. Rajiv, tak jak jego pradziadek, był przekonany, że rozłąka z rodziną, choćby nie wiem jak bolesna, jest doświadczeniem, które pomaga dziecku dorosnąć, stać się silniejszym i niezależnym. Martwił się

tylko, podobnie jak Sonia, czy Rahul jest wystarczająco dojrzały, by wytrzymać ataki i okrucieństwo kolegów. Zetknęli się już z podobnymi problemami, kiedy Rahul i Priyanka chodzili do szkoły w Delhi. Zarówno on, jak i ona padali ofiarą złości niektórych dzieci szydzących z ich rodziny. Tylko że wtedy rodzice byli blisko i mogli udzielić im wsparcia. Jeśli jacyś chłopcy będą dokuczać Rahulowi tam daleko, kto go pocieszy? - zastanawiała się zaniepokojona Sonia. „Czasami w gazetach będą wypisywać najróżniejsze głupstwa o babci, mamie lub o mnie - napisał Rajiv do syna, by dać mu poczucie bezpieczeństwa - ale nie powinieneś się tym przejmować. Możesz spotkać w college'u jakichś chłopców, którzy to wykorzystają, szukając z tobą zwady. Sam odkryjesz, że większość z tego to kłamstwa... Musisz nauczyć się przeciwstawiać takim prowokacjom... nie zwracać uwagi na to, co może Cię zirytować, nie pozwalać, by Cię dotknęło" (Gandhi Sonia, Rajiv, s. 8).

Chłopiec mógł dowiedzieć się z gazet o licznych wyjazdach rodziców. W tym czasie Indira dużo podróżowała i zawsze, gdy tylko mogła, zabierała ze sobą syna i synową. Razem byli w Nowym Jorku, gdzie przeżyła radość ponownego spotkania z serdeczną przyjaciółką, Dorothy Norman, która tak ją opisała: „Była tam, kobieta przewodząca wyjątkowo złożonemu społeczeństwu, które liczy ponad siedemset milionów ludzi, w większości biednych i zmagających się z wszelkiego rodzaju problemami; kobieta nadal przygnieciona bólem z powodu utraty syna, smutniejsza niż dawniej...”

- Tak, jestem spokojniejsza i bardziej smutna - potwierdziła Indira. - Ale czy byłoby sprawiedliwe prosić o więcej? Życie było dla mnie wspaniałe, zarówno w szczęściu, jak i w bólu. Jak można docenić jedno, nie poznając drugiego?

Dorothy wspominała Rajiva i Sonię z wielką czułością ze względu na sposób, w jaki się do niej odnosili. Spostrzegła, że Indira była bardzo dumna ze swego syna, gdy mówiła, że „Rajiv wykonał wspaniałą pracę, przygotowując Igrzyska Azjatyckie”. Zostały one zainaugurowane dziewiętnastego listopada 1982 roku, w dniu sześćdziesiątych piątych urodzin Indiry, i okazały się wielkim sukcesem organizacyjnym. Sześć stadionów, trzy luksusowe hotele i wioska olimpijska zostały wzniesione w rekordowym tempie. Wygląd południowej części Delhi zmienił się na zawsze. Rajiv dobrze wywiązał się ze swojego pierwszego zadania - zyskał wizerunek przywódcy skutecznego, nowoczesnego, a przy tym dobrego administratora. Jednakże prasa wytykała trudne warunki życia robotników, w większości imigrantów z południa, cherlawych mężczyzn i kobiet o ciemnej karnacji, którzy byli podle eksploatowani przez legion zarządzających budżetem pośredników, kontrahentów, kierowników robót, budowniczych, producentów cegieł, cementu i żelaza. Modernizowanie Indii nie było zajęciem łatwym. Owszem, wznoszono awangardowe budowle, ale robiło to średniowieczne społeczeństwo. Dzieci pracowały od świtu do zmierzchu, a ich zarobek trafiał w znacznej mierze do kieszeni tych, którzy je zatrudniali. Rajiv zdał sobie sprawę, że główne wyzwanie polega na zmianie tej stoczonej korupcją struktury społecznej. Wyzwanie ogromne, ponieważ indyjskie społeczeństwo ciągnęło za sobą tysiące lat złych nawyków, eksploatacji jednych kast przez drugie, jednych warstw kosztem innych. Jeśli w jakimś budżecie planowano wynagrodzenie dla robotnika w wysokości stu rupii dziennie, wszyscy wiedzieli, że w najlepszym wypadku zarobi on trzydzieści. Reszta zostanie u kontrahenta lub pośredników. Był też inny ważny szczegół świadczący o biedzie kraju. U znacznej części indyjskich sportowców badanie krwi

wykazało anemię. Jak mogli rywalizować z Japończykami, Koreańczykami, Malajczykami? Z tego względu igrzyska okazały się dla Rajiva słodko - gorzkim zwycięstwem.

Rajiv nie mógł zawsze towarzyszyć matce, za to Sonia robiła to za każdym razem, gdy tylko Indira ją o to prosiła. Nigdy tyle nie podróżowała: zwiedziła kraje Wschodu, Indonezję, wyspy Fidzi, Tonga, Australię, Filipiny, a także różne kraje Ameryki Południowej. Kiedy wyjeżdżały do Europy, wykorzystywała okazję, by wpaść do Orbassano i uściskać rodzinę. Sonia zawsze unikała kamer i przeszkadzało jej, że urzędnicy traktują ją - jako synową pani premier - ze szczególną uprzejmością, czym na ogół budziła sympatię zarówno indyjskiej delegacji, jak i zagranicznych gospodarzy. W Waszyngtonie mogła się osobiście przekonać, że Indira nadal nie potrafiła się porozumieć z amerykańskimi prezydentami. Tym razem chodziło o Ronalda Reagana, którego uwagę zdołała utrzymać tylko przez kilka minut, tak jakby spustoszenia choroby, która zaatakowała go później, już stały się odczuwalne. „Czy ty zdajesz sobie sprawę - opowiadała synowej po międzylądowaniu w Moskwie i spotkaniu z Breżniewem - że przyszłość ludzkości znajduje się w rękach tych dwóch starców, twardo stojących na swoich pozycjach, nieugiętych i niewykazujących żadnej chęci do dialogu?" W tej chwili jednak Sonia bardziej przejmowała się zdrowiem Indiry niż przyszłością świata. Zauważyła, że teściowej, kiedy jest zmęczona, zaczynają drżeć powieki. A na dodatek bardzo źle sypia. Niespodziewanie zaczynała mówić dziwne rzeczy: „Kiedy zamknę oczy, widzę zdeformowaną staruszkę, która chce mi zrobić krzywdę”.

Po powrocie do New Delhi Indira zwierzyła się Pupul:

- Według tajnych raportów, jakie otrzymałam, ktoś odprawia tantryczne rytuały czarnej magii, żeby mnie

zniszczyć. Pupul, czy ty wierzysz w to, że istnieją siły zła, które mogą zostać uwolnione za pomocą rytuałów?

- Nawet gdyby tak było - odpowiedziała przyjaciółka - to nie powinnaś reagować w taki sposób. Osiągniesz jedynie tyle, że te siły staną się jeszcze potężniejsze...

- Mam zatem ignorować raporty, które otrzymuję każdego dnia? Co robić? (Jayakar Pupul, Indira Gandhi: a Biography, s. 440)

Pupul i Sonia były zakłopotane. Czy zachowanie Indiry wynikało z poczucia samotności, które tak naprawdę nie opuściło jej od dzieciństwa, kiedy sama w domu czekała na powrót rodziców z więzienia lub sanatorium? Nie widziała swojego wnuka Feroza Varuna od niemal dwóch lat i zarówno Sonia, jak i Pupul domyślały się, że ból rozstania nadwyreżył serce Indiry. Zachowywała stoicką postawę, ale była tak zraniona na duszy, że może znowu zaczęła popadać w szaleństwo.

Sonia miała na ten temat własny pogląd. Szaleństwa Indiry przypisywała zgubnemu wpływowi guru Dhirendry Brahmachariego, który nadal krążył po domu w swojej pomarańczowej kurta. Był jak tłusta uprzykrzona mucha - choćby nie wiedzieć jak go odganiano, zawsze wracał. Bardzo gruby, z rozczochranymi szarymi włosami opadającymi na ramiona, z nieobcinanym paznokciem u małego palca, długim i twardym jak nóż, napawającym Sonię trudnym do ukrycia wstrętem. Wszyscy wiedzieli, że guru straszy Indirę za pomocą tych „tajnych raportów”, ale nikt nie miał pojęcia, jak temu zapobiec. Choć to niewiarygodne, premier Indii bardziej wierzyła w jego „raporty” niż w te, które przygotowywał rządowy departament analiz. W chwilach depresji Indiry, coraz częstszych i coraz bardziej intensywnych, to, co nadprzyrodzone, nabierało niepokojącego znaczenia.

Była też inna przyczyna, dla której korzystała z usług guru. Trzydziestoletni sikhijski asceta Bhindranwale rzucił jej najpoważniejsze w życiu wyzwanie polityczne. Człowiek ten, zwykły ludowy kaznodzieja, był fundamentalistą domagającym się oczyszczenia sikhizmu, powrotu do dawnej ortodoksji i walki o ojczyznę sikhów. Konflikt sięgał czasów Podziału, którego okrucieństwa i masakry wywołały traumę w świadomości sikhów, społeczności powołanej w XV wieku do walki z idolatrią i dogmatyzmem dwóch panujących ówczesnie religii - hinduizmu i islamu. W 1947 roku Pendżab - ojczyzna sikhów, „kraj pięciu rzek”, jeden z najpiękniejszych i najbardziej żyznych regionów Indii, ze złotymi polami pszenicy i jęczmienia poprzecinanymi srebrzystymi rzekami - został podzielony. Wyznaczona przez Anglików granica między Pakistanem a Indiami przecięła to terytorium na pół: Pendżab Zachodni przeszedł we władanie Pakistanu, a Pendżab Wschodni, z ludnością złożoną w połowie z sikhów, a w połowie z hindusów, pozostał w Indiach. Reakcją na ten nowy stan rzeczy było pojawienie się silnych nastrojów separatystycznych wśród ludności sikhijskiej.

Paradoksalnie Bhindranwale został „odkryty” przez Sanjaya, zmartwionego wzrostem wpływów umiarkowanej partii nacjonalistycznej, która w Pendżabie zabrała Kongresowi wiele głosów. Sanjay myślał, że wspierając i promując Bhindranwalego, zdoła podzielić i osłabić sikhijski nacjonalizm. Nie przewidział jednak, że ów człowiek wymknie się spod kontroli i w końcu zamieni się w monstrum zagrażające jego matce.

Bhindranwale, z długą czarną, jedwabistą brodą opadającą do pasa, przypominał świętego mnicha z czasów średniowiecza. Miał szczupłą, surową twarz, przenikliwe ciemne oczy, garbaty nos; głowę zawsze nakrywał turbanem.

Nosił długą niebieską tunikę i metrowej długości szablę kirpan za pasem. Był potężnym mężczyzną, jego dwa metry wzrostu wywierały spore wrażenie. Porzucił żonę i dzieci, by przewodzić legionom swoich zwolenników, ekstremistów jak on. Jego nasycone fanatycznym żarem przemówienia porywały wielu sikhów, którzy marzyli o oddzieleniu się od reszty Hindusów. W miarę jak rosły wpływy Bhindranwalego, a on sam skupiał wokół siebie coraz więcej ludzi, rosła też jego ambicja i pragnienie uzyskania autonomii, czego Sanjay nie przewidział. Krótco po wyborach 1980 roku, w których sikh czynnie poparł Kongres w kampanii, a nawet raz dzielił podium z Indirą, zdecydował, że nie chce być dłużej marionetką w rękach rodziny Gandhich, i zerwał więzy z partią. Z czasem on i jego zwolennicy postanowili domagać się utworzenia suwerennego państwa o nazwie Khalistan, „kraj czystych”. Kraj sikhów.

Problem polegał na tym, że zaczęli używać przemocy jako środka zastraszania i nacisku. W 1981 roku Bhindranwale został oskarżony o zlecenie zabójstwa pendzabskiego potentata prasowego, który odnosił się krytycznie do jego działań i ideologii. Uwięzienie sikhijskiego działacza wywołało falę manifestacji tak gwałtownych i niszczycielskich, że w końcu doszło do interwencji rządu centralnego. Nie wiedząc tak naprawdę, jaki obrać kierunek, wahająca się Indira nakazała w końcu ministrowi spraw wewnętrznych uwolnić go po trzech tygodniach aresztu. Nie chciała zrobić z niego męczennika, ale było już za późno. Bhindranwale przekroczył bramy więzienia jako fanatyczny prowincjonalny kaznodzieja, a wyszedł jako bohater narodowy. Dokonał objazdu wielkich miast, podczas którego udowodnił swoją ogromną popularność wśród sikhów z diaspory. Jego powrót do Pendżabu zbiegł się ze wzrostem przemocy. Każdego dnia na uliczkach Amritsaru czy

Dżalandharu odnajdywano zwłoki hinduistów lub muzułmanów z obciętymi głowami. W świątyniach wierni hindusi z przerażeniem odkrywali głowy świętych krów, rzucone u stóp ołtarzy. Prócz tych krwawych prowokacji Bhindranwale publikował w gazetach czarne listy z nazwiskami przeciwników, których zamierza wyeliminować. I te groźby spełniał. Syn zamordowanego potentata prasowego również został zabity, co wzbudziło strach nie tylko w mediach, lecz także wśród wszystkich mieszkańców. Sikhowie, którzy odważyli się krytykować przywódcę, stawali się celem ataków. Bhindranwale ponownie trafił do więzienia, jednak jego oddziały nadal mordowały przeciwników. Kiedy wyszedł, on i jego armia okopali się w zespole Złotej Świątyni w Amritsarze, świętym miejscu sikhów.

Usytuowana pośrodku połyskliwych wód szerokiego rytualnego basenu, połączona mostem Złota Świątynia była budowlą z białego marmuru, obłożoną ozdobami z miedzi, srebra i złota. Jej kopuła, pokryta w całości złotymi płytkami, chroniła oryginalny rękopis świętej księgi sikhów Granth Sahib. Wokół basenu wierni krążyli zawsze zgodnie z ruchem wskazówek zegara, chodząc boso po błyszczącym marmurze. Głowy nakrywali kolorowymi turbanami, nosili długie brody i gęste wąsy. Oddziały Bhindranwalego okupowały to miejsce spokoju. Przywódcy ulokowali się w budowlach sąsiadujących ze świątynią i stamtąd wydawali brygadam terrorystycznym rozkazy zabijania, okradania, profanowania lub podpalania pendżabskich wsi. Kiedy Indira nadal nie wiedziała, jak zwalczyć potwora stworzonego przez Sanjaya, Bhindranwale przyjmował ekipy telewizyjne z całego świata, traktujące go jak prawdziwą gwiazdę medialną. Policja, której morale mocno podupadło wraz ze wzrostem przemocy i przestępczości, nie miała odwagi wkroczyć do świętego miejsca.

Wybuchy przemocy w Kaszmirze i Asamie wskazywały na to, że naród zmierza prostą drogą do chaosu i dezintegracji. Zabójstwo inspektora policji modlącego się w Złotej Świątyni dwudziestego trzeciego kwietnia 1983 roku, zastrzelonego przez ludzi Bhindranwalego ukrytych za okiennymi kratami, zmusiło Indirę do podjęcia decyzji. Ale jakiej? Czy otoczyć świątynię wojskiem i ryzykować sprowokowanie pozostałych sikhów? Czy oblegać ją tak długo, aż terroryści się poddadzą? Indira próbowała negocjacji z liderami partii umiarkowanych nacjonalistów, jednak nie przerwało to ani rabunków, ani zabójstw. Bhindranwale konsekwentnie odrzucał jakąkolwiek ugodę, która nie zakładała pełnej niezależności Khalistanu. Ośmielony niezdecydowaniem rządu centralnego i brakiem sankcji za zabójstwo inspektora policji, okopał się w Akal Takht, drugiej najświętszej budowli zespołu. Dostał nowoczesną broń sfinansowaną przez sikhów mieszkających za granicą i zamienił świątynię w prawdziwą twierdzę. Indira, Rajiv i ich doradcy czekali cierpliwie, aż bardziej umiarkowani liderzy wreszcie narzucą swoją wolę albo zdystansują się od fanatycznej kaznodziei. Myśleli, że czas działa na ich korzyść, ale minęły dwa lata, a terroryści nadal siedzieli okopani na swoich pozycjach.

- Czy wojsko może otoczyć świątynię, nie powodując zbyt wielkich szkód? - spytała Indira dowódcę armii, generała Sundarjiego, który zastąpił jej starego przyjaciela, Sama Manekshaw.

Generał rozłożył na stole wykonane poprzedniej nocy zdjęcia lotnicze. Widać na nich było, że wszystkie okna, drzwi i inne otwory w budynku zostały zabezpieczone workami z ziemią lub zamurowane. Wyjaśnił, że terroryści zaopatrują się w broń, żywność i amunicję poprzez labirynt tuneli, który łączy ich ze światem zewnętrznym. Mogli tam tkwić w nieskończoność.

- Prawdopodobieństwo dokonania dużych szkód jest znaczne - zawyrokował generał.

Świadomi, że zadrażnienia religijne w kraju o największej w świecie liczbie wyznań mogą rozsądzić delikatną równowagę narodu, ojcowie niepodległości milcząco uzgodnili, że święte miejsca pozostaną nietykalne. Za tą ugodą schronił się Bhindranwale, pewny, że wojsko nigdy nie odważy się interweniować. Przeciw niemu stanęła kobieta, zmęczona, wystraszona, zraniona na duszy, wyczerpana władzą, pozbawiona śmiałości i wojennego zapału, dzięki którym zwyciężyła niegdyś w konflikcie o Bangladesz.

Indira czuła się zakładnikiem terrorystów, którzy nie zostawili najmniejszego pola do negocjacji, co doprowadzało ją do rozpacz. Coraz bardziej zaniepokojona zdała sobie sprawę, że jedynym rozwiązaniem, jakie pozostało, jest użycie siły. Sytuacja przypominała wojnę o Bangladesz; wówczas także wiedziała, że w końcu będzie musiała ogłosić wojnę. Tylko że wtedy rzecz nie dotyczyła polityki wewnętrznej ani sporów religijnych. Miała do czynienia z wrogiem zewnętrznym i mogła przewidzieć konsekwencje swoich działań. Tym razem były one nieprzewidywalne. Widząc ją tak podłamaną, Pupul spytała, czy nie za dużo bierze na swoje barki. Indira chwilę milczała, po czym odrzekła: „Nie mam wyjścia. Odpowiadam za to”.

W 1983, rok po wyjeździe Rahula do Doon School, przyszła kolej na Priyankę, którą postanowiono posłać do Welham School, żeńskiego odpowiednika szkoły brata, położonej również w górach, około dwustu kilometrów od Delhi. Sonia nagle zaczęła mieć bardzo dużo wolnego czasu, nie mogła go jednak poświęcić dla siebie. Musiała towarzyszyć mężowi w wyprawie do Amethi, jego okręgu wyborczego. Maneka po osiągnięciu minimalnego wymaganego wieku zdecydowała się zgłosić swoją kandydaturę w następnych wyborach w okręgu, z którego kiedyś został wybrany jej mąż, i w ten sposób pozbawić mandatu Rajiva. Regularne wyzwanie. To, że zniknęła z domu, nie oznaczało, że przestała istnieć. Podczas wieców kreowała się na wdowę wyrzuconą z domu z dzieckiem na rękach, zmuszoną do szukania środków do życia wskutek niegodziwości szwagra i jego cudzoziemskiej żony. Nie była to prawda, ale jej słowa brzmiały jak proste historie o krzywdzie płynącej z rodzinnej zawiści, które tak podobały się zwykłym ludziom. Przez swoją rodzinę została przedstawiona w Amethi jako „triumf męstwa”. Teraz, kiedy nie obawiała się osobistego spotkania z Indirą, stała się jeszcze bardziej agresywna. Puściła w obieg rodzinne listy, krytyczne w stosunku do Rajiva, i w jednym z przemówień porównała Indirę do bogini Kali „pijącej krew”, doprowadzając do paroksyzmu zwyczajowo złe relacje między teściową a synową. Mściła się za to, że rodzina wykluczyła ją ze wszystkich kommemoratywnych uroczystości. Nie została zaproszona nawet w drugą rocznicę śmierci Sanjaya, toteż w odpowiedzi zwołała wiec wdów i rozdawała darmowe ubrania. Dla pani premier wyzwanie Maneki było równie albo nawet bardziej poniżające niż znacznie groźniejsze wyzwanie

szalonego Bhindranwalego. Bolało ją jednak bardziej, bo dotyczyło intymnej tkanki rodziny.

„Mama jedzie ze mną do Amethi - pisał Rajiv do syna. - To dla niej trudne, ponieważ na początku wszyscy będą się jej przyglądać i będzie czuła się niezręcznie, dopóki się nie przyzwyczai. Jest bardzo dzielna". Sonia po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak wygląda życie indyjskiego polityka podczas kampanii. Musi on pokonać mnóstwo kilometrów samochodem o twardym zawieszaniu po pełnych wykrotów drogach, wytrzymać upał, kurz i muchy w wioskach, pić herbatę proponowaną przez mieszkańców, potem następną i jeszcze następną, by nie ranić uczuć ludzi. Przynajmniej teraz swobodnie mówiła w hindi i mogła rozmawiać z wieśniakami, którzy pytali ją o dzieci, teściową i o szczegóły burzliwego konfliktu rodzinnego: „Czy Indira będzie mogła zobaczyć wnuka?" - dopytywały się kobiety. „Czy prawdą jest, że Maneka nie ma nawet na jedzenie?" Mieszkańcy wsi nie byli w pełni przekonani, że to Maneka jest prawdziwą spadkobierczynią dynastii Nehru - Gandhi, czemu dali wyraz przy urnach. Rajiv znowu wygrał.

Na początku 1984 roku Rajiv stał się jednym z czołowych polityków. Znakomita organizacja igrzysk i skuteczność na stanowisku sekretarza generalnego Kongresu zyskały mu prawdziwy szacunek wielu osób, niezależnie od ich poglądów politycznych. Jego biuro stanowiło wzór dobrej organizacji. W porównaniu ze starymi partyjnymi wyjadaczami, w większości skorumpowanymi pochlebcami, Rajiv był wzorem cnót, a przede wszystkim człowiekiem skutecznym i uczciwym. Zerwał kontakty z mętnymi indywiduami krążącymi wokół brata i otoczył się technokratami, młodymi ludźmi wyglądającymi jak menadżerowie, należącymi do nowoczesnego pokolenia, które wierzyło w technikę, statystyki i komputery. Wielu z nich było jego kolegami z

Doon School, innych znał z Cambridge, wszyscy woleli mówić po angielsku niż w hindi. Żyli teraźniejszością, nie byli intelektualistami, ale pragmatykami, całkowicie obcymi wszystkiemu, co łączyło się z religią, ideologią i przesądem. Zarówno oni, jak i Rajiv sprzeciwiali się pasywnej postawie Indiry w sprawie Pendżabu. Pani premier, idąc za radami guru Dhirendry Brahmachariego, zaczęła składać ofiary w nadziei, że jakiś cud rozwiąże kryzys w Złotej Świątyni.

- Należy na zawsze oddalić go z domu - powiedział Rajiv do Soni, mając już dość guru.

Do czarnych myśli gnębiących umysł Indiry nie należało dodawać jeszcze większej dozy ezoteryzmu ani kolejnych lęków. Przeciwnie, potrzebowała zimnej kalkulacji i trzeźwego spojrzenia na rzeczywistość. Nadal była pogrążona w głębokiej depresji. Zbyt wiele wyzwań, zbyt wielkie zmęczenie. Sanjay kultywował przyjaźń z guru tylko dlatego, że był on dla niego użyteczny, nie wierzył w jego tajemne moce. „Latający asceta” potrafił kupować awionetki, handlował bronią, kontraktował płatnych morderców i prał brudne pieniądze - to były zdolności, które Sanjay w nim podziwiał i które wykorzystywał do własnych potrzeb. Prostolinijny i uczciwy Rajiv stanowił antytezę zarówno brata, jak i guru, osobnika bystrego, podstępnego, nieuczciwego i zupełnie niezeuropeizowanego. Sonia i Rajiv nie chcieli go dłużej tolerować w domu.

- Co możemy zrobić?

- Postaram się, by skasowali jego cotygodniowy program w telewizji i obcięli subwencję dla jego aśramów.

Osiągnął, co zamierzył, ponieważ wzrosły jego wpływy polityczne. Aby nie ranić Indiry, Sonia i najbliżsi doradcy Rajiva wychwalali jego osiągnięcia, aż w końcu pani premier dała się przekonać, że strategiczne plany syna stanowią jedyne rozwiązanie problemów Indii. Stopniowo zaczęła zapominać o

mistycyzmie guru i przestała składać ofiary bogom, by oddalić kryzys w Pendżabie. Ku wielkiej uldze Soni guru przestał się pojawiać przy rodzinnym stole. Stało się to prawie niezauważalnie. „Przykro mi, ale pani nie ma czasu pana przyjąć” - mówiła służba, kiedy zabiegał o spotkanie z Indirą.

Po raz pierwszy w całym swoim życiu Indira nie korzystała z uroków wiosny w lutym, jej ulubionym miesiącu, w którym nie doskwierał już chłód zimy, a jeszcze nie nadeszły mordercze przedmonsunowe upały, które zaczynały się dopiero w marcu. W lutym miasto napełniało się ciepłem, drzewa rozpoczynające wegetację stawały się intensywnie zielone, a klomby kwiatów ożywiały barwami ogrody. Temperatura była doskonała, delikatny wiatr chłodził powietrze w nocy. Dawniej, mimo wszystkich trudności i problemów, Indira o tej porze roku zawsze popadała w euforyczny nastrój. Tym razem tak nie było. Czowała się odizolowana i smutna, a sikhijski przywódca okopany w Złotej Świątyni pozbawiał ją snu. Wysłuchiwała już wszystkich i nadal nie wiedziała, co ma zrobić. W sytuacjach bez wyjścia można tylko starać się zyskać na czasie, czekać i zachować ufność - powtarzała Indira swoim bliskim współpracownikom.

Idąc za radą Rajiva, podjęła ostatnią próbę dyplomatycznego rozwiązania kryzysu w Pendżabie. Zgodziła się na wiele ustępstw na rzecz zwolenników niepodległości, ale natrafiła na nieprzejednany opór zarówno członków partii umiarkowanej, jak i samego Bhindranwalego. Większość z siedmiu milionów sikhów była równie zaniepokojona sytuacją wywołaną przez ekstremistów i lokalny rząd. Zamiast negocjować, lider partii umiarkowanych nacjonalistów uczynił krok, którym przypieczętował zerwanie i tylko przybliżył katastrofę. Ogłosił bowiem, że począwszy od trzeciego czerwca, czyli rocznicy męczeństwa guru Ardżuna, budowniczego Złotej Świątyni, zostanie wstrzymany cały

eksport energii elektrycznej i ziarna z Pendżabu. Ironia groźby nie mogła ująć uwagi Indiry. Jeśli Pendżab był spichlerzem Indii, to tylko dlatego, że skorzystał bardziej niż inne stany na „zielonej rewolucji”, ambitnym programie rozwoju rolnictwa, który wprowadził Nehru, a kontynuowała jego córka, by skończyć z klęskami głodu w Indiach. Teraz okazało się, że garstka fanatyków grozi zerwaniem więzów z państwem, czym skazuje na śmierć głodową biedaków z innych stanów, jeśli rząd centralny nie ugnie się przed ich żądaniem. Konflikt osiągnął impas. Ku swojemu wielkiemu ubolewaniu Indira musiała stawić mu czoła, czyli wyprowadzić siłą Bhindranwalego i jego zwolenników ze świątyni.

Przed skonsultowaniem decyzji z szefem sztabu musiała porozmawiać z Sonią.

- Soniu, myślę, że lepiej byłoby zabrać dzieci z college'u. Boję się o nie. Służby specjalne ostrzegły mnie, że są celem terrorystów. Nic nowego. Wszyscy jesteśmy celem tych fanatyków. Ale ponieważ sytuacja w Pendżabie się pogarsza, coraz trudniej będzie zagwarantować im bezpieczeństwo w szkole. Doradzono mi, żeby je zabrać i przywieźć do Delhi.

- Ale ty tutaj, kiedy rano wychodzisz do ogrodu, żeby porozmawiać z ludźmi, masz jednego uzbrojonego ochroniarza!

- To ma się skończyć, w domu również zostanie wzmocniona ochrona.

- Dobrze, jutro je zabiorę. Jakoś zorganizujemy im naukę tutaj...

Sekretarz Indiry przerwał tę rozmowę. Wódz naczelny czekał w salonie. Przyszedł z meldunkami służb specjalnych pod pachą.

- Pani premier, są uzbrojeni po zęby. Okopani terroryści nadal zaopatrują się w nowoczesną broń. Szmuglują ją w

bańkach z mlekiem i w workach z ziarnem, a wysyłkę finansują sikhowie mieszkający za granicą.

Indira zamyśliła się, czy ma jeszcze sens czekanie na cud. Potem zwróciła się do szefa sztabu i zapytała:

- Jak powinniśmy postępować w razie ataku?

Mężczyzna sapnął. Znajdował się w niezręcznej sytuacji. Nie bardzo wierzył w powodzenie misji:

- Widzę wiele zagrożeń. Moim obowiązkiem jest panią ostrzec. Uważam, że lepszy byłby szybki i zmasowany atak odpowiednio dużymi siłami...

- Lepszy niż oblężenie? - przerwała Indira.

- Już są otoczeni, a nadal dociera do nich broń. Bardziej wierzę w szybki i miażdżący atak.

- O jakim terminie rozmawiamy?

- Około czterdziestu ośmiu godzin. Im szybciej, tym mniejsze straty.

- W siłach oblegających muszą znaleźć się urzędnicy i żołnierze sikhijscy. Ten atak nie może być interpretowany jako przejaw agresji o charakterze etnicznym, jako atak Hindusów na sikhów.

- Bez wątpienia. Oficerem delegowanym do tego zadania jest sikh, komendant Kuldip Singh z dziewiątej dywizji.

- Należy przekazać wojsku bardzo dokładne instrukcje, by uniknąć uszkodzenia Złotej Świątyni. Społeczność sikhijska by nam tego nie wybaczyła.

- Poinstruujemy wojsko. Ale walka z terrorystami będzie ciężka, pani premier, nie mogę niczego zagwarantować.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

W duszny upalny dzień, trzydziestego maja, wojsko otoczyło miasto Amritsar. Gwar na ulicach ucichł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. W przeraźliwej ciszy święte miasto przypominało widmo.

Drugiego czerwca ogłoszono w mediach, że Indira przemówi do narodu o wpół do dziewiątej wieczorem. Sonia jadła z nią śniadanie i zauważyła, że jest zmartwiona, pełna pesymizmu i jakby niezdecydowana. Nie podobał jej się pomysł ataku „na dom boży”. Narzekała, że ma problemy z pisaniem przemówienia. W ostatniej chwili dokonała tylu poprawek, że jej wystąpienie w telewizji opóźniło się aż o trzy kwadranse. Ze zgnębnym wyrazem twarzy przemówiła w poważnym tonie: „To nie jest czas gniewu. Jedność i integralność ojczyzny zostały zakwestionowane przez garstkę ludzi, którzy schronili się w świętym miejscu. Wzywam ponownie partie umiarkowane, by nie oddawały swojej władzy w ręce Bhindranwalego”. Zakończyła, apelując do zdrowego rozsądku wszystkich mieszkańców Pendżabu: „Nie przelewajcie krwi, pozbądźcie się nienawiści. Połączmy się, by wyleczyć rany”. Słuchając jej przemówienia, Pupul zdała sobie sprawę, że najbliższe dni będą tragiczne dla Indiry i dla kraju. I rzeczywiście, w chwili gdy przemawiała, wojsko zajmowało pozycje wokół zespołu Złotej Świątyni. Rozpoczynała się operacja „Niebieska gwiazda”.

Następnego dnia korespondenci zagraniczni zostali poproszeni o opuszczenie Pendżabu. Zawieszono ruch autobusów, pociągów i samolotów, także połączenia telefoniczne i teleksy. Stan odizolowano od reszty świata w ramach przygotowań do ostatecznego ataku. W sanktuarium Akal Takht, budowli przylegającej do Złotej Świątyni, Bhindranwale w niebieskiej tunice, z pasami nabojów skrzyżowanymi na piersi, pistoletem w lewej i szablą w prawej ręce, oświadczył garstce miejscowych dziennikarzy: „Jeśli władze wejdą do świątyni, damy im taką lekcję, że zawali się tron Indiry. Pokroimy ich na kawałeczki... niech przychodzą!” (Opis wydarzeń oparty jest głównie na: Tully Mark, Satish Jacob, Amritsar: Mrs Gandhis Last Battle, Cape,

London 1985, i Sing Kushwant, Truth, Love & a Little Malice)

O czwartej po południu piątego czerwca oficerowie uzbrojeni w megafony wezwali wszystkich cywilów do opuszczenia zespołu świątynnego, a terrorystom nakazali się poddać. Wyszło stu dwudziestu sześciu sikhów, w większości mężczyzn - pielgrzymów i ludzi, którzy przyszli się pomodlić. Nie uczynił tego jednak żaden ze zwolenników Bhindranwalego. Nocą, kiedy helikopter krążył nad świątynią, oddział dziewięćdziesięciu komandosów przedostał się na teren zespołu. Żołnierze napotkali zaciekły opór. Ponad połowa komandosów została zastrzelona przez ekstremistów.

Szef sztabu natychmiast poinformował panią premier o poniesionych stratach. Początek ataku nie mógł być bardziej zniechęcający. Ale nie było już odwrotu. Decyzje zapadły. Indira nie spała całą noc, świadoma, że dokonano świętokradztwa najbardziej czczonych symboli sikhijskiej religii. Dlaczego los postawił ją w takiej sytuacji? Jaką cenę będzie musiała zapłacić za to, co teraz robi wojsko? Poczowała, jak dreszcz przebiega jej po plecach. Jednego była pewna: że ani rząd, ani ona sama nie wyjdą z tego konfliktu bez szwanku. Karma zawsze każdego dopadnie. Mimo to o ósmej rano szóstego czerwca, doskonale ubrana i uczesana, spotkała się w ogrodzie z dziennikarzem „Sunday Timesa”. Temperatura dochodziła już do czterdziestu stopni. Dziennikarz dostrzegł, że Indira jest napięta i zmęczona. Na sam koniec zadał jej pytanie:

- Jak pani myśli, co stanie się z Indiami, gdy pani przestanie być premierem?

- Indie przeżyły już długi czas, bardzo długi - tysiące lat. Moje sześćdziesiąt sześć to w porównaniu z tym niewiele. W swojej długiej historii przeżywały zmienne koleje losu i zawsze wychodziły zwycięsko.

W chwili gdy udzielała wywiadu, pięćset kilometrów na północ od New Delhi, w Złotej Świątyni, toczyła się regularna bitwa, powodując spustoszenia. W piekielny upał, w blasku słońca odbijającego się w złoconej kopule, indyjscy żołnierze padali jak muchy pod ostrzałem bojowników Bhindranwalego. Znowu ponad setce ludzi nie udało się zdobyć budynku, w którym okopali się terroryści.

Przekazane żołnierzom instrukcje, zabraniające użycia maksymalnej siły i nakazujące zachowanie głównej świątyni w jak najlepszym stanie, nie miały już żadnego sensu. Dowództwo, nie widząc innego rozwiązania, jak tylko kontynuowanie ataku, wysłało po południu artylerię wspartą czołgami i pojazdami opancerzonymi. Nie było wyjścia: aby zneutralizować Bhindranwalego i jego ludzi, należało zbombardować Akal Takht, powodując ogromne szkody w świątyni, którą wzniósł prawdziwy apostoł pokoju, piąty guru. To on nalegał, aby budowla - na znak pokory - stanęła poniżej poziomu pozostałych świątyń.

Po jednym dniu krwawej walki Akal Takht niemal w całości zostało zrównane z ziemią. W nocy szóstego czerwca, gdy generałowie poszli obejrzeć pole bitwy, nie pozostała ani jedna stojąca kolumna, a pocernione marmurowe ściany były podziurawione kartaczami. W piwnicy znaleźli ciało Bhindranwalego. Jego długa niebieska tunika była czarna od krwi. Leżał razem ze swoimi trzydziestu jeden bojownikami. Nie przeżył żaden świadek męczeństwa kaznodziei - terrorysty. W innym pomieszczeniu żołnierze napotkali zaskakujące dokumenty: listę wszystkich ofiar, które Bhindranwale kazał zabić, oraz ogromną torbę listów z wyrazami podziwu nie tylko od obywateli Indii, lecz także od zwolenników z całego świata.

Koszt wygranej bitwy okazał się znacznie wyższy od tego, jaki przewidywał naczelny dowódca. O wiele wyższy, niż

mogli to sobie wyobrazić wstrząśnięci Indira i Rajiv. Operacja „Niebieska gwiazda” była w rzeczywistości hekatombą. Zginęła ponad połowa z tysiąca wysłanych do Amritsaru żołnierzy. Także tysiąc pielgrzymów, których nie zdołano wcześniej wyprowadzić. Spłonęła również biblioteka głównej świątyni - tej, której pod żadnym pozorem nie wolno było uszkodzić - a wraz z nią oryginalne rękopisy sikhijskich guru. Dla całej społeczności sikhijskiej atak ten był porównywalny z tym, czym dla katolików byłoby zniszczenie Watykanu. Niewybaczalnym świętokradztwem. Dokładnie tego Indira chciała uniknąć.

- Lękam się, kiedy dzieci bawią się w ogrodzie - powiedziała Indira do Soni, patrząc przez okno w jadalni na Rahula dokazującego z psem na trawniku.

Dzieci wróciły do New Delhi po ostrzeżeniach służb specjalnych, które znalazły ich nazwiska na czarnej liście pewnej grupy sikhijskich ekstremistów. Codziennie rano, pod silną ochroną, udawały się do swoich college'ów. Resztę dnia spędzały w domu. Rzadko wychodziły. Zwykle zaproszenie na urodziny pociągało za sobą złożoną operację służb bezpieczeństwa. „Tak jakby jakiś cień przeniknął w nasze życie” - powiedziała Sonia do Rajiva. Indira doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że atak boleśnie zranił wszystkich sikhów w Pendżabie, i była przekonana, że ją zamordują. Figurowała jako pierwsza na listach ekstremistów. Inna grupa, która zaprzysięgła zemstę za zbezczeszczenie Złotej Świątyni, groziła, że zabije nie tylko Indirę, lecz także wszystkich jej potomków aż po setne pokolenie. Kiedy Rajiv i Sonia o tym usłyszeli - pobledli. Ale Indira im to powiedziała, ponieważ pragnęła, by potraktowali serio drakońskie środki bezpieczeństwa, jakie właśnie wprowadzono. Ona sama, przestrzegając zaleceń policji, nosiła kamizelkę kuloodporną pod bluzką sari za każdym razem, gdy wychodziła z domu.

Chciała, aby Rajiv i Sonia robili to samo.

- To nie są żarty - powiedziała.

- Wiem - odparł Rajiv. - Nie martw się, też ją włożę.

Zapadła cisza. Indira była melancholijna, a jej głos brzmiał ponuro.

- Kiedy to się zdarzy, chciałabym, żebyście rozrzućili moje prochy nad Himalajami. Zostawiłam pisemne instrukcje w sprawie mojego pogrzebu. Leżą w drugiej szufladzie sekretarzyka w moim pokoju.

- Nie uprzedzaj faktów - powiedział Rajiv obłudnym tonem, aby rozładować napięcie. - Jeszcze nie nastąpiła ta krytyczna chwila.

Ale Indira była niespokojna. Później chciała rozmawiać sam na sam z czternastoletnim wnukiem Rahulem.

- Boję się, że chcę wam zrobić krzywdę. Bardzo was proszę, ciebie i twoją siostrę, żebyście nie bawili się więcej za ogrodzeniem, przy ścieżce do biur na Akbar Road - powiedziała, pokazując mu miejsce w ogrodzie, gdzie widziała go z psem. - Bardzo mi przykro, że musicie znosić takie ograniczenia, ale nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś wam się stało.

- Co nam się może stać tutaj, w domu, babciu?

- Mogą was zabić, mówiąc wprost.

Poważny ton Indiry sprawił, że chłopiec popatrzył na nią z niedowierzaniem: chyba babcia przesadzała.

- Proszę, nie oddalajcie się - kontynuowała. - Wielu fanatyków bardzo by się ucieszyło, gdyby im się udało was skrzywdzić. Skrzywdzić nas wszystkich. To, co mogą mi zrobić, mnie nie obchodzi. Zawsze w moim życiu robiłam wszystko to, co powinnam, i wszystko, co mogłam, ale wy... Nawet nie chcę o tym myśleć.

Rahul stał ze spuszczoną głową, skruszony. Indira mówiła dalej. Porzuciła swój opiekuńczy ton i rozmawiała z wnukiem poważnie, w sposób, którego on jeszcze nie znał i który zrobił na nim wrażenie.

- Jeśli coś mi się stanie, nie chcę, żebyście płakali, dobrze? Kiedy nadejdzie ta chwila, musisz być dzielny. Przrzekasz mi?

Chłopiec podniósł oczy na babcię i przrzekł.

*

Podczas tych miesięcy 1984 roku Indira wiele podróżowała po subkontynencie. Podróże te czasem

przypominały pożegnanie, ze względu na sposób, w jaki mówiła o sobie i o tym, jak chciałaby być wspomniana. W niektórych wywiadach dokonywała podsumowania swojego życia, w innych wypowiadała się tak, jakby stała ponad polityką krajową. Zawsze miała duszę męża stanu, teraz jej globalne spojrzenie uwidoczniło się w przesyconych mądrością przemówieniach. „Kiedy kraj tak stary jak ten nagle wrzucimy do nowej technicznej kultury... co stanie się z wiejską mentalnością? Czy świętość i misterium przeżyją? Coś we mnie mówi, że Indie przetrwają, nie naruszając swoich wartości”. Na początku października, gdy ostatnie już deszcze monsunowe oczyściły niebo, drzewa i na nowo pozieleniały rośliny, Indira przemawiała w New Delhi do jak zwykle ogromnego tłumu ludzi - jeszcze jeden z wielu dialogów, które prowadziła z narodem indyjskim w ciągu ostatnich dekad. Mówiła o męstwie i odwadze, wartościach najwyższych, przestrzegając przed największym zagrożeniem wiszącym nad krajem: presją fanatycznych sił, kast i grup religijnych mogących zburzyć integralność Indii. To przemówienie spodobałoby się jej ojcu. Tak, jedność Indii stanowiła wartość najwyższą, ponieważ gwarantowała każdemu, niezależnie od pochodzenia, przynależności etnicznej czy wyznawanej religii, zasady państwa prawa.

Jedenastego października, tysiące kilometrów od Indii, zdarzyło się coś, co pogrążyło Indirę w jeszcze czarniejszych myślach: IRA zorganizowała zamach bombowy na Margaret Thatcher podczas konwencji Partii Konserwatywnej. Angielska premier była o włos od śmierci. Indira natychmiast do niej zadzwoniła. Lepiej niż ktokolwiek inny rozumiała słabość i panikę swojej koleżanki. Chociaż „Żelazna Dama” zachowała publicznie niewzruszone oblicze, w głębi duszy była wystraszona, jak każdy w podobnej sytuacji. Panie premier od ośmiu lat darzyły się przyjaźnią, lecz dla Margaret

Thatcher - w odróżnieniu od Indiry - zamach był niespodzianką i zaskoczeniem. Nigdy wcześniej w Anglii nie zdarzyło się nic podobnego, jeśli pominąć zabójstwo lorda Mountbattena, także będące dziełem IRA, tyle że on w chwili zamachu nie był urzędującym szefem państwa, ale emerytem płynącym łodzią z wnukiem. Indira była znacznie bardziej oswojona z gwałtowną śmiercią. Przeżyła zabójstwo Gandhiego i Mujibura Rahmana, śmierć Sanjaya. Nie tak dawny zamach stanu w Chile i niejasne okoliczności śmierci Salvadora Allende wywołały u niej traumę, która dręczyła ją do tej pory. Zawsze myślała, że jej życie zakończy się podobnie. Kiedy jednak minister obrony starał się ją przekonać, by dla większego bezpieczeństwa przyjęła ochronę wojska zamiast policji, odpowiedziała:

- Wybij to sobie z głowy. Jestem szefem demokratycznego rządu, a nie junty wojskowej (Malhotra Inder, Indira Gandhi, a Personal and Political Biography, Hodder & Stoughton, London 1989, s. 304).

Kilka dni później Ashwini Kumar, szef ochrony, wydał rozkaz, żeby wszyscy ochroniarze sikhijscy delegowani do rezydencji Indiry zostali odsunięci i zastąpieni funkcjonariuszami innego wyznania. Ale Indira się sprzeciwiła i zawetowała ten rozkaz. Stał on bowiem w sprzeczności z jej najważniejszym politycznym credo, że w państwie świeckim nie czyni się żadnej różnicy między religiami. Ashwini Kumar, zmieszany i sfrustrowany, powiedział: „Pani premier jest bardzo dobrze chroniona przed atakiem z zewnątrz, a co... jeśli atak nadejdzie od środka?” Indira ledwie go słuchała i odrzekła: „Czyż nie jesteśmy bezwyznaniowi?”

Ta jesień była także jesienią jej życia. W listopadzie Indira miała skończyć sześćdziesiąt siedem lat. Gnębiło ją złe przeczucie, które jeszcze wzmocnił zamach na panią Thatcher.

Nikommu o tym nie mówiąc, w połowie października napisała oświadczenie, które później odnaleziono w jej papierach: „Jeśli przyjdzie mi zginąć gwałtowną śmiercią, zgodnie z obawami jednych i planami drugich, przemoc będzie w myślach i działaniach mordercy, a nie w fakcie mojej śmierci, ponieważ nie istnieje wystarczająco czarna nienawiść, która zdołałaby rzucić cień na miłość, jaką żywię do mojego kraju i do mojego narodu, nie istnieje siła zdolna odwieść mnie od celu moich zabiegów: rozwoju kraju. Pewien poeta napisał o miłości: «Jak mógłbym czuć się ubogi z całym bogactwem ciebie u mojego boku?» To samo ja mogę powiedzieć o Indiach". Czy słowa te wynikały z depresji, czy może podyktowało je przecucie? Niewątpliwie świadczyły o tym, że Indira uznała, iż dokonała właściwego wyboru, gdy zdecydowała się kontynuować tradycję rodzinną, a służbę Indiom przedłożyła nad dążenie do osobistego szczęścia.

Nadeszło Diwali, wielkie hinduskie święto ku czci zwycięstwa światła nad ciemnością. Niebo nad miastem rozjaśnił potężny blask, a wybuchy petard rozbrzmiewały z daleka. Wszędzie migotały żarówki, lampki i świece. Dzielnice slumsów przypominały szopki betlejemskie, a domy przy wielkich alejach New Delhi były rozjaśnione wyszukаныmi i okazałymi girlandami świateł. Rajiv wrócił z Orisy, by jak co roku spędzić święta z rodziną. Wierna starym zwyczajom Indira zapaliła w ołtarzyku przy wejściu lampkę oliwną przed figurą boga słonia Ganeśa patronującego szczęściu. Następnie cała rodzina spełniła rytuał oświetlenia domu świecami i lampkami oliwnymi, a dzieci zaczęły odpalać petardy. Wśród huku wystrzałów Indira usłyszała, jak Rajiv mówi, że następnego dnia musi wyjechać wcześniej rano.

- Dokąd jedziesz? - zapytała.
- Do Bengalu...

- Do Bengaluru? Ciekawe. Wiesz, że tam wierzą, iż dusze zmarłych rozpoczynają swoją wędrówkę właśnie dzisiaj, w dniu Diwali? Ludzie zapalają lampki, aby wskazać im drogę...

Słowa Indiry nie wzbudziły wówczas żadnej reakcji. Bliscy byli już przyzwyczajeni do tego rodzaju uwag, które przypisywali jej depresyjnemu stanowi ducha. Jednak Sonię zmartwiły i poruszyły tak bardzo, że dostała tej nocy ataku astmy. O czwartej nad ranem zapaliła lampkę przy nocnym stoliku i wstała, aby pójść do apteczki. Starła się nie zbudzić Indiry, śpiącej w sąsiednim pokoju. Jakże się zdziwiła, gdy teściowa w nocnej koszuli pojawiła się z lampką w ręku.

- Pozwól, że pomogę ci poszukać leków - wyszeptała Indira, która chyba wcale nie spała.

Znalazła je i poszła po szklanek wody dla Soni.

- Zawołaj mnie, jeśli znowu się źle poczujesz - poprosiła.
- Postaraj się odpocząć.

- Chcę, żebyś ty też odpoczęła... Nie możesz zasnąć?

- Nie... Myślałam o tym, żeby na weekend pojechać do Kaszmiru. Chciałabym zobaczyć kwitnące platany wschodnie. Widziałas je kiedyś?

Sonia zaprzeczyła ruchem głowy. Indira mówiła szeptem:

- To najpiękniejsze ze wszystkich drzew, rosną tylko w Kaszmirze. Wyglądają trochę jak platan, a trochę jak duży klon, jesienią skrzą się barwami... czerwienią, oranżem, brązem, żółcią. Pamiętam ten spektakl z dzieciństwa. Jeden platan wschodni rośnie w Śrinagarze, jestem w nim zakochana od dziecka. Najpiękniejszy ze wszystkich... Chciałabym go znowu zobaczyć.

„Wydawało się, że to drzewo ma dla niej specjalne znaczenie - opowiadała Sonia. - Czy przypadkiem nie była to potrzeba pożegnania się ze swoimi korzeniami, wspomnieniami i tym wszystkim, czym był dla niej Kaszmir?”

Indira wahała się, czy zostać w Śrinagarze dłużej niż jedną noc, martwiła się bowiem o astmę Soni. Ale synowa ją zachęciła i w końcu Indira pojechała z wnukami. Chciała pokazać im tę piękną, rajską ziemię, z której się wywodzili. A po drodze swoje drzewo.

W Śrinagarze i okolicach przebywali trzydzieści sześć godzin. Ku wielkiemu rozczarowaniu Indiry drzewo jej dzieciństwa niedawno zakończyło życie. Bardzo ją to poruszyło. Zawsze była przesadna, a teraz odczytała śmierć stuletniego platana jako znak przeznaczenia. Nie okazała jednak niepokoju. Zabrała wnuki na przejażdżkę śikarą, łodzią przypominającą kształtem gondolę, po połyskliwych, porośniętych lotosem wodach jeziora Dal. Opowiadała im o swoich ostatnich wakacjach z dziadkiem Ferozem, które spędzili w jednej z barek przerobionych na mały hotel. Mówiła też o miłości do gór, którą odziedziczyła po ojcu, i o tym, że Kaszmir zawsze był dla niej i dla Nehru ideą Edenu. Na koniec pokazała im platany o płomiennych barwach.

Odwiózłszy wnuki do hotelu, w towarzystwie jednego ochroniarza wspięła się na świętą górę, gdzie w świątyni mieszkał pewien stary mędrzec. Spędzili razem kilka godzin. „Indira powiedziała mi, iż czuje, że jej czas się kończy i że otacza ją śmierć. Ja także to czułem” - zwierzył się starzec, który wykorzystał okazję, by zaprosić ją na otwarcie nowego budynku dostawionego do aśramu. „Przyjadę, jeśli nadal będę żyła” - odpowiedziała mu Indira.

„Powrócili do Delhi dwudziestego ósmego października - zapisała Sonia. - Indira spędziła z nami spokojny wieczór w salonie. Jak to miała w zwyczaju, wzięła ze swojego gabinetu wiklinowy taboret, teczki i zajęła się pracą, od czasu do czasu rzucając okiem na telewizor albo z nami rozmawiając” (Gandhi Sonia, Rajiv, s. 8). Indira planowała ogłosić wybory powszechne bardzo szybko, może nawet za dwa miesiące.

Nocą Sonia pomogła jej przygotować ubranie na podróż do Orisy na wschodnim wybrzeżu, dokąd Indira wyruszyła następnego dnia. Teściowa wybrała bordowe sari. Aktor Peter Ustinov reżyserował dla BBC film dokumentalny o Indirze i zamierzał sfilmować jej podróż po tym stanie, jednym z najbiedniejszych w Indiach. W Bhubaneśwarze, stolicy Orisy, pani premier wygłosiła poruszające przemówienie, w którym opisywała wielkie chwile w historii Indii od czasów starożytnych aż po walkę o niepodległość. Nagle, pod koniec, zmieniła wyraz twarzy i ton głosu. „Dzisiaj jestem tutaj, jutro może mnie już nie być - powiedziała. - Nieważne, czy żywa, czy martwa... nadal będę służyć mojemu narodowi aż do ostatniego tchnienia, a kiedy umrę, każda kropla mojej krwi ożywi i wzmocni mój kraj, wolny i zjednoczony". Potem skierowała się do Domu Gubernatora, gdzie zamierzała przenocować.

Gubernator był zdziwiony jej aluzją do gwałtownej śmierci.

- Jestem tylko realistką i osobą uczciwą - powiedziała Indira. - Widziałam mojego dziadka i moją matkę, jak umierali powoli w bólach, dlatego wołałabym umrzeć, stojąc.

Rozmowę przerwała wiadomość o niegroźnym wypadku samochodu terenowego, którym jej wnuki jechały tego ranka do college'u. Nikt nie został ranny. Ale Indira śmiertelnie pobiła ze zdenerwowania. Znowu dała o sobie znać jej stara przyjaciółka paranoja. Pani premier postanowiła natychmiast wrócić do Delhi.

Sonia nie spała, kiedy teściowa zjawiała się o trzeciej nad ranem.

- Jak się mają dzieci? - spytała zmartwiona Indira.

- Dobrze. Śpią. Nic im się nie stało.

Główny sekretarz Indiry przyszedł się z nią zobaczyć. Zastał ją bardzo zmęczoną. Nadal miała na sobie to samo

bordowe sari, pogniecione i zakurzone. Była przekonana, że poranny incydent był częścią spisku mającego na celu porwanie wnuków i zaatakowanie jej samej. Nic z tego, co mówił sekretarz, nie mogło zmienić jej opinii. Nalegała, żeby pomówili o pilnych sprawach dotyczących Kaszmiru i Pendżabu.

- Nie wolałaby pani odłożyć tego do jutra? - zasugerował sekretarz.

- Nie, pomówmy teraz. Jutro chcę trochę odpocząć. Mam spotkanie z byłym premierem brytyjskim Jamesem Callaghanem, a wieczorem oficjalną kolację na cześć księżniczki Anny...

- Wszystko jest gotowe do kolacji, nie przejmuj się - powiedziała Sonia. - Potrzebuję tylko, żebyś mi powiedziała, jak chcesz posadzić gości.

- Jutro rano zrobię notatkę.

Sonia pożegnała się i poszła się położyć.

Kiedy Indira skończyła omawianie z głównym sekretarzem nierozstrzygniętych spraw, zawołała Dhawana, drugiego sekretarza, i poprosiła, by odwołał wszystkie zaplanowane na następny dzień spotkania, z wyjątkiem rozmowy z Peterem Ustinovem, który przed południem chciał przeprowadzić z nią wywiad, i spotkania z delegacją brytyjską po południu. Była bardzo zmęczona.

Dwie godziny później, o szóstej rano, wstała. Wykonała swoje ćwiczenia jogi, wzięła prysznic i wybrała piękne jedwabne sari w tonach szarobrazowych i szafranowych, z czarną lamówką. Zdecydowała się na te kolory, ponieważ przypominały jej jesienne barwy Kaszmiru, a także dlatego, że słyszała, iż dobrze wyglądają w telewizji. Z tego samego powodu nie włożyła kamizelki kuloodpornej, którą miała nosić pod bluzką, odkąd zwielokrotniły się groźby zamachu na jej życie. Prawdopodobnie nie pomyślała o tym, że według

wierzeń hinduistycznych, zwłaszcza sikhijskich, szafran jest kolorem dymisji. Potem w swoim pokoju zjadła śniadanie: popiła grzankę filizanką herbaty, przeglądając prasę. Rahul i Priyanka przed pójściem do college'u przyszli pogawędzić z nią przez chwilę. Kiedy wnuczka dawała jej pożegnalnego buziaka, zdziwiła się, że babcia tak mocno przytuliła ją do siebie. Przypisała to lękowi, który zapewne czuła po wczorajszym wypadku. Następnie Indira zawołała Rahula, żeby mu powiedzieć: „Pamiętasz o tym, co ci kiedyś mówiłam, że jeśli coś mi się stanie, nie chcę, żebyś po mnie płakał?” Chłopiec potwierdził i zdziwiony pozwolił się uściskać.

Po śniadaniu poszła do swojej garderoby, gdzie oddała się w ręce dwóch makijażystek z ekipy Ustinova. Sonia wstąpiła, żeby jej przedstawić menu na kolację. Indira zawsze troszczyła się o to, żeby nie podać drugi raz tej samej potrawy komuś, kto już wcześniej gościł w jej domu. Nie miały dużo czasu na rozmowę, zaraz przyszedł sekretarz Dhawan z informacją, że ekipa telewizyjna czeka na nią w biurze na Akbar Road.

- Dokończymy omawiać szczegóły podczas obiadu - powiedziała do Soni, wychodząc.

Przeszła przez jadalnię i przedpokój, po czym wyszła z domu. Czysty, świetlisty, pozbawiony mgły poranek zapowiadał cudowny dzień. Słońce zabarwiło na złoto wspaniałą roślinność ogrodu. Panowała doskonała temperatura, a wiatr był jak balsam. Pachniało kwiatami i świeżo skoszoną trawą. Szła ścieżką, która łączyła jej rezydencję z biurem partii przy Akbar Road, wśród gęstwiny kwiatów i zarośli o wiecznie zielonych liściach. Towarzyszył jej policjant; trzymał nad nią czarny parasol chroniący ją od słońca. Kilka kroków z tyłu szedł sekretarz Dhawan, a za nim ochrona. Minęli wielki klon o pożółkłych i poczerwieniałych

liściach. Na końcu ścieżki, teraz ubarwionej bugenwillą, Indira rozpoznała swojego ochroniarza Beanta Singha, który właśnie otwierał małą furtkę wychodzącą na ogród przy siedzibie biura. Trudno było go nie dostrzec, ponieważ Singh był ogromny. Sikh z Pendżabu nosił turban pasujący do munduru w kolorze khaki. Nadchodził w towarzystwie innego ochroniarza, również sikha, którego Indira ledwo знаła. Kiedy się do nich zbliżyła, przerwała rozmowę z sekretarzem, żeby ich przywitać. Uczyniła to w tradycyjny sposób, łącząc dłonie na wysokości piersi, lekko pochylając głowę i wypowiadając słowo: Namaste. W odpowiedzi Beant Singh, chroniący ją wiernie przez ostatnie pięć lat, wyjął z pokrowca pistolet i wycelował go w jej kierunku. Zapadła cisza, która trwała pół sekundy, długa jak wieczność, przerywana śpiewem ptaka ma wysokich gałęziach miodli indyjskiej. „Co ty robisz?” - spytała Indira. W tym momencie Singh strzelił do niej cztery razy z bardzo bliska. Indira podniosła rękę, jakby chciała się osłonić. Ochroniarz obrócił głowę do towarzysza i krzyknął: „Strzelaj!” Drugi ochroniarz opróżnił magazynek karabinu automatycznego Sten - dwadzieścia pięć pocisków - celując w ciało Indiry, która okręciła się wokół własnej osi, zanim osunęła się na wilgotną ziemię ścieżki. Miała otwarte oczy. Wydawało się, że patrzy na korony drzew, a może na niebo. Była dziewięta szesnaście. Upadła dokładnie w tym miejscu, gdzie kilka dni wcześniej widziała wnuka Rahula bawiącego się z psem.

Drugi ochroniarz, który szedł za Indirą w pewnej odległości i nie brał udziału w spisku, podbiegł w jej stronę. Zanim do niej dotarł, seria z karabinu trafiła go w kostkę i upadł twarzą ku ziemi. Pozostali, sparaliżowani strachem, w obawie, że zostaną zastrzeleni, padli na ścieżkę, jakby chronili się za ciałem Indiry. Spodziewali się najgorszego. Wkrótce usłyszeli głosy innych agentów ochrony, którzy przybiegli z Akbar Road, przekonani, że zaczęła się gwałtowna strzelanina. W tym momencie obaj sikhowie rzucili broń. „Zrobiłem to, co musiałem zrobić - powiedział wielki Beant Singh po pendzabsku. - Teraz wy zróbcie to, co do was należy” (Tully Mark, Satish Jacob, Amritsar: Mrs Gandhis Last Battle, s. 2; cyt. w: Frank Katherine, Indira: the Life of Indira Nehru Gandhi, s. 493). W ten sposób dał do zrozumienia, że w imieniu sikhów pomścił profanację Złotej Świątyni. Policjant, który trzymał czarny parasol, doskoczył do zabójcy i powalił go na ziemię. Sekretarz Dhawan, który cudem uniknął obrażeń podczas ostatniej serii z karabinu, zdołał się pozbierać, podpełzł do Indiry i kucnął, aby się nią zająć. Natychmiast przybyli żołnierze z oddziału straży granicznej, pełniący straż w budce wartowniczej na ulicy, i obezwładnili drugiego ochroniarza mordercę. Obu zaprowadzili do budki. Tam doszło do walki. Podobno sikhowie chcieli uciec i dlatego zostali zastrzeleni. Beant Singh zginął na miejscu. Drugiego, ciężko rannego, przetransportowano do szpitala. Później dopiero wyszło na jaw, że Beant po służbie uczęszczał do gurdwar (sikhijskich świątyń) w Delhi, gdzie nawiązał kontakty ze skrajnymi ekstremistami. Drugi ochroniarz właśnie wrócił z miesięcznego urlopu, który spędził w rodzinnej miejscowości w Pendżabie, kolebce sikhijskiego nacjonalizmu.

Jeden ze służących, gdy tylko usłyszał strzały, wezwał osobistego lekarza Indiry, który przybiegł zadyszany i natychmiast rozpoczął reanimację. „Karetkę pogotowia, szybko! - krzyczał. - Wezwijcie karetkę, trzeba zabrać panią Gandhi do szpitala!” Karetka stała zawsze zaparkowana przed domem jako część systemu ochrony pani premier. Jednak w tym krytycznym momencie jej zabrakło.

- Szofer poszedł napić się herbaty - powiedział służący.

- No to samochód! Przyprawdźcie samochód! Zdołali uruchomić białego ambassadora i wjechać nim do ogrodu. Sekretarz Dhawan i policjant schwycili bezwładne ciało Indiry, zanieśli je do samochodu i położyli na tylnym siedzeniu; sami siedli z przodu. Samochód miał właśnie ruszyć, kiedy pojawiła się Sonia w płaszczu kąpielowym, blada, z mokrymi, rozczochranymi włosami i przerażonym wzrokiem. Strzelanina zaskoczyła ją pod prysznicem. Początkowo sądziła, że to wybuchy petard, które dzieci puszczały podczas Diwali. Po krzyku służących zorientowała się jednak, że stało się coś strasznego.

Jej obawy znalazły potwierdzenie: teściowa leżała na tylnym siedzeniu, bez życia. Kobieta, która od dziecka identyfikowała się z Joanną d'Arc, została zdradzona i zabita przez zaufanych ludzi. Sonia wsiadła do samochodu. „O mamusiu! Boże, mamusiu!” - mówiła, klękając na tylnym siedzeniu, żeby podtrzymać rękami głowę Indiry, objąć ją, mówić do niej, szukać ostatniego tchnienia życia, a może odwrócić nieubłagany los. Samochód jechał, trąbiąc klaksonem, w stronę All India Institute of Medical Science, tego samego szpitala, do którego zawieziono Sanjaya po wypadku awionetki. Sonia zapamiętała tę zaledwie pięciokilometrową trasę jako najdłuższą w swoim życiu. Panował ogromny ruch, wydawało się, że nigdy nie dotrą na miejsce. New Delhi bardzo się zmieniło od czasów, kiedy

przyjechała tu po raz pierwszy. Na ulicach prawie nie spotykało się słoni ani wozów zaprzęgniętych w woły czy wielbłądy. Ludność wzrosła czterokrotnie i ruch uliczny stał się bardzo intensywny. Indira wykrawiała się na rękach Soni, która czuła się bezsilna. „Boże mój, szybciej!” - powtarzała, kiedy rękawem swojego płaszcza kąpielowego ocierała twarz Indiry i starała się osuszyć rany. Jej myśli jak oszalone wahadło oscyływały między najczarniejszym pesymizmem a nadzieją. „A jeśli jest po prostu nieprzytomna?” - pocieszała się, kiedy samochód torował sobie drogę dźwiękami klaksonu. „Szybko! - powiedziała. - Może uda się ją uratować!” Jednak mimo wysiłków dokonywanych przez szofera nie sposób było walczyć z ruchem. Czy ci kierowcy drzemący za kierownicą mogli podejrzewać, że w białym ambassadorze leży kobieta rządząca ich losem od ponad dwudziestu lat? W głowie Soni jak w wybuchającym wulkanie kłębiły się chaotyczne myśli: Gdzie jest Rajiv? Jak go zawiadomić? Gdzie są dzieci? Muszę po nie posłać! Boże mój, mamusiu, nie umieraj!

Krew była wszędzie: płaszczy kąpielowy Soni pokrywały intensywnie czerwone plamy, na pięknym sari Indiry nabrały już brązowego koloru. Na siedzeniach wyściełanych aksamitem widniała również ogromna czarna plama krwi. Nawet w tej sytuacji Sonia nie chciała uwierzyć, że stało się najgorsze, że nadszedł kres życia kobiety, która do tej pory była filarem jej egzystencji. W głębi duszy przeczuwała, że kule morderców pociągną za sobą także inne ofiary - jej własne szczęście i szczęście jej rodziny.

O dziewiątej trzydzieści dwie, czyli szesnaście minut po zamachu, dojechali wreszcie do szpitala. Nikt z domu nie zawiadomił, że wiozą panią premier. Kiedy młodzi lekarze służby ratowniczej rozpoznali Indirę, wpadli w panikę. Jeden wykazał na tyle przytomności umysłu, żeby zawołać starszego

kardiologa. Parę minut później ekipa najbardziej doświadczonych lekarzy zeszła i zajęła się Indirą. Zrobiono jej tracheotomię, żeby dostarczyć tlen do płuc, i założono rurki do transfuzji krwi. Zdecydowano, że zostanie przewieziona do sali operacyjnej na ósmym piętrze. Tam elektrokardio gram wykazał słabe sygnały bicia serca. Powiadomiono o tym Sonię, która czekała sama na korytarzu. Wątle światło nadziei rozbłysło w jej wilgotnych oczach. Powiedziano jej również, że lekarze dokonują masażu serca, ale nie wspomniano, że rozszerzone źrenice świadczą o trwałym uszkodzeniu mózgu. Pociski podziurawiły wątrobę, płuca, kości i kręgosłup. „To jest sito” - powiedział jeden z medyków (Frank Katherine, Indira: the Life of Indira Nehru Gandhi, s. 494). Uchroniło się tylko serce. Mimo to lekarze przez cztery godziny starali się dokonać cudu.

Sonia z trudem opanowywała drżenie. Przerażała ją świadomość, że wróg znajdował się w domu. Komu ufać? A jeśli jakiś służący, jakiś pracownik, jakiś sekretarz był zamieszany w spisek? Czuła, jakby wszystkie pewne dotąd punkty jej życia rozpadły się za jednym zamachem. Po raz kolejny miała wrażenie, że stoi na ruchomych piaskach, gdzie nic nie jest takie, jak się wydaje, a wszystko może się zmienić z minuty na minutę! „Boże mój, a dzieci?!” Nie mogła przestać myśleć o zabójstwie Mujibura Rahmana i całej jego rodziny. Jego syn był w wieku Rahula. Czy pójdą po dzieci do college'u? Tak, teraz mogła porozmawiać tylko z siostrą! Ale Nadii nie było w tym momencie w New Delhi.

Zdołała ją uspokoić Pupul Jayakar, serdeczna przyjaciółka Indiry, która pierwsza przybyła do szpitala. Dzieci były w domu, bezpieczne i w miarę spokojne, zważywszy na okoliczności. Pupul powiedziała również, że wiadomość jeszcze się nie rozeszła i że ruch na ulicach jest nadal normalny. „Znalazłam Sonię w stanie szoku - opowiadała

później. - Prawie nie mogła mówić. Zaczęła drżeć, dlatego nie chciałam zadawać jej pytań". Pupul przyniosła Soni ubranie, żeby zmieniła poplamiony krwią płaszcz kąpielowy na sari. W ciągu godziny zaczęli przybywać przyjaciele, członkowie partii i rządu. Sonia chciała wyrzucić ich z sali - wszystkich z wyjątkiem najbliższych przyjaciół i kolegów, którzy okazali się niezwykle lojalni w stosunku do Indiry, tych zaś było tak niewiele, że można by ich policzyć na palcach jednej ręki. Powinna jednak wziąć pod uwagę fakt, że Indira była nie tylko matką jej męża, lecz także matką całego narodu. Zabójstwo pani premier stwarzało poważne zagrożenie. Państwo zostało pozbawione głowy, sternika. Jeszcze nikt nie wiedział, czy zamach był zemstą na samej Indirze, czy też częścią szerszego spisku, który miał doprowadzić do zamachu stanu. O tym mówili szeptem członkowie rządu i opozycji na szpitalnych korytarzach, podczas gdy w jednym z pokoi piętro niżej wiceprezydent prowadził konsultacje z wysokimi funkcjonariuszami rządu. Rozmawiali o przyszłości kraju, Indira bowiem należała już do przeszłości. Właśnie przechodziła do historii. O drugiej dwadzieścia dwie po południu, pięć godzin po zamachu dokonanym przez ludzi zobowiązanych ją chronić, lekarze ogłosili, że Indira Gandhi nie żyje. Dziesięć minut później BBC podało tę wiadomość na cały świat.

Oddalony o trzy tysiące kilometrów ambassador Rajiva jechał tak szybko, jak tylko mógł, po wąskiej wyboistej drodze stanu Bengal, wymijając słonie, dryndy, motocykle, ciężarówki wypełnione towarami i ludźmi, mnóstwem ludzi. Rajiv chciał jak najprędzej dotrzeć do Kalkuty, żeby stamtąd polecieć do Delhi i - jeśli zdąży - pożegnać się z matką. Przerwał swoją prekampanię wyborczą, kiedy dwieście kilometrów na południe od Kalkuty jego samochód został zatrzymany przez policyjnego jeepa. Funkcjonariusz podał mu

pismo: „Zdarzyło się nieszczęście w domu pani premier. Niech pan odwoła wszystkie spotkania i natychmiast wraca do Delhi" (Merchant Minhaz, Rajiv Gandhi: the End of a Dream, Penguin, New Delhi 1991, s. 135). Z radia w samochodzie, którym przemierzał okolice połyskujących pól ryżowych i wiejskich domów z suszonej cegły, dowiedział się, że matka została postrzelona przez ochroniarzy i przewieziona do szpitala, gdzie lekarze starają się ją uratować. Zareagował z rozważą i spokojem, może dlatego, że żywił kruchą nadzieję, iż matka przeżyje. Po dwóch i pół godziny jazdy, mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów od Kalkuty, przesiadł się do policyjnego helikoptera, któremu udało się odnaleźć jego samochód, i poleciał na lotnisko, gdzie czekał już na niego boeing należący do Indian Airlines. Podróżował w kabinie pilotów utrzymujących stały kontakt radiowy ze stolicą. Brak informacji spotęgował jego obawy, że nie zobaczy już matki żywej. W końcu z pełnego zakłóceń komunikatu dowiedział się, że zmarła. Zachował spokój, nic nie powiedział ani nie płakał. Członkowie rodziny Nehru nie płaczą publicznie, gdy spadnie na nich cios, zawsze go tego uczono. Sprawiał wrażenie, jakby wiadomość go nie zaskoczyła, może dlatego, że żywił podobne poczucie fatalizmu jak jego matka.

Gdy lekarze w szpitalu oficjalnie ogłosili zgon Indiry, Sonia poprosiła Pupul, żeby pojechała z nią do domu po ubranie dla teściowej na jej ostatnią drogę. Chciała zobaczyć się z dziećmi i opuścić to miejsce pełne ludzi. Ruch na ulicach wydawał się normalny. Wiadomość jeszcze się nie rozeszła.

Kiedy dotarła do domu i dzieci zapytały: „Jak się czuje babcia?", załamała się, jej słowa utonęły we łzach. Ale czy były potrzebne słowa? Rahul mocno uczeplił się matki, a Priyanka pobiegła w głąb domu po inhalator. Sonia go nie potrzebowała, powoli zaczynała się uspokajać. Kiedy już wszystko im wyjaśniła, poszła z Pupul do garderoby Indiry.

Tam wybrały jedno z jej ulubionych sari w kolorze starego różu i bluzeczkę - dar od starego mędrca, którego niezwykle podziwiała.

Dzieci nie zamierzały czekać w domu. Pragnęły po raz ostatni zobaczyć babcię. Nie chciały też zostawiać matki samej w takim stanie, toteż Sonia i Pupul zabrały je ze sobą do szpitala. Atmosfera na ulicach zmieniła się całkowicie. Sklepy pozamykano. „Zobaczyłyśmy zaniepokojonych ludzi, szybko pedaujących w stronę domu” - opowiadała Pupul. W miarę jak zbliżały się do szpitala, widziały coraz więcej ludzi idących w tym samym kierunku. Ich napływ był tak wielki, że policja musiała zablokować główne wejście i dlatego skorzystały z drzwi dla personelu.

O tej samej godzinie Rajiv ze ściśniętym żołądkiem wylądował na lotnisku Palam. Nie czekała na niego ani Sonia, ani dzieci, jedyne osoby, które naprawdę chciał zobaczyć w tym momencie. U stóp trapu stali asystenci, przyjaciele, a przede wszystkim wielu polityków z Kongresu. Już tam byli. Rajiv natychmiast zrozumiał, o co zamierzają go prosić. Przyszli domagać się od niego, żeby został następnym premierem Indii, czy tego chce, czy nie.

Przyjaciele zawieźli go do szpitala. Również oni podzielali opinię, że powinien zastąpić matkę. Nikt nie wydawał się przeciwny temu, co postrzegano jako prawo życia. Poza tym było to najlepsze rozwiązanie z punktu widzenia bezpieczeństwa jego i jego rodziny, dysponowałby bowiem wówczas najsilniejszą ochroną w państwie. Był to potężny argument, który zrobił wrażenie na Rajivie.

- Ale o tym powinna zdecydować partia i prezydent - zaproponował. - Prezydent jest zobowiązany przez prawo do wyboru osoby, która będzie formować rząd.

- Już podjął decyzję.

- Ale przecież nie ma go w Delhi!

- Już nas o tym powiadomił. Musisz się zgodzić, Rajivie, to dla was najlepsze wyjście.

W samolocie, którym wracał z oficjalnej podróży do Jemenu, przerwanej z powodu śmierci Indiry, prezydent, stary przyjaciel rodziny Nehru, postanowił, że poprosi Rajiva, aby został premierem i żeby objął tę funkcję od razu, już teraz, bez zwłoki. Chwila była niezwykle ważna. Śmierć Indiry z rąk sikhijskich ochroniarzy groziła wybuchem przemocy między różnymi wspólnotami - stała zmore każdego indyjskiego przywódcy. Dlatego aby utrzymać kraj zjednoczony w obliczu zagrożenia, które mogło zburzyć konstytucyjny porządek, a w konsekwencji zniszczyć Indie jako państwo, pilnie należało zapobiec pustce na szczytach władzy. Swoje stanowisko prezydent przedstawił reprezentantowi partii już na lotnisku: „Nie powinniśmy zostawiać pustego tronu, to bardzo niebezpieczne”. Kiedy później tłumaczył powody, dla których wybrał Rajiva, stwierdził, że musiał mianować nowego premiera spośród członków Kongresu, ponieważ partia ta miała miażdżącą większość w parlamencie. Kto byłby lepszy od syna Indiry, cieszącego się nienaganną opinią, młodego i inteligentnego? Był też inny powód, który nie miał nic wspólnego z profesjonalnymi umiejętnościami Rajiva - taki wybór podobałby się Indirze. „Znałem jej sposób myślenia i wiedziałem, czego by chciała - zwierzył się prezydent - choć akurat o tym nigdy nie rozmawialiśmy. Po prostu wiedziałem, jaka była”. W ten sposób Rajiv znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Z zaświatów pobrzmiwał mu w uszach głos matki. Skoro nigdy nie opuścił jej za życia, miałby to zrobić teraz, po jej śmierci? Czy nie podjął już decyzji o wkroczeniu do polityki? Czy to, o co prosił kraj, nie było tego logiczną konsekwencją? Nigdy nie chciał zostać premierem, mógłby co najwyżej piastować jakieś stanowisko w rządzie, ale czasami życie przyśpiesza i nie pozostawia wyboru.

Chodząc po szpitalnych korytarzach, Rajiv spotykał rozmaite osoby, które przewinęły się przez życie jego matki: zapłakaną Manekę, guru Dhirendrę Brahmachariego, powtarzającego, że Indira powinna była go słuchać, aby odpędzić niebezpieczeństwo, jakie wisiało nad jej życiem, ministrów i urzędników, asystentów i sekretarzy płaczących w niewielkich grupkach. Byli tu wszyscy baronowie partii, którzy starali się mu powiedzieć, że pragną, aby został nowym liderem Kongresu, czyli nowym przywódcą narodu. Wszyscy byli przekonani, że rozmawiają z przyszłym premierem. „Musisz się zgodzić - mówili. - Jeśli nie dla siebie, zrób to dla żony i dzieci, dla ich bezpieczeństwa. I dla swojej matki, i przez pamięć dziadka, dla rodziny, dla Indii”.

Kwadrans po trzeciej Rajiv wszedł do pokoju sąsiadującego z salą operacyjną. Wziął w ramiona Sonię, która zalewała się łzami. Może przypomniała sobie, jak pierwszy raz miała się spotkać z Indirą w Londynie i jak na samą myśl o tym wpadła w panikę. Kto by wówczas pomyślał, że ta kobieta tak ją pokocha i że w końcu pozostawi ich samych nad przepaścią?

Rajiv objął następnie dzieci, który były bardzo wystraszone. Fala strachu rozpętana przez zamach szerzyła się jak epidemia. Czy grupa fanatyków po operacji „Niebieska gwiazda” nie przysięgła, że zabije potomków Indiry po setne pokolenie? Kto będzie następny? Tata, mama, my? Kto wie, czy za którymkolwiek z pielęgniarzy, odwiedzających, za jedną z wielu osób przemierzających szpitalne korytarze nie ukrywa się inny terrorysta zabójca? Kogo dosięgnie mściwa furia sikhijskich ekstremistów?

Nie dano mu wiele czasu na pocieszenie rodziny. Stale przychodzili jacyś ludzie, którzy coś od niego chcieli. Kraj wymagał uwagi, nie pozwalając mu nawet na opłakanie własnej matki i uspokojenie najbliższych. „Pamiętam, że

czułam potrzebę zostania z nim sam na sam, choćby na chwilę" - wspominała Sonia. Zaprowadziła go w kąt sali operacyjnej, kilka metrów od lekarzy, którzy zaszywali zwłoki Indiry. Pachniało formaliną i eterem. Białe światło jarzeniówek ukazywało z całą surowością postarzałe rysy twarzy Rajiva, niegdyś miękkie i łagodne.

- Mianują mnie premierem - powiedział jej szeptem. Sonia zamknęła oczy. Była to najgorsza informacja, jaką mogła usłyszeć. Jak zawiadomienie o drugiej śmierci tego samego dnia. Rajiv chwycił jej dłonie i szeptem wyjaśnił powody, dla których jest zmuszony przyjąć stanowisko.

- Soniu, to najlepszy sposób, żeby nas osłaniać, uwierz mi. Dostaniemy najsilniejszą ochronę. Teraz jej potrzebujemy.

- Wyprowadzimy się gdzieś...

- I wierzysz, że będziemy bezpieczni w innym kraju? Wszyscy jesteśmy na czarnej liście ekstremistów, a ci fanatycy są zdolni do zamachu w dowolnym miejscu. Nie, Soniu, nie mamy innego wyjścia, musimy żyć pod stałą ochroną, przynajmniej dopóki zagrożenie się nie zmniejszy.

Sonia płakała rozpaczliwie. Wiedziała, co to oznacza: stałe przebywanie w klaustrofobicznym otoczeniu, dzieci, które nie będą mogły normalnie funkcjonować... Czy to było życie? A gdzie w tym wszystkim miało być miejsce na szczęście? To szczęście, do którego byli tak przyzwyczajeni?

- Błagam cię, Rajivie, nie pozwól, by cię do tego zmusili - prosiła Sonia.

- Zapewniam cię, że to dla naszego dobra.

- Dla naszego dobra? Ale przecież ten system ochrony, o którym mówisz, okazał się całkowicie nieskuteczny. Pani premier została zastrzelona we własnym domu, nawet nie było pod ręką pogotowia...! Zdajesz sobie sprawę?

- Ostrzegano ją, że powinna zrezygnować z sikhijskich ochroniarzy, ale to zlekceważyła...

- Chcesz powiedzieć, że szukała śmierci?
- Powinna była posłuchać szefów policji i służb specjalnych. Nadal byłaby z nami, gdyby to zrobiła.

Znowu ją objął. Ona mówiła dalej:

- Boże mój, ciebie także zabijają.
- Nie mam wyboru, zabiją mnie tak czy owak, czy będę, czy nie będę u władzy...

- Proszę cię, nie gódź się, powiedz im, że nie...

- Nie mogę, kochanie. Wyobrażasz sobie nas żyjących w wiecznym strachu, tutaj, we Włoszech czy gdzie indziej?... Tak będzie, jeśli się nie zgodzę. Tak powinnaś na to patrzeć. To moje przeznaczenie. Nasze przeznaczenie. Są chwile, w których życie nie pozostawia nam wyboru. Pomóż mi to zaakceptować.

- Och, nie, Boże mój, nie! - mamrotała Sonia, zalewając się łzami. - Zabiją cię, zabiją cię... - powtarzała, kiedy wszedł sekretarz Indiry, PC. Alexander, i im przerwał. Sukcesja tronu nie mogła czekać.

Chwycił Rajiva za ramię.

- Musimy pilnie zorganizować objęcie stanowiska - powiedział cicho.

- Pójdę do domu, żeby się przebrać - odpowiedział Rajiv.
- Będę przed szóstą w pałacu prezydenta.

Sonia zrozumiała wówczas, że już nic nie wskóra, że znowu będzie musiała się ugiąć przed siłami, które nad nią przeważają i których nigdy nie będzie w stanie kontrolować. Co mogła zrobić sama wobec całego kraju, który został osierocony i żądał głowy jej męża? Kiedy Rajiv pocałował ją w czoło i powoli się odsunął, Sonia, pod wpływem nieokreślonego przyływu melancholii, poczuła wewnętrzne rozdarcie, takie samo jak w ambasadorki, gdy trzymała w rękach głowę konającej Indiry.

Po południu tego dnia mianowano Rajiva Gandhiego szóstym premierem Indii. Ceremonia odbyła się w Salonie Aśoki w pałacu prezydenta - w tym samym miejscu, w którym to samo stanowisko obejmowali jego dziadek i matka. Spośród sześciu premierów trzech należało do jednej rodziny, pozostali rządili bardzo krótko. W ciągu trzydziestu sześciu lat niepodległości rodzina Nehru sprawowała funkcję premiera przez trzydzieści trzy lata. Indira zmarła jako trzecia na tym stanowisku, ale jako pierwsza gwałtowną śmiercią. Nie była to taka jak zazwyczaj radosna ceremonia. Główną postacią był młody człowiek, któremu nie dano nawet czasu na oswojenie się ze śmiercią matki i jej reperkusjami w kraju, nakłaniany do przyjęcia trudniejszej i bardziej wymagającej roli niż ta, do jakiej mógłby aspirować którykolwiek z obywateli Indii. A on ani do niej nie dążył, ani jej nie pragnął.

Rajiv, zanim wyraził zgodę, jasno zadeklarował, że utrzyma istniejący gabinet, nie powoła nowych ministrów ani nie zamieni tek. Potem zwołał pierwszą radę, podczas której zdecydowano, by zorganizować prowizoryczną kaplicę pogrzebową w Teen Murti, dawnej rezydencji rodziny Nehru, pałacyku, w którym spędził dzieciństwo. Wierna sekretarka Usha była jedną z pierwszych osób, które tam przybyły. Oto jak opisała swoją dawną szefową leżącą w trumnie, z odsłoniętą twarzą i zakrytym ciałem: „Jej twarz była spuchnięta i bezbarwna. Lepiej by było nie oglądać jej w takim stanie, ponieważ to by się nie spodobało Indirze, jej, która zawsze była tak dobrze ubrana i tak bardzo dbała o swój wygląd”. To samo pewnie pomyślała Sonia. Telewizja uchwyciła krótki i dramatyczny moment, gest, który wyrył się w pamięci milionów Hindusów i który mówił więcej o więzi łączącej te dwie kobiety niż jakakolwiek pisemna czy ustna deklaracja. Sonia, spokojna, wytarła chusteczką kąciuki ust Indiry, aby zmatowić połyskującą skórę. Jakby teściowa nie

była martwa i nadal potrzebowała jej opieki. Lojalność przetrwała nawet śmierć.

Po jedenastej w nocy nowy premier pojawił się w telewizji. Jego przemówienie transmitowano także przez radio na cały świat. Sonia była w studiu nagrań. Z rozdartym sercem patrzyła, jak władza zabiera jej męża, używając bez skrępowań nazwiska Nehru - Gandhi, aby utrzymać kraj w jedności w momencie kryzysu. Czy to nie było okrucieństwo, żeby prosić kogoś o tak niewielkim stażu w działalności politycznej jak jej mąż, aby przyjął stanowisko, które wymagało ogromnego doświadczenia, zwłaszcza w tak trudnych chwilach?

„Indira Gandhi została zamordowana - rozpoczął Rajiv swoje przemówienie przed kamerami. - Wiecie, jak bliskie jej sercu było marzenie o Indiach bogatych, zjednoczonych i żyjących w pokoju. Na nas spadło dokończenie tego zadania”.

Słowa przemówienia i ton wstrzymywanej emocji, z jakim je wygłosił, wielu nasunęło skojarzenia z mową wygłoszoną przez Nehru po śmierci Gandhiego. Wówczas Nehru obawiał się, że naród oskarży o tę zbrodnię muzułmanów. Chciał jak najszybciej powiedzieć głośno i wyraźnie, że winnym morderstwa był hinduistyczny fanatyk. Trzydzieści sześć lat później Rajiv Gandhi nie odniósł się w żaden sposób do zabójców matki ani do ich motywów. Wspominał tylko o religijnym charakterze zamachu, apelując o spokój i jedność. Powiedział też, że nic bardziej nie zaboląoby Indiry Gandhi niż wybuch przemocy w jakimkolwiek zakątku kraju.

Ale przemoc już wybuchła. Najpierw w okolicach szpitala, kiedy prowadzone przez sikhów taksówki zostały obrzucone kamieniami, a sikhijska świątynia spalona. Każdy człowiek w turbanie nagle stał się podejrzany. Mieszkający w Delhi sikhowie zabierali dzieci z ulic, zamykali się w domach, opuszczali zasłony i gasili światło, aby stać się niewidoczni. Przerażone kobiety patrzyły przez szpary żaluzji. Jakiś sikh

biegł, szukając schronienia. Ale inni tego schronienia nie znaleźli. Wiedzieli, że po zabójstwie Indiry Gandhi stali się celem zbiorowego gniewu. Gdy zapadła noc, ludzie na uliczkach, w większości hindusi, zaczęli skupiać się w grupki; jedni trzymali w rękach kije, inni zagrzewali do polowania na sikhów. Była to czarna noc, ciemniejsza jeszcze wskutek fali nienawiści i terroru, jaka przetoczyła się przez dopiero co uśpione miasto. Intensywność mordów rosła, w miarę jak pojawiały się plotki, że sikhowie zatruli źródła wody pitnej w stolicy lub że zaatakowali pociąg pełen hindusów wracających z Pendżabu. Były to kłamstwa, ale ludzie w nie uwierzyli. Bandy chuliganów, które początkowo niszczyły sikhijskie domy i sklepy, później zaczęły wyciągać z domów mężczyzn i dzieci w turbanach i ćwiartować ich maczetami na oczach przerażonych kobiet. Na ulicach grupy awanturników atakowały sikhów, biły ich na śmierć albo polewały benzyną i podpalały. W pociągach i w autobusach zakłuto nożami całe rodziny. Policja nie interweniowała ze zwykłej opieszałości, ale też dlatego, że w głębi duszy akceptowała zemstę. Przez trzy dni, kiedy przed ciałem Indiry Gandhi składało hołd tysiące osób, wśród nich gwiazdy kina, szefowie państw, przywódcy polityczni, przyjaciele, krewni i tłumy obywateli, którzy nigdy nie poznali Indiry osobiście, ale głęboko odczuli jej stratę, na ulicach szerzyła się orgia przemocy. Spłonęło ponad dwa tysiące samochodów, ciężarówek i taksówek, a także wiele zakładów przemysłowych należących do sikhijskich rodzin, jak fabryka Campa Cola produkująca indyjski odpowiednik coca-coli, własność dawnego przyjaciela Sanjaya, pomagającego całej rodzinie w czasach niedostatku. Dziennikarze udokumentowali szczególnie okrutny incydent w jednej z dzielnic na prawym brzegu Jamuny, gdzie przy pasywnej postawie policji dobrze zorganizowana grupa w sposób systematyczny mordowała

wszystkich sikhów. Nie dali im żadnej szansy na ratunek, podpalali domy z mieszkańcami w środku. Jedna z dziennikarek, będąca świadkiem tego wydarzenia, zadzwoniła do Pupul. „Proszę cię, zrób coś, sytuacja jest tragiczna” - powiedziała przestraszonym głosem. Pupul czuła się zakłopotana (Jayakar Pupul, Indira Gandhi: a Biography, s. 493). Jeszcze do niedawna wiedziałyby, co ma zrobić. Podniosły słuchawkę i zadzwoniła do swojej przyjaciółki Indiry, a ta zareagowała natychmiast. Ale teraz do kogo miała się zwrócić? W końcu zadzwoniła do ministra spraw wewnętrznych, który przypadkowo był razem z Rajivem w domu przy Safdarjung Road 1. Pupul opisała mu masakry, gwałty i cały horror dziejący się w odległości niespełna dziesięciu kilometrów od rezydencji premiera. „Niech pani porozmawia z premierem” - odpowiedział minister i natychmiast podał słuchawkę Rajivowi. Pupul powtórzyła swoją relację. „Trudno było mi się zwrócić do Rajiva jako do premiera, trudno było mi zrozumieć, że ogromna władza i wielki autorytet Indiry teraz spoczęły na jego barkach”. Rajiv poprosił, żeby przyszła do niego do domu. Tu Pupul opowiedziała mu ze szczegółami o wszystkim, co wiedziała. Wydawał się zakłopotany i niezdecydowany.

- Co mam robić, Pupul? - zapytał.

- Nie powinnam mówić, co ma robić premier - odpowiedziała. - Mogę ci powiedzieć, co zrobiłaby twoja matka. Wezwałaby wojsko i za wszelką cenę zaprowadziła porządek. Pokazałaby się w telewizji i z całym autorytetem swego stanowiska powiedziała jasno, że pod żadnym pozorem nie zezwoli na masakry.

- Pomóż mi przygotować przemówienie, takie jakie wygłosiłaby matka - poprosił Rajiv, kiedy odprowadzał ją do drzwi. - Proszę, napisz je zaraz, to pilne.

Pupul napisała, ale kiedy zasiadła przed telewizorem, na ekranie pojawił się nie Rajiv, tylko minister spraw wewnętrznych. Od razu pomyślała, że nie jest to osoba wystarczająco ważna, aby uspokoić nastroje. Wydawało jej się, że w przemówieniu zabrakło synowskiego niepokoju i autorytetu premiera. I rzeczywiście, z obawy, żeby jeszcze bardziej nie rozpalić nastrojów, tej nocy nie nakazano interwencji wojska, dlatego terror i masakry trwały nadal. Wiele osób przypisywało ten brak zdecydowania niedoświadczeniu Rajiva. Jednak tak naprawdę wydarzenia go przerosły: odczuwał traumę po stracie matki i znalazł się u stery władzy, nie mając żadnej realnej wiedzy o funkcjonowaniu jej mechanizmów.

Wśród sikhów zapanowała taka panika, że wielu z nich, aby się ratować, po raz pierwszy w życiu zdjęło turbany, obcięło brody i włosy. Około stu tysięcy uciekło ze stolicy. Pisarz Kushwant Singh schronił się z żoną w ambasadzie szwedzkiej. „Ta hołota - wspominał - poszukiwała dóbr sikhów, telewizorów, lodówek, jesteśmy bowiem bogatsi od innych. Zabijanie i palenie ludzi żywcem było tylko częścią tej rozrywki” (Adams Jad, Whitehead Philip, *The Dynasty - The Nehru - Gandhi Story*, Penguin, New York 1997, s. 319). Po zapadnięciu nocy grupy sikhów rozpraszały się po mieście, szukając kryjówek. Dwóch z nich zapukało do domu Pupul i zaskoczyło żonę dhobi - pracza, który o tej porze zapewne uczestniczył w zamieszkach. Sikhowie już mieli uciekać, słysząc przerażone okrzyki kobiety, lecz Pupul udzieliła im na tę noc schronienia, podobnie jak uczyniło mnóstwo innych indyjskich rodzin. Tak jak bardzo niewielu sikhów było zwolennikami Bhindranwalego, równie niewielu hindusów pragnęło zemsty na sikhach. Ale ci, którzy się mścili, postępowali z okrucieństwem przypominającym czasy

Podziału. W ciągu trzech dni zostało zmasakrowanych około trzech tysięcy ludzi.

Po południu drugiego listopada Rajiv w końcu wystąpił w telewizji, wyraźnie domagając się zakończenia przemocy. „To, co zdarzyło się w Delhi od śmierci Indiry Gandhi, jest obelgą dla wszystkich wartości, jakich ona broniła”. Następnego dnia wreszcie nakazał interweniować wojsku, które wprowadziło godzinę policyjną i z rozkazem strzelania do każdego, kto zostałby przyłapany na dokonywaniu aktów agresji, wjechało pojazdami opancerzonymi do najbardziej niespokojnych dzielnic.

Trzeciego listopada, kiedy siłą zaprowadzano spokój, na brzegu rzeki, nieopodal miejsca kremacji Nehru i Sanjaya, odbyła się uroczystość spalenia szczątków Indiry. Rajiv siedem razy okrążył stos pogrzebowy matki, zanim umieścił zapaloną pochodnię pośród kłód sandałowego drewna. Płomienie zaczęły obejmować stos, a słońce zabarwiło niebo na pomarańczowo, czerwono i złoto. W ceremonii uczestniczyła imponująca liczba osobistości, wśród nich George Bush, Matka Teresa z Kalkuty, członkowie europejskich rodzin królewskich, artyści i pisarze, magnaci biznesu, naukowcy i szefowie państw. Szczególne znaczenie pogrzeb miał dla pewnej eleganckiej pani ubranej na czarno. Margaret Thatcher przypomniała sobie ciepłe słowa Indiry, która kilka tygodni wcześniej zadzwoniła do niej po zamachu zorganizowanym przez IRA. „Musimy coś zrobić przeciw terroryzmowi...” - powiedziała wówczas.

Sylwetka Rajiva na tle płomieni pochłaniających ciało matki pozostała wyryta na zawsze w pamięci całego narodu jak pochodnia nadziei. „Wszystko wokół niego było chaosem - napisał pewien znany dziennikarz - ale on budził zaufanie, wydawało się, że kontroluje sytuację”. Brytyjska „Żelazna Dama” powiedziała: „Dostrzegłam w Rajivie taką samą

samokontrolę, jaką miała pani Gandhi..." Jedynie Sonia nie ukrywała, że jest pogrążona w rozpacz. „Gdyby ktoś namalował tę scenę - opowiadała Margaret Thatcher - jej ból wystarczyłby dla oddania uczuć całego narodu". Paradoksalnie zabrakło ogromnego tłumu biedaków, tych milionów, które czciły Indirę jak boginię. Strach przed zamieszkami i panującą w mieście atmosferą przemocy zniechęcił wielu do przyjscia i złożenia jej ostatniego hołdu.

Wierny instrukcjom otrzymanym od matki, Rajiv zabrał rano brązową urnę z prochami i wsiadł do samolotu indyjskich sił powietrznych. Po godzinie lotu, gdy znaleźli się nad łańcuchem Himalajów, z białymi szczytami ciągnącymi się aż po horyzont, otwarto klapę w podłodze samolotu, przez którą wleciało lodowate powietrze. Rajiv z maską tlenową na twarzy, ubrany w skórzaną kurtkę, karakułową czapkę i grube, podbite futrem rękawice, sięgnął po urnę owiniętą w skórzaną workochroniący prochy przed zamrożeniem. Otworzył ją i zgodnie z wymaganiami rytuału pozwolił spaść popiołom na góry, aby śmierć przywróciła życie. Działo się to trzynaście dni po przejściu Indiry Gandhi do historii.

Rajiv nie miał ani minuty na to, by w spokoju przeżyć żalobę i ból. Życie polityczne toczyło się dalej, a liderzy partii radzili mu przyśpieszyć termin wyborów powszechnych. Chcieli wyciągnąć zyski z nastrojów, jakie obudziła tragiczna śmierć Indiry. Rajiv rozumiał, że te wybory będą dla niego bardzo ważne, ponieważ dadzą mu społeczny mandat i oddalą zarzut, że został jedynie wskazany palcem przez zwolenników matki. Dlatego ustalił datę wyborów na dwudziesty szósty grudnia 1984 roku. Znowu chciał, żeby Sonia mu towarzyszyła podczas kampanii w okręgu Amethi, gdzie Maneka z synkiem na rękach zgłosiła swoją kandydaturę. Sonia była teraz pierwszą damą i sama myśl o tej nowej roli przyprawiała ją o zawrót głowy. Przeznaczenie nie mogło wybrać osoby mniej predysponowanej do pełnienia funkcji, która większość kobiet napełniłaby dumą i satysfakcją, ale ją wprawiała w melancholię, Sonia bowiem tęskniła za dawnym życiem. Jakim luksusem była zwykła, bezpieczna egzystencja! Jakim luksusem wydawało się zajmowanie konserwacją obrazów, wyjścia z przyjaciółkami, wolność i anonimowość! Rajiv był tak obolały, że przed podróżą do Amethi, w dniu sześćdziesiątych ósmych urodzin Indiry, spisał oświadczenie następującej treści: „Gdybyśmy ja i moja żona Sonia zginęli w wypadku w Indiach lub poza nimi, nasze ciała powinny zostać sprowadzone do Delhi i spalone razem, zgodnie z hinduskim rytuałem, pod gołym niebem. W żadnym wypadku nie godzimy się na spalenie ich w krematorium elektrycznym. Jak nakazuje tradycja, nasz syn Rahul powinien podpalić stos... Jest moją wolą, żeby nasze prochy zostały wrzucone do Gangesu w Allahabadzie, gdzie spoczęły prochy moich przodków". Czy przysłowie nie mówi, że kobra zawsze gryzie dwa razy lub że nieszczęścia chodzą parami?

Sonia, ubrana w białe sari ze względu na żałobę po teściowej, odkryła, że teraz chętniej spotyka się z tłumami w Amethi. „Stałam się miłośniczką tego miejsca - napisała później. - Poznałam ludzi i ich problemy i już nie czułam się wśród nich obca". Nadal jednak odczuwali boleśnie nieobecność Indiry. Była centrum rodzinnego uniwersum, silną osobowością, niezawodna, zawsze obecna, aby pokierować, doradzić, pocieszyć i otoczyć opieką. Pozostawiła po sobie przepastną pustkę. Rajiv był sierotą, nie został mu nikt z najbliższej rodziny. Pewnego dnia Sonia szukała go w domu, ale nikt nie wiedział, gdzie się zaszły. W końcu znalazła go w dawnym gabinecie Indiry - oglądał rzeczy i fotografie matki, jakby poszukiwał jej śladu. „Wydawał się zagubiony i samotny - napisała. - Bardzo często intensywnie odczuwał jej nieobecność" (Gandhi Sonia, Rajiv, s. 10). Wszędzie, dokąd się udawał, nawet w najodleglejszych zakątkach subkontynentu, widział plakaty przedstawiające matkę, zawsze umalowaną, z charakterystycznym kosmykiem siwych włosów, pozdrawiającą ludzi wyciągniętą do góry dłonią. Zawsze ktoś mu o niej opowiadał, o jej ostatnim pobycie, o tym, co zrobiła dla danej społeczności, o dzieciach, które pobłogosławiła, a nawet o urzędniku, któremu dała reprimendę. Indira pozostawiła swój ślad w całym kraju i Rajivowi czasem się wydawało, że ona nadal żyje, że zaraz się pojawi, aby go pokrzepić i pobudzić do działania. Nie miał innego wyjścia, musiał uruchomić rezerwy swojego męstwa i siły ducha, by ze stoicyzmem stawić czoła wspomnieniu matki.

Trasa wyborcza Rajiva w całym kraju byłaby triumfem, gdyby nie poważny wypadek, jaki zdarzył się w mieście Bhopal w środkowych Indiach, gdzie nastąpił wyciek trującego gazu z fabryki pestycydów, należącej do amerykańskiego koncernu Union Carbide. Gaz rozszedł się

nad najbiedniejszymi dzielnicami miasta, tysiące osób straciło życie, wielu uległo zatruciu. Uznaną za największy wypadek przemysłowy w historii, tragedię w Bhopalu postrzegano jako zły znak dla rozpoczynającego karierę człowieka, który chciał za wszelką cenę rozwijać kraj i zacieśniać związki z elitą przedsiębiorców. Rajiv natychmiast zdecydował się pojechać do dotkniętego klęską miasta. Wolał, żeby Sonia została w domu, na wypadek gdyby trucizna jeszcze unosiła się w powietrzu, ale Sonia się nie zgodziła i pojechała razem z nim. Skutki zatrucia zrobiły na nich ogromne wrażenie. Szpitale były pełne ludzi, którzy stracili wzrok, matek oplakujących śmierć synów, osieroconych dzieci i mężczyzn zrozpaczonych utratą rodziny. W obliczu takiej tragedii jego rozważania na temat uprzemysłowienia Indii i wezwanie, by przygotować kraj na XXI wiek, wydawały się pustymi słowami. Rajiv zdał sobie sprawę z problemów, jakie był w stanie stworzyć sam rozwój. Tymczasem zrobił to, co mógł: uruchomił pilną pomoc dla ofiar i zobowiązał się, że rząd wypłaci im odszkodowanie. Ale nigdy do tego nie doszło (Zob. Javier Moro i Dominique Lapierre, *Era medianoche en Bhopal*, Planeta, Barcelona 2001.).

Rajiv wygrał w wyborach w grudniu 1984 roku z lepszym wynikiem od tego, jaki kiedykolwiek osiągnęli jego dziadek czy matka. Sonia szczerze mu pogratulowała, mimo że intuicyjnie czuła, iż to zwycięstwo przybliży ich do zguby. W ciągu ostatnich trzech lat jej mąż był deputowanym do parlamentu z okręgu Amethi i jednym z sekretarzy generalnych partii. Teraz odpowiadał za pięćset czterdzieści cztery okręgi i rządzenie ogromnym, niestabilnym i czasami niesterowalnym wskutek rozdętej biurokracji krajem. Czyż pewien angielski polityk nie napisał, że łańcuch Himalajów wydaje się niewielki w porównaniu z odpowiedzialnością, jaką dźwiga na swoich plecach premier Indii? Dynastia

otrzymała mandat od ludu, mandat ogólnonarodowy, ale Rajiv nie miał złudzeń, jakie były przyczyny tego sukcesu: „Zdarzyło się tak przede wszystkim z powodu śmierci mojej matki. Nikt naprawdę mnie nie znał, ludzie przerzucili na mnie oczekiwania, jakie lokowali w niej. Stałem się symbolem ich nadziei" (Adams Jad, Whitehead Philip, *The Dynasty - The Nehru - Gandhi Story*, s. 323). Sromotnie przegrała za to jego bratowa, mimo że prowadziła bardzo dynamiczną kampanię. Fala sympatii dla Rajiva, a może i fakt, że Maneka pochodziła z sikhijskiej rodziny, zmiotła ją ze sceny politycznej, przynajmniej na tę chwilę. Teraz stało się jasne, kto jest prawdziwym dziedzicem rodziny Nehru - Gandhi.

Dla Soni i dzieci wyjście z traumy wywołanej tragiczną śmiercią Indiry stało się jeszcze trudniejsze, gdy po piętnastu latach mieszkania w jednym domu musieli go opuścić i przeprowadzić się do innego, przy Race Course Road, uznanego za bardziej bezpieczny i odpowiedni na oficjalną rezydencję premiera. Teraz, kiedy terroryzm stał się nieodłączną częścią indyjskiego życia politycznego, rodziny strzegła dwadzieścia cztery godziny na dobę imponująca liczba agentów. W pewnym stopniu chodziło o niepotrzebną manifestację mającą zatuszować wszystkie błędy, jakie popełniono w sprawie Indiry. Odpowiedzialność za ochronę premiera spoczywała już nie na siłach paramilitarnych, ale na wyspecjalizowanej jednostce profesjonalistów ze Special Protection Group, utworzonej właśnie z powodu niedawnego zabójstwa Indiry. „Ich obecność położyła kres resztkom naszej prywatności i wolności" - opowiadała Sonia. Pewnego dnia bardzo się wystraszyła, kiedy pracowała w ogrodzie, przycinając gałęzie, i na konarze drzewa dostrzegła kogoś przypominającego Marsjanina, ubranego całkowicie na czarno, w kominiarce, kamizelce kuloodpornej i z pistoletem

maszynowym gotowym do strzału. „Jestem z ochrony” - wyjaśnił mężczyzna. Innym razem, kiedy musiała szybko wyjść, żeby kupić coś w amerykańskim sklepie wolnocłowym, inny Marsjanin, stojący w drzwiach, jej to uniemożliwił.

- Pani nie może teraz wyjść.

- Jak to nie mogę? Muszę pójść do ambasady amerykańskiej, mam wieczorem gości...

- Musi pani przyzwyczaić się do tego, żeby informować nas o swoich planach z pewnym wyprzedzeniem. Nie możemy improwizować. W tej chwili ochroną pani rodziny zajmuje się około trzystu agentów.

Rychło w czas! - pomyślała Sonia, która nie miała innego wyjścia, jak tylko zadzwonić do swojej siostry Nadii i poprosić, żeby ta zrobiła za nią zakupy i przyniosła jej do domu.

Chociaż takie życie doprowadzało ją do rozpacz, nie miała innego wyjścia, jak tylko przywyknąć. Agenci ochrony chcieli zabronić Rajiwowi przyjmowania wcześniej rano (zgodnie ze zwyczajem odziedziczonym po matce i dziadku) setek ludzi, którzy zadawali mu pytania i słuchali go, siedząc na trawniku. Jednak on nalegał, żeby ten zwyczaj utrzymać, choćby trzy razy w tygodniu. Chciał czuć puls narodu. Spotkania te wykorzystywał także do doskonalenia swojego hindi, w którym popełniał błędy składniowe, a niekiedy i błędy wymowy.

W domu budzono się o szóstej rano na morning tea, którą podawano na tacy. O wpół do dziewiątej cała rodzina spotykała się na śniadaniu. Rajiv zaraz wychodził, Sonia zostawała i organizowała życie domowe. Jeśli miała czas, czytała prasę i robiła wycinki. Od dnia zabójstwa babci dzieci przestały uczęszczać do college'u. Według policji przebywanie w miejscu, do którego bez trudu mógł wejść uzbrojony człowiek, było zbyt niebezpieczne. Dlatego teraz koło

dziesiątej przychodzili prywatni nauczyciele i prowadzili lekcje w domu. Sonia wykorzystywała te godziny na zrobienie zakupów albo obejrzenie jakiejś wystawy. Wychodziła zawsze nienagannie ubrana, wiedziała bowiem, że jej osoba jest poddawana bezlitosnej ocenie publicznej. Ma więcej sari niż Imelda Marcos butów - głosiła plotka. Rzeczywiście odziedziczyła kolekcję sari i szali Indiry, w większości pochodzących z darów, które pani premier otrzymywała podczas objazdów kraju.

Popołudnia spędzała z dziećmi. Szukali sposobów, żeby się rozerwać bez wychodzenia z domu, na przykład oglądali jakieś filmy na wideo. Sonia starała się utrzymać niedzielny zwyczaj zapraszania bliskich przyjaciół na brunch (czyli drugie śniadanie), chociaż Rajiv rzadko mógł w tym uczestniczyć ze względu na liczne zajęcia. Ale dla niej liczyło się utrzymywanie pozorów normalności. Wszyscy goście, nim zostali wpuszczeni, nawet jej siostra Nadia czy państwo Quattrochi, musieli zostać zarejestrowani i przejść przez potrójną barierę wykrywaczy metali. Siedzieli w ogrodzie i wesoło gawędzili po włosku, francusku, angielsku i hiszpańsku, rozkoszując się indyjskimi przysmakami podawanymi na thalis, charakterystycznych mosiężnych talerzykach. Sonia niekiedy zaskakiwała ich potrawami trudnymi do przyrządzenia w Indiach, jak na przykład krewetkami w sosie czosnkowym, które stały się jednym z ulubionych niedzielnych dań.

Oprócz tych skradzionych chwil normalność stała się chimera. Jakiegokolwiek niewielkie spóźnienie Rajiva, który zawsze, gdy tylko mógł, starał się zjeść z rodziną, wywoływało strach. Jedyne chwile normalnego życia mieli wówczas, kiedy wyjeżdżali na wakacje do Włoch, w lecie i na Boże Narodzenie. Również tam ich pilnowano, ale nie w aż tak przytłaczający sposób. W New Delhi żyli jak więźniowie.

Rajiv musiał porzucić swoje hobby, zwłaszcza fotografię, w której doszedł do dobrego profesjonalnego poziomu. Brakowało mu czasu na słuchanie ulubionych piosenek czy koncertów klasycznej muzyki indyjskiej z Sonią i z dziećmi. Stanowczo nie chciał porzucić lotnictwa, swojej wielkiej pasji, która ponadto dawało mu poczucie bezpieczeństwa wobec niepewności życia polityka. Poprosił kolegę, żeby go uprzedził, kiedy jego licencja pilota straci ważność; planował ją odnowić, gromadząc potrzebne godziny, czyli pilotując samoloty, którymi oblatywał kraj. Jednak brakowało mu czasu na wszystko, co nie było związane z obowiązkami premiera. „Miałem tylko czas na działanie. Zaangażowałem się w przywrócenie zaufania, przyjaźni i braterstwa między wspólnotami, które żyły razem przez wieki”.

W spadku po matce Rajiv otrzymał palący problem sikhijski. Jego rozwiązanie stanowiło podstawę normalnego współistnienia. Uważał, że najpierw trzeba doprowadzić do złagodzenia napięcia, i dlatego zadeklarował, że jest otwarty na wszelki kompromis pozwalający na załagodzenie tej kwestii, o ile tylko nie będzie on zagrażał integralności kraju. Uwolnił również ekstremistów aresztowanych w ciągu ostatnich miesięcy rządów matki i zgodził się na wszczęcie śledztwa w sprawie pogromu sikhów w Delhi. Lider sikhijskiej partii umiarkowanej, któremu na równi z premierem zależało na osiągnięciu pokoju, podpisał wstępne porozumienie. Zaraz potem Rajiv zapowiedział wybory w Pendżabie na wrzesień 1985 roku, ażeby przekazać administrowanie stanem umiarkowanym sikhom i uczynić ich odpowiedzialnymi za walkę z ekstremistami. Terroryzm szerzył się jednak nadal: doszło do niegroźnych zamachów bombowych w Delhi i okolicach, a także do wybuchu bomby na pokładzie boeinga 747 należącego do Indian Airlines, lecącego na trasie z Toronto do Delhi. Zamach, który

kosztował życie trzystu dwudziestu pięciu pasażerów, przypisywano grupie sikhijskich ekstremistów. Tej nocy Rajiv zwołał posiedzenie rządu. Sonia nie spała, czekając na niego do czwartej nad ranem. Była świadoma ogromu zagrożenia, jakie wisi nad jej mężem, ona i dzieci byli przerażeni. Patrzyła na członków Special Protection Group ze sceptycyzmem. Pewnie, zawsze byli obecni, czasem w nadmiarze, ale wobec zuchwałości sikhijskich terrorystów... czy naprawdę okazaliby się skuteczni?

W czasie gdy czekała na Rajiva, rozmawiała przez telefon ze swoją rodziną w Orbassano. Od śmierci Indiry rodzice byli bardzo niespokojni i ciągle czekali na wieści. Wszelkie przejawy dumy, jakie Paola mogła czerpać z faktu, że jej córka została pierwszą damą Indii, przyćmiewał strach przed kolejnym zamachem. Sonia zawsze uspokajała rodziców, choć matka potrafiła wyczuć obawę w jej głosie, mimo odległości i zakłóceń. Tego dnia Paola miała podwójne zmartwienie. Córka Nadia powiadomiła ją o swoim powrocie do Włoch.

- Ale masz szczęście, mamó, będziesz blisko swoich córek - powiedziała Sonia. - Mnie za to będzie bardzo brakowało Nadii.

- Jestem zmartwiona. Jak myślisz, czy oni nie mogliby się pogodzić?

- Nie, mamó... Czasem tak jest lepiej - odpowiedziała Sonia, odgadując przyczynę zmartwienia matki. Szwagier Hiszpan nadal oszukiwał żonę, ta miała już tego dość i zdecydowała się wystąpić o rozwód. Przedłużanie pobytu w Indiach byłoby w tej sytuacji pozbawione sensu. Sonia została sama w trudnym momencie i w apokaliptycznej atmosferze. Musiała być dzielna, nie miała wyboru.

Rajiv zachował zimną krew i nie uległ pokusie, by odpowiedzieć na przemoc jeszcze większą przemocą, jak zapewne uczyniłaby jego matka. Przyznał Pendżabowi prawo

do wyłączności nad Czandigarhem - stolicą stanu zaprojektowaną przez Le Corbusiera - w zamian za lojalność za strony umiarkowanych sikhów. Ogłosił również plany przedsięwzięć gospodarczych, jak budowa zapory hydroelektrycznej, która złagodziłaby problem braku energii w tym stanie. Chciał wykorzystać te atuty, żeby wygrali umiarkowani.

Ale dwudziestego sierpnia 1985 roku wszystkie te plany legły w gruzach. Lider partii umiarkowanych, który jeździł po wioskach i miastach Pendżabu, prosząc o poparcie ludzi i pokazując im podpisaną ugodę z Rajivem, został zastrzelony. Nowa tragedia i nowy impas. Fanatycy narzucili swoją wolę i bojkotowali jakiegokolwiek dyplomatyczne rozwiązania. W parlamencie w New Delhi zaczęto wątpić w zdolność Rajiva do szybkiego rozwiązania problemu. Jednak on nie dał się zastraszyć i postanowił podtrzymać swoją decyzję o wyborach w Pendżabie. Uważał, że jak śmierć matki wyniosła go do władzy, tak zabójstwo przywódcy umiarkowanych sikhów wzbudzi falę sympatii do tej partii. I miał rację. Po raz pierwszy w historii Pendżabu umiarkowani wygrali przy urnach. Odnieśli wyraźne zwycięstwo nad ekstremistami.

Ale sikhijscy fanatycy nie zamierzali poddać się bez walki. Spróbowali jeszcze raz stworzyć napięcie, okopując się ponownie w Akal Takht, świątyni zburzonej podczas operacji „Niebieska gwiazda”, a następnie odbudowanej. Tym razem twierdzili, że rekonstrukcja sprofanowała świątynię. Każdy pretekst był dobry, by uciec się do przemocy. Znowu zaopatrywali się w broń poprzez korytarze i tunele kompleksu budowli. Na zewnątrz Złotej Świątyni młodzi ekstremiści podwoili ataki na hindusów i tych wszystkich, których uznawali za nie dość religijnych, jak golibrodów i fryzjerów, których działalność stała w sprzeczności z sikhijską zasadą, by nigdy nie obcinać włosów, ponieważ to, co stworzył Bóg,

powinno zostać uszanowane. Nazwano ich wrogami sikhijskiego ludu, wskutek czego stali się celem ataków najzagorzalszych ortodoksów.

„Pozostaje tylko operacja militarna...” - słysząc te słowa, Sonia zaczęła drżeć ze strachu. Słyszała je już wcześniej z ust teściowej. Widziała też konsekwencje... Syn Indiry znalazł się nagle na tym samym rozstaju dróg. Czy potrzeba nowego świętokradztwa, skoro poprzednie nie rozwiązało problemu? Czym skończy się ta spirala przemocy? Na domiar złego wydarzenia powtarzały się z makabrycznym podobieństwem. Jak podczas poprzedniej okupacji, tak i teraz w pobliżu świątyni znowu zastrzelono policjanta, stawiając rząd pod ścianą i zmuszając Rajiva do działania.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała go zmartwiona Sonia.

- Oblegać ich, aż się poddadzą.

Ze swojego gabinetu w New Delhi Rajiv osobiście kierował operacją „Czarny grom” Wydał precyzyjne rozkazy wojsku i policji, by pod żadnym pozorem nie wchodzili do świątyni i żeby zacieśnili oblężenie, blokując wszystkie tajne przejścia oraz drogi zaopatrzenia. Oczekiwanie trwało długo, niemal wieczność. Przez pierwsze dni terroryści strzelali w powietrze albo puszczały na postrach serie z karabinów maszynowych. Poza tymi zaczepkami w Złotej Świątyni panowała absolutna cisza. Wody świętego basenu odbijały jak w lustrze sąsiednie świątynie i wszystko zdawało się tak nieruchome, jakby zatrzymał się czas. Terroryści czekali na atak, nawet go prowokowali, ale w odpowiedzi słyszeli tylko echo swoich strzałów. Wojsko i policja ciągle podejrzewali, że ekstremiści mogą się zaopatrywać jakimś kanałem łączności, który uszedł ich uwagi, co wszystkich utrzymywało w stanie skrajnego napięcia. Na zewnątrz mieszkańcy Pendżabu modlili się w ciszy, by ich święte miejsca nie zostały znowu sprofanowane. Sonia śledziła wydarzenia z domu w New

Delhi. Za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, serce podskakiwało jej do gardła. W końcu po dziesięciu dniach usłyszała po drugiej stronie słuchawki głos Rajiva, który przekazał jej dobre wieści.

- Poddali się, już skończone. Strategia zadziałała. Nie było przemocy ani potrzeby wkraczania do świątyni.

Sonia odetchnęła uspokojona, choć nie potrafiła się całkiem odprężyć. Życie bez napięcia stało się dla niej nieosiągalnym luksusem. Terrorysty ponieśli klęskę przy próbie prowokowania rządu. Jak zawsze, kiedy chce się powtórzyć historię, ta zamienia się w parodię. Tym razem wyszli ze swojej nory nieżywi z głodu i pragnienia. Poddano ich ponad dwustu. Zwycięstwo Rajiva stało się jeszcze bardziej wyraziste, kiedy prasa opublikowała zdjęcia z wnętrza świątyni, wskazujące na brak szacunku terrorystów dla tego miejsca. W różnych kątach widoczne było ekskrementy, góry ubrań, zniszczone przedmioty i plamy krwi, efekt walk wewnętrznych. Terrorysty skompromitowali się całkowicie w oczach swoich współwyznawców.

Krytycy Rajiva, którzy oskarżali go o brak charakteru, musieli przyznać, że jego zdolności koncyliacyjne przyniosły wreszcie rezultaty. Wielką zaletą premiera był styl różniący go od stylu matki i większości indyjskich polityków. Wnosił nową energię. Uważał, że socjalistyczna polityka matki i dziadka utrudniała funkcjonowanie i rozwój gospodarki. Był przekonany, że License Raj, jaki rozwinął się za czasów Indiry, dławił ducha przedsiębiorczości Hindusów i potęgował korupcję. Wydawanie pozwoleń za łapówkę było codzienną praktyką urzędników. A ich nagminny brak kompetencji Rajiv, jako pilot państwowych linii lotniczych, przez czternaście lat odczuwał na własnej skórze, dlatego wiedział, o czym mówi. Wysiłki mające na celu usprawnienie administracji i rozluźnienie kontroli spotkały się jednak z zarzutami lewicowych intelektualistów. Według nich zliberalizowanie handlu i złagodzenie kontroli miało nadmiernie uzależnić Indie od zagranicznego kapitału. Identyfikowano Rajiva bardziej z rozwijającą się klasą średnią niż z indyjską prowincją. Zarzucano mu, że urodził się w dobrej rodzinie, że lepiej mówi po angielsku niż w hindi, a nawet że zawiózł swoją rodzinę na wakacje do Parku Narodowego Ranthambhaur. Branie urlopu było w Indiach źle widziane, zwłaszcza w przypadku polityka. Ale Rajiv chciał, żeby teść zobaczył tygrysy w tym samym parku, w którym spędzili z Sonią miesiąc miodowy.

W końcu Stefano Maino zgodził się odwiedzić ukochaną córkę. Miały to być ich pierwsze i ostatnie wspólne wakacje okoliczność, której Rajiv nie zamierzał zmarnować, dlatego dokładał wszelkich starań, aby godnie teścia ugościć. W podróży towarzyszył Stefanowi jego stary dobry przyjaciel, mechanik Danilo Quadra. Sonia była szczęśliwa, że po tylu latach może gościć ojca. Przeczynała, że będzie to jego

jedyna wizyta w Indiach, ponieważ Stefano nigdy nie lubił podróżować, a na dodatek teraz chorował na serce i był osłabiony.

- Zawsze bali się o ciebie, nawet zanim zamordowano twoją teściową - zwierzył się Soni Danilo.

Stefano odczuwał strach, odkąd Sonia wymknęła mu się z rąk, od tego odległego dnia, gdy powiedział do żony: „Rzucą ją na pożarcie tygrysom”. Bał się również o Rajiva, tego bravo ragazzo, jak go nazywał. Zbyt bravo, aby zajmować się polityką w miejscu tak niespokojnym i biednym jak Indie. Widok nędzy poruszał Stefana, może dlatego, że przypominał mu dzieciństwo, kiedy pasał krowy i czas płynął niemiłosiernie wolno, a brzuch dopominał się jedzenia. Wydawało się, że sytuacja nigdy się nie poprawi i że bieda, niechęć i ograniczenia będą trwać wiecznie. Widział to w spojrzeniach młodych ludzi z indyjskich wsi. Sonia ciągle robiła mu wymówki, bo bardzo często dawał szczodre jałmużny: „Jak będziesz tak robił, to wszyscy żebracy Indii będą za tobą chodzić” - mówiła mu, przypominając, że większość z nich pracuje dla mafii i że lepiej dać pieniądze tym, którzy opiekują się biedakami. Ale ten oszczędny w słowach człowiek, który wydawał się tak twardy, ignorował jej uwagi - po prostu nie potrafił odmówić uśmiechającemu się dziecku, które wkładało rączkę przez otwartą szybę samochodu. Pod koniec podróży, kiedy dotarli do New Delhi, Danilo, wznosząc ręce na znak bezsilności, zgodził się z Sonią: „Nie da się nic zrobić, widocznie lubi rozdawać pieniądze całemu światu”. Stefano Maino pozostał zawsze wierny swoim wspomnieniom.

Rajiv był zbyt „zachodni”, aby dało się to ukryć, a nawet zbyt british w sposobie bycia i ukrywaniu emocji. Pewnego razu, broniąc się przed atakiem opozycji, zarzucił jej, że chce powrócić do Indii czasów średniowiecza - użył zatem pojęcia

należącego do historii europejskiej, ale nie indyjskiej. Nie identyfikował się również z biedakami w takim stopniu jak jego matka czy dziadek. Uważał, że jeśli miejska klasa średnia się wzbogaci, to w końcu przyniesie to korzyść także wiejskim biedakom. Stare partyjne dinozaury przypominały mu, że ważna jest lojalność wobec elektoratu, który w olbrzymiej większości stanowili nędzarze. Jaki sens miała polityka, która nie przynosiła im pożytku w krótkim czasie? Czyżby Rajiv chciał, żeby partia przegrała najbliższe wybory? Młody premier czuł się schwyty w pułapkę, musiał wybierać między większą wolnością dla przedsiębiorców, dającą im możliwość zarobienia pieniędzy, a lojalnością wobec własnych wyborców, biedaków. Wiedział, że jest to wielkie wyzwanie, któremu niełatwo będzie sprostać. Aby walczyć z etykietą „premiera uprzywilejowanych”, którą starali się mu przyczepić wrogowie, a która w demokracji zamieszkannej w większości przez biedaków była bardzo niebezpieczna, robił to, co zrobiłaby jego matka: bardzo często jeździł po kraju. By poprawić swój wizerunek wśród mas, uczestniczył nawet w wielkiej pielgrzymce. Według Soni, która towarzyszyła mu w licznych objazdach, był bardzo wytrzymały. „Chodził tak szybko, że musiałam go prosić, aby zwolnił, bo inni nie mogli za nim nadążyć. Ponieważ przyzwyczał się spać tylko cztery lub pięć godzin na dobę, miał zwyczaj ucinać sobie drzemkę podczas rozmaitych parad i prosił, żebym go obudziła, w razie gdyby ktoś na niego czekał. Czasami pozwalałam mu pospać kilka minut dłużej... Potem protestował, ale przynajmniej odpoczął” (Gandhi Sonia, Rajiv, s. 12). Sonia na własne oczy widziała, jakie rozpalał w ludziach uczucia. „Bardziej zachwycał swoją osobowością niż zajmowanym stanowiskiem. Obojętne, czy był w plemiennej wiosce na północy, w mieście Tamilnadu, w sercu rolniczego Pendżabu czy w slumsach Bombaju. Rajiv nie należał do żadnej kasty,

grupy etnicznej czy innej wspólnoty. Był Hindusem i wszyscy uważali go za swojego". W rejonach wiejskich sam prowadził samochód terenowy i zatrzymywał się, aby pomówić z miejscowymi. „Jeśli się spóźnialiśmy - opowiadała Sonia - ludzie czekali cierpliwie, pragnąc z nim porozmawiać i go zobaczyć. Na głuchej prowincji, kiedyś późno w nocy, pewien wieśniak zbliżył starą lampkę oliwną do jego twarzy i zobaczyłam, jak w oczach tego człowieka pojawił się błysk, gdy rozpoznał uśmiech Rajiva. Poprosił, żebyśmy z nim poszli. Przedstawił nam swoją rodzinę. Chciał, żebyśmy nadali imiona nowo narodzonym dzieciom i życzyli szczęścia młodemu małżeństwu we wsi". Jak dalekie wydawało się ich życie w New Delhi od życia w tych odległych miejscach... tych chatach, w których wspólnie jedli ubogi posiłek, uważnie słuchali o potrzebach mieszkańców i pytali, w jaki sposób im pomóc! „Widzę wiele miłości w oczach ludzi - powiedział Rajiv - przyjaźni, zaufania, ale przede wszystkim nadziei" (Ibidem, s. 101). Mocno wierzył w to, że technika może wyeliminować, a przynajmniej ograniczyć biedę. Wspominał wysiłki matki, która starając się wprowadzić w życie zieloną rewolucję, zabierała naukowców na wieś i organizowała spotkania z miejscowymi politykami i rolnikami. Gdy ją krytykowano, że przeznaczona wielkie sumy z budżetu państwa na ośrodki badań naukowych, broniła się, mówiąc, że rolnicy z Pendżabu nigdy nie odnieśliby sukcesu, gdyby nie mieli dostępu do nowych upraw i inżynierii genetycznej. „Możemy ponosić klęski, kiedy eksperymentujemy - mówiła - ale jeśli nie będziemy próbować, nigdy donikąd nie dojdziemy". Sprzeczności Indii wydawały się jednak zbyt rażące. Jak można było wysłać w kosmos satelitę, a jednocześnie nie móc zaopatrzyć ludzi w wodę pitną? - pytał sam siebie Rajiv. Odkrył, że przyczyną nie jest brak rozwiązań technicznych, tylko niezdolność ich zastosowania na zamieszkanym przez

biedotę terenach wiejskich. Stąd zrodził się jego pomysł, który nazwał Misje Techniczne - ambitny program badań w sześciu dziedzinach, które Rajiv uznał za priorytetowe: woda pitna, alfabetyzacja, szczepienia, produkcja mleka, telekomunikacja i energia odnawialna.

Zawsze gdy ktoś wstrząsa starymi strukturami i podważa zastane idee, staje się obiektem kpin. Rajivowi zarzucano w New Delhi, że jest naiwny, że chce wozy zaprzęgnięte w woły wyposażyć w telefony komórkowe, co faktycznie nastąpiło dzięki jego wizji i staraniom w pierwszych latach rządzenia. Trzy dekady później fotografia mahuta rozmawiającego przez telefon komórkowy z grzbietu słonia transportującego pnie widniała na plakacie reklamującym indyjskie przedsiębiorstwo telefoniczne. To za rządów Rajiva Gandhiego i dzięki zabiegom Hindusów mieszkających za granicą, głównie w Stanach Zjednoczonych, wprowadzono satelitarny system telefonii międzymiastowej i międzynarodowej, dzięki któremu każdy, także biedak żyjący w kompletnej izolacji, mógł się dodzwonić z dowolnego miejsca w kraju.

W stolicy naśmiewano się z jego hasła: „Komputer w każdej wiejskiej szkole w XXI wieku”. Brzmiało ono jak mrzonki bogatego młodzieńca, bo wówczas w wielu wiejskich szkołach brakowało nawet prądu czy tablicy. Ale Rajiv szybko dostrzegł możliwości informatyki, która po latach posłużyła za lokomotywę indyjskiej gospodarki. Wiedział, że dzięki rewolucji przemysłowej Europa osiągnęła swoją znakomitą pozycję, i chciał, by Indie wykorzystały szanse rewolucji elektronicznej i informatycznej. W niecały miesiąc od chwili, gdy został premierem, obniżył cło na import części do komputerów. Następnie zniósł liczne kontrole w przemyśle informatycznym i promował używanie komputerów w szkołach, bankach i biurach, stwarzając silny impuls rozwoju dla miejscowego przemysłu. Pod jego rządami gospodarka

zaczęła się liberalizować: „Musimy uwolnić się od kontrolerów, nie porzucając kontroli” - mawiał. Klasa średnia przeżywała upragnioną od długiego czasu ekspansję. Ludzie mogli kupować telewizory, radia, aparaty fotograficzne, zegarki i sprzęt AGD, wcześniej niedostępne na rynku z powodu tak wysokich cen, że większość tych rzeczy kupowano z przemytu. Były to dobre lata dla konsumentów i handlu. Po raz pierwszy niezależność finansowa i bogacenie się nie były postrzegane jako przestępstwo czy grzech.

Reperkusje tych posunięć natychmiast znalazły odzwierciedlenie w życiu Soni, ułatwiając pracę pierwszej damie. Nie musiała już pielgrzymować po targach New Delhi, by zdobyć ser, oliwę z oliwek albo kupić mikser, potrzebne jej do przygotowania oficjalnej kolacji. Stopniowo świat zewnętrzny zaczął przenikać do tysiącletnich Indii, które się na niego otworzyły.

W latach osiemdziesiątych krajem nadal wstrząsały gwałtowne konflikty i pracę premiera można było porównać do gaszącego pożary strażaka. Po Pendżabie Rajiv zajął się pacyfikowaniem stanu Asam, targanego niepokojami wskutek napływu muzułmańskich imigrantów z Bangladeszu, którzy w piętnaście lat po zakończeniu wojny przybywali tam w poszukiwaniu pracy. Zabiegał o pokojowe współistnienie plemiennych społeczności z północnego wschodu: Bodo, Gurkhów, Mizo, podpisując liczne traktaty i zmniejszając, a nawet całkowicie powstrzymując przemoc secesjonistów. Podczas swoich podróży bez oporów występował w okazałych turbanach albo na znak przyjaźni wkładał wielobarwne miejscowe stroje, dokładnie tak, jak robiłaby Indira. Sam się śmiał z własnego wyglądu i spokojnie reagował na żarty pod swoim adresem. Nigdy nie tracił poczucia humoru, peszył się tylko, gdy ktoś nie rozumiał jego dowcipów. Po powrocie do domu pokazywał Soni i dzieciom przedmioty, jakimi

obdarowano go w czasie podróży. Czy była to stara fajka kobiety z plemienia Mizo, czy wiklinowy koszyk, czy rzeźbiona muszla, przechowywał je w swoim gabinecie jak prawdziwe skarby. W głębi duszy wiedział, że osiągnięcie pokoju i bezpieczeństwa wśród rozmaitych ludów Indii oznacza także spokój jego rodziny, lub przynajmniej w to wierzył do drugiego października 1986 roku, kiedy skonfliktowani sikhowie zadali kolejny cios.

Tego dnia w mauzoleum dedykowanym pamięci Mahatmy Gandhiego w New Delhi odbywała się ceremonia zorganizowana dla uczczenia sto siedemnastej rocznicy jego urodzin. Nagle zgromadzeni usłyszeli eksplozję.

- To motorower - powiedział pewnym głosem członek Special Protection Group.

Rajiv i Sonia siedzieli na podłodze, słuchając modlitw kapłanów za ojca narodu. Po zakończeniu uroczystości wstali, żeby wyjść, i wtedy usłyszeli kolejne strzały. Ochroniarz stojący najbliżej Soni został ranny w czoło. Wybuchła panika. Tłum, krzycząc, rzucił się do ucieczki. Rajiv osłaniał żonę własnym ciałem, gdy otoczyli ich policjanci i wyprowadzili na zewnątrz. „Zatem to motorower!” - powtarzała Sonia, oburzona. Niedoszły zabójca został schwytany natychmiast. Był to sikh, który strzelał z korony drzewa. Nikt nie został poważnie ranny. Jednak Sonia potraktowała ten incydent jako poważne ostrzeżenie, że nie mogą pozostawać bez ochrony nawet przez sekundę. Wróciła do domu bardzo poruszona, strasznie chciała objąć dzieci i sprawdzić, czy nic im się nie stało, zawsze bowiem istniała możliwość, że zamach jest częścią większego spisku. Tym razem tak nie było, sikh działał sam.

Rajiv nagle utył. Czy to zasługa jego ulubionych penne all'arrabiata Soni, że sterczy mu brzuch? - zastanawiali się z kpina przyjaciele. Rzecz nie polegała jednak na nadmiernym jedzeniu, winę ponosiła gruba kamizelka kuloodporna, którą od ostatniej próby zamachu kazano mu nosić pod bawełnianą koszulą. Odtąd przemieszczał się w jednej z dwóch identycznych kolumn samochodów, by nikt nie wiedział, w której się znajduje. Za każdym razem, gdy gdzieś wychodził, setki policjantów w pełnej gotowości patrolowały miasto. Rahul i Priyanka mogli się spotykać tylko z wąską grupą dzieci zaufanych przyjaciół rodziców, które zanim weszły do „fortecy”, jak nazywano rodzinną rezydencję, zawsze poddawano skrupulatnej rewizji osobistej. Sonia musiała porzucić kursy restauracji obrazów w Muzeum Narodowym, które wznowiła, wykorzystując wolne chwile. Dlatego zajęła się porządkowaniem korespondencji między Nehru a Indirą, z zamiarem jej opublikowania. Pracę tę mogła wykonywać w domu, a przy okazji pomagać Rajiwowi, który ciągle poszukiwał trafnych zdań i pomysłów do swoich przemówień. Zagłębiając się w rodzinnych wspomnieniach, rozpoznała wiele konfliktów i problemów, z którymi borykał się jej mąż, a z którymi w inny sposób i w innym czasie musieli się także zmagać Nehru i Indira. Chodziło na przykład o ograniczanie wpływów biurokracji, łagodzenie konfliktów regionalnych czy wyciąganie kraju z biedy... Lekceważenie własnego bezpieczeństwa wydawało się wspólną cechą rodziny. Ani Nehru, ani Indira, ani Rajiv nie okazywali nadmiernego respektu dla tej kwestii, ponieważ ochrona oddalała ich od społeczeństwa i kojarzyła im się bardziej z dyktaturą niż z demokracją. Uważali, że jeśli ktoś naprawdę będzie chciał ich zabić, zawsze znajdzie odpowiedni sposób. Sonia nie była o tym przekonana. Zaczęła zdawać sobie sprawę, że gdyby

Rajiv nie został premierem i nie chroniłaby ich cała potęga państwa, być może wszyscy byliby już martwi. Na samą myśl o tym oblewał ją zimny pot. Okoliczności umieściły rodzinę na spirali, która zmuszała ją do ucieczki naprzód. Nie mogli już ani się zatrzymać, ani się wycofać, dlatego Soni nie pozostało inne wyjście, jak tylko się dostosować, zaakceptować swoją rolę i cieszyć się tym, co oferowało jej takie życie. Nie było to łatwe, nietypowa sytuacja rodziny stwarzała nieoczekiwane problemy. Rahul i Priyanka osiągnęli wiek, w którym powinni uczyć się w college'u. Dokąd ich wysłać? Sonia była przekonana, że nie będą bardziej bezpieczni za granicą niż w Indiach; tam również mogli paść ofiarą zemsty sikhów. Cała sprawa bardzo ją niepokoiła. Wówczas Rajiv zasugerował, żeby posłać dzieci do American College w Moskwie. Związek Sowiecki należał do najbezpieczniejszych krajów, ponadto nie było tam sikhów. Jednak Soni pomysł ten się nie spodobał, dlatego na razie go odrzucili.

Jako pierwsza dama Sonia towarzyszyła mężowi za granicą. Podróżowali na pokładzie boeinga 747 specjalnie przystosowanego dla ekipy premiera, asystentów, ministrów, dziennikarzy i oczywiście jednostki agentów ze Special Protection Group. Podczas długich lotów Sonia zatapiała się w lekturze; książki były jej wielką miłością od dzieciństwa. Rajiv natomiast przeglądał ze swoimi asystentami przemówienia, nanosząc ostatnie poprawki czy pomysły inspirowane listami Nehru lub Indiry. Rajiv lubił te podróże, choć sypiał wówczas mało i dużo pracował. Sprawiał wrażenie, że lepiej czuje się za granicą niż w kraju. „Dobrze jest być wśród przyjaciół” - powiedział do Margaret Thatcher, gdy tylko znalazł się w Londynie. Sonia starała się być jak najmniej widoczna. Trudno było jednak odmówić uczestnictwa w przyjęciach, podczas których obecność

małżonki była wymagana, lub uniknąć wygłaszania przemówień. „To kobieta bardzo zamknięta w sobie, która nie lubi być w centrum zainteresowania” - tłumaczył ją mąż. Istniał też inny powód takiego zachowania. Z punktu widzenia polityki wewnętrznej lepiej było, aby nie mówiono o Soni, od razu bowiem wychodziło na jaw jej cudzoziemskie pochodzenie - słaby punkt, który najpierw Maneka, a później prawica hinduskich fundamentalistów wykorzystywała do zdyskredytowania premiera.

Za to Rajiv czuł się wśród zagranicznych przywódców jak ryba w wodzie. Dorastał wśród nich i mówił tym samym językiem. Nie sprawiał wrażenia zahukanego polityka z Trzeciego Świata, tylko człowieka nowoczesnego, postępowego, mającego własne pomysły, zdolnego do dyskusji z każdym światowym liderem. Pomagały mu osiągnięcia dwóch pierwszych lat jego rządów, miał ich na koncie więcej niż którykolwiek premier w porównywalnym czasie. Kiedy krytykowano, że jego polityka otwarcia gospodarczego zbliża kraj do Stanów Zjednoczonych, lub na odwrót, gdy na Zachodzie zarzucano mu, że Indie skłaniają się ku Związkowi Sowieckiemu, zwykł powtarzać zdanie swojej matki: „Stoimy prosto, nie przechylamy się w żadną stronę”. Rajiv przekonał prezydenta Ronalda Reagana, by uczynił wyjątek w swojej polityce niesprzedawania Indiom technologii, które mogłyby zostać przekazane krajom bloku wschodniego. Chciał dysponować amerykańskim superkomputerem, który pomógłby przewidywać z dużą precyzją ewolucję monsunów, co jak sądził, stanowiłoby nieocenioną pomoc dla rolników. Reagan to zrozumiał i przystał na jego prośbę.

Podczas podróży Rajiv uczestniczył w niekończących się okrągłych stołach, ceremoniach, konferencjach i podpisywaniu traktatów. Korzystał również z okazji i

zwiedzał laboratoria renomowanych firm wytwarzających najnowocześniejsze pod względem technicznym produkty. Zawsze pytał, jak można by je spożytkować w Indiach dla zmniejszenia biedy. W Japonii chwalił „lidera krajów azjatyckich pod względem wykorzystania wynalazków naukowych”, podkreślał także osiągnięcia swojej ojczyzny: „W 1947 roku nie produkowaliśmy nawet tokarek; dziś budujemy własne reaktory atomowe i wysyłamy satelity w kosmos”. Szczególną satysfakcję odczuwał z faktu, że jego rządowi udało się sprostać największemu wyzwaniu - suszy 1987 roku, uznawanej za najcięższą w XX wieku, która dotknęła dwieście pięćdziesiąt osiem milionów ludzi i sto sześćdziesiąt osiem milionów sztuk bydła. Wziął wówczas sprawy energicznie w swoje ręce, utrzymywał stały kontakt z lokalnymi urzędnikami odpowiedzialnymi za programy rozwoju i pomocy, upewniał się, że nadwyżki zapasów są właściwie dystrybuowane i że wydatki na pilną pomoc przeznaczano na inwestycje rozwojowe, na przykład zakładanie studni czy prace irygacyjne. Jego poświęcenie i niemal wojskowe planowanie sprawiło, że kraj nie musiał importować ziarna i po raz pierwszy w dziejach Indie wyszły z suszy zwycięsko, bez klęsk głodu, epidemii i śmiertelnych ofiar oraz z dodatnim produktem narodowym brutto. „Była to dla niego wielka satysfakcja!” - wspominała Sonia.

Na innych frontach rezultaty nie były aż tak budujące. W polityce zagranicznej Rajiv odziedziczył konflikt w Sri Lance, po części stworzony przez jego matkę. Dawną wyspę Cejlon zamieszkiwało siedemnaście milionów ludzi. Większość należała do kultury cejlońskiej i wyznawała buddyzm. Dwuipółmilionową mniejszość na północy stanowili Tamilowie, wyznawcy hinduizmu, mający silne związki etniczne i lingwistyczne z pięćdziesięcioma pięcioma milionami Tamilów zamieszkujących indyjski stan Tamilnad.

Czuli się oni od zawsze marginalizowani. Uważali, że są traktowani jak obywatele drugiej kategorii, zwłaszcza odkąd w latach pięćdziesiątych rząd ustanowił język cejloński oficjalnym językiem wyspy. Lata niechęci doprowadziły do powstania partyzantki, Tamilskich Tygrysów, którzy dążyli do stworzenia niepodległego państwa na północno - wschodnim skraju wyspy. Przez długie lata mogli oni liczyć na dyskretne wsparcie Indii. Szef indyjskiego rządu w Tamilnadzie, były aktor kinematografii tamilskiej i populistą, dostarczał im broni, pieniędzy i schronienia. Indira patrzyła na to przez palce ze względu na potrzeby polityki wewnętrznej - był on jej jedynym sojusznikiem na południu i potrzebowała jego politycznego wsparcia.

W 1983 roku Tamilskie Tygrysy były już tak mocne, że zintensyfikowały walkę zbrojną. Rząd Sri Lanki zareagował brutalnie wszelkimi dostępnymi środkami. Konflikt nakręcił spiralę terroru i represji, co jeszcze bardziej wzmocniło pragnienie niezależności wśród Tamilów. Bestialstwo i okrucieństwo obu stron krwawo kontrastowało z rajskim pięknem wyspy. Spokojna ekspresja kamiennych wizerunków Buddy, wyrzeźbionych przez dawnych mieszkańców, nie przystawała już do otoczenia.

Niedługo po objęciu rządów spadł na Rajiva problem lawiny uchodźców chroniących się w Indiach przed ofensywą wojsk cejlońskich. Oprócz trudności natury logistycznej, czyli wyżywienia i ulokowania tysięcy osób, istniało zagrożenie, że niezadowolone Tamilów cejlońskich udzieli się ich pobratymcom z subkontynentu, ożywiając idee niepodległości w Tamilnadzie, jednym ze stanów o wyraźnie odrębnym charakterze, a także wyzwoli inne secesjonistyczne napięcia w całych Indiach, jakby do tej pory nie było ich wystarczająco dużo.

- Przypominasz mi swoją matkę, kiedy musiała stawić czoła pierwszej fali uchodźców z Bangladeszu - powiedziała Sonia. - Na początku nie wiedziała zbyt dobrze, co robić.

- Należy rozwiązać problem u jego źródeł, tak by pomyślała. Nie wolno dawać Tamilom ze Sri Lanki powodów do zemsty. Trzeba ten problem rozwiązać w Kolombo. Tak jak matka musiała go rozwiązać w Bangladeszu.

Rajiv zaczął słać do Sri Lanki specjalnych wysłanników z misją przekonania tamtejszego rządu, żeby przyznał Tamilom pewien stopień autonomii. Jeśli rząd zawrze pokój z Tamilami - proponowali - Indie zobowiążą się do całkowitego ukrócenia pomocy dla partyzantki. Jednak rząd Sri Lanki, uwikłany w militarny konflikt, pozostał głuchy na argumenty. Kontynuował ofensywę i nałożył blokadę na półwysep Dżafna, terytorium Tamilów na północnym wschodzie, gdzie zaczęło brakować benzyny, żywności i leków.

- Zupełnie nas ignorują. Muszą zrozumieć, że Indie nie mogą stać z założonymi rękami. Jeśli nie zaproszą nas do współpracy przy rozwiązywaniu konfliktu, który zagraża nam bezpośrednio, będziemy interweniowali, nie prosząc o pozwolenie.

- Następna wojna? Przemyśl to dobrze - radziła Sonia.

Rajiv mądrze zaplanował posunięcia. W blokadzie dostrzegł okazję do narzucenia przez Indie swojej woli wszystkim za jednym zamachem. Zdecydował się wysłać na półwysep Dżafna pięć samolotów transportowych, eskortowanych przez myśliwce, z pomocą dla ludności: czterdziestoma tonami ryżu, lekami i innymi produktami. Gest o charakterze humanitarnym miał zarazem potwierdzić potęgę Indii w regionie.

Presja zadziałała. Prezydent Sri Lanki podpisał w końcu z Rajivem traktat, na mocy którego rząd cejloński przyznał Tamilom szeroką autonomię. Umowa przewidywała również

rozlokowanie na wyspie indyjskich sił pokojowych. Wojsko Sri Lanki miało się wycofać do koszarów, a partyzanci z Tamilskich Tygrysów złożyć broń dobrowolnie lub pod przymusem. „To porozumienie nie tylko kończy konflikt - oświadczył Rajiv - lecz także przynosi pokój i sprawiedliwość mniejszości na wyspie”.

- Twoja matka byłaby z ciebie dumna - powiedziała Sonia. Ale nie było to takie zwycięstwo jak wygrana Indiry w Bangladeszu. Rajiv sprzedał skórę, zanim upolował niedźwiedzia.

Większość cejlońska, z obawy, że jej interesy zostaną zagrożone przez cesję na rzecz Tamilów, zareagowała gwałtownie na warunki porozumienia. Kiedy w końcu lipca 1987 roku Rajiv pojechał do Kolombo ratyfikować traktat, towarzyszący mu agenci Special Protection Group przekonywali go, żeby nie brał udziału w przeglądzie gwardii honorowej, przewidzianym wymaganiami protokołu. „Może to być niebezpieczne - powiedzieli. - Do armii mogli przeniknąć ekstremiści, na wyspie panuje wielkie napięcie...”

- Jak to? Jedziemy tam, by podpisać traktat gwarantujący pokój i bezpieczeństwo... a mam im okazać, że boję się pozdrowić gwardię honorową? (Adams Jad, Whitehead Philip, *The Dynasty - The Nehru - Gandhi Story*, s. 337 (z wywiadu dziennikarza Vira Sanghviego dla Brooks Associates).)

Ochrona wiedziała, jak uparty potrafi być szef, i nie należała. Niedawno jeden z nich odczuł gniew premiera na własnej skórze. Ośmielił się narzekać, że Rajiv prowadzi zbyt szybko swojego range rovera (prezent od króla Jordanii Husajna), którym lubił jeździć z domu do biura w parlamencie, i że nie sposób za nim nadążyć na ulicach New Delhi. Rajiv uznał, że ochroniarz jest bezczelny, i zażądał jego przeniesienia. Presja stanowiska sprawiła, że u Rajiva

pojawiły się takie cechy, jak upór i determinacja, w czym przypominał swojego brata i matkę.

Realizował więc bez zmian program wizyty i towarzyszył prezydentowi Sri Lanki w przegładzie gwardii honorowej, z muzyką orkiestry wojskowej, salutami i całym ceremoniałem. Nagle jeden z żołnierzy w białym marynarskim mundurze złamał szyk, rzucił się na Rajiva i chciał uderzyć go w głowę kolbą karabinu. Rajiv dostrzegł atak i w ostatniej sekundzie się uchylił, dzięki czemu przyjął na bark cios, który niewątpliwie roztrzaskałby mu czaszkę. Wszystko działo się tak szybko, że obecni nie zdali sobie sprawy z całego wydarzenia. Rajiv dalej słuchał hymnu narodowego, wytrzymując ból, i niewzruszony kontynuował swój program. Pragnąc zminimalizować incydent, nie pozwolił się obejrzyć lekarzom, dopóki nie wszedł na pokład samolotu do Delhi. Żeby nie wystraszyć Soni, chciał osobiście opowiedzieć jej o tym, co zaszło, jednak scenę zamachu pokazały wcześniej stacje telewizyjne całego świata. Sonia z dziećmi oglądała ją w domu w salonie i znowu serce ze strachu podskoczyło jej do gardła. Kolejny drobny incydent przypominał im o stałym zagrożeniu, w jakim żyli. „Przez długi czas - opowiadała Sonia - nie mógł ruszać ramieniem ani spać na lewym boku”.

Rajiv nie zdążył jeszcze wylądować w New Delhi, kiedy rząd Sri Lanki zażądał od niego wprowadzenia w życie klauzuli o pomocy militarnej. Wysłano na wyspę siły pokojowe w liczbie kilku tysięcy indyjskich żołnierzy, których zadaniem było nadzorowanie zawieszenia broni i rozbrowienie partyzantki. Po osiągnięciu zamierzonych celów miały powrócić do Indii. Wojsko zostało jednak przyjęte z nieufnością przez obie strony konfliktu, zarówno przez większość cejlońską, która oskarżała je o pogwałcenie suwerenności Sri Lanki, jak i przez Tamilskie Tygrysy, które do tej pory uważały Indie za swojego sojusznika. Kiedy

żołnierze sił pokojowych zażądali od partyzantów zdeponowania broni, Tamilowie postawili warunki, które zniweczyły porozumienie, i wrócili do dżungli, skąd dokonywali krwawych ataków na indyjskich żołnierzy. Broniąc się, siły pokojowe zostały wciągnięte w konflikt i przejęły rolę, którą wcześniej pełniło wojsko Sri Lanki. Rajiv zwiększył liczebność wojsk do prawie siedemdziesięciu tysięcy żołnierzy, co wywołało panikę w parlamencie w New Delhi.

- Premier zamienia Sri Lankę w indyjski Wietnam! - oskarżano go z ław opozycji.

Rajiv okazał wielką naiwność, myśląc, że Tamilowie będą grali czysto. „Nie dotrzymali żadnej z umów, jakie z nami zawarli - oświadczył. - Świadomie doprowadzili do zniweczenia porozumienia, ponieważ albo nie potrafią, albo nie chcą przejść od walki zbrojnej do demokracji". Postawił wszystko na jedną kartę, a Tamilowie opuścili go w potrzebie. Gdy pozbawił ich wsparcia, z którego w Indiach zawsze korzystali, uznali go za zdrajcę.

Frustrację, rozczarowanie i rozgoryczenie premiera wzbudziły również wyniki wyborów regionalnych, które potwierdziły przepowiednie jastrzębi Kongresu przestrzegających go przed realizowaniem polityki, która nie przyniesie natychmiastowych korzyści ubogim. W 1987 roku Kongres przegrał w kilku stanach, co wzmogło niezadowolenie starej gwardii kwestionującej przywództwo Rajiva. Do konfliktu w Sri Lance i klęski wyborczej dołożył się skandal, który nieodwracalnie nadwyreżył wizerunek „Mr. Cleana". Szesnastego kwietnia 1987 roku szwedzkie radio podało, że zakłady zbrojeniowe Bofors wypłaciły w charakterze łapówek miliony dolarów urzędnikom i członkom Kongresu w związku z kontraktem na sprzedaż czterystu dziesięciu moździerzy indyjskim siłom zbrojnym. Podpisany

kontrakt był konsekwencją decyzji Rajiva o poprawie wyposażenia indyjskiego wojska, czwartej po Stanach Zjednoczonych, Związku Sowieckim i Chinach armii świata.

Rajiv i członkowie jego rządu ostro zareagowali na zarzuty szwedzkiego radia, kilka razy dementując informacje o wypłaconej prowizji. Opozycja wyczuła strach w szeregach rządu i przystąpiła do ataku na premiera we wszystkich dostępnych jej mediach. Prasa zniżyła się do insynuowania, że wziął łapówkę za pośrednictwem rodziny Soni, wskazywała na bliskość Turynu i Genewy, sugerując, że Rajiv używał szwajcarskich tajnych kont obsługiwanych przez rodzinę lub przyjaciół. Znaleźli się nawet dziennikarze, którzy dzwonili do rodziców Soni w Orbassano. Biedny Stefano Maino poczuł się nagle zamieszany w handel bronią i pobieranie łapówek. Telefony wzmagaly zdenerwowanie rodziców, a oddalenie potęgowało niepokój i strach o córkę i wnuki. Drażąc sprawę, indyjska prasa wyciągnęła na światło dzienne nazwisko pewnego biznesmena, zaangażowanego w sprawę kontraktów na sprzedaż państwu indyjskiemu helikopterów i uzbrojenia przez firmy włoskie. Ottavio Quattrochi, przyjaciel, który od lat należał do bliskiego kręgu znajomych Rajiva i Soni, miał zdaniem prasy wziąć hojną łapówkę od szwedzkiego Boforsa. Od tego do insynuacji, że Quattrochi przekazał Gandhim część tej łapówki za granicą, był tylko mały krok, który dziennikarze z radością uczynili. Jakiż soczysty skandal!

Mimo że publikacje nie dostarczyły żadnych dowodów, zaszkodziły wizerunkowi Rajiva, a jego prostoduszność i brak doświadczenia tylko pogorszyły sprawę. Zamiast kompletnie zignorować bezpodstawne oskarżenia, postanowił bronić się w parlamencie: „Oświadczam kategorycznie przed tym wysokim demokratycznym forum, że ani moja rodzina, ani ja nie otrzymaliśmy żadnej łapówki od firmy Bofors. Taka jest prawda”. Ale prawda przestała już być ważna. Dla

przeciwników Rajiva najważniejsze było to, że został ugodzony i że zareagował na oskarżenia z wielką determinacją, otwierając w ten sposób puszkę Pandory, pełną insynuacji i fałszywych podejrzeń. Po raz kolejny dementował informacje, jakoby zostały wypłacone jakieś łapówki lub że którykolwiek z obywateli indyjskich wzbogacił się na tym kontrakcie, a robiąc to, pogrążał się jeszcze bardziej w bagno skandalu. W kraju, w którym listonosz za dostarczenie poczty pobiera niewielką łapówkę od biedaka ze slumsów, gdzie praktyka pośrednictwa jest obecna we wszystkich aspektach życia i równie stara jak kultura, trudno było uwierzyć, że przy zawieraniu kontraktu za miliard dolarów nikt nie wziął ani grosza. Choć cała komisja parlamentarna stwierdziła, że proces przygotowania i szacowania kosztów został przeprowadzony obiektywnie i prawidłowo, a decyzja zakupu broni od Boforsa oparta była jedynie na przesłankach merytorycznych, i że nie znaleziono żadnych dowodów na działanie pośredników w chwili podpisywania kontraktu, Rajiv został już publicznie osądzony i uznano, że coś ukrywa. „Być może prawdą jest, że Rajiv nie jest zamieszany w korupcję - przyznawała prasa. - Ale zapewne jest zamieszany w jej ukrywanie!” - dodawała zaraz potem. Kiedy dziennikarz „India Today” spytał, dlaczego Rajiv nie odpowiada na ten ostatni zarzut, ów odparł zirytowany: „Czy muszę odpowiadać każdemu psu, który szczeka?” Po czasie Rajiv przyznał, że ani on, ani jego gabinet nie potrafili rozegrać tej sprawy. Zareagował po prostu jak przyzwoity człowiek, zamiast rozwiązać problem, jak zrobiłby to doświadczony polityk, który poszukałby kozła ofiarnego i obciążył go winą. Nie wziął pod uwagę, że porusza się w brudnym świecie polityki, w którym istotna jest nie tyle prawda, ile takie nią manipulowanie, by zasiać wątpliwości i naruszyć dobre imię przeciwnika. Sonia martwiła się o niego. Jednocześnie była

wściekła, że starano się ją wplątać w tę nedorzeczną aferę w sposób tyleż idiotyczny, co niszczący, wciągając w to jej rodzinę i państwa Quattrochich. Zdała sobie sprawę, że stała się celem krytyki i że nawet w życiu prywatnym nie jest od niej wolna. Skończyły się niedzielne branche. Ani Maria, ani Ottavio Quattrochi, ani żaden inny zaprzyjaźniony przedsiębiorca czy dyplomata nie pojawił się już w rezydencji premiera. Jakże to niesprawiedliwe! - pomyślała. Sama była naocznym świadkiem ogólnych ustaleń i negocjacji w sprawie zakupu broni od Szwedów. Prowadzono je nad lasagnami, które osobiście przygotowała z tej okazji. Rzeczą działa się w styczniu 1986 roku, kiedy szwedzki premier Olof Palme, przebywający z oficjalną wizytą w New Delhi, odwiedził ich w domu. On i Rajiv zaprzyjaźnili się podczas konferencji rozbrojeniowej w siedzibie ONZ w Nowym Jorku. Rahul i Priyanka także uczestniczyli w kolacji, podczas której dwaj przywódcy otwarcie dyskutowali warunki kontraktu. Rajiv szczególnie podkreślał, że nie życzy sobie żadnych pośredników, głównie po to, aby obniżyć koszt transakcji.

Sonia nie mogła zapomnieć o Olofie Palme, tak zaangażowanym w problemy Trzeciego Świata. Premier Szwecji podzielał opinię Rajiva w wielu kwestiach, jak sprzeciw wobec apartheidu czy poparcie dla krajów niezaangażowanych. W niecały miesiąc po wspomnianej kolacji zmarła, usłyszawszy w telewizji wiadomość, że dziewiętnastego lutego 1986 roku Olof Palme został zabity na ulicy, kiedy z żoną wychodził z kina. Mój Boże! Czy nie ma już żadnego bezpiecznego miejsca na tym świecie? Skoro coś takiego zdarzyło się w Szwecji, co może stać się z nami tutaj, w Indiach?

Tymczasem opozycja przekształciła sprawę Boforsa w krucjatę mającą doprowadzić do pozbawienia Rajiva stanowiska, mimo że sfrustrowani dziennikarze i wydawcy

gazet nie byli w stanie dostarczyć żadnego przekonującego dowodu na malwersacje rządu. Okazało się, że nikt nie wie, kto wziął łapówkę od szwedzkiego przedsiębiorstwa, ani rząd, ani tym bardziej Rajiv. Wszyscy jednak przyznawali, że naruszono klauzulę kontraktu zakazującą angażowania pośredników. Czy łapówkę otrzymali członkowie Kongresu niepowiązani z rządem, a pieniądze poszły na wsparcie finansowe partii? Czy może wziął ją Ottavio Quattrochi, wykorzystując bliskie kontakty z władzą? Czy mogło to się dzieć bez wiedzy najważniejszej osoby w państwie, czyli premiera? Rajiv stale utrzymywał, że nic nie wie, ale wątpliwości ciążyły na nim jak głąz. Atmosfera niepewności zniszczyła jego wiarygodność. Przez pierwsze dwa lata rządów prasa mu sprzyjała, wydawał się niezdolny do popełnienia jakiegokolwiek zła. Nawet opozycja napotykała trudności w krytykowaniu jego działań, ograniczając się do potępiania stylu. „Indyjska polityka już nie pachnie biedą jak w czasach Mahatmy Gandhiego - zadeklarował znany dziennikarz z konkurencyjnej partii - teraz wraz z Rajivem pachnie wodą after shave”.

„Na początku nic z tego, co robiłem, nie było złe - powiedział Rajiv. - Teraz nic z tego, co robię, nie jest dobre. Oczywiście żadna z tych dwóch opinii nie może być prawdziwa”. I tak jak przedtem nazywano go „Mr Clean”, tak teraz zaczęto go określać pejoratywnym the boy, co miało go deprecjonować w porównaniu z matką. Pytanie: „Czy the boy zdoła stanąć na wysokości zadania?” - stało się codziennym tematem rozważań prasy.

Większość problemów Rajiva wynikała po prostu z braku politycznego doświadczenia i zwyczajnej naiwności. Wiele trudu kosztowało go wytyczenie granic między lojalnością wobec przyjaciół a dobrem publicznym. Nazwisko braci Bachchan, przyjaciół Rajiva z dzieciństwa, w których domu

Sonia spędziła pierwsze dni w Indiach, zostało skojarzone z brudnymi skandalami finansowymi. Bardziej ostrożny premier od razu by się od nich zdystansował. Jednak Rajiv tego nie zrobił, przeciwnie, wydawał się urażony, że krytykuje się jego przyjaciół. Matka zawsze powtarzała, że w polityce relacje towarzyskie nie istnieją, jednak on był zbyt dobrym przyjacielem, żeby być doskonałym politykiem. Początkowo nie potrafił przyjąć do wiadomości, że прияciiele mogliby go zawieść, i zamiast uznać prawdę, dopatrywał się spisku przeciwników politycznych. Tymczasem wielu zaufanych przyjaciół, których mianował swoimi doradcami, w końcu go zawiodło. Jeden z nich, pilot, który miał pilnować daty wygaśnięcia licencji Rajiva i zajmować się jego sprawami w okręgu Amethi, został oskarżony przez prasę o wybudowanie sobie w domu basenu z marmuru sprowadzonego z Włoch. I znów Rajiv, zamiast się od niego zdystansować, zaczął go bronić i skomentował całą sprawę w sposób, który wyrządził mu większą polityczną szkodę, niż gdyby podjął złą decyzję jako premier. Pozwolił sobie na stwierdzenie, że wielu pilotów ma domy z basenami, co powiedziane w jakimkolwiek zachodnim kraju przez szefa rządu, który na dodatek sam był pilotem linii lotniczych, nie wywołałoby żadnego oburzenia. W Indiach wznieciło burzę. Opozycja zarzuciła mu brak szacunku dla „indyjskiej wrażliwości”. Był również ostro krytykowany za spędzanie z rodziną kilkudniowego noworocznego urlopu w egzotycznych miejscach, jak wyspy Lakszadiwy na Oceanie Indyjskim czy Andamany w Zatoce Bengalskiej. Na Zachodzie wydawałoby się rozsądne, że ktoś, kto tyle pracuje, zasługuje na wypoczynek, że dzieci, które żyją w zamknięciu przez cały rok, mogą mieć kilka dni wolności i bezpieczeństwa, ale w kraju biednym jak Indie fakt, że premier korzysta z uroków życia, był źle widziany. Rajiv i Sonia kontynuowali zwyczaj rodzinnych spotkań na Boże

Narodzenie i Nowy Rok, ale od 1988 roku przestali jeździć do Włoch. W październiku zmarł na atak serca Stefano Maino i uważali, że lepiej będzie zaprosić rodzinę w inne miejsce niż jechać tam, gdzie ożywały dawne wspomnienia.

*

Sonia pojechała do Orbassano na pogrzeb incognito. Prawie się nie pokazywała, nie tylko ze względów bezpieczeństwa, ile po prostu dlatego, że czuła głęboką rozpacz, pragnęła być z rodziną, matką i siostrami, z nimi zanurzyć się we wspomnienia i wzajemnie pocieszać. Zadrżała, kiedy usłyszała uderzenie pierwszej grudy ziemi rzuconej na trumnę przez grabarza. Część jej życia została pochowana na zawsze. Już nigdy nie usłyszy rad mądrego górala, który - dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę - naznaczył ją mocniej, niż jej się do tej pory wydawało.

Po powrocie do domu rozmawiała z Danilem Quadrą, przyjacielem Stefana, który opowiedział jej o ostatnich chwilach życia starego pasterza z gór Asiago. Jak codziennie od lat grali w domino w barze Nina na rynku w Orbassano. Zaraz po powrocie do domu, który był dlań symbolem jego życiowego sukcesu, Stefano zmarł na atak serca. Nie cierpiał. Kilka dni później Danilo powiedział Soni, że Stefana irytowały coraz częstsze ataki na nią indyjskiej prasy.

- Mojej córki tam nie kochają, powtarzał, bo jest stąd. Czy to prawda?

- Nie sędzę - odparła Sonia. - Ci, którzy mnie nie lubią, są przeciwni mojemu mężowi.

- Męczyło go, że tylko dlatego, iż jesteś Włoszką, rząd indyjski unika podpisania jakiegokolwiek kontraktu z tutejszymi zakładami - opowiadał dalej Danilo. - Parę dni przed śmiercią powiedział mi, że Fiat wystąpił z bardzo dobrą ofertą sprzedaży traktorów, ale w końcu podpisano kontrakt z Japończykami... ze strachu, by rząd twojego męża nie został

oskarżony o sprzyjanie włoskim przedsiębiorstwom. Rzeczywiście tak było? - zapytał.

Sonia popatrzyła na niego ciemnymi, podpuchniętymi ze zmęczenia i bólu oczami i przyznała mu rację. Kiedy została sama i poszła się położyć do swojego, niegdyś panieńskiego pokoju, zaczęła się zastanawiać - nieco zdziwiona własnymi myślami - czy rzeczywiście jest stąd? Jej ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby usłyszał coś podobnego, ale ją przepełniało jakieś nieokreślone poczucie obcości, wrażenie, że już nie należy do miejsc, gdzie spędziła młodość. Jakby wraz ze śmiercią ojca utraciła korzenie. Z trudem rozpoznawała siebie w kraju dzieciństwa. Jej myśli były zbyt dalekie od codziennych spraw ludzi z Orbassano, żeby mogła się z nimi identyfikować. Przeżyła więcej lat w Indiach niż we Włoszech, w atmosferze skupionej na problemach rządzenia szóstą częścią ludzkości, nienakierowanej wyłącznie na indywidualny dobrobyt. Jakiś czas temu jej serce przestało oscylować między tymi dwoma światami. Była stamtąd, a śmierć ojca tylko w jakiś tajemny sposób to potwierdziła, jakby odejście tego, który najgoręcej sprzeciwiał się jej planom, sprawiło, że lepiej rozumiała, po której znajduje się stronie.

Na kilka dni zamknęła się w domu. Na nic nie miała ochoty. Zabrakło jej nawet siły, aby spotkać się z Pierem Luigim; z nikim nie chciała rozmawiać ani udzielać wyjaśnień czy opowiadać o swoim życiu... Czyż można było je opowiedzieć? Trudno oczekiwać, by ktoś tutaj zrozumiał jej życie. Mogła to zrozumieć tylko jej najbliższa rodzina, teraz już bez ojca. Gnębiły ją czarne myśli. Powinna była okazywać mu więcej czułości. Powinna była nalegać, żeby częściej przyjeżdżał do Delhi, być bliżej niego, zaprowadzić go do lekarza. Może zapobiegłaby zawałowi... Cała litania wyrzutów wywołanych ogromnym bólem po utracie człowieka, którego

obok Rajiva kochała najbardziej. Kiedy zamknęła oczy, czuła łaskotanie wąsów ojca na policzku, zapach świeżego mydła, uśmiech i surowe spojrzenie, słowa zawsze sensowne, pełne zdrowego rozsądku. Przypomniała sobie, jak zabierał ją ze sobą na wizytowanie ukończonej budowy i pokazywał z dumą, jak dobrze została wykonana. Dlaczego odszedł tak prędko? - pomyślała. Przypomniała sobie, co mówiła Indira, której mąż zmarł na zawał: że to tak, jakby nagle zgasło światło albo wybuchła bomba, pozostawiając pusty lej. Podobno lepiej jest umrzeć w taki sposób, ale Sonia wolałaby się z nim pożegnać, powiedzieć mu, jak bardzo go kocha... choćby ten jeden raz. Nieobecność ojca wydawała jej się tak dziwna, że pewnej nocy wstała i poszła na cmentarz, by pomodlić się przy jego grobie. Spotkała tam siostrę, którą gnębiły podobne myśli. Chciały być z nim, świadomie, choć z pewnym opóźnieniem, zaakceptować nieubłaganą rzeczywistość. Po paru dniach Sonia pojechała do New Delhi i nikt już nigdy nie zobaczył jej w Orbassano.

Historia lubi się powtarzać. Rajiv Gandhi nie mógł być premierem, nie wywołując tej samej wrogości, którą wcześniej wzbudzali jego dziadek i matka. W 1989 roku partie prawicowe i lewica sprzymierzyły się z członkami dawnej Partii Dżanata (koalicji powstałej dla obalenia Indiry), aby wspólnym frontem pójść do wyborów powszechnych i osiągnąć jeden wspólny cel - odsunąć Gandhiego od władzy. Gwałtowne zamieszki między muzułmanami a hinduistami w stanie Bihar, do których doszło w czasie kampanii, dodatkowo podkopały nadwyrężony już wizerunek Rajiva. Zanim premier zdołał ugasić przemoc, zginęło ponad tysiąc osób.

Wzorem swojej matki Rajiv jeździł po kraju, kumulując wiece i kilometry i opowiadając o osiągnięciach rządu. Z tą różnicą, że matkę otaczała nieliczna ochrona, co pozwalało jej na bliski kontakt z ludźmi, ściskanie rąk i obejmowanie wyborców. Natomiast każdy wyjazd Rajiva pociągał za sobą mobilizację trzystu agentów bezpieczeństwa, którzy nie pozwalali nikomu zbliżyć się do niego, z wyjątkiem w pełni kontrolowanych sytuacji. Od czasu do czasu Rajiv łamał protokół, spierał się o to ze swoją ochroną, na ogół jednak każdy jego krok wymagał takiej logistyki, że nim go podjął, musiał poważnie się zastanowić, czy warto. Wiedział, że wskutek tych ograniczeń sprawia wrażenie lidera oddalonego od mas, i dlatego starał się uwolnić od nadzoru. „Nigdy nie bałem się o siebie” - oświadczył w jednym z wywiadów. Jak zwykle osobą bardziej świadomą zagrożeń była Sonia.

Podczas kampanii Rajiv latał wojskowym boeingiem opłacanym przez partię. Startował z New Delhi przed świtem, dzięki czemu mógł odwiedzić trzy lub cztery stany w ciągu jednego dnia. Aby dostać się do oddalonych miejscowości, używał helikopterów, które w przeddzień ćwiczyły lądowanie na przypadkowych drogach. Program kończył po północy,

spał kilka godzin w samolocie lub w kwaterach rządu. Tylko ktoś tak wytrzymały i zahartowany jak Rajiv mógł wytrzymać podobny rytm życia. Wprawdzie Hindusi nie darzyli go takim uwielbieniem, jakie okazywali jego dziadkowi, nie cieszył się też respektem, którym otaczano Indirę, niemniej cenili go jako człowieka uczciwego, starającego się udowodnić, że jest godny dziedzictwa rodziny. Przy różnych okazjach towarzyszył mu syn Rahul, nastolatek w okularach, bardzo podobny do ojca. Dla młodzieńca był to chrzest bojowy w zetknięciu z tłumami. Ludzie chcieli go dotknąć, jakby myśleli, że spłynie na nich choć cząstka magii i potęgi któregoś z Gandhich. Priyanka nie chciała pozostać w tyle, nalegała, żeby pojechały z matką do okręgu Amethi, z którego Rajiv był deputowanym, i wspierały kandydaturę ojca. Wiele się nauczyła, uczestnicząc razem z matką w kampanii. Obie były bardzo lubiane i popularne wśród półtoramilionowej społeczności Amethi, która teraz cieszyła się dobrobytem, jaki Rajiv przyrzekł jej podczas swojej pierwszej kampanii. Wszystkie drogi zostały tam wyasfaltowane, niemal wszystkie wsie zelektryfikowano i zapewniono im dostęp do wody pitnej, dzięki lokalnemu boomowi przemysłowemu wyraźnie zmniejszyło się bezrobocie. Takie były korzyści z posiadania deputowanego premiera. Matkę i córkę przyjmowano z ogromną serdecznością, wręcz wylewnie. Sonia stanowiła główną atrakcję dla wieśniaków, pragnących zawiesić girlandę na szyi tej cudzoziemki, która ich intrygowała, ponieważ zawsze nosiła sari i płynnie posługiwała się hindi. „Może jestem córą Włoch, ale i synową Amethi” mówiła, żeby wytłumaczyć swoje pochodzenie, i uśmiechała się, pokazując dołeczki. A ponieważ nie lubiła występować publicznie, chętnie chodziła od domu do domu i zachęcała ludzi, by głosowali na męża. Razem z Priyanką brały udział w improwizowanych wiecach w przydrożnych rowach, mówiąc

to samo, co Rajiv i Rahul do innych, jeszcze biedniejszych rolników tysiące kilometrów stamtąd. Rozdawały młodym ludziom naklejki i odznaki, a kobietom samoprzylepne bindi z logo Kongresu - otwartą dłońią. „Chcę tylko, żebyście sobie uświadomili, jak poprawiła się sytuacja waszych wsi, odkąd Rajiv osiem lat wcześniej został wybrany na deputowanego - mówiła im Sonia i dodawała: - Bracia i siostry, jeśli chcecie, byśmy dalej dla was pracowali, głosujcie na mojego męża”.

Jej mąż nie był już tak niedoświadczonym politykiem jak pięć lat temu. Pochlebstwa przestały robić na nim wrażenie, nie zawstydzaly go dedykowane mu pieśni ani kwieciste epitety. Był niecierpliwy, chciał, żeby ludzie zrozumieli, jak wielki osiągnięto postęp, ile podjęto nowych działań i inicjatyw. Zdzierał sobie gardło, tłumacząc, w jaki sposób rozwiązał znaczną część konfliktów odziedziczonych w 1984 roku i jak zdołał wprowadzić gospodarkę na ścieżkę sześcioprocentowego wzrostu, przewyższającego o cztery punkty procentowe postęp, jaki odnotowano za rządów jego matki. Miał jednak wrażenie, że utracił moc przekonywania i że rzuca słowa na wiatr. Irytowało go poczucie, że dobrze wykonał swoją pracę, a mimo to musi stale się bronić przed złośliwymi atakami i insynuacjami. Z całą pewnością zmienił się jego wizerunek - z „dzielnego syna, który objął rządy po matce”, stał się „europejskim paniczem żyjącym na koszt narodu”. Nie miał wątpliwości, że po wygaszeniu dawnych konfliktów pojawią się nowe, ale ważne było to, że Indie pozostały zjednoczone, rozwijała się gospodarka, a kraj cieszył się międzynarodowym szacunkiem. Jednak opozycja brutalnie go atakowała za pomocą rozlicznych kalumnii. Ulubionym celem krytyki stała się Sonia: cudzoziemka, manipulorka, która jakoby w najczystszy mafijnym stylu, tak typowym dla jej kraju, transferowała dochody biednych Hindusów do kapitalistycznych rajów, korzystając przy tym z

pomocy przyjaciół i członków rodziny. Jej pochodzenie kłuło w oczy tak bardzo, że musiała zrezygnować z powitania papieża podczas jego międzylądowania w New Delhi. Uważano, że byłoby niekorzystne, gdyby miliony Hindusów zobaczyło ją klękającą i całującą pierścień zwierzchnika Kościoła katolickiego. Niewątpliwie ani politycy, ani naród, ani media nie były przyzwyczajone do eleganckiej pary na szczytach władzy. Nie istniała w Indiach tradycja Kennedych czy Blairów, ponieważ wszyscy poprzedni premierzy, poczynając od Jawaharlala Nehru, byli wdowcami lub wdowami.

Pod koniec kampanii Rajiv czuł się podłamany i zniechęcony. Zaczął powątpiewać w to, czy zdołał przekonać wyborców do swoich dokonań i szczerych intencji. „Świat realny jest dżunglą - pisał do Priyanki - ale w życiu publicznym nie obowiązuje nawet prawo dżungli”. Wygląd Rajiva odzwierciedlał to zniechęcenie. Jego twarz nie była już tak spokojna i odprężona jak dawniej. Z wiekiem rysy mu się ściągnęły, chód stał się cięższy, głos stracił stanowczość, choć nadal brzmiał ciepło, należał bowiem do miłego i uprzejmego człowieka.

Po stronie opozycji triumfująca Maneka Gandhi na swój sposób stosowała w praktyce wszystko to, czego nauczyła się od teściowej. Prowadziła kampanię w okręgu sąsiadującym z okręgiem Rajiva, wkładając w nią cały wigor młodości i pragnienie wzięcia odwetu. Indira w zaświatach byłaby zgorszona, gdyby odkryła, że jej synowa jest jednym z sekretarzy generalnych nowej wersji koalicji Dżanata - partii, która przed laty zdołała ją pokonać i osadzić w więzieniu. Maneka pracowała również jako dziennikarka i reporterka specjalizująca się w sprawach ochrony środowiska naturalnego, przede wszystkim zwierząt, tematu bardzo bliskiego ideologii hinduskiej prawicy, zawsze przejmującej

się losem świętych krów. Wpływowe czasopismo „India Today” tak opisywało styl jej kampanii: „To jest prawdziwa Maneka: dojrzała, pewna siebie, niestrudzony polityk, który dokładnie wie, jak zdobyć serca wsi. Nosi sari w kolorach swojej partii, szafranu i zieleni, zawsze zasłania głowę; doskonały obraz wdowy skromnej, ale zdecydowanej”. Bez skrupułów wykorzystywała swoje powinowactwo z rodziną Gandhich do wspierania konkurencyjnej partii. Hasła napisane na murach z suszonej cegły sławiły ją w szczególny sposób: „Burza rewolucji - Maneka Gandhi” albo „Odważna synowa Indiry odda swoją krew za naród”, jakby sam związek z rodziną wystarczał, by uczynić z niej potencjalną męczennicę.

Wybory trwały od dwudziestego drugiego do dwudziestego czwartego listopada 1989 roku. Największa w świecie dobrowolna mobilizacja mężczyzn i kobiet gromadzących się w jednym celu przebiegła z niewielkimi utrudnieniami i nielicznymi zakłóceniami. Trzy i pół miliona urzędników nadzorowało 589 449 punktów wyborczych, aby pięćset milionów ludzi mogło wrzucić swoje kartki do urn. Całe wydarzenie, przeżywane jak wielkie święto, było przedmiotem dumy większości społeczeństwa, które w demokracji znalazło nowego boga, łączącego ludzi ponad różnicami kastowymi, rasowymi czy religijnymi. Rajiv znowu wygrał w Amethi, jednak Kongres po raz pierwszy w historii nie zdobył absolutnej większości w parlamencie narodowym. Analitycy byli zgodni, że na wyniki w znacznym stopniu wpłynęła afera Bofors. Wybory położyły kres tak zwanemu systemowi partii dominującej, ponieważ nigdy już żadna partia nie zdołała zyskać absolutnej większości.

Od razu pojawiła się plotka, że na wypadek klęski Rajiv zarezerwował lot do Włoch. Niedługo przed wyborami jego bliski przyjaciel i jak on miłośnik muzyki zapytał:

- Przypuśćmy, że przegrasz...

- Miałbym wreszcie spokój - odrzekł Rajiv. - Posłuchałbym z dziećmi muzyki. Powróciłbym do swoich starych hobby, do fotografii czy radioamatorstwa.

Powiedział to bez zastanowienia, pod wpływem zmęczenia i wyczerpania. Zarówno on, jak i rodzina po tak wielkim wysiłku czuli rozczarowanie. Priyanka, która odziedziczyła po Indirze wojowniczy charakter, nie chciała uznać się za pokonaną.

- Tatusiu - zagadnęła - jeśli Kongres zdobył najwięcej miejsc w parlamencie, masz prawo utworzyć rząd... Dlaczego tego nie zrobisz?

Rzeczywiście Rajiv miał takie prawo, ale zdecydował się z niego nie skorzystać. Uważał, że nawet gdyby zyskał wystarczające poparcie mniejszych partii, nie był to właściwy moment na tworzenie rządu.

- Myślę, że lepiej będzie pozostać w opozycji - odpowiedział. - Mam zamiar złożyć dymisję, niech teraz inni zajmą się rządzeniem. Wyniki wyborów wskazują na to, że naród nie był w pełni zadowolony. Jasne, że po tak wielkich oczekiwaniach, zwłaszcza na początku, teraz nastąpiła przeciwna reakcja...

Odsunięty od władzy wahadłem demokracji, Rajiv czuł się ogromnie sfrustrowany. Nie ze względu na werdykt narodu, lecz dlatego, że nie zdołał zrealizować tego wszystkiego, co zamierzał, i że nie dał sobie rady w gnieździe żmij indyjskiej polityki. Teraz, kiedy wiedział już, jak trudno jest coś zbudować, zmienić przekonania i idee, o ból głowy przyprawiała go myśl, z jaką łatwością może zostać zniszczony dorobek ostatnich lat. Być może jego wizja Indii grzeszyła naiwnością: chciał, żeby w ciągu pięciu lat naród, tak obawiający się zmian, a zarazem tak ich pragnący, podjął wędrówkę przez kilka stuleci ku przyszłości. Czy nie prosił o zbyt wiele starego indyjskiego słonia? Przez chwilę Sonia

miała nadzieję, że może Rajiv porzuci politykę, ale chodził taki osowiały, że w końcu sama zaczęła go zachęcać do działania. Na pytanie pewnego dziennikarza, czy zaakceptował politykę jako zawód, odpowiedział z humorem:

- Tak, tylko czasami mam ochotę zrobić sobie przerwę na odpoczynek. Myślę, że to bardzo ludzkie.

Sonia wiedziała, że powrót do wcześniejszego życia jest już niemożliwy. Kiedy mąż spoglądał wstecz, czynił to z nostalgią, jednocześnie przyznając, że to już przeszłość: „Jestem taki sam jak zawsze - powiedział w pewnym wywiadzie telewizyjnym - ale wszystko pozostałe się zmieniło. Miałem bardzo wygodne życie, niewielką rodzinę, dobrze płatną pracę, dużo wolnego czasu... jednak wszystko to się skończyło". Rajiva przepełniało poczucie fatalizmu, które kazało mu myśleć, że żaden człowiek nie uniknie swojego przeznaczenia. Teraz wyzwania były znacznie większe, inne były też oczekiwania. Najważniejsze stało się poczucie odpowiedzialności za poprawę losu ośmiuset milionów ludzi. „Odpowiedzialność ciąży mi tak bardzo, że zmieniła wszystko, co robiłem do tej pory i co teraz robię. Niezmienne jest tylko moje zobowiązanie wobec indyjskiego narodu, żeby poprawić jego egzystencję, a także by kraj znalazł swoje miejsce w świecie". Przegrana nie zmieniła wiary Rajiva. Wiedział, że jego nazwisko jest jedynym kapitałem partii, wstrząsanej klęskami w różnych stanach. Miał zamiar ją zreformować i przekształcić w organizację bardziej demokratyczną, jaką była za czasów dziadka, w partię bezwyznaniową, zdolną do objęcia różnych tendencji i wyznań. We wspólny dom, który stanie się najlepszym antidotum na rosnące podziały religijne w kraju. Żeby zrealizować ten pomysł, lepiej było pozostać w opozycji.

- Z tą koalicją komunistów z prawicowymi hinduskimi fundamentalistami - powiedział do córki interesującej się

bieżącą polityką - zdarzy się to samo co z Dżanatą za rządów babci... Upadnie pod własnym ciężarem. To tylko kwestia czasu, jak liderzy zaczną walczyć między sobą o władzę, zobaczysz.

Rajiv złożył dymisję dwudziestego dziewiątego listopada 1989 roku: „Wybory raz się wygrywa, raz przegrywa... praca dla kraju nigdy się nie kończy. Pragnę podziękować indyjskiemu narodowi za życzliwość, którą mnie tak szczerze obdarzył”. Słowa te przywodziły na pamięć testament jego dziadka Nehru, w którym wyznał on, że wzrusza go miłość, jakiej doznał ze strony wszystkich warstw indyjskiego społeczeństwa. Słowa te zabrzmiały jak pożegnanie. Spotkanie Rajiva Gandhiego z przeznaczeniem zbliżało się nieubłaganie.

Zgodnie z jego przewidywaniami dwaj główni liderzy nowej koalicji uwikłali się w walkę o to, który desygnuje nowego premiera. Zły początek zapowiadający burzliwą współpracę. Maneka Gandhi, mianowana ministrem środowiska i lasów, wpadła w szczególną euforię. Spełniła w końcu swoje marzenie. Miała władzę. Wzięła odwet i nie zamierzała na tym poprzestać. Było to jeszcze jedno upokorzenia dla Rajiva, mimo że uodpornił się już na groźne wzloty i upadki polityki i nic na tym świecie nie mogło go zadziwić. Jednak dla reszty rodziny, która widziała, jak Maneka bez najmniejszych skrępułów wykorzystuje ich nazwisko, była to gorzka pigułka. Tylko przekonanie, że ten rząd jest gwiazdą jednego dnia, zdołało ją osłodzić.

Dla Soni przegrana w wyborach oznaczała nową przeprowadzkę, tym razem już ostatnią. Musieli opuścić oficjalną rezydencję premiera i przenieść się do białej jednopiętrowej willi w stylu kolonialnym, otoczonej rozległym ogrodem, przy Janpath 10, jednej z wielkich arterii New Delhi, wysadzonej wianowłostkami królewskimi i

miodłami indyjskimi - drzewami o rozłożystych konarach, których gorzkie liście, według popularnych wierzeń, „leczyły wszystko”. Może to ich zbawczy cień wyleczył rodzinę z wywołanej klęską melancholii, bo gdy tylko się przeprowadzili, w domu zapanowała pogodna atmosfera. Życie stało się spokojniejsze, bardziej bez troskie, jakby pozbyli się ogromnego ciężaru - ciężaru władzy. Rajiv nadal był zaabsorbowany pracą w parlamencie i w partii, ale jej rytm był spokojniejszy. „Był odprężony - pisała Sonia - prawie bez troski. Znowu korzystał z prostych codziennych przyjemności, jak nieprzerwane niczym posiłki, pogawędki przy stole czy oglądanie od czasu do czasu filmów na wideo, zamiast zamykać się w swoim gabinecie i pracować” (Gandhi Sonia, Rajiv, s. 13). Szef znakomitej hinduskiej restauracji Bukhara, dokąd dawniej chodzili w soboty całą rodziną, przyjął ich z otwartymi ramionami, ujrawszy wszystkich znowu po długiej przerwie. Poszli tam, żeby uczcić urodziny Rahula przed jego wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Priyanka i Rahul przestali być już dziećmi, stali się dorosłymi młodymi ludźmi pochłaniającymi gazety i interesującymi się otaczającą ich rzeczywistością. Ponieważ syn po zdaniu matury nie mógł już kontynuować nauki w domu, Rajiv i Sonia zdecydowali się go wysłać na Harvard, odstępując od zakorzenionej w rodzinie Nehru tradycji kształcenia dzieci w Anglii. Priyanka wolała zostać w New Delhi i studiować psychologię w Jesus and Mary College. Jej zainteresowanie polityką martwiło ojca na tyle, że poruszył ten temat w rozmowie z Benazir Bhutto podczas ich ostatniego spotkania w Paryżu, gdzie przebywali na zaproszenie prezydenta Mitterranda z okazji obchodów dwusetnej rocznicy rewolucji francuskiej.

- Proszę cię, kiedy zobaczysz Priyankę, postaraj się ją przekonać, żeby się w to nie angażowała.

Wiedział, że jedyną osobą, której Priyanka mogłaby posłuchać, jest Benazir, córka człowieka straconego po sfingowanym procesie z rozkazu wojskowego dyktatora. Kolejny bliski i przerażający przykład przeznaczenia, jakie czekało na tych, których uwiodła polityka. „Ona nie zdaje sobie sprawy, jakie to niebezpieczne” (Ali Tariq, *The Nehrus and the Gandhis: an Indian Dynasty*, Pan Books, London 1985, s. 324) - nalegał Rajiv na Benazir.

On sam uważał, że przejście do opozycji zmniejszyło zagrożenie ciężące na nim i jego dzieciach, jednak stale docierały do niego niepokojące informacje. Mnożyły się groźby na jego życie. W 1984 roku figurował jako pierwszy na czarnej liście trzech ugrupowań terrorystycznych. Pięć lat później znajdował się na listach już tuzina tego rodzaju organizacji, także Tamilskich Tygrysów. Problem Pendżabu wydawał się rozwiązany, ale istniały też inne konflikty, zwłaszcza między hinduistami a muzułmanami, potencjalnie równie niebezpieczne. „Oboje przez długi czas żyliście w bardzo trudnych warunkach, pięć lat w przestrzeni ograniczonej do domu i ogrodu - napisał Rajiv do swoich dzieci. - To czas w waszym życiu, w którym powinniście korzystać z wolności, poznawać rówieśników, odkrywać świat taki, jaki jest naprawdę. Niestety, okoliczności nie pozwoliły nam dać wam normalnego życia”. List odzwierciedlał jego poczucie winy i jego fatalizm. Rajiv był świadomy tego, że nie jest panem swojego przeznaczenia. Wypadek brata zmusił go do zajęcia się polityką, zamach wyniósł na najwyższe funkcje w państwie, a afera Bofors umieściła na ławach opozycji. Nie mógł zmienić biegu zdarzeń i w liście starał się usprawiedliwić wobec dzieci, które z tego powodu niewątpliwie cierpiały.

Przegrana w wyborach była dla Soni błogosławieństwem. W sierpniu spędzili kilka dni w górskiej miejscowości

Mansuri. Rajiv sam prowadził samochód. Była to ich pierwsza wspólna eskapada w ciągu dziewiętnastu miesięcy i tam, na tle łańcucha Himalajów, obchodzili, jak się później okazało, jego ostatnie urodziny.

W Boże Narodzenie, kiedy Rahul przyjechał z Harvardu, cała rodzina spędziła tydzień wakacji w wiejskim domu w Mehrauli, który niegdyś kupił Feroz Gandhi z zamiarem spędzenia tam w spokoju ostatnich lat życia z Indirą. Nigdy nie skończyli tego domu, którego budowę Rajiv nadzorował przez lata, wydając na nią swoje oszczędności. „Po raz pierwszy mieszkaliśmy w domu, który w całości należał do nas” - napisała Sonia. Rajiv zajął się doprowadzeniem go do porządku. Dzieci pomogły wystawić meble ogrodowe i wysprzątać sędziwe wnętrza, on w tym czasie przygotował jakąś przegryzkę, którą wolał od normalnego obiadu. Rahul i Priyanka schowali mu jego ulubioną czekoladę, bo odkąd stracił władzę, zaczął tyć. Wspominali święta Holi, które spędzili tu w dzieciństwie, obsypując się różnokolorowym proszkiem, aż im się skończył. Grali w badmintona i scrabble'a, a Sonia zaczęła pielic ściernisko w ogrodzie, by założyć tam ogródek warzywny. Pociągała ją wieś, od zawsze, od czasów dzieciństwa w Lusianie. Jak by chciała, żeby ojciec spędził z nimi te wakacje! Ależ by mu się tutaj podobało! Często o nim myślała. Zdarzało się, że podczas cotygodniowych rozmów telefonicznych z matką w Orbassano łapała się na tym, że chce o niego zapytać.

„Dobrze wykorzystaliśmy każdą minutę z tych sześciu dni spędzonych razem - wspominała Sonia. - Powróciliśmy wtedy do życia, jakie prowadziliśmy na początku i jakie chcielibyśmy wieść, gdybyśmy tylko sami mogli wybierać”. Wielu przyjaciół dziwiło się, że nadal są w sobie tak romantycznie zakochani jak pierwszego dnia. „Mnie to nie dziwiło, ponieważ zawsze bardzo się kochali - wspominał

Christian von Stieglitz, wspólny przyjaciel, który przedstawił ich sobie w Cambridge i odwiedził podczas tych dni spędzonych w domu w Mehrauli. - Z przyczyn zawodowych często jeździłem w tym czasie do Delhi i z przyjemnością patrzyłem, jak są czuli w stosunku do siebie po tylu latach małżeństwa. Prywatnie nie przestali trzymać się za ręce czy dawać sobie całusów".

Dziewiątego grudnia 1990 roku, w dniu swoich urodzin, Sonia dostała od Rajiva prezent z liścikiem: „Dla Soni, która nie zmieniła się z upływem lat, a nawet jest bardziej czarująca, niż kiedy ją ujrzałem po raz pierwszy, siedzącą w rogu restauracji Varsity tego pięknego dnia..."

Ale jak zawsze chwile szczęścia przerwała polityka. Wydarzenia nabrały tempa szybciej, niż to przewidywał Rajiv. Indie osuwały się po niebezpiecznej pochyłości, popychane przez jedną z partii koalicji rządzącej, BJP (Bharatiya Janata Party - Indyjska Partia Ludowa), fundamentalistyczną hinduską prawicę, która niegdyś tak ostro piętnowała Indirę. BJP rozrosła się do tego stopnia, że stała się najbardziej niebezpiecznym konkurentem Kongresu, a jednocześnie stwarzała potencjalne zagrożenie dla jedności państwa. Wspierana przez RSS, ekstremistyczną organizację paramilitarną, domagała się „Indii dla hindusów”, w których pozbawione równych praw mniejszości musiałyby się podporządkować większości. Ideologia tej partii była diametralnie przeciwna ideologii Nehru i Kongresu, negowała bowiem zasadę leżącą u podstawy nowoczesnych Indii, czyli ich akonfesyjny charakter, łączący się z rozdziałem religii od państwa i równością wszystkich wyznań wobec prawa. Apogeum BJP zbiegło się w czasie ze wzmożeniem konfliktów religijnych na północy kraju. Zamieszki te nigdy same nie wygasły, trwały zawsze do chwili stłumienia ich przez oddziały policji. Rozpoczął je na ogół jakiś mało znaczący epizod w rodzaju kłótni o miedzę lub sporu o kawałek chodnika, fakt, że wieprz nasikał na ogrodzenie meczetu albo że w pobliżu hinduistycznej świątyni odnaleziono martwą krowę. W każdym przypadku iskra rozpaliała przemoc, która szerzyła się błyskawicznie, podsycana z reguły fałszywymi plotkami, i zamieniała zwykłą kłótnię dwóch osób w świętą wojnę religijną. Wspólnoty i politycy, którzy identyfikowali się z jedną bądź drugą frakcją, podsycali konflikt do tego stopnia, że od obelg przechodzono do pięści, potem noży, a nawet koktajli Mołotowa i karabinów.

W Indiach konflikty kastowe i religijne zaczęły się odradzać, począwszy od lat osiemdziesiątych, a konkretnie od chwili, gdy cała ludność wioski niedotykalnych z Tamilnadu zdecydowała się przejść na islam, żeby uwolnić się od sztywnego hinduskiego systemu kastowego. Owi biedacy zmienili nawet nazwę miejscowości z Menaśkipuram na Rehmatnagar. Oburzeni hinduscy fundamentaliści zakrzyknęli wniebogłosy: „Hinduizm jest w niebezpieczeństwie!”, po czym oskarżyli kraje Zatoki Perskiej o finansowanie muzułmanów w Indiach. W rzeczywistości niedotykalni zareagowali w końcu na stulecia opresji doznawanej z rąk właścicieli ziemskich, którzy w ich rejonie należeli do wysokiej kasty.

Kolejnym, tym razem pokojowym wydarzeniem, które jeszcze mocniej rozpałiło ducha hinduskiego fundamentalizmu, była emisja w 1987 roku serialu opartego na Ramajanie, najpopularniejszej i najświętszej epopei indyjskiej. Adaptacja telewizyjna, stanowiąca połączenie konwencji telenoweli i mitu, składała się ze stu czterech odcinków, które pokazywano w niedzielę przed południem. Odniosła tak błyskawiczny sukces, że państwowa telewizja zamówiła u innego producenta z Bollywood realizację drugiego serialu, opartego na epopei Mahabharata. Obie telenowele zyskały największą widownię na świecie. Wszystkie odcinki obejrzało 85 procent indyjskich telewidzów - wyjątkowe osiągnięcie w historii telewizji.

Kiedy emitowano seriale, zamierał cały kraj. Taksówki, rowery i riksze znikają z ulic. Telefony przestawały dzwonić. Modlitwy i rytuały kremacji przesuwano na później. Urzędnicy, gospodynie domowe, sklepikarze, prostytutki, złoczyńcy, sprzedawcy wody, zmiatacze ulic, dzieci i grzebiący w śmieciach biedacy... wszyscy porzucali swoje zajęcia, aby zasiąść przed telewizorem w domu, sklepie, na

wiejskim placu albo patrząc ukradkiem przez okna domów tych, którzy cieszyli się przywilejem posiadania niezwykłego wynalazku. Wielu odbierało dosłownie to, co oglądało, jakby bogowie pokazywani na ekranie zamieszkali nagle w świecie ludzi. Kiedy w jakiejś scenie występował bóg Rama, liczni widzowie zapalali lampkę oliwną i zaczęli się modlić. W Indiach najubożsi ignorowali właściwe kulturze zachodniej rozróżnienie przeszłości i teraźniejszości, prawdy i mitu. Dla nich wszystko było prawdą. Bardziej doświadczeni politycy, jak Indira, zawsze potrafili wykorzystać tę cienką granicę między osobistościami a bogami.

Seriale rozpały ogień hinduistycznego zapału. W rzeczywistości zapał ten istniał zawsze, wzmacnił się nawet wraz z odzyskaniem niepodległości jako forma reakcji na wielowiekową dominację Mogołów i późniejszą Anglików. Nehru i Gandhi, głęboko świadomi niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą ten typ fundamentalizmu - podobny do sikhijskiego, muzułmańskiego, a nawet chrześcijańskiego w innych krajach świata, tym groźniejszy w Indiach, że hinduizm był tu religią większości - starali się głosić zalety państwa bezwyznaniowego i podkreślać jedność między hindusami a muzułmanami. Mahatma Gandhi zapłacił za to życiem, zamordowany przez jednego z członków RSS, organizacji, która później stowarzyszyła się z BJP. Indira, głęboko świadoma problemu, już na początku swoich rządów musiała twardo stawić czoła setkom nagich ascetów, którzy domagali się u bram parlamentu wprowadzenia zakazu zabijania krów.

Rajiv i inni członkowie Kongresu widzieli, jak BJP wykorzystuje do celów politycznych uczucie religijne rozbudzone przez seriale. W 1987 roku partia - w porozumieniu z bliskimi jej ideologicznie dwiema potężnymi organizacjami społecznymi i paramilitarnymi - zainicjowała

kampanię pod nazwą „historyczne zadośćuczynienie”, której celem miało być zburzenie starego meczetu, wzniesionego w 1528 roku w dawnej hinduskiej stolicy Ajodhja przez generała cesarza Babara z dynastii Mogołów. Argumentowano, że meczet zbudowano w miejscu narodzin boga Ramy.

Dla indyjskich muzułmanów kampania BJP i jej sojuszników oznaczała bezpośredni atak na ich prawa i religię. Uniemożliwienie hinduskim hordom zniszczenia meczetu stało się symbolem ich przetrwania. W ten sposób dostarczono wszystkich składników potrzebnych do stworzenia trwałego i gwałtownego konfliktu.

W 1989 roku, po wyborach, które kosztowały Rajiva stanowisko premiera, inna organizacja hinduskich fundamentalistów, stowarzyszona z BJP, rozpoczęła narodową kampanię, domagając się, by każda miejscowość licząca ponad dwa tysiące mieszkańców ofiarowała jedną cegłę na budowę świątyni Ramy, planowanej w odległości niespełna trzydziestu metrów od meczetu. Była to kolejna prowokacja w stosunku do muzułmanów. W parlamencie Rajiv wezwał rząd do zajęcia stanowiska. Nowy premier nakazał siłom porządkowym przerwać budowę świątyni, nie zdołał jednak posadzić przy wspólnym stole różnych liderów i wynegocjować pokojowego rozwiązania konfliktu. Rajiv uczynił wówczas ważny gest - odwiedził żyjącego nad brzegiem Gangesu czczonego hinduskiego ascetę, który głęboko wierzył w to, że Indie, będące wspólnym domem dla wielu religii, nadal powinny takie pozostać.

Rok później hinduistyczna partia BJP znowu podkreśliła napięcie, dokonując następnej prowokacji. Jeden z jej liderów, wysoki, poważny i charyzmatyczny L.K. Advani, wezwał tysiące wolontariuszy z całego kraju, aby przybyli do Ajodhja. Chciał w ten sposób ożywić szowinistyczne uczucia hindusów. On sam stanął na czele pielgrzymki (zwanej jatra),

która wyruszyła z małego miasteczka w Gudżaracie. Advani jechał zmotoryzowanym pojazdem ozdobionym wielkimi wizerunkami bogów, z którego głośników płynęły wersy Ramajany. Wieśniacy przecierali oczy z niedowierzania na widok tego orszaku, za którym szli wolontariusze ubrani identycznie jak herosi z seriali oglądanych w telewizji. Ów marsz podniósł tak bardzo społeczne napięcie, że rząd, początkowo niechętny interwencji przeciw jednemu z członków koalicji, nakazał Advanemu przerwać procesję, zanim ta dotarła do miejsca przeznaczenia.

W odpowiedzi tysiące wolontariuszy BJP uzbrojonych w łuki i strzały zaatakowało meczet w Ajodhja. Dreszcz paniki wstrząsnął całym krajem. Co będzie, jeśli w każdej dzielnicy, każdej wiosce i każdym mieście subkontynentu rozpocznie się wojna religijna? Czy przemoc rozpętana w czasach Podziału nie była wystarczająco okrutna, by zaszczerpić Indie przeciw konfliktom religijnym? Ich konsekwencje mogłyby być niewyobrażalne: bestialstwo wobec niewinnych ludzi, podział kraju, a nawet wojna domowa. Ale lider partii hinduistycznej wydawał się pozbawiony zdrowego rozsądku. Zdobycie głosów było warte wszystkiego, nawet postawienia nad przepaścią kraju liczącego osiemset pięćdziesiąt milionów mieszkańców.

Policja nie miała innego wyjścia, jak tylko siłą chronić meczet przed zniszczeniem. Podczas walk zginęło dwunastu bojowników i policjantów. Partia hinduistyczna zarzuciła policji rozpętanie przemocy, a jej lider Advani ogłosił, że cofa swoje poparcie dla rządu. O wiele wcześniej, niż przewidywał Rajiv, upadł pierwszy rząd, który sformowano po jego rezygnacji.

- Czy będziesz się domagał ogłoszenia wyborów? - spytała córka.

- Nie, partia nie jest jeszcze przygotowana. Nie wierzę, byśmy zdobyli więcej głosów niż w ostatnich wyborach. Wolę poczekać.

Rajiv, szef partii o największej reprezentacji w parlamencie, odzyskał kluczową pozycję. Główny rywal zdymisjonowanego premiera potrzebował jego poparcia dla utworzenia własnego gabinetu. Rajiv na to przystał, ale nie zgodził się wejść w skład nowego rządu. Sprytne posunięcie, które z jednej strony dawało mu kontrolę, a z drugiej zwalniało od odpowiedzialności za to, co zrobią członkowie nowej koalicji rządzącej. Nie ufał zbyt wiele ani nowemu premierowi, ani jego ministrom, wśród których znowu znalazła się Maneka Gandhi, i nie chciał być kojarzony z ich rządami, które jak przewidywał, okażą się katastrofalne. Był przekonany, że to kwestia miesięcy, kiedy ludzie zaczną rozpaczliwie prosić, żeby Kongres wrócił do władzy. Wówczas nadejdzie odpowiedni moment na wybory.

Przypuszczenia Rajiva sprawdziły się co do joty. Gabinet nowego premiera stanowił galerię najbardziej obmierzłych łajdaków, nawet jak na standardy Trzeciego Świata. Według angielskiego pisarza osiadłego w New Delhi, Williama Dalrymple'a, była to „niezwykła kolekcja najbardziej bezlitosnych i niemoralnych oportunistów, jacy kiedykolwiek pojawili się na arenie indyjskiej polityki" (Cyt. w: Ibidem, s. 320).

Do rozdzwięków doszło niebawem, i to w nieco dziwny sposób. Sonia ponownie zamartwiała się o bezpieczeństwo rodziny, ponieważ po przegranych wyborach nowy rząd cofnął im ochronę dobrze wyszkolonych komandosów Special Protection Group, jakby pozostawanie Rajiva w opozycji sprawiało, że zniknęły wszelkie zagrożenia. Zmiana była na tyle drastyczna, że Sonia i Priyanka żyły w ciągłym strachu, ilekroć Rajiv wyjeżdżał. Niegdyś chroniony podczas każdej

podróży przez setki agentów, teraz wychodził z domu tylko z jednym ochroniarzem, dobrym, wiernym i usłużnym Pradipem Gupta. „Jeśli coś się stanie Rajivowi, to tylko po moim trupie” - powiedział pewnego dnia do Soni, widząc, jak jest zgnębiona. Ale była to marna pociecha. Rahul podzielał te obawy. Często dzwonił ze Stanów Zjednoczonych, aby się upewnić, czy ojcu nic się nie stało. Był tak przejęty tym, co opowiadała mu matka o zaniedbaniu środków bezpieczeństwa, że w marcu 1991 roku zdecydował się spędzić w domu ferie wielkanocne. Towarzyszył ojcu w podróży po stanie Bihar i zdumiało go to, co sam zobaczył: brak ochrony i odpowiednich środków wystawiał Rajiva na niebezpieczeństwo w razie jakiegokolwiek agresji. Czasem policjanci, zajęci odsuwaniem tłumu, zostawiali go samego w samochodzie, czasem z kolei nie wyprzedzali Rajiva na tyle, żeby móc go chronić. Zanim Rahul wyjechał ponownie do Stanów, powiedział do matki słowa, w które sam w głębi duszy nie chciał wierzyć, a które okazały się prorocze: „Jeśli nic z tym nie zrobicie, obawiam się, że następnym razem przylecę na pogrzeb ojca”.

Problemem był nie tylko brak wsparcia ze strony rządu, ale i sam Rajiv, który obsesyjnie chciał być blisko ludzi. Powiedziano mu, iż przegrał wybory dlatego, że stwarzał wrażenie kogoś oddalonego od mas, niemal wyniosłego. Obecność ochroniarzy była dla niego przeszkodą w dążeniu do przełamania tego wizerunku i zaprezentowania się pod postacią polityka, do którego ludzie mają dostęp. „Stałe zagrożenie ze strony terrorystów czy groźba utraty życia nigdy mnie nie zaprzętały - oświadczył. - Nigdy nie pozwoliłem na to, żeby wpływały na mój sposób myślenia. Tak, miałem problemy przez te wszystkie uciążliwości związane z ochroną... ale gdyby trzeba było umrzeć za to, w co wierzę, nie zawahałbym się”. W tym czasie Christian von Stieglitz

razem ze swoją żoną, Hiszpanką o imieniu Pilar, spędzili z Gandhi - mi kilka dni. „Pilar nie знаła New Delhi, dlatego Rajiv zabrał nas na przejażdżkę. Wsiedliśmy do małego suzuki, które sam prowadził. Ruszył bardzo szybko, za nim starali się nadążyć ochroniarze jadący białym ambasadorem, w końcu jednak zdołał ich zgubić. Niełatwe zadanie być ochroniarzem Rajiva Gandhiego! A ja nie mogłem przestać myśleć, że ryzykuje nadmiernie. Pamiętam, jak pewnego popołudnia pojechaliśmy zobaczyć Kutb Minar, najwyższy zabytek w mieście. Rajiv szedł między moją żoną a mną, gawędziliśmy, przechadzając się wśród ruin. W pewnej chwili odwróciłem się i zobaczyłem, że w pewnej odległości za nami szło około tysiąca osób, które nie miały odwagi zbytnio się zbliżyć. Były niezwykle zdumione, widząc Rajiva spacerującego jak zwykły turysta. Szliśmy dalej, kiedy nagle Rajiv pochylił się i zerwał dwa białe kwiatki. Zbliżył się do tłumy i podarował je dziewczynce, która z otwartą buzią patrzyła na niego wielkimi czarnymi oczami". Kiedy Christian zwrócił mu uwagę, że wystawia się na niebezpieczeństwo, Rajiv odpowiedział: „Nie mogę nie ufać człowiekowi z ulicy. Muszę normalnie żyć”.

Sonia nie mogła żyć w ten sposób. To ona podczas weekendu, który spędzali razem w wiejskim domu w Mehrauli, zauważyła dwóch mężczyzn spoza ochrony obserwujących dom. Powiadomiła o tym Rajiva. Ten wyszedł, żeby spytać, kto kazał ich pilnować, i wówczas się dowiedział, że uczynił to szef lokalnego rządu, członek partii nowego premiera. Zirytowany i zaniepokojony tym, co uznał za niedopuszczalną ingerencję w swoje życie prywatne, Rajiv zadzwonił do premiera i zażądał, aby zdjęto „ochroniarzy” i zdymisjonowano urzędnika, który wydał polecenie. „Była to kwestia zaufania - oświadczył Rajiv. - Zaufałem temu człowiekowi, popieramy jego rząd. A teraz odkrywam, że

jesteśmy sprawdzani i że dają nam dwóch policjantów do obserwowania naszego domu. Co to znaczy?" Nowy premier starał się zbagatelizować sprawę i ostudzić gniew Rajiva, ponieważ znalazł się w ślepej uliczce. Z jednej strony ze względu na własną partię nie mógł zwalniać szefów lokalnych rządów na życzenie lidera Kongresu. Z drugiej zaś - gdyby Rajiv wycofał swoje poparcie, on straciłby kontrolę nad deputowanymi. Ale Rajiv nalegał. A ponieważ premier nie spełnił jego żądań, zagroził mu bojkotem w parlamencie. I tak cztery miesiące po zaprzysiężeniu premier został zmuszony do przedłożenia swojej dymisji prezydentowi.

Teraz, owszem, nadszedł właściwy moment na nowe wybory, które wyznaczono na dwudziesty, dwudziesty trzeci i dwudziesty szósty maja 1991 roku. Indie przeżywały głęboki kryzys, co mogło sprzyjać powrotowi do władzy Kongresu, partii będącej w opozycji.

W Kaszmirze, w którym hinduscy fundamentaliści zyskali silne wpływy, stale narastała przemoc. Skutki działalności dwóch ostatnich rządów okazały się katastrofalne dla gospodarki. Galopująca inflacja, wywołana wzrostem cen ropy w wyniku wojny w Zatoce, groziła poważnymi problemami społecznymi. Rajiv zaproponował program oparty na stabilizacji i reformie gospodarki, przewidujący zwiększenie prywatyzacji i zmniejszenie kontroli państwa w przemyśle i handlu. Jego przeciwnikiem w walce o głosy elektoratu była BJP, ciesząca się dużym poparciem partia hinduska, której program stanowił potencjalne zagrożenie dla stabilności kraju. Pozostałe partie, także te należące do rozwiązanej koalicji, mogły jedynie aspirować do niewielkiej liczby miejsc w parlamencie.

Rajiv znowu rozpoczął kampanię, tym razem pewny zwycięstwa. Taka jest polityka, przypomina życie, w którym nic nie trwa wiecznie, wszystko zmienia się bez przerwy,

czasem w tempie przyprawiającym o zawrót głowy. Rajiv chciał zainaugurować kampanię w towarzystwie Soni. Osobiście pilotował samolot, który pierwszego maja 1991 roku wylądował w Amethi. Miało to być pierwsze z sześciuset lądowań, jakich musiał dokonać w ciągu dwudziestu dni. Przy trapie samolotu oczekiwał ich tłum ludzi, w tym wiele kobiet, które przyszły przywitać Sonię. Jednym z powodów jej ogromnej popularności w Amethi była znakomita pamięć - Sonia pamiętała imiona i twarze kobiet, które widziała może przez pięć minut podczas wcześniejszych wizyt. Identyfikowała się w pełni z tymi wieśniaczkami, które dotykały jej z niemal dziecinną ciekawością, żeby sprawdzić, czy na pewno jest osobą z krwi i kości jak one. Zamierzała spędzić w okręgu wyborczym męża trzy tygodnie, chodząc od domu do domu i prosząc o głosy, kiedy on będzie jeździł po subkontynencie. Pod koniec wizyty, zanim wszedł po trapie do samolotu, Rajiv zwrócił się do swoich wyborców i powiedział kilka słów, które później okazały się prorocze: „Nie sądzę, żebym mógł tu wrócić ponownie, ale Sonia pozostanie, by czuwać nad wami”. Sonia poczuła ucisk w sercu. Nie dlatego, że miała zostać sama, ponieważ ciepło ludzi i opiekuńczość lokalnych działaczy Kongresu sprawiały, że czuła się tu jak w domu, ale dlatego, że po raz pierwszy w ciągu dwudziestu trzech lat małżeństwa mieli spędzić rozdzieleni tak dużo czasu, prawie trzy tygodnie.

Nocą, kiedy w namiocie starała się zasnąć wyciągnięta na ćarpoi, łóżku wykonanym ze splecionego sznurka, walcząc z upałem i moskitami, przypominała sobie swój ostatni pobyt w Amethi. Było to w lutym - w tym miesiącu obchodzili rocznicę ślubu. Przyjechała, aby zainaugurować kampanię szczepień przeciw chorobie Heinego - Medina. Myślała, że nie będzie mogła uczcić rocznicy wraz z mężem, ponieważ Rajiv miał zaplanowany na te dni wyjazd do Teheranu. Jechał, by

rozpocząć akcję dyplomatyczną na rzecz zakończenia wojny w Zatoce. Jednak pewnej nocy jak ta, tyle że chłodniejszej, dostała list od Rajiva, w którym prosił, żeby odwołała swoje spotkania w Amethi i szybko wróciła do New Delhi. Chciał, żeby towarzyszyła mu w podróży. „Czuję się tak... że chciałbym być z tobą, tylko ty i ja, my sami, bez setek ludzi krążących wokół nas jak zawsze” - napisał w liście. Kiedy Sonia około północy dotarła do New Delhi, przywitał ją zdenerwowany, gdyż obawiał się, że nie zdąży przybyć na czas. Zobaczyła, że już spakował walizki. Wszystko było gotowe do podróży. W Teheranie, po oficjalnych rozmowach, poszli sami na kolację do restauracji. Kiedy ostatnio pozwolili sobie na podobnie romantyczny luksus? Nawet już nie pamiętali... Rajiv podarował jej przywieziony z Delhi prezent - piękne, skromne kolczyki, takie jak lubiła. Kiedy wrócili do hotelu, wziął aparat fotograficzny, z którym zawsze podróżował, i zrobili sobie samowyzwalaczem wspólne zdjęcie - coś, czego nigdy wcześniej nie próbowali. (Gandhi Sonia, Rajiv, s. 14)

- Proszę pani, proszę pani!

Szept spoza namiotu przerwał senne marzenia. Sonia wstała, włożyła szlafrok i wyszła. Młody człowiek, sympatyk partii, podał jej kopertę, którą Rajiv wysłał z New Delhi. Otworzyła ją i znalazła różę wraz z napisanym odręcznie liścikiem. Przeczytała go, uśmiechnęła się, ukazując dołeczki, i wróciła na ćarpoi. „Było to przesłanie miłości” - zwierzyła się później.

Po kilku dniach do Amethi przyjechała Priyanka, żeby towarzyszyć matce. Odwiedzały siedem, osiem wsi dziennie. Słuchały narzekań ludzi - że nie dostali emerytury, że niewidome dziecko potrzebuje pieniędzy na operację. Pewna staruszka miała żal, że po poprzednich wyborach ci z Kongresu ich zignorowali. Sonia wszystko notowała i

udzielała wskazówek asystentom. „Nie traćcie wiary - mówiła do ludzi. - Ja się tym zajmę”.

W jednej wsi Priyanka była świadkiem wydarzenia niezwykłego, zważywszy na awersję matki do publicznych wystąpień. Choć Rajiv jej o to nie prosił, Sonia odważyła się wygłosić swoje pierwsze przemówienie w obecności kilku tysięcy ludzi. „Mój mąż ciężko pracował dla waszego dobra, a ja pracowałam dla męża... Tylko Kongres może was godnie reprezentować, uściśnijcie dłoń mojego męża”. Priyanka śmiała się, widząc, z jakim wdziękiem matka nakłania ludzi do głosowania na Kongres. Sonia mówiła płynnie i bez wysiłku w hindi, z lekkim akcentem, uśmiechała się i sprawiała wrażenie zadowolonej, może dlatego, że na miejscu nie było dziennikarzy, słuchali jej prości ludzie, którzy nigdy jej nie onieśmielali. Najważniejsze, że zrobiła to na własną rękę jako akt oddania mężowi.

Obie powróciły do New Delhi siedemnastego maja, zmęczone, spocone i zakurzone, ale nastawione optymistycznie co do ostatecznych wyników wyborów. Kiedy następnej nocy Rajiv powrócił ze swojego objazdu i wszedł głównym wejściem, oniemiały. „Był wyczerpany. Prawie nie mógł mówić ani chodzić. Tygodniami nie spał ani nie jadł porządnie. Uczestniczył w kampanii przez dwadzieścia godzin na dobę. Jego ręce i ramiona pokrywały zadrapania i sińce. Bolało go całe ciało. Tysiące zwolenników dotykało go, ścisnęło mu rękę, bratersko obejmowało i poklepywało po plecach. Serce mi zamarło, gdy zobaczyłam go w takim stanie”. Miał tak spuchnięte palce od uścisków dłoni, że musiał zdjąć ślubną obrączkę. Był jednak zadowolony, serce wypełniały mu liczne dowody miłości i entuzjazmu. Niedostateczna ochrona pozwalała wyjść na spotkanie temu, co dziadek i matka nazywali „miłością ludu”. Wracał wzruszony, ponieważ ludzie mu ją okazywali. „W Kerali i w

Tamilnadzie mają zwyczaj szczypać w policzek, dlatego mam taki czerwony i spuchnięty - opowiadał Soni, kiedy podawała mu podnózek, aby mógł rozprostować nogi. - Czasami w regionach zamieszkałych przez muzułmanów całują... wiesz, dwa, trzy całusy, a potem ten specjalny uścisk, który rozrywa plecy... Boli mnie całe ciało, ale to nic". Rozmawiali spokojnie dobrą chwilę, wymieniając się wrażeniami z przeżytych dni. Rajiv był zadowolony, ponieważ zdołał pokazać, że zależy mu na ludziach. Ale nie był pewien, czy zwycięży. „To będzie ciężka walka” - zwierzył się. Tej nocy spał pięć godzin - prawdziwy luksus - nim wyjechał do Bhopalu, gdzie dziewiętnastego maja miał uczestniczyć w mityngu z udziałem stu tysięcy ludzi. Miasto nadal żyło traumą wywołaną katastrofą 1984 roku. Koncern odpowiedzialny za wypadek doszedł do porozumienia w sprawie odszkodowań dla ofiar, ale pieniądze w końcu nie trafiły do potrzebujących. Zostały zdefraudowane przez skorumpowanych urzędników i pośredników. Znowu zawiódł system.

Po Bhopalu pozostawało już tylko południe - „terytorium zaprzyjaźnione”, jak nazywali je członkowie Kongresu. Rajiv wrócił do domu tak zmęczony, że zasnął w salonie, pocieszając się myślą, że kampania zmierza ku końcowi. Jeszcze trzy dni i wszyscy spotkają się w domu, nawet Rahul miał przylecieć dwudziestego trzeciego maja na letnie wakacje. Sonia i Priyanka również odczuwały zadowolenie. Były bardziej pewne od Rajiva, że tym razem wygra on wybory z dużą przewagą. Cała rodzina skoncentrowała swoje wysiłki, żeby znowu postawić na czele państwa Gandhiego i Kongres. Indira byłaby dumna z nich wszystkich, na tym polegało „tworzenie rodziny”.

Dwudziestego maja Rajiv i Sonia wyszli z domu o wpół do ósmej, by wziąć udział w wyborach. O tej porze

temperatura była jeszcze znośna. Wydawało się, że wrony pozdrawiają ich swoim cierpkim krakaniem z gałęzi drzew. Rajiv, ubrany w białą kurta z trójkolorową chusteczką wokół szyi, prowadził samochód po szerokich, o tej porze niemal pustych alejach. Sonia wyglądała wspaniale w czerwonym salwar kamiz. U wejścia do lokalu wyborczego czekała na nich grupa ludzi i ekipa telewizyjna. Kłaniali się na prawo i lewo, łącząc dłonie na wysokości piersi. Gdy czekali na otwarcie lokalu, Rajiv rozdał parę autografów. Kolejka z tyłu rosła. Pewien młody wolontariusz partii zbliżył się do Rajiva z tacą, na której leżało kadzidło, cukier i płatki kwiatów; chciał mu zaproponować złożenie pudża (ofiary), żeby rozpoczął dzień od pomyślnego dla siebie znaku. Sonia, jak zawsze gdy towarzyszyła mężowi w miejscu publicznym, obserwowała uważnie każdego, kto się do nich zbliżał, starając się odgadnąć skrywane intencje, dostrzec podejrzaną wybrzuszenie czy niecodzienny gest. Strach jej nie opuszczał. Może dlatego tak się przelęknęła, kiedy młodzieniec, onieśmielony przez Rajiva, z hukiem upuścił tacę, czym zresztą wystraszył wszystkich. Skuliła się, a potem zaczęła obficie się pocić. Rajiv spostrzegł, że żona się źle czuje, i poprosił o szklanekę wody. Kiedy nadeszła pora głosowania, Sonia nie była w stanie znaleźć karteczki z symbolem Kongresu. Przez chwilę myślała, że w ogóle zrezygnuje. Po wyjściu z lokalu, gdy szli do samochodu, opowiedziała o tym Rajivowi, który się roześmiał. „Wziął mnie za rękę - wspominała - tym ciepłym i uspokajającym gestem, który zawsze pomagał rozwiązać wszelki niepokój”. Chyba po raz ostatni Rajiv miał okazję ukoić nerwy żony. Odwiózł ją do domu, a sam wyjechał znowu w kolejny objazd. Po południu miał wrócić do New Delhi, aby przesiąść się z helikoptera na samolot i ruszyć na południe, gdzie wybory odbywały się dwa dni później.

Jednak tego popołudnia Rajiv zrobił im niespodziankę i wstąpił na chwilę do domu. Sonia i Priyanka ucieszyły się, że go widzą, choćby na krótko. Rajiv szybko wziął prysznic, przegryzł coś i zatelefonował do syna w Stanach. „Rahul, dzwonię do ciebie, aby ci dodać otuchy przed egzaminami i powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że niedługo przylecisz... Będziemy mieli piękne lato... Kocham cię... Do widzenia”. Potem ucałował Priyankę. Znowu musiał wyjechać, ale przynajmniej teraz był to już ostatni etap jego kampanii wyborczej. Czuł się spokojny, wyruszał na południe, na tereny bezpieczne w odróżnieniu od niespokojnej północy.

- Nie możesz z tego zrezygnować? - poprosiła Sonia. - Ta podróż nie zmieni wyników.

- Wiem, ale już jest wszystko przygotowane... Tylko jeszcze dwa dni i znowu będziemy razem - zapewnił ją ze zniewalającym uśmiechem.

„Pożegnaliśmy się czule - wspominała Sonia - i wyszedł. Patrzyłam przez żaluzje, jak się oddala, aż straciłam go z oczu... Tym razem na zawsze” (Ibidem, s. 15).

Następnego dnia, dwudziestego pierwszego maja 1991 roku, Rajiv wsiadł do helikoptera, by odwiedzić miejscowości w stanie Orisa na wschodzie kraju. Był to wyczerpujący dzień, nocą Rajiv czuł się tak zmęczony, że postanowił się trochę wyspać i odwołać ostatnią przewidzianą wizytę w Śriperumbudurze, przygranicznej miejscowości w Tamilnadzie. Poza tym raport rządowych sił specjalnych odradzał mu uczestniczenie w wiecach w tym stanie po zapadnięciu nocy, ponieważ Tamilskie Tygrysy cieszyły się tu znacznym poparciem ludności. Był głodny, więc miejscowa liderka Kongresu, młoda wykształcona kobieta, którą sam pozyskał dla partii, zaprosiła go do domu na kolację. W końcu jednak pomyślał o tych, którzy czekali na niego w Śriperumbudurze, o wysiłku włożonym przez partyjnych kolegów w zorganizowanie wiecu. Nie chciał ich zawieść i dlatego zrezygnował z zaproszenia. Partia zasługiwała na ten ostatni gest.

- Jeszcze się dobrze wyśpię z Rahulem, Priyanką i Sonią w domu - powiedział do kolegi.

- Zignorujesz raport służb specjalnych?

- Gdybym się przejmował wszystkimi tymi raportami, musiałbym zrezygnować z kampanii już dawno temu. Poza tym - dodał - wszyscy wiemy, że przemoc polityczna rzadko się zdarza na południu Indii. Tutaj wybory przypominają bardziej wiejskie święto niż poważne wydarzenie polityczne.

W samolocie spotkała go przyjemna niespodzianka: miejscowa liderka kazała dostarczyć mu pizzę i kilka kanapek. Ledwie ugryzł pierwszy kęs, zakomunikowano, że samolot nie może wystartować z powodu usterki technicznej.

Tym lepiej - pomyślał Rajiv, który marzył tylko, by przyłożyć głowę do poduszki. - Czyli zostajemy tutaj.

Przesiadł się z samolotu do ambassadora i pojechał w kierunku rządowej kwatery. Ale po drodze doścignął go służbowy samochód.

- Proszę pana - powiedział policjant przez szybę - już naprawiono awarię, samolot jest gotowy do startu.

Przez ułamek sekundy Rajiv wahał się, czy jechać dalej, czy wrócić na lotnisko, w końcu zdał się na bieg wydarzeń i kazał szoferowi zawrócić. W samolocie usiadł, zapiął pas, a kiedy maszyna zaczęła kołować na pas startowy, z żalem zdał sobie sprawę, że zostawił jedzenie w samochodzie.

Dotarł do Madrasu o wpół do dziewiątej w nocy, wziął udział w krótkiej konferencji prasowej, pokrzepił się napojem chłodzącym i ruszył ambasadorem w dalszą drogę. Siedział z przodu obok kierowcy, przy otwartym oknie. Na przednim zderzaku znajdowało się światełko fluorescencyjne skierowane na twarz Rajiva, żeby ludzie mogli go widzieć w ciemnościach nocy. Zatrzymał się w jakiejś miejscowości, gdzie uczestniczył w dwudziestominutowym wiecu, o wpół do dziesiątej był już na kolejnym mityngu i wygłaszał następne przemówienie. Podczas jazdy gawędził z dziennikarzami. Tego dnia towarzyszyła mu Barbara Crossette, korespondentka „New York Timesa”, specjalistka od tematyki azjatyckiej. Kiedy jechał przez wioski, samochód powoli torował sobie drogę wśród tłumów, a ludzie z wyrazem frenetycznej radości na twarzach rzucali przybyszowi kwiaty. „Spodziewamy się dobrych wyników w tym regionie” - powiedział Rajiv do dziennikarzy. Gdy tylko wysiadał, jego zwolennicy walczyli, żeby zawiesić mu na szyi girlandy, inni dawali chusteczki i szale. W pewnym momencie przystanął i przywitał ściśniętą przez tłum kobietę. Nałożył jej na szyję jedwabny szal i powiedział kilka słów. Kobieta zakryła twarz dłońmi i przycisnęła szal do piersi. Barbara Crossette zdziwiła się, że ma tak niewielką ochronę: „Setki razy jedna z wielu

rąk, które wsuwano do samochodu, aby dotknąć jego ramienia lub uścisnąć mu dłoń, mogła go uderzyć lub wystrzelić".

Jechali dalej. Wzdłuż drogi paliły się kolorowe światła i stały transparenty powitalne. Od czasu do czasu Rajiv mówił do szofera, żeby zwolnił lub się zatrzymał, i wysiadał, ściskając dłonie tych, których prosił o oddanie głosu na Kongres. Mówił do nich po angielsku, bo nie znał tamilskiego. Kiedy musiał coś szerzej wyjaśniać, pomagał mu tłumacz. Zebrane od ludzi notki i listy wkładał do szarej torby linii lotniczych, którą zawsze nosił ze sobą. Barbarze Crossette udzielił swojego ostatniego wywiadu. Dziennikarka spytała go, czy bierze suplementy witamin albo jest na specjalnej diecie, by zrekompensować taki ubytek energii w czterdziestostopniowym upale i przy fatalnym stanie dróg... Rajiv wybuchnął śmiechem. Ci Amerykanie! - pomyślał zapewne. „Najczęściej nie jem nic. Jakoś wytrzymuję...” - odpowiedział, wskazując dwa termosy, jeden z kawą, drugi z herbatą. Stwierdził również, że jedynym ustępstwem na rzecz komfortu są jego sportowe białe buty. Następnie przeszedł do swoich ulubionych tematów: „Ludzie są sfrustrowani, bo system jest nieskuteczny, nie wspiera ich aspiracji. Musimy go radykalnie ulepszyć. Przede wszystkim jednak musimy skończyć z wszelkimi sporami o charakterze religijnym. Pragniemy całkowitego oddzielenia religii od polityki. Ich łączenie tworzy mieszanekę wybuchową, nie tylko tutaj, ale i na całym świecie”.

O dziesiątej w nocy lokalni liderzy w Śriperumbudurze, miasteczku o niewielkim znaczeniu, ogłosili przybycie przywódcy Kongresu. Ludzie oglądali właśnie bardzo kolorowy i hałaśliwy spektakl taneczny, typowy dla wieców wyborczych, na które ważni kandydaci nigdy nie przybywali punktualnie. Dwie godziny opóźnienia nie pozbawiły zebranych chęci do śpiewania chórem i rzucania petard na

część lidera. Rajiv przestraszył się, słysząc pierwsze wybuchy, ale wyjaśniono mu, że w Tamilnadzie to tradycyjny sposób przyjmowania ważnego dygnitarza. Na północy Indii przy wejściu na wiec znajdowałby się wykrywacz metali. Ale tu nie było niczego podobnego, tylko wierny ochroniarz Pradip Gupta starał się odsunąć ludzi i nie dopuścić do tego, żeby dotykali gościa. Rajiv zatrzymał się przed posągiem swojej matki i uroczyście zawiesił na nim girlandę z goździków. W tłumie przeważali przyjaźnie wyglądający mężczyźni, ubrani w lunghi (materiał owinięty wokół pasa) i niqui, czyli kurta bez stójki. Po oddaniu hołdu Indirze Rajiv przeszedł po czerwonym dywanie w stronę podium, gdzie oczekiwali na niego miejscowi liderzy partii siedzący przy długim stole. Cały czas się uśmiechając, Rajiv dziękował za girlandy, które mu nakładano, a część ich zdejmował i rzucał w stronę kobiet, zatrzymywał się, by uścisnąć komuś dłoń, odpowiadał na pozdrowienia, dyskutował z miejscowymi policjantami, którzy starali się odsunąć tłum, śmiał się i żartował ze wszystkimi. Czerpał niewiarygodną energię z kontaktu z ludźmi, udowadniając tym samym swoje pokrewieństwo z dziadkiem i matką.

W tłumie znajdowały się dwie kobiety około trzydziestki. Jedna z nich, niziutka, ciemnoskóra, w okularach, miała na imię Dhanu. Ubrana była w dżinsową kurtkę i pomarańczowy pendżabski strój, składający się z długiej spódnicy nałożonej na szerokie spodnie. Wyglądała inaczej niż pozostałe kobiety z południa, które zwykle chodzą w sari. Wydawało się, że jest w ciąży. Nikt nie podejrzewał, że powodem jej korpulentnej sylwetki jest ukryta pod kurtką, przyczepiona do ciała dziewięciowoltowa bateria, detonator i sześć granatów z ładunkiem szrapnelowym owiniętym w plastik. Druga dziewczyna, imieniem Kokila, była córką miejscowego funkcjonariusza partii. Rajiv czule objął ją ramieniem, kiedy

recytowała poemat na jego cześć. Dhanu, z girlandą w ręce, zdołała utorować sobie drogę i stanęła za Kokilą. Kiedy dziewczyna skończyła recytację, przyszła kolej na Dhanu, jednak gdy już miała ofiarować Rajivowi girlandę, zatrzymała ją policjantka, kładąc jej rękę na ramieniu. Rajiv uśmiechnął się i powiedział: „Pozwól, niech każdy podchodzi po kolei... Nie przejmuj się, spokojnie”. Policjantka ustąpiła i odwróciła się, nie podejrzewając nawet, że w ten sposób uratowała własne życie. Wtedy Dhanu zbliżyła się do Rajiva, by zawiesić mu na szyi girlandę z wiórów drewna sandałowego rzeźbionych w kształt płatków kwiatów. Rajiv podziękował jej swoim czarującym uśmiechem, po czym zgodnie z tradycją zdjął girlandę i oddał ją stojącemu za nim partyjnemu koledze. W tym czasie Dhanu pochyliła się, by w geście czci i uwielbienia dotknąć stóp Rajiva, który na znak pokory odpowiedział jej tym samym, jakby dając do zrozumienia, że nie jest godny takiego powitania. Ale kobieta go oszukała - nie dotknęła jego stóp, tylko pociągnęła za sznurek, uruchamiając detonator.

Wybuch był apokaliptyczny. „Kiedy się odwróciłem - opowiadał Suman Dubey, asystent Rajiva i serdeczny przyjaciel rodziny - zobaczyłem, że ludzie fruują w powietrzu jak na zwolnionym filmie”. Stojąca z tyłu Barbara Crossette ujrzała „bardzo silny wybuch... a następnie ludzi upadających naokoło jak płatki kwiatów. W miejscu, gdzie stał Rajiv, powstała dziura w ziemi”. Granaty uśmierciły również zabójczynię i szesnaście innych osób. W tłumie i wśród policji zapanowała panika - nikt nie wiedział, czy był to pojedynczy wybuch, czy może będą następne. Pył i dym rozproszyły się, ukazując obraz masakry: rozczłonkowane ciała, czarną dymiącą ziemię i spalone przedmioty. Co ciekawe, podium stało nadal, tylko ludzie zostali rozerwani na kawałki.

„Szukałem czegoś w białym kolorze - opowiadał Suman Dubey - ponieważ Rajiv zawsze ubierał się na biało. Ale wszystko, co widziałem, było czarne i spalone". Inni koledzy z partii zbliżyli się i znaleźli Pradipa Gupte, wiernego ochroniarza Rajiva. Jeszcze żył, leżał z szeroko otwartymi oczami, odczuwając na własnym ciele to, co niegdyś zapowiedział Soni: „Jeśli coś się stanie Rajivowi, to tylko po moim trupie". Zmarł kilka sekund później. Pod jego ciałem ktoś znalazł biały sportowy but Rajiva. Partyjny kolega usiłował ustalić, co się stało z ciałem, ale bez powodzenia. Rajiv został dosłownie rozerwany przez wybuch, z roztrzaskanej czaszki wypłynął niemal cały mózg. Zginął na miejscu. Piętnaście minut po wybuchu w domu przy Janpath 10 zadzwonił telefon.

Słuchawkę podniósł sekretarz Rajiva, który pracował w jego prywatnym biurze w osobnym skrzydle domu. Rodzina spała. W sypialni Sonia przez sen usłyszała telefon, który zabrzmiał dla niej jak lament.

- Proszę pana, doszło do zamachu bombowego - powiedział jakiś głos, przerywany zakłóceniami.

- Kto mówi?

- Funkcjonariusz służb specjalnych. Dzwonię ze Śriperumbuduru.

Sekretarz zapytał przez ściśnięte gardło:

- Co z Rajivem?

Rozmówca nie odpowiedział. Sekretarz usłyszał, jak pokasłuje, żeby oczyścić gardło, nim znowu zaczął mówić.

- Proszę pana, więc... - nie skończył zdania. Zdenerwowany sekretarz ponaglał:

- Dlaczego od razu mi pan nie mówi, co z Rajivem?

- Proszę pana, nie żyje! - wybuchnął wówczas mężczyzna i nic już nie mówiąc, od razu się rozłączył.

Sekretarz przez chwilę stał z błędnym wzrokiem, starając się zrozumieć to, co przed chwilą usłyszał. Nikła nadzieja, że to fałszywa wiadomość, rozwiąła się, gdy tylko odłożył słuchawkę. Znowu zadzwonił telefon. Członek Kongresu z Tamilnadu potwierdził tragiczne wieści. Nie było już wątpliwości. Natychmiast rozdzwoniły się pozostałe telefony w nieznośnej kakofonii dźwięków. Sekretarz pośpiesznie wyszedł.

- Proszę pani, proszę pani...

W korytarzu spotkał Sonię, która wychodziła ze swojego pokoju, zawiązując szlafrok.

Z trudem otwierała oczy. Miała potargane włosy. Wiedziała, że telefon w środku nocy nie zapowiada niczego dobrego. W jej pamięć wrył się telefon, jaki odebrała nocą w

rodzinnym domu w Orbassano, z wieścią o wypadku Sanjaya. Teraz owładnęło ją podobne uczucie i szła ze ściśniętym gardłem. Zmroziła ją przerażona twarz sekretarza, człowieka na ogół spokojnego i opanowanego.

- Proszę pani, była bomba... - wymamrotał.

Sonia rzuciła na niego surowe spojrzenie. Twarz miała spuchniętą od snu. - Żyje?

Sekretarz nie był w stanie odpowiedzieć. Nie mógł wykrztusić słowa. Zresztą nie było potrzeby, Sonia przestała go słuchać. Całe jej ciało skurczyło się jakby porażone prądem, z największej głębi jej śmiertelnie zranionej duszy wydobył się gardłowy, chrapliwy krzyk. Siedem lat po rozmowie z Rajivem w sali operacyjnej szpitala, gdzie zszywano zwłoki Indiry i gdzie prosiła go, by nie przyjmował stanowiska pozostawionego przez matkę, jej przewidywania się spełniły.

- Nie...!

Krzyk obudził Priyankę, która pojawiła się w korytarzu owinięta w szlafrok, z przerażeniem na twarzy i osłupiałym spojrzeniem. Stała milcząca, niedowierzająca, śmiertelnie blada. Chwyciła matkę i zaprowadziła ją do salonu. Nigdy w ciągu dziewiętnastu lat swojego życia nie widziała jej w takiej rozpacz. Nikt nigdy nie widział, by Sonia płakała w taki sposób. Jej płacz trwał tak długo i był tak intensywny, że pierwsi partyjni koledzy, którzy zaczęli przybywać do domu, słyszeli go na ulicy.

Priyanka nie zdołała jej uspokoić. Nagle Sonia zaczęła kaszleć i dusić się tak mocno, że sekretarz bał się, iż straci przytomność.

- To atak astmy - powiedziała Priyanka. Tak gwałtowny, że się przeraziła.

- Zaraz wracam! - krzyknęła.

Pobiegła do łazienki i nerwowo szukała inhalatora i leków antyhistaminowych. Kiedy wróciła do salonu, zobaczyła, jak matka siedzi w fotelu półprzytomna, z otwartymi ustami i głową odrzuconą do tyłu, łapiąc powietrze jak ryba wyjęta z wody. Sama Sonia myślała, że umiera, i rzeczywiście jakaś jej część umarła wraz z mężem.

Lekarstwa odniosły skutek - powstrzymały kaszel, ale nie płacz. Choć córka bardzo się starała, nie była w stanie uspokoić Soni. Jej płacz narastał sam z siebie, uporczywy i regularny jak fale biegnące ku plaży.

Priyanka zwróciła się do sekretarza:

- Gdzie znajduje się ciało mojego ojca?
- W tej chwili wiozą je do Madrasu.
- Proszę cię, pomóż mi załatwić stosowne formalności, żebyśmy mogły tam pojechać.

Priyanka wszystkim się zajęła, wykazując godną podziwu dojrzałość, zimną krew i zmysł organizacji. Rozmawiała z przyjaciółmi ojca i liderami Kongresu, którzy przybyli zagubieni i zrozpaczeni, niektórzy płakali rzewnymi łzami. Zadzwoiła nawet do prezydenta. Poprosiła go, żeby przydzielił samolot do dyspozycji rodziny. Coś w głębi duszy nie pozwalało jej uwierzyć w śmierć ojca. Myśl ta chroniła ją przed bólem i pozwalała działać. Podświadomie nie chciała zaakceptować czegoś tak strasznego, zanim sama tego nie sprawdzi, dlatego musiała zobaczyć ojca jak najprędzej.

- Sądysz, że to rozsądne, byście tam poleciały? - zapytał ją prezydent.

- Proszę, panie prezydencie, nalegam. Moja matka i ja jesteśmy zdecydowane jechać tej nocy do Madrasu.

- Dobrze, porozmawiam z wojskiem, by przydzieliło do waszej dyspozycji samolot sił powietrznych. Niedługo przyjadę do rezydencji złożyć wam kondolencje.

- Dziękuję, czekamy na pana.

Teraz musiała powiadomić brata na Harvardzie. Tam o tej porze była pora lunchu. Rozmawiała z jego kolegą, który obiecał powiedzieć Rahulowi, by jak najszybciej zadzwonił do domu. Godzinę później siostra i matka przekazały mu najgorszą wiadomość, jaką usłyszał w życiu.

- Wiedziałem, wiedziałem! - mówił, płacząc i zagryzając wargi. - Wiedziałem, że to się stanie.

Frustracja i bezsilność potęgowały ból całej rodziny.

- Zrobiliśmy, co mogliśmy...

- Naprawdę tak uważasz?

- Oczywiście.

Powiedziały mu, żeby przyleciał najbliższym samolotem, że organizują uroczystości pogrzebowe i że na niego czekają.

Okolo jedenastej w nocy informacja obiegła New Delhi. Tłum gromadził się przed ogrodzeniem domu. Priyanka i Sonia słyszały histeryczne krzyki i lamenty. Nadal przychodzili przyjaciele rodziny, koledzy z partii, ministrowie, policjanci, etc. Regularna inwazja. Prasa zajęła stanowiska przy ogrodzeniu i na ulicy. Ludzie nadal nie wiedzieli, przeciw komu skierować swój gniew: sikhom, muzułmańskim czy hinduskim fundamentalistom, Tamilskim Tygrysom, mieszkańcom Asamu, niedotykalnym...? Nie brakowało poczucia krzywd w tym tak zróżnicowanym kraju. Wkrótce zgromadzeni zwrócili się przeciw ekipom telewizyjnym, krajowym i zagranicznym. Zaczęli wyzywać dziennikarzy. Źle przyjmowano także niektórych przyjaciół wjeżdżających samochodami za ogrodzenie: Ottavio i Maria Quattrochi zostali wygwizdani i obrzuceni kamieniami, to samo spotkało liderów opozycji, którzy przybyli złożyć kondolencje. Furia tłumu objęła wszystkich przeciwników Rajiva. Próbowano zaatakować sąsiedni dom należący do przywódcy kasty niedotykalnych, jednego z najzagorzalszych krytyków Rajiva w czasach, gdy ten sprawował urząd premiera. Atmosfera na

ulicach była tak napięta, że prezydent nie mógł dotrzeć do domu Gandhich. Napotkał bowiem wściekły i zrozpaczony tłum. Ludzie rzucali się na maskę samochodu, płacząc i szlochając.

- Rozproszyc ich? - zapytał ochroniarz prezydenta.

- Nie, zawróćmy. Nie chcę jeszcze bardziej podgrzewać nastrojów.

Po powrocie do swojej rezydencji w dawnym pałacu wicekróla prezydent zatelefonował do Soni. Była trochę spokojniejsza, mogła przyjąć jego kondolencje i podziękować za pomoc, jakiej udzielił rodzinie, ułatwiając jej wyjazd do Madrasu.

Gdy tylko odłożyła słuchawkę, ubrana w biały salwar kamiz, z włosami zaczesanymi do tyłu i zebranymi w kok, wyszła z domu z Priyanką. Na zewnątrz czekał na nie samochód, który zawiózł je na lotnisko. Prowadził wujek Kaul - ten, który tyle wysiłku włożył w przekonanie Rajiva, by poszedł w ślady brata. Samochód z trudem torował sobie drogę wśród tłumu tłoczącego się wokół domu. Ulice stawały się coraz bardziej niespokojne. Grupy ludzi kłębiły się na rondach i skrzyżowaniach dróg, przepelnione wściekłością i bólem.

- Mam nadzieję, że rząd zareaguje szybko i nie pozwoli na powtórzenie tego, co działo się po śmierci Indiry - skomentował wujek Kaul.

Lot trwał trzy i pół godziny, tyle bowiem potrzebuje odrzutowiec na pokonanie trasy nad subkontynentem z północy na południe. W dole majaczyła czarna ziemia upstrzona punkcikami świateł miast i wiosek. Indie spały. Za parę godzin, gdy się obudzą, wstrząśnie nimi tragedia kolejnego politycznego mordu. Za parę godzin kraj pogrąży się w smutku. Nikt nie rozmawiał podczas lotu. Słysząc było tylko płacz Soni.

Było jeszcze ciemno, kiedy wylądowały o wpół do piątej nad ranem w Madrasie. Samolot kołował w stronę oświetlonego starego terminalu, otoczonego ogromnym tłumem ludzi. Tam znajdowało się ciało Rajiva. Przywieziono je tutaj na polecenie prezydenta, żeby Sonia i Priyanką nie musiały jechać samochodem przez miasto. Gdy tylko wyszły z samolotu, oblepiło je wilgotne i duszne powietrze. Były bardzo zdenerwowane, zbliżała się chwila, gdy ujrzą Rajiva po raz ostatni. Co zastaną? Czy są na to przygotowane? Czy to wytrzymają? - zastanawiały się, schodząc po trapie i witając z miejscowymi dostojnikami, którzy wyszli na ich powitanie.

Tutaj również, jak powiedział im gubernator, władze obawiały się wybuchu zamieszek. Tłum poszukiwał kozła ofiarnego, a nastroje w mieście były bardzo rozognione. Dlatego zarządzono wszelkie niezbędne środki, żeby samolot mógł wylecieć przed świtem. Kiedy Sonia rozpoznała Sumana Dubeya, starego, wiernego przyjaciela, który cudem wyszedł z zamachu bez szwanku, wybuchnęła w jego ramionach płaczem.

Nie oglądały Rajiva. Nie mogły. Powiedziano im, że ciało zostało tak rozerwane, że nie można było go zabalsamować. Zobaczyły tylko dwie trumny. Jedna zawierała szczątki Rajiva, druga jego ochroniarza, Pradipa Gupty. Od tej chwili wszystko działo się bardzo szybko. Uczepione jedna drugiej, matka i córka patrzyły, jak wkładają trumny do samolotu. Same znowu wspięły się po schodkach. Sonia poprosiła, żeby trumnę postawiono obok niej. Jedną ręką położyła na niej girlandę kwiatów, drugą zasłoniła szalem twarz, by osuszyć łzy. Priyanka, widząc trumnę, musiała pogodzić się z tym, czego podświadomie nie chciała zaakceptować - że w tej skrzyni znajduje się jej ojciec, a raczej to, co z niego zostało. Wówczas przestała nad sobą panować, załamała się. Zdała sobie sprawę, że już nigdy go nie zobaczy, że już nigdy więcej

nie dozna miłości i ciepła swego taty. Przytuliła się do trumny i długo szlochała.

Samolot kołował już na pas startowy. Suman Dubey i Sonia uspokoili ją, posadzili i zapięli jej pas. W tym momencie Sonia wykonała gest, który Rajiv niewątpliwie by docenił. Kiedy spostrzegła, że na trumnie ochroniarza Pradipa Gupty nie ma nic, położyła na niej girlandę z jaśminów.

Już za dnia samolot wystartował, obierając kierunek na stolicę Indii. Rozpoczęła się ostatnia podróż Rajiva Gandhiego.

Akt IV

Niewidzialna ręka przeznaczenia

Nie znasz granic swojej siły, nie wiesz, co czynisz. Nie wiesz, kim jesteś.

Eurypides

I już. Wszystko się skończyło. Mimo że Rajiv w chwili śmierci nie sprawował żadnej oficjalnej funkcji, sześćdziesiąt cztery kraje wysłały swoich przedstawicieli na uroczystości pogrzebowe. Miał w sobie coś specjalnego, budził sympatię wszystkich, którzy się z nim zetknęli.

Prochy już płyną w stronę oceanu, rozpuszczone w wodach Gangesu, zmieszane z prochami pradziadka Motilala, dziadka Nehru i brata. Ból Soni jest tylko częścią ogromnej pustki, jaką pozostawił. Służba i ochroniarze są smutni i dezorientowani. Nawet psy chodzą osowiałe. Zniknął ten, który w chaotycznym, niepewnym świecie wzlotów i upadków stanowił dla wszystkich oparcie. Jak uwierzyć, że już go nie ma? Sonia i dzieci czują jego obecność przez cały czas, zwłaszcza nocą, w snach. Podświadomość działa wolniej, z trudem dogania rzeczywistość, dlatego chwile przebudzenia są szczególnie ciężkie. Czasem, przestraszeni, stają nagle twarzą w twarz z rzeczywistością i wówczas zdają sobie sprawę, że to ona jest najgorszą zmorą.

Ważne, że wszystko przebiegło spokojnie. Tym razem udało się uniknąć morza krwi, którym niegdyś spłynęły Indie po zabójstwie Indiry. Rząd na czas wyprowadził wojsko na ulice i ogłosił siedmiodniową żałobę narodową. Nie dało się jednak zapobiec przypadkom samobójstw i składania ofiar w głębi kraju. Wieczne Indie nadał żyją w sercach ludzi.

Teraz nawet przeciwnicy stwierdzają, że Rajiv był człowiekiem uczciwym. Po śmierci wychwalają lidera, którego oczerniali za życia. Prasa, która najpierw go chwaliła, a potem szkalowała, dokonuje własnego rachunku sumienia. Pewnego ranka Priyanka pokazuje matce artykuł w „Hindustan Timesie”.

- Przeczytaj to, mamo. Oddają hołd tacie. Media starają się zrehabilitować za to, co wcześniej o nim wypisywały.

Sonia jest dumna ze swoich dzieci. Sprostają sytuacji. Jakie szczęście, że miała przy sobie Priyankę, która pomogła jej to wszystko zorganizować, utrzymać porządek w domu, wyjść na powitanie Rahula i wybrać miejsce kremacji! Ona sama nie dałaby rady. Jeśli ktoś czuje się martwy za życia, nie jest w stanie podejmować decyzji. Myśli, że Indira także byłaby z nich dumna.

Nakłada okulary i zaczyna czytać. Tekst wyróżnia się szczerością: „Wykpiwaliśmy jego buty od Gucciego, okulary od Cartiera, markowe dżinsy, podróże z żoną odrzutowcami Indian Airlines... Naśmiewaliśmy się z jego hindi, choć nasz wcale nie był lepszy... Prawdę mówiąc, byliśmy pełni uprzedzeń i zazdrości... W głębi duszy wiedzieliśmy, że jeździ po kraju więcej niż my wszyscy i ma większą wiedzę o problemach Indii niż ta, którą myśmy mieli i którą autorytatywnie prezentowaliśmy na naszych kolumnach. Jego naturalna elegancja, prezencja i maniery dawały mu przewagę nad wszystkimi. Miał tyle powodów, żeby żyć, tyle do zrobienia, mimo naszych zastrzeżeń i krytyki" (Hazarika Sanjoy, *For We Shall Never Be Young Again*, „Hindustan Times", 2 czerwca 1991; cyt. w: Chatterjee Rupa, *The Sonia Mystique*, s. 130). Sonia ze łzami zwraca córce artykuł. „Dlaczego musiał zapłacić tak wysoką cenę człowiek dobry, a przede wszystkim porządnie wykonujący swoją pracę?" Tyle jest pytań i tak niewiele odpowiedzi, co doprowadza ją do rozpacz. Wie tylko, że jej mąż zginął jako ofiara systemu, który żądał od niego rzeczy niemożliwych. Och, gdyby nie zaangażował się w politykę, gdyby pozwolono Manece objąć dziedzictwo... Maneka pojawiła się na pogrzebie razem z Ferozem Varunem i przez łzy wymamrotała słowa kondolencji.

Teraz Sonia i dzieci chcą się dowiedzieć, kto zabił Rajiva. Policja mówi, że byli to terroryści z tamilskiego Frontu

Wyzwolenia Narodowego... Ale czy są tego pewni? Kiedy będą mogli to potwierdzić? A przede wszystkim... kiedy będzie można wymierzyć sprawiedliwość? Osądzenie winnych to słaba pociecha, ale w tej sytuacji jedyna, jaka pozostaje.

- Proszę pani, telefon do pani - przerywa jej służący. Odkąd siostry wróciły do Włoch, spędziwszy kilka dni

w New Delhi, gdzie starały się pocieszyć Sonię, codziennie rozmawia z którąś z nich. Obie nalegają, żeby wróciła. Mają nadzieję, że z czasem zda sobie sprawę, że nie ma już sensu dalej mieszkać w New Delhi, w dodatku jest to niebezpieczne. Ale Sonia dobrze wie - i już powiedziała o tym matce - że Indie nadal są sensem jej życia, mimo iż skradły jej serce. Tutaj zostały pochowane marzenia.

- To jest moje życie - powtarza Nadii przez telefon. - Już nie mogę porzucić tego kraju i zamieszkać gdzieś, gdzie zawsze będę się czuła cudzoziemką. Zdałam sobie z tego sprawę, kiedy umarł tato.

- Przynajmniej zmień dom...

- Po co? Ty też uważasz, że jest przeklęty? Tutaj tak pisze prasa...

- Nie, nie wierzę w te głupoty, mówię tak, ponieważ w tym domu wszystko przypomina ci Rajiva.

- Dokładnie z tego powodu nie chcę się przeprowadzić. Zrozum, zostać wdową to nie to samo, co się rozwieść. Poza tym z punktu widzenia bezpieczeństwa ten dom jest odpowiedni.

Bezpieczeństwo! Jakże puste wydaje się to słowo! Dwa zabójstwa, a Sonia nadal wierzy w bezpieczeństwo. Jaka ta siostra potrafi być uparta... Ale strach można zrozumieć tylko wtedy, gdy się z nim żyje. Groźba sikhów pod adresem Indiry, że zabiją wszystkich jej potomków aż po setne pokolenie, wyryła się w myślach Soni. Jak zapomnieć takie

przekleństwo, potwierdzone na dodatek krwią teściowej? Teraz zamach na Rajiva; wie, że pragnienie zemsty nie zna granic. Ani ona, ani jej dzieci nigdy nie będą mogli żyć w spokoju, bo są tymi, kim są. Nigdy, ani tu, ani we Włoszech, ani w żadnym innym miejscu. Lepiej się z tym pogodzić. W Indiach przynajmniej znowu ma do dyspozycji cały aparat państwa do ochrony. „Bezpieczeństwo rodziny Gandhich jest sprawą narodową” - zadeklarował pompatycznie prezydent tydzień po zamachu. Rychło w czas, pomyślała Sonia... Faktem jest, że urzędujący premier, na polecenie prezydenta, przyznał im maksymalną ochronę. Z powrotem broni ich Special Protection Group, która wykazała swoją skuteczność w czasach, gdy Rajiv stał na czele rządu. Sonia nie mogła się powstrzymać od gorzkiego komentarza:

- Policja powiadomiła mnie, że gdybyście nie cofnęli Rajivowi ochrony SPG, do której miał prawo, uratowałby się z zamachu.

- Soniadzi - odpowiedział jej niezmiśnany premier - wiesz doskonale, że gdyby Rajiv nalegał na rząd, toby ją przywrócono.

- Nie jestem taka pewna.

Jak można być tego pewnym? Jak wierzyć słowu polityka? Rzeczywiście Rajiv o to nie prosił, ale ona - owszem. Wiele razy, zawsze na próżno. Priyanka również prosiła. I Rahul. Faktem jest, że żaden polityk nie był specjalnie zainteresowany przydzieleniem Rajivowi większej ochrony: członkowie jego partii uważali, że oddziela go od mas, a przez to zmniejsza możliwość wygranej w wyborach, członkowie opozycji zaś po cichu myśleli, że gdyby coś mu się stało, skończyłaby się dominacja Kongresu. Pozostawiając Rajiva bez ochrony, wszyscy wygrywali.

Po takim zamieszaniu, spotkaniach z tyloma ludźmi, tylu wylanych łzach Sonia jest wyczerpana. Stara się powoli

odnaleźć w nowej sytuacji. Tylko jak dalej żyć bez Rajiva? Skąd czerpać siły? Teraz staje w obliczu najtrudniejszego zadania: musi wymyślić swoje życie na nowo. W jej wypadku nie na wiele zda się szukanie pocieszenia w religii. Mówi, że wierzy we wszystkie, zapewne dlatego, że nie wierzy w żadną. Pociesza ją to, że Rahul zostaje na lato. Chłopak jest jednak załamany. Do smutku z powodu utraty ojca dochodzi głębokie poczucie winy, że nie poruszył nieba i ziemi, że mu się nie sprzeciwił, nie zmusił go do zażądania większej ochrony. Sonia i Priyanka także czują się trochę winne, ale co mogły zrobić wbrew woli Rajiva i całego aparatu państwa? Dom rodzinny znowu zamieniono w fortecę, z parkanem na ulicy, bramkami do wykrywania metalu, kamerami nadzoru, wieżyczkami, budkami wartowniczymi i setką uzbrojonych policjantów patrolujących okolice. Bezpieczeństwo.

Zamach nie przerwał wyborów, przesunięto tylko dwa pozostałe terminy głosowania. Kongres wygrał wyraźnie na południu dzięki „czynnikowi empatii” wywołanemu zabójstwem Rajiva, został jednak pokonany na północy. Maneka przegrała w swoim okręgu i utraciła miejsce w parlamencie. Wielką niespodzianką tych wyborów była wyraźna poprawa wyników hinduistycznej partii BJP, którą Rajiv określał jako „wroga do pokonania”. BJP zwiększyła liczbę deputowanych w parlamencie do stu. Spektakularny, a zarazem przerażający postęp. Jak można nie odczuwać lęku, gdy lider hinduskiej grupy paramilitarnej, a jednocześnie sojusznik BJP, składa hołd zabójcy Mahatmy Gandhiego? „Czy w większości demokracji by tego nie zakazano?” - pyta zgorszona Sonia, podobnie jak większość osób, które u siebie przyjmuje. Jak można z taką łatwością, całkowicie bezkarnie atakować ojców narodu? Pod pretekstem składania kondolencji liczni deputowani i członkowie partii sondują jej stanowisko, czasem do późnej nocy. Przychodzą, by

dyskutować, kogo należy uczynić oficjalnym następcą Rajiva na czele Kongresu. Nie mają jeszcze dość odwagi, by jej powiedzieć, że to ona powinna zająć jego miejsce i że gdyby to zrobiła, istniałaby nadzieja na walkę z rosnącymi wpływami religijnego sekciarstwa. Wiedzą, że nie chce nawet o tym słyszeć. Czyż nie odrzuciła kategorycznie propozycji kierowania partią, zaoferowanej jej na srebrnej tacy, zanim jeszcze ostygły prochy Rajiva?

Niemniej Sonia słucha ich z uwagą: że X nazbyt reprezentuje bogatych i ma zły wizerunek wśród biedoty, Y jest nielojalny i nie można mu wierzyć, etc.

- A tobie jak się wydaje? - pytają.

- Ja optowałabym raczej za Narasimhą Rao, wierzę, że jego wybrałby Rajiv... Ale dlaczego wy sami nie zdecydujecie, kto będzie następnym liderem?

- Nasza partia, z osobowościami tak wspaniałymi jak Nehru, Indira i twój mąż, nigdy nie miała potrzeby rozwijania mechanizmu sukcesji i dlatego ludzie chcą, żeby ktoś im przewodził... Ty na przykład - odważył się powiedzieć jeden z gości, patrząc na nią uważnie.

Sonia z trudem zachowuje spokój. Czy nie rozumieją, że nie jestem tym zainteresowana? Mówiła im już sto razy, że nie chce zajmować się polityką i nie zamierza brać udziału w żadnych uroczystościach ani wydarzeniach o charakterze politycznym. Jeśli nadal ich przyjmuje, to przez wzgląd na pamięć męża, myśli, że jemu by się to podobało. Utrzymywanie tych relacji to trochę jakby przedłużanie mu życia. Nie chce przecinać pępowiny łączącej ją ze światem Rajiva, Indiry i dziedzictwem rodziny. Robi to dla Indiry i dla jej synów. Jedna z przyjaciółek Soni czuje się w obowiązku uprzedzać gości: „Nie sprawiajcie pani przykrości, mówiąc jej o wejściu do świata polityki. Bardzo ją to boli. Pamiętajcie, że

przeżywa żałobę po stracie męża, który nigdy nie chciał być politykiem" (Chaterjee Rupa, *The Sonia Mystique*, s. 136).

Wielu zapamiętało ją ubraną w białe sari i czarną bluzeczkę, bez biżuterii, tylko ze ślubną obrączką na palcu, jak nakazuje tradycja na czas żałoby, siedzącą na brzegu sofy w gabinecie Rajiva pod wiszącymi na ścianach portretami rodziny. Jego biurko wygląda dokładnie tak, jak je zostawił. Nie pozwoliła przełożyć żadnej rzeczy, nikt też nie siada w jego fotelu, teraz przykrytym flagą, w którą była spowita trumna. Nikt nigdy tego nie robi, nawet ona. Mimo że wygląda elegancko i stara się opanować, od czasu do czasu płyną jej łzy, które ukrywa, ocierając twarz chusteczką. Od ciągłego płaczu ma stale podkrążone i załzawione oczy. Bardzo schudła, jej bladą niczym marmur twarz pokrywają szare żyłki, spojrzenie wyraża nieskończony smutek.

Opinia Soni ma wielką wagę. Tak wielką, że nawet ją samą to zaskakuje. Deputowani jej słuchają. Przekonani, że woli Narasimhę Rao, urządzają wewnętrzne wybory tak, żeby deputowani na niego zagłosowali. Partia desygnuje starego przyjaciela rodziny Nehru na premiera mniejszościowego rządu koalicyjnego. Mniejszościowego, bo Kongresowi do uzyskania większości zabrakło trzydziestu mandatów. Prasa dostrzega jej wpływ, który zaczyna nazywać *the Sonia factor*. Z Włoszką dzieje się to samo, co kiedyś zdarzyło się z Indirą po śmierci Nehru: automatycznie odziedziczyła coś z potęgi rodziny. Według jednych to „charyzma”, według innych „nazwisko”. Gdyby tamtego dnia wymieniła kogoś innego, zapewne Rao nie zostałby desygnowany. Nie tak łatwo, jak się wydaje, uwolnić się od polityki. Władza ją prześladowuje, władza ją kocha. Władza jej potrzebuje.

Rząd Rao jest słaby. W tym stanie rzeczy nikt nie stawia ani na jego przetrwanie, ani na przetrwanie partii. Czym jest Kongres bez jednego z Gandhich na czele? Organizacją

skazaną na upadek, co hinduistycznej partii BJP stworzy szansę na przejęcie utraconego terenu. Sprawa jest poważna, ponieważ Indyjska Partia Ludowa broni niebezpiecznej idei „Indii dla hindusów”, co zdaniem wielu doprowadzi państwo do katastrofy. Nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie konsekwencji katastrofy na skalę Indii dla kraju i dla całego świata... Dlatego odpowiedzialni politycy podupadającego Kongresu podwajają presję na Sonię. Według nich i znacznej części narodu to ona jest ostatnią strażniczką doświadczanej przez śmierć dynastii.

- Może czegoś potrzebujesz, jakiejś pomocy, jakiejś przysługi? - W taki sposób zapowiada się dźwięcznym głosem minister opieki społecznej, wchodząc do rodzinnego domu Gandhich.

We władzach Kongresu nie wiedzą, co wymyślić, żeby ją pozyskać, żeby jeszcze raz się zastanowiła i zgodziła „wejść do owczarni”.

Tak wiele osób chce ją odwiedzić, że Sonia decyduje się wprowadzić godziny wizyt, od piątej do siódmej wieczorem. Przed południem zazwyczaj odpowiada na tysiące listów z kondolencjami, które ona i jej dzieci nadal otrzymują z całego świata. Chce przeczytać je wszystkie. Na listy od znajomych stara się odpowiedzieć osobiście. Pozostałym wysyła list z wydrukowanym podziękowaniem po angielsku lub w hindi i własnoręcznym podpisem. Wieczorami, po zakończeniu wizyt, poczucie straty i samotności staje się najtrudniejsze do zniesienia. Chwilami Sonia zapomina, że tej nocy Rajiv już nie wróci. Tyle lat czekała na jego powrót, że to poczucie oczekiwania w niej zostało, już na próżno. Na szczęście jest otoczona rodziną. Jej matka Paola mieszka teraz z nimi i w cichości ducha nadal ma nadzieję, że Sonia zdecyduje się wrócić do Włoch. Jednak już nie nalega. Ostatnim razem, kiedy to zrobiła, Sonia bardzo się zdenerwowała. Priyanka i

Rahul są bardzo związani z matką. Od czasu do czasu przychodzi na kolację któryś z przyjaciół i kiedy przygotowują jedzenie, atmosfera się ożywia.

Bliskich wiernych przyjaciół ma niewielu. Należą do nich: bracia Bachchan (jeden z nich, Amitabh, jest gwiazdą indyjskiego kina), dekoratorka, którą poznała zaraz po przyjeździe do Indii, i jej mąż, para dziennikarzy i redaktorów, dawni koledzy z Indian Airlines, starzy przyjaciele rodziny jak Suman Dubey i jego żona... Małżonkowie Quattrochi powrócili do Włoch, a nawet gdyby tu byli, nie mogłaby się z nimi widywać... Jej przyjaciele nie rozmawiają z prasą, nie opowiadają niczego, co mogłoby zostać zinterpretowane przez Sonię jako nadużycie jej zaufania. Wiedzą, że bardzo strzeże swojej prywatności. Nie chce, żeby jej ból opisywano na łamach kolorowych magazynów. Irytuje ją, że prasa zagraniczna widzi w Priyance przyszłą „dziedziczkę dynastii”. Reporterom, którzy towarzyszyli im podczas kampanii w Amethi, nie umknął magnetyzm dziewczyny ani jej wnikliwe spojrzenie. Żaden nie oparł się pokusie porównania jej do babci.

Wielu zagranicznych dygnitarzy bawiących przejazdem w stolicy pragnie Sonię odwiedzić, a ona przyjmuje ich z zadowoleniem, ponieważ może z nimi powspominać liczne podróże z mężem. W Ministerstwie Spraw Zagranicznych nie rozumieją, dlaczego Jasir Arafat, Nelson Mandela czy król Husajn chcą spotkać się z osobą, która nie pełni żadnej oficjalnej funkcji. „Co z protokołem?” - pytają. Ale premier Rao nie podziela tych zastrzeżeń. Uważa, że dopóki zagraniczni dygnitarze wyrażają taką wolę, rząd nie musi się zastanawiać nad kwestiami protokołu. Władza traktuje ją i jej dzieci jak członków rodziny panującej. Gandhim, żywym czy umarłym, należy się szacunek, jakby Indie przyznawały im boskie prawo do panowania. Teraz, obok wielkich portretów

Indiry zdobiących gmachy publiczne, wiszą także fotografie Rajiva uśmiechającego się z zaświatów. Rodzina nadal jest obecna w mentalności milionów Hindusów.

Stopniowo dzieci i przyjaciele pomagają Soni odnaleźć sens życia bez Rajiva. Zdaje sobie sprawę, że powinna jak najszybciej unormować swoją egzystencję, choćby tylko ze względu na dzieci, które muszą wrócić na uniwersytet. „To, co się stało, nie może im przeszkodzić w normalnym życiu”. Ma na tym punkcie obsesję. Przez całe życie nie pragnęła niczego innego i nadal o tym mówi, jakby mogła to osiągnąć. Zaraz jednak się poprawia: „W życiu tak normalnym, jak to możliwe”. Tak, to jest jej cel, jedyny wykonalny.

I choć nie może już żyć z Rajivem, może jednak nadal żyć dla niego. Dla pamięci o nim. Aby jego marzenia nie przepadły. Przyjaciele proponują, żeby założyła fundację, trochę na wzór fundacji amerykańskich prezydentów, które dbają o ich spuściznę. Udzieliłaby w ten sposób odpowiedzi jego zabójcom - terrorystom, a jednocześnie pozwoliłaby przetrwać ideom i planom męża. Na podpisanie aktu założenia Rajiv Gandhi Foundation wybiera dwudziesty czerwca, dzień urodzin Rahula, kończącego właśnie dwadzieścia jeden lat. W otoczeniu dzieci i przyjaciół składa podpis na dokumencie powołującym do życia instytucję, która ma wspierać zastosowanie osiągnięć naukowych i technicznych w celu udzielenia pomocy biedakom. Ma wrażenie, że w ten sposób przedłuża życie Rajiva.

Dwudziestego sierpnia, w dniu, w którym Rajiv skończyłby czterdzieści siedem lat, idą złożyć mu hołd do samadhi, mauzoleum w kształcie kwiatu lotosu, wzniesionym w miejscu, gdzie dokonano kremacji. W pobliżu stoją samadhi Sanjaya, Indiry i Nehru, wszystkie są symbolami wysokiej ceny władzy. Sonia, ubrana w białe sari z czarnym oblamowaniem, patrzy nieobecny wzrokiem; wydaje się, że

jej dusza krąży gdzieś daleko, w miejscu, które zna tylko ona. Może oddała się marzeniom o dawnym życiu z Rajivem i w ten sposób przeżywa choćby sekundy fikcyjnego szczęścia. Pachnie kadzidłem palonym przez kapłanów w prowizorycznych piecykach. Sonia stoi między Priyanką a Rahulem, wszyscy są zadumani i pogrążeni w myślach, indyjskie pieśni religijne płyną jak niekończąca się litania. W oddali słychać zgiełk miasta. Nagle pojawia się Maneka, ostatnia osoba, którą w tej chwili chcieliby zobaczyć. Sonia drży, kiedy bratowa zbliża się do samadhi i składa na wypolerowanym marmurze kwietną ofiarę. Następnie zgodnie z tradycją okrąży mauzoleum, przechodzi przed Sonią i dziećmi, ale się z nimi nie wita. Jej obecność naruszyła spokój tego miejsca. Sonia, zdenerwowana, wraca do samochodu.

Pięć miesięcy po zamachu komisja wyborcza ogłasza przeprowadzenie lokalnych wyborów w Amethi. Ponownie odzywa się chór głosów. Ten sam chór, który nawoływał Indirę po śmierci Nehru, Rajiva po śmierci Sanjaya, teraz wzywa Sonię. Dawni partyjni koledzy jej męża apelują do premiera, żeby przekonał ją do zgłoszenia swojej kandydatury w Amethi jako następczyni Rajiva. Wiedzą, że Sonia nawiązała szczególny kontakt z mieszkańcami okręgu. Pochlebstwa sięgają zenitu, gdy jeden z członków partii bez żenady deklaruje: „Jeśli Sonia zechce nosić buty zrobione z mojej skóry, ofiaruję je bez wahania”. Ale rodzina traci cierpliwość. „Co sobie myślą ci działacze?! - krzyczy zdenerwowana Priyanka. - Czy nadal musimy poświęcać życie? Już dość polityki!” (Cyt. w: Kidwai Rasheed, Sonia, New Delhi 2003, s. 57) Wydaje jej się to nienormalne, że odpowiedzialność za równowagę narodu liczącego prawie miliard obywateli zrzuca się na barki wdowy, Włoszki. Jednak przedstawiciele rządu i liderzy partii są innego zdania.

Skoro nie udaje im się jej przekonać, próbują innych metod. Rząd Rao decyduje się przyznać Fundacji Rajiva dotację w wysokości dziesięciu milionów rupii, płatną w ciągu pięciu lat, jakby w ten sposób chciał zrekompensować Soni utratę męża. Ona złości się jeszcze bardziej i wysyła do Rao list: „Dziękuję Panu osobiście i Pańskim kolegom za tę szczodłą ofertę, ale byłoby lepiej, gdyby rząd stworzył własne projekty i programy humanitarne i bezpośrednio je sfinansował, czcząc w ten sposób pamięć mojego męża” (Chatterjee Rupa, *The Sonia Mystique*, s. 141). Jest już jednak za późno, żeby powstrzymać skandal. Gdy tylko sprawa domniemanej dotacji zostaje upubliczniona, opozycja przystępuje do ataku na to, co nazywa Rome Raj, czyli „królestwem Rzymu”. „Rząd, który gotów jest okraść

biedaków, by dać dziesięć milionów rupii rodzinie Rajiva Gandhiego, jest zdolny do wszystkiego".

Wyczerpana tyłoma zabiegami i fortelami, nowym, niepotrzebnym skandalem z rozkoszą wykorzystywanym przez opozycję, presją nieliczącą się z jej cierpieniem, nieustannymi spekulacjami prasy na temat jej roli, Sonia, za radą dzieci, decyduje się wyjechać na jakiś czas do Europy i Stanów Zjednoczonych. Chce się oderwać od gwaru Indii, odpocząć psychicznie i uporządkować myśli. Bardziej niż kiedykolwiek zdecydowana jest utrzymać przy życiu dziedzictwo Rajiva, nie wchodząc w bagno polityki. Ale czy to możliwe?

Po powrocie otrzymuje zawiadomienie policji o zidentyfikowaniu sprawców zabójstwa Rajiva. Postępy w śledztwie okazały się możliwe dzięki heroicznej pracy fotografa ze Śriperumbuduru, młodzieńca imieniem Haribabu. Owej tragicznej nocy reporter z niecierpliwością czekał na przybycie gościa. Gdy tylko Rajiv wysiadł z białego ambassadora, Haribabu zaczął bombardować go swoim fleszem, aż ochroniarz Pradip Gupta dał mu w końcu do zrozumienia, żeby się nie naprzykrzał. Jednak fotograf, nie żałując filmu, kontynuował pracę. Kto wie, kiedy znowu w tej zapadłej dziurze pojawi się tak ważna osobistość jak Rajiv Gandhi? Swój upór przypłacił życiem. Ciało Haribabu roztrzaskała fala wybuchu. Pośród osmalonych płomieniami szczątków, odnalezionych w odległości dwudziestu metrów od miejsca, w którym stał, policja natrafiła na jego aparat fotograficzny. Cudem pozostał nietknięty. Po wywołaniu zachowanego filmu ukazały się ostatnie twarze, jakie Rajiv widział za życia, wśród nich twarz Dhanu, terrorystki samobójczyni.

- Niech się pani dobrze przypatrzy fotografiom - mówi do niej szef policji. - To jest zabójczym pani męża.

Soni poca się ręce, kiedy sięga po fotografię. Strasznie trudno jest zachować spokój, gdy widzi się twarz osoby, która wyrządziła tak wielką krzywdę. Wcześniej była dla niej abstrakcją, teraz to zwyczajnie wyglądająca kobieta. Jak mogła popełnić podobne barbarzyństwo? - zastanawia się Sonia. Przygląda się jej uważnie, jakby poszukiwała jakichś zewnętrznych znamion zła, jakby penetrowała umysł, analizowała duszę terrorystki, starając się odgadnąć, dlaczego zabiła. Policjant wskazuje palcem twarz mężczyzny o ciemnej karnacji, południowca, widoczną w rogu zdjęcia.

- Policyjna ekipa do zadań specjalnych zdołała go zidentyfikować. To terrorysta znany jako Shivarasam, lider LTTE (Tygrysów Wyzwolenia Tamilskiego Islamu). Proszę pani, te fotografie potwierdzają to, co wszyscy wiedzieliśmy: pani mąż padł ofiarą spisku tamilskich ekstremistów.

- Jego zabójstwo było zemstą za interwencję wojskową na wyspie, prawda?

Policjant się zgadza.

- Ekstremiści zwrócili się przeciw niemu, jak drapieżnik, który uderza łapą tego, kto przynosi mu jedzenie.

Zastanawiając się nad słowami policjanta, Sonia odkrywa, że istnieje jakaś straszna prawidłowość w śmierci członków rodziny, tak jakby byli architektami własnej destrukcji. Indira zginęła przez problem, jaki stworzył Sanjay, popierając Bhindranwalego, żeby kontrolować politycznie sikhów; Rajiv zmarł na skutek problemu stworzonego przez Indirę, która przez lata po cichu wspierała Tamilskie Tygrysy, by pozyskać głosy żyjących w Indiach Tamilów i nie stracić elektoratu. Czy Indira nie mówiła wiele razy, że najgorsze w polityce jest to, że ze strachu przed utratą poparcia nie robi się tego, co naprawdę należałoby zrobić? Oboje zginęli, płacąc za błąd popełniony w chwili słabości, braku wiary, błąd przedkładania krótkotrwałych zysków politycznych nad ogólny,

dalekosiężny interes kraju. A błędy w polityce zwykle drogo kosztują. Myśl o tym mrozi serca Soni, Priyanki i Rahula. To najbardziej kosztowna lekcja w ich życiu.

W odróżnieniu od Kongresu hinduscy fundamentaliści są bardzo zadowoleni ze swojego wyborczego wyniku. Zdają sobie sprawę, że kampania na rzecz zniszczenia meczetu w Ajodhja i zastąpienia go świątynią hinduistyczną dedykowaną bogu Ramie przyniosła konkretne zyski polityczne. Zamieszki przełożyły się na głosy wyborców. Jeśli tak, to dlaczego nie pójść dalej? W październiku 1991 roku organizacje hinduskich ekstremistów stowarzyszone z BJP załatwiają kupno terenów wokół meczetu. Zaraz potem rozpoczynają prace nad niwelacją terenu. Zaostrzają prowokację, ogłaszając, że szóstego grudnia rozpoczną budowę świątyni. Kiedy muzułmanie podnoszą głośny protest, rząd wysyła do Ajodhja delegatów mających ocenić sytuację. Ci zastają obok meczetu wielką betonową platformę wzniesioną przez ekstremistów. Jest to wyraźne pogwałcenie wprowadzonego po ostatnich zamieszkach prawa, które zabrania naruszania status quo. Delegacja rządowa wyraża zdumienie, że lokalny rząd patrzy na to przez palce, ale wyjaśnienie jest bardzo proste: szef rządu należy do BJP.

Zaniepokojony możliwym wzrostem przemocy, minister spraw wewnętrznych w New Delhi posyła do Ajodhja dwadzieścia tysięcy ludzi, którzy instalują się w koszarach oddalonych o niecałą godzinę drogi od meczetu. W odpowiedzi przybywa sto tysięcy hinduskich bojowników przebranych za postacie z mitologii, z trójzębami, łukami i strzałami. Zakładają obóz. Niektórzy przywódcy BJP powołują się na pokojowy i symboliczny charakter tego zgromadzenia.

- Mamy własne służby porządkowe! - argumentują wobec władz.

Te decydują się nie posyłać wojska rano szóstego grudnia, czyli w dniu położenia pierwszego kamienia pod nową świątynię. „Nie chcieliśmy prowokować” - powiedzą później, kiedy fatalne skutki tego błędu ujrzą światło dzienne.

Okolice meczetu chroni tylko nieliczna policja stanowa, słabo umotywowana i jeszcze gorzej wyposażona. Nie jest w stanie powstrzymać ogromnego tłumu. O jedenastej trzydzieści przed południem, gdy na wpół odziani, pomazani popiołem asceci intonują na betonowej platformie pieśni i modlitwy, niektórzy bojownicy w groźnej postawie zbliżają się do meczetu. Kiedy służby porządkowe i niektórzy policjanci próbują ich zatrzymać, zostają obrzuceni kamieniami przez wściekły tłum.

- Zbudujemy naszą świątynię właśnie tutaj! - krzyczą bojownicy z zapalem.

Pewnemu zuchwałemu młodzieńcowi udaje się ominąć policjantów. Wspina się po murach meczetu i dociera aż do jednej z trzech jego kopuł. Tłum odczytuje ten gest jako sygnał do ataku. Uzbrojona w siekiery, dzidy i kije lawina atakuje meczet. Przerażona policja ucieka.

Pół godziny później bojownicy chodzą już po dachu, wiwatując i wymachując sztandarami w kolorze szafranu. Niektórzy rzucają przywiązane do lin haki, starając się je wbić w daszki minaretów, inni atakują mury maczugami, młotkami i dzidami. O drugiej po południu wali się pierwszy minaret, a wraz z nim spada w dół z tuzin ludzi rąbiących dach siekierami. Ale nikt na to nie zwraca uwagi, życie ludzkie przestało mieć znaczenie, najważniejsze jest zniszczenie muzułmańskich symboli. Godzinę później upada następny minaret. Potem ostatni, w końcu wali się centralna kopuła. W jedno popołudnie ogarnięci furją fanatycy zamieniają w rumowisko zabytkową budowlę, która była świadkiem niezliczonych paroksyzmów historii i zdołała wytrzymać

smaganie ponad czterystu monsunów.(Guha Ramachandra, India after Gandhi, s. 630)

Większość hindusów w kraju nie godzi się na to, żeby ekstremistyczna mniejszość naginała państwo do swojej woli. Skoro siły mogące zapobiec temu świętokradztwu znajdowały się w pobliżu, dlaczego wojsko nie otrzymało rozkazu interwencji? W dniach terroru wielu hindusów tęskni za Indirą. Myślą, że gdyby ona sprawowała władzę w New Delhi, na pewno nigdy by do czegoś podobnego nie doszło. Oskarżają o tchórzostwo rząd Narasimhy Rao, który nie chce być postrzegany jako antyhinduski w kraju, w którym większość stanowią hindusi.

Podczas burzenia świątyni zginęło sześciu bojowników, a około pięćdziesięciu zostało rannych. Liderów BJP aresztuje policja i trzyma pod strażą. Wpływowi miejscowy kapłan wyraża pragnienie, by Ajodhja stała się „Watykanem hindusów”, i wzywa do działania. Pierwszym krokiem - dodaje - będzie oczyszczenie miasta z mniejszości. Bojownicy z zapalem odpowiadają na wezwanie, rozpoczynając prawdziwą orgię okrucieństwa; najpierw podpalają pojedyncze domy muzułmanów, potem już całe dzielnice. Przemoc szerzy się wzdłuż i wszerz Indii. Muzułmanie wychodzą na ulice, atakują komisariaty policji i podkładają ogień pod rządowe budynki. Podekscytowany tłum używa wszelkiego rodzaju broni: od kwasu, przez proce i sztylety, po karabiny. Prasa relacjonuje przypadki palenia żywcem dzieci, pisze o policjantach strzelających z bliska do kobiet. Widmo Podziału powraca.

W całych Indiach są tysiące zabitych. Wojsko wprowadza godzinę policyjną. Kraj żyje sparaliżowany strachem. Zostaje zawieszona komunikacja lotnicza i pociągi. Zmora gnębiąca Nehru i Gandhiego, czyli nienawiść między wspólnotami, urzeczywistnia się na oczach zdumionego narodu, który widzi,

jak przyjazne relacje łączące dotąd sąsiadów zamieniają się we wzajemną wrogość i podejrzliwość. Dzieci muzułmanów już nie bawią się z dziećmi hindusów, choć czyniły tak od ponad tysiąca lat. Ich rodzice zrywają ze sobą kontakty, nie chcą się znać. Od muzułmanów zaczyna się wymagać, aby udowodnili swoją lojalność wobec Indii. Podczas meczów krykieta z Pakistanem żąda się, żeby wywieszali flagi narodowe na fasadach swoich domów i kibicowali indyjskiej drużynie. Żyją w stałej gotowości do obrony. Za to w Kaszmirze, gdzie stanowią większość, role się odwracają. Tam muzułmańscy ekstremiści ogłaszają dżihad przeciw społeczności hinduskich panditów, z której wywodzi się rodzina Nehru. Ponad sto tysięcy ludzi zostaje zmuszonych do opuszczenia kraju. Oba procesy napędzają się wzajemnie, a ludzie nieprzyzwyczajeni do postrzegania polityki w kategoriach wiary i religii zaczynają zadawać sobie rozliczne pytania. Czy można ufać rządowi, który nie potrafi ochronić starego miejsca kultu? Czy można ufać społeczności, która w drastyczny sposób skazuje na wygnanie ludzi wyznających inną wiarę? „Podobnie jak minarety, które wieńczyły ten stary meczet - pisze «Time Magazine» - trzy filary indyjskiego państwa: jego akonfesyjny charakter, demokracja i poszanowanie prawa, są narażone na ryzyko unicestwienia przez furję religijnego nacjonalizmu”.

Przez trzy lata Sonia siedziała zamknięta w domu, skupiona na organizowaniu archiwum rodziny. Żeby napisać wzruszającą książkę o swoim mężu, musiała przejrzeć sto tysięcy fotografii, pięćset przemówień i mnóstwo notatek.(Gandhi Sonia, Rajiv). Zapamiętała czytelniczka, okres żałoby przeżyła wśród książek, stosów papierów, fotografii i dokumentów. Wydała również drugi tom korespondencji Nehru i Indiry, niezwykłych i pełnych uczucia listów. „Nie możesz się uwolnić od rodzinnej tradycji - pisał Nehru z więzienia do córki. - Ona będzie podążać za tobą i

czy tego chcesz czy nie, da ci pewną pozycję publiczną, niezależnie od twoich zasług. Taki pech, ale musisz się z tym pogodzić. Mimo wszystko nie jest źle mieć dobrą tradycję rodzinną. Pomaga nam stawić czoła przyszłości, przypomina, że musimy podtrzymywać płomień i nie możemy sami siebie poniżyć ani się upodlić". Sonia nie może zapomnieć tego listu. Napisany w innym czasie i w innych okolicznościach, cały czas do niej powraca, bo zawiera pewną nieuchronną prawdę.

Ostatnie wydarzenia napełniają ją odrazą. Boli ją, że rząd, na którego czele stoi premier z Kongresu, nie potrafił zapobiec katastrofie w Ajodhja. To podważa program i same fundamenty partii. Czy to możliwe, żeby ofiary Gandhiego, Indiry i Rajiva nie zdały się na nic? - zastanawia się zdezorientowana. Cały ten ból miałby pójść na marne?

Na spotkaniu patronów Fundacji Rajiva Gandhiego proponuje wydać ostrą deklarację potępiającą rząd.

- Fundacja jest instytucją apolityczną - zauważa jeden z patronów, stary członek Kongresu i przyjaciel Rajiva. - Nie ma potrzeby, by komentowała bieżące wydarzenia polityczne.

Sonia zaprzecza ruchem głowy.

- Rajiva i pozostałych członków rodziny identyfikuje się z laicyzmem, wyraźną wolą niemieszania polityki z religią. Mam wrażenie, że jeśli fundacja nie wyrazi swojego potępienia, sprzeniewierzymy się dziedzictwu naszej rodziny.

- Ale jeśli to zrobisz, wmieszasz się do polityki. Musisz wiedzieć, że jeśli wystąpisz przeciw działaniom Kongresu, dasz pożywkę przeciwnikom, hinduskim ekstremistom...

- Tu nie chodzi o politykę. To kwestia zasad. Nie mogę przyglądać się obojętnie temu, co się dzieje.

Nie zamierza milczeć, bez względu na to, kto jest u władzy. Powtarza, że jej autorytet ma charakter moralny, a nie polityczny. Czy w sprawie kryzysu w Ajodhja premier Rao nie zrobił tego samego błędu, jaki w swoim czasie popełnił

Sanjay z sikhami i Indira z Tamilami? Na nic się nie zdały lekcje z przeszłości? Jest oczywiste, że Rao nie posłał na czas wojska, żeby zapobiegło zniszczeniu meczetu, z obawy przed utratą hinduskiego elektoratu. Poświęcił spokój w kraju dla chwilowych wyborczych zysków. To nie jest polityka, którą Sonia gotowa byłaby wspierać, ktokolwiek by ją prowadził, nawet członek Kongresu.

Dlatego wprowadza swój pomysł w życie i pisze oświadczenie potępiające w surowych słowach ostatnie wydarzenia, za które w znacznym stopniu wini rząd Narashimy Rao. Nieuchronnie rozpętuje polityczną burzę. „Miesza się do polityki, i to przeciwko nam?” - dziwią się członkowie rządu. Zgodnie z przewidywaniami opozycja wykorzystuje walkę wewnątrz Kongresu, która dokłada się do już istniejących sporów między liderami. W partii jedni pozerają drugich jak w prawdziwym gnieździe żmij. Hinduscy ekstremiści biją brawo.

Jednak Sonia wie, co robi. Wierność pamięci męża i rodziny nie ma nic wspólnego z losem dawnych towarzyszy Rajiva w polityce, zwłaszcza gdy istnieją powody, żeby ich nie popierać. Myśli, że gdyby stała z założonymi rękami, wtedy dopiero byłaby nielojalna. Rajiv stale jest obecny w jej myślach. Wszystko, co robiła za jego życia, robiła dla niego. Śmierć niczego tu nie zmieniła. On żyje w niej. W jej racji istnienia.

Ma jeszcze inny powód, by czuć się skrzywdzoną przez rząd Rao. Nie widać szans na rozpoczęcie procesu terrorystów zatrzymanych przez policję. Na podstawie zeznań aresztowanych ustalono szczegóły planu zamachu na Rajiva. Wiadomo już, że spisek narodził się w głębi dżungli na Sri Lance, przygotowany przez szefów organizacji terrorystycznej. Posłużyli się oni zdolnymi działaczami z południa Indii, ponieważ potrzebowali miejscowych Tamilów,

których nie wyróżniałby wyspiarski akcent. Policja odkryła całą siatkę osób wspierających terrorystów, a także przejrzała strukturę ich organizacji. Ustalono, że ci, co udostępniali bezpłatnie mieszkania, wiedzieli tylko, że walczą za sprawę, ci, którzy utrzymywali bliższe kontakty z kierownictwem, zostali poinformowani, że misja zmierza do likwidacji polityka „wrogiego walce Tygrysów”, a jedynie szefowie znali jego nazwisko. Ci ostatni obawiali się, że gdyby Rajiv odzyskał władzę, ponownie wysłałby na wyspę indyjskie wojsko, co wyrządziłoby im szkody.

Sonia i dzieci są rozczarowani i zmartwieni, ponieważ cała praca policji może pójść na marne z powodu opieszałości sądu.

- Proszę, poczekaj jeszcze trochę, cierpliwości... - powtarzają jej dawni towarzysze Rajiva.

- Sprawiedliwość, jeśli działa wolno, przestaje być sprawiedliwością... Czyż wszyscy o tym nie wiemy? - odpowiada Sonia, przytaczając zdanie, które za życia Indiry słyszała tysiące razy.

- Nie jest to dobry moment na atakowanie Kongresu. Partia jest tak osłabiona, że mogłoby to przynieść fatalne skutki. Zwłaszcza jeśli ty zadasz cios.

- Ani ja, ani moje dzieci nie zamierzamy długo czekać.

Sonia, zajęta pracą w fundacji, jeździ po kraju jak nigdy do tej pory. Ponownie odkrywa wewnątrz subkontynentu, tym razem sama, z innym spojrzeniem. Bez względu na to, czy inauguruje otwarcie Lifeline Express, pociągu przekształconego w szpital objazdowy, gdzie operuje się ślepotę, czy dostarcza środki ratowania życia do rejonów targanych zamieszkami, czy propaguje program alfabetyzacji lub otwiera szpital onkologiczny w dalekim wiejskim regionie, jej obecność przyciąga coraz więcej ludzi, którzy zawsze przyjmują ją z entuzjazmem. Czuje się kochana,

dlatego coraz łatwiej nawiązuje kontakt z ludźmi - ale nie z prasą, tej nadal nie ufa. Rozmawia z kobietami, pije z nimi herbatę, obejmuje dzieci i rozdaje im prezenty. Praca sprawia jej głęboką satysfakcję. Skutecznie i z energią odnawia stare przymierze rodziny z biedotą Indii, robiąc to na swój sposób.

Jednak jeśli ktoś ma zasady, dobry kontakt z ludźmi, a także władzę, którą daje przynależność do rodziny Nehru, czy może milczeć w obliczu nieskuteczności i opieszałości władz, choćby nawet wywodzących się z Kongresu? Czy milczenie nie jest równoznaczne z aprobatą działań rządu, który postawił państwo na skraju przepaści?

Cztery lata po śmierci Rajiva, dwudziestego sierpnia 1995 roku, w dniu jego urodzin, Sonia, zmęczona czekaniem i zmartwiona narastającymi konfliktami między wspólnotami religijnymi, przystępuje do walki. Robi to w Amethi. Dziesięć tysięcy rozemocjonowanych osób krzyczy: „Soniu, uratuj kraj!”, kiedy ona powoli wchodzi na podium, z głową nakrytą rąbkiem sari. Ręce jej drżą ze zdenerwowania, wydaje się niepewna, w przeciwieństwie do Priyanki, która swobodnie pozdrawia tłum.

- Mamo, popatrz na tych ludzi! Nie sądzisz, że powinnaś ich pozdrowić?

Sonia słyszy córkę i podnosi rękę. Ogłuszająca odpowiedź tłumowi dodaje jej odwagi. Stojąc u boku Priyanki, daje upust swojej złości. „Przez długie cztery lata rząd nie był w stanie doprowadzić do aresztowania i osądzenia zabójców mego męża - oświadcza w niemal doskonałym hindi. - Jeśli postępowanie dotyczące śmierci byłego premiera trwa tyle czasu, to co się dzieje ze zwykłym obywatelem mającym sprawę w sądzie? Jestem pewna, że rozumiecie, co czuję”. Przerywa jej huragan okrzyków, lecz Sonia kontynuuje: „Dziś ideały Nehru, Indiry i Rajiva są zagrożone; wszędzie powstają podziały. Nastał czas, aby przywrócić ich zasady, i ja razem z

wami tego dokonam". „Soniu, uratuj kraj!" - odpowiadają ludzie, czując sympatię do tej godnej i odważnej wdowy. Podziwiają ją za ofiarność, lojalność wobec rodziny i poświęcenie.

Kiedy już zamierza wsiąść do samochodu, podchodzi do niej dziennikarka.

- Czy pani przemówienie oznacza powrót dynastii Gandhich na indyjską scenę polityczną? - pyta.

- Nie - odpowiada Sonia. - Nie mam ambicji politycznych. Przemawiam zawsze jako przewodnicząca Fundacji Rajiva Gandhiego.

Ale całe Indie usłyszały jej przesłanie. Następnego dnia fotografia Soni z uniesioną ręką i towarzyszących jej dzieci widnieje na okładkach wszystkich krajowych gazet. W oczach milionów Hindusów przestała być panią domu żyjącą w cieniu męża i teściowej. Staje się postacią publiczną, odpowiedzialną za rodzinną spuściznę.

Z Sonią dzieje się to samo, co działo się z Rajivem i Indirą. Kontakt z ludźmi dodaje jej mocy i energii, pozwala się wydobyć z egzystencjalnego smutku, każe zapomnieć o sprzeczności, jaką niesie ze sobą kontynuowanie dziedzictwa rodziny polityków przy jednoczesnej niechęci do polityki. Wyniki wyborów w 1996 roku absolutnie jej nie zaskakują. Jest dobrze zorientowana, wie, że partia nie osiągnie dwustu mandatów. Nie zdobywa jednak nawet stu czterdziestu. Historyczna klęska. Rao rozwiązuje gabinet i podaje się do dymisji jako premier i przywódca partii.

Kilka dni później odwiedza ją grupa dysydentów z Kongresu, którzy proszą o radę, kogo wybrać na przewodniczącego. Jednak Sonia odmawia im pomocy. Tym razem, świadoma swojej władzy - the Sonia factor - nawet nie wspomina, kogo widziałaby w roli następcy. Nie życzy sobie, by nią manipulowano.

W wyborach odnosi zwycięstwo Maneka, która ponownie zostaje deputowaną do parlamentu. Tracąca i zdobywająca mandat bratowa zyskała sobie opinię obrońcy zwierząt. Znowu zostaje mianowana ministrem środowiska, ale radość trwa krótko. Pod wpływem nacisków jej przeciwników w koalicji nowy premier dymisjonuje ją kilka dni później. Na prawdziwą ironię losu zakrawa fakt, że indyjska synowa Indiry, wygadany polityk, walczy zaciekle o najmniejszy skrawek władzy, natomiast jej „zagraniczna” synowa, apolityczna i nieśmiała, ciągle musi odrzucać propozycje przewodzenia wielkiej partii.

Liderzy Kongresu znowu nalegają, świadomi, że obecność wdowy jest najważniejsza dla przetrwania partii. Tłumaczą jej, że sytuacja stała się katastrofalna, partia się rozpada, kraj pogrąża się w otchłani wojen religijnych. Nie ma dnia, żeby ktoś nie przychodził i tego nie powtarzał. Ukryte walki w łonie najważniejszej politycznej organizacji świata pozbawiają ją najlepszych członków, którzy zaczynają masowo odchodzić. Nowy lider wybrany po gorzkich sporach nie wzbudza szacunku - popołudnia spędza w domu, leży na podłodze, głowę trzyma na poduszce, popija whisky, bez przerwy pali i rozmawia o polityce, seksie i plotkach. Sonia wie, że ten człowiek nie jest żadnym rozwiązaniem, wręcz przeciwnie. Mimo ciągłych nacisków nie zmienia jednak decyzji. „A Priyanka?” - pytają, jakby było im obojętne, czy zdobędą matkę, czy córkę. Ktokolwiek, byle Gandhi - to jedyne, co może uratować organizację. Tylko Gandhi może połączyć różne tendencje, rozmaite ego. Tylko Gandhi może tchnąć energię w nadwyreżone morale członków partii. Niegdyś wszechpotężny, istniejący od stu dwunastu lat Kongres zmierza ku upadkowi. „Miliony członków partii są gotowe oddać za ciebie życie. Jak możesz pozwolić na to, żeby Kongres zginął na twoich oczach?” - powtarzają. Mówią

to tyle razy, że w końcu Sonię zaczyna gnębić niejasne poczucie winy, jakby rodzaj bólu. Czy mogę pozostać niemym obserwatorem rozpadu partii, za którą Rajiv oddał życie? To ją niepokoi. Nagle zaczyna jej brakować gruntu pod nogami. Męczy ją presja, której od śmierci Rajiva jest nieustannie poddawana, nużą ją także pochlebstwa. Przede wszystkim jednak sama się zadręcza. Jeśli rozpadnie się Kongres, skończy się dziedzictwo rodziny. Myśl, że ofiara Rajiva pójdzie na marne, pozbawia ją snu. Priyanka podziela jej strapienie.

- Trzeba coś postanowić - mówi. - Jeśli nic nie zrobimy, BJP zniszczy wszystko, co osiągnęła nasza rodzina, poczynając od dziadka, a kończąc na tacie.

Gdy odwiedza ją serdeczny przyjaciel Amitabh Bach - chan, u którego mieszkała, gdy po raz pierwszy przyleciała do New Delhi, obecnie najpopularniejszy aktor indyjskiego kina, wyjawia mu swoje niepokoje.

- Zadaję sobie pytanie, czy zawodząc Kongres, nie sprawiam zawodu Nehru, Indirze i Rajivowi.

- Nie łącz ich z obecnymi liderami - odpowiada Amitabh.
- Ci są jak stado sępów. Chcą wykorzystać magię nazwiska waszej rodziny do własnych celów politycznych. Nie daj się oszukać, nie ustępuj.

- Jasne, masz rację.

Ale Priyanka nie zgadza się z Amitabhem

- Czyli - mówi do matki, kiedy znowu zostają same - pozwolimy na to, żeby kraj się zawalił, i nie zrobimy nic?

Sonia odpowiada jej pytaniem:

- Czy nie sądzisz, że rodzina zrobiła dla kraju wystarczająco dużo?

Jednak dręczące wątpliwości zacieśniają swój posępny uścisk, jakby odgadując, że jej opór właśnie ustępuje przed tym co nieuchronne.

Kilka miesięcy później odwiedza ją stary przyjaciel Rajiva i ponownie zasiewa w jej głowie ziarno wątpliwości. To jeden z najlepiej ocenianych liderów Kongresu, człowiek dojrzały, Digvijay Singh. Rajiv zawsze liczył się z jego opinią.

- Zmierzamy prostą drogą ku nieszczęściu - mówi niespodziewanie. - Z tym nowym przewodniczącym nie zdołamy zdobyć w przyszłych wyborach nawet stu mandatów. Wiesz, co to oznacza?

Sonia robi niezadowoloną minę. Mężczyzna kontynuuje:

- Rozpad partii, koniec Kongresu. I być może Indii jako państwa.

Zapada długa, ciężka cisza.

- Znam stanowisko twoje i twoich dzieci, jednak ze względu na powagę sytuacji przyszedłem w imieniu kolegów Rajiva prosić cię, byś się zgodziła. Wiem, jaki będzie efekt. Wszyscy wiemy, co myślisz o polityce. Wiem również, że mi odmówisz, ale uchybiłbym mojej powinności, gdybym nie nalegał. I nie zrobiłbym tego, gdybym widział lepsze rozwiązanie.

- Zawsze myślałam, że masz w sobie wiele energii i mógłbyś być doskonałym przewodniczącym partii - mówi Sonia.

- Nie mam wystarczającego poparcia. Może w przyszłości je zdobędę, ale nie teraz. W tej chwili najlepszym rozwiązaniem jesteś ty albo twoje dzieci.

- Mówisz mi, że jeśli nie wkroczę do polityki, to okażę się nieodpowiedzialna?

Digvijay Singh nie ma odwagi odpowiedzieć.

- Chcę ci pokazać także inny aspekt tej sprawy - kontynuuje. - Przypuśćmy, że Kongres upadnie... Co się stanie z waszym bezpieczeństwem? Bez względu na to, czy jesteście, czy nie jesteście politykami, wielu ludzi traktuje was jako zagrożenie przez to, co reprezentujecie. Ci, którzy

sprzeciwiają się fundamentalnym zasadom Kongresu, są także przeciw wam. A na nieszczęście jest ich legion, z dnia na dzień coraz więcej. Choćbyś nigdy nie chciała zajmować się polityką, fakt, że nadal mieszkasz w tym domu, sam w sobie jest aktem politycznym.

Sonia nie odpowiada. Ma mętlik w głowie.

Digvijay Singh mówi dalej:

- Jeżeli pozbawili ochrony Rajiva, pozbawią jej i was, bez najmniejszych wątpliwości. Jeśli Kongres zniknie jako siła polityczna, kto pokryje koszty ogromnej ochrony, jakiej ty i twoje dzieci potrzebujecie?

Sonia drży, wie, że jej rozmówca ma rację. Czy odważą się pozostawić ich bez ochrony? Wszystko jest możliwe w tym brudnym świecie polityki. Są wrogowie zewnętrzni, ale także wewnątrz partii, ci sami, którzy cofnęli ochronę Rajiwowi. Każdy miał jakiś powód. Jasne, że jeśli Kongres upadnie, oni staną się bezbronni. A jeżeli ona się zgodzi i wkroczy do polityki, aby ratować partię, czy nie będzie to kuszenie losu? Czy nie narazi się jeszcze bardziej na kulę jakiegoś szaleńca? Nie ma dobrego wyjścia z tego labiryntu życia. Wszystko w końcu miesza się jej w głowie: poczucie odpowiedzialności i strach, nienawiść do polityki i potrzeba bezpieczeństwa. Po raz pierwszy Sonia zdaje sobie sprawę, że nie tylko władza jej potrzebuje - rodzina również potrzebuje ochrony władzy. Jeśli się nie zgodzi, to bez wątpienia spuścizna Gandhich przestanie istnieć, ofiara Indiry i Rajiva popadnie w zapomnienie i być może oni - ona, Priyanka i Rahul - także przestaną istnieć.

Podczas gdy Sonia waha się, targana mnóstwem wątpliwości, indyjska polityka coraz bardziej się rozpada. Idea „narodu” stworzona przez Kongres w czasach walk o niepodległość - propagująca państwo pluralistyczne, laickie i różnorodne (w odróżnieniu od Pakistanu, gdzie religia stała się czynnikiem jednoczącym) - traci na znaczeniu w alarmującym tempie. Ci, przeciw którym walczyli Mahatma Gandhi, Nehru, Indira i Rajiv, teraz zdobywają coraz więcej zwolenników, głosząc ideę hinduistycznych Indii niczym niezamierzone echo Pakistanu. Co się stanie, gdy dojdą do władzy? Czy dojdzie do czystek etnicznych? Prócz tego trwa godny pożałowania spektakl korupcji. Setka obecnych deputowanych w New Delhi ma „kryminalną przeszłość”, co oznacza, że oskarżono ich o rozmaite przestępstwa, ale formalnie nie skazano. Co by sobie pomyślał Nehru, gdyby ożył! Gdy tylko parlamentarzyści zostają wybrani, praktycznie nie ma możliwości ich skazania, dlatego polityka zaczyna przyciągać wszelkiego rodzaju szumowiny.

Korupcja osiąga groteskowe rozmiary. Pewna wpływowa liderka największej partii niedotykalnych, kobieta w średnim wieku imieniem Mayawati, która swoje błyskawiczne wzbogacenie tłumaczyła „niezwykłą szczodrością” zwolenników, została przyłapana in flagranti na udzielaniu zaprzyjaźnionym przedsiębiorcom budowlanym licencji na zbudowanie ogromnego parku tematycznego w okolicach Tadź Mahal. Skandal zmusił ją do porzucenia projektu, ale nie pozbawił głosów. Prasa opublikowała jej fotografie, jak przyjmuje rozmówców, siedząc na tronie z rzeźbionego drewna pokrytym złotą blachą w swoim pałacu w Lakhnau. Urodziny obchodziła z wielkim przepychem, korzystając z publicznych środków i pomocy aparatu państwowego. I nie ona jedna.

Wydaje się, że kraj, zamiast się rozwijać, cofa się do czasów skorumpowanych maharadzów. Wraca do starych grzechów z okresu, gdy składał się z niewielkich królestw, walczących między sobą i osłabiających się nawzajem, co ułatwiło inwazję Mogołów i Brytyjczyków. Jeśli w najbliższych wyborach Kongres zostanie starty na proch, upadnie jedyna wielka partia narodowa. Zostaną tylko „królestwa taifa”, walczące nie o idee, ale o przychyłność własnego elektoratu, coraz bardziej podzielonego na kasty i regionalne wspólnoty. Polityka się atomizuje. Dokąd doprowadzą te podziały? Do rozpadu Indii? Analitycy tego nie wykluczają. Niektórzy mówią, że Indie to rodzina Nehru i że bez niej nie są nawet państwem.

Podczas jednej z bezsennych nocy Sonia znowu czuje ucisk w piersi. Czasem atak astmy wywołuje u niej zimno, niekiedy stres, innym znowu razem objawy pojawiają się bez wyraźnej przyczyny. Kurczą się oskrzela, utrudniając przepływ powietrza do płuc. Uczucie duszenia, kiedy nie można zaczerpnąć powietrza, jest bardzo nieprzyjemne. Chronicznej astmy nie da się wyleczyć, trzeba nauczyć się z nią żyć, jak to zrobiła Sonia. Przyznaje, że bardzo pomaga jej w tym joga, która uczy oddychania. Kiedy tej nocy zauważyła pierwsze symptomy, zaczyna szukać inhalatora i swoich lekarstw. Nie znajduje ich jednak tam gdzie zwykle, ani w szafce w łazience, ani na nocnym stoliku. „Pewno zostawiłam w gabinecie” - mówi do siebie, opatula się w szlafrok i wychodzi z pokoju.

Rzeczywiście inhalator stoi na stole w gabinecie. Sonia siada, wkłada go do ust, naciska dokładnie w chwili wdechu i aplikuje spore dawki leku. Natychmiast czuje ulgę. Już dobrze, już może oddychać. Uspokaja się. W domu panuje cisza, słychać tylko wiatr w konarach drzew ogrodu i jej głębokie wdechy i wydechy. Pokój nadal pachnie jak za życia

Rajiva. Lubił zapalać kilka kadzidełek, kiedy pracował. Mówił, że to pomaga mu się skoncentrować.

Nagle Sonia podnosi wzrok i natrafia na portrety Indiry, Nehru i Rajiva. „Dlaczego wpatrujecie się we mnie tak uporczywie? Z tym enigmatycznym uśmiechem?” Tej nocy w ciemności wydaje jej się, że oni żyją. Wkłada inhalator do torebki i przed zgaszeniem światła znowu spogląda na fotografię. Nie może wytrzymać tych spojrzeń i zawstydzona spuszcza wzrok. Gasi lampę i wraca do pokoju, żeby się położyć. Nie może jednak zasnąć, a nie chce brać pastylki na sen, żeby się nie przyzwycząić. Kręci się na łóżku, zaplątuje w prześcieradło, zapala światło, stara się czytać, zmęczona znowu gasi lampkę. Nie może przestać myśleć o fotografiach z gabinetu. „Zawodzę ich - mówi sama do siebie - Zdradzam ich. Boże mój, co robić?”

Musi porozmawiać z dziećmi. Rahul właśnie przyjechał z Londynu, gdzie po skończeniu studiów znalazł pracę w pewnej instytucji finansowej. Priyanka ma narzeczonego, chłopca, którego zna od dziecka. Następnego dnia podczas śniadania Sonia opowiada im, jakie wrażenie wywarły na niej portrety w gabinecie.

- Za każdym razem, gdy przed nimi przechodzę, czuję, że na mnie patrzą, jakby czegoś ode mnie oczekiwali...

- Kiedy właśnie oczekują, mam - przyszpila ją Priyanka.
- Ze mną dzieje się to samo, wstydzę się, że nie robię nic, kiedy wszystko się wali. Co powiedziałyby babcia? Jestem pewna, że nie byłaby zadowolona... Musimy zapobiec klęsce partii.

- Ale jak to zrobić? - pyta brat.

- W najbliższych wyborach weźmiemy udział w kampanii Kongresu - odpowiada Priyanka.

Rahul wzrusza ramionami.

- Nie będziemy się pakować w kłopoty.

- Uważam, że trzeba to dobrze przemyśleć - dodaje Priyanka, która twardo stąpa po ziemi. - Wiesz, mamó, doszłam do tych samych wniosków co ty, choć inną drogą. Nie możemy pozostawać widzami. To jest... to jest niemoralne!

Rozważają powoli wady i zalety decyzji, która niewątpliwie wszystko zmieni, ale która w końcu ukazuje swoją głęboką logikę.

- Zdarzają się sytuacje, w których trzeba odłożyć na bok własne preferencje, nie sądzicie? - pyta Sonia z poważnym wyrazem twarzy.

Dzieci nie odpowiadają.

- Jestem gotowa wziąć udział w kampanii Kongresu - kontynuuje - i postarać się go uratować, ale nie chcę obejmować żadnego stanowiska w rządzie. Pomożecie mi?

- Jasne, że tak - mówi córka.

- Przypominasz sobie, co napisał pradziadek w liście do babci Indiry? „Nigdy nie zdołasz się uwolnić od rodzinnej tradycji”. Miał rację! Uważam, że my również nie zdołamy. To jest nasza druga skóra, czy nam się to podoba, czy nie.

Rahul z trudem akceptuje decyzję matki, ponieważ nie wydaje się z niej zadowolona. Wie, że wchodzi na ścieżkę, która ją w głębi duszy odpycha. Wie, że robi tak dlatego, że odziedziczyła to samo poczucie odpowiedzialności, jakie mieli Indira i Rajiv. W końcu jednak chłopak pojmuję, że nie ma innego wyjścia.

- Mamó, zostawię pracę i będę ci towarzyszył na wszystkich wiecach - stara się ją zachęcić.

Sonia lubi sama podawać herbatę swoim gościom. Tym razem nie jest to zwykła wizyta. Zaprosiła lidera Kongresu, starego przyjaciela rodziny Digvijaya Singha, który kilka miesięcy wcześniej powiedział jej, że Kongres zmierza prostą drogą ku przepaści. Jest to wysoki, przystojny mężczyzna,

którego naturalną elegancję podkreśla biały strój: nosi kurta i spodnie w typie piżamy. Przybywa bezzwłocznie, mimo że musi spędzić noc w pociągu. Ale jeśli wzywa Sonia, trzeba to potraktować poważnie, na ogół bowiem nigdy tego nie robi. Włoszka podaje mu filiżankę herbaty o jaśminowym zapachu. Zanim siada, rzuca szybkie spojrzenie na wiszące na ścianie portrety, jakby prosiła je o aprobatę.

- Co by się stało, gdybym wzięła udział w kampanii Kongresu? - pyta nagle.

Digvijay Singh parzy sobie usta i się krztusi. Czy to prawda, co słyszy? Nie miał pojęcia, czego ma oczekiwać, dlatego pytanie tak go zaskakuje.

Zapada cisza, ciężka cisza, którą Sonia wykorzystuje na podanie mu serwetki z wyhaftowaną literą „G”.

- Soniu - odpowiada, osuszając kąciki ust - przywróciłoby to zapal w naszych szeregach. Zwyciężylibyśmy przy urnach.

Sonia jest poważna i zamyślona. Jemu zapalają się oczy.

- Naprawdę tak myślisz?

- Jestem przekonany.

- Dla mnie to jest bardzo trudna decyzja.

- Rozumiem to doskonale. Sonia kontynuuje:

- Nie jestem urodzonym liderem, przecież wiesz, nie jest to dla mnie coś naturalnego...

- Nie uważam, żeby zdolności przywódcze były cechą wrodzoną. Pomyśl o Indirze. Była nieśmiała i na początku przemawiała fatalnie. Albo twój mąż. Wszystkiego można się nauczyć. A w polityce człowiek uczy się szybciej.

- Sądzisz, że tego można się nauczyć?

- Jestem pewien. Popatrz, ilu ludzi przychodzi za każdym razem, żeby cię zobaczyć. Sprawiają wrażenie, jakby spijali słowa z twoich ust... Poza tym możemy cię przygotować. Masz przewagę: dysponujesz wielkim zasobem talentów, jakie istnieją w Kongresie, chyba że partia rozpadnie się tak szybko,

że wszyscy odejdą jeszcze przed wyborami. Ale wciąż mamy najlepszych specjalistów od gospodarki, administracji, nauki i techniki.

Sonia patrzy na niego, ale się nie odzywa. Ma nieprzenikniony wyraz twarzy, jakby poddała się nieuchronnemu losowi.

Wkrótce po tym spotkaniu Sonia zaczyna działać. Na swój sposób, dyskretnie. Idzie do siedziby Kongresu przy Akbar Road i wypełnia formularz podania o przyjęcie do partii. Z legitymacją w ręku, łączącą ją jeszcze bardziej z Nehru, Gandhim i tymi wszystkimi, którzy walczyli o niepodległe, wolne Indie, wraca do domu. Wchodzi do gabinetu i zanim włoży legitymację do szuflady, rzuca spojrzenie na portrety. Nieśmiało się uśmiecha, jakby już nie czuła się zawstydzona, patrząc im w twarz.

Dwudziestego ósmego grudnia 1997 roku Sonia ogłasza publicznie swoją decyzję o wkroczeniu do polityki i zamiarze kandydowania w najbliższych wyborach. Wiadomość obiega świat. Nikt nie rozumie powodów tego posunięcia, ani matka, ani siostry, ani przyjaciele, nikt. Przywódcy partii witają ją uroczyście, choć niektórzy z obawą, wiedzą bowiem, że ta „nowicjuszka” będzie w końcu nimi rządzić. Złośliwcy plują jadem: Sonia miesza się do polityki, aby wyślizgać się z afery Bofors - sugerują jedni. Chce zostać premierem - mówią drudzy. Wreszcie pokazuje swoje prawdziwe oblicze - uważają kolejni. Maneka Gandhi nie traci sposobności, by wtrącić swoje trzy grosze. „Jej powitalny gest przypomina ruch samochodowych wycieraczek” - mówi, czyniąc aluzję do pozdrowień Soni skierowanych do pełnych entuzjazmu zwolenników stojących przed wyjściem z siedziby partii. I w wywiadzie dla tygodnika „Panchjanya” dodaje: „Sonia nie zostanie wybrana, ponieważ jest cudzoziemką... Jedyne, czego pragnie, to zostać któregoś dnia premierem, żeby wieść

beztroskie życie. To stanowisko traktuje jak zabawkę, nie jest świadoma trudności, jakie ono ze sobą niesie..." (Cyt. w: „The Indian Express”, 14 maja 1999)

Sonia odmawia jakiegokolwiek komentarza na temat bratowej. Zamierza uodpornić się na krytykę i drwiny, od kogokolwiek by pochodziły. Wie, że będzie publicznie oceniana jeszcze częściej niż dawniej. To część życia polityka. Dlatego chce się jak najlepiej przygotować. Świadoma własnych ograniczeń, otacza się najlepszymi specjalistami, współpracuje z historykiem, socjologiem, ekspertem od prawa konstytucyjnego, byłym szefem służb specjalnych, specjalistą w dziedzinie nauk politycznych... Uważają ją za „pilną uczennicę”, która szybko opanowuje parlamentarne zasady i zwyczaje. Zdarza jej się jednak popełniać błędy. Kiedy przedstawiono jej wpływowego lidera kasty ze stanu Uttar Pradeś, człowieka błyskotliwego, o analitycznym umyśle, zdolnego wytłumaczyć jej delikatną równowagę między kastami, odpowiada mu szczerze: „W Kongresie pragnę zminimalizować znaczenie kast”. Mężczyzna wstaje gwałtownie i mówi, że wróci wtedy, kiedy Sonia uświadomi sobie wagę tego tematu. Uroki profesji.

Moment wejścia Soni na scenę polityczną zbiega się w czasie ze ślubem jej córki. Priyanka wychodzi za mąż za projektanta biżuterii, syna magnata mosiądzu z miasta w pobliżu New Delhi. Soni niezbyt podoba się ten związek: narzeczony nie skończył studiów, a co gorsza - niektórzy członkowie jego rodziny są powiązani z organizacjami hinduskich ekstremistów stowarzyszonych z BJP. Ale dla Priyanki to nie ma znaczenia. Jest zakochana w chłopaku, a nie w jego rodzinie, myśli jak Europejka, nie jak Hinduska. Podjęła decyzję i działa dalej.

- Priyanka jest bardzo wierna rodzinnej tradycji - mówi z kpinią Rahul do matki. - Poślubia człowieka, z którym nie ma nic wspólnego. Czy to źle?

- To jest właśnie problem.

- Problem? Co miał wspólnego pradziadek Nehru z prababcią? Nic. Babcia Indira z dziadkiem? Także nic. Wujek Sanjay z Maneką? A ty z tatą...? Sama mówiłaś, że byliście jak dwa różne światy. Czasem to się sprawdza, czasem nie, nigdy nie wiadomo.

- Jeśli twoja siostra i ty spiskujecie przeciw mnie, nie zamierzam otwierać kolejnego frontu - odpowiada Sonia, która znowu zaczyna się uśmiechać.

Na ślub Priyanki, córki, wnuczki i prawnuczki trzech premierów Indii, przybywają największe znakomitości. Sonia, ubrana bardzo elegancko w jedwabne bordowo - złote sari, wita prezydenta, premiera i partyjnych dygnitarzy. Wszyscy oczekują na wydarzenie uznane przez prasę za „ślub roku”. Nigdy wcześniej „rodzina panująca” nie była tematem tak wielu komentarzy i plotek. Odkąd Sonia ogłosiła swoje wejście do świata polityki, jedni przepowiadają jej nieuchronną klęskę, inni okazują satysfakcję, że nareszcie znalazł się lider zdolny przywrócić Kongres do życia. Mówi się, że matka zdecydowała się poświęcić dla dzieci, prawdziwych naturalnych spadkobierców dynastii. Wśród gości jest pewien przystojny, wysoki chłopak. Priyanka nalegała, żeby go zaprosić. To jej stryjeczny brat, Feroz Varun Gandhi, syn Maneki, który studiuje w London School of Economics. Przyszedł sam, bez matki. Kto wie, może kiedyś przyszłość będzie należała do Priyanki, Rahula czy Feroza... Przywódcy partyjni pokładają w nich absolutną wiarę. Uznają ich za urodzonych liderów, charyzmatycznych i zdolnych do decydowania o losie milionów. Teraz, gdy Sonia uczyniła pierwszy krok, są przekonani, że przyszłość Kongresu i

narodu spocznie kiedyś na tej trójce. Podziwiają Priyankę, promienną, w pięknym bawełnianym sari, które kiedyś jej dziadek utkał w więzieniu. Tym samym, które Indira nosiła na swoim ślubie, a potem Sonia na swoim. Symboliczne szkarłatne sari.

Symboliczny jest także fakt, że Sonia rozpoczyna swoją kampanię tam, gdzie jej mąż ją zakończył, w mieście Śriperumbudur. Musi opanować emocje, będąc w miejscu, które Rajiv widział jako ostatnie, a także swoją nieśmiałość, zdenerwowanie i ataki astmy, gdy przemawia publicznie. „Stoję tu przed wami, otoczona służbami bezpieczeństwa, w tym samym miejscu, w którym Rajiv stał sam, bez ochrony, przed swoimi zabójcami. Jego głos zamilkł, ale przesłanie i idee, których bronił, są teraz bardziej żywe niż kiedykolwiek”. Już nie czyni, jak wcześniej, aluzji do opieszałości wymiaru sprawiedliwości. W końcu w styczniu 1998 roku sędzia ogłosił wyrok, skazując oskarżonych o zabójstwo jej męża na karę śmierci. Ci złożyli apelację do Sądu Najwyższego, ale szansa na zmianę wyroku jest minimalna. Nie pociesza to Soni, która zawsze opowiadała się przeciw karze śmierci. Wolałaby, żeby skazano ich na dożywotnie więzienie.

Odnosząc się do swojego cudzoziemskiego pochodzenia, słabego punktu, który skwapliwie wykorzystują jej adwersarze, dodaje: „Stałam się częścią Indii przed trzydziestu laty, kiedy weszłam do rodziny Indiry Gandhi jako żona jej starszego syna. Poprzez jego serce nauczyłam się kochać i rozumieć Indie”. Proste zdania, wypowiedziane naturalnym, przyjemnym głosem, przerywane delikatnym uśmiechem. Powtarza je przez cały miesiąc, pokonując trzydzieści tysięcy kilometrów - jedna z uciążliwości, jakim wcześniej poddawali się członkowie jej rodziny. W swoich przemówieniach napisanych alfabetem hindi mówi także o poświęceniu, stabilności, a przede wszystkim o świeckości państwa.

Tłumaczy, że uczestniczy w kampanii w reakcji na niepokój, jaki budzą w niej politycy proszący o głosy w imię religii. „Musicie wybrać między siłami harmonii i postępu a siłami, które starają się wykorzystywać istniejące między nami różnice dla zdobycia władzy”. Nie pomija żadnej okazji, by przeproszać za błędy przeszłości, jak operacja „Niebieska Gwiazda” w Pendżabie czy zniszczenie meczetu w Ajodhja. Z całą pokorą bierze na siebie winy innych. Mówi przepojona poczuciem misji. W jej wiecach uczestniczą tłumy, nie tylko z powodu ogromnej ciekawości, jaką wzbudza, ale też dlatego, że potrafi łączyć emocje z dobitnym dyskursem politycznym. Jej kampania wnosi nutę świeżości. Bardziej sceptyczni liderzy są zaskoczeni skutecznością Soni, która potrafi przyciągnąć na mityngi rzesze ludzi i łączyć elektorat. Pod koniec kampanii „Times of India” daje na pierwszej stronie tytuł: Od nieśmiałej cesarzowej po cierpiącą żonę i potężnego polityka: przemiana Soni Gandhi wydaje się kompletna.

Sonia wygrywa, zdobywa dla Kongresu sto czterdzieści sześć miejsc w parlamencie i przyczynia się do znacznego wzrostu frekwencji wyborczej. Udaje jej się powstrzymać katastrofę. Zostaje uznana za wybawcę partii. Aby zapobiec w przyszłości rozproszeniu się Kongresu w wewnętrznych kłótniach, liderzy postanawiają wybrać ją na przewodniczącą partii. Sonia Gandhi staje się piątym członkiem domu Motilala Nehru pełniącym tę funkcję. Ach, gdyby Stefano Maino wstał z grobu! Jak daleko zostawiła za sobą góry Asiago, wieczory przy kominku z siostrami czekającymi na kolacyjną zuppa, msze niedzielne w kościele w Lusianie, zapach śniegu u schyłku jesieni, dziecięce marzenia o przeprowadzce do miasta, żeby nie doić na wsi krów... A wszystko to z powodu wymiany spojrzeń w pewnej restauracji w Cambridge.

Jedenaście miesięcy po ślubie Priyanka napotyka w gazecie informację o zabójcach swojego ojca. Jedna z

oskarżonych terrorystek, Nalini Murugan, ma zostać stracona na szubienicy razem z trzema współnikami, wśród których jest jej mąż. Poślubiła go w więzieniu w Welurze (mieście leżącym na południu), gdzie urodziła córeczkę. Każdego popołudnia mała w towarzystwie babci przychodzi na pół godziny, żeby odwiedzić matkę w więzieniu. Priyanka, bardzo zmartwiona tą informacją, rozmawia o tym z Sonią i z bratem. Czy naprawdę ci ludzie muszą umrzeć? Czy nie dość już tragedii? Czy dziewczynka musi zostać sierotą? Sonia i Rahul również są poruszeni. Żadne z tej trójki nie jest zwolennikiem kary śmierci. Osądzenie zbrodni pozwoliło im w pewnym stopniu pogodzić się z tragedią. Jednak wydaje im się niesprawiedliwe, by z powodu zbrodni rodziców państwo na mocy prawa uczyniło z dziewczynki sierotę.

- Nie przyniesie to nam żadnego pocieszenia - mówi Sonia.

- Wręcz przeciwnie - dodaje Rahul. - Co możemy zrobić?

- Poprośmy o łaskę dla matki - sugeruje Priyanka - i postarajmy się, żeby egzekucja pozostałych osób została odłożona na czas nieokreślony.

Kiedy prezydent przyjmuje Sonię na specjalnej audiencji w swojej rezydencji Rastrapati Bhawan, dawnym pałacu wicekróla, jest zdumiony tym, co słyszy, zwłaszcza po wszystkich protestach Soni przeciw opieszałości wymiaru sprawiedliwości. „Moje dzieci zostały osierocone przez ojca i to wystarczy - mówi mu Sonia. - Nie chcemy, żeby żadne inne dziecko musiało zostać sierotą. Nie chcemy, by tragedia rodziła kolejną tragedię. Proszę zrobić co w pańskiej mocy i uzyskać ułaskawienie dla Nalini Murugan, żeby mogła wychować swoją córeczkę”.

Gdy strażnicy przychodzą do celi po młodą terrorystkę, ta jest przekonana, że będzie to jej ostatnia droga. Jednak oni prowadzą ją przed oblicze sądu w Welurze, który ogłasza, że

karę śmierci zamienia się jej na dożywotnie więzienie. „Oby to czemuś posłużyło, choćby zwróceniu uwagi na bezsensowność ataków terrorystycznych, które prowadzą jedynie do zniszczenia i śmierci” - oświadcza Rahul prasie. Później, dzięki mediacji Soni, Nalini uzyskuje wizę dla córki i jej dziadków ze strony ojca na wyjazd do Australii, gdzie przyjmuje ich tamtejsza tamilska emigracja i gdzie dziewczynka będzie mogła się uczyć w nowym środowisku, nienapiętnowana zbrodnią swoich rodziców.

Jakkolwiek Sonia tchnęła nadzieję w szeregi największej partii na świecie, nie zdołała przywrócić jej do władzy. Nie powstrzymała wzrostu potęgi hinduistów z BJP, którzy zdominowali koalicję tworzącą nowy rząd. Czy nadal będą oni podsycać rywalizację między społecznościami i popychać kraj ku przepaści? Wprawdzie nowy premier, Atal Bihari Vajpayee, jest człowiekiem wykształconym, umiarkowanym i szanowanym w wielu kręgach politycznych, ale czy można mieć pewność, że uda mu się poskromić ekstremistów? Ludzie w całym kraju zadają sobie te pytania, czytając z niepokojem program, którego fundamentalistyczne hasła wprawiają w drżenie: hinduskie Indie, reforma konstytucji, budowa świątyni Ramy w Ajodhja, etc.

Wielu obdarzyło Sonię zaufaniem jako przewodniczącą Kongresu i liderkę opozycji. Daleko we Włoszech krewni, przyjaciele i sąsiedzi tłoczą się przed telewizorami, aby śledzić niezwykłą historię swojej rodaczki. Oto Kopciuszek z Orbassano ustąpił przed błaganiami dworzan i zaczął walczyć o władzę w królestwie... Ale czy nie przyprawi jej to o zawrót głowy? Czy się nie lęka, że ją zabiją? Nie boi się o swoje dzieci? Dlaczego nie rzuci tego wszystkiego i nie powróci? Mogłaby przecież założyć sklep z dekoracjami i wybrać życie w spokoju? Nie rozumieją, co dzieje się w głowie tej kobiety... która zakochała się w księciu i może zostać królową.

Osiem lat po zabójstwie Rajiva otworzyły się przed Sonią drzwi indyjskiego parlamentu. Wchodząc na schody, przypominała sobie powtarzane przez teściową zdanie, że jej rodzina nie jest normalna, bo od niej „oczekuje się cudów”. Ale czyż nie jest cudem, że znalazła się w tym niezwykłym, ogromnym, okrągłym budynku w sercu New Delhi, gdzie kłębią się wszystkie aspiracje miliardowego narodu, gdzie Nehru, Indira i Rajiv bronili swych idei i gdzie teraz ona,

przybyła z tak daleka, będzie kontynuować ich misję? Ona, umierająca dotąd ze wstydu, gdy ktoś na nią spojrzał, przyjmuje wyzwanie niezgodne z własnym temperamentem, aby chronić rodzinę człowieka, którego ogromnie kochała, i ratować kraj z jarzma integryzmu. Czy będzie w stanie dokonać tego cudu?

Ile przeszła dróg, ilu doświadczyła radości i złudzeń, ilu rozczarowań i wylanych łez!... Przede wszystkim przeżyła wielką miłość do męża, którego ciepłą obecność nadal czuje w tym miejscu. Kiedy dwudziestego dziewiątego października 1999 roku Sonia wygłasza swoje pierwsze przemówienie, myśli właśnie o nim i jego prosi o ochronę. Całe jej ciało jest napięte. Chodziła pięć razy do łazienki, myśląc o czekających ją trudnych chwilach. Wie, że pięćset par oczu będzie śledziło każdy jej ruch. Dla kobiety chorobliwie nieśmiałej to prawdziwa tortura. Poddaje się temu ze względu na to samo poczucie powinności, dla którego jej mąż wszedł do polityki. Nie dla zaspokojenia ambicji, lecz z miłości. Z tej niezmiernie miłości Sonia czerpie energię, by przezwyciężyć samą siebie, wytrzymać spojrzenia tych, którzy zajmują trybuny dla prasy, licznych gości i dyplomatów. W ławach rządowych siedzi Maneka, mianowana właśnie ministrem kultury w rządzie koalicyjnym, któremu przewodzi BJP. Dwie bratowe reprezentują przeciwstawne frakcje ideologicznie, są metaforą podziału, na jaki cierpi kraj. Gdyby Indira mogła to zobaczyć... W ławach Kongresu zasiada co najmniej tuzin towarzyszy gotowych ratować Sonię, w razie gdyby potrzebowała podpowiedzi albo strzeliła jakąś gafę. Sonia jest żywym wzorem elegancji. Ubrana w jedwabne sari o jasnozielonej tonacji, spogląda dumnie i śmiało na zebranych. Jej błyszczące czarne włosy łagodnymi lokami opadają na ramiona.

Stosując stary rodzinny trik, przychodzi z tekstem wydrukowanym dużymi literami, tak aby nie wyglądało, że czyta z kartki. Wkłada okulary i rozpoczyna. Oskarża obecny rząd o to, że przypisuje sobie reformy, które zostały opracowane przez Kongres, a konkretnie przez Rajiva. Nie zwraca uwagi na buczenia i gwizdy dochodzące z ław koalicji rządowej. Przeciwnie, mówi dalej i ujawnia ostatnie manipulacje rządu, mające zdyskredytować jej męża za rzekomy udział w aferze Bofors. „Nie można rzucać podejrzeń na niewinnego człowieka, którego tu nie ma i który nie może się bronić!” - woła. Jej emocjonalne przemówienie wywołuje bardzo korzystne wrażenie wśród deputowanych Kongresu, którzy stwierdzają, że Sonia potrafi wziąć byka za rogi w sprawie tak delikatnej jak afera finansowa. Nagle wydaje się, jakby powróciło wspomnienie uśmiechniętego i pogodnego Rajiva. Wszyscy jednak zadają sobie to samo pytanie. Co się stanie, jeśli będzie musiała atakować określone rozwiązania gospodarcze lub ich bronić? Co się stanie, gdy jej przemówienie nie będzie miało takiego ładunku emocjonalnego?

W ciągu kilku miesięcy Sonia wygłasza w parlamencie krótkie przemówienia dotyczące aktualnych wydarzeń, aczkolwiek unika wypowiedzi na tematy gospodarcze. W tej dziedzinie ufa w pełni człowiekowi, którego poznała podczas formowania się pierwszego rządu po zabójstwie Rajiva. To sikh Manmohan Singh, dawny student Cambridge, błyskotliwy ekonomista, architekt reform, które zdołały wydobyć kraj z kryzysu ekonomicznego lat dziewięćdziesiątych, znany z nienaganej uczciwości. Szedł za gwiazdą Rajiva i był zaangażowany w modernizację gospodarki. Jego wpływ na Sonię jest tak wielki, że starzy socjaliści i lewicowcy z Kongresu patrzą na to z nieufnością. „Czy nie oddali nas od dawnych socjalistycznych zasad,

wprowadzając na drogę liberalizmu?" - zastanawiają się zaniepokojeni.

Jej rola lidera opozycji początkowo zbija z tropu zarówno partyjnych kolegów, jak i przeciwników. Z obawy przed wypowiedzianiem się na trudne tematy rozdziela role między różnych deputowanych, uznawanych za specjalistów od polityki zagranicznej, polityki gospodarczej czy kwestii legislacyjnych... Ale przeciwnicy z furją atakują tę podzieloną, pozbawioną steru i twardości opozycję. Deputowani w szeregach Kongresu zaczynają bać się parlamentarnych sesji nie mniej - albo nawet bardziej - niż Sonia, która nie potrafi bronić się przed wszelkiego typu bezpodstawnymi oskarżeniami rzucanymi po to, by zepsuć jej wizerunek. Najgorsze pochodzą od Maneki, która jako minister kultury kontroluje instytucje dobroczynne i rodzinne administrowane przez Sonię. Aby zaznaczyć swoją władzę, zarządza serię audytów, wznecając podejrzenia o nieprawidłowości finansowe. Wreszcie czuje smak zemsty. Jej zawziętość jest tak wielka, a złość i osobista nienawiść do Soni są tak widoczne, że pozostałe partie koalicji protestują przeciw temu bezpodstawnemu prześladowaniu. Dlatego Maneka zostaje nagle zdymisjonowana i postawiona na czele departamentu statystyki, w którym jej inkwizytorska aktywność będzie zneutralizowana.

Sonia rekompensuje swoje niedostatki w roli lidera opozycji („lider, który się ukrywa" - oskarżają ją przedstawiciele rządu) skutecznością w rządzeniu partią. Starzy satrapowie, którzy myśleli, że będą mogli nią manipulować, szybko zdają sobie sprawę, że to im się nie uda. Znajdowała się zbyt blisko Indiry, żeby nie odrobić lekcji. Wprowadza bolesne reformy, ciągle odkładane przez poprzednich szefów. Jako pierwsza partia w Indiach Kongres na wszystkich poziomach partyjnej hierarchii rezerwuje 33

procent stanowisk dla kobiet. Trudniej jest zwalczyć korupcję, ale Sonia się nie waha. Pod nowym hasłem uczciwości i transparentności wprowadza zasadę, że partia przyjmuje darowizny tylko w czekach, co ułatwia zaksięgowanie kwot, i wymaga, by wszyscy ważniejsi członkowie terminowo płacili składki proporcjonalne do stanowiska zajmowanego w hierarchii partyjnej. Mają oni obowiązek przekazać jedno miesięczne wynagrodzenie na rzecz partii. Są to zmiany głębokie, które wielu postrzega jako jej osobiste zwycięstwa. „Kongres jest przygotowany do oczyszczenia systemu” - mówi groźnym tonem do sceptycznie nastawionych i często skorumpowanych deputowanych, którzy już spiskują, jak się jej pozbyć.

Korzystają z tego, że sposób sprawowania funkcji lidera opozycji pozostawia wiele do życzenia. Soni brakuje odwagi i śmiałości do bezpośredniego komunikowania się z innymi przywódcami opozycji, co powoduje kompletny brak koordynacji. Nie zna się również na grach politycznych. Z trudem ukrywa brak doświadczenia i wiary w samą siebie, stając się łatwym celem ataków rządzącej koalicji, która ją prowokuje i poniża za każdym razem, kiedy ma do tego okazję. „Oni nie wiedzą, kim jestem!” - mówi pewnego dnia dzieciom po wyjściu z sesji parlamentarnej, na której ją chłostano. Dopuszcza się wielkiej obrazy, ponieważ milczy, kiedy premier pyta ją o stanowisko Kongresu w sprawie rozprzestrzeniania broni nuklearnej. Nie zna się na tym, dlatego przysięga sobie, że taka sytuacja więcej się nie powtórzy, i aby zrozumieć niuanse tego skomplikowanego tematu, zaprasza najlepszych ekspertów od bezpieczeństwa nuklearnego i obrony, także tych, którzy nie są członkami think tanku Kongresu. Kiedy czuje się już pewna, wraca do parlamentu. Wydaje się odmieniona: „Podczas ostatniej sesji czcigodny pan premier śmiał się ze mnie, bo nie

odpowiedziałam na jego pytanie... Ale temat jest zbyt poważny, by mówić o nim wśród rehotu deputowanych. Teraz ja zapytam, jakie jest pana stanowisko w tej sprawie. Mówi pan tylko trzy słowa: «najmniejsze kontrolowane rozpowszechnienie». Czy pan uważa, że te trzy słówka kształtują poważną politykę?"(Cyt. w: Kidwai Rasheed, Sonia, s. 92)

W maju 1999 roku rząd BJP traci większość w parlamencie, a doradcy i starzy liderzy Kongresu myślą, że nadszedł czas Soni. Uważają, że można zawiązać koalicję rządową. Potrzebują magicznej liczby dwustu siedemdziesięciu dwóch deputowanych i są przekonani, że właśnie ją osiągnęli. Już marzą o podziale stanowisk - ten walczy o Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, tamten pójdzie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych... W szeregach partii panuje triumfalny nastrój. Są tak pewni zdobycia władzy, że ponaglają Sonię, aby ogłosiła, iż może szybko stworzyć alternatywny rząd. Ona sama uważa, że przy okazji będzie mogła stępić ostrze ciągłych ataków. Nareszcie może krępować ruchy przeciwnika. Kiedy wychodzi z dawnego pałacu wicekróla, dokąd prezydent zwołał wszystkie partie, by zaproponować im stworzenie rządu, idzie otoczona kamerami telewizyjnymi. „Mamy dwieście siedemdziesiąt dwa głosy” - zapewnia. W rzeczywistości chciała tylko powiedzieć, że ponieważ większość deputowanych jest przeciwna BJP, można utworzyć nowy rząd. Ale prasa ogłasza to na swój sposób: „Sonia Gandhi stanie na czele nowego rządu!” Kraj wydaje się nagle rozpalony perspektywą, że Włozka obejmie władzę, ale suspens trwa krótko. Soni nie udaje się uzyskać koniecznej liczby mandatów, ponieważ wiele małych ugrupowań przeciwnych BJP, zwłaszcza socjaliści, odmawia poparcia jej kandydatury na stanowisko premiera, zarówno z powodu cudzoziemskiego pochodzenia, jak i silnej niechęci

do Kongresu. Fiasko jest tak wielkie jak rozbudzone oczekiwania. Źle to wygląda w oczach zwolenników i ośmiesza Sonię wobec całego narodu. Pośpieszna wypowiedź dowodzi braku doświadczenia politycznego oraz zależności od doradców.

- Mamo, zostaw to wszystko - mówi Rahul.

- Teraz? Myślisz, że mogę? Nie zamierzam odejść bez walki.

Sonia stopniowo się uczy. „Ma w sobie ducha bojowniczkę, co jest bardzo dobre dla organizacji” - mówi jeden z kolegów z ław parlamentarnych. Musi walczyć, ponieważ prasa i przeciwnicy polityczni wzmagają ataki. Śmieją się z jej włoskiego akcentu, „la italiana”, jak go pogardliwie nazywają. Zapewniają, że jest zimna i arogancka, opowiadają kłamstwa, że nie zna alfabetu hindi, a jej przemówienia są transkrybowane na alfabet łaciński. „Czyta je, jakby czytała listę zakupów” - pisze jeden ze znanych dziennikarzy. Jednak wrogowie mają to do siebie, że można się od nich wiele nauczyć, i Sonia uczy się zawzięcie. Z dnia na dzień jej publiczne wystąpienia nabierają ciepła i pasji, odbywa wiele podróży, spotkań, osobistych rozmów. Utrzymuje, że nie jest arogancka, tylko nieśmiała. Ale jałowa walka ją wyczerpuje. Ataki oparte są na uprzedzeniach, mentalności macho, zacietrzewionym nacjonalizmie, który maskuje pragnienie odsunięcia jej od władzy za wszelką cenę. W środowiskach bardziej ekstremistycznych padają oskarżenia, że jest agentem Rzymu, szpiegiem Watykanu infiltrującym labirynty hinduskiej polityki... Stefano Maino miał proroczą wizję, kiedy mówił, że rzucą ją na pożarcie tygrysom. Jego córka na środku amfiteatru jeszcze zręcznie unika ciosów.

Nic nie dotyka jej tak bardzo jak krytyka ze strony członków własnej partii. Pewnego dnia otrzymuje list

podpisany przez szefa grupy parlamentarnej Kongresu i dwóch innych deputowanych. Podważają oni zdolności Soni, wskazują na jej niewielkie zasługi jako lidera opozycji, odrzucają pomysł, by kiedykolwiek mogła zostać premierem. W swoim liście sugerują wprowadzenie do konstytucji poprawek, które rezerwowałyby najwyższe stanowiska w państwie - prezydenta i premiera - wyłącznie dla rodowitych Hindusów. Po fiasku nieudanej koalicji cios ten Sonia przyjmuje z goryczą. Nie dlatego, że chcą jej uniemożliwić objęcie funkcji premiera, bo do tego żadną miarą nie aspiruje. Boli ją brak zaufania i fakt, że akceptują ją wyłącznie w roli wabika. Jest jak gwiazda reklamy wyborczej używająca swojego nazwiska partii, która w gruncie rzeczy nią pogardza. Boli ją, bo zdaje sobie sprawę, że nawet we własnej organizacji jest sama.

Kiedy tego popołudnia wraca do domu, myśli tylko o tym, żeby być z Priyanką i Rahulem. Córka natychmiast zauważa, jak jest obolała.

Rahul złości się:

- Zostaw już tę politykę raz na zawsze, mammo!
- Uważam, że on ma rację - popiera go Priyanka.
- Nadszedł moment, żeby się poddać - przyznaje Sonia. -

Proszę, pomóżcie mi napisać list do klubu parlamentarnego Kongresu.

Priyanka bierze papier i długopis i razem piszą klarowny, lakoniczny tekst: „Niektórzy koledzy wyrazili pogląd, że ponieważ urodziłam się za granicą, stanowią problem dla Kongresu. Boli mnie to przypuszczenie, że nie byłabym zdolna działać w najlepszym interesie partii i kraju. W tych okolicznościach poczucie lojalności w stosunku do partii oraz powinność wobec narodu zmuszają mnie do złożenia dymisji ze stanowiska przewodniczącej Kongresu”. Niżej napisała: „Przyszłam, by służyć partii, a nie po to, by zyskać pozycję

czy zdobyć władzę. Ponieważ partia stawiała czoła wyzwaniu, które zagrażało jej egzystencji, nie mogłam zachowywać się biernie. Tak jak i teraz nie mogę siedzieć z założonymi rękami".

Sonia oddycha głęboko. „Nareszcie wolna” - mówi sama do siebie.

Katastrofa. Jej list wywołuje prawdziwy popłoch w partyjnych szeregach. Najbliżsi współpracownicy są skonsternowani. Tak się natrudzili, by objęła stanowisko przewodniczącej, a teraz jacyś spragnieni władzy „baronowie” chcą wszystko wyrzucić za burtę! Kiedy członkowie klubu parlamentarnego błagają ją, aby ponownie przemyślała decyzję, Sonia dumnie odpowiada, że czuje się bardzo urażona ksenofobią niektórych spośród ich kolegów.

- Gdyby to się zdarzyło w BJP, partii ultranacjonalistycznej, albo wśród socjalistów, już byłoby dostatecznie smutne - dodaje - ale do nich by pasowało. Byłam gotowa bronić się zawsze, ilekroć czułam, że mam poparcie partii. Nigdy jednak nawet bym sobie nie wyobrażała, że w podobny sposób zaatakują mnie moi koledzy. I dlatego odchodzę.

Rozpoczyna się przemarsz szefów rządów kontrolowanych przez Kongres, którzy przybywają z odległych stanów, aby się pokłonić domowi. Grożą masowymi dymisjami. „Rządzimy dzięki tobie. Po co mamy kontynuować to bez ciebie?” - szantażują Sonię.

Wstrząs spowodowany dymisją jest tak ogromny, że tysiące zwolenników obozuje przed ogrodzeniem domu przy Janpath 10, prosząc, aby wróciła. „Soni, uratuj Kongres! Uratuj Indie!” - wołają chórem. Pewnego popołudnia, gdy Rahul wraca do domu z przyjacielem, zatrzymują go liderzy partii: „Musisz przekonać matkę, by wycofała dymisję”. Wśród tłumu blokującego ulicę są kobiety, które płacząc,

błagają, aby Sonia ich nie opuszczała. Pewnego ranka, kiedy ambassador toruje sobie drogę wśród tłumu, zatrzymuje ją pewien stary muzułmanin.

- Czy pomyślałaś o losie mniejszości pod rządami BJP? Czy nie chcesz za nas walczyć? (Cyt. w: Ibidem, s. 165)

Sonia nie odpowiada i podnosi szybę samochodu, ale słowa tego człowieka nadal brzmią w jej głowie.

Szczyt desperacji zwolenników Soni symbolizuje biwakujący przed domem młody człowiek. Próbuje złożyć siebie w ofierze całopalnej, czym wywołuje poważne zamieszanie. Policja i ochroniarze rzucają się na niego i w porę udaje się ugasić płomienie. Aparaty fotograficzne reporterów utrwalają tę scenę, aby cały kraj zobaczył wieczorne wiadomości i dowiedział się o uczuciach, jakie wzbudza Włoszka, która uważana jest za własność narodu. Sonia do niego należy, bo nosi magiczne nazwisko Gandhi. Z tego powodu nie może po prostu odejść.

Tragiczne zajście przyspiesza bieg zdarzeń. W gabinecie Rajiva Sonia ponownie przyjmuje czołówkę partii, mężczyzn ubranych w kurta i szerokie bawełniane spodnie.

- Nie istnieje inny lider, który mógłby utrzymać jedność partii. Nikt oprócz ciebie nie potrafi zdobyć tylu głosów. Dlatego prosimy cię, żebyś pozostała przewodniczącą. Partia jest z tobą. Posłuchaj błagania ulicy.

Gdy zza okna dochodzą stłumione hasła na cześć Soni, które skandują chóralnie sympatycy stłoczeni przy ogrodzeniu, jeden z partyjnych liderów kontynuuje:

- Nie lekceważ dowodów miłości, jaką cię darzą ci ludzie... Nadawcy tego listu nie reprezentują nawet mniejszości Kongresu, nie reprezentują nikogo więcej poza sobą i swoją ambicją.

- Nie ma dla nich miejsca w organizacji - dodaje inny. - Wyrzuciliśmy ich i już nie masz się czego obawiać.

Znowu ofiarowują jej władzę na srebrnej tacy, znowu słucha tych samych argumentów, tych samych pochlebstw, tej samej przebrzmiałej melodii...

- Muszę porozmawiać z dziećmi.

Sonia jest gotowa podtrzymać dymisję. Już sobie wyobraziła, jak miło będzie wrócić do kolekcji tańdzawurskich miniatur, które tak jej się podobają, i odświeżyć zamiłowanie do konserwacji obrazów i starych mebli. Ale Priyanka i Rahul wydają się głęboko poruszeni nagłym wybuchem emocji i solidarności. Nie spodziewali się podobnej mobilizacji. Całą trójkę ogarnia dziwne uczucie, że nazwisko, jakie noszą, nie należy do nich, należy do Indii, do tłumów, które żądają ich przywództwa, i dlatego oni nie są panami swojego przeznaczenia. Sonia się waha, choć wie, że jeśli teraz powróci, to wejdzie frontowymi drzwiami. W końcu przyjacielom udaje się ją przekonać. Nie może odejść z powodu ataku trzech ambitnych rywali, którzy pragną stanowisk. Jej dymisja tylko wzmocni autorów listu i wszystkich ksenofobów w Indiach. Znowu Sonia myśli o Rajiwie, o dzieciach, o rodzinie, o tragedii władzy, o strachu przed utratą bezpieczeństwa, o poczuciu obowiązku... i znowu ustępuje. Czyni to niechętnie, ale w końcu decyduje się objąć najwyższą funkcję w partii, z większą siłą i autorytetem niż poprzednio. Ogłasza swój powrót na wypełnionym stadionie. Pewien członek partii tak to komentuje, mówiąc koledze:

- Wyobrażasz sobie tylu zgromadzonych bez Soni Gandhi?

- Po prostu nie byłoby tego wiecu - odpowiada tamten. - Bez Soni nie ma wiecu, bez Soni nie ma partii (Cyt. w: Ibidem, s. 170).

„Chociaż urodziłam się za granicą - mówi Sonia, kiedy głośna i długa owacja wreszcie cichnie - Indie stały się moim krajem. Czuję się Hinduską i będę nią do ostatniego tchnienia.

Tutaj wyszłam za mąż, tutaj urodziłam dzieci, tu zostałam wdową. Na moich ramionach umarła Indira. Jeśli zdecydowałam się dziś powrócić, to dlatego, że partia obdarzyła mnie ponownie zaufaniem i nadzieją. Pragnę partii, która będzie gotowa iść za mną i umrzeć za zasady, jakie zdecydowałam się wyznawać".

W ten sposób, stopniowo pokonując trudności, Sonia Gandhi uczy się politycznej gry. Pewne sposoby postępowania nie wynikają z jej talentu, lecz z doświadczeń nabytych w ciągu trzydziestu lat wspólnego mieszkania z politykami. Ma teraz większy wpływ na partię niż niegdyś jej mąż. Osiągnęła to, jedynie budząc nadzieje niektórych działaczy na objęcie pewnego dnia wysokich stanowisk, co wskazuje na to, jak zdeprawowane są szeregi partii.

Z czasem Sonia zyskuje w prasie wizerunek polityka mimo woli. Nadal żyje w ciągłym strachu przed mediami. Przeciwnicy skrupulatnie analizują każde jej słowo, szukając dowodów na to, że nie jest tak hinduska, jak się przedstawia. Żyje zamknięta w swojej skorupie, za okopami fortecy przy Janpath 10, trudniejszej do zdobycia niż wszystkie rezydencje, w których mieszkała wcześniej. Prawie nie ma czasu dla siebie, od świtu przyjmuje komitety, członków partii i delegatów, którzy przybywają ze wszystkich zakątków kraju, aby prosić ją - najważniejszego przewodnika - o radę lub opinię. Jedynie odwiedziny dzieci ogrzewają Sonię rodzinnym ciepłem. Jej matka spędza zimy w New Delhi, od czasu do czasu wpadają też siostry i starzy przyjaciele. Te wizyty utrzymuje jednak w wielkiej tajemnicy, aby jej nie wytknięto, że „jest cudzoziemką”.

Samo wspomnienie jej imienia może ożywić najnudniejszą kolację czy inne wydarzenie towarzyskie. Między tymi, którzy ją podziwiają, a tymi, którzy żywią do niej pogardę, wybuchają gwałtowne spory. Dwaj znani deputowani z Kongresu użalają się na każdym koktajlu, że ich przywódcą jest „włoska gospodyni domowa bez studiów”. Ale to nic w porównaniu z pewnym członkiem koalicji rządowej, hinduskim fundamentalistą Narendrą Modim, który publicznie nazywa ją „włoską lisicą”. Sonia wie, że cudzoziemskość jest jej piętą achillesową, a koalicja rządowa, skrajnie nacjonalistyczna i hinduistyczna, nie traci okazji, by dolać oliwy do ognia. Stanowcza odmowa udzielania wywiadów wynika z tego, że Sonia nie chce zbyt wiele mówić o sobie. Myśli, że w ten sposób pozbawi swoich przeciwników argumentów do ataku. Nie chce, by zmuszano ją do powtarzania, że jest niepraktykującą katoliczką. Nie chce rozmawiać o ojczystych Włoszech ani o wspomnieniach z

dzieciństwa, przyjaciółach czy rodzinie. Stara się, aby postrzegano ją jako osobę żyjącą zgodnie z tradycjami przybranej ojczyzny. Tak jak Indira, odwiedza świętych ascetów w wielkich hinduistycznych świątyniach. Kiedy BJP wzmaga ataki w parlamencie na jej „zagraniczne pochodzenie”, Sonia chroni się w świątyni Misji Ramakryshny w New Delhi i spędza całe popołudnia ze swamim Gokulanandą, szanowanym ascetą, który na znak braterstwa zawiązuje jej czerwony sznurek wokół nadgarstka. Sonia mocno wierzy w ten sznurek. Stała się przesądna jak jej teściowa. Za każdym razem, gdy ma miejsce jakaś uroczystość rodzinna, zaprasza kapłana, który mieszka w Benares, aby przybył i odprawił odpowiednie rytuały. Kiedy rodzi się jej pierwszy wnuk, syn Priyanki, pandit składa wyszukane ofiary, recytując modlitwy. Podobnie jak Indira wybierała imiona jej dzieci, tak teraz Sonia ma wybrać imię dla wnuka. „Rajiv?” - proponuje, ale Priyanka obawia się, że skaże ono syna na to, że przez całe życie będzie porównywany z jej ojcem. Sonia więc sugeruje, żeby imię rozpoczynało się na literę „R” i w końcu decydują się na parsyjskie imię Rehan, nawiązując w ten sposób do tradycji dziadka Feroza Gandhiego. Sonia jednak ponownie nalega, by nazwać wnuka Rajivem. Wreszcie podejmują decyzję: Rehan Rajiv. Dzięki Bogu horoskop przygotowany przez ascetę dla członka szóstego pokolenia rodziny Gandhich przepowiada dziecku sławę i fortunę, ale nie w polityce. Matka i córka oddychają z ulgą.

Wobec ciągłych prowokacji swami Gokulanandą czuje się zobowiązany wystąpić w obronie Soni. „Jest tak indyjska jak każdy z nas - oświadcza. - Prowadzi zdyscyplinowane życie i nie widzę niczego złego w jej zagranicznym pochodzeniu”. W stanie Gudźarat, gdzie szefem rządu jest jej zagorzały przeciwnik Narendra Modi, fala pogromów kończy się

zabiciem chrześcijańskich misjonarzy, oskarżanych przez hinduistów o zbyt gorliwe i skuteczne nawracanie. „Nie pozwól, by cię sprowokowali - mówią Soni jej doradcy. - Chcą, żebyś wystąpiła w obronie chrześcijan, nie wchodź w tę pułapkę, nie rób tego". Ona ich słucha i wybiera milczenie, wówczas jednak krytyka zmienia kierunek. „Dlaczego oddała się od katolicyzmu? - pytają perfidnie jej przeciwnicy. - Dlaczego jest tak zakompleksiona na punkcie własnej religii?" Sonia zdaje sobie sprawę, że cokolwiek zrobi, jej religia i pochodzenie stale będą niezmywalnymi stygmatami. Obsesyjnie stara się je ukryć. Zmęczona kampanią hinduistów na temat wyznania, dwudziestego drugiego stycznia 2001 roku decyduje się na symboliczny gest o wielkim znaczeniu religijnym. Podczas Khumba Mela, ważnej uroczystości hinduistycznej, która co dwanaście lat gromadzi dziesiątki milionów osób w zlewiskach Gangesu, Jamuny i mitycznej rzeki Śarawati na obrzeżach Allahabadu, rodzinnego miasta Nehru, tam gdzie zostały wrzucone prochy Rajiva, Sonia decyduje się na rytualną kąpiel. Wchodzi do wody w ubraniu i przy dźwiękach mantr i dużych muszli morskich, w które uderzają pandici na brzegu, dokonuje ofiary z płatków kwiatów. Są z nią wielcy hinduistyczni asceci, a także przedstawiciele innych religii, wśród nich dalajlama. Piaszczysty pas ziemi między rzekami aż po horyzont wypełniony jest ludźmi. Tłum równie imponujący, co panujący w nim porządek. Nie ma żadnych zamieszek czy scen przemocy. Ochrona Soni jest tak ścisła, że policja nie pozwala nikomu podejść bliżej niż dwieście metrów do brzegu.

W ciągu następnych dni fotografia Soni, która składa bogom ofiarę pudża, zostaje opublikowana w czasopiśmie i broszurach, oglądanych przez miliony wieśniaków w setkach tysięcy wsi. Sonia ma nadzieję, że w ten sposób osłabi krytykę przeciwników. Jest przekonana, że naród nie przywiązuje

najmniejszego znaczenia do faktu, iż urodziła się we Włoszech. Poza tym co to znaczy być Hindusem? Między ludźmi zamieszkującymi Himalaje a mieszkańcami południa panują przepastne różnice: ani nie mówią tym samym językiem, ani nie jedzą tego samego, ani nie czczą tych samych bogów. Nawet nie mają tego samego koloru skóry. Niemniej i jedni, i drudzy dumni są z tego, że są Hindusami. Tolerancja stanowi istotny element kultury subkontynentu; gdyby tak nie było, jak mógłby przetrwać przez tyle wieków ten amalgamat ludzi, tradycji, kultur, grup etnicznych, ras i kast, który nazywany jest Indiami? Kraj ten zawsze potrafił asymilować różnorodność, tu pojęcie cudzoziemca traci swe znaczenie. Doradcy dostarczają jej argumentów do obrony. Przypominają, że kiedy Indie osiągnęły niepodległość, pierwszym szefem rządu był Anglik, lord Mountbatten, ostatni wicekról imperium. Liderzy partii przypomnieli również, że w 1983 roku Sonia spisała testament, w którym wyraziła wolę, żeby jej ciało zostało spalone zgodnie z hinduskim rytuałem. Wówczas nikt nie przypuszczał, że Rajiv Gandhi zostanie premierem, a tym bardziej że Sonia któregoś dnia obejmie jakąś funkcję polityczną. Zrobiła to, bo w to wierzyła.

W głębi duszy Sonia dobrze wie, że Hindusem jest ten, kto się nim czuje. I powtarza bez przerwy: „Jestem Hinduską. Wchodząc do tej rodziny, stałam się córą ziemi mego męża, córą Indii”. Jest przekonana, że naród dostrzega jej miłość do kraju. Kiedy pytają, skąd czerpie zasady moralne, kiedy musi podjąć decyzję rodzinną lub polityczną, odpowiada szczerze: „Sądzę, że z wartości katolickich, które nadal są żywe w głębi mojego umysłu”. I dodaje: „Jestem żarliwym obrońcą idei, by Indie nadal pozostały państwem świeckim, czyli takim, które obejmuje wszystkie religie. Obecny rząd jest temu przeciwny”. Wściekłość wymierzona przeciw Soni kampanii odbija się niespodziewanym echem w Orbassano. W

małej piemonckiej miejscinie zostaje wybrany na radnego indyjski imigrant, sikhijski inżynier pracujący w zakładach Fiata. „Jeśli sikh może uczestniczyć w życiu politycznym włoskiego miasta, dlaczego Włozka nie może brać udziału w życiu politycznym Indii?” - pyta deputowany Kongresu. BJP odpowiada z wściekłością: „A czy pozwolą na to, żeby ten sikh został premierem Włoch? Oczywiście, że nie!” Na poparcie swych słów deputowany nacjonalista cytuje burmistrza Orbassano, który oświadczył prasie: „Pytam się, czy my we Włoszech zaakceptowalibyśmy cudzoziemca, w dodatku kobietę, jako lidera partii symbolizującej walkę o niepodległość z obcą dominacją i nadal cieszącej się wielkim, choć mniejszym niż dawniej, poparciem narodu. To, że część Hindusów powierza Soni swój los, mówi wiele o tolerancji w Indiach” (Cyt. w: Naravane Vaiju, In Maino Country, „Frontline” 8 maja 1998). W debacie przekraczającej kontynenty pewien włoski dziennikarz dochodzi do wniosku, że „jej pochodzenie nie ma żadnego znaczenia, ponieważ została wchłonięta, zmieniona, zhinduizowana. Z tego powodu już nie jest Włozką”. Może stała się prawdziwą Hinduską, kiedy w ataku astmy, patrząc na portrety rodziny w gabinecie Rajiva, zgodziła się wkroczyć na scenę polityczną. To wówczas przejęła w pełni rodzinną spuściznę.

Zalew krytyki i kampania nienawiści sprawiły, że Sonia szybko dojrzała. W miarę jak nabierała wiary w siebie, rosła jej determinacja w rozwiązywaniu problemów partii, czemu poświęciła się ciałem i duszą. Jej osobowość zmieniała się w subtelny sposób. W latach 1998 - 2004, okresie rządów dwóch kolejnych koalicji pod przewodnictwem BJP, dość umiarkowanych dzięki wpływom premiera Atala Bihariego Vajpayee, Sonia zajmowała się naprawą Kongresu, upraszczając proces podejmowania decyzji i poszukując konsensusu. Robiła to inaczej niż jej teściowa, której styl był

bardziej władczy, przypominający dworskie obyczaje. Sonia radzi się swoich dzieci i ekspertów. Jest pochłonięta wyborem właściwych kandydatów i upewnianiem się, że zdobędą przychylną opinię narodu, stan po stanie, bez pośpiechu, ale konsekwentnie. Wiele swoich decyzji opiera na wiedzy, którą zawdzięcza teściowej i mężowi, bardzo jednak uważa, aby uniknąć błędów, które tyle ich kosztowały. Na przykład nie zmienia wedle swego życzenia, jak to czyniła Indira, szefów rządów stanowych. Przeciwnie, wspiera ich bezwarunkowo, pozwala im działać, oni zaś odwdzięczają się jej absolutną lojalnością. Miała pewien problem z szefem rządu w Orisie, który podzielił argumenty hinduskich fundamentalistów odpowiedzialnych za zabójstwo katolickiego księdza i ogłosił, że „należy zdyscyplinować chrześcijańskich misjonarzy”. Sonia natychmiast go zdymisjonowała, pokazując, że w podobnych sytuacjach nie będzie żadnego pobłażania. Jeśli nie liczyć tego jednostkowego incydentu, partia pod jej kierownictwem krzepnie i staje się liczącą siłą. Dzięki cierpliwej pracy Soni Kongres w 2002 roku zdobywa władzę w czternastu stanach, obejmujących ponad połowę ludności kraju. W marcu tegoż roku wygrywa wybory municypalne w New Delhi, uzyskując trzy czwarte mandatów. We wszystkich regionach nie dość, że kończą się dezercje członków partii, to jeszcze tendencja się odwraca i ich liczba znowu rośnie.

Jedenastego maja 2000 roku Indie czczą niezwykle osiągnięcie. Rząd ogłasza, że urodzona w New Delhi dziewczynka o imieniu Aastha Arora jest miliardowym obywatelem kraju. Informacja o przekroczeniu tej magicznej liczby wywołuje wybuch powszechnego zapału zabarwionego nacjonalizmem. Całe Indie czczą to wydarzenie, ludzie wychodzą na ulice, odpalają petardy i świętują. Tłumy dziennikarzy i reporterów telewizyjnych śpieszą do szpitala i szturmują pawilon, w którym znajduje się dziewczynka.

Wspinają się na łóżka i stoły, aby zdobyć portret „wybranki”. Pewna skonsternowana dziennikarka „Indian Expressu” (Ganapathy Nirmala, Billion Baby Put Through Hell, „Indian Express”, 12 maja 2000, cyt. w: Guha Ramachandra, India after Gandhi, s. 619) pisze: „Miliardowe dziecko zostało powitane przez tyle milionów fleszy, że lekarze boją się, czy jego skóra nie doznała obrażeń”.

Pomimo eksplozji demograficznej pojawia się nadzieja na wyjście kraju z biedy. U progu nowego wieku gospodarka, liberalizowana od czasów Rajiva, może się pochwalić pomyślnymi wynikami. Indie z optymizmem patrzą w przyszłość. Płomień narodowego zapału podsyca rząd zdominowany przez BJP. Czyż prasa nie powtarza, że XXI stulecie będzie „wiekiem Indii”? Wydaje się, że kraj ma wszelkie szanse stać się potęgą. Po latach ograniczeń powściągnięta dotychczas energia i witalność znajdują ujście. Zakładane w czasach Nehru uniwersytety i szkoły techniczne wypuszczają milion inżynierów rocznie. To bardzo dużo w porównaniu ze stu tysiącami absolwentów europejskich i amerykańskich uczelni. W cieniu rewolucji informatycznej i telekomunikacyjnej rozwija się nowe pokolenie przedsiębiorców. Indie z radością rywalizują z sąsiednimi Chinami o drugie miejsce na liście państw o największej stopie wzrostu gospodarczego. Wydaje się, że stary indyjski słoń się obudził. BJP i hinduiści całą zasługę za to przypisują sobie. Z ław opozycji Sonia zarzuca im, że dla nich postęp gospodarczy przekłada się tylko na dobrobyt klasy średniej, która adoruje nowego boga, konsumpcję.

- W dostatnim New Delhi - przypomina, opierając się na wskaźnikach opublikowanej w prasie analizy - jedno dziecko na czworo jest otyłe, ale na wsi połowa dzieci poniżej trzeciego roku życia cierpi na chroniczne niedożywienie! Jaki to jest postęp?

Powtarza, że powstające bogactwo nie dociera do ogromnej masy ludzi żyjących na wsi. Indyjska wieś nadal zmaga się z bezrobociem, nadużyciami systemu kastowego, biedą, brakiem perspektyw. Istnieje zagrożenie, że ekspansja telewizji pozwoli im zobaczyć na własne oczy, jak żyją Indie wielkich miast, te, które się bawią, bogacą i konsumują. Sonia przypomina rządowi, że Indie, kraj tak dumny ze swych produkujących centrów badawczych i rozwoju gospodarczego, zamieszkuje 40 procent biedoty całego świata.

- Nie ma co wpadać w euforię, rozpętana przez rządową propagandę głosząca dobrodziejstwa reformy. Coś nie działa, skoro wzrostowi gospodarczemu towarzyszy coraz większa liczba samobójstw wśród biednych wieśniaków, którzy są zadłużeni u miejscowych lichwiarzy i nie znajdują wyjścia z tej sytuacji.

Jednak większość deputowanych nie chce wierzyć jej słowom, niewygodnym, zakłócającym sen o bogactwie i narodowej dumie. Sonia głosi kazanie jak prorok na pustyni. Nie obchodzi jej, że przezywają ją nudziarą. Nehru i Indira czuli się głęboko zobowiązani wobec biednych i ona wie, iż jej partia przetrwała tylko dlatego, że stała u boku tych najmniej uprzywilejowanych, których głosu nikt nie chciał słuchać. Ona, może dlatego, że zachowała niewinność cudzoziemki, jest nadal wrażliwa na okropny obraz biedy, której wielu Hindusów żyjących na wyższym poziomie po prostu woli nie dostrzegać. Oczy, które nie widzą, serce, które nie czuje. Nie widzieć to nie cierpieć. Jednak Sonia ma oczy szeroko otwarte.

W parlamencie jej głos słyhać coraz wyraźniej: niezmiennie podważa osiągnięcia, którymi chwali się rząd. Jeśli przywrócono pokój na terytoriach północnego wschodu, to nie w wyniku działań rządu, tylko dzięki wysiłkom Rajiva, który uzgadniał traktat pokojowy pozwalający przywódcom

separatystów, walczącym niegdyś w dżungli, stać się dzisiaj szanowanymi politykami wybranymi przez naród. Jeśli w Pendżabie doszło do uspokojenia sytuacji, to również nie dzięki aktualnemu rządowi, lecz wskutek „traktatów z Pendżabu”, które były dziełem Rajiva. Jeśli umiarkowani nacjonaści sikhijscy zdali sobie sprawę z korzyści, jakie przynosi przynależność do Unii Indyjskiej, i powrócili na ścieżkę demokracji, też było to zasługą jej męża.

Marzec 2002 roku był szczytowym okresem parlamentarnej aktywności Soni. Nagle objawiła się jako przywódczyni, przemawiała bez strachu i kompleksów, ze stanowczością, jaką daje głębokie przekonanie o własnej racji. Bezpośrednio oskarżała rząd o podsycanie kolejnego wybuchu walk religijnych, które ponownie postawiły kraj na skraju przepaści. Chodziło o jeszcze jeden akt tragedii w Ajodhja, zainicjowany przez członków tego samego rządu, który aktualnie sprawował władzę. Po zniszczeniu meczetu fundamentaliści hinduscy napotkali przeszkodę: wyrok sądowy zakazujący wzniesienia w tym miejscu świątyni boga Ramy, wydany po to, by nie zaognić konfliktu. Bojownicy nie przyjęli tego do wiadomości. Różne ich grupy, należące do organizacji bliskich rządowi, od czasu do czasu przybywały nadal do Ajodhja i żądały rozpoczęcia budowy świątyni. „Czyż nie została ona obiecana w programie rządu BJP?” - pytali. W drodze powrotnej z Ajodhja, na stacji Godhra w stanie Gudźarat, doszło do sprzeczki między jedną z grup hinduskich manifestantów a obwoźnymi handlarzami, którzy byli wyznawcami islamu. Handlarze, mimo gróźb bojowników, którzy zaczęli ich obrażać i ciągnąć za brody, odmówili śpiewania pieśni ku czci boga Ramy. Wiadomość o tym wydarzeniu rozeszła się błyskawicznie i młodzi muzułmanie, którzy pracowali w okolicach stacji, przybiegli bronić napadniętych współwyznawców. Hinduiści wsiedli do

pociągu, który ruszył w deszczu kamieni. Kilka kilometrów dalej pociąg się zatrzymał. Kolumna czarnego dymu uniosła się do nieba. W wyniku pożaru spaliło się pięćdziesiąt osiem osób, w większości bojowników.

Chociaż późniejsze śledztwo wykazało, że ogień w pociągu został wywołany przypadkowym wybuchem piecyka gazowego, ekstremiści hinduscy nie wahali się oskarżyć muzułmanów. Wiadomość, że hindusi zostali spaleni żywcem, rozpętała falę zemsty. Szef rządu stanu Gudźarat, hinduski fundamentalista Narendra Modi, ogłosił dwudziesty ósmy lutego dniem żałoby, aby kondukty pogrzebowe z ciałami pasażerów mogły przejść ulicami miasta. Było to wyraźne zaproszenie do przemocy. Dzielnice muzułmańskie zamieniły się w piekło. Tysiące rozwścieczonych hindusów atakowało sklepy i biura, paliło meczety. Zamiast podjąć zdecydowane działania i zdusić agresję, Narendra Modi oświadczył: „Każda akcja spotyka się z reakcją”. Jego słowa, interpretowane przez hinduskich ekstremistów jako rekomendacja lidera i usprawiedliwienie zemsty, zapoczątkowały orgię prześladowań porównywalną do tragicznych wydarzeń z czasów Podziału. Jednak tym razem za sprawą telewizji cały kraj stał się świadkiem potwornych scen. Muzułmańskie kobiety maltretowano i gwałcono, zmuszano do picia oczyszczonej nafty, a następnie podpalano. To wszystko czyniono w obecności ich mężów i synów, którzy nim sami zostali zamordowani, musieli patrzeć, jak pochłaniają je płomienie. Działania te spotykały się z zupełną obojętnością ludzi świętujących zemstę za pożar w pociągu z Godhry. Dziennikarze będący świadkami tych zbrodni wyrażali przekonanie, że nie były one spontaniczne, jak usiłowały dowodzić lokalne władze, ale zostały starannie zaplanowane. Widzieli hinduskich ekstremistów z listami wyborczymi w ręku - to na ich podstawie znajdowano domy i chaty

zamieszkałe przez muzułmanów w mieszanych dzielnicach. Widzieli, jak wskazywano sklepy tych wyznawców islamu, którzy przezornie przyjęli hinduskie imiona. Skuteczność prześladowań i mordów dowodziła ich zinnego zaplanowania. Podczas zamieszek zabito ponad dwa tysiące muzułmanów, a ponad dwieście tysięcy straciło dach nad głową.

Sonia demaskowała fakty. W parlamencie oskarżyła rząd o podsycanie ludobójstwa. „Proszę pani, niech pani nie używa tak mocnych słów” - replikował premier, lecz Sonia nie milkła. Ujawniła dwuznaczne działania policji. „Wiadomo, że w niektórych przypadkach policjanci nawet pomagali bojownikom odnaleźć poszukiwane przez nich adresy”. Na poparcie swoich słów cytowała informacje ze śledztw prowadzonych przez organizacje obrony praw człowieka: wiele wskazywało na to, że policja otrzymała rozkazy powstrzymania się od interwencji. „Ta masakra, panie premierze - mówiła - pokazała fanatyczną i przerażającą twarz BJP, którą przez wszystkie lata sprawowania władzy tak starannie pan maskował... Poza tym jak to jest możliwe, że nie zechciał pan bezzwłocznie odwiedzić miejsc zrujnowanych przez przemoc? Dlaczego czekał pan aż miesiąc, żeby tam się wybrać? Wiemy już na pewno, że za tymi zabójstwami stoi Narendra Modi, i obawiamy się, że rząd centralny również nie jest bez winy!” Po raz pierwszy Sonia gra jak wielki polityk, oskarża rząd z autentyczną i wyczuwalną pasją, krytykuje premiera, nie zostawiając na nim suchej nitki. Zbrodnie, które widziała w telewizji, głęboko nią wstrząsnęły. „To nie są Indie. To nie jest prawda o moim kraju” - oświadcza. Jej liczne interwencje sprawiają, że idee Kongresu brzmią szczególnie wyraźnie. Aspiracja najstarszej partii Indii do reprezentowania Hindusów wszystkich kast i religii jest odbierana nie tylko jako zaleta, ale i niezbędna konieczność. Przyzwoitość zasad Kongresu łączy się w wyobraźni narodu z

głosem i obrazem przewodniczącej, która mówi szczerze i otwarcie.

Premierowi nie udało się zdymisjonować swego partyjnego kolegi, Narendry Modiego. Inni mu na to nie pozwolili. Kazali czekać na decyzję narodu. W wyborach stanowych w Gudźaracie, które odbyły się w dwa miesiące po krwawych zamieszkach, Modi znowu wygrał, zbierając głosy hinduskiej większości. Jego kampania opierała się wyłącznie na jednej idei - nienawiści do muzułmanów. Niespodziewany sukces zdawał się potwierdzać stare przekonanie BJP, że dobrze zaaranżowane zamieszki oparte na nienawiści religijnej zamieniają się w głosy. W tej dziedzinie Modi okazał się mistrzem. Dodatkowo wykorzystał fakt, że Gudźarat graniczy z Pakistanem, co sprzyjało sianiu strachu przed islamskim wrogiem.

Po nadziejach rozbudzonych przez Sonię nadszedł czas wielu rozczarowań. Ze zmarszczonym czołem, w okularach na nosie, Sonia czyta w siedzibie Kongresu raport sekretarza generalnego partii na temat wyborów w Gudźaracie. Atmosfera jest poważna. „Kongres nie zdobył ani jednego miejsca w promieniu stu kilometrów wokół Godhry, gdzie zapalił się wagon pociągu i zginęło pół setki ludzi. Kongres stracił wszystkie miejsca w Madhja Pradeś i Radżastanie". Obecny wniosek jest taki sam jak po zniszczeniu świątyni w Ajodhja: polityka konfrontacji odniosła sukces.

Przeważająca większość Hindusów uległa strachowi i rasizmowi. Jak zapobiec temu, aby podobny scenariusz nie rozwijał się w innych częściach Indii? Nikt nie zna odpowiedzi. Kiedy wydawało się, że los uśmiecha się do Soni, wynik wyborów w Gudźaracie jest jak kubeł zimnej wody i każe stawiać pytanie o przyszłość. Tymczasem rząd, podbudowany zwycięstwem, decyduje się przyspieszyć termin pierwszych wyborów powszechnych w XXI wieku i wyznacza

je na maj 2004 roku, aby wykorzystać sprzyjającą atmosferę i potwierdzić swój mandat na następne pięć lat. Krytycy Soni w Kongresie argumentują, że jeśli siły sprzymierzone z BJP będą zdobywały teren w takim tempie jak do tej pory, jej talent nie wystarczy, by powstrzymać ich wpływy. Nie wydaje im się dostatecznie silna. Okoliczność, że pod jej kierownictwem czternaście stanów zmieniło barwę polityczną, zaczyna być postrzegana jako fakt mało znaczący. Sonia ponownie jest narażona na ataki. Zarzucają jej, że nie jest politykiem na miarę Indiry czy Rajiva. Nawet najwięksi optymiści wątpią w jej zdolność poprowadzenia partii do zwycięstwa. „Czy podjęliśmy właściwą decyzję, prosząc, aby przewodziła naszej partii?” - pytają teraz ci sami, którzy przedtem ją do tego nakłaniali. Niektórzy, dotychczas lojalni zwolennicy mówią kolegom z partii, że Sonia nie jest wystarczająco dobra. Wszyscy przyznają, że wiele poprawiła, ale obecne wyzwania ją przerastają. A Kongresowi śpieszno wrócić do władzy. Partia, która w Indiach rządziła najdłużej, od siedmiu lat jest odsunięta od władzy. Ta najdłuższa przerwa w całej jej historii przypadła akurat na czas przewodnictwa Soni Gandhi. Powoli dojrzewa kolejny spisek. Bliskość wyborów powszechnych roznieca osobiste ambicje. Jeśli tym razem Sonia wychodzi bez szwanku, to głównie dlatego, że przywódca spisku ginie w wypadku. Jednak niezadowolenie podziela wielu członków partii.

Kiedy kontynuowana jest debata na temat przywódczych zdolności Soni i jej braku doświadczenia, ona z odwagą ponawia krytykę rządu, oskarżając go o sprzyjanie anarchii i korupcji. Atakuje otwarcie, łączy agresję z pewną dozą dowcipu, mówi swobodnie i z wdziękiem. Ponieważ Kongres stanowi mniejszość w parlamencie, wniosek o dymisję rządu zostaje odrzucony, ale Soni udaje się pokazać w roli przywódcy, który może stanowić alternatywę. Już daleko

odeszła od deputowanej nowicjuszeki, która szuka słów, milczy, usłyszawszy pytanie, lub rumieni się, gdy jest atakowana. Wybory są tuż - tuż i nie ma innego lidera zdolnego zjednoczyć partyjne doły. Kości zostały rzucone. Ani Sonia, ani Kongres już nie mogą się wycofać.

New Delhi, dziesiąty maja 2004 roku. W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat Sonia jest równie ładną kobietą jak w czasach młodości. Jej uroda nosi jednak ślady przeżytych tragedii, a twarz zdążyła nabrać twardszego wyrazu. Ona, która niegdyś często wybuchała śmiechem, teraz jest zawsze poważna. Jej uśmiech nie przekonuje, ponieważ płynie z głębokiego smutku. Nie tylko zmieniła się jej twarz, inny stał się także język ciała. Mocny chód, sposób, w jaki porusza ramionami okrytymi sari - wszystko przypomina Indirę. Nawet w gestach Sonia stała się Hinduską.

Kiedy jest zmęczona, jakby się kurczyła. I dziś, w poniedziałkowy ranek, gdy przed lustrem toaletki w swoim domu w New Delhi maluje oczy cienkim pędzelkiem, nakładając khol, Sonia Gandhi czuje się wyczerpana. Przez kilka tygodni uczestniczyła w intensywnej kampanii wyborczej, podczas której w dotkliwym upale pokonała tysiące kilometrów, przemierzając cały subkontynent indyjski, dystans porównywalny niemal do podróży naokoło świata. Najczęściej poruszała się samochodem, helikopterem lub pieszo, pokonała także dziesięć kilometrów na wielbłądzie, aby dotrzeć do niewielkiej wioski w Radżastanie, liczącej zaledwie dwustu mieszkańców, gdzie oczekiwano jej z otwartymi ramionami, ponieważ nigdy wcześniej żaden kandydat nie raczył tu zajrzeć. W tych dniach często wiele razy wspominała teściową, jej zapał, by trafić do serca narodu, dostać się do najodleglejszej wsi, jak wtedy gdy musiała w nocy przepłynąć rzekę na grzbiecie słonia, by znaleźć się w Belći, wsi niedotykalnych, przeżywających traumę po niedawnej masakrze. Tak jak teściowa, Sonia nie szczędzi wysiłku, by zanieść swoje przesłanie do najbardziej oddalonych miejsc. I nawet gdyby nie wygrała wyborów, nie mogłaby sobie zarzucić, że nie zrobiła wszystkiego co można.

Jak zawsze nagrodą za trud są dla niej spotkania z biedakami Indii. W chwilach wahania przychodzą jej do głowy słowa, które Mahatma Gandhi przeczytał pewnego dnia na murze wiejskiej przychodni lekarskiej: „Jeśli wątpisz albo się wahasz, wykonaj następującą próbę: przypomnij sobie twarz najbiedniejszego i najsłabszego człowieka, jakiego kiedykolwiek widziałeś, i zapytaj siebie, czy krok, który zamierzasz zrobić, jakoś mu posłuży. Czy coś dzięki temu zyska? Czy przywróci mu to jakąś władzę nad własnym życiem lub przeznaczeniem? Przekonasz się wówczas, że twoje wątpliwości znikną”.

Ogólnokrajowa kampania wyborcza jest trudną próbą dla kogoś, kto nigdy nie ukrywał swej awersji do władzy. Sonia, już krańcowo wyczerpana, rankiem w dniu wyborów nawet nie jest w stanie zmienić sari. Postanawia iść w tym, które nosi na co dzień. Jest białe, a to w Indiach kolor wdów, co w pewien sposób pozwoli jej ożywić wspomnienie Rajiva. Skoro nie może już go pieścić, przynajmniej stara się ocalić o nim pamięć. I robi to dla swoich dzieci, Rahula i Priyanki. Nic tak nie łączy jak ból po stracie ukochanych osób.

Sonia, która nie znosi skupiać na sobie uwagi, która w całym życiu udzieliła tylko dwóch wywiadów, nauczyła się nagle sześć razy dziennie, w różnych miejscach, rozpalać tłumy liczące nawet po sto tysięcy ludzi. Mówiła w hindi swobodnie, z lekkim akcentem. Wygłaszała przemówienia w stylu Indiry, starając się przekonać sześćset milionów wyborców, aby głosowali na Kongres. Czasem trudno było jej uwierzyć, że stoi na czele największej demokratycznej organizacji politycznej na świecie. Gdyby ktoś wywróżył jej to w młodości, kiedy jeszcze mieszkała we Włoszech, nazwałaby go szaleńcem.

Co mówiła tym milionom wyborców, którzy tak uważnie jej słuchali? Opowiadała im o swojej politycznej rodzinie,

która rządziła Indiami przez ponad cztery dekady i która od siedmiu lat już nie sprawowała władzy. Mówiła o wartościach, które zawsze reprezentowali członkowie rodziny Nehru - Gandhi: o wolności, tolerancji, laickim państwie i o jedności. Tłumaczyła, że nie są to zwykłe wybory, ale historyczna konfrontacja między odmiennymi systemami wartości, między diametralnie przeciwnymi ideologiami. Walka między światłem a obskurantyzmem, między Indiami, w których jest miejsce dla wszystkich ludzi i wszystkich religii, a Indiami pozbawiającymi praw rzesze swych synów i córek. Toczy się gra - powtarzała - o prawo współistnienia niezliczonych kultur, grup etnicznych, kast i religii, które tworzą Indie, czyli o sam byt kraju jako narodu.

Miasta są wytapetowane plakatami wyborczymi. BJP jest bardzo zadowolona ze swojego hasła: „Indie lśnią”, które nawiązuje do pomyślnego rozwoju gospodarki. PKB przyrasta o 9 procent rocznie, dwa sezony obfitych deszczy monsunowych zapobiegły klęsce głodu, ustabilizowały się relacje ze starym wrogiem, Pakistanem. Rządzący są zatem spokojni i ufni. Myślą, że Kongres - ich główny rywal, jest skończony, niezdolny do odrodzenia się z popiołów, przygnieciony ciężarem własnej biurokracji. Są przekonani, że Sonia nie jest wystarczająco zdolnym i doświadczonym przywódcą, by wskrzesić swoją partię, a tym bardziej - by w tych wyborach zdobyć satysfakcjonującą liczbę mandatów. Jest cudzoziemką, nie ma ani charyzmy teściowej, ani uroku męża. Kąśliwie głoszą, że nigdy nie wyraziła interesującej opinii ani o żadnych wydarzeniach międzynarodowych, ani o kierunkach gospodarczego rozwoju kraju. Uważają również, że skutecznie udało im się wmówić opinii publicznej, że jest zwykłą gungi gudija, marionetką, którą manipulują bez skrupułów starzy partyjni wyjadacze. Ale czy nie mówili tego

samego o Indirze Gandhi podczas jej pierwszej kampanii wyborczej?

Jednak ci z przeciwników, którzy naocznie śledzili bieg wydarzeń, nie uważali, że mają aż taką przewagę. Byli świadkami, jak Sonię i jej dzieci wspaniale przyjmowały tłumy kobiet i mężczyzn, obsypując przybyszów różami i goździkami, wspólnie wyśpiewując w uniesieniu ich imiona. „To nie jest polityka, tylko emocje” - powiedział pewnego dnia europejski dziennikarz do Rahula, który w wieku trzydziestu trzech lat postanowił kandydować z okręgu swojego ojca, Amethi. Jeśli Sonia przegra, to jej syn podejmie pałeczkę. Nikt nie umknie przeznaczeniu nazwiska.

„Dla kogo lśnią Indie? - pyta Sonia w swoich przemówieniach. - Dla wieśniaków, którzy popełniają samobójstwo, pijąc truciznę na szczury, bo nie mogą spłacić długów?” Tłum przyjmuje jej słowa okrzykami aprobaty.

Hasło „Indie lśnią”, skierowanemu przede wszystkim do miejskiej klasy średniej, czyli trzystu milionów wyborców, Sonia przeciwstawia inne, mniej połyskliwe, ale adresowane do tych siedmuset milionów ludzi, które jeszcze nie zakosztowały owoców rozwoju gospodarczego. „Wybierzcie rząd, który będzie działał dla was” - powtarza. Tego hasła w różnych kampaniach używała Indira. Nowoczesnym metodom kampanii stosowanym przez partię rządzącą, która przesłanie premiera przekazała do stu dziesięciu milionów telefonów stacjonarnych i komórkowych w całym kraju (w ten sposób ustanowiono prawdziwy rekord propagandowy, docierając do trzystu pięćdziesięciu pięciu milionów wyborców w wieku poniżej dwudziestu pięciu lat), Sonia przeciwstawia kampanię tradycyjną. Pracowicie objeżdża Indie, ściska ręce, pławi się w sentymentalnym uwielbieniu mas.

Tata safari, którym podróżowała, często zatrzymywało się dziesięć razy w ciągu godziny, ponieważ otaczały je tłumy

wieśniaków o wychudzonych twarzach i szczupłych ciałach, klejąc się do szyb. Sonia musiała użyć siły, by otworzyć przednie drzwi i stanąć na progu samochodu, a tłum tłoczył się jeszcze bardziej, wznosząc radosne okrzyki, wyciągając ręce w szalanej nadziei, że jej dotknie.

Podczas tej kampanii rzucało się w oczy, że dzieci Soni budzą równie gorące uczucia. Zwłaszcza trzydziestodwuletnia Priyanka, choć sama nie ubiegała się o żaden mandat, potrafiła porwać tłumy przybywające tylko po to, aby jej posłuchać. Ponieważ urodziła właśnie córeczkę Mitrayę i opieka nad nią oraz starszym Rehanem bardzo ją absorbowowała, matce i bratu pomagała tylko sporadycznie. Wystarczało jednak, żeby wykonała gest pozdrowienia, a natychmiast, wśród radosnych okrzyków, odpowiadały jej setki rąk. Rahul także budził sympatię mas: gdy tylko opuścił szybę samochodu, całe wnętrze wypełniało się płatkami róż. Pewnego dnia, gdy przegrzał się silnik i szofer, nie mogąc go ponownie uruchomić, wysiadł, żeby otworzyć maskę, Sonia, starając się coś zobaczyć przez szybę brudną od potu i rozgniecionych płatków, powtarzała: „Cóż za bałagan, cóż za bałagan!” „Mamo, zostań w samochodzie” - powiedział syn, klepiąc ją po ramieniu, przestraszony, że przyjdzie jej do głowy opuścić pojazd i zignorować zasady bezpieczeństwa. W końcu kierowca wrócił, udało mu się ponownie zapalić.

- Co się stało? - spytała Sonia.

- To kwiaty, proszę pani - odpowiedział. - Stokrotki zablokowały otwory chłodnicy!

To nie był wizerunek politycznej dynastii, która zmierza do klęski, jak prognozowali przeciwnicy, a nawet niektórzy koledzy z partii. Choć tylko nieliczni chcieli to dostrzec, był to obraz rodziny, która zdołała dostroić się do odczuć narodu. Sonia zdobyła dla siebie szacunek i miłość przybranej ojczyzny, ponieważ zgodziła się żyć tym samym życiem,

które zabiło jej szwagra, męża i teściową. Naród, kołysany od tysiąca lat Ramajaną i Mahabharatą, wielkimi epopiejami, w których bohaterskie czyny ludzi konkurują z czynami bogów, zdawał się doceniać jej poświęcenie i okazywał to przy każdej nadarzającej się okazji. A ona nie traciła sposobności, by odwzajemniać okazywane uczucia. Podczas kampanii, po czterech długich upalnych dniach, odprężyła się tylko raz, kiedy pośrodku zapylonej równiny kazała się zatrzymać wyborczej świcie i sama podeszła do grupy tułaczek siedzących pod otwartą szopą z patyków i czarnego plastiku. Kobiety nie miały pojęcia, kto do nich przybywa. Sonia nie rozumiała ich dialektu. Fotografowie zostali z tyłu i nikt nie uchwycił tego spotkania. Ale daleko od tłumów, prasy i partyjnych wieców Sonia Gandhi cieszyła się, obejmując najbiedniejsze kobiety w Indiach.

Sonia nie sądzi, że wygra; prawie nikt w partii w to nie wierzy, a ona jeszcze mniej od innych. Nie ma takiej możliwości. Sondaże brzmią zgodnie: Kongres nie należy do faworytów. *She has no chance!* - krzyczy prasa. Nie da się jednak uniknąć teoretycznych pytań, czy jako pierwsza Hinduska obcego pochodzenia zostanie premierem. W teorii owszem, jeśli Kongres i jego sojusznicy zdobędą potrzebną większość mandatów, a następnie wyznaczą ją na to stanowisko. Pod względem prawnym również, ponieważ konstytucja nie stwierdza, że tylko osoby urodzone w Indiach mogą aspirować do najwyższych stanowisk rządowych. Świadomi, że świat Indii jest większy niż sam naród indyjski, ci, którzy dwa lata po Podziale opracowywali Carta Magna, pozostawili tę możliwość otwartą dla wszystkich. Nie nałożono ograniczeń, ponieważ tragedia Podziału spowodowała wielki napływ uchodźców z Pakistanu i Bangladeszu i obawiano się stworzenia pretekstu do kolejnych podziałów.

Na razie w tych wyborach Sonia tylko stara się powstrzymać hinduskich nacjonalistów i przy okazji podbudować Kongres, wydobyć go z marazmu. Realizacja tych celów całkowicie ją usatysfakcjonuje. Spełniłaby powinność wobec rodziny i wobec zagrożonych dzisiaj ideałów, których zawsze bronili jej członkowie. Pozbyłaby się nieco ciężaru ogromnego dziedzictwa, jakie dźwiga. I może wreszcie troszeczkę by odpoczęła.

Choć nikomu o tym nie mówi, dobre wyniki byłyby ponadto przyjemnym rewanżem na tych, którzy obrzucali ją kalumniami i poniżali nieustannie, odkąd w 1998 roku zdecydowała się objąć funkcję przewodniczącej partii. W miarę jak zbliżała się data wyborów, te ataki stawały się coraz brutalniejsze. Oszczercy zadali jej cios poniżej pasa, ujawniając, że obywatelstwo indyjskie otrzymała dopiero w 1983, czyli zaledwie na rok przed objęciem przez Rajiva stanowiska premiera. „Dlaczego nie zrobiła tego wcześniej, skoro była zamężna od 1968 roku i mówiła, że czuje się Hinduską? Zrobiła to, aby pomóc mężowi wygrać wybory. Jej tak zwana hinduskość jest czystą żądzą władzy” - insynuują. Ten podły argument ma zbrukać jej wizerunek i ukazać ją jako osobę chorobliwie ambitną. Zrobiła tak, by powstrzymać ataki Maneki, która pierwsza podniosła kwestię jej włoskiego pochodzenia. Poza tym może w 1983 roku Sonia jeszcze nie czuła się w pełni Hinduską, może proces jej hinduizacji był długi i narastał przez lata znaczone rodzinnymi tragediami... Ale kogo obchodzi prawda?

Ataki są tak podłe, że na początku kwietnia Sąd Najwyższy zgłasza propozycję prawnego zakazu „kalumnii” podczas kampanii wyborczej. Jest jednak za późno; nastroje zanadto zostały rozgrzane. Spokój przy urnach staje się nieosiągalnym marzeniem. Dwa dni wcześniej Sonia po raz ostatni starała się podważyć zarzuty dotyczące jej

pochodzenia. W Śriperumbudurze, gdzie zamordowano Rajiva, podczas tłumnego wiecu kończącego kampanię zwróciła się do tysięcy swoich zwolenników: „Jestem tutaj, stąpając po tej ziemi zmieszanej z krwią mojego męża. Zapewniam was, że nie ma dla mnie większego zaszczytu, niż ofiarować mój los dla dobra Indii". Naród wydaje się nie wątpić w szczerść jej słów, wie, że polityka i życie osobiste Soni Gandhi są ze sobą ściśle związane. Powściągliwość jej reakcji i ogromna godność, z jaką przyjmuje najpodlejsze ataki, sprawiają, że wydaje się jeszcze bardziej indyjska, bardziej godna ich zaufania.

Dziś jest zachrypnięta, dlatego odpowiada gestem i uśmiechem majordomusowi, który anonsuje, że wszyscy czekają, by zawieźć ją na głosowanie. Już gotowa, z torbą na ramieniu, stoi wpatrzona w telewizor nadający właśnie poranny serwis informacyjny. Prezentowane są właśnie informacje ze świata: dziś mija dziesiąta rocznica objęcia władzy w Afryce Południowej przez Mandelę, człowieka, którego zna osobiście i podziwia; w amerykańskiej kampanii wyborczej prezydent Bush wygrał z kandydatem demokratów Johnem Kerryem, mimo że poparcie społeczne dla wojny w Iraku coraz bardziej spada... Nie tylko w Indiach polityka jest pełna sprzeczności i niespodzianek.

Jednak ze szczególnym niepokojem Sonia oczekuje na przepowiednię wyborczą znanego astrologa Ajaya Bahambiego, który zyskał sławę, kiedy Hillary Clinton poprosiła go, by powróżył jej z ręki. W końcu pojawia się i on. Jego mocny i zdecydowany głos zdradza osobę przekonaną o słuszności własnych słów. Brodata wyrocznia zapewnia, że obecnie rządząca partia potwierdzi swój mandat, zdobywając ponad trzysta dwadzieścia miejsc w parlamencie. Oznacza to dla Kongresu poniżającą klęskę. Precyzyjny wynik i pewność siebie astrologa podłamują Sonię. Nie lęka się przegranej, ale

boi się, że zostanie ośmieszona. Energicznie naciska pilota i wyłącza telewizor. Przed wyjściem przechodzi przez kuchnię, by wydać instrukcje. Dziś przyjdą na obiad dzieci i wnuczeta. Wolałaby spotkać się z nimi w La Piazza, doskonałej włoskiej restauracji w hotelu Hyatt, do której zwykle chodzą w niedzielę albo gdy pragną uczcić jakieś wydarzenie. Ale ponieważ nie chce znów rozniecać kontrowersji na temat swej „włoskości”, woli tym razem pozostać w domu. To nie jest dobry moment, by pokazano ją na zdjęciach jedzącą makaron.

Czeka, aby wyjść tuż przed dziewiątą. Żyjąc w Indiach, zaraziła się nieco miejscowymi wierzeniami, a według deputowanego z jej partii, który dzwonił rano z Kerali na południu, Rahu Kalam przypadnie dziś między siódmą trzydzieści a dziewiątą rano. Jest to czas uznawany za mało pomyślny dla podejmowania jakichkolwiek działań. Obliczają go starannie astrologowie i ogłaszają w hinduskich kalendarzach. Sonia nie wierzy aż tak mocno w przesady, ale nigdy nic nie wiadomo, w obecnej sytuacji lepiej mieć wszystko po swojej stronie.

Gdy tylko otwiera drzwi do ogrodu, czuje uderzenie gorąca. Tylko miesiąc dzieli Indie od monsunowych deszczy. Do tego czasu temperatura stale i nieubłaganie rośnie. Sonia nakłada swoje wielkie okulary przeciwsłoneczne, rzuca spojrzenie na otoczenie domu: trawnik pożółkł, zwiędły już kwiaty, które zdobiły go w lutym. Ale cień wielkich drzew chroni resztę roślinności. Dziś termometr wskazuje czterdzieści trzy stopnie, co nie przeszkadza, by po drugiej stronie ogrodzenia grupa zwolenników spędzała długie godziny, czekając na chodniku na darśan. Nie mogą jednak jej zobaczyć. Przez te wszystkie środki ostrożności nie wolno Soni robić tego, co niegdyś robiła Indira, która w drzwiach swojej rezydencji przez chwilę mogła rozmawiać z ludźmi. To były inne czasy. Teraz służby specjalne informują o „stałym

zagrożeniu" ze strony grup skrajnych ksenofobów. Sonia jest przyzwyczajona do życia w ciągłym strachu. Nie ma innego wyjścia, musi to zaakceptować po tylu latach i tylu chwilach przerażenia. Najtrudniejsza jest dla niej myśl, do której nigdy nie mogła się przyzwyczaić: że coś mogłoby się stać jej dzieciom, a teraz także wnukom.

Funkcjonariusze ochrony czuwający w budce wartowniczej przy rezydencji ledwie mieli czas pozdrowić Sonię. Opancerzony ambassador w kolorze kremowym wyjechał z piskiem opon, eskortowany przez drugi samochód z kogutem na dachu. Sonia opuściła przyciemnioną szybę i gestem ręki pozdrowiła swoich zwolenników, ale jechała tak szybko, że nie była pewna, czy ją w ogóle dostrzegli. Trasa z domu do zespołu budynków rządowych Nirman Bhawan, w których znajduje się punkt wyborczy, jest krótka. Jej pokonanie zajmuje niecałe dziesięć minut, zwłaszcza dziś, w dniu wolnym od pracy ze względu na wybory. Przyjemna droga prowadzi szerokimi alejami wysadzanymi wielkimi drzewami wiecznie zielonymi, a teraz obsypanymi kwieciami. Miasto ogromnie się zmieniło. W chwili pojawienia się Soni zaledwie trzymilionowe, obecnie liczy ponad piętnaście milionów mieszkańców. Ma kolorowe stacje benzynowe, takie jak w Europie, wielkie sklepy, centra handlowe, kawiarnie, najrozmaitsze restauracje, mnóstwo luksusowych hoteli, supermarketów, w których można dostać wszystko, od wędzonego łososa ze Szkocji po wino z Rioja. Ale centrum miasta pozostało takie samo, zwłaszcza kiedy nie ma ruchu. Sonia wszystkie miejsca łączy ze wspomnieniami. Każdy róg, każdą ulicę, każdy sklep: w tej cukierni kupowała dla Rajiva jego ulubiony deser, przy tym placu mieszkała jej przyjaciółka Sunita, ulicą wychodzącą na Akbar Road prowadziła dzieci do ochronki, na tym nasypie ziemnym rozbiła się awionetka szwagra... I tymi samymi alejami jechała podobnym

ambasadorem w dniu, który zmienił ich życie. Wydawało jej się wtedy, że samochód już nigdy nie dojedzie. Krew Indiry spływała na siedzenia wyłożone aksamitem, tworząc ogromną czarną plamę.

Dlatego czuje, że jej serce należy do tych ulic, do tego miasta, do tego kraju. Aby bronić się przed oskarżeniami, kazała porozlepić w okręgu wyborczym plakaty, na których zamieszczono fotografie z jej życia w Indiach, odkąd przybyła tu jako narzeczona Rajiva. „Jakiej indyjskiej tradycji nie dopełniłam? - głośił podpis. - Jakiej tradycji nie przestrzegałam jako synowa, żona, wdowa lub członek Kongresu?” Sonia stale przeżywa traumę z powodu kierowanych wobec niej jadowitych ataków.

Wjazd do Nirman Bhawan jest silnie strzeżony przez policję i wojsko czekające na jej przybycie. Przy bramie witają ją strażnicy: łączą dłonie, podnoszą je do piersi, mamrocą tradycyjne namaste. Wszyscy się uśmiechają. Jej samochód jako jedyny ma prawo wjechać do środka. Naprzeciwko punktu wyborczego numer 84 czekają na nią znane osoby oraz chmara dziennikarzy, fotografów i sympatyków. „Jak się czuje Włoszka głosująca w Indiach?” - pyta złośliwie stary dziennikarz niekryjący swoich sympatii politycznych. „Czuję się Hinduską. Ani trochę nie czuję się Włoszką” - odpowiada mu Sonia zachrypniętym głosem. Urzędnik przy stoliku wyborczym wita ją szerokim uśmiechem i zawiesza na jej szyi girlandę z goździków.

- Niektórzy koledzy z Kongresu mówili, że przyjdzie pani o siódmej rano - mówi.

- Przykro mi, że się spóźniłam. Przepraszam.

- Nie ma za co, proszę... - odpowiada zawstydzony mężczyzna. - Jest pani szesnastą osobą głosującą przy tym stoliku... To dobra liczba, przyniesie pani szczęście - dodaje,

prezentując Soni, jak działa nowiusieńka elektroniczna maszyna do głosowania, przedmiot dumy indyjskiej techniki.

Ponad milion takich plastikowych pudeł o rozmiarach niedużej walizki, z zasilaniem na baterie, rozprowadzono na terenie całego kraju, z nadzieją, że przyspieszą one liczenie głosów i zapobiegną nadużyciom. Do miejsc najbardziej odległych dostarczano je na grzbietach słońi. Już nie będzie więcej zabitych i rannych podczas walk frakcji politycznych, które oskarżają się wzajemnie o handlowanie zawartością urn. Teraz proste „bip”, wydobywające się po naciśnięciu klawisza przy nazwisku i symbolu wybranego kandydata, oznajmia, że głos został zarejestrowany. W taki sposób również Sonia oddaje swój głos, jeszcze jeden z głosów milionów Hindusów, którzy usłyszą dziś ten sam dźwięk, uczestnicząc w wyborach powszechnych. Dziennikarze nagle kierują się w stronę staruszki, która przybyła na głosowanie niesiona przez krewnych na stołku. Ma sto osiem lat, jest birmańską uciekinierką, odpowiada dziennikarzom drżącym głosem: „Zawsze głosowałam na Kongres, ponieważ pomógł nam wyemigrować do Indii, gdy Chiny wypowiedziały wojnę Birmie”. Naciska klawisz i „bip”! Kiedy Sonia opuszcza Nirman Bhawan, w drodze powrotnej spotyka wielu ludzi, którzy ją oklaskują. Prosi kierowcę, żeby się zatrzymał, i wychodzi. Natychmiast otaczają ją ochroniarze i nakazują, aby wróciła do samochodu, lecz ona stanowczym gestem odmawia. Nie chce odejść bez pozdrowienia tego tłumu, pełnego entuzjazmu, skandującego jej imię, niestrudzenie powtarzającego gloryfikujące ją hasła. To jest minimum, które winna zrobić dla tych wszystkich, czekających na nią w skwarze. Nie zważając na zdenerwowanie ochroniarzy, kieruje się w stronę ludzi, wita ich skinieniem głowy, łączy w górze ręce, dziękuje, uśmiecha się... Wszyscy chcą jej dotknąć i ona - gdyby tylko mogła - chciałaby uścisnąć każdego po kolei.

Poznaje ten sam powiew sympatii, która zawsze istniała między kolejnymi pokoleniami Hindusów a członkami jej rodziny, ten prąd płynący między nią a narodem i wyrażający się w wymianie spojrzeń, niekiedy w uścisku dłoni, w porozumieniu ponad wszelkimi barierami.

Kiedy z powrotem wsiada do samochodu, zaczyna się zastanawiać, czy tego ranka w telewizji astrolog nie przesadził ze swoją zdecydowaną przepowiednią. Ale jest to myśl ulotna. Sonia wie lepiej niż ktokolwiek inny, że można przegrać wybory, mimo iż poprzedniego wieczoru było się popieranym przez miliony.

Na pierwsze wybory w XXI wieku stawiło się sześćset siedemdziesiąt milionów obywateli - elektorat dwukrotnie większy niż w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Aby zorganizować tak trudne przedsięwzięcie i zapewnić bezpieczeństwo wyborcom, głosowanie podzielono na cztery dni, rozłożone w ciągu trzech tygodni. Ostatni dzień wyborów przypadał na dziesiąty maja 2004 roku. Cztery miliony funkcjonariuszy w siedmiuset tysiącach punktów wyborczych zbierało głosy, które przez kolejne pięć lat miały wpływać na los jednej szóstej ludności świata. Wielką nowością było zastosowanie zdobyczy techniki. Podczas wyborów w 1999 roku działały tylko trzy kanały telewizyjne, teraz, oprócz satelitarnych, było ich ponad tuzin, nadających dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pięć lat wcześniej odnotowano w Indiach około półtora miliona telefonów komórkowych, dzisiaj było ich już trzydzieści milionów. Telewizja pokazywała uśmiechy, wykwintne stroje, zmęczenie, radość i zdumienie kandydatów, ich wyczekujące spojrzenia i rozmaite gesty, co często powodowało wzrost lub spadek popularności. Nikt jednak tak naprawdę nie wiedział, której partii technika mogła bardziej sprzyjać.

Obliczanie głosów miało się rozpocząć trzynastego maja. Dzięki możliwościom stworzonym przez urny elektroniczne pierwsze wyniki planowano podać już nazajutrz, w weekend. Ale dla kandydatów był to bardzo długi tydzień. Sonia chciałaby wyjechać na kilka dni, pooddychać świeżym górskim powietrzem. Musi jednak odłożyć te plany, by nie stwarzać pozorów braku zainteresowania walką wyborczą. Jej koledzy z Kongresu nie zrozumieliby tego, że nie zostaje w stolicy, że nie stoi w pierwszym szeregu, nie broni się przed ostatnimi atakami, nie mobilizuje towarzyszy lub nie dyscyplinuje niesfornych deputowanych.

W czwartek trzynastego maja 2004 roku Indie czekają od rana na pierwsze rezultaty. Upał zmusza rolników do przerywania pracy. Wszyscy zbierają się przy tranzystorach lub przed telewizorami. W kraju, w którym każdy uczestniczy w świętowaniu, wielki spektakl demokracji jest traktowany jako jeszcze jedno święto. Być może w miejscu tak gęsto zaludnionym szacunek dla człowieka nabiera większej wartości. W licznych wsiach, które nie mają zasięgu radiowego, trzeba wypatrywać jakichś podróżnych, aby się czegoś dowiedzieć. Informacja o wynikach wyborów może tam dotrzeć nawet po dwóch tygodniach. Metropolia New Delhi żyje wielkim oczekiwaniem. Koncentruje się ono w usytuowanych w centrum miasta głównych kwaterach dwóch największych partii, tam gdzie zdecydowano o strategiach i opracowywano wytyczne. Jasne klimatyzowane sale wypełniają monitory, komputery, kamery wideo, drukarki i wszelkiego rodzaju sprzęt techniczny. Młodzi ludzie ubrani na zachodnią modłę ciężko pracują w biurach, z komórkami przy uchu. Ich jedyną koncesją na rzecz tradycji jest trzymana w ręku filiżanka herbaty z mlekiem. W kwaterze głównej Kongresu przebywa więcej dziennikarzy niż członków partii. Ci ostatni chowają się w swoich domach, zgnębieni spekulacjami o klęsce nadawanymi w radiu i telewizji. Niektórzy, usposobieni bardziej optymistycznie, w charakterystycznych czapkach spopularyzowanych przez Nehru, rozmawiają z dziennikarzami wyczekującymi pierwszych reakcji.

Niedaleko stąd, w rezydencji Soni, atmosfera jest także napięta. Ciężkie milczenie spowija dom, ozdobiony przedmiotami przywiezionymi z całych Indii, pięknymi tkaninami i kilkoma starymi malowidłami na szkło, które Sonia szczególnie lubi. Nic ostentacyjnie nie podkreśla, że jest to dom wyjątkowej rodziny. Tylko gabinet wygląda tak, jak

zostawił go Rajiv. Ustawione na stołach fotografie w srebrnych ramkach ukazują spotkania rodziny Nehru z rodziną Kennedych, Gorbaczowem, de Gaulle'em i innymi wybitnymi postaciami XX wieku. Tu też na białych ścianach wiszą w drewnianych ramach słynne portrety Nehru, Indiry i Rajiva, którzy dzisiaj również wydają się żyć własnym życiem, jakby z zaświatów oczekiwali w napięciu na wyniki.

Siedzący na sofach i kucający współpracownicy Soni chętnie piją herbatę z kardamonem, którą częstuje ich gospodyni. Panuje niezręczne milczenie, a Sonia woli nie włączać telewizora. Chce oszczędzić sobie rozczarowania przy poznawaniu częściowych rezultatów. Woli dowiedzieć się wszystkiego od razu, kiedy już będzie musiała. Teraz, na samym finiszu, nachodzi ją wątpliwość, czy nie sprzeniewierzyła się rodzinie. Wie, że jeśli wygra, będzie to zwycięstwo Soni Gandhi, która pokazała elektoratowi, że jest kobietą wrażliwą, szczerą i odważną, natomiast jeśli przegra, będzie to klęska „wdowy po Rajivie” albo „synowej Indiry”, „Włoszki”, która nie sprostała wyzwaniu i której zabrakło zarówno politycznych zdolności, jak i ambicji. Czy naprawdę zasługuję na zwycięstwo? - zastanawia się w tej chwili, gdy w jej głowie kłębią się rozmaite chaotyczne, a nawet sprzeczne myśli.

W komórcie jej przyjaciółki Ambiki, sekretarza generalnego partii i koleżanki, z którą ostatnio spędziła najwięcej godzin, odzywa się melodyjka Kongresu. Kobieta odstawia filiżankę na stolik i przykłada telefon do ucha. Od razu się uśmiecha i kończy: „Soni, nasi sprzymierzeńcy wygrali w Tamilnadzie”. Dobra wiadomość łagodzi nieco atmosferę. Tam przynajmniej się nie ośmieszyliśmy - myśli Sonia. Tamilnad to wielki stan, z pewnością ważny dla ostatecznego rezultatu, ale wszyscy niecierpliwie czekają na wyniki w tak kluczowych stanach, jak Uttar Pradeś,

Maharasztra i Karnataka. Sonia umiera z ciekawości, tak pragnęłaby już wszystko wiedzieć, a jednocześnie tego nie chce.

Kilka sekund później dzwoni inna komórka. „Soniu, wygraliśmy w Maharasztrze!” - ogłasza członek jej ekipy. Dźwięk faksu łączy się z dźwiękiem komórek: maszyna wyrzuca fotokopie gazet z wiadomościami nadchodzącymi z różnych delegatur partii... I są to same dobre informacje. W jednej chwili gabinet zostaje zaatakowany kakofonią dźwięków, opinii i fragmentów rozmów. Sonia czuje się zaskoczona. W końcu dzwoni jej prywatny domowy telefon.

- Gratulacje, Soniadzi! Nie dość, że wygraliśmy, to jeszcze roznieśliśmy konkurentów. W moim imieniu i wszystkich członków Kongresu przekazuję ci nasze najszczerze gratulacje.

- Nie ogłaszajmy jeszcze tej dobrej wiadomości, trzeba być ostrożnym - odpowiada Sonia.

- Tak, masz rację, ale już znamy tendencję...

Sonia przenosi wzrok na członków ekipy, z uśmiechem, który ożywia jej słynne dołeczki, zawsze pojawiające się wtedy, kiedy jest szczęśliwa.

- Włączę telewizor - mówi, wstając.

Na ekranie widać dobrze znane miejsce: Akbar Road, gdzie znajdują się biura partii, oddalone o niecałe pięć minut drogi od domu. Rozpaleni zwolennicy noszą transparenty i wykrzykują hasła: „Niech żyje Sonia Gandhi!”, „Niech żyje Kongres!” Inni odpalają petardy, tańczą i piją na ulicy. „Przezywali ją cudzoziemką, ale naród udzielił miażdżącej odpowiedzi!” - mówi sympatyk Kongresu, trzymając sztandar w barwach narodowych: szafranu, zieleni i bieli. „To jest prezent od Wszechmogącego!” - oświadcza znany członek partii ze łzami w oczach. Pierwsza demonstracja radości wprawia wszystkich w osłupienie. Sonia jest kompletnie

nieprzygotowana na okrzyk, który dochodzi z tłumu: „Niech żyje pani premier Sonia Gandhi!” Kamienieje, jakby rzeczywistość nowej sytuacji zaatakowała ją z ekranu telewizora. Ogłuszona powagą tego, co na nią spada, siada na brzegu sofy. Chce ukryć swój niepokój, ale jest tak poruszona, że nie potrafi.

- Dobrze się czujesz? - pyta ją Ambika.

Sonia oddycha głęboko i wskazuje na pierś, jakby miała początek ataku.

- Chcesz, żebym poszła po twój inhalator?

- Nie trzeba... już mi przechodzi.

W głębi ducha modli się, żeby nie nadszedł atak astmy. Odczuwa niepokój, który pogłębiają okrzyki rozentuzjasmowanych zwolenników: „Sonia Gandhi premierem!”

Prezenter wraca do relacjonowania wyników. Gdy przedstawia je stanami, wydaje się, jakby głos różnych społeczności Indii wnikał do wnętrza gabinetu niczym echo, które nadchodzi z bardzo daleka, z wiosek na tybetańskich zboczach Himalajów, z glinianych chałup ludu Biśnoi na pustyni Thar, od plemion zamieszkujących lasy namorzynowe na południu, od rybaków z ogromnych plaż Kerali, od muzułmanów z Gudżaratu, którzy przeżyli ostatnie masakry hinduskich fundamentalistów, od milionów ze slumsów Bombaju i Kalkuty... Głos ludu powtarza to samo, zaskakując Sonię, jej współpracowników i jej przeciwników, całe Indie, a także cały świat. Głos, który stanowi wyzwanie dla prognoz ekspertów politycznych, magnatów telewizyjnych i instytucji badania opinii publicznej. Głos, który buntuje się przeciw zaplanowanej dominacji mediów nad masami. Żaden z ekspertów nie przewidział spektakularnej klęski partii rządzącej. Rezultaty podważają także wiarygodność wielu astrologów, chiromantów i domniemanych magów, którzy

zasiali kłamstwa w kraju. Słynny astrolog Ajay Bahambi okrył się niesławą!

Początkowe zdziwienie zamienia się szybko w euforię, kiedy telewizja ogłasza, że Kongres jest bliski zdobycia stu czterdziestu pięciu mandatów, co pozwoli mu wraz z sojusznikami osiągnąć upragnioną liczbę dwustu siedemdziesięciu dwóch mandatów umożliwiającą utworzenie rządu. Tę liczbę, którą Sonia ogłosiła przedwcześnie w 1999 roku, a którą teraz urzeczywistniła. Niepokój miesza się głęboką satysfakcją. Ukoronowaniem tego triumfalnego dnia jest wiadomość, że Rahul został wybrany na deputowanego do parlamentu z okręgu Amethi jako godny następca ojca. Podwójne zwycięstwo, które restauruje władzę najbardziej podziwianej i najbardziej szkalowanej rodziny w Indiach. Dźwięk telewizora natychmiast zagłuszają okrzyki tłumu, który przyszedł pod dom i wiwatuje na cześć Soni. W siedzibie Kongresu przy Akbar Road funkcjonariusz odpowiedzialny za bezpieczeństwo partii, przewidując wielką koncentrację ludzi, wzywa policję z New Delhi, by posłała posiłki na Janpath 10.

BJP przegrywa w dwudziestu czterech na dwadzieścia osiem stanów. Ponosi klęskę nawet w swoich bastionach, uznawanych za niezdobyte, takich jak święte miasto Benares i sama Ajodhja. Tym razem przekonanie, że miejskie zamieszki przełożą się na głosy, okazało się ogromnym błędem.

- Naród zareagował - mówi Priyanka, która przyszła pogratulować matce.

Każda mijająca minuta sprawia, że hasło „Indie lśnią” staje się jeszcze śmieszniejsze, jakby głosujący przejrżeli fałsz propagandy sukcesu, wykluczającej z gry większość społeczeństwa - tę, która żyje z dala od miast, ale która teraz z rozpalonych równin i zapadłych wsi bierze odwet. Spojrzenie Soni wyraża uczucia jej współwyznawców: triumf, radość,

śmiech i w pewnym momencie łązy. Ona, która wystartowała w wyborczym wyścigu, mając tylko jedną nadzieję, że nie zostanie zniszczona, dociera do mety jako absolutna zwyciężczyni.

Imponujący bunt - taki tytuł widnieje na okładce specjalnego wydania „Hindustan Timesa”, najpoczytniejszego angielskiego dziennika w New Delhi, następnego dnia, w piątek czternastego maja. W rezydencji Soni mnóstwo faksów z gratulacjami i poparciem. Listy, telegramy, SMS - y... Zewsząd i wszelkimi drogami napływają gratulacje dla przyszłej „pani premier”. Carlo Marroni, burmistrz Orbassano, wysłała jej telegram w imieniu dwudziestu pięciu tysięcy mieszkańców miasta: „Jesteśmy dumni z Pani i życzymy, by szła Pani drogą rozwoju i solidarności w największej demokracji świata. Podzielamy z Panią i Indiami te wartości, które nas wszystkich łączą”.

Paola, matka Soni, dowiaduje się o triumfie córki w swoim domu przy via Bellini od lokalnej dziennikarki. Potem spada na nią deszcz telefonów. „Tak, jasne, że się cieszę - powtarza, ukrywając zmieszanie - ale czuję się osaczona i nie mam nic do powiedzenia” Jak powiedzieć, że boi się, żeby jej córce nie zdarzyło się to samo co zięciowi? Dlatego woli milczeć i decyduje się nie odpowiadać więcej na żadne telefony.

Teraz zadaniem Soni jest zawiązać koalicję zdolną do rządzenia. Bez chwili wahania zwraca się do starego przyjaciela, błyskotliwego ekonomisty, sikha Manmohana Singha, swojego przewodnika w sprawach gospodarczych. Wspólnie z nim zajmuje się opracowaniem szczegółów umowy, która ma doprowadzić do trwałego porozumienia z pozostałymi członkami koalicji, liczącej ponad dwadzieścia partii. Jak odległe są czasy Indiry czy Rajiva, kiedy Kongres rządził, dysponując absolutną większością! Obecnie polityka przypomina gigantyczny kociołek, w którym gotują się marzenia, aspiracje i coraz bardziej zróżnicowane, niekiedy sprzeczne interesy jednej szóstej ludzkości. Sonia szybko

zajmuje stanowisko głównego kucharza. Musi dobrze doprawić swoją potrawę, jednocześnie zadowolając komunistów z frontu lewicy, liberałów, partie regionalne i przedstawicieli kast... Jest do tego przygotowana: miesiącami nawiązywała sojusze, rozmawiając z tymi i owymi, wyrównując drogę porozumienia. Jej dyskretna, niewidoczna praca teraz przynosi owoce. Jak już na to wskazywały zakonnice z Giaveno, Sonia ma talent do budowania zgody: w tym akurat nie przypomina swojej teściowej, która była bardziej skłonna do autorytaryzmu. Naprawdę interesują ją wielkie problemy państwa, takie jak zredukowanie biedy i zapewnienie wzrostu gospodarczego, osiągnięcie pokoju z Pakistanem i rozwiązanie spornej kwestii Kaszmiru. Jej koalicjanci myślą inaczej. W większości są to prawdziwi satrapowie, przywódcy partii regionalnych, ludzie o większym ego niż ich organizacje. Każdy z nich zamierza upiec własną pieczeń przy cudzym ogniu, domagając się tek ministerialnych, specjalnego wsparcia członków swojej kasty albo swoich wyborców. Znany lider jednego z najbiedniejszych stanów w zamian za poparcie żąda Ministerstwa Kolei, bardzo ważnego, bo dającego zatrudnienie ponad dziesięciu milionom ludzi. Wszyscy myślą, że Sonia będzie premierem. Niektórzy nawet tego żądają, ponieważ nie chcą pozostać bez cennego przywódcy, który pozwoli im korzystać ze swojej części władzy; myślą, że bez niego żywot koalicji będzie krótki.

Po ogłoszeniu, że partia ma zamiar mianować premierem lidera swojej grupy parlamentarnej, kraj uważa za pewne, że to stanowisko obejmie Włoszka. Kiedy dziennikarz pyta ją, czy na pewno lider grupy parlamentarnej będzie przyszłym premierem, Sonia odpowiada: „Tak jest normalnie”. Trzy słowa, które brzmią jak zniewaga dla jej przeciwników. Słodka zemsta natychmiast spotyka się z reakcją, kiedy

przywódca pokonanej partii oświadcza w telewizji, iż byłoby hańbą, gdyby Indiami rządziła cudzoziemka. Inny lider tej samej partii dodaje, że zbojkotuje akt zaprzysiężenia rządu, jeśli Sonia Gandhi zostanie premierem. Nacjonalistyczne trzęsienie ziemi wstrząsa krajem i dotyka nawet członków Kongresu. Szefowa rządu w stanie Madhja Pradeś, Uma Bharti, kobieta w średnim wieku, hinduska ekstremistka i sojuszniczka BJP, podaje się do dymisji, argumentując, że wyniesienie cudzoziemki na najwyższe stanowisko jest zniewagą dla kraju i zagraża bezpieczeństwu narodowemu. Inna kobieta, szanowana liderka pokonanej partii, Sushma Swaraj, domaga się rozmowy z prezydentem, uczonym muzułmaninem Abdulem Kalamem, aby wyrazić „ból i niepokój”, jaki wywołuje w niej ta sytuacja. „Jeśli Sonia zostanie premierem, ogolę sobie głowę, ubiorę się w biały strój, będę spać na podłodze i podejmę bezterminowy strajk głodowy. Zmobilizuję naród przeciw niej” - grozi w wypowiedzi dla mediów.

Niewątpliwie największe wrażenie wywołuje samobójstwo aktywisty pokonanej partii, Mahesha Prabhu, trzydziestoletniego ojca rodziny z okolic Bangaluru, który przed połknięciem flakonika z trucizną na szczury pisze ostatni list, wyjaśniając, że „nie może pogodzić się z myślą, że wśród miliarda stu milionów obywateli nie można znaleźć ani jednego hinduskiego lidera, który by rządził Indiami”. Mężczyzna osierocił wdowę, osiemnastomiesięcznego syna i cały zakłopotany kraj.

Nadmierny zamęt, nadmierny podział, nadmierna histeria... Konsekwencje zwycięstwa zaczynają Sonię przerażać. Dotknęła struny nacjonalizmu, uczucia irracjonalnego, które szybko może zamienić się w szaleństwo. Mimo że wynik wyborów udowodnił, że jej pochodzenie nie jest ważne dla narodu, problem nadal grozi wybuchem. Sonia

jest tak doświadczona i tak ostrożna, że wprawia w zakłopotanie pewnego dziennikarza telewizji włoskiej, odpowiadając mu po angielsku. Jak wytłumaczyć komuś, kto przez pięć minut zadaje ci pytania, że nie możesz mówić w ojczystym języku, chociaż tego chcesz? Jak wyjaśnić, co oznacza być cudzoziemką w Indiach i znajdować się tak blisko władzy, że czuje się jej pałac ciepło? Jak opowiedzieć o przemocy, która zniszczyła jej rodzinę i która czyha jak drapieżnik w kryjówece? Jak uzasadnić tyle żałoby, tyle bólu, tyle niepokoju i tyle strachu? Jak zapoznać z tym wszystkim ludzi niezorientowanych, którzy nie są w stanie zrozumieć jej reakcji? Za każdym razem, kiedy rozmawia z dziennikarzami, musiałaby zaczynać od zera, a nigdy nie ma na to czasu.

Na domiar złego indeks Sensex giełdy papierów wartościowych w Bombaju notuje największe spadki w finansowej historii Indii, podsycane strachem przed rządem, w którym wpływ lewicy może zniweczyć wprowadzone do tej pory reformy. Pragnąc szybkiego unormowania sytuacji, Sonia ponagla zaufanego doradcę Manmohana Singha, aby wydał oświadczenie, które uspokoiłoby rynki.

Potrzebuje spokojnie pomyśleć. Następnego ranka, w towarzystwie dzieci, wychodzi dyskretnie z domu. Policjanci są zdenerwowani, jeszcze bardziej ochroniarze. Wzmocnione po wyborczym zwycięstwie środki bezpieczeństwa dodatkowo ograniczają prawie nieistniejącą już swobodę ruchów. Teraz z jeszcze większym wyprzedzeniem musi powiadamiać agentów o swoich planach, aby nie tylko jej osobista ochrona, lecz także cała policja w Delhi miała się na baczności.

O tak wczesnej porze ulice spowija lekka mgiełka. To najlepsza chwila dnia, można uniknąć gorąca i szybko się poruszać. Samochód Soni przemierza szerokie aleje nowej części miasta, dociera do ogrodów, gdzie znajdują się mauzolea rodziny. Nad chrapliwym szumem autostrady, która

przecina Delhi z północy na południe, słysząc śpiew ptaka. Przez kilka chwil Sonia i dzieci rozmyślają w skupieniu, potem każdy składa ofiarę z kwiatów, rzucając na mauzoleum płatki róż. Co powiedziałby Rajiv na to nieoczekiwane zwycięstwo żony, które ponownie ustawia rodzinę na politycznym świeczniku? Dotąd Sonia zawsze uciekała od mediów jak od zarazy. Przypomina sobie moment, gdy mąż pełnił funkcję premiera i umówił się z francuską ekipą telewizyjną, która nalegała, by zrobić ujęcie całej rodziny... „Nawet ja nie zdołałem zmienić jej zdania” - powiedział dziennikarzowi. Teraz Rajiv zapewne śmieje się w niebie. Musi być zaskoczony jak wszyscy w Indiach, z pewnością także dumny, ale przede wszystkim zaniepokojony o nią, o dzieci i wnuki, których nie było dane mu poznać. Trzeba być ostrożnym, bo zwycięstwo może się obrócić przeciw nim i w jednej chwili zniszczyć wszystko, co przyniesie przyszłość. Trzeba uważać na maskę triumfu, która nie wiadomo co skrywa.

A ty, Rajivie, co byś zrobił na moim miejscu?

W rozmowach, jakie prowadzi tego dnia z członkami koalicji, unika tematu przywództwa. Dziennikarzowi z BBC oświadcza: „Nie myślę o żadnym stanowisku”.

Następnego dnia, piętnastego maja, zdenerwowani jej postawą najbardziej szanowani liderzy partii błagają, żeby opóźniła ogłoszenie swej decyzji, jakakolwiek by ona była, o kilka godzin. Chcą zyskać na czasie, by zdążyły dotrzeć wszystkie słowa poparcia, jakie sojusznicy Kongresu wysyłają z najdalszych zakątków Indii. Na ogół bywa tak, że kandydat na premiera, dysponujący tego rodzaju referencjami, zwraca się do prezydenta z prośbą o oficjalną zgodę na utworzenie rządu. Ten krok Sonia musi wykonać niebawem, niosąc w teczce listy pochwalne, stwierdzające, iż jest przywódcą, bez którego koalicja nie ma sensu. Partyjni koledzy i koalicjanci

liczą na to, że w końcu ustąpi: partia powinna udowodnić swemu elektoratowi, że znalazła przewodnika. Sonia odczuwa emocjonalną presję przyjaciół, z którymi dzieliła tyle przykrości i trudnych chwil. Ma wrażenie, że ich zawiedzie, jeśli nie przyjmie stanowiska. Nie jest łatwo teraz powiedzieć: już się nie bawię. Czy mogą to zrozumieć? Aby ją uspokoić, zapewniają: „Zaakceptujemy twoją ostateczną decyzję”. Sonia ma jeszcze trzy dni do namysłu.

Piętnastego maja po południu, po formalnym i jednogłośnym wyborze na przywódcę klubu parlamentarnego Kongresu, zwraca się do deputowanych: „Jestem tutaj. Obejmuję stanowisko piastowane przez moich wielkich mistrzów, Nehru, Indirę i Rajiva. Ich życie pokierowało moim. Ich odwaga i całkowite oddanie Indiom dodały mi sił, by kontynuować tę drogę kilka lat po ich męczeństwie. Chcę dzisiaj o nich wspomnieć, chcę złożyć im hołd. Naród potwierdził, że jego duch, duch naszego narodu, jest integralny, laicki i zjednoczony. Odrzucił politykę ataków personalnych i negatywnych kampanii. Odrzucił ideologię partii fundamentalistycznych. Wkrótce będziemy mieli rząd oparty na koalicji pod przywództwem Kongresu. Wbrew wszelkim prognozom odnieśliśmy zwycięstwo. Wbrew wszelkim wróżbom. W imieniu was wszystkich chcę wyrazić moje z serca płynące podziękowanie narodowi Indii. Dziękuję”.

Sala wybucha długą owacją, potem deputowani ustawiają się w kolejkę i osobiście gratulują Soni. Wszyscy chcą się zbliżyć do głównego architekta tej radości i tak licznych oczekiwań, do osoby, która dzierży klucz do władzy. W sali będącej świadkiem tylu narodowych dramatów, tylu gorzkich dyskusji teraz króluje atmosfera święta. Sonia promienieje. Panuje taki zamęt, że deputowani muszą pilnować kolejki, aby uścisnąć jej dłoń, a może nawet wymienić parę słów, na tyle

dowcipnych, by zapadły jej w pamięć... wszystko może się przydać w przyszłości. Jednym z ostatnich oczekujących jest chłopak ubrany w białą kurta i szerokie spodnie, jej syn Rahul, który pokazał się w tych wyborach jako obiecujący lider partyjnej młodzieżówki. Sonia ściska mu rękę tak jak pozostałym i czule się uśmiecha.

Jednak weterani i jej najbliżsi współpracownicy są zmartwieni, ponieważ w całym przemówieniu nie powiedziała ani słowa na temat swej roli w nowej koalicji. Kiedy sugerują, żeby poszła następnego dnia do prezydenta i formalnie poprosiła o pozwolenie na utworzenie rządu, Sonia wykonuje unik, mówiąc, że blok lewicy nie potwierdził jeszcze swojego poparcia. Cały dostępny czas chce wykorzystać na zastanowienie.

*

Spędza go w domu z dziećmi, analizując sytuację. W poniedziałek siedemnastego maja zbiera swoich najbliższych sojuszników. Ma im coś ważnego do powiedzenia. Przychodzą i otrzymują spodziewaną odpowiedź: „Myślę, że nie powinnam przyjąć stanowiska premiera”. Nie mówi tego kategorycznie, jakby jeszcze nie podjęła ostatecznej decyzji, jakby chciała wysondować ich reakcje. „Nie chcę być powodem podziału kraju” - dodaje, wywołując zakłopotanie i niezdecydowanie zebranych. Teraz przedstawia im swoje salomonowe rozwiązanie, które wywołuje pewną irytację: ona pozostanie przewodniczącą partii... rządem zaś pokieruje Manmohan Singh. Jest to pomysł rewolucyjny, ponieważ zakłada podwójne przywództwo - śmiały eksperyment w sztuce sprawowania władzy.

Jej słowa zostają przyjęte głębokim milczeniem. Sonia przekonuje: „Jest uczciwy, ma opinię doskonałego ekonomisty, doświadczenie administracyjne... Jestem przekonana, że będzie wielkim premierem”. Ale oni

przekonani nie są. Wiadomo, że Manmohan Singh nie ma charyzmy. Jest człowiekiem poważnym, technokratą, lecz nie politykiem. „To tak, jakby stwierdzić, że nasze zwycięstwo na nic się nie zdało. Koalicja nie utrzyma się bez pani Gandhi, bez jedynej przywódczyni zdolnej połączyć tak rozproszone grupy” - dodaje jeden z sojuszników. Pomysł również nie wzbudza entuzjazmu doświadczonych liderów partii, nawet tych z pięćdziesięcioletnim stażem. Manmohan Singh jest w Kongresie od zaledwie czternastu lat, to nowicjusz. Poza tym jest sikhem, reprezentantem mniejszości stanowiącej zaledwie 6 procent ludności Indii. Po raz pierwszy od czasów uzyskania niepodległości objęłaby tę funkcję osoba niebędąca hindusem. Jak to przyjmie hinduska większość?

- Naród opowiedział się za Indiami świeckimi, w których religia nie powinna mieć wpływu na politykę - przypomina im Sonia.

Jednak przede wszystkim niepokoi ich fakt, że nikt z rodziny Gandhich nie będzie piastował kluczowego stanowiska.

Mistyki dynastii nic nie jest w stanie przebić. „Będzie to najbardziej krótkotrwały rząd w historii” - przepowiadają. Inni z kolei nie dają za wygraną i wciąż błagają, by raz jeszcze przemyślała swoją decyzję. Nawet dwaj członkowie partii, którzy prywatnie narzekali, że ich liderem jest „włoska gospodyni domowa bez studiów”, proszą teraz, aby zechciała zostać premierem. W ciągu tygodnia z prostej „gospodyni domowej” stała się „przyjaciółką, przewodnikiem, zbawcą narodu”.

Po południu do domu przy Janpath 10 przybywa Manmohan Singh z białą brodą, czarnymi inteligentnymi oczami i w niezniszczalnym niebieskim turbanie na głowie. Przypomina wyglądem delikatnego ptaka. Z trudem toruje sobie drogę wśród tłumu deputowanych i sympatyków, którzy

blokują wejście. Jest ich tylu, że nie mieszczą się w domu. W ogrodzie lub na ulicy, w skwarzym słońcu, przy upale dochodzącym do czterdziestu trzech stopni w cieniu, niecierpliwie oczekują na słowa lidera. Sona ta sytuacja wydaje się znajoma. Ma wrażenie, że już to przeżywała, kiedy naciskano na nią, aby objęła przywództwo partii. Ale jeśli wcześniej trudno było powiedzieć „nie”, to teraz, kiedy stawką w grze jest władza, wydaje się to praktycznie niemożliwe. Im bardziej stara się ich przekonać, tym usilniej oni starają się ją odwieść od tej decyzji. Nie rozumieją, że można odrzucić stanowisko dające największą władzę, będące marzeniem wszystkich polityków. Nie są w stanie tego zaakceptować, choć wiedzą, że Sonia nigdy nie traktowała władzy jako celu samego w sobie, że wkroczyła do polityki z przyczyn osobistych, bo tak chciało przeznaczenie. „Byłoby to nieszczęściem dla partii, dla koalicji, dla kraju... - powtarzają bez przerwy. - Soniu, nie opuszczaj nas”.

Postawiona wobec prawdziwego buntu we własnych szeregach, Sonia znów prosi o trochę czasu do namysłu. Ale sytuacja staje się tak napięta, a opór tak silny - niektórzy grożą, że w razie jej odmowy spalą się jak buddyjski kapłan, bonzo - że wycofuje się wystraszona. Dwie godziny po tym, jak dała do zrozumienia, że zapewne nie przyjmie stanowiska premiera, Manmohan Singh wychodzi do ogrodu i ogłasza delikatnym głosem: „Pani Gandhi zgodziła się spotkać jutro rano z prezydentem”. Uf! W tłumie słyhać szmer aprobaty. Oświadczenie uspokaja nastroje. Goście, którzy zaczynają wychodzić, są przekonani, że nacisk zadziałał, że ich argumenty przeważyły. W końcu przywódczyni zgodziła się wziąć odpowiedzialność na siebie. Kongres na nowo będzie sprawował władzę rękami jednej z Gandhich. Historia się powtórzy. Tłum rozchodzi się w spokoju.

Ale Sonia nadal się zastanawia, jak sprawić, by ci, którzy ją czczą i zbyt wiele od niej oczekują, przełknęli gorzką pigułkę. Jak sprawić, żeby zrozumieli? Jak mogą myśleć, że ona sama może rządzić tym krajem? Szybko by się wypaliła, brakuje jej doświadczenia, a poza tym jakiś szalowiec mógłby w końcu ją zabić, jest o tym przekonana. Na dodatek opozycja nie dałaby jej ani chwili spokoju, każdego dnia przypominałaby o jej cudzoziemskim pochodzeniu.

Chce teraz zostać sama. Zanim położy się spać, otwiera okna w swoim pokoju i głęboko wdycha ciepłe powietrze. Dotyka drewna. Obawia się ataku astmy. Całe dzieciństwo, pomimo chłodu, spała przy otwartych oknach. Dziś znowu czuje ten dawny niepokój. To są duszności powracające za każdym razem, kiedy ma podjąć ważną decyzję. Za każdym razem, kiedy czuje nieznośną presję.

Wyłącza klimatyzator i zostawia otwarte okno. Wiatr, zbyt ciepły, by mógł przynieść ulgę, wydyma zasłony, które falują jak bawełniane zjawy. Czerwonawa mgiełka rozświetla zanieczyszczone niebo nad miastem. Psy szczekają. W alei słychać hałas motocykla z uszkodzoną rurą wydechową.

W końcu zapada upragniona cisza. Przez ostatnie dni dom przypominał kurnik. Takie zamieszanie nie pozwala niczego usłyszeć. Sonia potrzebuje ciszy, by porozmawiać sama ze sobą, by siebie posłuchać. By wiedzieć, co ma zrobić jutro. A dokładniej - jak ma to zrobić.

Wtorek, osiemnasty maja, był dniem, którego członkowie Kongresu łatwo nie zapomną. Około dwustu deputowanych gromadzi się w sali parlamentu, tej samej, która była świadkiem wyboru dwunastu premierów Indii. Czekają na ogłoszenie decyzji przez Sonię Gandhi.

Kiedy pojawia się razem z Rahulem i Priyanką, wszyscy troje mają nieprzenikniony i tajemniczy wyraz twarzy. Niektórzy zaczynają się obawiać, że nie wróży to nic dobrego. Sonia nie ma ze sobą teczek z listami i wyrazami poparcia od setek liderów Kongresu, zachęcających ją do objęcia stanowiska. A tej tradycji zawsze przestrzegali poprzedni premierzy. Może ona jej nie dopełni, bo ma taki kaprys, myślą ci, którzy do końca nie tracą nadziei. Tylko optymiści są nadal przekonani, że po tylu namowach Sonia nie będzie zdolna odrzucić stanowiska.

W sali panuje grobowa cisza, kiedy przywódczyni Kongresu, ze starannie zaczesanymi włosami opadającymi z tyłu na ramiona, w nienagannym sari w kolorze ochry, wita deputowanych, łącząc dłonie na wysokości twarzy, i toruje sobie drogę w stronę mikrofonu. Nakłada okulary, ogląda swoje zapiski i mówi: „Odkąd sześć lat temu z oporami weszłam do świata polityki, zawsze wiedziałam i deklarowałam to przy różnych okazjach, że stanowisko premiera nie jest moim celem. Zawsze byłam przekonana, że jeśli któregoś dnia znajdę się w sytuacji, w jakiej znalazłam się dzisiaj, będę posłuszna mojemu wewnętrznemu głosowi”. Robi przerwę, a cisza staje się jeszcze bardziej napięta. Podnosi głowę, spogląda na swoje dzieci, a następnie na resztę zgromadzonych. „Dziś ten głos mówi mi, że powinnam z pokorą tego stanowiska nie przyjąć”.

Gwałtowne trzęsienie ziemi nie mogłoby spowodować większego zamieszania. Ogłuszający krzyk wypełnia salę.

Sonia gestem ręki prosi o ciszę. „Wielu przekonywało mnie - kontynuuję - żebym przemyślała swoje postanowienie, zdecydowałam się jednak posłuchać własnego głosu. Władza nigdy mnie nie kusiła...” Przerwywają jej lamentsy i energiczne protesty. „Nie możesz nas teraz opuścić!” - wołają jedni. „Nie może pani zdradzić ludu Indii! - krzyczy wpływowy polityk Mani Shankar Aiyar, stary przyjaciel Rajiva. - Wewnętrzny głos narodu mówi, że pani musi być następnym premierem Indii!”

- Proszę was, uszanujcie moją decyzję - mówi Sonia stanowczo, ale znowu jej przerywają.

- Bez pani na tym stanowisku my również nie znajdziemy inspiracji.

Okolo dwunastu deputowanych kolejno wygłasza przemówienia. Wszyscy powołują się na przykład służby publicznej jej męża i teściowej. „Niech pani zrobi to samo! - powtarzają. - Niech pani stanie na wysokości zadania!”

Przez ponad dwie godziny trwa zażarta konfrontacja między nieznośną desperacją deputowanych i niewzruszoną determinacją Soni. Przemówienia przybierają różną formę, od reprimendy wytykającej egoizm do podziwu dla niecodziennego aktu rezygnacji z władzy. Niektórzy zarzucają jej, że odwraca się plecami do milionów Hindusów, którzy powierzyli jej mandat. Sonia słucha tej masy sierot niewzruszona, z zaciśniętymi zębami. W końcu deputowani wspólnie przedstawiają rezolucję, by jeszcze raz przemyślała decyzję, jednak ona, z enigmatycznym wyrazem twarzy, w elegancki sposób im odpowiada, że nie uważa, aby było to możliwe. „Wyraziliście swoje opinie, swój punkt widzenia, swój ból i niepokój z powodu podjętej przeze mnie decyzji. Jednak jeżeli mi ufacie, pozwólcie, że ją podtrzymam”.

To tylko kwestia nalegania - myślą jedni. Wielu przypomina sobie kryzys 1999 roku, kiedy Sonia postanowiła

zrezygnować z przewodniczenia partii. Wtedy ustąpiła po długich błaganiach liderów. Teraz jednak zaczyna brakować czasu. Zgodnie z prawem rząd należy utworzyć przed końcem tygodnia. Pewien deputowany z Uttar Pradeś przypomina, że decyzja Soni ma już swój precedens w historii Indii: „Proszę pani, postąpiła pani tak jak Mahatma Gandhi - mówi, nawiązując do chwili, w której ojciec narodu odmówił wejścia do pierwszego rządu po odzyskaniu niepodległości. - Ale owego dnia Mahatma Gandhi miał Jawaharlala Nehru. Kim jest ten dzisiejszy Nehru?”

Sonia nie mówi o Manmohanie Singhu, swoim asie w rękawie, chociaż ci najbardziej zaprzyjaźnieni wiedzą o jej pomyśle. Gdy opuszcza salę, pozostawiając zmartwionych i rozczarowanych deputowanych Kongresu, prasa tłoczy się wokół jej dzieci. „Jako świeżo wybrany członek parlamentu - oświadcza Rahul - chciałbym, żeby moja matka została premierem, ale jako syn szanuję jej decyzję”. Priyanka jest mniej dyplomatyczna. Kiedy pytają, czy prawdą jest, że ona i brat wpływali na decyzję matki argumentami typu „straciliśmy ojca, nie chcemy stracić matki”, hardo odpowiada: „Nigdy nie byliśmy panami swojej rodziny. Zawsze dzieliliśmy ją z narodem”.

Członkowie Kongresu nie poddają się tak łatwo. Po powrocie do domu Sonia spotyka tłum, który prosi ją, żeby zmieniła zdanie. Domaga się tego krzykiem. Niektórzy mają łzy w oczach, inni rzucają się jej do stóp. Tyle pochlebstw irytuje. To jak rewers nienawiści jej oskarżycieli. Jedno i drugie jest równie niezdrowe. Po wejściu do domu spotyka się z kolejnym wyzwaniem, górą listów od członków komitetu wykonawczego Kongresu i innych sojuszników, którzy zapowiadają, że podadzą się do dymisji, jeśli ona nie przyjmie stanowiska premiera. Na ulicy jakiś zwolennik wymachuje nożem i grozi, że zaraz przetnie sobie żyły. Musi

interweniować policja, zostaje obezwładniony. Wydaje się, że New Delhi opanowało szaleństwo.

Do ostatniej chwili próbują wszystkiego: petycji, błagania, wieczornych gróźb, jednak Sonia nie ulega. Nie zamierza ustąpić, zarówno ze względu na zdrowy rozsądek, jak i na wewnętrzne przekonanie. Jest absolutnie pewna, że jej decyzja jest najlepsza dla kraju, dla rodziny i dla niej samej. Ona wyznacza kurs i wszyscy, nawet najbardziej sceptyczni, w końcu nim podążają. Zapewnia sobie poparcie innych członków koalicji dla kandydatury proponowanego przez nią premiera, którym tym razem nie będzie Gandhi.

Nieoczekiwanie otrzymuje wsparcie ze strony prasy, która odkrywa ją na nowo i rozpływa się w pochwałach. Sonia, gasząc żądzę władzy, rozpala serca - głosi „Asian Times”. Odrzucając władzę, zdobywa majestat - obwieszcza „Times of India”. Odmowa przynosi jej ogromną popularność. „Abdykując” wprowadza pojęcie poświęcenia do słownika indyjskiej polityki. Z lidera Kongresu staje się liderem narodu. Prawdziwy cud.

Pod koniec burzliwego tygodnia w Rastrapati Bhawan, dawnym pałacu wicekróla, odbywa się krótka, pełna znaczenia ceremonia, która kładzie kres kryzysowi władzy. W sobotę dwudziestego drugiego maja, po trzech dniach zacieklego oporu stawianego liderom własnej partii, Sonia Gandhi w obecności prezydenta asystuje zaprzysiężeniu Manmohana Singha na premiera. To historyczna chwila, bo po raz pierwszy w dziejach Indii sikh zostaje mianowany szefem rządu. Tłum współwyznawców wiwatujących przed jego rezydencją nie pozwolił mu przez całą noc zmrużyć oka. Ile zmieniło się od czasów, gdy po zabójstwie Indiry sikhowie byli prześladowani w okrutny sposób!

Po zaprzysiężeniu Manmohan Singh zbliża się do Soni i lekko pochyla głowę. Jakby w ten sposób chciał jasno dać do zrozumienia, że wprowadzie on rządzi, ale ona króluje.

To chwila historyczna także z innego powodu, chwila symboliczna, świadczy bowiem o różnorodności Indii, ich zdolności do współistnienia wielu kultur i religii, a także o rosnącej mobilności społecznej. Sonia Gandhi, katoliczka, oddaje władzę sikhowi, urodzonemu w 1932 roku w skromnej rodzinie z Pendżabu Zachodniego, dziś należącego do Pakistanu. I czyni to w obecności prezydenta, muzułmanina Abdula Kalama, pochodzącego z ubogiej rodziny, eksperta w dziedzinie fizyki nuklearnej. Przed niecałym stuleciem nikt nie mógłby sobie wyobrazić takiej sytuacji w kraju, w którym o ludzkim losie decydowała przynależność kastowa, a nie osobiste zasługi. Czy jeszcze przed miesiącem ktoś byłby w stanie przewidzieć, że w tej ceremonii będą uczestniczyć przedstawiciele trzech mniejszości religijnych?

W ciągu zaledwie paru dni Sonia przeprowadziła cichą rewolucję, której wpływ będzie odczuwany przez lata. Swoją odmową pokazała, że polityka nie zawsze jest równoznaczna z chciwością. Udowodniła również, że człowiek nie staje się Hindusem tylko z racji urodzenia. Przynależność do narodu osiąga się poprzez miłość do kraju, gotowość do narażania się dla niego i siłę pozwalającą przedłożyć interes obywateli nad własny. Swoim historycznym gestem Sonia Gandhi przypomniała Hindusom, że prawdziwa siła narodu polega na tolerancji, tradycyjnym otwarciu na innych, przekonaniu, że wszystkie religie są częścią wspólnego poszukiwania sensu życia. Niezbadane wyroki losu sprawiły, że to właśnie chrześcijanka przywróciła poczucie godności i zaufanie tym Hindusom, którzy nie czuli się reprezentowani przez poprzedni rząd.

Tej nocy Sonia wraca do domu ze świadomością dobrze spełnionego obowiązku. Wołała pozostać w cieniu tronu, mobilizując naród, a władzę pozostawić swemu brodatemu wezyrowi w turbanie.

Wreszcie będzie mogła odpocząć po tym szalonym tygodniu. Ale zanim uda się do sypialni, idzie do gabinetu, aby poczuć obecność człowieka, którego nadal kocha tak jak pierwszego dnia, a może nawet bardziej, jeśli miłość da się mierzyć.

Pod wpływem ciepła kwiaty z girlandy na fotografii Rajiva trochę przywiędły.

- Jutro je zmienię - mówi do siebie.

Patrzy na zdjęcie męża. Zamyka oczy i intensywnie stara się go ożywić w swojej wyobraźni. Jest tak blisko, wydaje się jej, że słyszy jego aksamitny, ciepły głos mrużący jej do ucha słowa miłości... Czuje nawet zapach jego skóry zmieszany z zapachem jej jaśminowych perfum. Zapach, który przenosi ją w przeszłość, do utraconych chwil, do jej najlepszych wspomnień, które zachowuje w sercu jak łączący ich skarb.

Przyjemne, a zarazem bolesne marzenie trwa krótko, jest jednak bardzo intensywne, zmarli żyją bowiem w sercach żywych. Kiedy znowu otwiera oczy, przenosi spojrzenie na pozostałe fotografie. Widziała je miliony razy, ale dziś ponownie chce je zobaczyć, zapewne dlatego, że przypominają o sensie jej życia. Rajiv, jego uśmiech nadal wywołuje skurcz w sercu, zawsze tak będzie. Indira również, ona, która potrafiła śmiać się z siebie i mimo tylu obowiązków nigdy nie zapomniała ani o urodzinach, ani o chorobach dzieci. Dziś bardziej niż kiedykolwiek Sonia zdaje sobie sprawę, że odziedziczyła po Indirze mistykę dynastii i odebrała od niej wiele lekcji cierpliwości, wytrwałości, stanowczości, odwagi i wyczucia sprzyjającej chwili... Jej spojrzenie zatrzymuje się na małej fotografii stojącej na stole,

która ukazuje Mahatmę Gandhiego i Nehru. Podczas smutnych dni po śmierci teściowej, kiedy studiowała jej listy, by w ten sposób jakoś pozostawać z nią w kontakcie, nauczyła się bezwiednie czegoś na temat esencji politycznego przywództwa. Znalazła wśród papierów Indiry tekst Mahatmy Gandhiego skierowany do Nehru: „Nie bój się, zawierz prawdzie; słuchaj ludzi mówiących o swoich potrzebach, upewnij się zarazem, czy masz wystarczający autorytet moralny, by oni ciebie słuchali; bądź demokratą, nie zapomnij jednak o jedynej arystokracji, która naprawdę ma znaczenie - arystokracji ducha”.

Przeszła trudną drogę, od pogodnej egzystencji pani domu, zadowolonej z życia rodzinnego, do samego jądra niespokojnej działalności politycznej. Według jej własnych słów to historia blasków i cieni, tajemnej ręki przeznaczenia. (Gandhi Sonia, *What India Has Taught Me*, Nexus Institute, Tillburg 2007, s. 16.) Dzieje wewnętrznej walki i cierpienia, jakby doświadczenie straty mogło nadać życiu głębszy sens. Jednak mimo wszystkich smutków i upokorzeń, trudności i złych dni czuje się tej nocy spełniona jak nigdy wcześniej. Jakby nagle zrozumiała coś, co do tej pory jej umykało, choć intuicyjnie głęboko to odczuwała, a co jest związane z głęboką racją życia. „Rodzina, z którą się związałam, kiedy wyszłam za mąż, była najpierw ograniczona do domowego ogniska - napisała później. - Dziś jestem lojalna wobec szerszej rodziny, moich Indii, których mieszkańcy przyjęli mnie tak ciepło, że stałam się jedną z nich” (Ibidem, s. 16.). Sonia nie kłamie, kiedy mówi, że już nie jest Włoszką. Nie jest, ponieważ stała się częścią rodziny Nehru - Gandhi i dziedziczką tej dynastii. A dynastia Nehru - Gandhi to Indie.

Epilog

Odrzucając władzę, Sonia Gandhi paradoksalnie stała się potężniejsza. Naród, który podziwia ideały altruizmu i wyrzeczenia wynikające z religii i filozofii hinduskiej, przestał postrzegać ją jako politycznego lidera, a zaczął czcić jak boginię. To właśnie uczyniło ją najbardziej wpływową osobą w Indiach. W świecie jej pozycja stale rośnie. Czasopismo „Forbes” umieściło ją wśród trzech najpotężniejszych kobiet świata. To niezły wynik jak na kogoś, kto zawsze pogardzał władzą.

Jest kochana przez naród. Krajowi dryfującemu w niebezpiecznym kierunku przywróciła bezwyznaniowy charakter. Na czele rządu postawiła człowieka o ogromnej inteligencji, nieposzlakowanej uczciwości i wielkim doświadczeniu, który daje nadzieję na reformę skorumpowanego systemu. Ale przede wszystkim zdołała zacieśnić więź ze zwykłymi ludźmi, kobietami i mężczyznami z ulicy. Oni cenią ją za poświęcenie w roli matki i żony, oni za znaczenie jej walki. Oddanie ideałom rodziny podziwiają wszyscy. Rozumieją cierpienie, jakie przeżyła, tracąc tragicznie najpierw Indirę, a potem męża, tak młodego i tak dobrego, który nigdy nie powinien był się znaleźć na linii ognia. Identyfikują się z nią.

Ból po stracie ukochanych osób wzbudza współczucie tych, którzy niezmiennie cierpią, w ciszy, anonimowo, wiodąc życie pełne wyrzeczeń. Gandhich kocha się nie tylko za przynależność do wyjątkowej rodziny, ale również za to, co łączy ich ze zwykłymi ludźmi, nawet za rodzinne konflikty i kłótnie: za niechęć, jaką Nehru żywił do męża Indiry, za napięcia między Indirą a żoną Sanjaya, za wrogość dzielącą bratowe... Nie ma to nic wspólnego z potęgą ducha, przeciwnie, raczej z życiem codziennym wszystkich ludzi. O ile jednak większość rodzin przeżywa takie dramaty w

prywatnym zaciszu swoich domów, familia Nehru - Gandhi, kierująca losami największej demokracji, wystawiona jest na widok publiczny. Jak nie odczuwać fascynacji tak zwyczajnymi ludźmi, których życie jest tak niezwykle? Jak nie interesować się rodziną, obecnie podzieloną i działającą na antypodach politycznego spektrum: Sonia i jej dzieci w Kongresie, Maneka i Feroz Varun w BJP? Z takiej materii są utkane wielkie mitologiczne sagi, ożywiające ludzką wyobraźnię od najdawniejszych czasów. Dla wielu mieszkańców indyjskich pól i wsi saga Gandhich, która rozwija się od XIX wieku i toczy dalej w XXI stuleciu, jest mostem zespalałym ich feudalną przeszłość z demokratyczną teraźniejszością i jaśniejszą przyszłością. Jeśli w dawnych czasach dynastie służyły zachowaniu porządku społecznego, teraz wzmacniają więzy łączące członków tego samego narodu. Pomagają jednoczyć kraj, cementować go w ludowych wyobrażeniach. Odgrywają podobną rolę jak rody panujące w europejskich monarchiach konstytucyjnych: w Wielkiej Brytanii, krajach skandynawskich czy w Hiszpanii. Podobnie postrzegana jest rodzina Bhutto w Pakistanie, Bandaranaike na Sri Lance czy Rahman w Bangladeszu. W innych krajach rodzina wprawdzie nie rządzi, ale władza przechodzi z pokolenia na pokolenie, jak w przypadku Aung San Suu Kyi w Birmie. Niewątpliwie najżyźniejsze podłoże dynastie polityczne znajdują w Azji. Ale tradycja, głęboko zakorzeniona w krajach tego kontynentu, nie jest ograniczona wyłącznie do jednej części świata. W Stanach Zjednoczonych polityczne dynastie Rooseveltów, Kennedych, Bushów czy Clintonów regularnie wydają senatorów, gubernatorów, prezydentów.

Wiele osób w Indiach krytykuje politykę dynastyczną rodziny. Jednak zarzut, że jest ona sprzeczna z zasadami demokracji, wynika z niezrozumienia sytuacji. Znaczną część

wyborców stanowią analfabeci, lecz nie ignoranci. Tak jak w dynastiach innych krajów demokratycznych, w przypadku Gandhich stanowisk nie dziedziczy się automatycznie. Należy je zdobyć, jak uczyniła to Indira, a teraz Sonia. O ile dawniej dynastie narzucały swe rządy poddanym, o tyle dzisiaj to obywatele decydują, czy dalej będą nimi rządzić klany lub rodziny. Co decyduje o przywiązaniu Hindusów do rodziny Gandhich? Według jednych jest to wyraz nostalgii za dawną klasą rządzącą, z jej nababami, radżami, ranami i całą kolekcją królów - cesarzy i satrapów. Według drugich to kwestia PR i propagandy: tak rozpoznawalne nazwiska są po prostu markami, ułatwiają promocję „towaru politycznego” i orientację w zawiłościach lokalnej polityki. Jeszcze inni myślą, że to swoista profilaktyka przed nadużyciami władzy, wynikająca z przekonania, że ci, którzy już osiągnęli szczyty, nie będą - w przeciwieństwie do nowobogackich - zajmować się łupieniem i okradaniem innych, lecz okażą współczucie i wielkoduszność.

Logicznym następstwem rezygnacji Soni z urzędu premiera było wzmocnienie prestiżu dynastii Nehru - Gandhi. W 2006 roku podczas konferencji Kongresu w Hajdarabadzie jej zagorzali stronnicy domagali się natychmiastowego awansowania Rahula na szczyty organizacji. Gdy chór znajomych głosów domagał się jego obecności we władzach partii, Sonia odpowiedziała, że nie zamierza wpływać na syna, bo jest on człowiekiem wolnym i ma prawo wybrać własną drogę. Rahul poprosił o czas do namysłu. Dopiero we wrześniu 2008 roku, w perspektywie przyszłych wyborów powszechnych, został mianowany jednym z sekretarzy generalnych Kongresu. Rahul jest teraz członkiem zarządu, organu podejmującego w Kongresie najważniejsze decyzje. Po raz pierwszy od wielu lat w partii istnieje „numer dwa”, który może liczyć na całkowite poparcie lidera. Od miesiąca Rahul

jeździ po kraju, gromadząc swoich zwolenników, i podobnie jak ojciec zaczyna lekceważyć własne bezpieczeństwo. Agenci ochrony nieraz się żalili, że nie stosuje się do zaleceń, a nawet usiłuje uciekać spod ich kurateli. Tak jak ojciec, Rahul doskonale zdaje sobie sprawę, że nie można uprawiać polityki bez kontaktu z tłumami. Wprawdzie w czasach Indiry i Rajiva wiele konfliktów zostało rozwiązanych, a inne są bliskie wygaszenia, jednak osoba publiczna, zwłaszcza należąca do dynastii, zawsze może zostać zaatakowana przez jakiegoś fanatyka. By nie szukać odległych przykładów, przypomnijmy, że w lutym 2007 roku na wiecu z udziałem Soni w mieście Almora policja aresztowała człowieka uzbrojonego w pistolet. Okazało się, że był to pracownik miejscowej poczty, który nie należał do żadnego spisku, lecz cierpiał na zaburzenia psychiczne.

Ostatnio zabójstwo starej przyjaciółki rodziny w sąsiednim Pakistanie znowu przypomniało o kruchości i niepewności egzystencji Gandhich. Benazir Bhutto zginęła podobnie jak Rajiv. Oboje nie sprawowali władzy, ale właśnie mieli szansę ją odzyskać. Oboje ignorowali własne bezpieczeństwo, bo pragnęli mieć lepszy kontakt z masami. Gandhi wiedzą, że zamach na Benazir Bhutto jest obrazem tego, co w każdej chwili może się im przydarzyć, jeśli popełnią błąd i zrezygnują z ochrony. Czy Rahul wyciągnie lekcję z tej tragedii i nie da się ponieść przeznaczeniu? Stryj Sanjay żyłby do dziś, gdyby był ostrożniejszy. Polityczne zabiegi mające zapewnić mu kontrolę nad sikhami zrodziły potwora, który pożarł jego matkę. Indira także nie chciała słuchać, gdy jej mówiono, że powinna się pozbyć sikhijskich ochroniarzy... Czy członkowie kolejnego pokolenia odrobnią lekcję poprzedników? Na razie Sonia przypomina im o tym dzień w dzień.

Priyanka żyje z dala od polityki, wiecie spokojne życie w New Delhi z mężem i dziećmi. W lutym 2008 roku udała się na południe Indii, a jej podróż znalazła żywy oddźwięk w mediach. Chciała jechać incognito, lecz natychmiast namierzyli ją dziennikarze. Od jakiegoś czasu pragnęła odwiedzić Nalini Murugan, kobietę, która odsiada wyrok dożywocia za udział w spisku na życie Rajiva. Minęło prawie dwadzieścia lat od zamachu w Sriperumbudurze, lecz cierpienie z powodu utraty ojca nie minęło. Te rany nigdy się nie zabliznią. Priyanka chce spotkać się z kobietą, której pomogła uniknąć wyroku śmierci, kiedy razem z matką interweniowała w sprawie jej ułaskawienia. Dlaczego chce ją zobaczyć? „To sprawa prywatna - oświadcza prasie. - Zdecydowałam się na tę wizytę z własnej inicjatywy”. Kiedy spotkały się twarzą w twarz w obskurnej więziennej sali odwiedzin, obie wybuchły płaczem. Wiadomo, że pod koniec rozmawiały o porodach swoich dzieci, jedna i druga miała cesarskie cięcie. Mówiły więcej o życiu niż o śmierci, co najwyraźniej wskazuje na to, że Priyanka jej przebaczyła. Czyż osądzenie i przebaczenie nie są niezbędnymi etapami pogodzenia się z tragedią? Nalini po spotkaniu wyznała bratu, że czuła, „jakby wszystkie jej grzechy zostały zmyte przez wizytę Priyanki”. Hinduizm naucza, że przebaczenie nie jest oznaką słabości, tylko siły. To sposób na uwolnienie się i odnalezienie spokoju. „Spotkanie z Nalini pomogło mi się pogodzić z przemocą i stratą, którą przeżyłam”. Priyanka zakończyła swoje oświadczenie równie szczerze i prosto jak heroicznie: „Nie wierzę w złość ani w nienawiść, ani w przemoc. Nie mogę pozwolić, aby te uczucia zdominowały moje życie”. Gandhi zawsze wzmacniali się wskutek przeciwności losu. Niech Bóg ich chroni.

Sonia żyje zamknięta w fortecy przy Janpath 10. Można ją spotkać jedynie podczas oficjalnych uroczystości. Jej matka

Paola nadal spędza z nią zimy; każdej niedzieli o dziesiątej można zobaczyć ją na mszy w kościele nuncjatury. Oprócz dzieci Sonia widuje też kilkoro bliskich przyjaciół, tych samych, których miała za życia Rajiva. Nie utrzymuje kontaktów towarzyskich z celebrytami New Delhi ani nie uczęszcza na spotkania dyplomatów. Spotyka się z ministrami z Kongresu i innymi liderami koalicji rządzącej, zawsze ilekroć tego oczekują. Jako przewodnicząca partii przyjmuje do trzydziestu osób dziennie i analizuje mnóstwo informacji. Jej mały gabinet w komitecie Kongresu jest zawsze pełen ludzi biednych, którzy przychodzą prosić o pomoc. Sekretarka dostała instrukcję, że ma ich wszystkich wysłuchać.

Sonia, wierna zwyczajowi teściowej, stara się pościć jeden dzień w tygodniu i każdego ranka ćwiczy jogę. Niegdyś wyznała, że źle się czuje w indyjskich strojach, ale obecnie zawsze nosi sari. Nadal fascynują ją tkaniny, tradycyjne rzemiosło i antyki. Chciałaby mieć więcej czasu na czytanie. Co roku w czerwcu spędza urlop w domu starego przyjaciela rodziny, dziennikarza Sumana Dubeya, w Kausani u podnóża Himalajów; wtedy codziennie nadrabia zaległości w lekturze. Lubi te góry, przypominają jej Alpy z czasów dzieciństwa. Marzy, żeby mieć własny dom, w którym razem z dziećmi i wnukami chroniłaby się przed zapowiadającymi monsuny upałami. Za granicę wyjeżdża na ogół w podróże oficjalne albo z wykładami. Teraz jest już mniej nieśmiała. Wprawdzie oświadczyła, że w polityce czuje się dobrze, ale równie dobrze z jej ust mogłyby paść słowa Benazir Bhutto: „Nie wybierałam tego życia. To ono mnie wybrało”. Mimo to mocno trzyma wodze kraju. Nawet jej oponenti przyznają, że nie popełnia błędów. Zarówno wrogowie i oszczercy, jak i sympatycy doceniają jej zdolności do mediacji z koalicjantami, czego ani Indira, ani Rajiv nie musieli się nigdy uczyć. Sonia potrafiła zbudować harmonijne, oparte na

wzajemnej lojalności relacje z niektórymi bliskimi politycznymi współpracownikami. Indira nigdy nie stworzyła takiego porozumienia jak to, które łączy Sonię z premierem Manmohanem Singhem.

Jednym z wielkich osiągnięć Soni jest walka z korupcją. Czyż Rajiv nie obliczył kiedyś, że 85 procent wszystkich wydatków na rozwój Indii kończy swój żywot w kieszeniach biurokratów? Aby zapobiec nadużyciom i łapownictwu, Sonia i premier Singh zdołali doprowadzić do uchwalenia prawa, które pozwala każdemu obywatelowi sprawdzić oferty kontraktów zgłoszone w publicznej licytacji. Teraz urzędnicy skłonni do oszustw muszą działać znacznie ostrożniej, ponieważ istnieje realne zagrożenie, że wpadną w ręce sprawiedliwości. Zarówno Sonia, jak i premier wiedzą, że reforma państwa, jego modernizacja i oczyszczenie z korupcji są kluczem do rozwoju Indii, które w ciągu ostatnich piętnastu lat były najszybciej, po Chinach, rozwijającym się krajem świata. Jeśli reformy zostaną zrealizowane, to - według przewidywań - w ciągu dwóch dekad gospodarka indyjska stanie się trzecią gospodarką świata. Kraj pozostawił za sobą archaiczną przeszłość i buduje przyszłość, przewodząc w nauce i technice. Spełnia się dawne marzenie Nehru.

Wszakże na razie jedyną pociechą indyjskiej biedoty są długofalowe oficjalne projekty, obiecujące trzydziestopięciokrotny przyrost dochodu na głowę ludności. Biedacy są największym zmartwieniem Soni. Może jej katolicka formacja i pamięć o tym, że sama urodziła się w ubogiej rodzinie z gór Asiago, sprawiają, że nadal zachowuje wrażliwość na wielkie kontrasty społeczne. Indira mówiła, że wszystkie, nawet najbardziej ze sobą sprzeczne wypowiedzi na temat Indii będą równie prawdziwe. Bombaj ma największą dzielnicę slumsów w Azji i największą na świecie liczbę prostytutkiujących się dzieci, a jednocześnie stanie się niebawem

czwartym miastem globu pod względem liczby miliarderów; jeden z nich podarował swej żonie na czterdzieste czwarte urodziny wielkiego airbusa. Jak można przyzwyczaić się do takich różnic? Jak to jest możliwe, że choć indyjski program socjalny nie ustępuje programom realizowanym w krajach zachodnioeuropejskich, a może nawet jest od nich lepszy, państwo okazuje się niezdolne do zbudowania latryn w dzielnicach slumsów, do zaopatrzenia szkół w kredę, a wiejskich przychodni w czyste strzykawki? Sonia uważa, że w dniu, w którym się do tego przyzwyczai, powinna porzucić politykę.

Na razie otoczyła się ekspertami do spraw rozwoju, takimi jak działaczka Aruna Roy czy belgijski ekonomista Jean Dreze, który mieszka w Delhi w dzielnicy slumsów ze swoją indyjską żoną. Razem stworzyli plany pomocy obszarom wiejskim, wymagające ogromnego wysiłku indyjskiego państwa. Trudności w realizacji tych programów są ogromne. Indie z marnymi lotniskami, kiepskimi drogami, ogromnymi dzielnicami nędzy i zapadłymi wsiami potrzebują wielkich nakładów do budowy infrastruktury. Los najbiedniejszych nadal nie jest priorytetem dla rządzących krajem technokratów, wśród których dominuje przekonanie, że rozwój będzie obejmował coraz więcej ludzi i wreszcie skończy z biedą. Tej idei bronił Rajiv. „Ale kiedy?” - pyta Sonia, nie zapominając o umowie z biedakami, którzy oddali na nią głosy. Sprzeciwia się nadmiernie technokratycznym argumentom swoich sojuszników, ludzi, których sama wyniosła do władzy, na przykład wpływowego ministra finansów. Według niego proponowane przez Sonię rozwiązania są niezgodne z zasadami ekonomii. Według niej są niezbędne, bo nadają sens władzy, której naród zaufa. Wiktor Hugo powiedział kiedyś, że „władza to powinność”. Sonia dobrze o tym pamięta. W dystryktach, w których dzięki

jej staraniom wprowadzono w życie program gwarantujący sto dni zatrudnienia, rolnicy odczuli różnicę. Różnicę między biedą a nędzą. Program wprawdzie nie wyciągnął ich z biedy, ale dzięki niemu nie wpadli w skrajną nędzę, która panuje wówczas, gdy niedobór materialny łączy się z brakiem nadziei. To jest różnica między życiem a śmiercią. Drugi projekt jest znacznie trudniejszy do wprowadzenia. Chodzi o udzielenie rolnikom kredytu bankowego na bardzo niski procent, ażeby uwolnić ich od tyranii długów, które zaciągają u miejscowych lichwiarzy i które często są przyczyną samobójstw. Ten problem trwa od dawna, już Indira w czasach obowiązywania Emergency próbowała się z nim zmierzyć. Jest on trudny do rozwiązania, ponieważ w większości dotyczy analfabetów, którzy nie wiedzą, co to znaczy skorzystać z usług banku. Trzeba jednak stworzyć tym ludziom jakieś wyjście, dać światełko nadziei, aby wiedzieli, że nie mogąc oddać garstki rupii, nie muszą pozbawiać się życia. Sonia sprawiła, że „najbiedniejsi z biednych”, jak ich nazwała Matka Teresa z Kalkuty, inna Europejka, która pozostawiła swój ślad w Indiach, mają w niej wiernego sprzymierzeńca. Sprzymierzeńca, który stale o nich pamięta, każdego dnia i w każdej chwili, czy jest na szczytach władzy, czy poza nią.

W maju 2009 roku Indie w wyborach powszechnych potwierdziły zaufanie do Soni. Tak jakby cały kraj podziękował jej za to, że w minionych pięciu latach nie doszło do poważnych konfliktów religijnych, tak jakby biedacy, stanowiący 80 procent elektoratu, wyrazili uznanie dla polityki zatrudnienia na wsi czy dla programu anulowania długów rolnikom. Ponownie, wbrew wszystkim prognozom, kierowana przez nią koalicja wygrała zdecydowanie. Do absolutnej większości zabrakło Kongresowi zaledwie dziewięciu mandatów i był to chyba najlepszy rezultat partii w

ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Jakże długą drogę przebyła Sonia od chwili, gdy niespełna dekadę temu z wielkimi oporami wkroczyła do polityki! Teraz ponownie nie zgodziła się objąć urzędu premiera. Znowu zaproponowała na to stanowisko Manmohana Singha. Tym razem, aby stworzyć koalicję rządową, nie musiała już dogadywać się z tak trudnymi partnerami, jak liderzy regionów czy kast. Obecnie ma większą swobodę podejmowania decyzji, rządzenia, dawania Indiom tego, czego potrzebują najbardziej, czyli stabilizacji.

Podczas tych wyborów, w których uczestniczyło siedemset dwadzieścia milionów Hindusów, szczególnie wyróżnił się Rahul Gandhi. Ten nieco nieśmiały chłopak, którego wielu uważa za zbyt łagodnego i dobrego, podobnie jak widziano jego ojca w tym samym wieku, intensywnie pracował w cieniu, przebudowując partię w stanie Uttar Pradeś, kluczowym ze względu na gęstość zaludnienia, a także na fakt, iż był on kolebką Kongresu. Rahul nie tylko potrafił nadać partii nowy impet, ale i wprowadził procedury wewnętrznej demokracji. Tym, którzy oskarżają go o kontynuowanie archaicznego systemu dynastycznego, odpowiada: „Z tego, że jestem produktem systemu, nie wynika, iż nie potrafię go zmienić”. Dodaje, że może to uczynić właśnie jako jeden z Gandhich. W kraju ludzi młodych Rahul potrafił nawiązać bliski kontakt z ludźmi młodymi. Trasa długości osiemdziesięciu siedmiu tysięcy kilometrów, którą przemierzył, by na stu dwudziestu wiecach przemawiać przed pełnymi entuzjazmu tłumami, uczyniła z niego jeden z symboli zwycięstwa. Rahul umiał się zaprezentować jako kandydat biedaków, zwolennik państwa świeckiego i reform.

Wielu już w nim widzi czwartego premiera z rodziny Gandhich, lecz Rahul nie śpieszy się z sięganiem po władzę.

W głębi duszy wie, że któregoś dnia przyjdzie jego kolej, czy tego chce, czy nie. Manmohan Singh nie zdołał go przekonać do objęcia stanowiska w rządzie. Na razie Rahul woli pozostawać w cieniu, pracować za kulisami i korzystać z życia. Jest niemal równie dyskretny w sprawach osobistych, jak jego matka. Wokół niego istnieje rodzaj zмовы milczenia: księgarze z Khan Market (uwielbia czytać), właściciele restauracji, przyjaciele i koledzy z pracy milczą, kiedy ktoś pyta o ostatniego z rodziny.

O jego życiu uczuciowym wiadomo jedynie tyle, że przez cztery lata (do 2007 roku) był związany z pewną hiszpańską architektką imieniem Verónica, mieszkającą w Barcelonie. Ten związek jednak się zakończył. Teraz Rahul jest sam i stawia czoła przeznaczeniu. Nie mógł wszakże zataić swojego oświadczenia majątkowego, które zgodnie z indyjskim prawem musiał upublicznić przed wyborami. W ten sposób wszyscy się dowiedzieli, że poza skromnym kontem w banku właściwie niczego nie posiada. Nie ma ani domu, ani akcji, ani samochodu, ani nawet motocykla. Z deklaracji Soni wiadomo, że jest właścicielką domu we Włoszech, niewątpliwie we wsi Lusiana, gdzie się urodziła.

Gandhi są ludźmi skromnymi, nigdy nie wykorzystywali władzy, żeby zdobyć majątek. Naród o tym wie i może dlatego nadal na nich glosuje.

Inaczej sprawa wygląda w przypadku drugiej gałęzi rodziny. Oświadczenie majątkowe Maneki i jej syna wykazało, że posiadają niewielką fortunę... Feroz Varun, odkąd przestał studiować w London School of Economics, mieszka z matką; oboje są aktywnymi członkami koalicji BJP. Chłopak od młodych lat wykazywał zamiłowanie do poezji. Opublikował nawet tomik wierszy. Podobno chciał, jak sam to określił, pokazać w nim „siłę języka”. I pokazał ją, niestety, tworząc gwałtowne diatryby wymierzone w mniejszości

religijne, a nawet we własną ciotkę Sonię, którą podczas wyborów w 2004 roku nazwał „cudzoziemką niezdolną do przewodzenia Indiom”.

W czasie ostatniej kampanii Feroz Varun stał się ulubionym tematem mediów. Podczas wiecu w swoim okręgu wystąpił przeciwko muzułmanom, których poprosił, żeby „wrócili do swojego domu w Pakistanie”. Zapytał przy tym szyderczo: „Kto pragnie mieć przyjaciół, którzy nazywają się Mustafa albo Mohammed? Samo wymienienie tych imion napawa strachem...” Chrześcijanom zaś wytknął, „że postępują głupio, nadstawiając drugi policzek, bo kiedy cię biją, należy uciąć rękę, która zadała cios, aby nie mogła skrzywdzić cię po raz drugi”. Dostało się od niego nawet Mahatmie Gandhiemu.

Tym razem taka gadanina drogo go kosztowała. Na wniosek komisji wyborczej władze zamknęły go w więzieniu pod zarzutem „popierania przemocy między społecznościami”. Nawet matka nie miała prawa go odwiedzać. Prasa ujawniła, że wcale nie ukończył London School of Economics. Priyanka oświadczyła wówczas, iż jest zasmucona słowami stryjecznego brata, „sprzecznymi z zasadami, dla których żyli i umierali członkowie rodziny Gandhich”. Po trzech tygodniach Feroz Varun wyszedł z celi, trochę szczuplejszy, ale nadal bezczelny. Przeciw komu teraz wystąpi? - zastanawiają się Hindusi, którzy - zarówno w dzielnicach slumsów, jak i w luksusowych apartamentach - zaraz po powrocie z pracy włączają telewizor, aby bezpośrednio śledzić telenowelę oferowaną przez rodzinę. Chociaż BJP poniosła klęskę w wyborach krajowych, Feroz Varun i Maneka zostali wybrani na deputowanych ze swoich okręgów.

Gdyby Nehru wiedział, kim staną się jego potomkowie! Dziś, ponad sto dwadzieścia lat od jego urodzin, w

parlamencie zasiada czterech członków rodziny, dwie bratowe i ich dwaj synowie, tyle że po przeciwnych stronach. W największej sadze dynastycznej czasów współczesnych nie napisano jeszcze ostatniego słowa.

RODZINA ZAANGAŻOWANA W WALKĘ O NIEPODLEGŁOŚĆ INDII



Wszystko zaczęło się w Allahabadzie, w rezydencji błyskotliwego i zamożnego adwokata Motilala Nehru (fot. 1). Miłość Motilala do syna, Jawaharlala, stała u początków walki o niepodległość szóstej części ludzkości.



Ekstrawaganckie życie rodziny Nehru zmieniło się pod wpływem Mahatmy Gandhiego. Patriarcha Motilal (fot. 2 i 3) porzucił wyrafinowanie dla prostoty, zamienił flanelowe ubrania na proste kurta z ręcznie tkanej bawełny, jakie nosił Gandhi. Dom Nehru stał się domem całych Indii.



Jawaharlal
Nehru i
Mahatma
Gandhi różnili
się pod każdym
względem,
jednak
kombinacja sił,
która zrodziła
się z ich
przyjaźni,

zmieniła świat. Gandhi był człowiekiem wiary i religii. Racionalista Nehru uważał, że to nauka i technika ocalą Indie.

Dla Indiry, córki Nehru, Mahatma Gandhi był jak drugi ojciec. Powierzała mu swoje dziewczęce sekrety, mówiła o wielkiej tęsknocie za ojcem, który długi czas spędził w więzieniu, zwierzała się ze swoich kompleksów, była bowiem dziewczynką brzydką i chorowitą.

Nic nie
wskazywało
na to, że
córka
przejmie
schedę po
ojcu. Indira
marzyła o
spokojnym
życiu
rodzinnym z
dala od



politycznych wstrząsów. Nehru nie zamierzał stworzyć politycznej dynastii. Relacje między Indirą a ojcem zawsze nosiły piętno rozdzielenia. „Moje prezenty mogą być tylko

zrobione z powietrza, myśli i ducha, jak te, które dałaby Ci wróżka, a których nawet wysokie mury więzienia nie zdołałyby zatrzymać" - pisał Nehru do córki na urodziny.



TRZY POKOLENIA JEDNEJ RODZINY NA SZCZYTACH WŁADZY



Początkowo Nehru sprzeciwiał się małżeństwu Indiry z Ferozem Gandhim (na zdjęciu trzyma syna na rękach), w żaden sposób niespokrewnionym z Mahatmą. Jednak Indira była tak zakochana, że nie posłuchała ojca i wyszła za mąż. Mały Rajiv urodził się, gdy jego dziadek siedział w więzieniu. Na fotografii trzy pokolenia rodziny Nehru: Jawaharlal, Indira i Rajiv. Wszyscy troje zostali premierami Indii.

„NIGDY NIE SPOTKAŁEM KOBIETY I MĘŻCZYZNY, KTÓRZY TAK BY SIĘ KOCHALI”



Tak powiedział Christian von Stieglitz (wraz z autorem, po prawej, na fot. 8), przyjaciel, dzięki któremu Rajiv Gandhi i Sonia Maino poznali się w Cambridge w 1965 roku. Rajiv dorastał w rezydencji premierów, pałacyku w centrum New Delhi; Sonia - w domu ojca, skromnego przedsiębiorcy budowlanego z okolic Turynu. Ich rodziny nie mogły różnić się bardziej. Miłość sprawiła, że Sonia zostawiła swój kraj i najbliższych i zamieszkała w Indiach.

W miesiącach poprzedzających monsuny panował nieznośny upał, toteż jedną z rozrywek Soni i Rajiva były wyprawy na lody do ogrodów przy Bramie Indii. Sonia wkrótce porzuciła minispódniczki i zaczęła nosić sari.



ŚLUB JAK Z KSIĘGI TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY



Podczas uroczystości weselnych Sonia miała na sobie szkarłatne sari, które Nehru utkał w więzieniu na ślub Indiry. Tego dnia poślubiła również Indie, nie podejrzewając nawet, że po latach stanie się ucieleśnieniem nadziei ponad miliarda mieszkańców kraju Mahatmy Gandhiego.

WŁOSZKA W PIERWSZEJ RODZINIE INDII



Jej ślub wywołał drobny skandal wśród śmietanki towarzyskiej New Delhi, która nie mogła pojąć, dlaczego jeden z najbardziej pożądanых kawalerów w kraju wybrał sobie na żonę cudzoziemkę. Sonia musiała się zaadaptować do życia w Indiach i panujących tu zwyczajów: stała się częścią rodziny męża, zamieszkała pod jednym dachem z teściową i szwagrem.

Wszyscy starali się przynajmniej raz dziennie wrócić do domu na wspólny posiłek, podczas którego na ogół prowadzono interesujące rozmowy. Problemy Indiry, które w znacznej mierze były problemami Indii, zwykle dyskutowano w domu.

Wspólna herbata i pieszczoty z Puplim, ulubionym golden retrieverem. Były to lata szczęścia i nauki.



KOCHAŁY SIĘ JAK MATKA Z CÓRKĄ

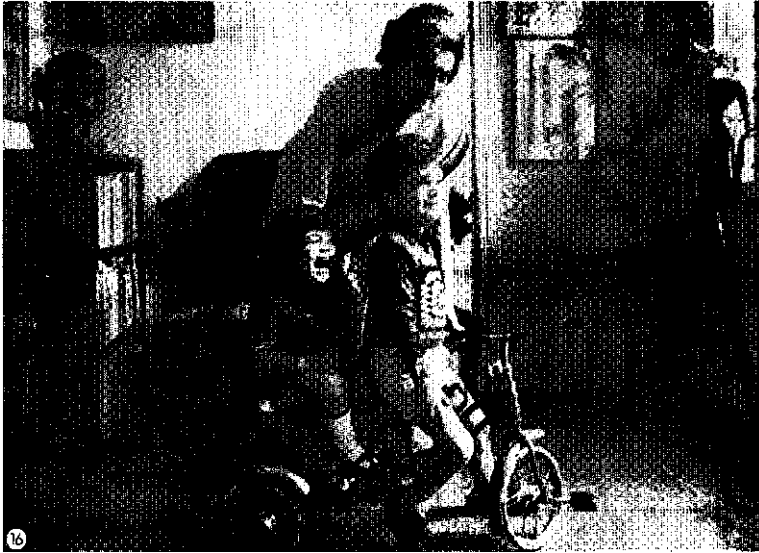


Między Indirą a Sonią nawiązała się nić sympatii, która z czasem przerodziła się w głębokie uczucie. Zawsze gdy tylko mogła, Indira zabierała Sonię w swoje podróże, czy to na wakacje (fot. 14, podczas wycieczki w góry), czy na wizyty oficjalne (fot. 15, Indira między Sonią a Margaret Thatcher). Choć angielska „Żelazna Dama” miała zupełnie odmienne poglądy polityczne, podziwiała Indirę za to, jak wytrzymuje ogromne obciążenie, pełniąc funkcję premiera w takim kraju jak Indie.



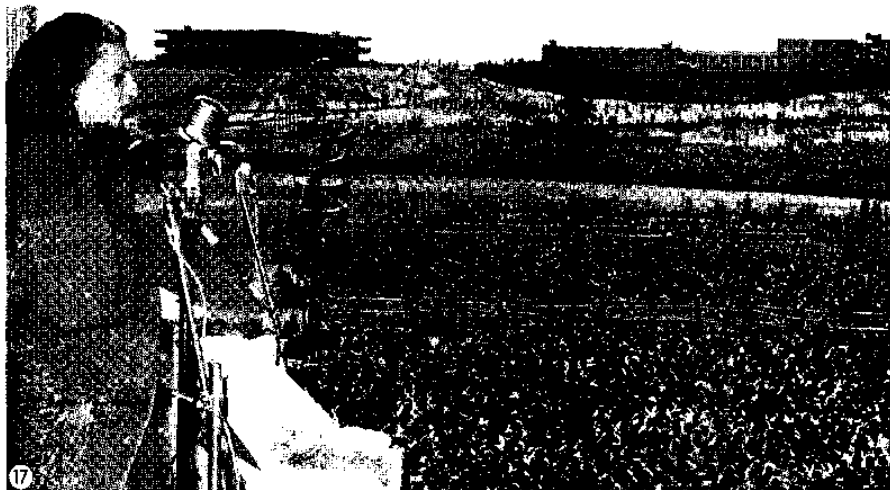
De Gaulle powiedział o Indirze: „Te tak kruche ramiona, na których spoczął gigantyczny ciężar pokierowania losem Indii... nie wydaje mi się, aby się pod nim ugięły”.

BABCIA PREMIER ROZPALAJĄCA TŁUMY



Indirę fascynowały dzieci. Wiele razy w ciągu dnia wołała Sonię ze swojego gabinetu, żeby spytać, czy dzieci dobrze spały i czy wszystko zjadły... Starła się wrócić do domu pomiędzy posiedzeniami parlamentu tylko po to, by pobawić się chwilę z wnukami. Kobieta, która żelazną ręką trzymała partię i cały kraj, była czułą babcią. Nigdy nie zapominała o urodzinach czy innych rodzinnych uroczystościach.

Indira czerpała siły z kontaktu z narodem, z którym łączyła ją ta sama więź, jaka zawsze istniała między kolejnymi pokoleniami Hindusów a członkami jej rodziny. Było to porozumienie ponad wszelkimi barierami.



NAJWIĘKSZY PROBLEM INDIRY - JEJ MŁODSZY SYN



Indira była świadoma wpływu władzy i pieniędzy na osoby ze swojego otoczenia, mimo to nie potrafiła przeciwstawić się synowi Sanjayowi, który przez lata nadużywał jej pozycji. Wejście do rodziny jego żony Maneki zrodziło następne problemy. Dom, jedyne miejsce, w którym Indira znajdowała schronienie przed trudami życia politycznego, przestał być oazą pokoju. (Od lewej u góry: Rajiv, Sanjay; u dołu: Sonia, Rahul, Indira, Priyanka i Maneka).

UPADEK CESARZOWEJ INDII

Dźwigała na swoich barkach odpowiedzialność za kraj, by potem zostać uwięziona przez przeciwników politycznych; była u szczytu władzy, później została bez dachu nad głową; od szczęścia i spełnienia po bezdenne cierpienie i stratę. Wystawiając Indirę na ciężkie próby, władza uczyniła z niej znakomitą wojowniczkę, twardą i wytrzymałą.



Na fotografii u góry Indira Gandhi po raz pierwszy w życiu płacze publicznie. Właśnie straciła ukochanego syna Sanjaya; Rajiv stara się ją pocieszyć. „Życie było dla mnie wspaniałe - napisała Indira do przyjaciółki - zarówno w szczęściu, jak i w bólu. Jak można docenić jedno, nie poznając drugiego?"



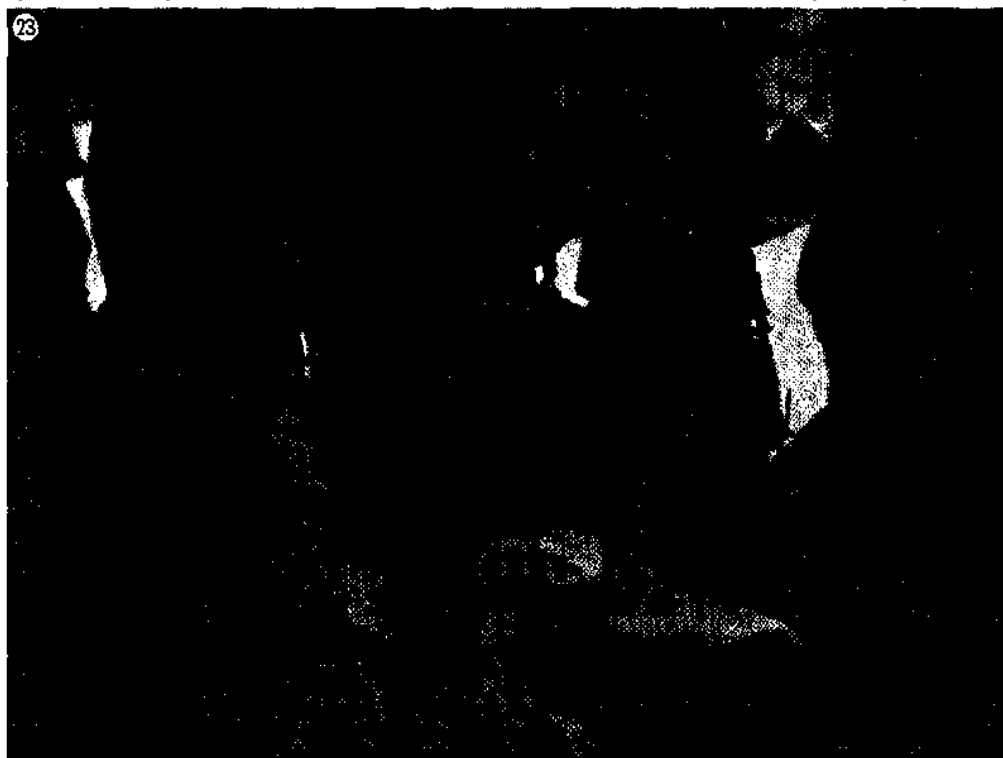
Na fotografii u dołu Indira aresztowana przez rywali z koalicji Dżanata żąda, by nałożono jej kajdanki. Wierna sekretarka Usha Bhagat (z którą autor przeprowadził wywiad w lutym 2006 roku, na fot. 20) powiedziała: „Ci, którzy ją oceniają, mają tendencję do stawiania jej na piedestale lub oczerniania. Nie zgadzam się z żadną z tych ocen. Indira była przede wszystkim człowiekiem, osobą zaangażowaną i bardzo pracowitą, która rosła wraz z wyzwaniem".

INDIRA W POLITYCE



Spotkanie Indiry z Nixonem w 1971 roku przed wybuchem wojny o Bangladesz. Politycy nie zgadzali się ze sobą. Prywatnie prezydent Stanów Zjednoczonych nazywał ją „starą lisicą”.

Indira z Jacqueline Kennedy: obie kobiety reprezentowały polityczne dynastie dwóch wielkich demokratycznych krajów.



CZŁOWIEK, KTÓRY NIE CHCIAŁ BYĆ KRÓLEM



Rajiv Gandhi był człowiekiem dobrym i prawym. Kochał swój zawód lotnika i swoją rodzinę.

Przeznaczenie zmusiło go, by został politykiem, czego nigdy nie

pragnął. Przeciwna temu Sonia musiała w końcu ustąpić wobec zbyt potężnych sił i pogodzić się z faktem, że mąż zastąpi Indirę, która zginęła z rąk zamachowców. Czym było szczęście czteroosobowej rodziny wobec losu szóstej części ludzkości? Miłość i lojalność skłoniły ją do wspierania męża w nowej roli. Na fot. 25 i 26 uczestniczy w jego kampanii wyborczej.



Rajiv czuł się jak ryba w wodzie wśród mężów stanu całego świata. Dorastał wśród nich i mówił ich językiem (na fot. 27 Rajiv i Sonia z Gorbaczowem; na fot. 28 z Mitterrandem).

Rajiv Gandhi z



przyjaciółką, pakistańskim politykiem Benazir Bhutto. Podczas ich ostatniego spotkania Rajiv, zmartwiony planami Priyanki, która chciała zostać politykiem, prosił



Benazir, by ją od tego odwiodła. Powiedział, że córka „nie zdaje sobie sprawy, jakie to niebezpieczne”.

Historia wkrótce potwierdziła

prawdziwość tych słów. W Kolombo, podczas przeglądu gwardii honorowej Sri Lanki, o mały włos sam nie stracił życia. Jeden z żołnierzy wystąpił z szeregu i próbował roztrzaskać mu głowę kolbą karabinu. Rajiv uchylił się w ostatniej chwili i przyjął cios na bark.

SPADKOBIERCZYNI DYNASTII



Dzieje Soni Gandhi to - według jej własnych słów - historia blasków i cieni, wewnętrznej walki, cierpienia i doświadczenia straty, jakie nadało jej życiu głębszy sens. Kto by pomyślał, że ta paesana z włoskiej wioski zostanie kiedyś przywódcą drugiego pod względem liczby mieszkańców kraju świata, ona, która nie znosiła polityki! Swój niezwykły los wybrała w chwili, gdy poślubiła Rajiva Gandhiego.

Sonia Gandhi z premierem Manmohanem Singhem. Jego mianowanie było swoistym eksperymentem w sztuce rządzenia, a zarazem mistrzowskim posunięciem, którym Sonia wprowadziła w zdumienie Indie i cały świat.



ZAKŁADNICY NAZWISKA



Dynastia trwa nadal niczym most zawieszony między przeszłością a przyszłością. Członkowie Kongresu pokładają nadzieje w Rahulu Gandhim, który ostatnio został jednym z sekretarzy generalnych partii. Na fot. 33 widzimy go z matką podczas wiecu. Zamordowanie Benazir Bhutto, serdecznej przyjaciółki rodziny, przypomniało im o kruchości i niepewności życia.

Podobieństwo Priyanki Gandhi do babci Indiry, zarówno fizyczne, jak i pod względem charakteru, jest zdumiewające. Ma w sobie jej magnetyzm, budzący taki zachwyt mas. Na razie wiecie spokojne życie w New Delhi, opiekując się mężem i dwojgiem małych dzieci. „Nigdy nie byliśmy panami naszej rodziny - powiedziała przy jakiejś okazji. - Zawsze dzieliliśmy ją z narodem”. W dniu ślubu Priyanka była ubrana w szkarłatne sari z tkaniny utkanej w więzieniu przez pradziadka Nehru. To samo sari, które na swoim ślubie miały na sobie babka Indira i Sonia. Czy Priyanka uniknie przeznaczenia jej nazwiska?



Autor Szkarłatnego sari w wiosce na północy Włoch, gdzie urodziła się Sonia Gandhi i gdzie spędziła dzieciństwo. Jedną z licznych podróży, jakie odbył, zbierając materiały do tej książki.



Podziękowania

Załużę, że nie mogę wymienić wszystkich osób, które pomogły mi podczas moich długotrwałych poszukiwań - zarówno we Włoszech, jak i w Indiach - ponieważ część ich woli pozostać anonimowa. Z całego serca dziękuję za przekazane informacje, bez których ta biografia nigdy by nie powstała.

Szczególnie głęboką wdzięczność pragnę wyrazić swojej żonie Sicie za wsparcie, towarzystwo i dobry humor podczas podróży związanych z pracą nad książką i długich miesięcy jej pisania.

Gdyby nie cenne i efektywne wsparcie mojego wydawcy, Eleny Ramirez, i jej entuzjazm, moja pisarska przygoda byłaby znacznie trudniejsza. Tobie, Eleno, składam najczulsze podziękowania, podobnie jak całemu personelowi Seix Barrai i grupie Planeta, która uczestniczyła w wydaniu książki.

Dziękuję Dominique Lapierre za to, że zawsze wierzyła w tę historię i zachęcała mnie do jej napisania, dzieląc się od czasu do czasu anegdotami o Indirze Gandhi, z którą spotykała się podczas swoich podróży do Indii.

Wielkie podziękowania składam wybitnemu specjalście, Michelguglielmowi Torriemu, profesorowi dziejów nowożytnych i historii najnowszej Azji na uniwersytecie w Turynie oraz miłośnikowi Indii, za jego rady, pomoc i szczodre poświęcanie mi swojego cennego czasu, co pozwoliło mi rozwiać wszelkie wątpliwości i poprawić tekst.

Dziękuję również Evie Borreguero i Alvarowi Enterrii za staranne, wnikliwe korekty, a także Bernadette Lapierre oraz Christianowi i Patricii Boyerom.

W Indiach winien jestem szczególne wspomnienie Kamalowi Pareekowi, który opuścił nas na zawsze we wrześniu 2007 roku. Będę tęsknił za jego gotowością do współpracy, sposobem, w jaki tłumaczył trudne dla

Europejczyka aspekty indyjskiej rzeczywistości, a przede wszystkim za jego przyjaźnią.

Wyrazy wdzięczności składam Ashwiniemu Kumarowi za anegdoty z czasów rządów Indiry Gandhi i kontakt z ważnymi osobami, na przykład z Dalbirem Singhem, sekretarzem generalnym All India Congress Committee. Nie zapomnę również Maniego Shankara Aiyara, partyjnego kolegi Rajiva Gandhiego i ministra w obecnym rządzie, ani jego kuzynki Pallavi Aiyar i jej męża Julia Ariasa.

Dziękuję również naszym serdecznym przyjaciołom, Francisowi Wacziargowi i Amanowi Nathowi, za to, że tam są.

Christianowi von Stieglitzowi winien jestem wdzięczność za szczere podzielenie się swoimi wspomnieniami o Rajivie i Soni, a Jostowi Maffeo za szczegółowe opowieści o życiu w Orbassano.

Dziękuję również Alexowi Ehrlichowi, Farah Khan, Josefinie Young i Nellowi del Gatto za ich pomoc, towarzystwo i gościnność. Sumanowi Dubeyowi za to, że zgodził się być posłańcem. A także Andresowi Trapiello i Laurze Garrido.

Na koniec pragnę podziękować Susanie Garcés i liniom lotniczym KLM za stałą pomoc i współpracę.

Bibliografia

Wśród książek, z których zaczerpnałem informacje, szczególnie przydatne okazały się następujące tytuły:

- Adams Jad, Whitehead Philip, *The Dynasty - The Nehru - Gandhi Story*, Penguin, New York 1997
- Frank Katherine, *Indira: the Life of Indira Nehru - Gandhi*, HarperCollins, London 2002
- Gandhi Sonia, Rajiv, Viking - Penguin, New Delhi 1992
- Jayakar Pupul, *Indira Gandhi: a Biography*, Penguin, New Delhi 1995
- Kidwai Rasheed, Sonia, Penguin, New Delhi 2003

Ponadto:

- Alexander P.C., *My Years with Indira Gandhi*, Vision Books, New Delhi 1991
- *Through the Corridors of Power: an Insider's Story*, HarperCollins, New Delhi 2004
- Ali Tariq, *The Nehrus and the Gandhis: An Indian Dynasty*, Pan Books, London 1985
- Ansari Yusuf, *Triumph of Will*, Tara - India Research Press, New Delhi 2006
- Asaf Ali Aruna, *Indira Gandhi: Statesmen, Scholars and Friends Remember*, Radiant Publisher, New Delhi 1989
- Bhagat Usha, *Indiraji through My Eyes*, Viking - Penguin, New Delhi 2006
- Bhanot Arun [i inni], *Sonia Gandhi (A Biography)*, Diamond Books, New Delhi 2005
- Carras Mary, *Indira Gandhi: In the Crucible of Leadership*, Beacon Press, Boston 1979
- Chatterjee Rupa, *The Sonia Mystique*, Virgo Publications, New Delhi 2000
- Chatwin Bruce, *Que hago yo aqui?*, El Aleph, Barcelona 2002

- Dhar P.N., *Indira Gandhi, the Emergency and Indian Democracy*, Oxford University Press, New Delhi 2000
- Frankel Francine R., *India's Political Economy*, Oxford University Press, New Delhi 2005
- Gandhi Indira, *Letters to an American Friend*, HBJ, New York 1985
- *What I Am (rozmowy z Pupul Jayakar)*, Indira Gandhi Memorial Trust, New Delhi 1986
- *My Truth*, Vision Books, New Delhi 1980
- *Gandhi Maneka*, Sanjay Gandhi, Vakis, Feffer & Simons, New Delhi 1980
- *Gandhi Sonia, Two Alone, Two Together*, Penguin, New Delhi 2004
- *Living Politics*, Nexus Institute, Hague 2007
- *Rajiv's World*, Viking, New Delhi 1994
- *What India Has Taught Me*, Nexus Institute, Tillburg 2007
- Gill S.S., *The Dynasty - A Political Biography of the Premier Ruling Family of Modern India*, HarperCollins, New Delhi 1994
- Guha Ramachandra, *India after Gandhi*, HarperCollins, New York 2007
- Khilnani Sunil, *The Idea of India*, Penguin, London 1997
- Lapierre Dominique, Collins Larry, *Esta noche, la libertad*, Plaza y Janes, Barcelona 1975
- Luce Edward, *In Spite of the Gods*, Doubleday, New York 2007
- Malhotra Inder, *Dynasties of India and Beyond: Pakistan, Sri Lanka, Bangladesh*, HarperCollins, New Delhi 2003
- Malhotra Inder, *Gandhi Indira, A Personal and Political Biography*, Hodder & Stoughton, London 1989

- Masani Zareer, Indira Gandhi, Hamish Hamilton, London 1975 Mehta Ved, Portrait of India, Farrar, Strauss & Giroud, New York 1970
- Rajiv Gandhi and Rama's Kingdom, Yale University Press, New Haven 1983
- Menta Vinod, The Sanjay Story, Jaico Pub. Co., Bombay 1978 Merchant Minhaz, Rajiv Gandhi: the End of a Dream, Penguin, New Delhi 1991
- Moraes Dom, Mrs Gandhi, Jonathan Cape, London 1980
- Nanda B.R., The Nehrus, The John Day Co., New York 1963 Nath Mishra Dina, Sonia the Unknown, India First Foundation, 2004
- Nehru Jawaharlal, An Autobiography, Oxford University Press, New Delhi 2002
- The Discovery of India, Penguin, New Delhi 2004 Nugent Nicholas, Rajiv Gandhi - Son of a Dynasty, BBC Books, London 1990
- Paul Swaraj, Beyond Boundaries, Viking, New Delhi 1998
- Prakash Surya A., Issue of Foreign Origin. Sonia under Scrutiny, Indian First Foundation, New Delhi 2004
- Según Vasudev Uma, Indira Gandhi: Revolution in Restraint, Vikas, New Delhi 1973
- Singavarapu Ravi, Sonia Gandhi through a Different Lens, Fultus Publishing, London 2004
- Singh B.P., Pavan K. Varma, The Millenium Book on New Delhi, Oxford University Press, New Delhi 2001
- Singh Darshan, Sonia Gandhi: Tryst with Destiny, United Children's Movement, New Delhi 2004
- Singh Kushwant, Truth, Love & a Little Malice, Penguin, New Delhi 2002

- Thapar Raj, *All These Years*, Seminar Publications, New Delhi 1991
- Torri Michelguglielmo, *Storia dell'India*, Laterza, Roma 2000
- Tully Mark, *No Full Stops in India*, Penguin, New Delhi 1991
- Satish Jacob, *Amritsar: Mrs Gandhi's Last Battle*, Cape, London 1985
- Tunzelmann Alex von, *Indian Summer*, Henry Holt, New York 2007
- Vasuder Uma, *Indira Gandhi: Revolution in Restraint*, Vikas, New Delhi 1973
- Yunus Mohammed, *People, Passions and Politics*, Vikas, New Delhi 1980

Źródła ilustracji

- 1,8,20 © Javier Moro
2,3,7 © Jawaharlal Nehru Memorial Fund
4,17,23 Bettmann/Corbis
5 © The Nehru Memorial Museum and Library
6 © Hulton - Deutsch Collection/Corbis
9 © SPI
10,12,13 © Kapoor Baldev/Sygma/Corbis
19 © Virenda Prabhakar
21 © RaghuRai
22 © Wally McNamee/Corbis
24 © Christian von Stieglitz
25, 28 © Alain Nogues/Corbis
27 © Jacques Langevin/Corbis Sygma
29 © Bhawan Singh/India Today
31 © T.C.Malhotra/Zuma/Corbis
32 © Rajesh Kumar Singh/AP Photo/Radial Press
34 © Raghu Rai/Magnum/Photos
35 © Sita Méndez
11,14,15,16,18,26,30,33 prawa zastrzeżone